

PIOTR DURAK

OSTATNI ROK

Mielec 2009

PIOTR DURAK

OSTATNI ROK

Mielec 2009

© Copyright by Piotr Durak 2005, 2009

II wydanie polskie

Zdjęcia: Izabela Surmacz, Piotr Durak
Korekta: Agnieszka Tomczyk, Piotr Durak

Wszelkie opisane postaci i wydarzenia to fikcja literacka i owoc chorej wyobraźni autora, a ich podobieństwo do istniejących w realnym świecie jest przypadkowe i niezamierzone.

ISBN: 978-83-92-5751-5-3

Wydawca: Samorządowe Centrum Kultury w Mielcu

Druk:
Zakład Poligraficzny Zbigniew Gajek
39-300 Mielec
ul. Korczaka 23
www.drukarnia.mielec.pl

motto:
*Nikt nie jest tak bardzo zniewolony jak ktoś,
kto czuje się wolnym, podczas gdy w rzeczywistości nim nie jest.*

J. W. Goethe

OD AUTORA

Trzeba mieć dużo cierpliwości do tej książki. Jest głupia, momentami za długa, miejscami niezrozumiała, miejscami banalna. Pisana częściowo przez licealistę, częściowo przez studenta pierwszych lat polonistyki, powoli ewoluowała, zmieniała się, rosła. Wciąż jest to tekst „dziwnie świeży”, by nie rzec niedojrzały – jest jak jabłko, które przecież zdarza się zjeść zielone – może rozboleć brzuch, ale ten smak...

Byli ludzie, którzy przegrali z tą książką – stwierdzili po stu, dwustu stronach, że nie są w stanie czytać dalej. Wielki szacunek dla nich. Byli też ludzie, którzy zmęczeni ją do końca, stracili na to mnóstwo czasu, potem nawet wypowiadali się pochlebnie – mam do nich sporo sympatii, wiem bowiem, że zrobili to ze względu na mnie – dał chłopak książkę, opisał się, nie można go zawieść! Byli też tacy, którzy połknęli tę książkę w dwa, trzy dni, żalowali, że się skończyła i prosili o jeszcze. Potem pisali pochlebne recenzje a nawet jedną pracę magisterską. Tych nie rozumiem.

Myślę, że książka, pomimo wielu wad, które często przesłaniają całą resztę, da się czytać. Może na tej zasadzie, co w znanym aforyzmie „chodzenie po bagnach wciąga”, może trzeba być umiarkowanym masochistą, nie wiem. Ja z pewnością, czytać jej już więcej nie będę. Mam dość.

Cóż więcej... Książka ta, jak zresztą większość książek, o czymś opowiada. Z uwagi, że autor dość młody, zastosował głupi i nie do końca przemyślany zabieg – kłamrę fabularną. Książka, żeby się obronić w oczach czytelnika, musi zostać, niestety, przeczytana do końca. Gdy o tym powiedziałem Andrzejowi Stasiukowi, przedstawiając *Ostatni rok* jako propozycję wydawniczą dla „Czarnego”,

odparł: „nikt dziś nie przeczyta debiutu tej grubości! To może ja od razu zajrzę na koniec”. Rzekłem na to, udając mądrego, że to tak, jakby wlecieć na szczyt góry helikopterem: niby widok ten sam, ale gdzieś brakuje tego wysiłku, potu, napięcia mięśni. Choć porównanie do gór, motyw wspinaczki – oklepane... może nie jest zbyt adekwatne... To nie jest książka o górach, choć akcja czasami toczy się wysoko. Nie jest to też literatura całkiem młodzieżowa, choć z takim założeniem rozpocząłem swą pisaninę, nie jest to kryminał, ani powieść przygodowa, nie jest to nawet jakaś obyczajówka w stylu *Nocy i dni*. Tak naprawdę, nie wiem co to jest i jaki gatunek reprezentuje. Fakt faktem, pozytywnej odpowiedzi z „Czarnego” nie dostałem.

W książce chciałem opisać... Nie, co chciałem opisać, to samo wyjdzie. Może wyjdą też rzeczy, których nie chciałem opisać, bo i to się zdarza. Tyle.

Na koniec ostrzeżenie: wewnątrz książki są słowa uważane za „brzydkie”. Nie będę się z tego usprawiedliwiać. Wrażliwszym sugeruję omijanie z daleka niektórych dialogów.

Kończąc przedmowę pozostawiam cały ciężar dalszych decyzji Tobie, Czytelniku. Mam do Ciebie duży szacunek, jeśli podniosłeś tę książkę z półki i dobrnąłeś do tego miejsca. Jak skończy się Twoja z nią przygoda, zależy już tylko od Ciebie.

Piotrek Durak

PROLOG

I tak znowu zostaliśmy wpuszczeni w kanał. Od czterech godzin spowijała nas ciemność, rozświetlana tylko czasem nikłym promykiem słońca, przebijającym przez otwór w kolejnej studziencie. Zapach mokrego tynku mieszający się z odorem rozkładających się śmieci, benzyny, rozpuszczalników, ludzkich odchodów i wszystkiego, co tylko można znaleźć w takim miejscu. Pułapka tunelu, betonowej rury bez światła, bez wyjścia, bez kierunków. Strach potrafi być obezwładniający, potrafi omamiać, zniechęcać...

- Zróbmy coś...
- W końcu stąd wyjdziemy.
- A jeśli nie?
- Nie chrzań, przecież nie zostaniemy tutaj! Czołgaj się dalej.
- A górą się nie da?
- Wiesz, że nie.

Jakby na potwierdzenie, gdzieś nad nami rozległo się donośne, krótkotrwałe dudnienie.

Autobus – odgadłem bez trudu. Dwa tąpnięcia w odstępie półtorasekundowym plus pomruk zmęczonego diesla. Po kilku godzinach spędzonych w tych ciemnościach bez trudu rozpoznawałem ciężar samochodów jeżdżących kilka metrów ponad naszymi głowami, po ulicach skąpanych w sierpniowym słońcu.

- Ładnie nas, kurwa, wpierdoliłeś – narzekał Koreń.
- Daj spokój, stary. To się zdarza.
- Tak, codziennie, kurwa, po śniadaniu!
- Sam chciałeś mieć przygodę to ją masz, więc teraz łaskawie siedź cicho.
- Ale to nie tak miało wyglądać!

– Stary, to jeszcze nie koniec świata...

Ktoś musiał zachować zimną krew, a jeżeli mój przyjaciel ją traci, siłą rzeczy padło na mnie. Sam również nie czułem się najlepiej od kilku godzin błądząc na czworakach w kompletnych ciemnościach, ale przecież nie mogliśmy tu zostać...

Wszystko zaczyna się dosyć banalnie; sierpień, miasto Mielec, województwo podkarpackie, kraj Polska, rok jeden dziewięć dziewięć dziewięć. Kolejne lato – kolejne wakacje spędzone w mieście.

Przez dwa miesiące snuliśmy się paczką kumpli po ulicach jak cienie, skazani na bezproduktywne marnowanie czasu. Młodzież z małego miasteczka bez planów na jutro, bez perspektyw, gotowa uchwycić się każdego, nawet najoryginalniejszego pomysłu, by tylko zabić nudę. Kogo stać na wysłanie dzieciaków na kolonie, gdy w domu są poważniejsze wydatki? Dzieci ulicy, barwne ptaki w klatkach z betonu. Tymczasem coś trzeba robić.

Oprócz włóczędzy po opuszczonych budowach wieżowców, gonitw po korytarzach byłego robotniczego hotelu, przesiadywania w zaimprovizowanych w piwnicach klubach z butelką taniego wina, czy grania w karty w przedsionku klatki schodowej, na gołym, obszczanym przez osiedlowe burki betonie, jednym z pomysłów były wyprawy do podmiejskich kanałów. Nie wiem czy to pod wpływem zamięłowania do dziwnych niebezpiecznych miejsc, czy po prostu – z nudów.

Kilkaset metrów od mojego bloku znajdowało się wejście do kanałów ściekowych. Sieć podziemnych tuneli opasujących pod ziemią całe miasto, mocno oddziaływała na naszą młodą wyobraźnię.

Z pozoru nie było to nic niezwykłego – prosta betonowa rura, mająca około metra średnicy. Podczas suszy wypływał z niej niewielki strumyk wody, w czasie deszczu zalana była całkowicie.

Oczywiście przez rodziców jakakolwiek „zabawa” w okolicach kanału była surowo zabroniona, jednak wówczas niespecjalnie przejmowaliśmy się wszelkimi zakazami. Chodzenie na czwora-

kach pod ziemią i słuchanie dudnienia samochodów jeżdżących kilka metrów nad nami, wydawało nam się niezwykle pasjonujące. Nie odstręczały nas nawet pijawki, które często doczepiały się do naszych kostek. Traktowaliśmy to jak swoistą szkołę przetrwania, w której miały „ukształtować się nasze charaktery”.

Długość tuneli odmierzana była studzienkami. Im więcej studzienek zaliczyło się danego dnia, tym lepiej. I tu dokonywał się podział na chłopców i mężczyzn.

Większość znajomych potrafiła dojść jedynie do trzeciej studzienki, znajdującej się dokładnie pod ruchliwą aleją Ducha Świętego. Dalej kanał zwężał się mniej więcej o połowę, co skutecznie zniechęcało do dalszej drogi.

Mnie jednak trudno było zniechęcić. Czołgając się, z nogami podkurczonymi pod brodą można było śmiało posuwać się dalej! I tak wraz z kumplem z trzeciej klatki zaczęliśmy pokonywać pod ziemią coraz dalsze odległości; dwunasta studzienka, czternasta, budząc zachwyt niedoświadczonych i strachliwych młokosów.

Każda taka wyprawa trwała po kilka godzin, zważywszy na powolne tempo poruszania się, wymagała również odpowiednich przygotowań kondycyjnych i sprzętowych, przede wszystkim niezawodnego światła; w kanałach panowały bowiem nieprzeniknione ciemności. Wyposażeni w policyjne latarki halogenowe zapuszczaliśmy się na czworakach, za każdym razem coraz dalej.

Ten sierpniowy dzień był zupełnie wyjątkowy. Jako kompana do wyprawy wybrałem Korenia – kolegę z klasy. Koreń był moim przyjacielem, silnym, odważnym i lubiącym ekstremalne sytuacje chłopakiem; przeżyliśmy już razem niejedno i wiedziałem, że mogę na nim polegać. Nigdy wcześniej nie był w kanałach, a wszystko co nieznanne zawsze go ciekawiło.

Wyprawę należało rozpocząć z samego rana. Już o ósmej uściśnaliśmy sobie ręce przed wejściem do podziemi. Mieliśmy siedem godzin do powrotu rodziców z pracy. Postanowiliśmy pobić wszelkie rekordy.

Początkowo szło świetnie. Nowa patrolowa latarka *Duracell* dawała mocny strumień białego światła i nie przeszkadzało nam,

że mamy ją tylko jedną (zwykle na każdego z uczestnika wyprawy przypadało po latarce). Szedłem na czworaka wewnątrz betonowej rury, Koreń posuwał się powoli za mną...

W świetle latarki bezpiecznie ominęliśmy sterzcący z sufitu, tuż za drugą studzienką, zardzewiały drut. Zadrżałem. Kiedyś jeden kumpel nadział się na niego plecami. Do dziś pamiętam panikę i niezwykle szybko nasiąkający krwią podkoszulek w tych „odrobinę niehigienicznych” warunkach. Nie było zabawnie, a takich niespodzianek w kanałach na każdym kroku czaiło się więcej.

W trzeciej studzience odbiliśmy na lewo, w tunel o mniejszej średnicy. Koreń był niższy ode mnie i nie narzekał. Już po kilkunastu metrach byliśmy cali mokrzy, umazani szlamem, plecy mieliśmy podrapane od ciągłego zawadzania o „sufit”, ale jakoś się szło.

Studzienki przesuwaly się powoli; czternasta, piętnasta, kolejne rozgałęzienia, miarowe dudnienie samochodów jeżdżących gdzieś w górze... Obliczyłem, że musieliśmy przejść już ponad kilometr, siedzieliśmy pod ziemią od kilku godzin. Studzienka dwudziesta czwarta... Absolutny rekord!

Obserwowaliśmy właśnie niezwyklej wielkości pająki siedzące pod włazem – drażniliśmy je kawałkiem znalezionej drutu, a one, nigdy wcześniej niewidzące człowieka, uciekały w popłochu w zakamarki podmokłych murów – gdy w naszej cudownej, halogenowej latarce... spaliła się żarówka.

Panika, strach, zapach ścieków i mokrego futerka szczurów, co chwila ocierających się o nasze nogi i dłonie. I ciemność. Wszegogarniająca i bezbrzeżna ciemność, taka, w której nie widać kompletnie nic. Tunel bez światła na końcu, pułapka, o której wiemy tylko tyle, że jest, trzyma nas w swoich kleszczach i nie będzie miała litości. Kanał, który jeszcze przed chwilą wydawał nam się niebezpieczny, ale przecież jakże fascynujący, stał się w jednej chwili śmiertelnie groźnym więzieniem.

– Zginiemy tutaj – szepnął Koreń, próbując namacać ręką jakąkolwiek część mojego ciała.

– Być może. Ale najpierw spróbujemy stąd wyjść – odparłem, a mój głos odbił się dziwnie drżącym echem od betonowych ścian.

Dobrze, że przynajmniej nie widzieliśmy własnych twarzy. Nie były one zbyt uśmiechnięte. Tak właściwie nie widzieliśmy nic, nawet ściany na pięć centymetrów przed nosem. I daremnie było czekać, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Próbowaliśmy kilkakrotnie podnosić od dołu włązy studzienek, by w ten sposób wyjść na świat, ale okazało się to niemożliwe. Albo włąz był zaasfaltowany, albo dźwignia nie ta. Od strony podziemia nie było odpowiedniego punktu podparcia dla stóp.

Jedynym rozsądnym wyjściem było wracać, nie mogliśmy mieć jednak pewności, czy nie zblądzimy w pierwsze lepsze rozgałęzienie, których mijaliśmy po drodze kilkanaście. W jednej chwili straciliśmy jakąkolwiek orientację. Na domiar złego powoli opuszczały nas siły, dawał o sobie znać głód.

Było po czternastej, jak wskazały iluminujące wskazówki zegarka. Siedzieliśmy pod ziemią od sześciu godzin, w tym od jakichś dwóch w kompletnej ciemności. Czarna rzeczywistość nasuwała przed oczy dziwne wizje. Wokół zaroilo się od wyimaginowanych zjaw i potworów. Piski szczurów dookoła niczym świdrujące ultradźwięki wwiercały się boleśnie pod czaszkę. Do tej pory gryzonie bały się światła, a teraz... Skąd nagle tyle się ich tu wzięło?! Co chwila łaskotanie mokrego futerka na naszych nogach, dłoniach. Plamki przed oczami, labirynt w ciemnościach z przerdzewiałymi drutami na wysokości pleców, ponure dudnienie nad nami. Nigdy nie miałem klaustrofobii, ani żadnej fobii w ogóle, w tej chwili jednak zmagalem się z olbrzymią paniką, z biciem serca o częstotliwości ruchu skrzydeł kolibra i z jednym, jedynym pragnieniem: wyjść stąd!

Nie liczyliśmy mijanych studzienek. Nie miało to większego znaczenia w naszej sytuacji. Ważne, że wbrew wszystkiemu brnęliśmy wciąż naprzód w kierunku wyjścia. Tak przynajmniej nam się wydawało...

– O kurwa, nie poznaję tego miejsca – co jakiś czas powtarzałem ja albo Koreń. Klęliśmy co chwilę, wulgaryzmy wydawały

się najlepszymi słowami do opisanie tej niebezpiecznej, mokrej, ciemniejszej od nocy przestrzeni. Staraliśmy się nie dopuszczać do świadomości myśli, że możemy już nigdy nie zobaczyć słońca.

Wszystkie mijane studzienki wydawały się takie same, co jakiś czas jednak napotykalimy na znajomy element. Oddychaliśmy wtedy z ulgą i brnęliśmy dalej wśród nieludzkich ciemności. Dla dodania sobie otuchy zaczęliśmy śpiewać piosenki Big Cyca i mimo że dość dziwnie w tych okolicznościach brzmiały młodzieżowe teksty w stylu *Kręcimy pornola*, w kanale zrobiło się jakby jaśniej.

Gdy dotarliśmy do drugiej studzienki i w oddali ujrzeliśmy nikielne światelko wyjścia, poczułem się szczęśliwy. Nigdy nie myślałem, że mały odblask, jeden promyk, może dla spragnionego jego widoku aż tyle znaczyć. Zmęczenie minęło, rzuciliśmy się w kierunku słońca, lata, życia.

Dziwna sprawa, bo gdy wreszcie dotarliśmy do wyjścia, na dwa kroki przed nim zatrzymaliśmy się i siedząc wciąż w kanale, a jednocześnie ciesząc oczy widokiem popołudniowego słońca, wyjątkowo jasno i czysto świecącego tego dnia, odpoczywaliśmy, oddychając z ulgą bez końca rozgrzanym powietrzem miasta.

– Piotrek, dzięki... – szepnął Koreń.

– Spierdalaj – burknąłem.

Miałem wszystkiego dość. Dochodziła siedemnasta, dziewięć godzin na czworaka, pod ziemią zrobiło swoje. Byłem wyczerpany, zafundowałem mu najgorszy dzień wakacji, a on, kretyn, jeszcze mi dziękuje?! Za co?!

Koreń jednak nie oburzył się.

– Spanikowałem trochę – przyznał po chwili.

Z pewnością takie wyznanie musiało go niemało kosztować. Zignorowałem ten wysiłek.

– Odczep sobie lepiej pijawki, masz kilka. Tylko przypał je najpierw zapalniczką, bo wda się zakażenie. Nie masz za co dziękować, spieprzyłem tylko wszystko.

– Sam bym raczej nie dał rady...

– Poradziłbyś sobie. Przecież nie zostałbyś tam czekając na zbawienie. Masz dość kanałów? – uśmiechnąłem się.

- No, raczej... Zaimponowałeś mi trochę.
 - Co? – teraz już naprawdę się zdziwiłem. Co to zmęczenie robi z ludźmi? Koreń nigdy nie czynił takich wyznań. Zmieszałem się.
 - Widzisz, stary... Ja wcale nie odgrywam twardziela, też myślałem chwilami, że już po nas. Spanikowałem jak i ty... Sam też byś wrócił, nie miałbyś wyjścia... – odparłem po chwili.
 - Słuchaj, teraz, jak już tyle razem przeszliśmy, słuchaj, Dux, to już chyba nic mocniejszego nam nie grozi, co? Będziemy przyjaciółmi?
 - Chyba już jesteśmy...
 - Wiem, ale teraz bądźmy nimi naprawdę. Tak na sto procent, na dobre i na złe, co? Chodzi o kogoś, na kim zawsze można polegać, czaisz? Jesteś moim najlepszym kumplem od dziś, okej?
 - Jasne, stary... – wzruszyłem się solidnie – Przecież wiesz, że cię lubię. Inaczej nie zabrałbym cię do tego piekła.
 - Sorry, ale jeśli tak ma wyglądać twoja przyjaźń...
 - No przecież żartuję! Dawaj łapę, róbmy rząd i chodźmy stąd!
- uścisnęliśmy sobie ręce i wyszliśmy na świat.

Nigdy nie zapomnę, jak bardzo wszystkie kolory wydały mi się żywe, jak wspaniale kotływały się trawy na wietrze. Nie byliśmy raczej podobni do ludzi, z pewnością matka z trudem by mnie poznała, ale to nie było istotne. Byliśmy wolni, mogliśmy oddychać normalnym tlenem bez zapachu szczurzych i ludzkich odchodów.

A ja zyskałem przyjaciela.

Przy pomocy zapalniczki, ukrytej dotąd w załamie betonu, oczyściliśmy nasze ciała z czarnych i zielonych pijawek. Ja miałem cztery, Koreń trzy. Siedem cienkich strużek krwi spływających po nogach. Jakoś doprowadziliśmy się do porządku. Usiedliśmy jeszcze przez chwilę na trawie obok wejścia do podziemi. W milczeniu suszyliśmy mokre grzbiety na słońcu, całe napięcie powoli uchodziło z nas, parowało jak woda z czarnych od ścieku podkoszulków. Miałem nadzieję, że uda mi się niepostrzeżenie zakraść do swego pokoju przed przywitaniem z rodzicami. Wyglądałem troszeczkę gorzej niż po zwykłym meczu piłki nożnej. Dziwna prawda – przecież mogliśmy tam zostać na zawsze – z trudem przenikała do zmęczonego ciężkim dniem umysłu.

Z Koreniem rozstałem się pod moim blokiem. Za dwa dni rozpoczynał się rok szkolny. Ósmy i ostatni rok w Dziewiątce, niezwyczajnej podstawówce, do której mieliśmy zaszczyt uczęszczać.

CZEŚĆ I
Błękitne niebo nad miastem

I

Stałem nad miastem skąpanym w łunie pożarów. Dookoła płonęły bloki, miejskie parki, unosiły się w ogniu dywany łąk, wieżowce łamały się jak zapalki.

Stałem na szczycie wysmukłej lśniącej wieży z białego marmuru. Była to najwyższa i najwspanialsza wieża; w zasięgu wzroku nie można było dostrzec nic, co mogłoby dorównać jej wysokością. Żaden wieżowiec nie przesłaniał mi widoku, patrzyłem ponad wieżowcami.

Czułem się, jakbym obserwował rzeczywistość przez płytką taflę wody. Horyzont drgał leciutko poruszany niewidzialną mgiełką. Powietrze płynęło w górę, opadało w dół, falowało, jednocześnie zdając się nieruchome jak tafla zimnego szkła.

Gdzieś w dole pomieszane, wykrzywione rozpaczą krzyki ludzi, klaksony samochodów, głuche trzaskanie ognia, dźwięk jak na porysowanej płycie gramofonowej.

– Dobrze – pomyślałem dziwnie spokojny – Niech płoną. Tu jestem bezpieczny, płomień mnie nie dosięgną...

Rozgrzane powietrze falowało, zdając się tak gęstym, że można by je kroić na kawałki. Ptaki z piskiem uciekały w przestworza. Płacz gołębic piskłat zaskoczonych przez płomień niósł się w powietrzu. Śwąd palonych ciał, płyt pilśniowych i ludzkich włosów mieszał się z wonią topniejącego śniegu. Więc gdzieś tam była wiosna... Świat powoli pogrążał się w czerni i dymie, wyciskającym mimowolnie fałszywe łzy z oczu.

– Wreszcie odpokutujecie za wszystko zło! Gińcie, zabijaj! – ktoś krzyczał, nie wiem kto, byłem zbyt pochłonięty tym, co się działo na dole – Giń, płoń, zabijaj!

Trupy padały na ulicach na zawsze pochłonięte przez płynne niczym lawa bazaltowe błoto asfaltu. Zakrzepła krew wypełniała szczeliny w płytach chodnikowych. Czarne strzępy, latawce, kikuty złamanych latarni jak skruszone kopie rycerzy. Płacz. I ironiczny śmiech obok.

Niczym Neron nad płonącymi zgliszczami Rzymu stałem niewzruszony, wzrokiem pełnym wyższości patrząc na zagładę świata, do którego już nie należałem. Po chwili bloki i okoliczne domostwa zaczęły kruszeć w ogniu i zapadać się pod ziemię, zostawiając po sobie jedynie garstkę czarnego, zmieszanego z krwią popiołu. „I dowiesz się, że moje imię jest Szaleniec, gdy położę na tobie moje ręce!” – grzmiał głos z boku. Wieża z białego marmuru była zimna i nieprzejeđnana. Dookoła świat zapadał się w pustkę, pełną ognia i ironii.

Stałem pełen dziwnego spokoju, równowagi. Czulem się wyróżniony trwając na tej swoistej oazie spokoju, bezpieczeństwa. Obok mnie starzec rzucający przekleństwa na cały świat, ciskający w ogień grudki gołębich odchodów. I jeszcze ktoś. Trochę niższy ode mnie, ale dobrze zbudowany, ubrany na biało młody chłopak. Nie mówił nic patrząc na zagładę świata, przyjmował to naturalnie, jak ja, lekko zagryzając wargi. Nie mogłem dostrzec jego oczu, ale czulem, że zobaczyłbym w nich coś przerażającego. Sam musiałem mieć na źrenicach odbicie ognia i ludzkiego strachu.

Byłem jednak bezpieczny. Wiatr niósł zapach błota, strzępy ry-sunków, nadpalonych kartek, zapisanych niebieskim i czerwonym atramentem. Płonęły biblioteki, szkoły, ogień rozsadzał ciśnięte w kąć śmietnika butelki po winie, pozostawiał wszędzie krwawo-czarny ślad.

Ubrany na biało chłopiec odwrócił się tyłem, stanął na marmurowym murku oddzielającym bezpieczeństwo naszej oazy od piekła na dole. Wydał mi się dziwnie znajomy... Starzec wciąż miotał przekleństwa, jakby słowami chcąc podsycić szalejące pod nami płomienie...

Nagle chłopiec poderwał się i rozłożywszy ręce jak skrzydła ptaka rzucił się w zionącą ogniem czeluść. Początkowo wydawało się, że gorący podmuch uniesie go do góry jak jeden z czarnych strzępów płynących obok w rozgrzanym powietrzu. Stało się jednak inaczej; runął jak kamień w dół, świadomy własnego przeznaczenia.

– Co robisz?! – krzyknąłem i podbiegłem do murku, w jednej chwili padając na kolana i wyciągając rozpaczliwie rękę w kierunku

ku spadającego ciała. Wydawało się, że palcem musnąłem lekko jego dłoń, nic nie mogło go już jednak uratować. Płomienie i płynny asfalt pochłonęły po chwili jego czarne włosy. Ogień buchnął ostatni raz podsycony kolejną ofiarą, po czym zaczął wygasać, zostawiając po sobie ziejącą czernią pustkę.

– Zabijaj, zabijaj, niszczy, uśmiercaj wszystko, co piękne, zabijaj! – mamrotał starzec.

Nie wstawałem z kolan. Bez sił upadłem na lodowato zimny marmur. Chciałem zlać się z nim w jedno, pokonać przerażenie, które naraz mnie ogarnęło. Stopić się w biały kamień, jak on pozostać niewzruszony i nigdy nie wstać. Nie wstanę!

– Wstawaj! – usłyszałem jakby w odpowiedzi.

– Zostaw mnie! – chciałem krzyknąć, z ust wydobył mi się jednak tylko cichy jęk.

– Wstawaj natychmiast!

– Nieee...

– No, Piotrek! Wstawaj natychmiast! Co z tobą?! – usłyszałem nie znoszący sprzeciwu głos matki – Spóźnisz się do kościoła!

No więc tak... Piękny sen... W sam raz, jak na noc przed rozpoczęciem roku szkolnego. Nie miałem wyjścia – trzeba było się zwlec.

– Spóźnisz się do kościoła! – mama marudziła dalej.

– No i c o z t e g o ?

– Jeszcze się pyta, bezbożnik jeden! Mało nam nerwów napsułeś przez wakacje? Idziesz znowu do szkoły i Bogu dzięki! – włączył się ojciec – Wstawaj, idziemy do pracy i nie będziemy wiecznie czekać.

– Dobra, wstaję... – burknąłem w odpowiedzi.

Powoli usiadłem na ciepłym łóżku, patrząc jak reszta rodziny szykuje się do wyjścia. Robili przy tym całkiem niezłe zamieszanie. Człowiek nie zdaje sobie sprawy, jak śmiesznie czasem wygląda w zwykłych sytuacjach dnia codziennego. W poszukiwaniu zaginionego parasola, przy pięknej słonecznej pogodzie za oknem – jednak wczoraj przecież zapowiadano deszcz – przetrząsano właśnie całe mieszkanie.

Biała koszula leżała przygotowana na krześle przy biurku. Znów miałem się stroić jak pajac. Otrząsałem się jak kundel na wspomnienie kąpieli – nienawidzę tego. Nawet ubierać mi się nie pozwolą, jak mi się podoba. Nie rozumiem tylko, czemu wciąż się łudzą, że na głupie rozpoczęcie roku szkolnego kiedykolwiek pójdę w białej koszuli. Co ja, lizus jakiś? – pomyślałem – Absurd!

No i wreszcie za rodziną zamknęły się drzwi i w domu zapanała błoga cisza. Miałem ochotę znów rzucić się na łóżko i spać, spać do oporu, ale jakoś odpędziłem tę myśl od siebie. Chcąc nie chcąc, koniec wakacji... Jeszcze przedwczoraj wędrowałem z Koreniem kanałami, a tu dziś rano zrywają mnie o szóstej i każą gdzieś iść. A na myśl, że teraz będzie już tak co rano zaczynała mnie boleć głowa. Umyłem się, włączyłem tępowizor i bezmyślnie przeleciałem po kanałach. Ponad połowa stacji jeszcze nie nadawała. Odkąd w ramach oszczędności zrezygnowaliśmy z kablówki, nie ma kompletnie nic do oglądania – pomyślałem i wyłączyłem poradzieckie pudło.

Oczywiście biała koszula została na krześle. Obchodziłem ją ostrożnie, szerokim kołem. Przerażała mnie ta białość i zapach krochmalu... Ubrałem bluzę w niezawodnym czarnym kolorze i poszedłem do kościoła na siódmą.

Kościół mielecki pod wezwaniem Ducha Świętego jest niezwykle pasjonującym obiektem. Podobno to najwyższy kościół na Podkarpaciu, prawdziwa perła nowoczesnej architektury sakralnej. Olbrzymi, wysoki na pięćdziesiąt sześć i pół metra gmach zdaje się być potężny i lekki zarazem. Jak biały gołąb zrywający się do lotu, góruje nad całym miastem, przerastając wyraźnie najwyższe wieżowce i kominy. Dwie olbrzymie białe wieże, zwieńczone na wysokości czterdziestu pięciu metrów podłużnymi oknami o kształcie wąskich deltoidów, robią wrażenie na przyjezdnych, a dźwięk potężnych dzwonów w czas bicia unosi się w przestrzeni o promieniu wielu kilometrów.

O kościele krążą nawet legendy. Kilkukrotnie słyszałem, jakby proboszczowi pewnej nocy miał się przyśnić anioł i wezwać go do zbudowania potężnej świątyni, która zagóruje nad wszystkimi budynkami i stanie się znakiem rozpoznawczym miasta. Na Osiedlu

Lotników bowiem bardzo brakowało kościoła. Gdy w 1981 roku oficjalnie utworzono parafię Ducha Świętego, wiadomo było, że świątynia musi tu powstać.

Pierwszym miejscem lokalizacji miały być tereny nad rzeką Wisłoką, ale dzięki stanowczej postawie proboszcza, który od początku twierdził, że „Kościół musi być wśród ludzi”, budowę rozpoczęto w marcu 1983 roku, na wolnym placu w centrum osiedla, tuż obok szkoły.

Czasy były ciężkie, czerwony rząd, pomimo wielu ciosów otrzymanych od pragnącego spokoju narodu, wciąż dyktował prawo i niejednokrotnie blokował decyzje o pozwoleniu na budowę, wstrzymywał dostawy materiałów. Problemy były również z ekipami budowlanymi, które – jak to zazwyczaj bywa wśród budowlanców – lubiły sobie wypić kilka piwek w trakcie pracy. I znów jedynie dzięki stanowczości proboszcza uniknięto wypadków przy pracach na wysokości.

Prawdziwą katastrofą było jednak opuszczenie budowy przez jej kierownika, w połowie prac. Majster opuścił plac w dość niejasnych okolicznościach. Podobno nie odpowiadał mu projekt kościoła, przewidywał, że w przyszłości będą problemy z odprowadzaniem wody deszczowej, wynikły jakieś konflikty... To wszystko domysły, trudno dziś dojść szczegółów, faktem jest, że szef budowy pewnego dnia odszedł, zostawiając trzydziestometrowe kikuty wież kościoła do dyspozycji tym, którzy zostali.

W dalszych pracach pomagały różne ekipy, budowa musiała toczyć się swoim torem. Front robót na dni następne ustalano z proboszczem nocami, w baraku, przy migotliwym świetle żarówek, pieniądze na budowę zbierano we wszystkich pobliskich parafiach.

W końcu, po niemal czterech latach żmudnej pracy, kościół stanął w obecnym kształcie. Proboszcz dokonał cudu. Po ukończeniu prac miał ponoć wjechać windą po stojących jeszcze rusztowaniach na sam szczyt krzyża, stanąć ponad miastem i odśpiewać hymn Alojzego Felińskiego *Boże, coś Polskę...*

Piękna historia, bez dwóch zdań. Może i rzeczywiście anioł czuwał nad tym kościołem. Może jest tu obecny do dzisiaj? Nie

wiem... Jak na razie w kościele były za to ciągle obecne ekipy remontowo-budowlane, rusztowania, wiszące szmaty. Podobno źle skonstruowana instalacja odpływowa budynku sprawiła, że woda wsiąkała w szczeliny tynku i w zimie zamarzała powodując pęknięcia. Tynk odpadał, stropy we wnętrzu były niezwykle wysokie – stąd też stała obecność, zakupionego z pieniędzy parafian, wielkiego podnośnika pneumatycznego, stojącego wówczas za czerwoną kotarą we wnętrzu świątyni.

Wspomnieć jeszcze muszę, że budynek podzielony jest na dwie kondygnacje: kościół dolny i górny. Kiedyś, gdy byłem jeszcze mały, kościół górny był wciąż w stanie surowym, dlatego wszystkie msze odbywały się w kościele dolnym, umiejscowionym częściowo pod ziemią. Teraz, gdy obie kondygnacje zostały ukończone, właściwy kościół mieści się na górze, na dole zaś msze odbywają się tylko czasami, na specjalne okazje, jak na przykład – rozpoczęcie roku szkolnego.

Ksiądz coś tam mówił, ale ja niewiele z tego wiedziałem. Od dawna nie słuchałem kazań. Po co mam czegoś słuchać, jak i tak nic z tego nie wyniosę, mam zbyt słabą wolę, by poprawić się i żyć według ich, niby boskich, a jakże przecież ludzkich ideałów. Mówiłem sobie, że przecież postępuję jak większość ludzi, którzy chodzą co tydzień skrupulatnie na mszę, a gotowi byliby zabić bliźniego tylko za zły kształt jego nosa lub parę butów. Swoją drogą jest w tym coś charakterystycznego, że Polak zawsze cierpiał na brak obuwia i miał specyficzne skrzywienie na tym punkcie. Czytając relacje z festiwalu punkowych w Jarocinie, prawie w każdym opisie rozboju możemy znaleźć wzmiankę o kradzieży butów. Raz skini pozbawiali butów jakiegoś punka, innym razem odwrotnie. Wspaniała ideologia słowiańskiego buntu na bosaka. Subkultury w polskim wydaniu zawsze mnie śmieszyły.

Wszystko się kończy, przemija, odchodzi w „szarą otchłań czasu”. Piękne, poetyckie określenie. A przecież niektórzy uważają, że czas nie istnieje, to tylko pojęcie względne, byt abstrakcyjny, którego uświadomione istnienie pozwala nam zapominać. Czas... jest jak martwy ptak rzucony do przydrożnego rowu na pożarcie kotom. Kiedyś zmagął się z wiatrem, upajał się chwilą lotu, przed-

kością, krzyczał pieśni o wolności, walczył o przetrwanie. Dziś jest już tylko rozkładającym się trupem, elementem w łańcuchu pokarmowym, przegraną częścią odwiecznej walki o byt. Podobno nie ma czasu, jest jedynie wieczyste trwanie. Podobno istnieje tylko terażniejszość, nie ma przeszłości. Podobno. Powiedzcie to temu ptakowi.

Problem czasu zawsze zajmował moją młodą wyobraźnię. Bo jak to właściwie jest, że starzejemy się fizycznie, czas pędzi jak szalony, coś wokół nas dobiega końca, podczas gdy nasza psychika zostaje w tyle. Dlaczego musimy godzić się z przemijaniem kolejnych etapów życia, nawet wtedy, gdy psychicznie nie jesteśmy przygotowani na etapy następne? Dlaczego nie możemy po prostu się zatrzymać i popatrzeć, w tym patrzeniu zapatrzeć się bezmyślnie w przestrzeń i zostać.

Czas. Pozostało go już tak niewiele.

W tamtej chwili miałem jednak nieco bardziej poważne zmartwienia. Siedząc w kościelnej, twardej jak szkło, dębowej ławce, myślałem o szkole, o tym, że znowu wszystko zaczyna się od nowa, kolejna fala oszustw, wagarów, przestępstw i przekrętów przede mną. Fala ostatnia...

Pierwszy dzień szkoły zawsze prowokował u mnie dziwne refleksje. Wydawało mi się, że najlepszą szkołą dla młodego człowieka powinno być właściwie samo życie. Zawsze chciałem wychowywać się gdzieś na wsi, w stanie natury i, jak proponował w swych oświeceniowych traktatach Rousseau, co najmniej do czternastego roku życia nie oglądać książek, poznawać czystą formę świata, życia, nie zniekształconą przez prąd czyichś myśli. Po co znać sentencje Konfucjusza, zyciorys Hemingwaya, czy trzecią zasadę dynamiki Newtona? Czy to jest komuś potrzebne do bycia prawdziwym, dobrym człowiekiem, takim wolnym, przez duże C? Czego uczy szkoła, poza produkowaniem jednolitej szarej ludzkiej masy znieczulonej psychicznie na całe zło tego świata? Gdzie w szkole miejsce dla indywidualistów, buntowników, ludzi wrażliwych? Nie ma! Takich ludzi zawsze tępi się, wszelkie wystające poza szereg głowy ucina się, a umysły urabia tak długo, aż wreszcie wprasuje się w tryby maszyny i odleje do formy określonego

ustawą wzorca. Ilu ludzi świadomie rezygnuje ze swych pasji, nie widząc obok siebie możliwości ich realizacji? Ilu wyzbywa się marzeń, ideałów...

Mam najlepsze lata życia, jest pierwszy dzień września, świeci słońce, a ja wchodzę w mury mej szkoły, idę długim czerwonym od koloru posadzki korytarzem, za chwilę, jak co roku, wysłucham paplaniny Stasi – naszej niezawodnej dyrektorki, a potem z kolei Darka – mojego fantastycznego wychowawcy. I wszystko się rozkręci. Usiądę w klasie, obok dwudziestu pięciu innych osób (ciągle usiłuje mi się wmówić, że takich jak ja, choć łączy nas jedynie podobna data urodzenia). Każda z tych osób marzy o wielkich pieniądzach, sławie, karierze artystycznej lub chociażby zdolności do przeżywania orgazmu i szczęściu osobistym. Tymczasem wyrosną na przyszłe sprzątaczkę, fryzjerów, nauczycieli czy urzędników administracji zapieprzających przez całe życie za marną pensję, od siódmej do piętnastej, od dziesiątego do dziesiątego. Tak... spójrzmy prawdzie w oczy; już niedługo wszyscy rozejdziemy się w swoje strony, jak w balladzie Kaczmarek *Nasza klasa...* I co pozostanie? Część mych kumpli dołączy do grupy stojących pod blokami żuli, proszących o złotówkę na prześmierznięte tarnobrzeską siarką wino, dziewczynki zaś trafią do domów samotnej matki, skarżąc się, że mąż pije i bije, a pojęcie „orgazm” będą znały jedynie z gazet erotycznych. Taką mamy rzeczywistość. Kogo za to winić?

Podobno to wszystko przez tzw. SYSTEM. „Olewamy system, który nas żywi!” – to jeden z najczęściej widzianych napisów graffiti na polskich murach. Jak to powiedział Jerzy Owsiak w pamiętnej audycji z dziewięćdziesiątego trzeciego: „aaa my na nich leeeeejemy równo, oolewamy to...” System – największy wróg dorastającej młodzieży. Wiadomo o nim tyle, że jest, jest z gruntu zły i że trzeba z nim walczyć. Właściwie nic więcej.

Ale przecież narzekać na system potrafi każdy, a żeby chcieć coś zmienić należy patrzeć nieco trzeźwiej i znać się na rzeczy. Papierowym buntem nic się nie wskóra, spłonie on jak nieudany sprawdzian w szatni, z którego ocena i tak pozostaje w dzienniku. Nie mam pomysłu na uzdrowienie systemu, słyszałem jedynie, że

jest on chory, dlatego nie wiem czy mam prawo do krytyki i narzekania. Buntujemy się, ale czy wolno buntować się przeciw czemuś, nie mając wizji czegoś lepszego, co zastąpi nasz obiekt buntu w chwili jego upadku? Nie mamy perspektyw, a przecież jakiś system zawsze istnieć musi. Chyba.

Buntowałem się przeciw istniejącemu systemowi. Dziś widzę wyraźnie, że ten bunt był papierowy, istniał tylko dlatego, że po prostu – taki wiek. Jednak wówczas tego nie zauważałem; bunt był bardzo ważny, nie dostrzegałem jego nietrwałości. Bunt był tym, na czym budowałem cały ówczesny świat. Gdyby go nie było, nie miałbym nic. Taki wiek.

W gruncie rzeczy powinienem myśleć, że jestem jednym z miliona polskich nastolatków, mam piętnaście lat, wychowuję się w drugorzędnym robotniczym miasteczku na Podkarpaciu, przechodzę trudny okres dojrzewania i nie znam się na niczym. Powinienem też mieć nadzieję, że jak dorosnę, to może zechcę coś zmienić, myśleć, że tylko na razie jestem małym, głupim i nic nieznaczącym elementem, takim z których składają się miliony, kropłą w oceanie ludzkich mas – później wszystko się zmieni. Przyszłość jest jasna! – tak powinni myśleć ludzie młodzi. Przede wszystkim powinienem mieć tę cholerną nadzieję...

Jednak w Mielcu ciężko było o takie myślenie. Po upadku WSK – niegdyś jednego z czołowych zakładów lotniczych w Polsce – bezrobocie przekroczyło trzydzieści procent. Odrapane kamienice, dziurawy asfalt, bezdomni wyciągający rękę po dziesięć groszy na wino, na głównym placu, wyłożonym czerwona, socjalistyczną kostką, Robotnicze Centrum Kultury, straszące szarymi strupami tynku odpadającymi ze ścian – wszystkie te elementy współtworzyły dość przygnębiający, nawet jak dla młodego człowieka obraz. Od małego pielęgnowałem w sobie nastroje autystyczno-dekadencje.

O swojej szkole miałem typowe jak na piętnastolatka zdanie. W zasadzie lubiłem to miejsce. Trochę nudów, nauka jak wszędzie; te rzeczy trzeba znosić, wakacje właśnie się skończyły, każdy musi to sobie wbić do głowy, bo inaczej uwezmą się na niego i tak dłu-

go będą tłuc głową o ścianę aż wreszcie czegoś nauczą. Patrzenie w tył zawsze kończy się upadkiem i nabiciem solidnego guza.

Na sali gimnastycznej zgromadził się już spory tłum uczniów. Grupa dziewczyn z mojej klasy stała pod parapetem i uśmiechała się do mnie. W kącie pod kaloryferem zgromadzili się chłopaki. Wszyscy jacyś smutni, małowówni. Podszedłem do Korenia:

– Co jest? Wyglądasz jakbyś połknął żabę – rzekłem na powitanie, krzywiąc sztucznie twarz.

– Nie ma się z czego cieszyć – odparł.

– Nie martw się, jakoś przezimujemy. A na wiosnę znów pojedziemy na truskawki.

Uśmiechnął się lekko i jakoś smutno. Przywitałem się po kolei z wszystkimi. Podszedł do mnie Bogdan Pryk:

– Wiesz, że Darka nie ma i nie będzie na rozpoczęciu?

– To jak?

– Nie wiem. Chyba urywamy się zaraz po apelu.

– To świetnie! Zdążę wpaść na piwo – powiedziałem.

Właściwie wcale nie chciałem iść na piwo, ale tak należało powiedzieć – to było męskie. Więcej wolnego czasu było mi jak najbardziej na rękę; można było jeszcze nacieszyć się tym, co zostało z wakacji.

Wakacje zawsze kończą się zbyt szybko...

Prawdę mówiąc, nieobecność naszego wychowawcy w pierwszy dzień szkoły trochę mnie zdziwiła. Chyba podświadomie stęskniłem się za nim...

Darek, nasz wychowawca, był średniego wzrostu mężczyzną, szczupłym, w okularach, z wąsikami pod nosem, lat około trzydziestu pięciu. Byliśmy drugą klasą w jego karierze wychowawcy i jak się okazało miał nas zapamiętać do końca swojej pracy zawodowej. Wszyscy bardzo go lubiliśmy. Był fantastycznym facetem, sporo razy ratował mnie i Korenia z tarapatów. Miał taką metodę, że gdy coś znowu złamaliśmy, rozwaliliśmy lub podpaliliśmy, wzywał do szkoły rodziców. Nie telefonował do nich, ani nic w tym stylu, tylko mówił, że mamy ich uprzedzić i mają się zgłosić. Rodzice oczywiście nigdy nie przychodzili (nie ma się co dziwić – nigdy o niczym się nie dowiedzieli), a on po pewnym czasie

groził palcem, zapominał o wszystkim i było po sprawie. Było to genialne rozwiązanie, a zwłaszcza mi, Koreniowi i Duszykowi było ono bardzo na rękę.

W trójkę stanowiliśmy zgraną paczkę. W zasadzie robiliśmy wszystko, na co tylko mieliśmy ochotę. Nie byliśmy jakimiś zakamuflowanymi ćpunami, dresiarzami czy wandalami. Chodziliśmy na wagary, szczerze omijając tak zbyteczne szczegóły jak szacunek, zwracaliśmy uwagę nauczycielom, gdy nam się coś nie podobało, pisaliśmy graffiti po ścianach w kiblach lub w szatni, trochę piliśmy, łowiliśmy rybki w szkolnym akwarium – normalne odchyły buntujących się nastolatków – a i tak, pomimo tego, nasze zachowanie zawsze figurowało w rubryce jako dobre, czy nawet bardzo dobre. Darek wprawdzie wielokrotnie mówił, że nie będzie nikogo bronił na konferencjach, że staczymy się, że czas już z tym wszystkim skończyć i obniży nam ocenę, ale zawsze wstawiał się za każdym, wierzył w naszą poprawę do końca. Każdemu życzyłbym takiego wychowawcy i nie ma w tym ani odrobiny ironii. Darek, pomimo swej wrodzonej łagodności, potrafił nas trzymać w ryzach, nie pozwalał sobie wejść na głowę i cieszył się za to szczerym szacunkiem. Był to niewątpliwie człowiek najwyższej klasy.

Staliśmy pod kaloryferem czekając na apel. Nagle poczułem silne uderzenie w plecy:

– Jak leci, Durex?!

Nie musiałem się nawet odwracać.

– Jakoś leci – odparłem.

– Jak dzieci? – znów spytał.

– Dobrze, Czesiu – rzekłem i uściśnąłem mocno łapę drugorocznemu Grzesiowi Adamczukowi. Co jak co, ale uścisk jego dłoni był piorunujący i jeżeli natychmiast nie odpowiedziało mu się podobnym, ręka była stracona.

Przeszliśmy na salę gimnastyczną, gdzie powoli zaczynało się już widowisko powitalne. Odśpiewano hymn szkoły, a Stasia zaczęła wygłaszać M o w ę. Mówiła krótko, węzłowato, tym swoim piskliwym, ale w gruncie rzeczy przyjemnym głosem, co chwila pozdrawiając nas swym szczerym, serdecznym uśmiechem. Lubi-

łem ją. Skończyła życząc nam nowych sił i chęci do nauki. Co jak co, ale „chęci do nauki” to mi chyba nigdy nie zabraknie... – uśmiechnąłem się ironicznie pod nosem.

Potem miały być występy dzieciaków z czwartej klasy. Na podium weszła dziewczynka i zaczęła deklamować wierszyk. Szło pięknie, niestety mniej więcej w połowie występu, konkretniej w miejscu: „tornistry i teczki czekają na wszystkich i zaraz zawoła nas dzwonek...” (Boże, kto układa te durne wierszyki?!), mikrofon najwyraźniej się zbuntował. Pewnie też chciał jeszcze poleżeć spokojnie w futerale w szafce, a tu wyrwali go nagle i to jeszcze do takiego apelu! Na sali dał się słyszeć dłuugi, nieprzyjemny pisk, potem coś trzasnęło, ze wzmacniacza uniósł się lekki dymek w kolorze *habemus papam* i zaległa cisza. Wystraszona dziewczynka stała na środku sali i błędziła bawolim wzrokiem dookoła...

Zaraz zjawił się zaaferowany pan Witek – woźny-konserwator w nieodłącznym granatowym, wiecznie poplamionym fartuchu, ruszył do wzmacniacza i zaczął w nim grzebać. Po chwili wstrząsnął nim dziwny dreszcz. Konwulsje rodem ze średniowiecznego *dance macabre* pomieszane z figurami najnowszego szlagieru muzyki techno! No i ten wrzask... Cóż, we wzmacniaczach jest zazwyczaj wysokie napięcie...

Gdy wreszcie udało mu się oderwać, zaczął kląć na czym świat stoi, po czym, pomiędzy jedną „kurwą” a drugim „chujem”, stwierdził, że usterki niestety nie da się naprawić. Na sali zapanowała konsternacja i niecierpliwe wyczekiwanie, co młodzież zwykła sygnalizować hałasem. Zrobiło się niemożliwie głośno. Wreszcie na środku znów stanęła Stasia i krzycząc coś o dobrej wróżbie kazała rozejść się do swoich klas.

Darka nie było i właśnie zastanawialiśmy się, czy iść do domów wyskakując spektakularnie przez okna, czy przejść jednak do drzwi, gdy podeszła do nas nasza matematyczka – pani Kolek.

Nie ma co ukrywać, nie lubiliśmy jej za bardzo. Obecnie zastanawiam się dlaczego. Może miał tu znaczenie fakt, że uczyła owego przekłętego przedmiotu, jakim jest matematyka? Tylko jednostki rozumieją matematykę i nie spotkałem nigdy kochanej przez wszystkich nauczycielki tego „czegoś”. To straszne, że aura tego

przedmiotu tak negatywnie potrafi opromieniać nawet najbardziej wartościowe i mądre osoby. Nie wiem ile zarabiają nauczyciele matematyki, jednak prawdopodobnie jest to kwota niewspółmiernie mała w stosunku do niechęci ze strony uczniów, z jaką muszą się zmagać. Osobiście, albo podniósłbym pensje wszystkim matematykom o sto procent, albo w ogóle usunął ten znieawidzony przedmiot ze szkoły.

Nasza matematyczka była około trzydziestoletnią blondynką, dość ładną i o całkiem przyzwoitej figurze. Była też, niestety, wymagająca, często złośliwa i momentami bardzo ironizowała. Czasami ironia biła od niej jak luna od pożaru, a wtedy lepiej było nie wchodzić jej w drogę. Mało kto na jej lekcjach źle się zachowywał czy zajmował czymś innym, jeśli jakimś biedakowi wypsnęło się niepotrzebne słowo, zaraz mrożony był pełnym ironii spojrzeniem lub celną ripostą. Prawie wszyscy dawali się psychicznie poniewierać, jedynie Koreń dziwnie na nią działał (ale o tym będzie jeszcze później). Ja... cóż... nie przejmowałem się specjalnie matematyką, podobnie jak większością przedmiotów ścisłych. Z większości tych lekcji po prostu szedłem na wagary.

Wzdrygnęliśmy się wszyscy na myśl, że to właśnie pani Kolek wprowadzi nas w ósmą klasę. Zaprowadziła nas do swojej sali, dziesiątki, pomimo że naszą klasą była osiemnastka, usiadła na krześle. Z uśmiechem na ustach liczyła spóźnialskich. Na dodatek połowa klasy myślała, że to ona jest naszym nowym wychowawcą. Panował więc popłoch i coś w rodzaju dezorganizacji psychoruchowej (stwierdziłem nawet zupełnie normalne objawy paniki). Wszystko z powodu nauczycielki. Jak psy Pawłowa. Śmieszne.

Pani Kolek tymczasem zachowywała się spokojnie. Wszystko co robiła odznaczało się dziwną powolnością. Nie miała nawet ochoty na prezentację wachlarza swych ironicznych umiejętności. Uciszyła nas, podała plan lekcji na jutro, a potem rozgadała się o matematyce: jak to niby jest ciężko w ósmej klasie. Gadała o jakichś sinusach, Pitagorasach, czy czymś podobnym – równie w danej chwili dla mnie abstrakcyjnym – a przemowę zakończyła stwierdzeniem, że na pewno z jej pomocą większość z nas sobie poradzi. Jasne – pomyślałem – zawsze jakoś sobie radziłem, ale po

co na razie myśleć o tak mało przyjemnych rzeczach? Za oknem przecież wciąż trwało lato...

Wreszcie pozwolono nam odejść. Pożegnałem się ze wszystkimi do jutra. Było już dobrze po dziesiątej i właściwie nie wiedziałem, gdzie iść. Na pogodnym niebie zbierały się chmurki, ale nic nie wskazywało na deszcz. Wróciłem do domu, wziąłem rower i pojechałem nad Tameę.

Tamą nazywaliśmy dość specyficzny obszar nad rzeką Wisłoką przy ujęciu wody dla miasta. Znajduje się w tym miejscu garb, spiętrzenie dna, co tworzy bardzo ciekawe widowisko. Woda, z jednej strony spokojna, z ogromną prędkością spada na kamienie, po drugiej stronie garbu wzbijając w powietrze parę i drobne kropelki piany. Mija dużo czasu zanim ponownie wygładzi się i uspokoi...

Zaraz obok znajduje się połączony długim pomostem z wałem budynek wodociągów. Są też schodki prowadzące do samej wody i wodowskaz.

Lubiłem to miejsce. Każdego Pierwszego Dnia Wiosny topiliśmy tutaj Marzannę, tu spędziłem parę lat temu moje pierwsze w życiu węgry, tu najczęściej urywaliśmy się z lekcji z Koreniem, a ostatniej wiosny, w czerwcu, obżeraliśmy się tu truskawkami, zerwanymi za darmo na pobliskich działkach. Wtedy pierwszy raz w życiu mieliśmy dosyć truskawek. Po uszy.

Ale teraz jesień, do następnych truskawek jeszcze daleko...

Stałem na schodkach tuż przy wodzie, obserwując grę światła nad zielonkawym od wodorostów garbem. Woda niosła obumarłe gałęzie pokryte zeschniętymi liśćmi.

Ósmy rok w szkole i co z tego mam? – myślałem – Umiem może pisać, liczyć, przeczytałem parę książek, zebrałem kilka wspomnień. Wszystko tak małe i nieistotne... W gruncie rzeczy przecież człowiek jest nic nie znaczącą drobiną, jak liść wrzucony do wzburzonego nurtu rzeki. To, czy zostanę kiedyś kimś sławnym, czy umrę jako bezdomny na dworcu w Gnypowicach Wielkich, kompletnie jest bez znaczenia, nikogo właściwie nie zainteresuje. Ziemia jest cierpliwa i przyjmie każdego, „a kornik napisze twój

uładzony życiorys”... Cokolwiek bym nie zrobił, urodziłem się i umrę jako uczeń. A świadomość tego jest najbardziej bolesna.

II

Pierwszy dzień września jest jednym z najsmutniejszych dni w roku: nie dość, że przypada rocznica wybuchu drugiej wojny światowej, to jeszcze właśnie wtedy wysyła się uczniów do szkoły. Spośród obszernego zbioru rzeczy, których nienawidziłem, najbardziej wyróżniało się chyba wstawanie wcześniej rano, często nawet przed wschodem słońca. Wiele mogłem znieść, ale to było wyrzeczenie pozostające na granicy moich psychicznych możliwości. Co to kogo obchodzi, że młody człowiek potrzebuje mieć co najmniej osiem godzin snu? To wszystko nieistotne, trzeba wstać i tyle! Paranoja.

Początek nowego roku szkolnego jest zawsze odczuwany boleśnie i w dupie miałem tę pieprzoną medialną propagandę, kolorowe napisy „Witaj szkoło!”, kolejki za zeszytami w supermarketach i uśmiechnięte twarze dumnych pierwszaków, którym wmówiono, że czeka je wspaniała przygoda, nowi koledzy i wyzwanie sprawdzające siłę charakteru (mam nadzieję, że dziś już rodzice nie wtłaczają dzieciom takich bredni do głowy). Nerwy was czekają, nie przygoda. Stres i poniewieranie słabszych, zamiast nowych kolegów i jakiegoś kształtowania charakterów. Brednia, wszystko brednia!

Ziemia skąpana w słońcu, lato trwa dalej nie zauważając, że dla niektórych nadszedł czas żałoby. Gdyby świat to rozumiał, pewnie rok w rok przez pierwszą połowę września lałby deszcz. Bez przerwy. Ale nie leje. Trzeba więc coś zrobić.

Wrzesień mieliśmy piękny tego roku. Wciąż świeża zieleń trawy przyciągała wzrok wybijając z koncentracji nieskażone jeszcze zbyt dużą wiedzą umysły. Siedzieliśmy w ławkach, wystukując palcami na blatach rytm kawałków punkrockowych kapeli, jednym uchem słuchając cierpliwie, co ludzie zwani nauczycielami mają nam do powiedzenia.

Nie myślałem specjalnie nad zdobywaniem jakiegokolwiek wiedzy. Po prostu siedziałem wpatrzony w połacie trawy za oknem. Męczyły mnie te lekcje, pragnąłem uciec poza granicę tych dusznych murów jak najdalej.

Pragnąłem, ale na wagary było jeszcze trochę za wcześnie...

Najlepsze wagary są bowiem wtedy, gdy już wydaje się, że wszystko leci pełną parą. Nauczyciele zadają kilogramy prac domowych, gdzieś schną na półce świeże cosinusy czy inne jebusy. Wtedy takie wyłączenie psychiczne jest czymś naprawdę wspaniałym. We wrześniu wagarują jedynie leniwe ofermy. Z początkiem roku szkolnego każde, nawet najpiękniejsze wagary potraktowałbym jak normalne, należne z urzędu, przedłużenie wakacji. A we wagarach nie o to przecież chodzi...

Najgorsze to były wuefy. Napisałem w u e f y i podpiszę się pod tym milion razy obiema rękami. Czasami wołałem matematykę od wuefów! I nie dlatego, żebym był jakimś łamagą, byłem dość wysportowanym dzieciakiem, jednym z najszybszych w szkole biegaczy na czterysta metrów, lubiłem sport, ale uprawiany na polu i w chwili, gdy miałem na to ochotę. Tymczasem to przebijanie się w krótkie majtki i bezsensowne machanie nogami w dusznej i ciasnej sali gimnastycznej było po prostu ohydne!

Od dzieciństwa zmusza się dzieci do wykonywania jakichś chorych skłonów, pompek, przysiadów, czy skakania przez przedmiot nazywany niesłusznie kozłem. Może ktoś łaskawie wyjaśni, po jaką cholerę to wszystko? Czy nie lepiej działa na młodego człowieka porządny spacer, wycieczka rowerowa czy mecz piłki nożnej? Mają w nas wyrobić kondycję fizyczną i zachęcić do uprawiania sportu, ale, do diabła, przecież nie tędy droga! Prawie sto procent młodych ludzi, po wuefach w tzw. polskich realiach, ma do sportu uraz na całe życie i w efekcie wyrasta na szczęśliwych panów z brzuszkiem od piwa, albo, w przypadku dziewczyn, na grube baby, wżerające fast-foody, z fałdami tłuszczu, przelewającymi się we wszystkich kierunkach.

Tego dnia znów usiłowano zagonić nas na salę gimnastyczną. W piękną słoneczno-wrześniową pogodę Dziadowski – nasz niemordowany wuefista, słynący z tego, że innym rozkazuje ska-

kać, a sam idzie na kawę albo stoi obok, kazał nam przebierać się i zapieprzać na salę. Niedoczekanie! – pomyślałem i urwałem się z lekcji. Duszyk i Koreń zgodzili się z moim rozumowaniem i razem odpuściliśmy sobie przyjemność ćwiczeń. Jedna godzina to jeszcze nie wagary, ale zawsze coś.

Nie było sensu wyrywać gdziekolwiek na miasto, o Tamie już nie mówiąc, postanowiliśmy więc spędzić tę godzinę w szkole i zabawić się nieco denerwując prowadzących lekcje nauczycieli. Najpierw jednak zeszliśmy do szatni, a tam natknęliśmy się na woźnego.

Nie był to wiecznie nalany woźny szatniowy, tylko wspomniany już konserwator szkolny, niejaki pan Witek, w swoim nieodłącznym, granatowym podziurawionym i poplamionym fartuchu. Niedawno dopiero otrząsnął się po urazie, jakiego doznał przy kontakcie ze wzmacniaczem – a leczył się piwem przez dwa tygodnie nie wychodząc zupełnie z domu – teraz zaś stał przy ścianie w rozkroku, ręce rozłożone na boki, głowa zadarta do góry. Wpa-trywał się chyba w okno.

– Ty, co on robi? – spytałem.

– Gapi się w okno – odpowiedział Koreń.

– To widzę, ale...

– Modli się – rzekł Duszyk.

Zaśmialiśmy się. No, ale nic; stoimy i czekamy, co będzie dalej. Minęło chyba z dziesięć minut, a woźny nawet nie poruszył palcem!

– Może ten prąd go tak usztywnił... – zacząłem nieśmiało.

– Kij połknął, czy co? – spytał Koreń.

Znowu śmiech. Nagle woźny wysunął do przodu lewą nogę, lekko opuścił ręce, ale głowę wciąż trzymał zadartą, ze wzrokiem skierowanym w jakiś niewidoczny dla nas punkt na ścianie.

– O! Zmienił pozycję! – szepnąłem ucieszony.

Wiadomo, z czym im się to skojarzyło, bo od razu wybuchnęliśmy głośnym, nietajonym śmiechem. Woźny chyba zrozumiał wreszcie, że nabijamy się z niego, bo nagle jeszcze raz zmienił pozycję – odwrócił się i zaczął iść w naszą stronę z groźnym wyrazem twarzy. A nas zamurowało.

– On jedzie na nas! Spadamy! – krzyknąłem po chwili, gdy woźny był już całkiem blisko.

Daliśmy nogę.

Co to jest trzem nastolatkom uciec przed jednym, zresztą dość głupawym woźnym? Nie miał szans. Jedno jest pewne; gdy po chwili wróciliśmy z powrotem do szatni, on jak przedtem stał w tej samej pozycji, gapiąc się tępo na tę samą ścianę! Spojrzeliśmy na siebie.

– Czy on czasem nie zwariował? – spytałem i wyszedłem zza muru. Nim Koreń z Duszykiem zdążyli zaprotestować, już stałem przy woźnym, w takiej jak on postawie, z lekkim uśmiezkiem na twarzy. Zauważył mnie po chwili.

– Przepraszam pana, ale mnie i moich kolegów bardzo ciekawi, dlaczego tak pan tu stoi już dwadzieścia minut przy tej ścianie? – spytałem najpokorniej jak tylko umiałem.

Doprawdy nie wiem, co było w tym tak bardzo obraźliwego, ale aż się przeraziłem reakcji chemicznej, jaką wywołałem na twarzy woźnego.

Twarz zrobiła się najpierw różowa, potem czerwona, a w końcu nawet purpurowa. Zaczął się też poruszać! Nagle wykonał gwałtowny skręt w moim kierunku, jakby chciał mnie szybko schwycić w swe żelazne ręce. Niestety, nie miał do czynienia z żółwiem.

Widząc co się święci, przytomnie odskoczyłem do tyłu, a woźny, nieszczęśliwie nieco, poślizgnął się na świeżo zmytej posadzce i wyłożył jak długi! Potężny jęk rozdarł powietrze szatni.

Nie czekałem aż się podniesie – puściłem się biegiem wzdłuż korytarza. Po chwili woźny jak lokomotywa leciał za mną!

Moi koledzy zbledli, gdy mijałem ich w locie, ale po chwili dołączyli się do ucieczki. W końcu raźniej się ucieka w grupie niż w pojedynkę. Zwiewaliśmy przez wszystkie korytarze, a woźny leciał za nami! Tym razem za nic nie chciał dać za wygraną. Po chwili goniła nas również cała grupa zaaferowanych sprzątaczek. Normalnie czułem się jak Benny Hill w ostatniej scenie swego nieśmiertelnego programu.

Oczywiście uciekliśmy, ale narobiło się przy tym sporo niezłego hałasu na całą szkołę, bo zwiewając nie mogliśmy się oprzeć,

by nie podgrzewać na bieżąco wściekłości woźnego niewyszukanymi epitetami. W niektórych klasach pootwierano nawet drzwi z ciekawości. Niezłą mieliśmy zabawę.

Resztę lekcji spędziliśmy w nauczaniu początkowym na drugim piętrze. Tam hałas nie dotarł i byliśmy bezpieczni.

Dwadzieścia minut później staliśmy już przed obliczem Darka, wyrwani przez jakieś dziecko z matematyki. Darek „wyciągał konsekwencje”: obniżone zachowanie i tym podobne, „niezwykle przejmujące” sprawy. Przyjęliśmy wszystko ze zwieszonymi głowami. Wreszcie wypuścił nas i mogliśmy wracać na matematykę. Ale gdzieżby nam w głowie było wracać na połowę matematyki? Mieliśmy tak porządną wymówkę, że żal byłoby z niej nie skorzystać. W końcu wezwał nas wychowawca! Do sali wkroczyliśmy na minutę przed dzwonkiem.

– Co was tak długo trzymał? – spytała pani Kolek.

– A tak żeśmy sobie pogadali jak uczniowie z kochanym wychowawcą – odpowiedziałem za kolegów.

– Ciekawe. Już ja się go spytam, jak długo was trzymał, nie chce mi się wierzyć, że ponad pół godziny – popatrzyła na nas nieufnie.

– Jasne – przytaknąłem.

– Prosimy bardzo – rzekł Koreń.

– Spoko – dorzucił Duszyk.

Nim zdążyliśmy usiąść w ławkach – zadzwonił dzwonek. Wraz z resztą klasy rzuciliśmy się do wyjścia.

– Zaraz! – powstrzymała uczniów matematyczka – Dzwonek jest dla nauczycieli, nie wiecie tego? Siadać spokojnie, zadanie domowe. A o was sobie porozmawiam z waszym wychowawcą – spojrzała na mnie mrużąc oczy.

I znowu zabiera nam przerwę – pomyślałem – Nie ma jak szkoła.

Skończył się kolejny dzień września.

Następny dzień. Godzina wychowawcza.

– O której ja was wczoraj wypuściłem? – spytał łagodnie Darek. Zawsze zaczynał najpierw w ten sposób. Liczył, że sami przyznamy się do przestępstwa.

– A bo my wiemy? Jakoś nie patrzyliśmy na zegarek – rzekł Koreń.

– Za to ja wiem! Wypuściłem was na dwadzieścia pięć minut przed końcem lekcji, a wy przyszliście do klasy równo z dzwonkiem!

– O przepraszam! – przerwałem – Do dzwonka była minuta!

– Nie ważne, panie Gumiecki! – rzekł Darek.

– Droga przez korytarz trochę zajmuje. Pan wie... – wtrącił Duszyk.

– Widzę, że znów zaczynacie swoje popisy! – łagodność się skończyła – Jesteście już w ósmej klasie. Tak nie może być! Jesteście zdemoralizowani! Nie będę tego tolerował! Zwaliście wczoraj praktycznie z dwóch lekcji!

– Phi! – zaśmiał się Duszyk.

– Spokój! Co to ma być?! Wy tu sobie kpiny urządzać! Trzeba to zdusić w zarodku! – krzyknął wychowawca i walnął drewnianym wskaźnikiem w stół (faza wzburzenia numer trzy) – Do piątku rodziców widzę w szkole, a jak nie... A jak nie, to zostaniecie zawieszani w prawach ucznia!

Element zaskoczenia. To była nowość! Jeszcze nigdy Darek nie straszył nas zawieszaniem w tajemniczych prawach ucznia. Trzeba będzie zorientować się, co to za prawa – pomyślałem.

– Moja mama nie może przyjść, bo ma dużo pracy i nigdy nie może się wyrwać... – zacząłem tradycyjną gadkę.

– Mnie to nie obchodzi! Niech się zwolni z pracy i ma przyjść!

Podobnie było z Duszykiem i Koreniem. Jak zwykle w takich przypadkach nasi rodzice byli bardzo oddani swojej pracy i za nic nie mogli jej opuścić ani na chwilę. Oj Darek. Czy te wspólnie spędzone cztery lata niczego cię nie nauczyły?

Rodzice oczywiście o niczym się nie dowiedzieli. Ich słodka nieświadomość była dla nas najlepszym gwarantem bezpieczeństwa.

A właśnie w piątek na korytarzu rozgrywały się isticie dantejskie sceny. Chłopaki z ósmej „b” rzucali się kondomami napełnionymi wodą z toalety. Ta wielce żalozna i irracjonalna rozrywka trwała od dobrych kilku minut i cały korytarz powoli zamieniał się w małe jezioro.

Razem z moją klasą siedzieliśmy spokojnie pod ścianą. Ciężko było takim kondomem nie oberwać, więc, chcąc nie chcąc, czasem musieliśmy się bronić. Nagle na korytarz wszedł Darek. Omal nie dostałby od Korenia kondomem po głowie, ale chłopaki z „b” szybko załapali co się kroi i dziwna bitwa przeniosła się od razu na pierwsze piętro. Darek tymczasem, zobaczywszy naszą trójkę siedzącą potulnie pod salą, przypomniał sobie o swoim ultimatum, podszedł do nas z dziwnym grymasem na twarzy – miała to być poważna, urzędowa mina – i rzekł:

– Nadal czekam na waszych rodziców!

Czekaj sobie, czekaj – pomyślałem, a głośno powiedziałem:

– Mówiłem panu, że moi rodzice są zajęci w pracy i nie mogą przyjść.

– Moja mama też, bo ma ciągle dyżury w przychodni – dodał Duszyk.

– Moi rodzice też. Rozumie pan. Oni pracują, a nie się objają – rzekł Koreń, oglądając sobie paznokcie.

– Mnie to nie obchodzi! Rodzice mają przyjść albo sam się do was wybiorę!

– Eeetam, pan zawsze tylko obiecuje. Może pan przyjść, zawsze jest pan mile widziany u mnie w domu – powiedziałem.

– Tylko proszę o wcześniejszy telefon – dodał Duszyk – Przygotuję kawę i ciastka.

Darek uśmiechnął się pod nosem łagodnie.

– Wolę herbatę – powiedział cicho, niemal niedosłyszalnie, po czym grożąc nam palcem, zawrócił do pokoju nauczycielskiego. A my wiedzieliśmy, że jest już po sprawie.

I tak to mniej więcej wyglądało.

III

*W słoneczny dzień październikowy
Po parku razem szliśmy.
Miłością rozpalone głowy
Rozmową schładzaliśmy.*

*Wzdłuż drogi z klonów szczerozłotych
Pod nogi liście nam spływały.
Widziałem jak w twych oczach młodych
Kryształy łez radości drżały.*

*I nie myślałem moja miła,
Że szczęście jest jak dziki ptak,
Którego w klatce nie zatrzymam.*

*Skoro nieważna jest ta chwila,
Odejdź bez żalu, cicho tak...
Smak szczęścia szybko zapominam.*

– Kto mi powie, jakie obrazy pojawiają się w tym sonecie?

Pytanie pani Kuner przerwało ciszę zawistą nad uspioną klasą, po recytacji wiersza jakiegoś młodego poety. Słońce świeciło boleśnie w szybę, odbijając w niej twarze dwudziestu sześciu zmęczonych beczynnym siedzeniem osób. Właśnie zastanawiałem się nad wpływem światła słonecznego na psychikę ucznia, przeklinając w myślach system edukacji, funkcjonujący sprawnie niezależnie od jakości pogody, gdy usłyszałem:

– To może... Piotrek!

Jeszcze przez chwilę miałem nadzieję, że to nie do mnie skierowane było pytanie, w klasie bowiem oprócz mnie był jeszcze jeden chłopak noszący to szlachetne imię. Niestety.

– Durex, do ciebie – trącił mnie łokciem siedzący ze mną w ławce Duszyk.

– Słucham? – odpowiedziałem raczej zaspanym głosem.

– Jakie obrazy pojawiają się w tym sonecie?

Nienawidziłem takich pytań. Wychodziłem z założenia, że poezję każdy powinien interpretować na swój własny, zgodny z indywidualnie wyklarowanym systemem wartości sposób, przez pryzmat zbioru osobistych doświadczeń i jedynym możliwym pytaniem dotyczącym wiersza może być tylko, czy tekst do ciebie przemawia, czy nie. Jeśli znajdowałem w wierszu jakieś analogie dotyczące mojego życia, tekst był zazwyczaj dobry i mi odpowiadał, jeśli nie – odrzucałem go. Po prostu. Po co doszukiwać się jakichś obrazów? Poeta nie malarz, nie zastanawiał się z pewnością nad żadnymi obrazami, po prostu pisał sobie, bo chciał o czymś opowiedzieć, lub, na przykład, mogło mu się fajnie rymować. Do tego nie znałem wcześniej tego wiersza i musiałem najpierw sporo pomyśleć, zanim coś rozsądnego odpowiem. Pani Kuner często wybierała najnowsze wiersze jakichś młodych pseudopoetów. A ty się człowieku zastanawiaj!

– Więc... wydaje mi się, że... – zacząłem nieśmiało po dłuższej chwili.

– Nie zaczyna się zdania od „więc”.

– Dobrze. Wydaje mi się, że poeta był kiedyś... – w głowie szybko układałem sobie treść przemowy.

– Nie poeta tylko podmiot liryczny! Ile razy mam wam powtarzać, że nie należy utożsamiać osoby mówiącej w wierszu z poetą?!

Jak tu, kurwa, zacząć?... – myślałem.

– Dobrze, dobrze... Wydaje mi się więc, że poet... podmiot liryczny był mocno za... zakochany w pewnej kobiecie, ale to zła kobieta była...

– Nie cytuj mi tu Bogusława Lindy, tylko zinterpretuj na swój sposób ten sonet. Powiedz może najpierw, kim jest podmiot liryczny?

– Podmiot liryczny jest... poetą?

– Dobrze! W tym przypadku zgodzę się z tobą. To osobisty sonet młodego poety pisany pod wpływem emocji towarzyszących rozstaniu. A teraz spróbuj zinterpretować go na swój sposób i ust-

sunkować się jakoś do niego. Jakie obrazy pojawiają się w tym sonecie?

– Zrobiłbym to już dawno, ale pani mi ciągle przerywała! – z mroków mego umysłu powoli wyłaniały się zarysy przyszłej wypowiedzi.

– Dobra, dobra, ja wiem, że i tak nic nie umiesz, bo pewnie planujesz kolejną ucieczkę z domu, co? – i puściła mi belfrowskie oczko.

Słodki stan upojenia słońcem odbitym w szybie minął w jednej chwili. Moja sławna ucieczka z domu sprzed kilku miesięcy swoją drogą, ale nikt nie będzie mi wmawiał, że nie potrafię zinterpretować jakiegoś banalnego wiersza!

– Niech pani nie będzie taka pewna, że nic nie umiem, bo interpretację wierszy to ja mam w małym palcu, w dodatku u nogi – zaatakowałem – A moje ucieczki nie mają tu większego znaczenia. Mam zinterpretować na swój sposób, tak? – treść wypowiedzi była niemal gotowa.

– Proszę bardzo! – pani Kuner wyglądała na lekko zadziwioną moją przemową.

– Otóż... – zacząłem po efektownym chrząknięciu – wydaje mi się, że podmiot liryczny był kiedyś mocno zakochany w pewnej kobiecie... Przeżywał z nią, jak wówczas sądził, najpiękniejsze chwile swojego życia, razem ze swą miłością odbywał romantyczne spacerunki po parku, pośród opadających, złotych liści i wspaniałej pogody... I... i to właściwie główne obrazy tego wiersza.

– Coś jeszcze?

– Hmm... Porusza niezwykła plastyczność opisu, w powietrzu unosi się klimat złotej polskiej jesieni, wzdłuż alejki parkowej rosnące klony jakby oddają cześć ich uczuciu. Podmiot liryczny jest szczery, widać, że bardzo zaangażował się w ten związek, przypuszczam, że może to być jego pierwsza i największa miłość, miłość która zawsze jest największa, a zarazem przecież najgłupsza i najbardziej naiwna... – moja nadmuchana erudycja zawsze robiła pozytywne wrażenie – W każdym bądź razie, podmiot liryczny przeżywa miłość do ukochanej dziewczyny, no i jest przekonany o nieprzemijalności uczucia, pewien, że piękno jest war-

tością trwałą i niezmienną, cieszy się kryształami łez szczęścia odbitymi w oczach swojej partnerki. Niestety, czekało go straszne rozczarowanie...

– Podziwiam plastyczność twojego opisu, ale czy nie za bardzo popuszczasz tutaj wodze fantazji? – przerwała mi nasza polonistka.

– Nie sędzę. Zresztą miałem mówić na swój sposób. Mogę?

– Ależ proszę!

– Nasz podmiot liryczny pewnego bliżej nieokreślonego dnia spotkała rzecz straszna, która zachwiała całym jego systemem wartości i obaliła jego światopogląd. Otóż, owa tak ukochana przez niego osoba zostawiła go, odeszła mówiąc, że, hmm... – starałem się w miarę szybko dobierać odpowiednie słowa – nieważne są wszystkie dobre i piękne chwile, które spędzili razem. Jego związek rozpadł się w bardzo bolesny sposób. Podmiot liryczny pozostał na lodzie, załamany i kompletnie rozbity, nie myślał nigdy wcześniej, że... że szczęście jest jak dziki ptak, którego nie da się zatrzymać w klatce. Myślał, że szczęście zawsze będzie przy nim, przekonał się jednak, że szczęście jest bardzo ulotne, jest jak piórko na dłoni przy wietrznej pogodzie, lub właśnie ten ptak, który zawsze będzie dążył do wolności.

– Pięknie! A czy nasuwa ci się może jakaś refleksja? – przerwała pani Kuner.

– Nasuwa się refleksja, że... może każdy z nas ma wyznaczony limit szczęścia, a jakiś bóg, opatrność czuwa nad nami, żebyśmy tego limitu nie przekroczyli, i gdy już jest nam tak dobrze, że wydaje się, że mamy wszystko, powoli to wszystko tracimy? Podmiot liryczny zgrywa wprawdzie jeszcze twardziela, kierując do owej wrednej egoistki, którą kiedyś kochał, prośbę, że, hmm... – chwila na spojrzenie w tekst – „skoro nieważna jest ta chwila” – nieważna oczywiście dla niej, zdanie to jest przesyczone bolesną przecież ironią – by odeszła bez żalu, cicho, „ot tak niby nic, jakby szła kupić chleb do sklepiku” – zacytowałem Stana Borysa – jednak w gruncie rzeczy przeżywa wielki dramat i jest mocno rozdarty psychicznie...

– Pięknie! – przerwała polonistka – Jestem pod wrażeniem twojego krasomówstwa, masz gadane. Rzadko spotyka się taki zasób słów w tym wieku, gratuluje. Dużo czytasz?

– Zdarza się czasem...

– No, to widać. Mam nadzieję, że w szkole średniej nie utemperują ci języka. Masz też dość dobry gust muzyczny, z filmami nieco gorzej. A czy widziałbyś może jakiś morał lub przestrozę w tym sonecie?

– Oczywiście. Otóż moim zdaniem ten wiersz jest...

– Nie wiersz, tylko sonet.

– A sonet to nie wiersz?!

– Nie próbuj być mądrzejszy ode mnie! Sonet to też wiersz, ale specyficzny i jeśli mamy do czynienia z sonetem, należy to zawsze zaakcentować. A tak na marginesie, znasz ty przynajmniej budowę sonetu?

– Włoskiego czy francuskiego?

– Hmm... Zdziwiasz mnie! Jaki więc widzisz morał w tym wierszu, sonecie? Jakie wywołuje w tobie refleksje?

– Moim zdaniem jest to kolejny przykład przemawiający przeciw jakimkolwiek związkom i miłości. Do wszystkiego w życiu, a tym bardziej do uczuć, należy podchodzić z dużym dystansem, nie można traktować ich zbyt serio, być romantykiem, tak jak podmiot liryczny – nienawidziłem tego określenia – Romantyk w dzisiejszych czasach nie ma prawa bytu. Ktoś, kto zakochuje się na zabój i próbuje być dla drugiej osoby całym światem, kocha miłością romantyczną, przynosi czerwone róże, czekoladki i inne infantylne pierdółki, zawsze zostanie porzucony! Dla osoby, którą się kocha nie można być zbyt dobrym, bo widząc całe twoje zaangażowanie, poczuje się ona tak pewnie, że z miejsca przestanie cię szanować! Jeżeli już decydujemy się na bycie z kimś, trza wiedzieć...

– Trzeba – przerwała polonistka.

– Trzeba wiedzieć – ciągnąłem – że miłość nie polega na wzajemnych spacerach po parku czy lesie, kwiatkach, słodyczach, czułych słówkach mówionych na każdym kroku, tylko na czymś

ważniejszym, byciu ze sobą na dobre i na złe i wzajemnej akceptacji swoich wad...

– Zdumiewasz mnie! Skąd taka mądrość w tym wieku? To doświadczenie, czy wszystko wyczytałeś w wierszu? – zaśmiała się szczerym, belfrowskim śmiechem.

– A nawet więcej. W dzisiejszych czasach nie ma bezinteresownej miłości. Ktoś, kto kocha, automatycznie jest uważany za frajera, naiwnego głupka...

– No, no! Tylko bez głupków! – przerwała.

– Dobra, nie głupka to offermę, który jest słaby i którego trzeba zabić – pani Kuner popatrzyła na mnie dziwnym, jakby przerażonym wzrokiem – U dziewczyn największe powodzenie mają przystojni i silni, ubrani w skórę lub markowe dresy, ogoleni bardzo krótko faceci, jeżdżący drogimi samochodami, najlepiej BMW w kolorze czarnym – przy okazji dopiekłem kilku panienkom z klasy – u chłopaków zaś wszystko sprowadza się do łatwego i szybkiego seksu, polegającego na tym, żeby jak najwięcej panienek zaliczyć. Miłość, jako uczucie, nie istnieje na świecie, to tylko marzenie ściętej głowy! Miłość to zwykły popęd seksualny w coraz bardziej prymitywnej postaci. Słowo „kocham” już się nie liczy, zostało wyświechtane, nie ma dziś najmniejszego znaczenia, każdy dąży tylko do egoistycznego zaspokojenia popędu seksualnego, sprowadziliśmy wszystko do jednego...

– Dosyć! – przerwała mi oburzona pani Kuner – Co ty mówisz, dziecko?! Przecież ty masz czternaście lat!

– Piętnaście – przerwałem.

– Nieważne! Skąd u ciebie tak pesymistyczne spojrzenie na miłość?! Jak w tym wieku możesz mówić, że nie ma miłości na świecie?! Że wszystko to popęd! Jezu! Czy reszta klasy zgadza się z tobą?

Reszta klasy była zbyt leniwa, by się nie zgadzać. Szczerze mówiąc, nawet chciałem, żeby jakieś dziewczątka zaprotestowało. Wpadłem w słowotok i mógłbym długo i obficie przedstawiać swoje racje. Trochę się zagalopowałem, ale całościowo wyszło nieźle – oceniłem.

– Skąd się to u ciebie wzięło? Czy spotkałeś już swoją pierwszą miłość? – kontynuowała polonistka – Porzucił cię ktoś, zawiódł? Przecież miłość to najpiękniejsze i najbardziej wzniosłe uczucie, to jedyne, co odróżnia nas od zwierząt i jedyne, co jest jeszcze w stanie nie dopuścić do całkowitej degradacji społeczeństwa! Jestem przerażona, pierwszy raz widzę u kogoś tak drastyczny stosunek do miłości! Powiedz, Piotrek, tak szczerze, masz dziewczynę?

Poprzez zgrają nastoletnich szyderców nazywanych moją klasą przeszedł szmer kpiącego śmiechu. Durex i dziewczyna? Sam bym się zdziwił. Ale coś trzeba było odpowiedzieć...

– Więc jak? Masz dziewczynę? – nalegała pani Kuner.

– Nie zaczyna się zdania od „więc” – zauważyłem trzeźwo.

– Dobra, dobra. Masz?

– Jak nie odpowiem to dostanę pałę?

– Nie, no oczywiście, że nie. To pytanie osobiste, tak z ciekawości.

– Jeśli już wywlekamy moje życie osobiste na publiczną wokandę, to odpowiem jasno i wyraźnie: Nie mam!

– Ha! A miałaś?

– Może tak, a może nie – przypomniał mi się pewien incydent sprzed dwóch lat z sanatorium, ale przecież byłem jeszcze szczęśliwym – Teraz nie mam i raczej nie chcę mieć.

– A czemu?

– Proszę pani, dziewczyna nie jest mi do niczego potrzebna! Choćby nawet z powodu kasy. Nie stać mnie na głupi wyjazd na wakacje i muszę po kanałach chodzić, a miałbym wydawać forse na jakieś kwiatki, czekoladki, których nie lubię, czy kino, tylko po to, by jakąś panienkę potrzymać łaskawie za rękę lub ukradkiem pocałować, czy włożyć rękę pod spódnicę? Nie potrzebuje.

Zapanowała chwila mrożącej krew w żyłach ciszy, którą szybko jednak przerwał bojowy okrzyk pani Kuner:

– Zgroza! Czy reszta klasy myśli podobnie?

Reszta klasy była zbyt leniwa, żeby myśleć inaczej, choć większość osób przysłuchiwała się tej rozmowie zaciekawiona. Kto jednak śmiały się teraz odezwać, gdy lekcja toczyła się własnym

torem, a do dzwonka pozostało tylko kilka minut. Pani Kuner, według terminologii Edmunda Niziurskiego, płynęła:

– Posłuchajcie więc doświadczonej polonistki: Ja widzę, co się dzieje w dzisiejszych czasach. Ludzie potrafią być źli i wyzbyci z uczuć. Brat zabija brata, przyjaciel zdradza przyjaciela, żona męża, kapitalizm i komercja rządzą, korupcja opanowała państwo, nie będziecie mieli łatwego życia, ale nie musicie przecież zgadzać się na to wszystko i akceptować biernie całego zła tego świata! Jesteście młodzi i wszystko przed wami! Postarajcie się kiedyś coś zmienić! Przecież jeśli się poddacie, to będzie coraz gorzej! Nasz papież mówi, że jesteście przyszłością tego świata, Zamoyski pisał, że „takie będą rzeczpospolite, jakie młodzieży chowanie”, nie można być biernym, bo niby jest źle, to wcale nie musi tak być! Jeśli chodzi o miłość, to nie sprowadzajcie jej do zwykłej formy seksu. Seks jest dla ludzi, wy jednak jesteście jeszcze na seks za młodzi! Poczekajcie cierpliwie. Miłość istnieje, nie słuchajcie Piotrka Gumieckiego! Miłość czysta i prawdziwa istnieje na tym świecie i jeśli jeszcze jej nie spotkaliście – a macie przecież ciągle na to czas – to kiedyś na pewno spotkacie! Musicie spotkać, to przyjdzie do was prędzej czy później, spadnie jak grom z jasnego nieba i nawet się nie spostrzeżecie, jak będziecie zakochani. I tego wam życzę; kochajcie i bądźcie kochani! Na wszystko, powtarzam, macie jeszcze czas, jesteście młodzi, nie musicie robić na razie nic, poza nauką. Bo miłości nie należy szukać... – rozmarzyła się, łapiąc przy okazji długo wyczekiwany oddech – Ktoś może pragnąć burzy i w tym celu przemierza znany z gwałtowności i wielkich sztormów ocean, a tymczasem akurat powierzchnia oceanu będzie spokojna, jak kałuża za domem. Ktoś może przejść wielką puszczykę, pełną dzikich zwierząt, szukając jakiegoś z nich, i nie spotkać żadnego! Bo miłości nie należy szukać. Ona sama znajdzie was i da wam swój znak. Może to być wszystko; gwałtowne uderzenie, niczym grom lub autobus jadący na czerwonym świetle, może to być uczucie rozwijające się stopniowo, powoli... Waszym zadaniem będzie jedynie odpowiedzieć na ten znak, rozróżnić go spośród tysięcy innych znaków. Popatrzcie na literaturę; ile w niej namieszała miłość! Spotkacie się w szkole średniej z wieloma przykładami;

Tristan i Izolda, Mickiewicz i Maryla, Romeo i Julia, Laura i Filon... Od wieków losami ludzkimi sterują uczucia, a zwłaszcza to najpiękniejsze ze wszystkich – miłość! I życzę wam, byście kiedyś spotkali na swojej drodze prawdziwą, wielką miłość. Wszystkim wam tego życzę, a zwłaszcza tobie, Piotrze...

Ostatnie słowa, pełnej wykrzykników przemowy naszej wspa-
niałej polonistki zabrzmiały dość złowieszczo. A może sprawił to
odgłos dzwonka rozbrzmiewającego w tle? Zanim wybiegliśmy
jak zwykle na przerwę zdążyłem jeszcze pomyśleć, że to wszystko
to tylko kolejne piękne brednie, frazesy komunały. Każdy potrafi
ładnie mówić o miłości, ile *Harlequinów* i innych śmieci powstaje,
ale rzeczywistość jest przecież inna... Pani Kuner mogłaby być po-
ważniejsza. Idealistka! To możliwe w jej wieku? A przecież nigdy
wcześniej się nie myliła...

Podświadomie czułem, jakby ta lekcja otwierała jakieś dziwne
okienko, z którego powiało powietrze wprawdzie świeże i czyste,
lecz nowe, niepokojące, nieznanne.

IV

Głód, przerażający i zionący pustką głód, dręczący bardziej
niż niedokręcony kran o drugiej w nocy. Coraz bardziej zaczynam
oswajać się z tym uczuciem, ciągle nienasycenie dochodzi nieraz
do granic absurdu. To nie jest już tylko pragnienie zwykłych kana-
pek z tuńczykiem, czekających na przygotowanie, to coś znacznie
bardziej wielkiego i niemoralnego. Głód urasta do rangi symbolu
zniewolenia psychicznego, uzależnienia, nad którym nie potrafię
właściwie zapanować. Wiem, że trzeba coś zjeść, by powrócić do
normalnego stanu świadomości, tymczasem złe miejsce i okolicz-
ności zabraniają mi każdego ruchu, uderzają linijką w dłoń wy-
ciągniętą po zaspokojenie, gdy lubieżnym wzrokiem obserwuję
świat i rzeczywistość. Pożeram kolejne kobiety, mijane na ulicy,
chwytam gorący tyłek pierwszej z brzegu blondynki i zaczynam
ssać, powoli, smak rozgrzanej skóry dociera poprzez kolejne kubki
smakowe do wnętrza imperium mej czaszki, rozsadza ją namiętą

błogością upojenia, poraża zmysły natężone w oczekiwaniu. Zlizuję każdy fragment skóry, zatracam usta w martwym oddaniu, aż po pełnię szczęścia, wysysam każdą kropelkę potu z wyprężonych sutków, po czym znów odchodzę niezaspokojony, głodny i zły! Popęd dochodzi do głosu, staje się coraz bardziej władczy, wyraźny... I niech zabronią mi człowieczeństwa, nazwą istotą zwyrodniałą, ludzką kanalią, gwałcicielem społecznej moralności. Ciśnienie krwi rozsadza mi żyły, dudni pod sklepieniem czaszki niczym rozpędzony odrzutowiec. Czym jest społeczeństwo, jeśli nie trawioną zwierzęcym popędem zgrają baranów bez serc, bez uczuć, nawet bez zrozumienia, że nie wszyscy muszą być szarzy i jednakowi...

Bo jak, na przykład, można trzymać biednego ucznia ósmej klasy, przez siedem godzin w szkole, bez drugiego śniadania!?

To był zły dzień. Lało od samego rana, a ja jak zwykle w tak „piękną” pogodę zaspąłem do szkoły. Z tego wszystkiego nie przygotowałem sobie drugiego śniadania i teraz siedziałem na siódmej lekcji – historii u Darka, w stanie skrajnego wyczerpania. Niektórzy mają inne życie, ja nie mam nawet drobnych na co dzień, do zakupu głupiej oranżady w sklepiku. Woda z kranu i kanapki przyniesione z domu, to wszystko, czym żyłem. A teraz nawet tego zabrakło. Zabiłbym, żeby coś zjeść! Paranoja, myśli dopadły mnie jak natrętne stado komarów, nie pozwalając się za nic odpędzić.

Koniec bycia grzecznym uczniem; tego deszczowego dnia, dwudziestego któregoś tam września, miarka się przebrała! Musiałem wreszcie coś zrobić. I nawet wiedziałem co. Pierwszego dnia, gdy tylko ponownie zaświeci słońce – idę na wagary. Jak kiedyś. Normalne wagary, ucieczka, za którą od czerwca tęskniłem.

Chyba miałem coś z głową przez te wyrypy. Z jednej strony byłem gotowy dać w pysk każdemu, za samo nazwanie mnie tchórzem, z drugiej zaś uciekanie było dla mnie prawdziwym obyczajem. Bo ja nie uciekałem z lekcji z tchórzostwa przed czymkolwiek... Prawdopodobnie byłem uzależniony od wagarów. Ponoć zdarza się coś takiego...

Nie były to zwykle wagary. Przyjęło się, że młodzież ucieka z lekcji z konkretnych powodów np. niepowodzenia z jakiegoś

przedmiotu, strachu przed którymś z nauczycieli, nieumiejętności nawiązania więzi z rówieśnikami i tym podobne bzdury. Ja jakoś nie bałem się żadnego przedmiotu ani nauczyciela, z kolegami zaś dogadywałem się wówczas jeszcze bardzo dobrze, a byłem osobą mającą chyba najwięcej nieobecności w dzienniku!

Cały problem z dorosłymi: socjologami, psychologami, pedagogami polega na kompletnym niezrozumieniu psychiki młodzieży. Znajdzie się jakiś superważny profesor i śmie twierdzić, że o młodzieży wie wszystko. Tymczasem jest to wirtualna bzdura! Im więcej tytułów przed nazwiskiem, tym mniejsza wiedza o młodzieży! Można zrobić doktoraty, habilitacje i profesury, ale właśnie ów nadmiar wykształcenia i wieloletnia edukacja sprawiają, że coraz bardziej oddalamy się od wieku, w którym sami byliśmy młodzi i myśleliśmy zupełnie inaczej. Na wiele naszych działań z młodości po prostu nigdy nie znajdziemy wyjaśnienia, choć kiedyś wydawały się one przecież jasne i proste. Są rzeczy na niebie i ziemi, o których nie śniło się waszym filozofom. Wyjaśnienie całej mojej ideologii opartej o chodzenie na wagary mogłoby być dobrym tematem na niejedną pracę magisterską z psychologii, nie sądzę jednak, by ktokolwiek wziął się za tak dziwny i niełatwy temat.

A przecież dla nas – było to banalnie proste.

Razem z Koreniem wychodziliśmy z założenia, że wszyscy jesteśmy wolnymi ludźmi. Nieważne czy ma się piętnaście czy dwadzieścia pięć lat: każdy człowiek, żyje na tym świecie na równych prawach. Miejscami brzmi to jak absurd – już widzę tych dziesięciolatków kandydujących do sejmu, czy jeżdżących własnymi samochodami – jednak nie zagłębialiśmy się w to aż tak daleko. Chodziło w pewnym sensie o to, że większość osób, za to że spędzają codziennie po kilka godzin w zamknięciu, zazwyczaj dostaje pieniądze i wszystko jest w porządku, są nawet zadowoleni. Jeśli trzyma się w zamknięciu więźniów, wszystko jest jasne – zasłużyli na odizolowanie swym postępowaniem. Tymczasem uczniów zamyka się codziennie jak w klatce „za niewinność” i nie dość, że poddaje się ich praniu mózgu, nieraz przy pomocy niezbyt wyrafinowanych środków dydaktycznych, to jeszcze całkiem bezpłat-

nie i z błogosławieństwem naszych prawnych opiekunów (czyt. rodziców)!

Jeśli potraktować wszystkich obywateli tak samo – a przecież na tym polega demokracja – cały system edukacji okaże się niezgodny z podstawowymi założeniami konstytucji! Konstytucja mówi wyraźnie, że nie wolno żadnego obywatela więzić bez jego zgody i bez podania przyczyny, ani poddawać naciskom fizycznym i psychicznym. O co więc chodzi? Czy uczniowie z własnej, nieprzymuszonej woli chodzą codziennie do szkoły z uśmiechem na twarzy? Oczywiście, że nie! Chodzą, bo muszą, wiedzą, że tak jest, tak zawsze było i tak być musi. Jak potulne owieczki idą co rano, czy deszcz, czy śnieg, czy grad, nieraz zmuszani do wielokilometrowego marszu przez rodziców, którzy oczywiście „chcą ich dobra”! Idą, bo tak każe system. Czy wolny umysł młodego człowieka powinien ot tak się na to godzić? Również nie!

Pewnego pięknego dnia postanowiliśmy z Koreniem, że owszem, jeśli nie będzie nic lepszego do roboty, pójdziemy do szkoły, by spotkać się z kolegami, posłuchać jakiejś interesującej nas lekcji – cokolwiek by nie mówić, w szkole można było się czasami nawet czegoś nauczyć – będziemy chodzić, by powygłupiać się trochę i mieć miłe wspomnienia, ale ilekroć tylko szkoła zacznie być mecząca, lub po prostu nie zechcemy jej dla odmiany któregoś dnia zaszczyścić swoją obecnością, to po prostu tego nie zrobimy. Wolna wola – oto co charakteryzuje prawdziwego Człowieka.

Cały urok naszych wagarów tkwił głównie w ich niepowtarzalności. Nigdy nie siedzieliśmy beczynn timer w domu, zawsze przeżywaliśmy jakieś mniej lub bardziej ciekawe przygody. Zwiewanie z lekcji i zaszywanie się w cichy kąt, by zacząć się własnym stresem, co będzie jutro, było nie dla nas. Zwykle razem z Koreniem i Duszykiem zwiedzaliśmy najróżniejsze miejsca, a najczęściej po prostu paliliśmy ognisko gdzieś nad rzeką.

Ktoś kiedyś napisał na filarze starej kładki nad Wisłoką sławne powiedzenie: „Szkoła jest jak kibel – chodzisz, bo musisz”, na pewnych wagarach razem z Koreniem dokonałem małego dopisku:

„Kurwa, my wcale nie musimy!”. I to była cała filozofia. Niech w szkole siedzą inni, niech chodzą do niej codziennie, męczą się z dwudziestokilogramowymi plecakami i produkują skoliozę, niech sobie uważają szkołę za zło konieczne; my, jako ludzie wolni, świadomi swej odrębności i pełni szacunku do samych siebie, mieliśmy to wszystko w miejscu, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę. W tym właśnie czuliśmy się wyjątkowi; chodziliśmy do szkoły wtedy, gdy mieliśmy na to ochotę. Olewamy system, który nas żywi, tak?! Czas przejść od słów do czynów.

V

Błękitne niebo nad miastem dzień wcześniej obmyło się w jesiennym deszczu. Teraz było czyste i nie groziło niespodziewaną zmianą takiego stanu rzeczy. Szliśmy wzdłuż torów wąską ścieżką, co chwilę ginącą wśród traw. Dookoła krajobraz miejscami jak z *Madmaxa*. Zwykle przedmieścia drugorzędnej miejsciny na Podkarpaciu, ruiny byłego PGR-u, dawno zamknięte fabryki, zardzewiałe i zagruzowane budynki bez szyb i dachów, opuszczone place budowy dziś porośnięte rzadką, szczeciniastą trawą. W tle składnica złomu, stare płyty szkodliwego dla zdrowia azbestu i polacie podziurawionej korozją blachy falistej. Kopalnia możliwości, którą jednak jakoś nie zachwycaliśmy się.

Ja, Koreń i Duszyk, po raz pierwszy po przerwie na wagarach.

Właściwie szliśmy nad Tameę, ale przypadek sprawił, że wybraliśmy dłuższą drogę, wzdłuż torów prowadzącą przez stare złomowiska, łąki, fabryki i osiedle domków jednorodzinnych. Kiedyś na ten złom przywieziono nawet dziesięć przestarzałych, pociętych czołgów T-54 z okresu stalinowskiego, ale obecnie pozostały po nich jedynie nikłe fragmenty podwozia.

– Serio mówiłeś o tych dziewczynach na polaku? – spytał nagle Koreń.

– Jak najbardziej – odparłem wpatrzony w szynę kolejową.

– Nie chcesz więc mieć dziewczyny? To chyba nienormalne w tym wieku.

- A możesz mi powiedzieć, po co mi dziewczyna?
 - No jak to po co?! – włączył się Duszyk – Do dupczenia! Nie chcesz mieć panny?! A seks, dupczenie w każdej wolnej chwili cię nie interesuje? Mówię ci, takie solidne dymano, kurwa, stary!
 - Mówisz, jakbyś wiedział, o co chodzi – zakpiłem – Wszystko sprowadzasz do jednego, typowy facet dzisiaj.
 - A po jaki inny chuj potrzebna jest panna!? – Duszyk zirytował się.
 - Widzisz, kiedyś dla dziewczyn pisało się wiersze, chodziło z nimi do kina, trzymało za rękę, do szczęścia wystarczała sama obecność ukochanej osoby. Rycerze potrafili zabijać się dla chustki, czy wstążki swojej wybranki. To było coś! A dziś...
 - A pierdolisz... Coś ty, Durex, taki zdechły romantyk? Sam mówiłeś na polaku, że romantycy mają przejebane, że miłość nie polega na pięknych spacerach, kwiatkach i innych pierdólkach.
 - A na dupczeniu, tak?
 - Nie... no może nie do końca, ale pytałeś, po co ci kobieta, a jeśli nie do rozmów i trzymania za rękę, to chyba tylko do dupczenia!
 - A może ja bym potrzebował pannę do rozmów i trzymania za rękę, co?
 - Mówiłeś, że na chuj ci to!
 - Nie, że na chuj, tylko, że miłość polega na byciu ze sobą na dobre i na złe. Nie chodzi tu ani o dupczenie, ani o piękne kwiatki, to ma być uczucie, coś znacznie bardziej z sensem! Uczucie, kapujesz? Problem tylko w tym, że takie uczucie dziś chyba nie istnieje...
 - Eeetam... Ja potrzebuję panny, żeby sobie podupczyć – zakończył filozoficznie Duszyk.
 - No to gratuluję.
- Zaczynałem mieć dość tej rozmowy. Duszyk, jak Duszyk, chłopak całkiem w porządku, tylko z myśleniem miał czasem problemy. Potrafił w ciągu godziny rozłożyć na części pierwsze i złożyć z powrotem motocykl, ale gadać z nim o dziewczynach – masakra.

Na szczęście Koreń zmienił temat.

– To jak się ustawia ten zapłon u ogara? – spytał Duszyka.

Chłopak znalazł się w swoim żywiole. O motorach, samochodach czy pociągach mógł opowiadać godzinami. Powoli i dokładnie zaczął wyjaśniać Koreniowi skomplikowany mechanizm zapłonu u motoroweru.

Trzymałem się trochę z boku, błędząc wzrokiem po księżycowym krajobrazie dookoła, nie chcąc ujawniać mej całkowitej niewiedzy w tym temacie.

Prawdopodobnie bliskość toru kolejowego sprawiła, że po jakimś czasie rozmowa zeszała na pociągi. Rozpoczęła się dyskusja, która lokomotywa, spalinowa czy elektryczna, potrafi uciągnąć więcej wagonów. Koreń twierdził, że elektryczna, gdyż dysponuje większą mocą pobieraną z sieci trakcyjnej, nie jest ograniczona mocą silnika, ja popierałem Duszyka, przypominając sobie spalinowego *gagarina*, ciągnącego ponad sześćdziesiąt wagonów wypełnionych rudą żelaza, po ruskim torze w Padwi Narodowej...

Stukot kół zbliżał się powoli. Wiedziałem, że jest jeszcze daleko, sylwetki lokomotywy nie można było dostrzec spoza porośniętego drzewami zakrętu, jednak ziemia i szyny wiedziały, że wkrótce stalowy kolos nadjedzie. Podświadomie wyczuwałem przez ubranie każdy wstrząs ziemi, wyęczałem słuch w oczekiwaniu dalekiego grzmotu.

Leżałem wzdłuż torów pełen mieszanych uczuć. Wiem, że pewnie to bzdura, nic nie ma prawa mi się stać, to tylko pociąg, Duszyk zapewniał, że przejedzie nade mną, nie robiąc mi żadnej krzywdy, co najwyżej trochę ogłuchnę, a Duszyk zna się na pociągach, jak na wszystkim, co wiąże się z techniką. Zakład to zakład.

Pociąg zbliżał się. Ciągle jeszcze nie był widoczny, jednak daleki poszum wiatru i ledwo słyszalny pisk torów zapowiadał jego nadejście. Wszystkie mięśnie napięte jak struny drogiej gitary... W końcu nic mi się nie stanie, a dwadzieścia złotych piechotą nie chodzi. „Jak pory roku Vivaldiego, zmienia się światło w twoich oczach...” – przyczepiła mi się piosenka z jakiegoś serialu. Jakiego? To oczywiście, *Klan*, tylko po jaką cholere mi się to teraz przyplątało?! „Powiedz mi życie coś miłego, nie pędź tak proszę...”

Kurwa! Stres nie stres, ważne żeby dotrwać, być odważnym, bo nikt mnie jeszcze w życiu tchórzem nie nazwał... Choćbym miał umrzeć, to tylko z imieniem odwagi na ustach, potrafię być kimś i zaistnieć i nieważne, że moja śmierć i tak pozostanie niezauważona... Jaka śmierć do cholery?! To tylko pociąg, jego dudnienie zbliża się, nadchodzi, powoli stukot kół miesza się z szumem wiatru w gałęziach przydrożnych lip. Skąd ja to znam, gdzie ja widziałem ten motyw? Przydrożne lipy? Na jakimś obrazie? Przydrożne lipy... Nieistotne.

Jest! Potężne trzy reflektory wielkiej spalinowej lokomotywy powoli wytoczyły się zza zakrętu. „A kiedy przyjdzie także po mnie, zegarmistrz światła purpurowy, by mi zabełtać błękit w głowie, to będę jasny i gotowy...”, tak, Woźniak jest dużo bardziej adekwatny do sytuacji...

Tak, jest coraz bliżej... Czuję go każdą cząstką ciała, słyszę nadjeżdżającą masę stali, wysłużony *gagarin* i sznur osobowych wagonów. Sto metrów, może więcej i zbliża się. Gdzieś w krzakach jękuje Korenia i Duszyka. A niech mają tanią rozrywkę, skurwysyny, jak już przejedzie, wstanę i pokażę im kto tu rządzi! I wcale nie postawię im żadnego cholernego piwa za te dwie dychy!

Stukot kół na łączeniach szyn przybierał na sile, coraz wyraźniej odczuwałem lekkie drgania spróchniałych belek w starym pokładzie kolejowym, na którym leżałem. Pamiętaj, jak najbardziej płasko i nic ci się nie stanie, nic się nie stanie... Ta tach ta tach ta tach, jest blisko...

Pisk miażdżonych potężnym cielskiem lokomotywy szyn boleśnie uciska czaszkę. „Spłyną przeze mnie dni na przestrzał, zgasną pożogi i powietrza, na wszystko jeszcze raz popatrzę i pójdę, nie wiem gdzie...” Pisk stawał się nie do zniesienia, w bolesnym jęku rozdzierał mi uszy. Nagle dołączył do niego drugi. Hamulce. Iskry sypiące się spod kół w czarną czeluść pomiędzy torami. Gdzieś tam widocznie ktoś musiał mnie zauważyć, ale jest już za późno... dużo za późno. Słońce pięknie i wyjątkowo czysto świeci dzisiejszego dnia, żeby tylko ten tunel miał światło na końcu, drugiego kanału nie... pułapka, tunel, koła, stukot, pisk, liście mają tak piękny zielono-złoty odcień, szklą się na tle błękitnej tafli nieba.

Dwadzieścia metrów, nieustanny pisk hamulców połączony z bolesnym pulsowaniem czaszki i odgłosem miazdżonej stali. Ta tach ta tach ta tach ta tach już idę po ciebie zabiję za-bi-ję za... ta tach ta tach ta taaa... Pięć metrów, Nie!!! Piiiiiiiiiiiiiiiiisk rozdzierający wnętrzości. Resztki sił zeszywniałego do granic możliwości ciała, potężny wysiłek wszystkich mięśni, ostatnie dwa metry i...

...stoczyłem się z nasypu do rowu. Metr wyżej z rozsadzającym bębenki w uszach zgrzytem zablokowanych kół przetoczył się pociąg pospieszny Wrocław – Stalowa Wola. Siedem wagonów. Siedem wagonów, a w każdym ludzie. Siedem wagonów, a między nimi zwisające do samej prawie ziemi, potężne zwoje kabli grubości ludzkiej ręki, śruby od amortyzatorów sterczące niemiłosiernie na boki, potężny stalowy zderzak wiszący dwadzieścia centymetrów nad ziemią...

Ogólnie rzecz biorąc uciekłem w ostatniej chwili od nieuchronnej śmierci. Zderzak przeciąłby mnie na pół, śruby dopełniłyby reszty. A wszystko z powodu głupiego zakładu z Duszykiem i Koreniem: czy to prawda, że można położyć się wzdłuż torów podczas przejazdu pociągu i nic się złego nie stanie... Boże! Właśnie, że się stanie! Nie można! A mi brakowało dwa metry! Serce miałem nawet nie w gardle, tylko w okolicach czubka głowy.

Nie było jednak czasu odpoczywać ani się nad niczym zastanawiać, bo pociąg wciąż zwalniał, by zatrzymać się kilkadziesiąt metrów dalej. Z lokomotywy wypadło trzech ludzi w granatowych mundurach i jeden w żółtej odblaskowej kamizelce. Sokiści! Rzucili się w naszą stronę.

– Zwiewany! – krzyknął Koreń.

Całą trójką chwyciliśmy plecaki i rzuciliśmy się do panicznej ucieczki. Czterech kolejarzy biegło zajadłe w naszą stronę.

Puściliśmy się wzdłuż pociągu, w oknach ukazywały się twarze zaciekawionych nagłym postojem pasażerów, dobiegliśmy do końca składu, po czym skierowaliśmy się w stronę rzędu nieczynnych fabryk, wpadając wkrótce na dziedziniec pierwszej z nich. Kluczyliśmy pośród bram i starego żelastwa, jednak odległość między nami i ścigającymi nas kolejarzami malała z każdą chwilą!

– Rozdzielamy się! – wrzasnąłem.

Puściliśmy się biegiem, każdy w przeciwną stronę. Jak było do przewidzenia, sokiści rozdzielili się także, a za mną, o zgrozo, pobiegło dwóch! To już nie są żarty z niezbyt rozcigniętym wożnym! Byli jakieś trzydzieści metrów za mną, biegli na oko bardzo szybko, ale ja przecież byłem mistrzem szkoły w biegu na czterysta metrów! Muszę sobie poradzić!

Gdybym tylko znał teren...

Na prostej pewnie bym ich odstawił, ciągle jednak biegłem po krętej ścieżce pełnej dziur i wykrotów, przeskakując co chwile przez jakieś pozostawione przez PGR żelastwo. Drzewa, łąki i złomowiska migwały mi przed oczami, zlewając się w jedną burzliwą plamę. Żeby tak się gdzieś ukryć, szybko! Biegłem i biegłem, szybciej od wiatru, dając z siebie wszystko. Dystans między mną a kolegami pozostawał właściwie bez zmian... Musieli mieć niezłą kondycję albo być bardzo wściekli... Nie urwę się im, muszę gdzieś zniknąć!

Kątem oka dostrzegam porwaną siatkę – fragment ogrodzenia ostatniej z rzędu fabryki. Stara, nieczynna od lat mleczarnia.

Potykaç się o kolejny płat przerdzewiałej blachy falistej (skąd tu się wzięło tyle tego świństwa!?) wpadam biegiem na dziedzińiec. Gdzie teraz? W lewo! Nie, w prawo! Cholera, nie myśl, tylko biegnij! Po co braliśmy te pieprzone plecaki!

Kopniakiem rozwalam wiszące na jednym zawiasie drzwi i wpadam do środka. Półmrok, chłód, pełno szkła z potluczonych butelek po winie, smród ludzkich odchodów i jeszcze czegoś. Nie wiem. Sekunda na dostrojenie oczu i dostrzegam wewnątrz dawnej mleczarni. Jest prawie całkiem puste, wyłączając trzy potężne, pokryte rdzą kotły, wysokie na jakieś trzy metry, przytwierdzone wspornikami do ściany. Schodki na górę. Na oko pięciometrowy przerdzewiały podest, podparty stalowymi kolumnami, z niewielką barierką. Na górę! Wszystko się trzęsie, zgrzyta... Pusto, lepiej znów na dół! Nie ma drugiego wyjścia! Za sekundę tu będą! Cholera, rób coś! Nie namyślając się długo wdrapałem się po wspornikach i wskoczyłem do pierwszego z brzegu kotła. Zadudniło ponuro i cała konstrukcja zatrzęsała się złowieszczo...

Ścianki kotła lepiły się od jakiegoś zielonkawego paskudztwa, stałem po kostki w szkle, widocznie kotły służyły miejscowym pijaczkom za kosze na śmieci. Aż dziw, że nie pokaleczyłem nóg, wskakując do środka.

Wy tężyłem słuch.

Moje położenie miało swoje dobre strony, gdyż byłem całkowicie niewidoczny z zewnątrz. Po chwili przed wejściem do mleczarni rozległ się przyspieszony odgłos kroków.

– Tu wbiegł! Nie mógł gdzie indziej.

– To go mamy...

Dwaj sokiści prawdopodobnie weszli do środka, usłyszałem bowiem dźwięki mocowania się z blachą drzwi.

– Ciemno, kurwa...

– Czekaj chwilę, on tu musi być.

– Gówniarz, kolejny pieprzony samobójca. Drugi w ciągu ostatnich dwóch tygodni! Co ich w tym roku tyłu nasrało?!

– Często macie samobójców na torach?

– Czasem zdarzy się jakiś... Kilka lat temu wbiegła mi pod pociąg matka z dzieckiem. Desperatka jakaś, ki chuj. Masakra, kurwa, policja, smród na całej linii... Czy ci ludzie nie myślą?! Chcą się zabijać, niech się zabijają, droga wolna! Ale pod pociąg?... Przecież to najgłupszy sposób! Nie dość, że taki maszynista ma potem chuja na sumieniu, śni mu się potem w nocy – widziałem jak jeden chłop zwariował od tego – to jeszcze zdarzało się, że taki kutas przeżył, został kaleką na całe życie, na własne życzenie, i jeszcze miał pretensje do PKP! Tę matkę z dzieckiem ciągle mam przed oczami. Gdybym mógł to zawczasu powystrzelałbym wszystkich, żeby im się nie chciało kłaść na torach! No, gdzieś jest, gnoju?!
– ostatnie pytanie było raczej retoryczne.

– Ten przynajmniej w porę poszedł po rozum do głowy...

– Po rozum, kurwa? Sturlał się dwa metry przed lokomotywą! Patrząc z maszyny myśleliśmy, że już po nim. Gówniarz z plecakiem, pewnie na wagarach... Jak złapie za wszarz, to obję jak psa, a potem własnoręcznie odstawię do szkoły.

– A ci dwaj, jego kumple?

– A chuj z nimi! Pewnie założyli się, kto położy się na torach pod jadącym pociągiem. Były już podobne przypadki. Przy wszystkich zbieraliśmy trupy. Jak człowiek dwadzieścia lat zapieprza na kolei, to na niejedno się napatrzy. Pieprzone gnojki...

Jak najciszej siedziałem w swoim kotle i przysłuchiwałem się tej wielce pasjonującej rozmowie. Sokiści tymczasem przeczesywali mleczarnię. Odgłos kroków raz po raz zbliżał się i oddalał od mojej kryjówki.

Nagle przerażenie. Boże, przecież z wysokości blaszanego podestu widać wewnątrz kotłów! Siedziałem wprawdzie w tym najdalszym od schodków, a najbliższym wyjścia, z góry jednak wszystko mieli jak na dłoni!

Kolejarze jakby czytali w moich myślach. Kroki powoli oddalały się, usłyszałem miarowy odgłos wchodzenia po stalowych schodach. Wspinają się na podest! Już po mnie.

Skrzypienie zardzewiałej blachy, kroki, wszystko jak w zwolnionym tempie widziałem przed oczyma chorej wyobraźni. Jeden schodek, drugi, dziesiąty... Niemiłosierny zgrzyt przeżartej rdzą stali. Nagle...

– Kurwaaa!!! – usłyszałem straszny łomot i jeden z sokistów zwałił się z któregoś schodka na ziemię. Stara przedzewiała stal nie wytrzymała ciężaru kroków – Moja noga, kurwaaa! – darł się.

– Nic ci nie jest?

– Chyba skręciłem nogę, zabiję gówniarza!

– Dasz radę chodźć?

– Niezbyt, kurwa, ale jakoś spróbuję. Włóż, Heniek, na górę i rozejrzyj się, on gdzieś tu siedzi, czuję to!

– Dobra.

Odgłos ostrożnych pojedynczych kroków zadźwięczał głucho po blaszanym podestcie. Najciszej jak się dało przykucnąłem w swoim kotle, jednocześnie rozplaszczając się na ściance po stronie podestu, by być z góry jak najmniej widocznym. Wstrzymałem oddech. Serce biło jak oszalałe, nie wiem, czy nie bardziej niż wtedy na torach. Byłem przekonany, że jeśli żaden inny odgłos mnie nie zdradzi, zrobi to z pewnością przeraźliwy dźwięk biją-

cego serca. Podświadomie zacząłem się modlić o nastanie nocy, o chwilowe zaćmienie wzroku kolejarza.

– Widzisz coś?

– Raczej nic.

– Patrz dobrze po kotłach. Nie siedzi w żadnym?

Zadrzałem.

– Nie, raczej nie. Choć, tego ostatniego nie widzę wyraźnie.

Boże, ześlij noc, odbierz mu wzrok...

– Nie, w kotłach go nie ma! – usłyszałem w końcu.

A więc Bóg istnieje.

– Na pewno?

– Na pewno, widzę stąd wszystko, pełno szkła, jakiś syf, ale gnoja nie ma. Musiał zwiać innym wyjściem.

– Stąd nie ma innego wyjścia!

– No to zniknął...

– A na pewno tu wchodził? Dobrze widziałeś?

– Sam nie wiem. Drzwi trzęsły się jeszcze na zawiasie. Może wiatr...

– W łeb się, kurwa, palnij! Jaki ty, kurwa, masz dziś wiatr?! Zgubiliśmy gówniarza i tyle! Jak dorwę, to zabiję!

Podwójne kroki zbliżyły się nieco do mojego kotła. Jeden z sokistów zeszedł widocznie z podestu.

– Ty, patrz, tu jest dziura!

– Gdzie?

– W kącie, po lewej, kawał poszycia odgięty. Mógł tędy zwiać!

– To jak patrzysz, kurwa!?

– Nie dostrzegłem na początku.

– No to szczeniak uciekł dziurą jak lis. Ma szczęście, że mi nie wpadł w łapy, bo... Ech, chodźmy stąd, śmierdzi tu jakimś gównem.

Odgłos kroków powoli cichł. Sokiści zbliżali się do wyjścia. A więc udało się. Jeden z nich wyraźnie utykał. Słyszać było ciche szuranie nogą po podłodze zasłanej piachem i odłamkami szkła. Dobrze mu tak, strach pomyśleć, w jakim ja byłbym stanie, gdyby mnie dopadli. Dosyć już wrażeń jak na jedne wagary.

Po chwili wszystko ucichło.

Odczekałem jeszcze dobre dziesięć minut zanim zdecydowałem się na próbę wydostania z kotła. Łatwiej jednak powiedzieć, dużo trudniej wykonać...

Pokryte wszechobecną rdzą i jakąś lepką mazią ściany, wysokie na trzy metry, nie miały od wewnątrz absolutnie żadnego punktu zaczepienia. Wskoczyć tu było łatwo, wyjść wydawało się niemożliwością...

Kilkakrotnie podskakiwałem próbując uchwycić się ręką krawędzi, wszystkie próby jednak były bezskuteczne. Do krawędzi brakowało za każdym razem ponad pół metra! No to mamy problem... – pomyślałem. Średnica kotła, wynosząca również jakieś trzy metry, pozwalała zapomnieć o jakimkolwiek podparciu dla stóp i pleców i próbie wydzwignięcia się w ten sposób. Po którymś z kolei podskoku opadłem z sił. Poczulem wszechogarniającą słabość i głód.

Na szczęście w plecaku miałem mocno pogniecioną kanapkę z serem. Wyciągnąłem ją, odwinąłem z folii i siedząc na kawałku dna kotła, wcześniej uprzątniętym z fragmentów szyjek i denek butelek, zacząłem jeść. A może zostawić trochę na później? Nie wiadomo, ile tu posiedzę... – pomyślałem złowieszczo – Nie wiadomo, czy w ogóle stąd wyjdę! Nagły atak paniki. Cholera, trzeba coś zrobić! Najpierw zjedz... – uspokajałem się desperacko – Potem będziesz myślał.

Ostatni kęs suchej kanapki z trudem przecisnął mi się przez gardło. Zdałem sobie bowiem sprawę z beznadziejności mego położenia. Siedzę w starym kotle, w zapomnianej mleczarni, a nikt nie ma pojęcia, gdzie jestem. W szkole przecież w ogóle się nie pojawiłem, a Koreń z Duszykiem pobiegli w zupełnie inną stronę. Ciekawe czy ich złapali... Mogę tu siedzieć i czekać choćby końca świata! Strasznie beznadziejne miejsce na śmierć, znajdują moje kości po kilku latach, nikomu wcześniej nie przyjdzie do głowy, że ktoś jest w kotle, a smród rozkładających się zwłok zginie w odorze starego wina i ludzkich odchodów. Rodzice co najwyżej pomyślą, że znów uciekłem z domu, nie racząc nawet tym razem pozostawić żadnego listu. Byłoby to z resztą dość prawdopodobne,

wczoraj bowiem znów miałem spięcie z ojcem. Ciągłe się z nim o coś kłóć, zazwyczaj o tak błahe przecież sprawy...

Zaledwie cztery miesiące wcześniej uciekłem z domu. Wszystko właściwie przez moją głupotę.

Pewnego pięknego majowego dnia, poszedłem sobie jak zwykle na wagar. Tym razem postanowiłem pojechać rowerem do Tarnobrzega. Na swym małym składaku o dwudziestocalowych kołach lubiłem nieraz zapuszczać się gdzieś dalej i takie wyprawy były u mnie na porządku dziennym. Sto kilometrów w dwie strony? Pestka! Tak było i tym razem.

Zatrzymałem się na krótką chwilę na wiadukcie z ruskimi torami, przechodzącym nad drogą w Padwii Narodowej. Patrzyłem na przejeżdżające pode mną samochody.

Uwagę moją zwróciły leżące dookoła kulki rudy żelaza. Nie myśląc wiele zacząłem się nimi bawić, ciskając je najpierw do pobliskiego rowu, później zaś w popękany asfalt drogi. Nie celowałem w auta, broń Boże! Po prostu rzucałem kulki na asfalt, a one dysponując dziwnie sprężystymi właściwościami odbijały się od szosy jak kauczuk i podskakiwały na niej jeszcze przez chwilę.

Pech chciał, że jedna z kulek po odbiciu trafiła prosto w szybę jadącego w stronę Mielca – byłem zwrócony również w tę stronę – i niewidocznego dla mnie – srebrnego mercedesa.

Kierowca auta (przypakowany dwudziestokilkuletni nowobogacki) nie stracił panowania nad pojazdem – całe szczęście, bo z naprzeciwka nadjeżdżał właśnie TIR wypełniony płytami pilśniowymi – tylko powoli, na najbliższym zjeździe, zawrócił, zatrzymał auto przy wiadukcie, wysiadł i puścił się za mną w pogoń.

Byłem w zbyt wielkim szoku, żeby porządnie uciekać, dałem się więc złapać, obić na kwaśne jabłko i odstawić na najbliższy komisariat policji. Na strasznie drogiej szybie nowego mercedesa klasy S (dlaczego musiałem trafić w takie właśnie auto?!) szkliło się w słońcu pęknięcie spowodowane zderzeniem z pechową kulką.

Zostałem potraktowany jak zbrodniarz pierwszej kategorii, a gdy jeszcze wyszło na jaw, że jestem na wagarach, postanowio-

no się ze mną nie cackać, tylko od razu założono mi akta, spisano dane, telefony kontaktowe do pracy rodziców, telefon domowy, po czym poinformowano mnie, że trafię do poprawczaka i że mam oczekiwać na wezwanie do sądu i wyprawiono do domu. Koszt szyby, koszty sądowe, około tysiąc osiemset złotych, miał pokryć mój ojciec, poprawczak miał mnie zresocjalizować.

Do domu wróciłem tylko po to, by zostawić rower i napisać list. Opisałem w nim całe zdarzenie (posterunkowy nie dał rady dodzwonić się do pracy mego ojca, a w domu nie było jak zwykle nikogo i całą sytuację miałem rodzicom po południu opowiedzieć osobiście) oraz stwierdziłem, że w takiej sytuacji nie mam czego w domu szukać, bo ojciec mnie po prostu zabije. Napisałem więc, że uciekam, nie wiem kiedy wrócę, ale prawdopodobnie nigdy lub nieprędko i oczywiście standardowy dopisek, żeby mnie nie szukali ani nie zawiadamiali policji. Wziąłem ze skrytki swoje siedemdziesiąt osiem złotych, składane od roku na rower górski, i poszedłem na dworzec. O piętnastej dziesiąt wsiadłem w autobus do Rymanowa-Zdroju, małej uzdrowiskowej miejscowości w Beskidzie Niskim, gdzie dwa lata wcześniej miałem przyjemność leczyć się przez osiem tygodni w sanatorium.

Przez dwa tygodnie pałętałem się bez celu po górach. Pogoda raczej mi sprzyjała. Piłem hektolitrami wodę mineralną z licznych rymanowskich źródeł, żywiłem się w sporej mierze owocami, zrywającymi za darmo na pobliskich działkach, na które zakradałem się zwykle nad ranem. Właśnie zaczynały dojrzewać truskawki...

Kasę z początku miałem i gospodarowałem nią w miarę oszczędnie. Chwilami czułem się jak na najprawdziwszych wczasach, na których nie muszę nic robić, jestem sobie panem, mogę iść gdzie chcę, spać gdzie tylko najdzie mnie ochota. Myłem się w lodowato zimnych wodach górskich strumieni, zasypiałem na ziemi, często na szczycie jakiegoś wzniesienia, lub na ławce, wpatrzony w gwiazdzone niebo, ucząc się rozróżniać poszczególne konstelacje gwiazd. Rano budziła mnie wilgoć mgły lub wschód słońca. Czułem się jak bohater mojej ukochanej książki *Wielkie przygody małego ancykrysta*, Józefa Mortona, którą przeczytałem dwukrotnie miesiąc wcześniej. Kto nie wie, jak wygląda wschód

słońca w górach, nad spowitymi mgłą szczytami, ten właściwie nie zna piękna ludzkiego życia. Mgły przersedzają się powoli, stopniowo odsłaniając porastające stok ciemnozielone świerki... Dla pewnych chwil naprawdę czasem warto uciec z najwspanialszego nawet domu.

W drugim tygodniu zaczęły się jednak problemy. Ochłodziło się, coraz częściej padał zimny, wcale nie taki wspaniały, majowy deszcz. Musiałem zrezygnować z noclegów pod gołym niebem. Jedną noc spędziłem w paśniku dla saren, (nie był to jednak najlepszy pomysł, gdyż o drugiej w nocy obudził mnie wygłodniały jelen, próbujący zjeść moją rękę), resztę na łóżku sanatorium *Polonia*, do którego znalazłem sposób, by w tajemnicy przed wszystkimi się zakradać.

Razem z grupką dzieci, wracających pod wieczór z kolejnej wycieczki, wchodziłem do budynku i szedłem od razu na samą górę, do lewego, nieczynnego skrzydła. Było ono zamknięte z powodu remontu, jednak tylko na słowo honoru, z drzwi po prostu została wyjęta klamka. Można było spokojnie je otworzyć za pomocą zwykłego widelca.

Lewe skrzydło było całe do mojej dyspozycji. W środku panował wprawdzie totalny bajzel, ściany odarte z tynku, wybebeszone materace, rozbite szafy, urwane niektóre krany, miałem tu jednak wszystkie niezbędne wygody, ciepłą wodę, łóżka. Musiałem się tylko pilnować, żeby nie świecić nocą światła, które mogłoby zdradzić moją obecność.

W moim skrzydle spędziłem trzy kolejne noce.

Po wyczerpaniu kasy, z głodu zacząłem kraść. Zazwyczaj w większych sklepach spożywczych. Raz wprawdzie próbowałem się wkręcić na obiad razem z dziećmi z sanatorium, jednak przez pielęgniarki zostałem rozpoznany jako człowiek z zewnątrz i musiałem haniebnie się ulotnić.

Nie wiem, jaki byłby koniec mej wielkiej ucieczki, gdybym pewnego pięknego dnia, początkiem czerwca, nie wybrał się na wycieczkę przez góry, czerwonym szlakiem, do Iwonicza. Siedziałem sobie właśnie bez grosza przy duszy, jak to się mówi, goły

i wesoły na ławeczce przy deptaku zdrojowym, gdy znienacka nadeszło dwóch strażników miejskich.

Przez chwilę chciałem się zerwać do ucieczki, jednak stwierdziłem, że byłoby to bardzo podejrzane, zostałem więc na miejscu, zaciskając zęby. Strażnicy tymczasem bacznie zlustrowali mnie wzrokiem i... poszli sobie dalej.

Odetchnąłem z ulgą. Nie na długo jednak. Nie odeszli bowiem nawet pięciu metrów, jak zawrócili i podeszli do mojej ławki.

– Czy ciebie czasami nie szuka policja? – padło pierwsze i najgorsze pytanie.

– Nieee... Skąd ten pomysł? – odparłem zmieszany, uciekając w bok wzrokiem i siląc się na beztroski ton wypowiedzi.

– Jak się nazywasz?

– Michał Nemeč – podałem nazwisko kolegi z klasy, zawsze wykorzystywane przeze mnie w podobnych sytuacjach.

– Masz jakieś dokumenty?

– Nie.

– Nic nie masz?

– Nic.

– Co tu robisz?

– Jestem na wczasach.

– Sam?

– Tak... to znaczy nie... – zacząłem płątać się w zeznaniach.

– To jak w końcu?

– Jestem z sanatorium.

– Którego?

– Polonia z Rymanowa Zdroju

– Co tu robisz sam? Gdzie twoja grupa?

– ...

– Pozwolisz z nami do komisariatu, jeśli mówisz prawdę, za chwilę będziesz wolny.

Oczywiście na czystym i pełnym słońca komisariacie w Iwonniczu-Zdroju, wszystko się wydało. Wszędzie mieli moje zdjęcia! Przynajmniej były to te, na których nawet nieźle wyszedłem: fotki z zeszłych wakacji, z pokazów słynnego *Air Show* na mieleckim lotnisku. Na jednym moja uśmiechnięta gęba, powiększona kom-

puterowo na trzy czwarte ekranu, na tle wojskowego helikoptera, na drugim cała ma postać na tle jasnoszarego *FA-18 Hornet*. Było mi już wszystko jedno. Postanowiłem poddać się losowi.

Po dwóch godzinach zostałem przewieziony do Krosna, do Policyjnej Izby Dziecka, czy jakoś tak. Ten budynek spodobał mi się zdecydowanie mniej niż komisariat w Iwoniczu. Bez zbędnych ce-regieli wsadzono mnie do klatki półtora metra na dwa, z niewielką ławeczką przy ścianie, na której nie sposób było usiedzieć dłużej niż pięć minut. W tych warunkach miałem czekać na zgłoszenie się rodziców. Kluczem wydrapałem na ścianie moją ksywkę: *Durex* i datę: *05.06.1999*, było tu zresztą sporo innych podpisów zatrzymanych młodocianych przestępców. Widać klatka spełniała swoje zadanie.

Ojciec przyjechał około siedemnastej. Gdyby miał włosy, pewnie byłyby one rozwiane i w nieładzie, jednak był łysy i jego łysina psuje mi całą poetykę opowieści. Spodziewałem się najgorszego. Nietrudno było wprowadzić go w furję, a ja czułem, że tym razem przebrałem miarkę.

Ojciec tymczasem zachowywał się dziwnie. Gdy tylko wypuszczono mnie z mej klatki (nigdy nie zapomnę ponurego odgłosu zgrzytu klucza w prehistorycznym zamku), podszedł do mnie z przerażającym wyrazem twarzy. Odbita w niej była nie złość czy bezgraniczna wściekłość, której oczekiwałem, ale ogromny ból i uczucie bezbrzeżnej ulgi. Oczy były przekrwione, z bladymi otoczkami powstałymi w skutek długotrwałego braku snu. Garbił się i jakby przybyło mu zmarszczek. Niegolony od kilku dni zarost postarzał go jeszcze, a resztkę włosów, którą zachował po bokach głowy, była dużo bardziej siwa, niż ją zapamiętałem.

Te dwa tygodnie musiały zdrowo dać mu w kość. Nie wyglądał jak ojciec, który zaraz zacznie bić i którego mam się bezgranicznie obawiać. Wyglądał jak stary, biedny, zmęczony życiem człowiek. Zrobiło mi się żal, żal i wstyd. Poczuję się podle, jak zwierzę niezasługujące na powrót do domu, na posiadanie rodziców, którzy tak potrafili się o niego martwić.

Całą drogę do Mielca nie odezwał się ani słowem. Siedziałem z tyłu, chcąc zapaść się pod ziemię, wypaść z auta na asfalt i nie

wstać z niego więcej. Woląłem aby krzyczał, pastwił się nade mną, wyrzucił z siebie całą złość, zalał mnie goryczą, pobił.

A on nic, jechał swoim dwudziestoletnim wartburgiem, skupiony jakby tylko i wyłącznie na tym, co się dzieje za oknem. Jakby zapomniał o mojej obecności. Pewnie przestał mnie uważać za swoje dziecko, od teraz jestem dla niego powietrzem, kimś obcym. Niech mnie nawet zabije, ale nie robi tego! – chciałem krzyknąć, pierwszy zacząć dyskusję, przeprosić, ale nie zrobiłem tego. Przez ściśnięte gardło nie przedostało się żadne zbyteczne słowo. Nie miałem odwagi. Sto dwadzieścia kilometrów pokonaliśmy w milczeniu.

Oczywiście później wielokrotnie dostawałem za tę ucieczkę, wypominano mi ją przy każdej wywiadówce, była dobra i na wiele innych okazji. To rozumiałem. Milczenie było jednak najgorsze. I choć czas przepędzony na gigancie wspominam raczej dość dobrze, postanowiłem już nigdy nie uciekać z domu.

Tym razem jednak nigdzie nie uciekłem! Siedziałem od godziny w kotle, w starej, zrujnowanej mleczarni, nie mając pojęcia, jak się wydostać.

Dochodziła jedenasta, było jeszcze trochę czasu do powrotu rodziców, ale co z tego?! W nagłym przyplywie energii znów zacząłem skakać, chcąc dosięgnąć krawędzi kotła, ale nic z tego... Wściekły zaatakowałem z impetem ścianę. Z rozpędu (o ile można było wziąć rozpęd w kole o średnicy trzech metrów) napałem całym ciałem na stalowy okrąg otaczający mnie dookoła. N i c ! Głuchy, tępy, metaliczny odgłos, ból w lewym boku i cisza. Cisza była najgorsza, nigdy więcej ciszy! Zacząłem wrzeszczeć, ile tylko sił w gardle:

– Pomocy! Jest tam kto?! Ratunku! Pomocy! Pali się!!!

I nic. Echo mego głosu zadźwięczało przez chwilę w ruinach mleczarni, odbiło się głuchym wydźwiękiem od pustych ścian. Cisza, znowu cisza.

– Na pomoc! Jest tam kto?!

Krzyk nie przynosił jednak żadnego skutku. Wiedziałem, że w promieniu około kilometra raczej nie mogę liczyć na obecność

ludzi, może co najwyżej kiedyś jacyś pijaczkowie zechcą zaszczyścić swoją obecnością to miejsce. Choć przy ładnej pogodzie raczej się na to nie zanoszą.

– Pomocy!!! Niech mi ktoś pomoże!!! Do cholery, do kurwy nędzy, niech mnie ktoś usłyszy!!!

Nic. Pięknie. W kanale miałem przynajmniej jakąś możliwość działania, w tym pieprzonym kotle byłem bezsilny! A nie ma nic gorszego dla mężczyzny niż poczucie bezsilności w jakiejś sytuacji.

Wydzierałem się jeszcze przez chwilę, a potem, gdy już gardło zaczynało odmawiać mi posłuszeństwa, usiadłem na dnie kotła i zacząłem ryczeć. Powinienem się do tego nie przyznawać, zawsze starałem się być twardy i brać życie za rogi, tym razem jednak bezsilność i beznadziejność położenia wycisnęły ze mnie najprawdziwsze łzy. Siedziałem i płakałem, łzy powoli spadały na pokryte tłuczonym szkłem dno kotła. Było strasznie i smutno i źle. Czy może być coś żałośniejszego od płaczącego piętnastolatka, uwięzionego w starym kotle w ruinach mleczarni? Boże, pomóż mi jakoś...

Nie w moim stylu było jednak bezczynne siedzenie i płacz:

– Pomocy! – zacząłem znowu, jednak nie wyszło mi to najlepiej. Głos zabrzmiał śmiesznie słabo.

Cisza, pustka, nic! Minuty mijały powoli, już nawet przestałem patrzeć na zegarek, wiedza o upływającym czasie nie była mi do niczego potrzebna. Wiedziałem, że jest po pierwszej, lekcje w szkole właśnie dobiegały końca. Cały byłem uwalony jakimś brudnozielonym paskudztwem. Krzyk ponawiany co jakiś czas nie przynosił żadnych rezultatów...

– Pomocy! – darłem się bez cienia nadziei.

Cisza, przejmująca panicznym strachem cisza. Bezwietrzny wrześniey dzień...

Aż nagle, gdy już całkiem zaczynałem wątpić, usłyszałem dziwny chrobot, coś na kształt ludzkich kroków, połączonych ze skrzypieniem nienaoliwionych kółek dziecięcego wózka...

– Na pomoc! Ratunku! Jest tam kto?! – poczułem nagły przy-
pływ energii. Dziwne hałasy ustały, jakby w oczekiwaniu, co się
dalej stanie.

– Pomocy! Niech mi ktoś pomoże!!!

Po chwili usłyszałem wspaniale znajomy odgłos mocowania
się z wiszącymi na jednym zawiasie drzwiami i kroki, niepewne
i wyraźnie już wewnątrz mleczarni. Zabębniłem pięściami w ścia-
ny kotła.

– Niech mi ktoś pomoże!

– Co się drzesz?! Kim jesteś? – usłyszałem niski, jakby przepi-
ty, zachrypnięty głos.

– Jezu... – kamień spadł mi z serca – Bogu dzięki, błagam
o pomoc! Jestem uczniem, mam na imię Piotrek, wpadłem do
kotła!

– Co tam robisz?

– Siedzę!

– To wyłaź!

– Nie mogę!

Człowiek podszedł do mego kotła, jego głos bowiem przybrał
na sile. Już nie musiałem krzyczeć.

– Niech mi pan pomoże, wpadłem i nie mogę się stąd
wydostać.

– Jakżeś tam wlaź?

– Ścigali mnie źli ludzie i wskoczyłem, a teraz nie mogę
wyjść...

– Źli ludzie mówisz? Może policja?!

– Nie! Nic złego nie zrobiłem, to były jakieś łobuzy, ale już
sobie poszli...

– Ty sam pewnie jesteś pierwszy łobuz!

– A broń Boże! Ja jestem dobry!

– Jakżeś wlaź, to i siedź...

– Błagam, niech pan mnie nie zostawia! Trzy godziny tu
siedzę!

– A jak ja ci mam niby pomóc?

– Niech pan mi coś poda, albo wdrapie się po wsporniku przy
ścianie, albo wezwie pomoc...

– Co ja, jakaś kozica, żeby po ścianach łązić? Eeeetam... Czasu na ciebie nie mam!

– Niech mnie pan nie zostawia!

– A zostawię! Siedź se jakżeś włącz!

– Błagam pana!

– Eeee tam, no może... Poczekać chwilę.

– Niech pan nie odchodzi! Proszę mi pomóc!

– Dobra, dobra, siedź cicho, coś wymyślę, zaraz wracam.

– Tylko niech mnie pan tu nie zostawia!

– Dobra, zaraz, zaraz...

Człowiek odszedł od kotła i skierował się w stronę drzwi. Po chwili usłyszałem ich zgrzyt. Mam nadzieję, że nie zostawia mnie tu znowu – pomyślałem. Na zewnątrz zaczęły rozbrzmiewać dziwne odgłosy, jakby stukot metalu o metal, przewracanie blach i garnków. Człowiek najwyraźniej czegoś szukał. Powoli w głowie zaczęło przeświecać nikle światełko nadziei. Było jeszcze słabe, niewyraźne i jakby zamglone, ale było.

Po kilku minutach drzwi zazgrzytały ponownie.

– Ty, jesteś tam jeszcze?

– Nie, poszedłem na spacer! – zakpiłem – Jasne, że jestem!

– A umiesz ty po linie chodzić?

– Raczej tak – przypomniał mi się obóz harcerski sprzed lat.

– To czekaj, rzucę ci linkę, to się wydrapiesz jakoś.

– Dobra.

Po chwili z góry spadła na mnie cienka plastikowa linka, taka, jaką zazwyczaj używa się do wieszania prania na balkonach, lub wiązania worków. Chwyciłem ją skwapliwie w obie ręce.

– Trzymasz?

– Tak!

– To czekaj, zawiąże ją tu gdziesik, bo stary jestem i cię nie utrzymam.

– Dobra! – odparłem i zacząłem okręcać sobie linką dłonie aż do przegubów, w celu lepszego chwytu.

– Wyłaź! – usłyszałem po chwili.

Naprzężyłem do końca linkę. Wydawała się w miarę solidna i spróbowałem się na niej zawiesić całym ciałem. Wyteżając solid-

nie mięśnie rąk, oparłem się stopami o ścianę kotła i rozpocząłem powolną wspinaczkę.

Ściany kotła były śliskie, jedynie rdzawe plamy dawały jakiegokolwiek podparcie. Linka, zdecydowanie nieprzeznaczona do wspinaczki, wpijała się boleśnie w dłonie, tworząc błyskawicznie sinoczerwone pręgi. Zaciśnąłem zęby i zacząłem powoli posuwać się w górę. Byle tylko uchwycić się krawędzi, dalej jakoś pójdzie.

Po chwili udało się. Bolącymi, obwiązanymi linką dłońmi złapałem obły brzeg kotła. Teraz wystarczyło się tylko podźwignąć i przełożyć nogę na zewnątrz. Przechodziłem już przez wiele płotów w życiu i nie było to dla mnie zbyt trudne. Po chwili wyskakiwałem na zewnątrz. Wolny! Nareszcie! Jak cudownie miła wydawała się ziemia!

Z bliska mogłem przyjrzeć się swojemu wybawcy. Był to niewielki pyzaty człowieczek o bardzo pomarszczonej twarzy, na której z pewnością wyróżniał się okazałej wielkości czerwony nos. Ubrany niedbale, w niezwykle brudne szmaciane spodnie nieokreślonego koloru, bordową rozchełstaną koszulę i wygniecioną poplamioną, sztruksową marynarkę. Cuchnął moczem i tanimi winami. Ale czy to było w tej chwili ważne!?

– Naprawdę nie wiem, jak panu dziękować – powiedziałem.

– Etam, przecie nie mogłem cię zostawić. Usłyszałem, że ktoś się drze to weszłem i pomogłem.

– Życie mi pan uratował, dziękuję! A co pan właściwie tu robi, bo już straciłem nadzieję, że ktokolwiek się tu pojawi?

– A ja tu łażę od czasu do czasu, złom zbieram, te kotły, coś w nich siedział, jakby tak pociął na kawałki, to by se człek zarobił, ale jak tu się za to wziąć? – rozmarzył się.

– A co pan takiego zbiera? – przerwałem, udając zaciekawienie.

– A, co się trafi... Mam wózek i żyje się jakoś z dnia na dzień.

– Pokaże mi pan?

– Ty najpierw powiedz, po coś tam wlaź!

– Mówiłem już, że wskoczyłem, żeby się schować, bo gonili mnie jacyś łysi debile.

– To coś im zrobił?

– Pili tu wino niedaleko i im widocznie niechcący przerwałem
– zmyślałem na poczekaniu – Teraz pełno takich wszędzie.

– Eeee, żeby tylko teraz! Zawsze ich było pełno! Tylko teraz mają swoje lepsze czasy, skurwysyny. Kraj rozpieprzony, to żerują jak sępy... Kiedyś nazywali się gitami, teraz jakoś inaczej, nie?

– Teraz chyba skini, czy jakoś tak...

– Skini do jaskini! – zrymował mój wybawca i zaśmiał się wargami, zza których wystawało kilka poczerniałych zębów. Po chwili jednak spowaźniał i smutno rzekł – Kiedyś było inaczej, człowiek miał życie... Ty nie myśl, że ja zawsze ze złomem chodziłem! – wykrzyknął – Kiedyś, zanim wszystkiego w tym kraju nie rozpierdolili, byłem inżynierem! Inżynierem byłem na WSK, słyszysz?! Silniki do samolotów robiłem, trzydziestu ludzi pode mną robiło! I... – zachwiał się – i szlag wszystko trafił.

– Co takiego się stało? – zapytałem niepewnie.

– A, wypił człowiek trochę! Wtedy to nie był żaden grzech, wszyscy pili, jak kto nie pił, to był chuj! Akurat jakaś kontrola, kurwa mać, mnie złapali! Mnie! Na całą załogę, tylko mnie! Dmuchać kazali, tom im dmuchnął, aż im się, kurwa, oczy zaświeciły! Dwa promile! Od razu jakieś śledztwo, narażanie załogi, dywersja, kapitałiści pierdoleni! I wywalili na zbity pysk! Przyjęli jakiegoś młodego, co na dupie się znał, nie na silniku! A ja na zbity pysk! A człowiek żyć musi, żona w domu, dziecko. A w końcu i to szlag trafił – zrezygnowany machnął w powietrzu brudną ręką – W jeden dzień człowiek stracił robotę, w drugi rodzinę i został... sam jak palec w dupie, z tym wózkiem do złomu!

– To żona pana zostawiła? – zrobiło mi się go żal – A dom, rodzina?

– Jaka rodzina?! Zostawiła mnie, dom i dziecko zabrała, ze mnie zrobiła alkoholika! Ze mnie! Alkoholika?! Jak ze mnie żaden alkoholik przecie nie jest! Wypiję czasem, zgoda, ale rozwód przez to brać?! Ani żem jej nie bił, ani nie przepijałem pensji całej... A wszystko w sądzie powiedziała, że robię! Że piję i biję! Ja?!

– To smutne – nie wiedziałem co powiedzieć.

– Ani razu ode mnie nie dostała, a mówili koledzy; trza bić, to będzie słuchać! Jak się baby nie bije, to jej wątroba gnije! Za łagodny byłem, za łagodny!

– Zabrała panu dziecko?

– Zabrała! Mówię ci to, boś młody; daj se spokój z babami, bo to kurwy i materialistki! Dla nich kasa się liczy, nie to jaki jesteś! Choćbyś był świętym a ubogim to cię porzuci. Wszystkie baby to kurwy!

– Hej, no spokojnie! – oburzyłem się – Niech pan nie przesadza. To, że pana zostawiła, zrobiła źle, ale nie można tak uogólniać.

– Co ty mi tu pierdolisz?! Miesiąc nie minął po rozwodzie, znalazła se chłopa, mi zabrała syna, mieszkanie, resztę oszczędności, co je miałem, a żyło nam się dobrze, ty sobie nie myśl!, nawet auto zabrała, kurwa, choć wcale nie ma prawa jazdy! I sąd jej dał! A mnie na bruk! Sama żyje teraz jak królowna jakaś, a ja, który na to zapierdalał, złom zbieram! I czy baby nie są kurwy!?

– No, może ta pana była... – przyznałem w końcu, żeby nie kłócić się z moim, bądź co bądź, wybawcą – Ale nie można uogólniać, znam wiele całkiem przyzwoitych kobiet.

– No, to ciekawe, bo ja nie, a starszy jestem.

– Pan ma złe doświadczenia po prostu.

– Za to ty nie masz żadnych! Ile ty masz lat?

– Piętnaście.

– No! – pokiwał ironicznie głową – To nie pierdol mi tu o babach.

Zgasił mnie. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć na taką argumentację. Właściwie to miał rację, co ja wiedziałem o kobietach, skoro nigdy z żadną na poważnie nie byłem?

– A co z pana synem? – zmieniłem temat.

– Co z synem? A chowa go razem, ta kurwa, z tym swoim nowym, bogatym dupkiem, od dziesięciu lat, już prawie dorosły... Dobrze ma, mają dom, samochód (nowy, ten mój sprzedali!), ogród, niech się dzieciak cieszy, nie patrzy na los ojca. Nie mogę go widywać, zabroniła mi! Pewnie wmawia małemu, że nie żyję, albo że ten dupek go zrobił! Jak pomyślę, że każe mu mówić do niego „tato”, krew mnie zalewa! Żebyś ty widział, kurwa, gość

w garniturze, włosy na cukrze, zaczesane. Biznesmen! Ale, co ja mogę? Za to tobie radzę, jak tu stoimy: żadnych bab! Ilu to już ludzi zgubiło, pojęcia nie masz!

– Domyślam się – odparłem, patrząc na żywy przykład złego traktowania przez kobietę – Niech się pan nie gniewa, ale muszę... muszę już iść. Dziękuję za uratowanie życia i w ogóle, miło się z panem rozmawiało...

– Ale gdzie ty będziesz laź?! Myślałem, że jak żem cię już zło-wił, to mi trochę pomożesz... Ciężki ten wózek jak cholera jasna!

– A gdzie pan go ciągnie?

– Na składnicę maszyn, na Moniuszki.

– No dobra, pociągnę go z panem kawałek. To mi nawet po drodze – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Coś mu się należało za uratowanie mi życia.

Trudno byłoby sporządzić spis rzeczy, jakie znajdowały się na wózku mego wybawcy. Było tam wszystko, począwszy od starego żelazka, poprzez koła rowerowe, duże płyty porzewiałej blachy falistej, na wiadrach i drzwiach od lodówki skończywszy. Wszystko razem mogło ważyć ponad sto kilo, a długo nieoliwione koła wózka, przerobionego ze specjalnie wzmocnionej kilkoma dospawany-mi elementami bliźniaczej spacerówki, stawały spory opór i skrzypiały uciążliwie na nierównej ścieżce.

– Co pan dzisiaj znalazł? – spytałem.

– To wszystko! – rzekł z dumą – Dobry dzień. Rano miałem pusty wózek. W tej graciarni po Pegeerze można spotkać najróż-niejsze cuda. Choć dzisiaj to i o złom coraz trudniej. Kiedyś... to były czasy...

– Długo pan tak już? Z tym złomem?

– Dziewiąty rok będzie! Ale kiedyś było inaczej. Teraz to nawet złomu nie ma. Słyszałeś, co się wyrabia? Znajomi kradną włazy studzienek kanalizacyjnych! Dwadzieścia pięć kilo złomu na raz, ale w ziemi pozostaje odkryta dziura. Już policja robi śledztwo, kto to kradnie, mówię mu: kurwa, Stachu, daruj se te włazy, a on nic. Chłop musi żyć, musi mieć co jeść...

Szkoda, że nikt nie ukradł włazu, jak siedziałem w kanale z Koreniem – pomyślałem.

– I żyje pan z tego?

– Żyję jak widać, ale co to za życie? Moje, własne... – zamyślił się – Ale gównu, nie życie! – westchnął.

Wychodziliśmy właśnie na ulicę skapaną w popołudniowym wrześnieym słońcu. Z racji braku pobocza pchałem wózek prawnym pasem jezdni, z boku dreptał mój wybawca. Po chwili za nami utworzyła się kolejka samochodów. Zza otwartych szyb niektórych mijających nas aut posypały się przekleństwa. Po kilku takich spotkaniach byłem mocno poirytowany.

– Zawsze tak jest? – spytałem.

– Jak?

– No, z tymi kierowcami?

– Aaa, z nimi? Zawsze. Już się człowiek przyzwyczaił. Jak widać się gównu, to trzeba je omijać, bo jak się je ruszy, to gorzej śmierdzi. Dla nich gównem jestem ja i w tej chwili ty, dla mnie oni to gówna, często zapakowane w piękne garnitury i luksusowe samochody, ale gówna! A śmierdzą przez to jeszcze gorzej. Sam taki byłem...

– Nie wkurza to pana?

– Od dawna nie zwracam na nich uwagi. Po prostu pcham swój wózek do przodu – odparł.

Było coś niezwykłego w tym pchaniu wyładowanego złomem dziecięcego wózka przez pół miasta. Miałem totalnie gdzieś, czy ktoś mnie zobaczy, opinia innych nie liczyła się dla mnie w tej chwili. Ja chyba nawet byłem dumny z tego wózka! Może właśnie odbierałem jedną z najważniejszych lekcji w życiu? Czas miał pokazać...

Późno wróciłem do domu. Wyjątkowo długo nie mogłem zasnąć.

VI

...Szli lasem w milczeniu, trzymając się za ręce. Nie mówili nic, ich spojrzenia wcześniej powiedziały sobie już wszystko. Był ciepły, lipcowy wieczór. Słońce już zaszło, jednak ciemność nie zdą-

żyła jeszcze objąć władzy nad światem. Za cienkim pasmem drzew odnaleźli niewielką łąkę, trawy układały się miękko pod ich stopami, dookoła unosiła się biała zastona dziwnie nierealnej mgły.

Chłopiec położył się na trawie, dziewczyna ułożyła głowę na jego piersi. Byli szczęśliwi.

– Wiesz co, kocham cię – powiedział – Nigdy mi się to jeszcze nie przytrafiło... Kocham cię tak bardzo, że aż... bardzo... – nie potrafił znaleźć słów.

– Wiesz co? – odpowiedziała – Ja ciebie też.

Wszystko, mgła, drzewa, źdźbła trawy, zawirowało mu przed oczami. Powiedziała to po raz pierwszy. Mgła przestoniła mu twarz, wypełniła myśli jedną, najpiękniejszą materią.

– Serio? – spytał jeszcze, niedowierzając własnemu szczęściu.

– Serio, serio...

Cały świat odplynął w nicość, mógł teraz umrzeć na tej łące, mgła i las mogłyby go pochłonąć. On nawet tego pragnął! Wreszcie odnalazł coś, czego przez całe swoje życie bezskutecznie poszukiwał. Wreszcie wszystko będzie normalnie, przecież ktoś go kocha! Czy można znaleźć piękniejsze miejsce na ziemi? (...)

Kilka miesięcy od tego wydarzenia, przejeżdżał wieczorem obok tej samej łąki. Przez cienkie pasmo drzew przelewało się białe morze mgły.

Tak, minęło wiele czasu odkąd ostatni raz trzymał ją za rękę. Dziś nie miało to żadnego znaczenia, stracił wystarczająco dużo energii wmawiając sobie, że nie chce jej znać. Dziwne, nieznanie nigdy wcześniej uczucie kazało mu tu nagle powrócić: zatrzymał rower i tak jak kiedyś położył się w wysokiej trawie. Nad nim wieczorne niebo, dookoła las układający się do snu, mgła. Brakowało tylko...

Leżał spowity mlecznobiałym całunem, aż twarz rozjaśniło mu blade światło księżyca. Cały świat zdawał się z niego drwić, a łąka zapadać się w przepaść, zabierając go tam, gdzie zresztą było jego miejsce. Teraz też mógł umrzeć, nikogo by to nie obchodziło. Był sam...

– Co to, kurwa, za szajs! – wykrzyknąłem po przeczytaniu kolejnej historii miłosnej w *Tele Tygodniu* – Ludzie naprawdę nie mają nic lepszego do roboty, wymyślają takie gnioty i jeszcze dostają za to pieniądze! Przecież też bym tak umiał! Nic nie robić, tylko pisać historyjki rodem z *Harlegina*! Kurwa, łąka, mgła, romantyzm od siedmiu boleści... Wielkie mi co, szastać słowami „kocham” na prawo i lewo! Przecież, gdy ktoś mówi, że kocha, to nie porzuca kilka miesięcy później! Gdy ktoś mówi, że kocha, to znaczy, że zobowiązuje się wobec drugiej osoby, że jej nie opuści; nie ważne, czy będzie dobrze czy źle!

Powtarzałem swoje poglądy jak wyuczoną lekcję. Czasem jednak zaczynałem tracić pewność. Słowo „kocham” – tak wiele dzisiaj znaczy, że prawie nic... Ale przecież...

Skoro „istnieją rzeczy na niebie i ziemi...”, to może coś tutaj jednak ma sens? Miłość, tylko taka miłość prawdziwa, oparta na szczerości, zaufaniu, oddaniu, taka mickiewiczowska teoria dusz bliźniaczych. Fikcja?

Zacząłem się zastanawiać, czy to czasami nie ja jestem w błędzie. Może miłość prawdziwa istnieje, tylko zagubiliśmy ją w dzisiejszych chorych czasach. Może można ją jeszcze gdzieś odnaleźć, odkryć, odkopać, odwalić na bok cały ten przesłaniający ją syf, całe zło, znieczulicę, szybki seks, materializm, egoizm... Przecież, ile jest osób niepotrafiących żyć bez tej drugiej połówki, ile ogłoszeń matrymonialnych w gazetach, ile piosenek, „że najgorzej w życiu to samotnym być”. Ile małżeństw wciąż się łączy i pozostaje ze sobą na dobre i na złe. Może to właśnie oni wszyscy mają rację? Może jestem tylko mały, głupiutki chłopaczek? Może znalazłaby się dziewczyna, która pokochałaby i mnie, takiego jakim jestem, bez pieniędzy i maski na twarzy?

Skrycie pragnąłem tego. Samotność wiązała się z coraz większą pustką i choć robiłem wszystko, by wypełnić tę przestrzeń, ciągle odczuwałem bolesny niedosyt. Może jednak należałoby mieć dziewczynę...

Może.

Może tak, a może nie. Za dużo tego morza! Po co ja się w ogóle nad tym zastanawiam?! Bez sensu.

Trzeba było zbierać się do szkoły. Zza drzwi łazienki usłyszałem pukanie Duszyka. Zawsze przychodził po mnie rano i do szkoły szliśmy razem. Oczywiście jeśli po drodze nie zboczyliśmy gdzieś na lewo.

Okazało się, że ani jego ani Korenia nie złapali sokiści. Zresztą, podobno nie gonili za nimi zbyt wytrwale. Po kilkuset metrach dali im spokój. Przynajmniej oszczędzono im traumatycznych przeżyć w jakimś kotle.

Na dworze znów piękna pogoda i czyste, rażące oczy błękitem niebo. Udał nam się wrzesień w tym roku, ale bynajmniej nie nadawał się do chodzenia do szkoły! Pewnie normalnie zafundowałbym sobie nowe wagarary, ale nawet na to nie miałem pomysłu. Byłem dziwnie rozleniwiony, o niczym nie chciało mi się specjalnie myśleć. Był poniedziałek i czekało mnie sześć lekcji. Przesiedzę je jakoś, ponudzę się, a potem zastanowię, co dalej – myślałem tego ranka. Nie proponowałem więc Duszykowi żadnej zmiany kierunków. Opowiedziałem mu historię z mleczarnią i zbieraczem złomu i tak doszliśmy spokojnie do szkoły. Należało „usprawiedliwić” sobie nieobecności.

Nie mogliśmy mieć bowiem nieusprawiedliwionych godzin. System działał i, chcąc nie chcąc, należało z nim walczyć albo go „umiejętnie obchodzić”.

Umiejętne obchodzenie polegało w tym przypadku na własnoręcznym usprawiedliwianiu sobie przewagarowanych godzin. Zazwyczaj w tydzień po wagarach, po godzinie wychowawczej, na której zwykle przyznawaliśmy się do braku oficjalnego powodu opuszczenia lekcji, udawało się nam znaleźć gdzieś dziennik i samemu pousprawiedliwiać sobie wagarary. Z reguły robiliśmy to w piątek, na przerwie pomiędzy dwoma lekcjami polskiego, gdy razem z dziennikiem zostawaliśmy w klasie.

Obejście systemu działało bezbłędnie. Darek nie tylko nie wracał do wagarów sprzed dwóch tygodni, ale nawet te usprawiedliwione przez nas godziny traktował jak rzecz najnormalniejszą na świecie. Do dziś nie wiem, czy był aż tak bardzo roztargniony, że nie pamiętał braku usprawiedliwień, czy robił to celowo, wiedział wszystko i przymykał na to belfrowskie oko. Co by mu zresztą

przyszło z robienia nam kłopotów z tak błędnego powodu? Chuliganami, jak już pisałem, nie byliśmy, a nieobecności mogą się zdarzyć każdemu. I tak wszyscy muszą skończyć podstawówkę. Nawet Grzesiu Adamczuk, siedzący w ósmej już drugi rok i niezamartwiający się specjalnie nauką czy chodzeniem do szkoły. Po co więc jeszcze uprzykrzać ten czas?

Jak zwykle się spóźniliśmy. Pani Pabierz – nasza nauczycielka biologii, z którą mieliśmy pierwszą lekcję, odnotowała to skrupulatnie. Miałem tyle spóźnień, że jakoś nie przejąłem się tym za bardzo. Co w tym dziwnego, że uczeń spóźnia się do szkoły? Nie dość, że robię im łaskę, że w ogóle tu przychodzę, to jeszcze mam być punktualny jak dzwonnik w Boże Ciało? Niedoczekanie.

Biologia minęła w nudzie. Trzy pozostałe po niej lekcje też. Nadeszła tak zwana „długa” przerwa. Długa tylko z nazwy wymyślonej przez jakiegoś kretyna, jak bowiem piętnaście minut wolnego czasu można nazywać długim okresem?

Jak zwykle przy pięknej pogodzie, wraz z męską częścią mej klasy, siedziałem na poręczy schodków, na murku okalającym wejście do podziemnych kotłowni. Chłopaki gadali właśnie o jakichś grach komputerowych, prym wiódł jak zwykle Duszyk, tym razem wspólnie z Piotrkim Mazurkiem. Nie byłem za bardzo w temacie, siedziałem trochę z boku, ignorując jak tylko się dało ten temat. Skąd ja niby miałbym coś wiedzieć o komputerach? Przecież nigdy nawet marzyłem o kompie nie śmiałem...

Obserwowałem jaskółki krążące po błękitnym niebie, nad stropem sali gimnastycznej, gdzie miały swoje gniazda. Jakoś nie kwapiły się jeszcze do ciepłych krajów... Minuty płynęły leniwie i powoli.

Nagle drzwi szkoły otworzyły się z cichym trzaskiem naderwanych przez kilka uczniowskich roczników zawiasów. Nie zwróciłem na to specjalnie uwagi. Ze szkoły wyszła dziewczyna. Blondynka.

– Cześć Wiktoria! – powiedział do niej Bogdan Pryk.

– Cześć – odpowiedziała.

I wtedy dopiero odwróciłem w jej stronę głowę...

Odwróciłem głowę i w tej samej chwili tego pożałowałem. Poczulem idiotycznie dziwne kopnięcie prądu. Wstrząs rozchodził się

powoli, biegł od poręczy, na której siedziałem, przechodził przez zakończenie pleców, plecy, wypełniał szumem klatkę piersiową, aż w końcu dotarł do głowy i...

Po prostu nie wiem, jak mam opisać, co się wówczas stało. Wszystkie zmysły zdały się nagle przepalać, wariować, kręcić dziwnym, nieuzasadnionym pędem, coraz szybszym...

Była to najładniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widziałem. Ładniejsza, niż mogłem to sobie nawet wyobrazić! Wszystko w niej było piękne, jakby dziwne światło biło od niej, rozświetlało jej drogę i...

Że też zachwycam się jakąś dziewczyną! Bzdura, nie zachwycam się wcale, ale ona...

Długie blond włosy opadały na jej smukłe ramiona, lekko zadarty nosek, idealnie wkomponowane niebieskie chyba oczy, nie za duże lecz po prostu idealnego kształtu usta... I ten blask...

Cała poruszała się jak w zwolnionym tempie, kołyszając zmysłowo biodrami, a nad nią i dookoła niej unosił się złoty deszcz blasku, luna bijąca jak od pożaru, od ognia, który miała pewnie gdzieś wewnątrz. Złapać ten ogień, ogrzać się...

Co za brednie, to tylko słońce, głupku, kretynie, panuj nad sobą!

Jest piękna! Niech nie odchodzi! Niech zostanie, zagada, podejździe, cokolwiek... Chcę cię poznać! Zostań! – chciałem krzyknąć, nie zrobiłem jednak nic, szczękę miałem dziwnie znieruchomiłą. Bo i co, do cholery, miałem robić? Widzę dziewczynę, podoba mi się, nigdy nie czułem czegoś podobnego, jestem w szoku. Siedzę więc tylko na tej cholernej poręczy i gapię się na nią, odprowadzam ją wzrokiem, zapamiętuję każdy jej ruch, podświadomie słyszę każde plaśnięcie jej trampek o płyty chodnikowe, podświadomie czuję, że ogarnia mnie niezwykle podniecenie, gorączka. Tkwię w miejscu. Przecież nawet jej nie znam! Liczy się tylko jedna chwila, błysk oka, świadomość, że nigdy wcześniej żadna dziewczyna nie wywarła na mnie takiego wrażenia!

To jest całkowicie irracjonalne, ale czułem, że jak najprędzej pragnę dla niej zaistnieć, załapać się choćby na jeden mały promyk

z tego wewnętrznego ognia, bo o żar bijący od całego ogniska, pewnie nie ośmielę się nigdy poprosić.

Wiktoria oddalała się powoli, kierując śpiewnie swe ciało wzdłuż muru sali gimnastycznej. Prąd nie opuszczał mnie jednak, buzował w mej czaszce, narastał, otaczał mój mózg coraz ciaśniejszymi kabełkami, wygniatał z niego wszelkie, w miarę trzeźwe i niezwiązane z nią myśli. Liczył się tylko stan, w którym się znalazłem. A był to bardzo dziwny stan, nigdy wcześniej u mnie niespotykany. Zapomniałem o wszystkim, o jaskółkach krążących nade mną, o kumplach rozmawiających spokojnie obok...

Oni również nie pozostali obojętni.

– Niezła dupa – skomentował Duszyk.

– No, niezła... – potwierdziło kilka głosów.

– Znajoma? – spytał Bogdana Łukasz Błachowski – najwyższy i ponoć, obok Korenia, najprzystojniejszy chłopak z klasy.

– Sąsiadka – stwierdził Bogdan i machnął lekceważąco ręką
– Ale zajęta.

– Taka dupa, trudno żeby nie była zajęta. Z kim chodzi?

– Eeee tam, nie znam... Jakiś bubek z osiedla. Nie muszę znać wszystkich jej kolesi. Sporo ich było. Nie gadam z nią specjalnie.

Czyli ma chłopaka – pomyślałem – Trudno, i tak nie planuję przecież bawić się w jakieś związki. Niech sobie ma. Szczęściarz! Pomyślałem szczęściarz?! Jezu! Drobne przejęzyczenie. Po prostu chłopiec nieświadomiony, na niższym stopniu rozwoju psychicznego, mający pewnie kasę i za mało problemów na głowie, mogący więc zajmować się dziewczynami. Pewnie jakiś pieprzony piękny lowelas z plastikowymi włosami i beczelnie zadartym nosem. Ale jednak. Szczęściarz!

Nie przyjmowałem do wiadomości tego, że ja – Durex – wróg wszelkich związków, mógłbym się w ogóle kiedykolwiek zakochać. A niestety zakochałem się wtedy po czubek głowy... Dziwne fale oblewały całe moje ciało. Raz były lodowato zimne, innym razem przerażająco gorące. Kompletnie nie wiedziałem, gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Każda myśl biegła w jej kierunku.

A ona... Oddalała się wciąż idąc wzdłuż tej cholernej sali gimnastycznej, a ja nie mogłem oderwać od niej wzroku, aż zupełnie już malutka jej postać zniknęła za załomem bloku.

– Ty, idziesz na lekcje? – usłyszałem po chwili głos Korenia
– Co ci się stało?

Chłopaki znikali właśnie za drzwiami szkoły. Dzwonek przebrzmiał dobrą minutę temu.

– Wiesz co, stary, chyba tu zostanę... Przecież dzwonek jest dla nauczycieli, nie wiesz tego? – sparafrazowałem słowa Kolkowej.

– Też prawda – uśmiechnął się – Zostać z tobą?

– Nie. Idź, nie możemy tak ciągle uciekać. Mam jakiś dziwny dzień. Zresztą, jeszcze nie wiem, może po prostu się spóźnię...

– Okej, to na razie – odwrócił się i odszedł.

Nie poszedłem na następną lekcję. Na dwie kolejne również. Musiałem przemyśleć na trzeźwo parę spraw.

Zakochanie. Naczytałem się wiele historyjek o tym strasznym uczuciu, poznałem w teorii jego symptomy i znaki rozpoznawcze, nie byłem głupi – wiedziałem, że właśnie doświadczyłem w praktyce tego, co powszechnie nazwane zostało pierwszym ciosem, uderzeniem młotem. Zawsze jednak mógł to być przypadek, należy teraz obserwować, co się stanie dalej. Ważna jest reakcja na każde kolejne wejrzenie, przyspieszony oddech, bicie serca... Jedna jaskółka wiosny nie czyni, pierwsze wejrzenie nie powoduje choroby z miłością w tle. To tylko złudzenie – wmawiałem sobie. Niemożliwe, bo nie może być możliwe. Zakochanie nie jest dla ciebie, jesteś na to zbyt uodporniony.

Samo pojęcie *zakochanie*, to zresztą brednia... Zakochać się – po angielsku *fall in love*, dosłownie – wpaść w miłość. Można wpadać w kałużę, do rzeki, do dołka, do szkoły. Ale w miłość? Brzmi nieciekawie.

Dziwne; mimo wszystko czułem, że to, co mnie spotyka, to jednak wielka sprawa i że coś trzeba będzie z tym kiedyś zrobić.

Kolejna irracjonalna rzecz: W głowie zaczął mi kielkować PLAN. Niczym u schizofrenika, mój umysł zaczął pracować dwutorowo. Pierwszy tor myślenia biegł w miarę prosto i starał się wybić mi z głowy wszystkie śmieszne i nierzeczywiste pragnienia.

Drugi tor był znacznie bardziej zawily, pełen rozgałęzień i wątków pobocznych. Pokazywał mi, że muszę coś zrobić, by poznać tę dziewczynę, ona musi dowiedzieć się o moim istnieniu, zauważyć mnie...

Nie będzie to łatwe, ale musi się jakoś udać. Gdyby więc udało się ją poznać, zagadać, umówić się z nią (tu pojawia się jaskrawo-czerwona, pulsująca lampka z napisem KASA), gdyby udało się ją w sobie rozkochać... Przecież, cóż to znaczy rozkochać w sobie dziewczynę? Prawdopodobnie nic trudnego...

Rozkochać?! Człowieku, o co ci chodzi, po co te brednie?! Po co masz ją w sobie rozkochać? „Żeby potrzymać łaskawie za rękę lub ukradkiem pocałować czy włożyć rękę pod spódnicę”? – przypomniała mi się lekcja polskiego i rozsądek przez chwilę szczęśliwie wziął górę. Jednak wystarczyło, że przypomniałem sobie twarz Wiktorii i od razu rozsądek zamilkł. Niestety na dłużej.

Siedziałem na tej barierce i myślałem.

I co się porobiło? Jeden rzut oka na jakąś kozę i już człowiek wariuje! Kozę?! Wypluj to słowo! To najpiękniejsza koz... dziewczyna w szkole!

Brednie w stylu historyjek z *Tele Tygodnia*, czemu nagle wydawały mi się normalne i nawet, hmm..., romantyczne? Muszę iść się dotlenić...

Ale zaraz! Ja przecież cały czas się dotleniam!

Po godzinie siedzenia, i zdecydowanie ponadprzeciętnej galopadzie myśli, doszedłem do tego, że chcę poznać Wiktorię i sprawić, bym zaczął dla niej coś znaczyć. Może nie będzie trudno, może słyszała o mojej, sławnej przecież ucieczce z domu, albo o wagarach, lub po prostu znajdzie się jakiś wspólny temat, którego trzeba się będzie uchwycić i trzymać jak ostatniej deski ratunku. O czym z nią rozmawiać? O czym właściwie rozmawia się z dziewczynami?

Przecież to takie banalne...

Nieważne. Wszystko musi samo się ułożyć. Chyba, że to było tylko jednorazowe walnięcie młota, nie żadne zakochanie – ludziem się jeszcze na wszelki wypadek. Należało to sprawdzić. Naj-

proszym sposobem będzie po prostu zobaczyć ją w szkole po raz drugi.

Powoli wstałem z barierki i wróciłem do domu. Pamiętam, że strasznie bolał mnie odgnieciony tyłek, szedłem dziwnie, jak po butelce taniego wina marki *Wino*. Wstrząsy mych kroków rozpląwały się po całym ciele, by stłumić się wreszcie w powiązanych drucikami, pulsującym jednym dźwiękiem mózgu. Dźwiękiem imienia pewnej, po raz pierwszy ujranej dziewczyny.

VII

Mówili na mnie Durex. Była to marka, drugie imię, tak jak na Grzesia Adamczuka mówiło się Świnia, na Michała Nemca – Niemiec, na Przemka Korzeniowskiego – Koreń, na Przemka Dusznego – Duszyk, na Piotrka Mazurka – Buli itp. Każdy miał jakieś drugie imię, ksywę, która brała się z najróżniejszych nieraz powodów.

Historia mojej nie była zbyt skomplikowana.

Wiąże się z nią lekcja geografii, w siódmej klasie, kiedy to nasz nauczyciel, pan Wołkiński, skonfiskował mi paczkę prezerwatyw (my też bawiliśmy się wtedy w wojny napełnionymi wodą kondomami. Kto z chłopaków w podstawówce tego nie robił?) i jak to on, a był to nauczyciel lekko ekscentryczny, zaczął się nimi bawić na oczach uczniów. Wyjął z paczki jedną z prezerwatyw, w milczeniu powoli ją rozwinął, uśmiechając się do nas ironicznie.

– Wiecie chociaż, do czego to służy? – spytał.

– Jest to najczęstsze zabezpieczenie przed niechcianą ciążą. Zakłada się to na członka w stanie wzwodu – wyrecytowałem po chwili.

– No, bardzo dobrze! Widzę, że nie muszę was edukować w tej dziedzinie. Ale, po co to panu w tym wieku, panie Gumiecki?

Zaczerwieniłem się lekko, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Nie mogłem wypalić, że w celach seksualnych, nie uwierzyłyby przecież, a przyznać się, że na przerwie mieliśmy zamiar napełnić te

kondomy wodą i powiesić na lampie, też było jakoś nie po męsku. Wybrałem więc najbardziej neutralne rozwiązanie:

– Przyniosłem w celach edukacyjnych, dla mniej uświadomionych znajomych. Pan wie, jakie mamy czasy. Młodzież szybciej dojrzewa, musi znać funkcje prezerwatywy...

– Podkradłeś rodzicom, czy jak?

– Nie. Starszej siostrze! – zakpiłem, starając się uniknąć kompromitacji.

– I pan chce innych edukować seksualnie, tak? Może widzi pan jakiś związek pomiędzy pana nazwiskiem a materiałem z którego te gumki są wykonane, co?

– Hmm... Tak! – odparłem nieśmiało. Pan Wołkiński był jednym z bardziej wyrozumiałych i tolerancyjnych nauczycieli.

Tu już klasa nie wytrzymała i ryknęła śmiechem. Mieli ze mnie prawdziwy ubaw aż do dzwonka, który przyszedł jak wybawienie.

Nie odzyskałem tych kondomów. Pewnie, skonfiskowane, zostały wykorzystane zgodnie z ich przeznaczeniem.

A później na przerwie szliśmy: ja, Koreń i Duszyk do pobliskiego spożywcza – *Smyka*. Koreń spytał, co to za kondomy, odpowiedziałem, że Durexy. Nazywam się Gumiecki, skojarzenia z gumą i z prezerwatywami nasunęły się im od razu i tak zaczęli na mnie wołać – Durex. Początkowo oburzałem się na to, ale po jakimś czasie ksywka nie wydała mi się poniżająca i nawet mi się spodobała. W końcu przylgnęła do mnie jak drugie imię i już mało kto w klasie mówił na mnie inaczej. Wolałem być Durexem, bo wcześniej sporo osób mówiło do mnie po nazwisku, lub po prostu guma, co bardzo mnie irytowało.

Jak to jest, że ludzie w Polsce mają dużo lepszą pamięć do nazwisk niż do imion? Dlaczego prawie nikt, przez całą podstawówkę nie zauważał, że po prostu mam na imię Piotrek?

Gdy więc miałem już do wyboru gumę albo Durexa, stwierdziłem, że to drugie jest niby również określeniem gumy, ale jakimś lepszym, nie wiem, firmowym.

Odkąd zaczęli wołać na mnie Durex, wszystko się zmieniło. Poczulem, że koledzy darzą mnie szacunkiem, a gdy jeszcze pod

koniec siódmej klasy rozległa się wieść o mojej ucieczce z domu, szacunek ten znacznie wzrósł. Dzieciaki w okresie dojrzewania dążą do akceptacji rówieśników, cieszyło mnie to więc. Chociaż diabła wart był cały ten mikroskopijny świat mojej podstawówki, podobnie jak i naszego pięknego podkarpackiego miasteczka, coś jednak przecież w nim znaczyłem. I nawet potrafiłem być z tego dumny.

Mniejsza jednak o ksywę. Miałem o wiele poważniejsze problemy na głowie. Zastanawiałem się, jak można zaimponować najpiękniejszej dziewczynie w szkole. Bo nie miałem najmniejszej wątpliwości – Wiktoria była najpiękniejszą dziewczyną w szkole. Tylko od niej biła ta luna, ten porażający oczy blask, ogień wewnętrzny, który miała gdzieś w sobie płonął wciąż nieprzerwanie, ogrzewając przestrzeń dookoła. Tylko ona miała w sobie ten ogień, każda inna dziewczyna, mijana na korytarzu zdawała się być przy niej zimnym głazem, wypalonym kawałkiem drewna, imitacją kobiety, niebudzącą żadnych większych emocji, poza obojętnością, która przecież emocją nie jest.

Następnego dnia po pierwszym jej ujrzeniu zobaczyłem ją znowu. I już wiedziałem, że uderzenie młota nie było przypadkiem. Wiktoria odniosła *victorię*.

Stała w ciemnym kącie korytarza na parterze...

Powiedziałem: ciemnym? Otóż, ten kąt z reguły był ciemny! Można było schronić się w nim, gdy chciałeś ukryć się w cieniu, gdyż okna były daleko i nigdy nie dochodziło tam słońce. Nie dało się tam czytać ani uczyć z powodu braku oświetlenia. A teraz? Teraz siedziała w nim ONA a cała przestrzeń wokół niej pulsowała białym najczystszy światłem! Jego źródło stanowiła ona sama, promienie rozchodziły się od całej jej postaci, począwszy od stóp odzianych w trampki, aż po czubek blondgłowy. Światło, najprawdziwsze światło, przy którym można było z powodzeniem czytać, nawet napisane najdrobniejszym druczkiem przez lekarzy z czterdziestoletnią praktyką, napisy na receptach lekarskich! A ja byłem zakochany w tym świetle i w całej jej postaci. Zakochany wbrew sobie, wiedziałem na pewno...

Tylko ciągle nie miałem pojęcia, co z tym zrobić...

– Co robimy z tą matmą? – medytację nad stanem emocjonalnym, spowodowanym ujrzeniem Wiktorii, przerwało nadejście Korenia

– To, co zwykle... – mruknąłem, odwracając głowę w stronę mego najlepszego przyjaciela – Rutynowa procedura...

Uśmiechnął się. I wszystko jasne.

Może to i dobrze, że są na tym świecie tak przyziemne rzeczy, które potrafią od razu przywołać człowieka do porządku. Oto bowiem nadchodził ostatni dzień września, a wraz z nim, zapowiadany od dłuższego czasu sprawdzian z matematyki.

Oczywiście nie miałem absolutnie żadnej wiedzy z tego przedmiotu, więc pisanie sprawdzianu nie wchodziło ani przez chwilę w rachubę. A nauka? – ktoś spyta.

Nauka nie wchodziła w rachubę tym bardziej. Nie myślałem w ogóle, że mógłbym kiedykolwiek z dobrym skutkiem wziąć się za naukę matematyki. To całkowicie przerastało możliwości mojej zmęczonej niekończącą się piękną pogodą i do tego, niestety, zakochanej głowy.

Jedynym rozsądnym wyjściem były wagary. Solidne wagary, z całego dnia i to prawdopodobnie nie samotne. Koreń bowiem myślał podobnie. Próbowaliśmy jeszcze zwerbować Duszyka, jednak, ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu, chłopak postanowił iść i napisać ten sprawdzian. Decyzję uzasadniał marnymi ocenami, przez miesiąc bowiem zdążył już u pani Kolek zaliczyć dwie kapy, powoli nabierał obrzydzenia do matematyki, miał jednak wciąż nadzieję, że powoli wyjdzie na prostą. Jego decyzja – pomyślałem – Oby tylko źle na tym nie wyszedł. Matma nie była jego najmocniejszą stroną.

Nad Wisłokę spod szkoły było około półtora kilometra. Żeby dojść na miejsce, musieliśmy przejść obok starego cmentarza, potem przez długą łąkę, na skos, obok pewnego drzewa nazywanego Naszym Drzewem, przejść przez początek alei Niepodległości, dojść do Poczty Głównej, potem przez park, ulicę Wolności i Lwowską, a potem Lisa na Rzeczną, a z stamtąd na kładkę. Potem jeszcze kawałek, pięćset metrów wałem w lewo, w stronę od-

ległego pomostu, w dół i już było się na miejscu. Budynek wodociągów widać z daleka. Jest duży, brzydki i ma po bokach dwa narożne balkony.

Tama. Zawsze zadziwia mnie to miejsce. Za każdym razem panuje tu inny klimat, inaczej świeci słońce, woda przybiera inny kolor, inne odcienie ma tęcza, tworząca się nad garbem przy słonecznej pogodzie, inny jest poziom wody, widoczny dokładnie na zamontowanym przy ścianie budynku wodowskazie. Nigdy nie zdarzyło mi się dwukrotnie zobaczyć Tamy w tej samej szacie i barwach. Może właśnie w ten sposób przejawiała się magnetyczna niezwykłość tego miejsca...

Okolica będzie zupełnie pusta. Staniemy na schodkach tuż przy garbie. Prędkość prądu była tu olbrzymia.

Niewiele zapamiętam z tych wagarów. Wiem tylko, że włożę rękę do wody, a w powietrze wzbiją się bryzgi białej piany.

– Zimna? – zapyta Koreń.

– Nie bardzo. Ale już bym się tu nie kąpał – odpowiem.

Podczas wiosennych wagarów kąpaliśmy się w tym miejscu. Kładliśmy głowy tuż przy garbie, patrząc przez pryzmat wody na błękitne niebo. To było niezwykle, czuć jak potężne zwały wody przelewają się po włosach. Pod fontanną, rozbijającą się z olbrzymią prędkością o tył głowy tworzyła się nisza i można było spokojnie oddychać, obserwując skąpany w słońcu świat z tej niepowtarzalnej perspektywy. Byliśmy szczęśliwi. Spacerowaliśmy po garbie, igrając z siłami natury...

Zostawiwszy plecaki na schodkach przejdziemy przez okalający budynek płot i znajdziemy się na terenie wodociągów. Jest tu wiele różnych zakamarków, w tym owe dwa balkony znajdujące się osiem metrów nad wodą. Podczas wielkiej powodzi w dziewięćdziesiątym siódmym, gdy woda rozlała się aż do wałów, balkony ledwo wystawały ponad powierzchnię. Co pięć minut wtaczały się tu jakieś komisje przeciwpowodziowe, była nawet ogłoszona ewakuacja i stan alarmowy. Przedarłem się wtedy na balkon i przez chwilę poczułem, jakbym stał na tonącym okręcie. Zewsząd otaczała mnie wściekle brunatna topiel. Burzyła się i pieśniła tuż pode mną. Nie widziałem możliwości ucieczki, tylko jeden

pomost zapewniał kontakt z suchą ziemią, bo przed wałem, gdzie zwykle jest twardy grunt, rośnie trawa i drzewka, a pobliskie dzieciaki palą nieraz ogniska lub grają w piłkę, stały dwa metry wody. Wrażenie było niezwykle, ale zaraz przysło, bo na balkon przyszła kolejna komisja, musiałem uciekać gdzie pieprz rośnie i jeszcze mnie straszyli policją...

Teraz Wisłoka za nic nie będzie przypominać tej z dziewięćdziesiątego siódmego. Betonowe koryto Tamy będzie całkiem odsłonięte, a woda będzie przelewać się z hukiem przez garb w przeznaczonym do tego miejscu. Będzie jej nawet trochę mniej niż zazwyczaj. Wodowskaz wskazywał chyba 1,8 metra.

Wagary z dnia trzydziestego wrzeźnia upłyną w atmosferze miłego rozleniwienia. Słońce będzie przygrzewać, będziemy siedzieć na betonowej plaży, rozmawiając o niczym i nie robiąc zupełnie nic. Niebo będzie całkowicie błękitne, nieskażone nigdzie żadnym zabłąkanym obłoczkiem. Woda w Wisłoce, tym razem zielona, będzie przejrzysta do tego stopnia, że w wielu miejscach dostrzeżemy prześwitujące kamieniste dno. Wrześniowe słońce już nie parzyło, za to delikatnie grzało, lekko opalając dłonie i twarze...

Sześć lekcyjnych godzin minie jak z bicza trzasnął. Z pewnością było już dawno po sprawdzianie. Trzeba będzie wracać. Byliśmy tak wypoczęci, że na myśl, że biedne dzieci duszą się w szkole, uważając ją za zło konieczne, zechce nam się po prostu śmiać. Toteż będziemy śmiać się przez całą drogę do domu.

Jakiś tydzień później Kolkowa oddawała sprawdziany. Duszyk dostał jedynekę. Trzecią do kolekcji i zrobiło mu się smutno. Trochę go żalowaliśmy, widać było bowiem na jego przykładzie całą sprawiedliwość systemu edukacji. Chłopak się uczył, postanowił postąpić uczciwie, pójść ze zwieszoną głową na sprawdzian, napisać... I dostał za to kolejną pałę i przysłowiowego kopa w dupę. A szkoła ma ponoć uczyć uczciwości, tak? Jakoś nie widziałem jej zbyt wiele dookoła.

Niestety nie mogło się obyć bez nowej rozmowy z Darkiem. Kolejne wagary nie mogły w jego mniemaniu ująć nam płazem. Nie było sensu nawet się tłumaczyć, każdy z nauczycieli doskonale

już wiedział, że jeśli mnie i Korenia równocześnie nie ma w szkole, to na pewno nie jesteśmy chorzy. We wtorek mieliśmy pierwszą po opuszczonym czwartku historię z naszym kochanym wychowawcą. Była to siódma lekcja – czas, gdy nikomu już się nic nie chce.

Darek przyczłapał jak zwykle, trochę przygarbiony, trzymając w ręce nieodłączną czarną, skórzaną teczkę. Zasiadł za stołem i rozpoczął swój normalny rytuał. Siedem razy uspokajał klasę, wyjął z teczki belfrowskie papiery, przejrzał je, otworzył dziennik, wpisał temat, sprawdził szybko obecność (na siódmą lekcję często ktoś nie docierał), przerzucił w dzienniku kartkę wstecz i nagle... No tak. Zauważył sześć kresek absencji czwartkowej przy nazwisku moim i Korenia. Coś mu się przypomniało, bo oczywiście kazał nam wstać:

– No więc, gdzie tym razem byliście na wagarach? – spytał bez kołowania nad pasem startowym.

– Nad Wisłoką – odpowiedziałem.

– Co tam robiliście?

– Wąchaliśmy kwiatki – odparł Koreń.

– Wiem, że jesteś bezczelny, ale mógłbyś wymyślić coś oryginalniejszego, panie Korzeniowski. Coś podobnego! Inhalacje nad Wisłoką! W porządku. Tylko dlaczego w czasie lekcji?

– A kiedy mamy chodzić? – spytałem.

– Nie doczekaliście do weekendu?

– O rany! W sobotę też byłem – odpowiedziałem zresztą zgodnie z prawdą – Ale to nie to samo.

– Co wy tak nad tą Wisłoką robicie? – spytał jeszcze – Ryby łowicie?

– Czasami.

– To jak coś złowicie, to przynieście. A teraz poważnie: zabraniam wam chodzić na wagary, rozumiano? – głos Darka stał się nagle stanowczy.

Brak odpowiedzi z naszej strony był bardzo wymowny.

– Zrozumiano, panie Gumiecki i panie Korzeniowski?!

– Przypuścmy – odpowiedzieliśmy. My mamy mu obiecać, że nie będziemy chodzić na wagary? My?! On chyba nie wie, co mówić.

– Nie przypuśćmy, tylko tak albo nie! To jest niesamowite! Pierwszy raz mam takich uczniów! I ciągle nie widziałem się z waszymi rodzicami! Pan Duszny też!

– Co ja?! – oburzył się Duszyk.

– Obudził się! Rodzice gdzie są?

– Teraz? Pewnie w pracy. Ale ja ich nie szpieguję...

– Wstań!

Duszyk wstał. Darek zajrzał do dziennika.

– Nie byłeś z nimi – odetchnął – Siadaj!

Duszyk usiadł.

– A wy! Do jutra usprawiedliwienia widzę, a jak nie, to zachowanie obniżone i godziny nieusprawiedliwione. I ciągle czekam na waszych rodziców. Siadać!

Czekaj sobie, czekaj – pomyślałem uśmiechając się pod nosem. Było po sprawie. Godziny usprawiedliwiliśmy sobie na piątkowym języku polskim.

Swoją drogą, ciekawe, co by było, gdyby pewnego dnia na wezwanie Darka zjawili się nasi rodzice. Pewnie byłby tak zaskoczony, że nie wiedziałby, co powiedzieć. Ale to było przecież niemożliwe...

Październik. Spadły deszcze i, teoretycznie, nie pozostawało nic innego, jak się nudzić. A nudy nienawidziliśmy, jak niczego innego na świecie. „Machiavelli utrzymywał, że nuda gorsza jest niż troska, niż nędma, niż rozpacz, niż choroba, nawet niż śmierć. Lecz to włoska przesada” – pisał Żeromski. Nie wiedział, jak bardzo nuda potrafi być wyczerpująca dla młodzieńczej psychiki.

Deszcze przeciągały się w nieskończoność, jakby przyroda chciała wyrównać bilans po niezwykle słonecznym wrześniu. Doszło do tego, że przez tydzień nie oglądaliśmy błękitnego nieba. Niewiele rzeczy miało na mnie równie zły wpływ.

Ponieważ wyznawaliśmy zasadę, że co najmniej raz w tygodniu, dla zdrowia i podratowania kondycji psychicznej, należy obowiązkowo pójść na węgry, postanowiliśmy zrobić to i teraz, pomimo nieustającej ulewy.

Problem z deszczem polegał jedynie na tym, że nie było wiadomo, gdzie wtedy iść. „W czasie deszczu dzieci się nudzą” – śpiewał swego czasu Kabaret Starszych Panów. Prawda ta dotyczy nie tylko dzieci – myślałem. Za dziecko nie uważałem się gdzieś od szóstej klasy, konkretniej od momentu, gdy przestano mnie w domu traktować jak dziecko. Spore znaczenie miał tutaj mój pobyt w sanatorium, jeszcze większe ucieczka z domu i wiele innych istotnych drobiazgów. Skoro dla własnych rodziców nie byłem już dzieckiem, tylko najnormalniejszym, prawie dorosłym człowiekiem, trudno żebym sam czuł się jak dziecko. „Gdy byłem dzieckiem myślałem jak dziecko, czułem jak dziecko, kiedy zaś stałem się mężem, wyzbyłem się tego, co dziecięce...” – pisze autor natchniony w Biblii. Teraz byłem po prostu sobą. Nawet podwórko pod blokiem, które wydawało się kiedyś nie mieć granic i nieraz stawało się dla nas całym światem – w razie potrzeby było boiskiem, polem bitwy, lub lotniskiem dla wahadłowców – okazywało się stopniowo po prostu wąskim placykiem, porośniętym rzadką, szczeniastą trawą, oddzielającym blok od głównej ulicy.

Oczywiście nie byłem jakimś nad wiek dojrzałym piętnastolatkiem, wydawało mi się jednak często, że wiem o życiu nieco więcej niż niektórzy bogatsi rówieśnicy. Nie psułem wzroku, śledząc całymi dniami akcję kolejnej gry komputerowej, by potem opowiadać rozemocjonowanym głosem kolegom, ilu terrorystów zabiłem, nie miałem też złudzeń, że życie jest piękne, nie ma w nim bólu, a dobro zawsze musi zwyciężać. Czasami, dla zabicia kompleksów, mówiłem sobie, że w gruncie rzeczy jestem lepszy od innych, bo pozbawiony złudzeń. Dekadent siedzący we mnie wyraźnie dochodził wówczas do głosu. Czułem, że każdego musi w życiu spotkać jakieś rozczarowanie, a im więcej wiem o życiu teraz, tym mniej rozczaruję się, będąc dorosłym. Zamiast siedzieć przed telewizorem z setką kanałów (u mnie w domu były tylko cztery, a jeden gorszy od drugiego), lub zabijać wirtualnych terrorystów, jeździłem rowerem, biegałem, lub po prostu włóczyłem się po najróżniejszych, nieraz niezbyt bezpiecznych punktach miasta. W lecie wybierałem długie wyprawy rowerowe, w zimie szedłem zjeżdżać ze wzgórz u babci na starym worku po ziemniakach. To

było prawdziwe dzieciństwo. A nie jakieś wirtualne bzdury, kończące się skrajną niezaradnością życiową.

W ósmej klasie wyraźnie i boleśnie już odczuwałem, że moje dzieciństwo dobiega końca. Nie chcąc się na to zgodzić, a jednocześnie pragnąc podświadomie wybrać to, co jest dla mnie najlepsze, trudno było normalnie żyć, chodzić jak inni do szkoły... Każdy dzień traktowałem jak niepowtarzalny, starałem się maksymalnie wyzyskać każdą piękną chwilę, każdą książkę Niziurskiego – a przeczytałem wówczas wszystkie, jakie tylko dopadłem w bibliotece – odbierałem percepcyjnie, ze wzmożoną siłą, prawie zawsze identyfikując się z bohaterami. Mając w pamięci przygody z kanału, potrafiłem wyobrazić sobie chłopaków w podziemnych tunelach Nieklāju czy bohaterów *Księgi urwisów*, w nieczynnym szybie starej kopalni. Porównywałem swoje przygody do tych, ponoć *Niewiarygodnych przygód Marka Piegusa* i twierdziłem, że moje nie są wcale w niczym od nich gorsze. Niziurski to niezaprzeczalnie mój ulubiony pisarz tamtego okresu.

Tym też odróżniałem się wówczas od swoich rówieśników, rzadko trzymających w ręce książkę inną niż obowiązkowa lektura (a i to już tylko czasami). Czytałem.

Czytałem dużo i nikt mnie do tego nie zmuszał, robiłem to dla samej przyjemności czytania, dla tych światów tak podobnych nieraz do mojego, tak przecież poukładanych i realnych. To było genialne: czytać, odnajdywać siebie w opisanych sytuacjach, utożsamiać się z bohaterami, żyć przez chwilę ich życiem, na co dzień żyjąc właściwie... podobnie. Czytałem w każdej wolnej chwili, wszystko, co tylko wpadało mi w ręce.

Nie lubiłem jedynie fantastyki. Nie potrafiłem się w niej odnaleźć. Fantastyka wydawała mi się durna, wszelkie książki fantastyczne traktowałem jako bzdurę i stratę czasu. Owszem przeczytałem *Opowieści z Narnii* Levisa, *Władcę pierścieni*, *Hobbita* i *Silimarilion* Tolkiena oraz coś tam z Sapkowskiego i z Lema, to niezwykle książki, jednak pozostawiły we mnie pewien niedosyt. Byłem wprawdzie pod wrażeniem kreacji świata przedstawionego, wielkiej inteligencji i wyobraźni ich autorów, ale od książki wymagałem czegoś więcej: książka miała być dla mnie nie tylko zjada-

czem czasu, przy którym miło można spędzić wieczór. W książce pragnąłem wejść w opisywaną rzeczywistość. A rzeczywistość fantastyczna zawsze była sztuczna, stworzona przez mniej lub bardziej wygimnastykowany umysł autora. Nie umiałem w nią wkroczyć, nie odpowiadała mi więc. Może byłem ograniczony, ale wydawało mi się, że fascynacja fantastyką wynika u dzieci z potrzeby ucieczki przed rzeczywistością polskich osiedli, ze strachu przed normalnym, codziennym życiem i jego konsekwencjami. Ja najwidoczniej nie potrzebowałem ucieczek w tak rozwiniętą imaginację, znałem reguły prawdziwego świata i wołałem się po prostu z nimi zmierzyć. Oko w oko. Taplać się w jego zwyczajnych problemach i jeszcze czerpać z tego przyjemność. Wychodziło mi to całkiem nieźle. Czytając, wzbogacałem słownictwo, polonistki podziwiała moje wypracowania i erudycję. Tylko zapas w miejskiej bibliotece z czasem się skurczył.

Deszcz padał już drugi tydzień z rzędu, gdy postanowiliśmy zostać z Duszykiem na węgry u mnie w mieszkaniu. Pomysły na radosne spędzenie tych kilku godzin rosły nam w głowie jak grzyby w lesie, zresztą nie potrzebowaliśmy przecież żadnego planu. Grunt to dobra improwizacja.

Wcześniej Duszyk opowiedział mi pewną zabawną pomyłkę telefoniczną. Rzekomo zadzwonił do niego mocno zapijaczony facet i uporczywie wypytywał o jakiegoś Józka. Pomyślałem, czemu by nie spróbować porobić sobie żartów z ludzi przez telefon?

Do tego w pewien czwartek na chemii, Czuchra – nasza nauczycielka – opowiadała coś o łatwopalności. Mówiła na przykład, że substancje łatwopalne nie mają temperatury wrzenia i że nie da się ich ugotować... Czy aby na pewno?

No i już miałem koncepcję, jak wypełnić czas na wagarach z Duszykiem w moim domu. Koreń nie poszedł z nami tylko dlatego, że po prostu był chory i nie potrzebował ucieczki, by posiedzieć sobie w domowym zaciszu.

Duszyk przyszedł do mnie jak zwykle przed lekcjami i już został. Nie pamiętam nawet, co początkowo robiliśmy, ani o czym była rozmowa. Z Duszykiem zresztą dało się pogadać głównie

o seksie albo o motoryzacji, a moja wiedza z obu tych dziedzin była znikoma, lub tylko teoretyczna. Wiem, że w końcu postanowiliśmy wykonać kilka żartów przez telefon. Około dziesiątej pierwszy wykręciłem numer.

– Jest Józek? – spytałem grubym, męskim, zapijaczonym głosem.

– Przepraszam, ale to pomyłka – odpowiedział mi kobiecy głos.

– Jaka, kurwa, pomyłka! – zachrypiałem oburzony.

– Tu nie mieszka żaden Józek.

– Jak to, kurwa, nie mieszka?! Przecież wiem, jaki ten typ mi podawał numer!

– Ale to pomyłka! To nie ten numer.

– Słuchaj babo! Józek wisi mi za wino dwie dychy i miał być pod tym numerem, więc mi tu, kurwa, nie pierdol, tylko dawaj Józka do telefonu!

– Proszę nie przeklinać – usłyszałem w odpowiedzi wystraszone niewieści głos.

– Jak mi się, kurwa, odechce to nie będę, kurwa, kłać, ale daj mi tu Józka, natychmiast!

– Mówiłam panu, że to pomyłka...

– Ja ci, kurwa, dam pomyłka! Jak mi go nie dasz, to jak tam wpadnę, to taki rozpizd zrobię, że mi Józek wyciągnie spod ziemi tę forszę!

– Dobrze, spokojnie – kobieta była już porządnie wstrząśnięta

– Powiem temu Józkowi, żeby się z panem skontaktował. Jak się pan nazywa?

– Zdzisław jestem!

– A jaki Zdzisław?

– Co ty, kurwa, Zdzisława nie znasz?!

– Raczej nie...

– A chciałybyś poznać?!

– Nie... nie sądzę... – głos niepewny, wystraszony.

– To nie ma sprawy. I powiedz, ty, Józkowi, żeby był za *Jubilatem*, na błoniach, o drugiej, bo jak nie, to go spod ziemi wydo-
stanę! – nie muszę nawet opisywać, jak Duszyk pokładał się ze

śmiechu na dywanie w mym przedpokoju – Znajdę go i zapierdołę!
– grzmiałem dalej głosem pijanego czterdziestolatka – Nie będzie mi tu mojej forsy przepijał! Do widzenia!

Rzuciłem słuchawkę.

– I co? – spytał Duszyk, gdy w końcu uspokoił spazmatyczny śmiech.

– Babka się nieco przerażyła...

– Człowieku, żebyś ty się słyszał! Teraz ja!

Numer z Józkiem powtórzyliśmy jeszcze kilka razy, za każdym obserwując najróżniejsze reakcje ludzi. Raz nawet pogadaliśmy sobie z jakimś prawdziwym Józkiem.

Później postanowiliśmy zorganizować konkurs. Wyjąłem książkę telefoniczną, wyszukałem pierwsze lepsze nazwisko i wykręciłem numer. Odebrało jakieś dziecko:

– Dzień dobry! Czy zastałem panią Joannę Luboń? – tym razem mój głos imitował styl spikerów telewizyjno-radiowych.

– Mamo, jakiś pan... – usłyszałem stłumiony dziecięcy głosik.

Dobrze, że nie wykręcamy teraz numeru z Józkiem – pomyślałem – Co jak co, ale gorszenie kilkulatków nie wchodziło w rachubę.

Po chwili w słuchawce odezwała się kobieta:

– Mareczku, oddaj słuchawkę mamusi!... Słucham?

– Czy mam przyjemność z panią Joanną Luboń? – spytałem.

– Tak.

– Gratulacje!!! Moje nazwisko Adam Polarek. Dzwonię do pani z naszego biura Wizja TV Polska. Pani jest naszą abonentką, tak? – improwizowałem na całego.

– Tak – usłyszałem po chwili.

– Bardzo mi miło panią poinformować, że została pani wybrana spośród wszystkich abonentów województwa podkarpackiego i wygrała dziesięć tysięcy złotych oraz kolorowy telewizor marki Sony! – Duszyk leżał już na podłodze ze śmiechu.

– Naprawdę?! – usłyszałem niewiarygodnie ucieszony głos.

– Oczywiście!

– Jezu, tak się cieszę! Jeszcze niczego w życiu nie wygrałam!

– Bardzo mi miło! Jaki ma pani telewizor?

- Hurraaa! Telewizor? Ach tak. A jakiś stary, ruski...
- To na pewno się pani przyda!
- Jasne!
- Nagroda czeka na panią codziennie, w naszym biurze przy ulicy Korczaka siedem, w godzinach od jedenastej do osiemnastej. Proszę się do nas zgłosić z dowodem osobistym, to dopełnimy formalności.
- Oczywiście! Nawet pan nie wie, jak się cieszę! Podjedziemy jeszcze dzisiaj z mężem po pracy.
- Ależ oczywiście, zapraszamy! Jeszcze raz pani gratuluję i życzę miłego dnia.
- Miłego?! To najpiękniejszy dzień w moim życiu! – wykrzyknęła naiwna kobieta. Cóż, z pewnością wkrótce zmieni zdanie.
- Do widzenia, pani! Jeszcze raz serdecznie gratuluję i do zobaczenia!
- Do widzenia!
- Odłożyłem słuchawkę i rzuciłem się na wersalkę ze śmiechu. Twarz Duszyka była cała czerwona i zalana łzami. Chyba jeszcze nigdy nie uśmieśliśmy się aż tak.
- Uwierzyła? – spytał po chwili.
- Jak dziecko!
- I co?
- Jeszcze dziś podjadą z mężem po pracy!
- Słuchaj, a gdzie jest ulica Korczaka?
- Hmm... Widzisz, Korczak wielki gość, ale raczej nie ma jeszcze swojej ulicy w tym mieście!
- Znowu zaczęliśmy się śmiać.
- Oczywiście ten kawał powtórzyliśmy jeszcze kilka razy. Okazało się, że ilu ludzi, tyle było reakcji na wygraną. Większość jednak nabierała się bez trudu. Po dłuższej chwili padliśmy zmęczeni na wersalkę.
- O, masz gramofon! – zauważył Duszyk.
- Prawdziwy eksponat muzealny. Jeszcze z lat sześćdziesiątych.
- Jak większość rzeczy w tym domu – zauważył.
- No, no! Bez takich!

– Sorry. A działa to chociaż?

– Jasne, że działa.

– A masz jakieś płyty?

Otworzyłem dolną szafkę, gdzie od góry do doły miejsce zajmowały czarne krążki – dawno nie ruszana kolekcja mojego ojca.

– Trochę tego jest – powiedziałem.

– Nieźle! – ucieszył się – No to puszczaj!

– Co puścić?

– Pokaż, co my tu mamy – podszedł do mnie – Beatlesi, Niemen, Santor, Abba, The Tremeloes... – wyliczał – Dawaj Abbę!

Uruchomiłem muzealny gramofon i po chwili popłynęło coś w rodzaju muzyki. Igła była stara, płyty miały więcej lat od nas, głośniki zaś pourywane membrany, *Waterloo* Abby składało się więc w dużej mierze z trzasków, pisków i zgrzytów. W dobie płyt kompaktowych, jakość pozostawiała wiele do życzenia, ale w tym chyba właśnie tkwi cały urok starych gramofonów.

– Co tak trzeszczy? – spytał Duszyk.

– To te głośniki. Są jeszcze starsze niż to pudło.

Puściłem muzykę w przyspieszonym tempie.

– Ty, nieźle! Smerfne hity!

Duszyk prawdopodobnie pierwszy raz miał do czynienia z prawdziwym gramofonem. Na półce w jego pokoju stał przecież zawsze najnowszy sprzęt, wieża ze zmieniarką na siedem kompaktów i głośniki, dwa razy dwieście wat – co nieraz podkreślał. Wystarczyło podkreślić do połowy, by w całym bloku zaczynały drżeć szyby.

Pobawiliśmy się więc trochę gramofonem. Z ciekawości rozebraliśmy też owe głośniki. Okazało się, że membrana jest już w takim stanie, że nie wiadomo, na czym cała reszta głośnika w ogóle się trzyma. Duszyk pobawił się trochę w didżeja i zmiksował parę kawałków Abby, nieco rysując płytę, ale to nic. I tak nikt tego od dawna nie słuchał.

Potem nabrałem ochoty sprawdzić, czy naprawdę nie da się ugotować substancji łatwopalnych. Za przykład miał posłużyć denaturat.

Duszyk, gdy usłyszał o moim pomysle, nieco się przestraszył.

– A jak wybuchnie?! – spytał.

– Nie wybuchnie! Nie bój dupy, nic nie ma się prawa stać.

Zaciągnąłem go do kuchni, wlałem do garnka resztkę denaturatu z butelki i zapaliłem gaz. Duszyk tymczasem zdążył uciec i ukryć się w moim pokoju.

W garnku początkowo nie działo się nic. Już wydawało się, że denaturat naprawdę się zagotuje, gdy w jednej chwili w górę wystrzelił spory niebieski płomień. Zapalił się nagle, ot tak, z ledwo słyszalnym pyknięciem. Wszystko po cichu i spokojnie. Pobiegnę po Duszyka.

– Chodź, ciciu! Nie wybuchło.

Biedak siedział pod wersalką skulony, z zatkanymi uszami. Przez odrobinę denaturatu! Uśmiechnąłem się z politowaniem.

– No chodź – powtórzyłem.

Wstał i poszliśmy do kuchni. Trzeba było ugasić garnek, z którego ciągle buchał niewielki już wprawdzie płomień. Przez ścierkę schwyciłem rozgrzane naczynie i wstawiłem pod kran. Ogień stłumił się i zgasł.

– Nie wybuchło? – spytał Duszyk.

– Nie. Tylko trochę i to po cichu – byłem lekko rozczarowany.

Powróciliśmy znowu do dużego pokoju, by odpocząć trochę po pełnym wrażeń dniu. Nadchodziła trzynasta i kumpel musiał iść do domu. Zostałem sam. Doprowadziłem szybko chatę do względnie porządku i usiadłem u siebie w pokoju.

Dziwna sprawa – myślałem – W szkole, te siedem godzin dłużej się w nieskończoność, stają się nudne jak przepis na flaki z olejem, natomiast na wagarach nawet nie zauważy się upływu tego czasu. Wszystko co dobre szybko się kończy, trwa jak mignięcie źrenicy, by nigdy już nie wrócić i pozostać jedynie zapisane w głowie. Tak też skończyły się i te wagary. Kolejne w ósmej klasie. Bezasadny smutek i świadomość jakiegoś końca dziwnie zakorzeniły mi się w pamięci.

Potem pomyślałem, że Darek pewnie znowu będzie miał jakieś pretensje, ale nie był to dla mnie powód do zmartwienia.

Zresztą jak tu przejmować się pocziwym Darkiem, gdy w budzie następnego dnia totalnie przewróciło mi się w głowie.

Wszystko przez Wiktorię.

Był to etap, na którym zdecydowałem się wybić ją sobie z głowy. Widziałem ją codziennie na korytarzu, a jej widok sprawiał mi niewyobrażalną wprost przyjemność, połączoną z okropnym, wi-brującym, oślepiającym blaskiem w głowie, bólem. Cała jej postać tonęła w świetle, które raziło oczy, w świetle, do którego bałem się nawet podejść. Bałem się, a jednak... Ciągle prawdopodobnie nie wiedziała o moim istnieniu i, choć pragnąłem bardzo zbliżyć się do niej w jakikolwiek sposób, czułem, że nieprędko zdobędę się na odwagę. Mogła mieć każdego chłopaka w szkole, z pewnością o tym wiedziała, a na horyzoncie miała dużo lepszych kandydatów ode mnie. Wolałem więc stać z boku i obserwować ją ukradkiem, a jeszcze lepiej postarać się jak najprędzej wybić ją sobie z głowy. Każde spojrzenie na nią kończyło się niesłabnącym przez resztę dnia paraliżem ciała i umysłu, w stanie którego czułem się jak naj-zwyklejszy debil. Nie myślałem o lekcjach, a taryfa ulgowa, związana ze względną bliskością minionych wakacji, którą dostaliśmy we wrześniu od nauczycieli, skończyła się wiele tygodni temu.

Już samo jej imię, oznaczające nic innego jak zwycięstwo, imię pełne godności, dumy, patosu, nadawało tej dziewczynie w moich oczach ogromnego znaczenia, podnosiło jej rangę do niebotycznego wręcz stopnia, ustawiało ją w jednym rzędzie z obiektami kultu, religii. Ona stawała się dla mnie prawie boginią! To nie była zwyczajna dziewczyna. To była WIKTORIA!

Wiele nerwów, wiele nowych, złych myśli... Tego dnia jednak przeżyłem prawdziwy wstrząs.

Aż szkoda sił, by o tym pisać, ale okazało się, że ta dziewczyna, to rozświetlone wewnętrznym blaskiem bóstwo, zwraca uwagę na kogoś zupełnie innego... Kocha kogoś innego! I to wcale nie jakiegoś bubka z osiedla, ani nikogo nieznanego. Wręcz przeciwnie. Kocha mego bardzo dobrego znajomego...

Przechodząc przez szatnię, w miejscu, gdzie mieściły się podpisy wszystkich znaczniejszych uczniów Dziewiątki (znajdowały się już tu wtedy dwa podpisy *Durex*, a miało być ich potem znacznie więcej), zobaczyłem coś, co odebrałem jak cios od zawodowego

boksera wagi ciężkiej, cios, po którym czułem, że nieprędko się podniosę...

Na niegdyś białej, obecnie upstrzonej podpisami uczniów ścianie znajdowały się świeże napisy: „Kocham Przemka Korzeniowskiego z ósmej c” i do tego piękny, wyraźny podpis: „Wiktoria Labocha”. Moja Wiktoria! Moja, nie moja, tak ją nazywałem, by odróżnić ją spośród tysięcy innych, czarno-białych dziewczyn, niegodnie posiadających tę samą płeć. W głowie mi się zakręciło. Wiktoria? Wiktoria i Koreń?! Korenia?! Wiktoria Labocha?! Kocham?! Wszystko to latało mi przed oczami. Czy to prawdziwy napis?! Skąd się to wzięło?!

Ta sama najpiękniejsza dziewczyna w szkole, do której słodkie oczy robi każdy znający ją chłopak pisze, że kocha Korenia? Nie, to się w głowie nie mieści! Ten napis nie może być prawdziwy.

Niczym jakiś grafolog-patolog zacząłem badać te bazgroły, literka po literce, palcami wyczuwałem każdą krągłość, nie było to z pewnością koślawe, rozwlekłe pismo Korenia... Nie miałem oczywiście pojęcia, czy było to pismo Wiktorii, nie znałem go przecież, jednak nic mi się tutaj nie zgadzało! Po co ktokolwiek inny miałby tworzyć na ścianie takie wyznanie? Żeby poczuć się lepiej? Wywołać nieporozumienie? Zrobić na złość? Zaspokoić swą wrodzoną próżność, dumę, pychę? Usiadłem sparaliżowany na schodkach, nie wiedząc, co właściwie dalej mam robić. A jeśli...

Jak on to zrobił?! – myślałem. Przecież znałem Korenia od bardzo dawna i nie wydawał mi się typem jakiegoś podrywacza. Owszem, był przystojny, lubiły go dziewczyny, ale żeby... Wiktoria? Żeby Wiktoria pisała na ścianie, że go kocha? Przecież chyba pochwaliliby się, powiedziałyby mi coś o tym...

Koreń miał chyba poważniejszy stosunek do dziewczyn od Duszyka, tak mi się przynajmniej wydawało. Nigdy nie rozmawiał z nikim na ten temat, wydawał się być rozważnym facetem, jeśli chodzi o miłość pewnie wołał to najpierw spokojnie przemyśleć, może nie widział nawet tego napisu. Jest przecież chory! Nie ma go w szkole!

A jeśli go nie widział, muszę go zetrzeć! Póki nikt nie patrzy, jak najprędzej!

Zaraz! A jeśli widział?... To nie byłoby w porządku wobec niego. Jest moim przyjacielem. Jeśli ta, a nie inna Wiktoria Labocha wypisuje na niego, że go kocha, to albo jest to żart, albo nic z tego nie wiem. Najlepiej go spytać – pomyślałem, ale zaraz straciłem odwagę. To by było przecież najprostsze, jak kumpel podejść do niego i wyjaśnić sprawę...

To, że nigdy nie rozmawialiśmy na te tematy wynikało głównie z braku jakiegokolwiek zainteresowania tą dziedziną. Albo nie dorośliśmy jeszcze do posiadania dziewczyn, albo po prostu, jak ja, nie chcieliśmy ich mieć. Jak to będzie wyglądać, gdy teraz zastrzelę go takim pytaniem? Przecież nawet jeśli Wiktoria pisze, że go kocha, co mi do tego? Przemek, jeśli zechce, sam mi się z tego zwierzy. Taka rola przyjaciół...

Pogoda znowu była ładna i na każdej przerwie wychodziliśmy z chłopakami na pole. Dość często widzieliśmy Wiktorię, jak wychodziła ze szkoły ze swoim kuzynem i siadała na schodkach prowadzących do sali gimnastycznej, od strony bloków. Za każdym razem piękna, do twarzy jej było na tle jesiennego nieba. Za każdym razem łapał mnie ten cholerny paraliż i nie opuszczał aż do wieczora. Podziwiałem ją kątem oka i byłem gotowy zrobić dla niej wszystko. Stanąc o nią do walki, rzucić jej pod nogi cały świat. Byle tylko zbliżyć się do tego światła, dotknąć jej dłoni. Równocześnie bałem się tego, buntowałem się przeciw temu, ale żeby ona i Koreń...

W chwili, w której zobaczyłem ten nie dający mi spokoju napis na ścianie, mój stosunek do Przemka uległ dziwnej przemianie. Nie była to jakaś znacząca i zasadnicza przemiana, był przecież cały czas moim przyjacielem, jednym z niewielu prawdziwych przyjaciół, o których mogłem powiedzieć, że nigdy się na nich nie zawiodłem.

Był przyjacielem, na którym zawsze mogłem polegać, a jednocześnie...

To było chore, jednocześnie zdałem sobie sprawę, że stał się dla mnie czymś w rodzaju rywala. Nie chciałem tego, na Boga, nie chciałem...

Zazdrościłem. Zazdrościłem mu straszliwie. Dobrze, że nie wyzdrowiał wtedy jeszcze i nie było go w szkole, bo pewnie byłoby to widać na kilometr.

Postanowiłem postąpić normalnie, jak przyjaciel, nie ścierać napisów dotyczących jego. Jeśli wróci do szkoły i je przeczyta, na pewno będzie musiał się do nich ustosunkować. Sam nie będę zaczynał z nim rozmowy, będę sobą, tym kim zawsze, będziemy się przyjaźnili, gadali, chodzili na wagary i wszystko będzie tak, jak zawsze...

Tylko ten blask... Myślałem, co ja bym zrobił, gdyby taka Wiktoria pisała o mnie na ścianie, że mnie kocha. Pewnie napisałbym o niej to samo, potem dałbym jej jakiegoś kwiatka, zaprosił do kina, a na koniec zapytałbym ją, czy chce ze mną być. Być, nie chodzić, bo chodzić to można do sklepu po bułki. Tak się to ponoć robi... I trzymałbym jej rękę w swojej cały czas. Niechby poczuła, że jest dla mnie najważniejszą istotą na ziemi...

A Koreń? Nie ma go w szkole! Ale to się przecież nie mogło zacząć kilka dni temu! Z pewnością zaczęło się dużo wcześniej! A ja nie miałem nawet pojęcia, że on w ogóle znał Wiktorię! Czemu ja do tej pory o tym nie wiem?! Czemu nie dał nic po sobie poznać?! Ukrywał to? Za kogo on mnie uważa?! Tak robią przyjaciele?!

VIII

Koreń przyszedł do szkoły w poniedziałek.

Zachowywałem się, jakby nigdy nic, rozmawiałem z nim o tym co zwykle, planowaliśmy kolejne wagary. Pogoda dopisywała i siedzieliśmy wszyscy na poręczy. Przemek siedział z boku, dziwnie posępny, milczący, nie brał udziału w dyskusji. Widocznie myślał nad czymś intensywnie. Nad Wiktorią? Ale czemu nie odwzajemnił jej uśmiechu, gdy przeszła tuż obok? Jak zwykle bowiem wyszła ze szkoły, defilując po chodniku metr od nas, kierując jeden ze swoich uśmiechów właśnie do Korenia. Obserwowałem wszystko, każdy ruch skrupulatnie notując w pamięci. Koreń jedynie skinął głową.

Boże, jak ja wtedy pragnąłem, żeby Wiktoria do mnie kiedyś tak się uśmiechnęła. Pięknie i zalotnie. Za jeden taki uśmiech oddałbym wówczas życie. Moje nastoletnie, kundlowskie życie.

Następnego dnia wyjątkowo nie chciało mi się iść do szkoły. Nie podobała mi się cała ta sytuacja, Wiktoria za nic w świecie nie chciała wyjść łaskawie z mojej głowy, nie miałem też ochoty ciągle jej obserwować. Wydawało mi się, że marząc o niej, będę nie w porządku w stosunku do Przemka. Niby przecież nic się nie stało, nie miałem pojęcia nawet, czy Koreń czuje coś do Wiktorii. Przecież do tanga trzeba dwojga, należy więc czekać na dalszy rozwój wypadków i może sytuacja sama się rozwiąże. Przemek musiałby być wprawdzie niespełna rozumu, gdyby odrzucił uczucie bogini, ale może jednak? Może ma zasady, które jeszcze ja niedawno wyznawałem i nie ma ochoty na żadną panienkę? Tak czy inaczej trzeba czekać, a tymczasem moja obecność w szkole – jest raczej zbędna.

Biłem się z myślami, po dłuższej chwili przemogłem się jednak. Postanowiłem pójść; był wtorek, a na siódmej lekcji historia z Darkiem. Niech się chłop ucieszy z mej obecności... Z niechęcią wziąłem plecak i powlokłem się znaną na pamięć drogą.

W drzwiach szatni zastałem Korenia:

– Idziesz na wagary? – spytał bez przywitania.

Pomyślałem przez chwilę, że jesteśmy do siebie jakoś dziwnie podobni, a potem aż gwizdnąłem z podziwu. Przecież ledwo wczoraj wrócił do szkoły po tygodniowej chorobie!

– A ty? – spytałem.

– No, jak widzisz właśnie idę.

– To idę z tobą – powiedziałem bez wahania, ale po chwili zacząłem mieć wątpliwości – Słuchaj... nie wiem – rzekłem – Co za dużo, to niezdrowo. Nie wiem, czy jest sens, dziś historia z Darkiem, będzie mu smutno... Chciałem też sobie jakoś usprawiedliwić z Duszykiem tamten domowy czwartek...

– Duszyk się tym zajmie – stwierdził Koreń – Uprzedziłem go. Nie chciał iść ze mną. Czekam tu tylko na ciebie. Jak nie chcesz, idę sam.

– No dobra! Idziemy! Zresztą grzech dzisiaj siedzieć w tych murach – oczyma wyobraźni już widziałem Tame skąpaną w je-siennych promieniach słońca.

– Poszlibyśmy do ciebie, co? – zaczął Koreń. O moich waga-rach z Duszykiem nasłuchał się już trochę od nas wczoraj.

– Nic z tego. W tym tygodniu Dorota ma drugą zmianę – odpo-wiedziałem zgodnie z prawdą.

Dorota to moja starsza siostra. Pracowała wówczas w super-markecie *Albert* i co tydzień miała pracę na inną godzinę. Wyko-rzystywali ich w tym markecie maksymalnie.

– To co? Tama?

– Tama.

Ruszyliśmy znajomą drogą. Był dziewiętnasty października roku jeden dziewięć dziewięć dziewięć. Ładna data. Dzień rów-nież mieliśmy przepiękny. Szliśmy wałem w milczeniu. Czasem tylko zamieniliśmy ze sobą kilka zdawkowych słów. Koreń upar-cie o czymś myślał, ja byłem zazdrosny i starałem się to ukryć. Ciągle zachodziłem w głowę, dlaczego to właśnie on tak spodobał się Wiktorii...

Mój przyjaciel był średniego wzrostu, lecz dobrze zbudowa-nym, wysportowanym chłopakiem. Jego czarne, postawione na żelu włosy i brązowe oczy kontrastowały z dość jasną cerą. Był przystojny, to nie podlegało dyskusji. Ubrał się zawsze niby nor-malnie, jednak modnie, z dyskretną elegancją. Dbał o siebie. Nosił szerokie spodnie i bluzę z kapturem. Tak wówczas nosiło się wielu moich kumpli. To był taki skejtowski styl...

Zajawka na podobne klimaty przychodziła właśnie do Polski z zachodu. Nie było to jeszcze normą wśród młodzieży, dopiero parę lat później wszyscy ogłupieli i każdy wieśniak ubierał się w spodnie z krokiem w kolanach. Strasznie mnie to wkurwiało, prawdziwi bowiem skejci wyrastali na gruncie punk rocka, mieli swój własny styl, byli mistrzami w graffiti, jeździli perfekcyjnie na desce lub BMXach. Polscy skejci zaś to było totalne nieporozu-mienie, szczyt politowania i szydery, niepotrafiący nic pokazać nie tylko na desce czy rowerze. Wydawało im się, że wystarczy ubrać spodnie z krokiem w kolanach, bluzę z kapturem, słuchać polskie-

go hip hopu, co drugie słowo wrzucać kurwę i już można uważać się za super wielkiego skejta, gdy tymczasem byli to po prostu żałośni młodzi ludzie, szukający bezskutecznie własnej tożsamości, buntujący się po swojemu, bo każdy przecież buntować się musi. Dzieci pop kultury w plastikowych bojówkach, z plastikowymi włosami i z plastikowym buntem.

Ale to dopiero za kilka lat.

Koreń taki nie był. Nie był skejtem ani pseudoskejtem. Ubierał się luźno, ale umiarkowanie; w to, co akurat było modne. Równocześnie jednak widać było, że czuł się w tym wyjątkowo dobrze i wygodnie. Szedł za modą. Prawdopodobnie, gdyby najmodniejszy był kolor różowy i wszyscy chodziliby na różowo, on też tak by się ubierał, do tego oczywiście miałby wszystko w najlepszym różowym gatunku. Poza tym Koreń był nieco nieprzewidywalny i wybuchowy. Nigdy nie było wiadomo, jak na coś zareaguje, jak się zachowa w jakiejś sytuacji, co mu strzeli do głowy. W sumie lubiłem go za ten styl. Nie można się było z nim nudzić. Kiedyś, bodajże w szóstej klasie, po wuefie, w szatni, w przypiływie złości pchnął Pawła Kaługę na ścianę tak, że chłopak nabawił się wstrząśnienia mózgu. W budzie była karetka i w ogóle Koreń miał spore kłopoty.

Przez pierwsze sześć lat podstawówki żyliśmy ze sobą w symbiozie, ale trzymaliśmy się od siebie nieco z daleka. Nieraz wybuchaly w szkole awantury; czasem z jego, czasem z mojego powodu i każdy z osobna miał się czym martwić. Przez jakiś czas było nawet między nami pewnego rodzaju współzawodnictwo. Liczyliśmy, na przykład, ile razy w ciągu półrocza Darek wezwie do szkoły naszych rodziców. Ja naliczyłem piętnaście razy, Koreń miał na koncie czternaście, ale potem i tak mnie pobił tym wydarzeniem z Pawłem Kaługą. Ja nie chciałem nikogo narażać na kłopoty z mózgiem. Wystarczało, że sam posiadałem takowe.

Właściwie mieliśmy bardzo podobne charaktery. Obydwaj sklejaliśmy modele z plastiku, jeździliśmy na rowerach. Różniliśmy się tym, że ja byłem podwzorowym uczniem, miałem same czwórki i piątki, które łapałem jakby od niechcienia, on zaś przelatywał spokojnie z klasy do klasy i niewiele go obchodziło, co się

dzieje na lekcjach. Ale przecież nie ocenia się ludzi po postępach w szkole. To tylko rodzice, pytając o kolegów zawsze zaczynają od: „a jak się uczy?“, więc ta drobna różnica nie miała żadnego znaczenia. Ważne, że Koreń był moim najlepszym kumplem.

Przymierze ze sobą postanowiliśmy zawrzeć w siódmej klasie. Zrozumieliśmy, że mamy podobne charaktery i że należy zjednoczyć siły, by dać tej szkole porządnego kopa i pchnąć ją do przodu. A ze spółki Durex & Koreń mogły wyniknąć różne rzeczy.

Wtedy to zaczęły się wagar, przebalowana nad Wisłoką cała wiosna. Wtedy też między innymi pokazałem mu Tameę, która stała się dla nas głównym celem wiosennych pielgrzymek. Przeżyliśmy razem parę przygód. Przełomowym momentem była właśnie owa wiosna, gdy dwa dni wagarów spędziliśmy, obżerając się truskawkami na działkach za wałem. Pożerając darmowe truskawki, polubiliśmy się porządnie. Potem był kanał, no i w ósmą klasę wchodziliśmy już jako przyjaciele.

Właśnie z takim Koreniem szedłem teraz nad Tameę, myśląc o wielu rzeczach. O Wiktorii. Ale również o wszystkim innym, o najróżniejszych bzdurach, jak to na wagarach.

Gorące słoneczne promienie zalewały Tameę, tworząc tęczową grę światła. Woda była tym razem szafirowa. Przecisnęliśmy się przez ogrodzenie i stanęliśmy na balkonie. Myśleliśmy nad tym, co by tu można robić, gdy usłyszeliśmy czyjeś głosy i ujrzeliśmy w dole jakieś chodzące postacie.

Początkowo znieruchomiliśmy, myśląc, że to ekipa z wodociągów, ale po chwili zobaczyliśmy chłopaka, może o trzy lata starszego od nas. Pisał coś markerem na blaszanych drzwiach budynku. Podeszliśmy do niego, przywitaliśmy się w miarę kulturalnie. W dole, nad wodą spostrzegliśmy jego kolegów.

Wyglądali na licealistów. Siedzieli na schodkach. Palili papierosy i pili tanie wino, chyba *Bieszczady* (wówczas jeszcze po 2,80zł butelka). Mieli ze sobą plecaki. Po prostu koledzy po fachu – pomyślałem i zrobiło mi się raźniej. Tama była przecież miejscem spotkań wielu wagarowiczów.

Spojrzałem na drzwi, na których czarnym markerem wypisane były nazwy polskich klubów sportowych, zespołów punkowych, data, jakieś rysunki i jeszcze coś, czego nie zidentyfikowałem. Pomyślałem wtedy, że jak długo chodzimy na wagary, jeszcze nigdy nie podpisywaliśmy się nigdzie z Koreniem! Wydało mi się to kompletnym nieporozumieniem. Jak w ogóle mogliśmy do tego dopuścić?!

Powiedziałem to wszystko Przemkowi, który bez wahania przyznał mi rację. Postanowiliśmy to wreszcie zmienić.

– To co? Podpiszemy się gdzieś? – spytałem.

– Jasne. Ale czym?

– Markerem! Czekaaj, pożyczę od nich.

Zszedłem do siedzących po drugiej stronie budynku licealistów i zagadałem:

– Wy też jesteście na wagarach?

– Tak – odpowiedzieli i nie wiem czemu wybuchli śmiechem.

– Miło mi. Jestem Durex.

– A my nie! – znowu śmiech.

Po czym zaczęli się przedstawiać i po kolei ściskać mi łapę.

– Skąd jesteście?

– Z pierwszego LO.

– I czemu zwialiście?

– A czemu się zwiewa z lekcji? Pierwsze LO to straszna szkoła, cisną jak chuj, żyć się nie da. Módl się, nie myśl, kłamkę całuj – rzekł pierwszy.

– Z jednej strony uważają cię za dorosłego i wymagają myślenia jak dorosły, z drugiej traktują jak totalnego gówniarza, którego trzeba urobić, jak system każe. A my olewamy system, co nie chłopa? – wykrzyknął drugi.

Grupka licealistów ze śmiechem przytaknęła. Poczulem się dziwnie, jakbym słyszał swoje własne słowa. Więc nie jestem taki oryginalny, jak mi się wydawało... – uśmiechnąłem się smutno pod nosem.

– A ty skąd jesteś? – spytał.

– Z Dziewiątki, ósma klasa – specjalnie zaakcentowałem ósma.

– Aaa, to wszystko przed tobą! Tylko pamiętaj, nie idź nigdy do pierwszego LO! – w oczach chłopaka zabłysło przez chwilę szaleństwo – Nie idź tam nigdy, błagam! Jeśli chcesz mieć jakiegolwiek życie towarzyskie, jeśli chcesz pozostać sobą, nie idź tam!

– W porządku, nie ciągnie mnie... – odparłem zgodnie z prawdą. Zaczynałem się trochę obawiać o zdrowie tego człowieka – Mogliście pożyczyć nam markera? Bo nie wzięliśmy, a musimy się przecież podpisać.

– Jasne, trzymaj – powiedział jeden z nich i rzucił mi mazaka – Tylko nie wytraćcie całego.

– Dobra, jasne. Zaraz oddamy.

– I pamiętaj, nigdy do pierwszego LO!

– Jasne...

Podszedłem do Korenia z mazakiem w ręce.

– Dziwni ci licealiści... – szepnąłem.

– Też taki będziesz... – machnął ręką lekceważąco.

– Ja?! Niedoczekanie, stary!

Uśmiechnął się. Podpisaliśmy się najpierw obok chłopaków na drzwiach. Ja napisałem *Durex*, Koreń dopisał & *Koreń* i datę, która utkwiła mi w pamięci: *19.X.99r.* Był to pierwszy nasz wspólny podpis na wagarach. Tak powstał oficjalnie duet *Durex & Koreń*. Było w tym napisie jeszcze sporo niedociągnięć, nie wiedzieliśmy, na przykład, jak się pisze ten znaczek „&” i napisaliśmy go odwrotnie, po cyfrach rzymskich pisaliśmy kropki itp., ale to nie było przecież istotne.

Podpisaliśmy się jeszcze na poręczy i na drugich drzwiach. Właśnie dorysowywałem kondoma do mojego pierwszego podpisu, gdy zza rogu wyłonił się zniecierpliwiony licealista. Dokończyłem i oddałem mu marker.

Chwilę później staliśmy z Koreniem na balkonie budynku. Patrzyliśmy na wodę przewalającą się z hukiem przez garb i myśleliśmy, co by tu właściwie można robić. Dochodziła dziewiąta.

Nagle Koreń wpadł na idiotyczny i genialnie niebezpieczny pomysł:

– Rozpalimy ognisko – raczej stwierdził niż spytał.

– Gdzie?

– Tutaj.

– Na balkonie?!

– Tak!

Pomyślałem, czy czasem przypadkiem nie spadł w nocy z łóżka na głowę, ale po chwili już wiedziałem, że pomysł przejdzie. Dlaczego? Ognisko na wagarach to wspaniała rzecz! Może jak nawdycham się dymu, przestanę myśleć o Wiktorii? Upewniłem się jeszcze tylko:

– Chcesz palić na balkonie? Jesteś chory? – dotknąłem palcami jego czoła i odskoczyłem, udając oparzenie.

– Dopiero wyzdrowiałem – odparł poważnie – Czemu nie?

– No... dobra! – czułem, że nie mam powodu, by się nie zgodzić

– Tyłko, z czego rozpalimy?

– Mało tu tego? – wskazał za ogrodzenie.

Istotnie, cały obszar od rzeki aż do wału pokryty był zeschniętymi badylami. Niegdyś były to łodygi jakichś ziół wysokich na metr z okładem, z małymi, żółtymi kwiatkami o nazwie... Nieważne! Ważne, że było z tego mnóstwo materiału na niejedno ognisko.

Zaczęliśmy znosić te badyle, giąć, łamać i składać na kupie na balkonie. Po chwili urósł tam okazały stos wszystkiego, co tylko mogło się palić. Pod spodem podłożyliśmy kartki papieru (sprawdziany, które się nie powiodły) i ognisko było gotowe! Brakowało tylko... ognia.

– Masz ogień? – spytałem Korenia.

– Nie – odparł.

– To jak, człowieku!? Wymyślasz mi tu ognisko, nie mając ognia?

– Myślałem, że ty masz.

– Czy ja wyglądam jakbym miał ogień?

– No nie...

– No pięknie! – marudziłem – Gość nie ma ognia...

– Nie pierdol, tylko skołuj skądś zapałki – rzekł rozsądnie.

– Skąd?

Wzruszył ramionami.

– No jasne! – przypomniałem sobie licealistów – Pożyczę od tamtych!

Pomyślałem, że skoro palili, to muszą mieć ogień. Zszedłem na dół:

– Macie pożyczyć ognia? – spytałem – Chcemy rozpalic ognisko, bo jak wagary, to wagary!

Rzucili mi zapalki, mówiąc:

– Masz, tylko nie zużyj wszystkich.

– I pamiętaj: nigdy do pierwszego LO!

Szaleniec. Naprawdę zaczynałem się go bać. Uśmiechnąłem się, podziękowałem i zmyłem do Korenia. Zdrowo musiała im się dać we znaki ta szkoła... Na wszelki wypadek postanowiłem nigdy tam nie zaglądać.

Rozpalenie ogniska okazało się trudniejsze niż przypuszczaliśmy. Udało się za piątą z kolei zapalką. Sprawdziany zetlały się powoli, ogień dotarł do badyli, musnął łodygę pierwszego z brzegu. Nikły płomień zamigotał przez chwilę, po czym wystrzelił wesoło, obejmując całe palenisko. Badyle zaczęły płonąć, spalały się jednak w tak zawrotnym tempie, że po chwili z uzbieranej kupy nie zostało nic, poza garstką popiołu. Narobiło się za to dymu na całą okolicę! Białosiny smog unosił się pionowo w górę, by zaraz potem opaść i położyć się tuż przy ziemi, otulając cały obszar od rzeki aż po wał.

Zaczęliśmy kursować szybko za ogrodzenie po coraz to nowe porcje badyli. A ogień był nienasycony! Wciąż trzeba go było dokarmiać, żeby nie znikł.

Najpierw po badyle chodziliśmy razem, potem ja podawałem przez ogrodzenie Koreniowi, w końcu na odwrót. Kupka obok paleniska z powrotem stała się kupą i mogliśmy rozpocząć zabawę.

Na przemian skakaliśmy przez ogień, przedzierając się przez zasłony gryzącego, ale jakże miłego dymu. Po drugiej stronie balkonu, gdzie w pewnej chwili znaleźliśmy się równocześnie, było tak białe, że nie widzieliśmy nic dookoła. Oczy piekły, w nosie istna karuzela. Wtedy dotarła do mnie groza sytuacji: palimy ognisko na terenie prywatnym, na balkonie chronionego budynku ujęcia wody dla miasta!

– Wiesz, jakby nas tu złapali to... – powiedziałem przez zęby.

– Nawet nie kończ... – przerwał mi.

– ...na menty – dopowiedziałem mimo woli.

– Na komisariat i cienko by było... – dodał – Ale czy nie widzisz nic pięknego w tej chwili? To jedna z najbardziej irracjonalnych rzeczy, jakie w życiu robiłem. No... może poza wyprawą do kanału...

Nie mogłem nie przyznać mu racji. Zadziwił mnie tylko jego romantyzm i fakt, że użył przymiotnika „irracjonalny”, będącego od jakiegoś czasu moim ulubionym określeniem. Nie znałem Korzenia wcześniej z tej strony.

Faktycznie, cała ta scena miała w sobie niepowtarzalny klimat. Budynek ujęcia wody jest miejscem poważnie strzeżonym, za wałem znajduje się posterunek ochrony, kilku smutnych i uzbrojonych w pałki mężczyzn oraz dwa groźnie wyglądające owczarki niemieckie. A my właśnie na balkonie tego budynku palimy sobie ognisko z suchych badyli, zasnuwając skutecznie dymem całą okolicę! To było coś!

Przez chwilę nawet trochę się bałem, co będzie jak nas tu ktoś dorwie, ale doszedłem do wniosku, że skoro Koreń nic sobie z tego nie robi, to i mi nie wypada zachowywać się jak rozhisteryzowana baba. Ważne, że od dobrej godziny nie pomyślałem ani razu o Wiktorii. Po prostu uczyłem się cieszyć chwilą.

Spokojnie przeskoczyliśmy ogień i właśnie schylałem się, by kolejną porcję badyli oddać na pastwę płomieni, gdy w dali usłyszeliśmy wyraźne wycie syreny alarmowej straży pożarnej! Przez chwilę zastygliśmy w milczeniu, jak zające na polowaniu zastygające pod wrażeniem odgłosu psów myśliwskich, nerwy mieliśmy napięte jak cięciwy łuków przed strzałem...

Jak na komendę porwaliśmy plecaki, zbiegliśmy z balkonu, przedarliśmy się przez ogrodzenie i już nas nie było! Zwiewaliśmy w kierunku kładki ile sił w nogach. Zatrzymaliśmy się dopiero w krzakach w bezpiecznej odległości od Tamy i patrzyliśmy, co się będzie dalej działo.

Nie działo się zupełnie nic. Budynek wodociągów stał jak zwykle masywny, posępny, z dwoma balkonami po bokach. Z jednego z nich unosił się słup białego dymu. Cała okolica była nim przesłonięta, staliśmy jakby po szyję w mleku, tak zdążyło się już zabie-

lić dookoła. Pomost łączący budynek z wałem ciągle pusty. Teren czysty, nikt nas nie ścigał...

Tylko syrena alarmowa wciąż się zbliżała. Jej dźwięk narastał.

W miejscu obserwacji nic nam nie groziło. Byliśmy tylko przypadkowymi widzami, w razie kłopotów niemającymi z tym dymem nic wspólnego. Teoretycznie byliśmy spokojni, lecz serca wciąż tłukły nam się szybciej niż powinny.

Odgłos syreny osiągnął swój punkt kulminacyjny. Była o krok. Już prawie oczyma wyobraźni widzieliśmy czerwony wóz straży pożarnej jadący po wale, gdy dźwięk... stopniowo zaczął się oddalać.

Wycie stawało się coraz cichsze i cichsze. Wreszcie całkiem zanikło.

Spojrzeliliśmy po sobie nieco zdziwieni, zawiedzeni, ale i z niewielką ulgą.

– To nie do nas – powiedziałem po chwili.

– Chyba tak.

– Musiało coś jechać na Dębicę – równolegle z wałem, w odległości około stu metrów ciągnie się ruchliwa droga Tarnobrzeg-Dębica.

– Racja.

– I po chuj się tak bałeś...

– Ja?! To ty się bałeś!

Było nam trochę wstyd, że tak zwiewaliśmy przed dźwiękiem głupiej syreny. Żeby dodać sobie animuszu i pokazać, że cała sytuacja nie wywarła na nas żadnego wrażenia, zgodnie wróciliśmy w to samo miejsce na balkon. Dorzuciłem ostatnią porcję badyli. Ogień przez chwilę nie chciał załapać, ale w końcu znów zahuczał wesoło.

– Niech się wypali – powiedziałem – Mamy czas, dopiero dziesiąta.

Nie minęło pięć minut, jak z ogniska została jedynie kupka popiołu i nędzne szczątki suchych nadpalonych badyli. Schyliłem się, podniosłem jeden z kawałków i wsadziłem do kieszeni. Dotknąłem też nieco okopconej ściany. Beton był gorący.

Ponieważ mieliśmy jeszcze trochę czasu, poszliśmy na dół, na drugą stronę budynku. Po szalonych licealistach, którzy pożyczili nam markera i zapatek pozostało jedynie kilka pustych butelek po winie marki *Kniaziowski* (popularny *Kniaź*) i *Bieszczady* oraz zgniecione pety na betonowych schodkach. Zeszliśmy nad wodę i stanęliśmy na kamieniach przy brzegu. W wodzie zauważyłem niewielki słoik. Wyciągnąłem go, otworzyłem. Był wypełniony do połowy starą, stęchłą musztardą. Wsadziłem nos do środka i zaraz cofnąłem jak oparzony. Ostry jak tasak odór wwiercał się boleśnie drażniąc błony śluzowe, działając lepiej niż profesjonalna tabaka. Kichnąłem potężnie. Musztarda musiała mieć na oko z pięć lat!

– Powąchaj – powiedziałem, podstawiając pod nos Koreniowi. Przemek wsadził nos do środka, podobnie jak ja od razu cofnął go gwałtownie, kichnął, po czym wyrwał mi słoik i cisnął go z całej siły o ścianę budynku. Szkło rozpadło się na drobne kawałki, a na ścianie pozostała piękna plama nieokreślonego kształtu i koloru starej musztardy.

Na schodkach znaleźliśmy drewnianą płytkę parkietową z nawiniętym na nią około dwudziestometrowym kawałkiem żyłki. Żyłka była trochę pomotana, usiedliśmy więc na schodkach i po mału rozwinęliśmy ją. Do jednego końca przywiązaliśmy kamień, drugi pozostał zaczepiony do owej płytki, po czym wyszliśmy na balkon i zaczęliśmy spuszczać kamień do wody, machając nim tuż nad powierzchnią. Kamień, jak olbrzymie wahadło, przelatywał nad garbem, huśtał się na boki... Potem zanurzaliśmy go w wodzie, udając, że łowimy ryby.

To zadziwiające, ale my naprawdę potrafiliśmy się wtedy cieszyć z głupiego kamienia latającego nad wodą na kilkunastometrowym kawałku żyłki. Radość z chwili – w wagarach o to przecież właśnie chodzi! Prymitywny wynalazek z ciężarkiem uwiązanym na żyłce sprawiał nam więcej frajdy, niż niejednemu najnowszy model jakiegóż, na przykład, gry komputerowej.

Jeszcze chwilę posiedzieliśmy nad wodą, a gdy minęła trzynasta zaczęliśmy się zbierać do domu. Założyłem plecak i wtedy doleciał mnie wyraźny zapach dymu. Powąchałem kurtkę i okazało się, że śmierdzą, jakbym przez tydzień pracował w wędzarni,

w tym samym ubraniu. Pomyślałem, że będę się musiał nieco tłumaczyć, jak matka poczuje dym. Co ja jej powiem? Prawdę? Że na wagarach paliłem z Koreniem ognisko na balkonie budynku ujęcia wody? Nie, w coś takiego to by nawet ona nie uwierzyła...

Nigdy nie lubiłem wracać z wagarów. Może nawet miał tu znaczenie pewien podświadomy, powagarowy syndrom strachu – co będzie jak się wyda. Darka nie obawialiśmy się wcale, ale u mnie w domu w ogóle nie wiedzieli o nieobecnościach. Od pierwszej klasy rodzice byli święcie przekonani, że tak jak miliony innych dzieci, chodzę sobie codziennie potulnie do szkoły. Miałem dość surowych rodziców i gdyby dowiedzieli się prawdy, miałbym wielką burzę domową. Ale co to wszystko jest warte? Co to jest warte, w porównaniu ze wspomnieniami, których nikt nigdy nie będzie w stanie mi odebrać? Jestem przekonany, że choćby nie wiem co groziło za wagary, ja i Koreń i tak byśmy na nie chodzili. Nie z jakichś psychologicznych powodów; problemów z kumplami czy z nauką, nie aby kogoś denerwować, czy robić komukolwiek na złość, ale dla tego uczucia, jakie z pewnością zna każdy prawdziwy wagarowicz. Dla uczucia wolności, że oto jestem tu nieskrępowany niczymi zakazami, że nikt nie mówi mi, co mam robić, że właśnie teraz jestem najbliższy odnalezienia siebie, swej właściwej drogi. Jestem sobą i mogę robić wszystko, co mi się żywnie podobą. A cała reszta? Oni są nieistotni!

Przechodziliśmy właśnie obok straszego budynku pierwszego LO. Ponury, ciemnoszary gmach nic sobie nie robił z pięknej, słonecznej pogody. Nie pasował do wspaniałej scenerii złotej jesieni, był jak paskudny grzyb na tle soczyście błękitnego nieba. Zdawał się dyszeć wiedzą, zapadać w rozgrzany asfalt, wlewać zbyteczne wiadomości do biednych, młodych, zniewolonych głów. „Nigdy nie idź do pierwszego LO” – przypomniały mi się słowa spotkanego licealisty. Ten człowiek miał obłąd w oczach, on nie mówił tego ot tak sobie, by nastraszyć mnie, napotkanego przypadkiem ósmoklasistę, który ma jeszcze jakąś możliwość wyboru. Nie wiem jak wygląda piekło, on jednak właśnie tak musiał traktować swoją szkołę. Wiedza wylewała się stąd drzwiami i oknami, jak rozto-

piona smoła kleiła się do butów przechodzących obok otwartych okien ludzi.

Gdzieś na drugim piętrze zawodził fałszywie chór szkolny. Uśmiechnąłem się z politowaniem. Śpiewanie w chórze wydało mi się najgorszą karą pod słońcem. Zabijało indywidualność, podporządkowując systemowi ciało, umysł, a nawet to, co u człowieka zawsze powinno pozostawać wolne i nieskrępowane – głos. Co oni wyprawiają z młodzieżą!? Czego uczą?! Produkuje kolejnych, szarych, nudnych urzędników. Jak fabryka chałwy – pomyślałem, nie wiem dlaczego. Zrobiło mi się mdło.

Pospiesznie ominęliśmy ten nieszczęsny, skryty w cieniu stuletnich topoli budynek, by wyjść na skąpane w słońcu ulice rynku. Szliśmy nasłonecznioną ulicą Sękowskiego, po której z rzadka płynęły zabłąkane samochody. Wzdłuż drogi długi rząd wspaniałych, pokrytych złotem, rozłożystych kasztanów. Lekki wietrzyk poruszał grubymi konarami, komponując się wespół ze śpiewem ostatnich jesiennych ptaków w niezwykłą, pełną życia melodię. Drzewa stojące w równym rzędzie błyszczały w jesiennym słońcu radością i zdrowiem. Dookoła krążyły złote, pięciopalczaste, kasztanowe liście... Wiedziałem, że dziś nie potrzebuję już więcej do szczęścia.

Wystarczyło cieszyć się chwilą.

IX

- Coś ty ze sobą zrobił!? – krzyczała matka.
- To nie jest mój syn! Ja go takiego w domu trzymać nie będę!
- dał się ojciec.
 - Co ci strzeliło do głowy!?
 - Ze szkoły cię wyrzuca! Na zbity pysk!
 - Zmyj to natychmiast!
 - Nie – odpowiedziałem spokojnie – Czasy się zmieniają. Ze szkoły już nie wyrzucają za brak mundurku czy niebieskie włosy. Obawiam się, że musicie to zaakceptować.
 - Nigdy! – grzmiał ojciec.

- W życiu! – wtórowała mu matka.
- Masz to zmyć! Bo jak nie, to wynoś mi się z domu!
- Czy ty wiesz, co mówisz? – wycedziłem flegmatycznie, spokojnie – Mogę się wynieść, ale ostatnio nie skończyło się to najlepiej – tym razem to ja przypomniałem mu moją ucieczkę z domu. Niech uważa na słowa.
- Ja cię takiego trzymał nie będę! To jest katolicki, porządny dom!
- Tato, moje włosy to tylko i wyłącznie moja sprawa. I to, czy jestem z katolickiego domu czy nie, nie ma tu nic do rzeczy.
- Ma! Ty mi tu nie pyskuj, tylko marsz do łazienki, łeb pod kran i nie wychodź, aż nie zmyjesz tego świństwa z głowy!
- Jak już mówiłem, nie zamierzam tego zmywać. Poza tym farba nie zejdzie od jednego mycia.
- Tak długo będziesz siedział, aż zmyjesz!
- Nie.
- Koniec dyskusji!
- No właśnie. Koniec. Nie mam zamiaru tego zmywać.
- Ja cię jutro do szkoły nie wypuszczę!
- Strasznie mnie to martwi – odparłem kpiąco.
- Uspokójcie się. Spokojnie. Co ci synu do głowy strzeliło?
- próbowała załagodzić konflikt mama.
- Nic, mamuś – odparłem cichym i łagodnym głosem – Przechodzę przez trudny okres buntu, kształtuje mi się właśnie moja tożsamość. Człowiek w tym wieku szuka sensu życia, buntuje się przeciwko porządkowi świata, chce się wyróżniać... Jedni golą głowy na łyso, pakują na siłowni i biją słabszych, inni palą, ćpają, jeszcze inni ubierają się na różowo lub na czarno i nienawidzą ubranych inaczej, a ja zafarbowałem włosy na niebiesko! To jeszcze nic strasznego. Z tydzień tak pochodzę, nim farba zejdzie. To normalny okres buntu, rodzaj walki z systemem – mówiłem najspokojniej jak się dało.
- Niestety do ojca nie przemawiało nic.
- Ty mi się durnym okresem buntu nie zasłaniaj! Ja nie będę takiego straszidła w domu trzymał! – krzyknął, aż zatrzęsty się szafki kuchenne.

– Masz, tatusiu, dwa wyjścia – wycodziłem przez zęby – Albo trzymasz takie straszdyło w domu przez około tydzień, przyzwyczajasz się do niego i żyjesz z nim w zgodzie, albo nie, a wtedy to straszdyło idzie w świat. Myślisz, że ja mam jakąś przyjemność z tego ciągłego użerania się z tobą? Więc?

Obojętny ton połączony z metodą faktów dokonanych, stanowił dla niego twardy orzech do zgryzienia.

– A idź w cholere! – odparł. Był bezsilny, co, niestety, zwykle przejawiało się u niego w dość prostacki sposób – Do łazienki, ale już! – zawył wściekle, niespodziewanie skoczył do mnie, zniemacka wykręcił mi rękę i chciał pchnąć w stronę drzwi. Nie był jednak silniejszy ode mnie, już nie...

Silnym szarpnięciem wyrwałem rękę i całym naporem ciała za-blokowałem przejście w przedpokoju. Zdziwił się, stanął przede mną i rozkładając ręce na boki przez chwilę zastanawiał się, jak dalej postąpić.

– Uważaj co robisz – wycodziłem – Nie pozwolę się już nigdy uderzyć. Wystarczy ci już tego pastwienia się nad słabszym synkiem. Ten synek podrośł i nie pozwoli sobą pomiatać.

Stałem w przedpokoju z rozwianą grzywą błękitnych włosów. Młody i silny człowiek, już nie usłużne i pokorne dziecko. Dostrzegł to, oczy pociemniały mu przez chwilę, przygaśły.

Stanął bezradnie, po czym opuścił ręce i nie patrząc na mnie, odwrócił się w stronę kuchni. W starciu dwóch samców uznał swoją porażkę. Już nigdy nie podniesie na mnie ręki, cała energia i zapał wyleciały z niego niczym powietrze z nakłutego nieznacznie balonika. Był niezadowolony. Niezadowolony i wściekły, ale przede wszystkim bezsilny. Tak, bezsilność jest najgorszym koszmarem mężczyzny.

Nie chępiłem się jego słabością. Tylko głupcy cieszą się z chwilowej przewagi. Odszedłem do swego pokoju.

Właściwie dokonałem cudu. Udało mi się wywalczyć pozostawienie na jakiś czas moich błękitnych włosów w spokoju. Siedziałem na wersalce, śmiejąc się w duchu. Swoją drogą ładną mieli minę, gdy wrócili z pracy i zastali mnie z niebieskimi włosami.

Co mi właściwie strzeliło do głowy? Nie był to okrzyk buntu czy potrzeba wyróżniania się. Nienawidziłem robienia czegokolwiek na pokaz, dla szpanu, zawsze stawiałem na oryginalność i indywidualność, jednak przejawiać się ona miała wewnątrz, poprzez określony sposób myślenia, własną wizję świata. Nie musiałem należeć do żadnej subkultury, ukazywać światu swej agresji, nie miałem ambicji uzewnętrzniać poglądów, robić z siebie kolejnej tańczącej w rytm dźwięku bębna małpki. Świat nie jest tego wart, tak czy siak wchłonie wszystko jak gąbka. Szokowanie wyglądem wydawało mi się idiotyzmem. Po co więc niebieskie włosy?

To było jak impuls. Wracając ze szkoły, wstąpiłem na chwilę do sklepu kosmetycznego. Nie zdarzało mi się to często, jednak właśnie udało mi się odłożyć trochę grosza ze sprzedanych butelek i zamierzałem kupić sobie jakiś dezodorant, żeby przynajmniej pachnieć, gdy wreszcie nadarzy się okazja poznać Wiktorię. W oczy rzuciły mi się naturalne farby do włosów. Może dlatego, że były najbardziej kolorowe? Z obrazków na opakowaniach wyglądały fantastycznie barwne głowy modelek, jedne czerwone, inne trawiastozielone, pomarańczowe, jedna błękitna. Niewiele myśląc, zwinąłem farbę do kieszeni. Oczywiście dezodorant kupiłem również.

Godzinę później wychodziłem od fryzjera z fantastycznie niebieską burzą włosów. Na szczęście nie padało, gdyż farba miała zejść po pierwszym umyciu.

Dobrze, przynajmniej się: zrobiłem to, aby zwrócić uwagę Wiktorii. Wiedziałem, że będę jedynym w szkole osobnikiem z błękitnymi włosami i na pewno musi mnie zauważyć. A dalej jakoś pójdzie. Ważne, żeby mnie zobaczyła i bym mógł nawiązać z nią rozmowę. Później już tylko moje wygadanie i inteligencja...

Był to okres, w którym postanowiłem spróbować ją zdobyć, i choćbym nawet miał się przemałować na zielono, zasadzić w doniczkę i kwitnąć jak fiołek, zrobiłbym to z pewnością. I nie zwracałem uwagi na konsekwencje. Niech się dzieje, co chce.

X

Pierwszą lekcją była chemia.

Pani Czuchra była belferką, której bali się wszyscy. Była to chuda kobieta, w średnim wieku, z krótkimi, rudymi włosami. Umiała uczyć i była bardzo wymagająca, a przy tym słynęła z groźnych odzywek i potrafiła być naprawdę złośliwa. Jej sposób bycia, wyrażania się i wygórowane wymagania tworzyły naprawdę odstręczającą i budzącą groźę całość. Nic dziwnego, że na jej lekcjach zawsze panowała złowroga i nienaturalna cisza.

Jak nigdy (na chemię), tym razem przyszedłem spóźniony. Piętnaście minut w domu straciłem na odpowiednie „nabuzowanie” swej błękitnej czupryny, drugie piętnaście na uspokojenie wychodzących do pracy rodziców. Teraz jednak przekraczałem próg klasy.

Z dwudziestu kilku gardeł wydobyło się ciche westchnienie. Coś w stylu polifonicznego „łal!”. Spokojnie skierowałem się na moje stałe miejsce obok Korenia i Duszyka.

– Gumiecki? To ty? – usłyszałem za sobą skrzekliwy głos Czuchry.

– Tak, to ja proszę pani – odpowiedziałem flegmatycznie.

– Co ci się stało?

– Nie rozumiem?

– No, twoje... tego... włosy?

– Coś z nimi nie tak?

– Są, hmmm... niebieskie?

– Zgadza się.

– Coś ci, mówiąc po waszemu, od w a l i ł o ?

– Nie, dlaczego?

– Jak mogłeś zafarbować włosy na niebiesko i przyjść na moją lekcję?

– A czemu nie? Bardzo przepraszam, ale moje włosy to chyba moja sprawa. Proszę mi wierzyć, nie jest to prowokacja wymierzona w panią.

– No myślę! Jednak nie chcę mieć w klasie uczniów z niebieskimi włosami!

– Przepraszam, ale nie rozumiem dlaczego?

– Bo nie!

– Czy przez to zrobiłem się głupszy? Mniej będę wiedział z chemii, bo mam niebieskie włosy? Chyba ważne jest to, co w głowie, a nie na głowie...

– Mnie to nie obchodzi! Nie bądź bezczelny. Nie możesz siedzieć w klasie z niebieskimi włosami. To nie mieści mi się w głowie!

– To już pani problem. Mam wyjść?

– Raczej tak.

– No dobrze, ale wrócę w towarzystwie miłego pana z kuratorium i taki zrobi się szum wokół pani, że mogą być drobne problemy z posadą...

– Ty mnie straszysz?! Gówniarzu jeden!

– Nie straszę, tylko stwierdzam fakt. Uczeń ma prawo mieć kolor włosów taki, jaki sobie wybierze. Nie ma nic o tym w regulaminie szkoły. A nazywanie mnie gówniarzem jest wbrew wszelkim przepisom. Może pani za to odpowiedzieć. Znam swoje prawa.

– Przechodzisz sam siebie, Gumiecki! Jesteś bezczelny, złośliwy i... i... chamski! A nie możesz zostać w klasie choćby dlatego, że swym wyglądem... rozpraszasz innych!

– Czy ja kogoś rozpraszam? – popatrzyłem dookoła.

Wszyscy milczeli z wyrazem przerażenia na twarzach, zasłuchani w moją kłótnię z Czuchrą. Dla własnego dobra musiałem ją zakończyć. Zakończyć jak najszybciej...

– Proszę pani, my tu się kłócimy, a lekcja leci. Czy nie prościej byłoby po prostu nie zwracać na mnie uwagi i kontynuować? Ja naprawdę nie stałem się głupszy przez te niebieskie włosy.

– Czekaj. Idę do dyrektorki, to coś postanowi. Zaraz tu wrócę. Nie ruszać się! – klasa posłusznie zastygła w bezruchu. Czuchra wyszła.

– Durex, co ci, kurwa, odjechało? – spytał Koreń, gdy tylko za nauczycielką zamknęły się drzwi.

– Eeeetam, zaraz odjechało – odparłem – Po prostu zachciało mi się zrobić sobie niebieskie włosy, to wszystko.

– Ale po co?

– Czy musi być „po coś”? Po prostu.

– No dobra. Dla mnie tam wszystko jedno. Ale możesz mieć przejebane na całej linii!

– W gorszej opresji się bywało.

– Przynajmniej nie ma chemii! – ucieszył się Grzesiu Adamczuk i cisnął kawałkiem kredy w siedzącego w pierwszym rzędzie Michała Nemca. Po chwili rozgorzała wojna kredowa. Powszechna radość nie trwała jednak długo. Nie minęło pięć minut, do klasy z powrotem weszła Czuchra. Sama.

– Możesz zostać – zaskrzeczała ponuro – Na przerwie zamelduj się u dyrektorki.

Lekcja trwała dalej normalnie. No, może nie do końca normalnie, w klasie panował bowiem pewien bliżej nieokreślony nastrój grozy. Zaniepokojone koleżanki spoglądały ukradkiem na mą bujną, niebieską czuprynę, a po chwili pocztą pantoflową pod ławką przyszedł do mnie anonimowy liścik: „Piotrek, trzymaj się!”. Uśmiechnąłem się w stronę dziewczyn.

Nie myślałem co mnie czeka na przerwie. Na dywaniku u Stasi byłem już kilka razy, za każdym było całkiem miło i przyjemnie. Stasia była wymagająca, jednak niezwykle sympatyczną i bardzo inteligentną kobietą. Znała prawa ucznia (w tym to najważniejsze: do nauki), obowiązki nauczyciela, i korzystając z jednych i drugich, potrafiła utrzymać w ryzach i względnym spokoju całą tę trudną, bądź co bądź, placówkę.

Czuchra myślała pewnie, że czeka mnie płacz i zgrzytanie zębów, ja specjalnie nie obawiałem się o to. Spokojnie zapisywałem więc kolejne wzory jakichś dimetylohydroksopolipropylenów, czekając ze stoickim spokojem na przerwę. Nie musiałem długo czekać.

Długim czerwonym korytarzem udałem się powoli do sekretariatu. Szedłem powoli nie z powodu jakiegoś wstydu czy pokory. Szedłem z uniesioną głową, demonstrując całej szkole (no, gdzie ta Wiktorია?) kolor włosów. Wiem, że w dzisiejszych, zepsutych

reformą oświaty szkołach, typu gimnazjum, nikogo by to już nie szokowało, jednak wówczas robiłem dość spore wrażenie.

– Pani dyrektor czeka – usłyszałem po przekroczeniu masywnych, obitych skórą drzwi.

Po czerwonym, jak dla jakiejś gwiazdy, dywanie wszedłem do zwykownego gabinetu Stasi.

Wszystko tu było piękne. Meble z błyszczącej płyty, przeszklone szafki pełne zdobytych przez uczniów pucharów, zdjęcia sławnych literatów wiszące na ścianach oraz potężny mahoniowy stół, zasypyany, wielce ważnymi z pewnością, dokumentami. Na stole, wśród papierów, wielka, srebrna taca pełna najlepszych ciastek i placeków prosto z cukierni, za stołem zaś, we wielkim skórzanym fotelu, siedziała rozparta Pani Dyrektor.

– Witam cię, Piotrze – usłyszałem znajomy, piskliwy lecz w miarę przyjemny głos.

– Dzień dobry, pani dyrektor.

– Usiądź – lewą, wolną od rurki z kremem ręką, wskazała mi krzesło.

Usiadłem posłusznie.

– Ładny kolor – zaczęła.

– Chodzi pani o włosy? Cieszę się, że przynajmniej pani się podobają, bo pani Czuchra...

– Wiem, była tu w tej sprawie. Mnie, gwoli ścisłości, również się nie podoba, gdy nasz uczeń przychodzi do szkoły z niebieskimi włosami, co nie zmienia faktu, że nic w tej sprawie, w świetle prawa, nie mogę zrobić. Zresztą, jak słyszałam, doskonale znasz swoje prawa. O co ci chodzi z tą głową? To jakaś prowokacja? Robisz się na punka?

– Zaraz na punka... – westchnąłem aktorsko, z wyczuciem – Anarchia jest mi bliska, ale jest różnica między tym, co w głowie, a tym, co na głowie, pani wie... Polski punk to parodia, zresztą manifestowanie swych poglądów poprzez wygląd jest raczej śmieszne...

– Więc o co ci chodzi? Bo chyba nie z tęsknoty za mną tu przyszedłeś?

– Przyszedłem, bo mnie pani dyrektor wezwała – odparłem.

Lubiłem z nią rozmawiać. Niewielu jest ludzi, do których czuje się przychylność i olbrzymi szacunek, bez równoczesnego dystansu i strachu, a Stasia była właśnie taką osobą.

– Wezwałam, bo dałeś mi powód – rzekła.

– Powodu by nie było, gdyby nie pani Czuchra. Nie dość, że z powodu włosów chciała mnie wyrzucić z klasy, to jeszcze mnie wyzywała od gówniarzy. Nikomu na to nie pozwolę. Pani dyrektor wie, że to niezgodne z kodeksem praw ucznia i powinna za to odpowiedzieć – wyrecytowałem jednym tchem.

– Może powinna, a może nie – przerwała – Nie czepiaj się łaskawie moich nauczycieli. Pani Czuchra jest świetnym pedagogiem, z wieloletnią praktyką. Ma trochę konserwatywne poglądy i jest wymagająca, przez co jej nie lubicie – ja wiem wszystko – ale to nie powód, by wszczynać z nią spory i straszyć kuratorium. Bój się Boga, Piotrek!

– Jeżeli będzie się tak zachowywać w stosunku do mnie, to będę straszył – odparłem – Ja wiem, że jestem gówniarz, do tego bezczelny, ale nawet gówniarzowi, takiemu jak ja, należy się jakaś namiastka szacunku. Dopóki są instytucje, które egzekwują okazywanie tego szacunku, dopóty będę o to walczył.

– Jakiś ty wygadany! Tak... słyszałam co nieco o twojej erudycji. Szkoda tylko, że nie wykorzystujesz jej we właściwy sposób. Ty wiesz, co się tu działo w maju, jakżeś zwiął z domu? W szkole była policja, śledztwo, pytania wśród nauczycieli, uczniów, nasza placówka dosyć ma sławy przez ciebie! Dobrze, że się w porę raczyłeś odnaleźć, bo twoi rodzice chcieli już do telewizji iść, do tego, no... *Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie*, to by dopiero się nam narobiło! Kuratorium jest nam tu niepotrzebne! Jesteśmy dobrą szkołą, młodą, ale pełną pasji i ambitnych planów. Ty nam tego nie zepsujesz!

– Gdzieżbym śmiał, pani dyrektor! Nie chcę tu nic psuć. Ja tylko chciałbym, aby szanowano mnie i moje prawa. Hmm... Mogę się poczęstować? – spojrzałem wymownie na obładowany ciastkami półmisek.

– Co? To ja cię tu opieprzam, a ty o ciastkach?! – oburzyła się, ale tylko na niby.

- Głodny jestem, a tyle tu tego...
- Pan z cukierni przywiózł gratis, jako prezent od firmy cateringowej. Nie krępuj się, sama nie zjem. Ale wracając do tematu: po co psujesz pani Czuchrze nerwy swoimi włosami?
- Pani dyrektor – odpowiedziałem, wgrzyzając się w wuzetkę – Przecież nie farbowałem włosów, żeby komukolwiek psuć nerwy!
- No to wyjaśnij mi tu zaraz po co?
- Walczę z systemem – pierwsza odpowiedź nasunęła mi się do głowy.
- Bujać to my panowie szlachta! – odparła słowami Tuwima
- Przecież cię znam i ty nigdy nie potrzebowałeś farbować włosów na niebiesko, żeby się wyróżniać. To co mówisz jest ze sobą sprzeczne, nie widzisz tego? Systemu niebieskimi włosami nie zmienisz i jestem przekonana, że ty o tym wiesz. Dlatego jestem ciekawa, co ci nagle odbiło? To nie twój styl!
- Może zmieniam styl?
- Najwyższy byłby czas! Mógłbyś wreszcie, na przykład, przestać wagarować i wziąć się do roboty, bo zdolny jesteś, inteligentny, ale śmierdzący leń! Przecież w tamtym roku miałaś najwięcej nieobecności po tej, no... Labosze, z szóstej „b”.
- Zamarłem. Stasia mówiła o Wiktorii! Czyżby ona też wagarowała? Swoją drogą faktycznie często jej nie ma.
- Więc zmieniaj sobie styl, ale, na Boga, nie w tę stronę!
- ciągnęła dalej – Nie w stronę niebieskich włosów! Jako dyrektorka tej szkoły zabraniam! Mam obowiązek strzec cię przed demoralizacją!
- Ale co pani może poradzić na moją demoralizację? Ma tu pani siedemset pięćdziesięciu ośmiu uczniów! – wyrecytowałem.
- Jaka wiedza! Ho ho! – zaśmiała się – Czasem jeden taki jak ty to więcej niż tysiąc razem wziętych. Słuchaj, musimy coś w twojej sprawie postanowić. Zgodnie z prawem, nie wolno mi karać cię za włosy, statut szkoły, jak widzę, wymaga uzupełnienia pod tym względem, jednak niektórzy nauczyciele myślą inaczej i możesz mieć spore kłopoty. Twoim wychowawcą jest pan Dolot, tak?
- Tak.

– To najlepszy wychowawca w tej szkole, w razie czego zgłoś się do niego. Pani Czuchrze powiem, że nie powinna zachowywać się w ten sposób, ale ty masz milczeć o kuratorium, zrozumiano? Bo potrafię być naprawdę nieprzyjemna.

– Dobrze – próba zamknięcia mi ust trochę mnie rozbawiła.

– I jak się tylko da, postaraj się jednak wrócić do normalności. Jesteśmy szkołą, mamy kształcić obywateli...

– Przepraszam, ale czy o b y w a t e l nie może mieć niebieskich włosów? – przerwałem.

– Nie łap mnie za słowa, dobrze? Może i może, ale czy znajdzie wtedy dobrą pracę, na przykład, w szanującej się firmie? Dziś trzeba dbać o swój wizerunek. To podstawa. A ty tego nie robisz, a co za tym idzie naruszasz dobry wizerunek szkoły. Są w społeczeństwie pewne przyjęte normy i ty je musisz uszanować, inaczej będziesz mieć w życiu duże kłopoty. Musisz się, Piotrze, nauczyć żyć między ludźmi...

Bzdura – pomyślałem – Jakie normy? Życ między ludźmi? A na co mi to?

– Ciągłe mnie ciekawi, po co to zrobiłeś? Powiesz mi?– spytała.

– Dobre te markizy! – odparłem, biorąc kolejne ciastko do ust. Markizy rzeczywiście były wspaniałe, w środku otuliny z waniliowego kremu znajdowała się morelowa galaretka. Nigdy wcześniej nie jadłem tak dobrych ciastek – A jeśli powiem, że dla dziewczyny, uwierzy pani?

Postanowiłem w końcu być z nią szczerzy. Nic na tym nie stracę. Stasia była doskonałym pedagogiem i szczerść w rozmowie z nią opłacała się. Poza tym dawno niewidziane słodczyce wprawiały mnie w dobry humor. Mogłem siedzieć „na dywaniku” nawet przez sześć lekcji!

– Dla dziewczyny?! Co?! – dyrektorka o mało nie zakrztusiła się ptysiem. Jej gwałtowna reakcja zadziwiła mnie nieco.

– Coś w tym dziwnego? – spytałem.

– Zakochałeś się?! Ty?! – wykrzyknęła.

Nieśmiało skinałem głową. Stasia śmiała się dobrą minutę życzliwym, belfrowskim śmiechem. Poczulem się trochę urażony.

- Czy ja powiedziałem coś śmiesznego?
- Nie, skądże... – odparła po chwili, dławiąc się ze śmiechu
- Tylko wyobraź sobie, że nie dalej jak miesiąc temu była u mnie przerażona pani Kuner, skarżąc się na ciebie. Była w szoku, słysząc twoje wypowiedzi o miłości i związkach na lekcji języka polskiego, podczas analizy sonetu, pamiętasz?
- Pamiętam – przyznałem niechętnie.
- Widzisz! Przede mną nic się nie ukryje! Ja wszystko wiem! Prawie pół godziny rozmawiałam o tobie z panią Kuner. Ponoć twierdziłeś, że nigdy nie chcesz mieć dziewczyny, że to nie dla ciebie, bo nie masz pieniędzy, nie jesteś zainteresowany, bo nie ma miłości na świecie, twierdziłeś, że wszystko to popęd, seks lub pogoń za pieniędzmi. Chciałam cię nawet wezwać na rozmowę, ale stwierdziłam, że właściwie nie ma powodu, i poczekam aż coś przeskrobiesz. Pani Kuner była przerażona, a mnie... hmm... zaintrygowane! Ciekawe, pomyślałam. A teraz co? Dla dziewczyny? Zmieniłeś nagle zdanie?
- O każdym uczniu wie pani tak wiele? – jej wiedza na mój temat wywarła na mnie spore wrażenie, chciałem się też raczej, o ile to możliwe, wymigać od odpowiedzi.
- Kłopoty są jedynie z szóstymi i ósmymi klasami, reszta to jeszcze dzieci. Czyli w gruncie rzeczy sporo mniej. A i w tych szóstych i ósmych większość jest spokojna. Tacy jak ty to rzadkie przypadki. Niby mądre, a jednak... No ale, co z tobą? Przyznaj się, bo jestem ciekawa. I nie jedz tyle. Brzuch cię rozboli – stwierdziła zatroskana. Istotnie łądowałem właśnie do gęby kolejną kremówkę
- Więc?
- Cóż... Ponoć tylko krowa nie zmienia poglądów – odparłem. Stasia popatrzyła na mnie zde gustowana – Ja sam nie wiem czy zmieniłem. Jeszcze niedawno dałbym się za nie pokroić, a teraz chyba stało się ze mną coś nienormalnego. Jakieś światło bije od tej dziewczyny, stała się dla mnie niemal boginią. Nie wiem, co to jest, ale czuję, że muszę ją poznać. Koniecznie muszę ją poznać i zwrócić na siebie jej uwagę. Pewnie jest dla mnie za ładna, ponoć zresztą kocha kogoś innego, no ale... Wie pani...

– Ty jednak jesteś najnormalniej zakochany! – roześmiała się.

– Brrr... – wstrząsnąłem się jak po nadeptaniu na meduzę – Tak pani myśli?

– Też mam syna, też był w twoim wieku, wiem co przeżywał. Jesteś zakochany i tyle! A żeby zwrócić uwagę tej dziewczyny przefarbowałeś włosy na niebiesko, tak?

– Powiedzmy...

– No to wszystko wyjaśnia! Ale nie było inteligentniejszego sposobu? Nie mogłeś po prostu do niej podejść, porozmawiać, zaprosić do kina czy gdzieś?

– Pani dyrektor, ja nie znam się na tym! Poza tym to nie takie proste... Ona ponoć kocha się w kimś innym, bardzo mi bliskim, poza tym może mieć każdego, chciałem się wyróżnić.

– Jest z naszej szkoły?

– Tak.

– Jak się nazywa?

Stop – pomyślałem – Nigdy nie zdradzić za dużo!

– Obawiam się, że nie mogę powiedzieć... Zresztą, po co ja to pani opowiadam... – nagle wezbrała we mnie dziwna fala buntu

– Dowiedziała się pani, dlaczego jestem niebieski? Tak. Na razie tego nie zmienię i nikt mnie do tego nie zmusi. To wszystko. Reszta to moja prywatna sprawa. Mogę już iść?

– Spokojnie. Nie unos się tak. I nie tym tonem, dobrze, dziecko? Ja dla twojego dobra. Nie chcesz, to nie mów, jak będę chciała to i tak się dowiem. Tylko nie życzę sobie żadnych kłopotów, bijatyk...

– Ja, bijatyki? – przerwałem – To dla prostaków, ja się nie bawię w takie rzeczy.

– No! – pogroziła mi palcem – Już nie tacy bili się tu o dziewczynę. Aż pióra leciały! Miłość zmienia człowieka, uważaj! Ja jestem cierpliwa i łagodna, ale na bijatyki reaguję stanowczo. Za bijatykę wyrzucam ze szkoły!

– I bardzo słusznie. Ale za siebie mogę ręczyć. Z daleka od bijatyk! Obiecuję!

– Dobra, uciekaj na lekcję. Mam tu kupę roboty z papierami.

- A mogę jeszcze pączka?
- Bierz!
- Dziękuję – porwałem pączka z półmiska (sporo pomniejszyliśmy z dyrektorką jego zawartość podczas tej rozmowy wychowawczej) – I do widzenia pani.
- Do widzenia. I powodzenia! – uśmiechnęła się.
- Dziękuję – odparłem i przeszedłem po czerwonym dywanie do sekretariatu.
- Nagle coś mi się przypomniało, fala buntu uderzyła we mnie ze wzmożoną siłą:
- Przepraszam, a te ciastka to nie miały być czasem jako deser dla dzieci do obiadu w stołówce? – odwróciłem się w stronę gabinetu.
- Uciekaj, bo jak się zdenerwuję!... – machnęła na mnie uzbrojoną w ptysia ręką.
- Tak tylko spytałem... Do widzenia!
- Z pączkiem w ręce wyszedłem na korytarz.
- Tuż przed sekretariatem zderzyłem się z Wiktoria. Tak po prostu.
- Stała w świetlistym obłoku w ten pochmurny dzień, na czerwonej posadzce korytarza, jakby czekając na coś, na kogoś, na mnie? Nie, to niemożliwe.
- Cześć! – powiedziałem, bo to zwykło się mówić w takich sytuacjach.
- Wszystko dookoła znikło, byłem tylko ja i ona, uśmiechnięta i zdziwiona naprzeciwko. Jej uśmiech jest najpiękniejszym uśmiechem na tej planecie – pomyślałem.
- Cześć – odpowiedziała – Fajne włosy.
- Co? Włosy? A... Dzięki... – odparłem zmieszany, zapominając języka w gębie.
- Byłeś u Stasi?
- Tak, to właśnie przez te włosy i Czuchrę...
- A! To ty musisz być Gumiecki, tak?
- Piotrek – poprawiłem, wyciągając do niej rękę, którą delikatnie uścisnęła.

Dotknąłem jej dłoni! Czulem jakby przez tę krótką chwilę przekazała mi część swego wewnętrznego ciepła. Ciepła, o którym tak bardzo marzyłem...

– Pani Czuchra całą lekcję napieprza na ciebie. Niezłe ją wnerwiłeś!

– Masz z nią teraz chemię?

– Godzinę wychowawczą. To moja wychowawczyni. Ledwo weszła do sali, zaczęła na ciebie wymyślać. Nawet ciekawe to było, ale musiałam wyjść do Stasi.

– Czuchra jest waszą wychowawczynią? Jezu! To nie zazdrość... – jak pech to pech – pomyślałem.

– A waszym kto jest?

– Pan Dolot. Najlepszy człowiek na świecie.

– To jesteś z klasy Przemka? To znaczy, z ósmej „c”, tak? – zarumieniła się lekko, zadając to pytanie.

– Tak – przyznałem niechętnie – A po co idziesz do Stasi? – zmieniłem temat.

– Mam specjalny tok nauki, bo dużo opuszczam i raz na tydzień muszę się u niej meldować z zaliczonymi partiami lekcji. Zmuła...

– Stasia wspominała o tobie. Ponoć masz najwięcej nieobecności w szkole. Cóż, jestem na drugim miejscu...

– Fajnie! Wagarujesz?

– Czasami – przyznałem skromnie.

– Z Przemkiem?

– Tak, zazwyczaj z Przemkiem – westchnąłem. Chyba naprawdę była w nim zakochana.

– Wiesz co? Pozdrów go jak wrócisz na lekcje, okej?

– Dobrze, pozdrowię – skłamałem.

– I nie daj się z tymi włosami. Są fajne! Muszę lecieć, miło było cię poznać...

– Dzięki. Mi ciebie też. Powodzenia u Stasi! Tylko nie przytyj za bardzo po tej wizycie!

– Co?

– Nie, nic. Żartowałem. Cześć!

– Dzięki. Pa!

– Pa.

I znikła, wchodząc po czerwonym dywanie do wnętrza gabinetu dyrektorki. Rozkosznie kołysała biodrami, jakby ten czerwony dywan znajdował się przynajmniej u wrót *Codiac Theatre* w Hollywood, w dzień wręczania Oskarów. Boże, ale ona musi działać na facetów! Stałem jeszcze przez chwilę osłupiały pod drzwiami sekretariatu, przypominając sobie dokładnie moją pierwszą rozmowę z nią. Chciałem zapamiętać na zawsze każde słowo, nie uronić nigdy ani jednego spojrzenia czy westchnienia. Nie była to zbyt ambitna czy inteligentna rozmowa, wyrzucałem sobie, że wyszedłem na kompletnego debila, jednak dla mnie w tamtej chwili znaczyła więcej niż wszystkie bogactwa tego świata. Sam fakt, że mogłem porozmawiać z Wiktoria była dla mnie wówczas tak niesamowity jak co najmniej widok wschodzącego słońca ponad szczytami gór.

XI

Z nietajonym żalem obserwowałem niebieską farbę spływającą po wannie i białych kafelkach łazienki wprost do krwiożerczego otworu kanalizacji. Po tygodniu chodzenia z ufarbowaną głową wyglądałem raczej dość nieestetycznie i postanowiłem pozbyć się krępującej ozdoby.

Nie myłem włosów przez tydzień, bo, według ulotki, po pierwszym myciu farba miała spłynąć. Przez pięć dni tak chodziłem, później porobiło mi się na głowie coś w rodzaju dredów. Musiałem z tym skończyć.

Przez te kilka dni osiągnąłem jednak bardzo wiele. Zdenerwowałem kilku nauczycieli, rozmówiłem się ostatecznie z ojcem, a przede wszystkim – poznałem Wiktoria! Cel został osiągnięty, misja wykonana. Kilkakrotnie później rozmawiałem z nią na korytarzu. Były to zwykłe rozmowy o wszystkim i o niczym; o pogodzie, chłopakach, dziewczynach, wagarach...

Jak zauważyłem, była jedną z nielicznych osób, z którą nie dało się rozmawiać o nauce. Nie lubiła tego tematu, unikała go jak diabeł święconej wody, co zdziwiło mnie trochę, gdyż z większością

dziewczyn z klasy dało się rozmawiać tylko o tym. Wkrótce, po jednej czy dwóch wpadkach, miałem mniej więcej w głowie nieskomplikowany obraz jej psychiki i wiedziałem jak nawiązywać rozmowę. Najczęściej ona opowiadała mi o swoich przygodach, a ja cierpliwie słuchałem, skupiony bardziej na aksamitnej barwie jej głosu, niż samym temacie wypowiedzi. Zresztą, gdy przychodziło opowiedzieć o sobie, zwykle dukalem coś bez ładu i składu, wyrzucając sobie później przez resztę dnia, że wyszedłem na idiotę.

Tymczasem wprowadzono kolejną, iście cyrkową rozrywkę w celu dręczenia uczniów. Nazywało się to – „Zeszyt Uwag”.

W każdym dzienniku znajdował się brulion, w którym nauczyciele zapisywali opinie na temat ucznia. Były one nagradzane punktami. Każdy uczeń otrzymał swoją stronę podzieloną na punkty dobre i złe. Oczywiście łatwiej było o te złe. Nie trzeba było specjalnie się wysilać, by po tygodniu od funkcjonowania tego ślicznego wynalazku, prawie całą złą rubrykę mieć już zapełnioną. Potem z tych punktów wystawiano ocenę z zachowania. Od stu punktów dostawało się dobre, od stu pięćdziesięciu wzorowe itp. Po kilku dniach miałem zachowanie nieodpowiednie. To jeszcze nie naganne, ale już niedaleko. Zabawne były te zeszyty uwag: za wagary, na przykład, dostawało się minus dwadzieścia punktów. Jeśli będzie to egzekwowane w taki sposób, skończę szkołę z poważnym wynikiem kilkunastu tysięcy na minusie – myślałem, śmiejąc się w duchu.

Październik leciał i powoli dobiegał końca. Nadchodził listopad – miesiąc, którego jakoś najbardziej nienawidziłem.

Wraz z końcem października na dobre skończyła się także pogoda. Skończyły się wyjścia na przerwach i przesiadywanie na poręczy schodków. Siadaliśmy teraz na kaloryferze, w przejściu przy tylnym wyjściu. Irytował nas każdy, kto przez te drzwi wychodził, wpuszczając do szkoły zimne powietrze.

Miałem dużo okazji, by uważnie obserwować Korenia, ale Przemek zachowywał się jak najbardziej normalnie, nic nie wspominając na temat Wiktorii. Może to i lepiej. Łatwiej mi było udawać, że nie jestem zazdrosny.

W dzień Wszystkich Świętych padał ulewny deszcz, co nawet mnie nie zmartwiło. Wraz z rodziną w ten dzień zawsze odwiedziliśmy groby dziadków na kilku cmentarzach, w kilku wsiach, staliśmy na polu, słuchając mszy i patrząc dwie godziny na siebie przez rozedrgane bijącym od zniczy żarem powietrze – co zwykle bywało dla mnie dość męczące, i wydawało mi się kompletnie bezsensowne i na pokaz, bo inni tak robią – a w tym roku, właśnie z powodu pogody, zeszło nam dużo krócej. Resztę dnia spędzałem w domu, patrząc przegnębiony na krajobraz za oknem.

Łało. Niemiłosiernie łało. Na trawniku tworzyły się coraz większe, lodowato zimne kałuże. Z jednej strony miałem lekko refleksyjny i nostalgiczny nastrój (listopad zawsze włączał u mnie pseudofilozoficzne myślenie), z drugiej zaś pocieszałem się jak tylko mogłem, że to w końcu już listopad. Dwa miesiące „nauki” zostało w tyle. Jeszcze tylko niecałe osiem miesięcy i pożegniam się z tą szkołą raz na zawsze. Ostatni rok tutaj siedzę, ostatni rok widzę te mury jako uczeń, ostatni rok... co dalej? – myślałem – Czerwiec będzie pełen wspaniałych dni, zamknę pewien etap życia, otworzę kolejny, nie mam tylko jeszcze pojęcia, jaki.

Zawsze lepiej myśleć o czerwcu, o truskawkach i wakacjach na wyciągnięcie ręki, niż zatracać się w szarych, listopadowych klimatach. Skupiłem się na tej myśli i humor nieco mi się poprawił. Odszedłem od okna i zaświeciłem wszystkie światła w pokoju, stwarzając pozory lata. Włączyłem kasetę *The Offspring*, ale sielanka nie trwała długo. Po pierwszych dźwiękach riffów gitarowych *Change the world*, do mego pokoju wparował ojciec, wrzeszcząc mi nad uchem, że to jest katolicki dom, mamy święto zmarłych (skoro jest tak żarliwym katolikiem, to powinien chyba mówić Wszystkich Świętych, a nie używać komunistycznego terminu „święto zmarłych”?) i „nie wolno mi słuchać muzyki”. Należy siedzieć cicho (najlepiej jak on przed telewizorem) i „wspominać swoich bliskich”.

Prawdopodobnie chodziło jedynie o jego jawną nienawiść do punkrocka, nie miałem jednak ochoty wdawać się z nim w dysputy. Usiadłem na wersalce i zatopiłem się w lekturze *Nędzników* Wiktora Hugo. Niesamowita książka...

Nie wspominałem zmarłych. Co by im to zresztą pomogło? Na co im ten cały komercyjny szmelc, kwiatki, wstążki, wianki? Leżą przecież w ziemi i świat materialny nie ma dla nich żadnego znaczenia. Przez cały rok nikt się nimi nie interesuje, aż tu nagle, raz w roku wielki szturm na cmentarze i udawanie wspaniałej, trwałej pamięci, przynoszenie kwiatków i zapalanie milionów zniczy. Albo te wzajemne wyścigi, który grób będzie najbardziej bogato ubrany. Wszyscy chcą pokazać, jak bardzo kochają swoich zmarłych, nakładają na grobowe płyty stosy wieńców i świec, po czym stoją i patrzą z pogardą na inne, skromniej odziane, lub całkiem zapomniane grobowce. Wkrótce dojdzie do tego, że będą urządzone konkursy na najlepiej ubrany grób, zaś strojeniem cmentarzy zajmą się wyspecjalizowane firmy, takie same, jakie zajmują się na przykład urządzeniem wesel i styp. Nad cmentarzami wybuchnie łuna tysięcy świec, aż przelatujące nad nimi ptaki będą sobie parzyć o nią skrzydła. Komercja powoli wchłonie wszystko, przeżuje, połknie i przetrawi, zamieniając tradycję w wysmakowaną, lekkostrawną papkę.

Na takim świecie żyjemy? I co mają do tego zmarli?

Zadziwiająca, że symbolem wielkiej, nieprzemijającej pamięci o nich ma być właśnie ów znicz, mały płomyk, zamknięty w szklanej lub plastikowej obudowie. Znicz, który przecież po jednym dniu palenia, staje się brzydkim, okopconym kawałkiem bezużytecznego śmiecia.

Z tego wszystkiego ułożyłem nawet wiersz. Powstawał po ciachu, dnia pierwszego listopada, w ciasnym kącie mojego pokoju, w szumie chodzącego za ścianą telewizora i zapowiadającej hit tygodnia Grażyny Torbickiej. Oto on:

* * *

Pragniesz by Cię pamiętano?

Żyj tak, aby po zamknięciu powiek

Długo mówiono:

To był dobry człowiek!

Założ rodzinę.

*Umrzesz – przyjdą na Twój grób
Raz w roku.
Postawią kwiatka,
Zapalą świeczkę.
Będziesz sobie patrzył z góry
Na więdnące kwiaty i gasnący płomień
W dzień po Wszystkich Świętych...*

Bo śmierć tak naprawdę przychodzi i zabiera nas cicho, niedostrzegalnie i znienacka. Przychodzi jak kot na poduszkach swych stóp lub jak barwny motyl, pod którym nie zachwieje się nawet płatek kwiatu. Przychodzi, umieramy, odchodzimy i w jednej chwili wszystko dla nas znika i nie mają już sensu żadne piękne kwiatki czy nieskończona ilość mszy w kościołach. Dalej nie ma już nic. Tylko pustka i wolność...

Czym jest? Wolność.

XII

Tymczasem znów zaczęła się szkoła i dalej lało jakby gdzieś na górze przeciekała Panu Bogu wanna. Deszcze był coraz częstsze i zimniejsze. Uczniowie dopiero teraz zauważyli, że istnieje coś takiego jak szatnia i że należałoby czasem zmienić buty, czy zostawić gdzieś kurtkę. Codziennie, schodząc do szatni, miałem na oku napisy na Korenia *made in Wiktoria Labocha*, jednak nie zauważyłem, żeby Koreń, lub ktokolwiek, coś dopisał... W ogóle mój przyjaciel nie reagował na to, choć z pewnością wiedział o uczuciach Wiktorii. Wprawiał mnie tym w permanentny stan oglupienia.

Koreń, czemu ty nic nie robisz?!

Na pole nie wychylaliśmy nawet nosa, bo człowieka by w taką pogodę nie wygnał, a co dopiero psa. Byliśmy więc codziennie, przez siedem godzin uwięzieni w murach szkoły. Nie narzekaliśmy jednak. Było całkiem przyjemnie. Nauczyciele chorowali, często mieliśmy wolne lekcje i nawet nie ciągnęło na wagary. Właśnie w takie miesiące jesienno-zimowe dawał się odczuć swoisty

klimat naszej budy. Byliśmy jakby jedną wielką rodziną. Targaną sprzecznościami, czasem niezbyt zgraną i skłóconą, pełną czarnych owiec i marnotrawnych synów, ale rodziną...

Niestety, taki stan rzeczy nie mógł trwać wiecznie. Już prawie ludziliśmy się, że można polubić szkołę, gdy Czuchra zapowiedziała nam sprawdzian z chemii, żeby było zabawniej – od początku roku.

Kto inny na moim miejscu pewnie podwinąłby rękawy i wziął się do nauki, ale nie ja! Na samą myśl o tym, że miałbym pisać sprawdzian z materiału, którego nie lubiłem, nie rozumiałem i nie chciałem się uczyć, nawiedzały mnie dreszcze. A były to zupełnie inne dreszcze od tych, które targały moim ciałem po każdym ujrzaniu Wiktorii.

Braliśmy wtedy o solach, reakcjach otrzymywania i dysocjacji elektrolitycznej. Już wołałem tę godzinę przesiedzieć w szatni czy w domu niż brać się do walki z książkami. Nie mogłem sobie jednak pozwolić na opuszczenie całego dnia, niedługo bowiem, według wyliczeń, powinna być wywiadówka.

Przed wywiadówką lepiej było nie wagarować. Darek wprawdzie nigdy jeszcze przy rodzicach nie wspomniał o opuszczonych godzinach, istniało jednak między nami coś w rodzaju niepisanej umowy. My będziemy grzeczni, i na jakiś tydzień przed wywiadówką pochodzimy normalnie do szkoły, on o niczym nie powie. Jeżeli więc spotkanie z rodzicami miałoby się odbyć na przykład w przyszłym tygodniu, nie moglibyśmy opuścić całego dnia z powodu sprawdzianu z chemii! Gdyby rodzice dowiedzieli się o wagarach, byłby płacz i zgrzytanie zębów.

Nie mogłem również zerwać się z samego sprawdzianu. Gdyby Czuchra przyuważyła mnie później na korytarzu, byłoby sporo nieprzyjemności. I tak nienawidziła mnie od czasu niebieskich włosów, nie należy jej więc rozdrażniać, zwłaszcza że była wychowawczynią Wiktorii i naprawdę wymagającą nauczycielką. Słowem tak źle i tak niedobrze. Powoli nabierałem przekonania, że jednak trzeba będzie zacząć się uczyć... Te sole i kwasy, może da się jakoś...

Jak powiedziałem o tym Koreniowi, postukał się palcem w głowę i kazał mi iść do diabła.

– Uczyć się chcesz? Pojebało cię? Frajer! – powiedział.

– To doradź coś, cwaniaku!

– Przecież nie pójde na ten pieprzony sprawdzian, żeby dostać kapę.

– Wagary?

– Tak, młotku.

– Ale niedługo wywiadówka!

– Pierdolić wywiadówki! – wykrzyknął na pół korytarza.

Może i miał rację.

Zawsze bałem się wywiadówek. Może dlatego, że zawsze miałem sporo do ukrycia. Rozumiałem, że takie spotkania z nauczycielem są obustronnie potrzebne, ale ile one kosztowały mnie przez te lata stresu, to szkoda nawet pisać. Oceny miałem średnie, nigdy nie przejmowałem się cyferkami i nie uczestniczyłem w tym ohydnyim wyścigu szczurów. Polski i historia – świetnie, matematyka, fizyka, chemia – źle. Jeśli już się uczyłem, to tylko tego, co mnie interesowało. Nie dla mnie było wkuwanie bezużytecznych stwierdzeń, reguł, wzorów i cyfr. Szkoda, że nie można zataić przed rodzicami terminu zbliżającej się wywiadówki... – myślałem. Od lat już rodzice mi nie dowierzali i o życie szkolne pytali matkę Goški Chodor. Małgoška chodziła ze mną do klasy, a jej matka wracała razem z moją jedynym autobusem po pracy...

Tymczasem do sprawdzianu pozostały dwa dni, a o wywiadówce wszędzie cicho! Cierpliwie wyczekiwałem, aż Darek coś zapowie na lekcji, tymczasem nie było żadnych wiadomości o tym niezmiernie irytującym dniu. Na dzień przed sprawdzianem ciśnienie niepewności wzrosło do tego stopnia, że... sam zadzwoniłem do sekretariatu:

– Szkoła dziewięć, słucham? – usłyszałem w słuchawce.

– Dzień dobry – powiedziałem kobiecym głosem, co wychodziło mi całkiem niezłe z racji tego, że nie zaczęła mi się jeszcze na dobre mutacja – Ja chciałam(em) się dowiedzieć, w jakim terminie jest najbliższa wywiadówka, bo syn mi nic nie mówi, a ja już nie mam do niego zaufania...

– Proszę chwilę poczekać. Dam panią dyrektor... – usłyszałem odpowiedź, po czym przez chwilę mogłem wysłuchać wkurzającej melodyjki, elektronicznej wersji *Dla Elizy*. Melodia ta prześladowała mnie ostatnio. Ładna sprawa – myślałem – Daję mi do telefonu samą Stasię! Naszą kochaną, niezrównaną dyrektorkę, która tak dobrze mnie poznała. Oby tylko nie rozpoznała mojego głosu! Trzeba jakoś po męsku wybrnąć z tej sytuacji.

Po chwili w słuchawce usłyszałem dobrze znajomy, piskliwy lecz przyjemny głos:

– Halo?

– Tak? – odpowiedziałem, nadal udając babę.

– Wywiadówka jest drugiego grudnia o siedemnastej.

– Dziękuję bardzo – odparłem.

– Do widzenia.

– Do widzenia.

Odłożyłem słuchawkę. No tak! Cała Stasia – krótko i rzeczowo. Odetchnąłem z ulgą. O to chodziło. Wywiadówka drugiego grudnia, mamy połowę listopada!

W dzień sprawdzianu pogoda była zła. Niby nie lało, ale po niebie przetaczały się, niesione zimnym, porywistym wiatrem ołowiano-brunatne chmury. Zdecydowaliśmy się (ja, Koreń i Duszyk) pozostać u mnie w mieszkaniu. Okoliczności były sprzyjające, bo Dorota miała pierwszą zmianę na tej swojej marketowej posiadce. Przyjaciele, zamiast do szkoły, przyszli po prostu do mnie.

Okolo dziewiątej wzięliśmy się za wygłupy telefoniczne, których Koreń za wszelką cenę chciał spróbować. Oprócz tradycyjnych wygłupów z Józkiem czy nagradzaniem nieświadomych abonentów *Wizji TV*, wykręciliśmy dwa dosyć poważne numery.

Najpierw postanowiłem zrobić Gośkę Chodor w wagary. Przyjaźń jej matki z moją dużo napsuła mi krwi, ale była to tylko i wyłącznie wina Gośki; po jaką cholere codziennie opowiada matce, co się dzieje w szkole? Kto rozsądny dzisiaj tak postępuje?

Zadzwoiłem więc do jej domu:

– Dzień dobry, czy jest Gośka? – spytałem najcieńszym z możliwych głosików.

– Gośki nie ma, jest w szkole – usłyszałem oczywistą odpowiedź jej siostry. Na tym właśnie polegała cała istota kawału.

– Hmm... No, bo ja właśnie ze szkoły dzwonię, z polecenia pana Dolota, naszego wychowawcy, bo Gośki od dwóch dni nie ma w szkole i niepokoimy się, czy nie jest może chora.

– Zaraz! Jak to jej nie ma w szkole?

– No normalnie, nie ma i już...

– A kto mówi? – usłyszałem nieco zaniepokojony głos.

– Tu Dominika, koleżanka Gosi.

– To mówisz, że Gośki nie ma w szkole?

– Nie ma jej...

– Hmm... Nic mi o tym nie wiadomo, ale dziękuję za informację. Ale się gówniarze dostanie! Dziękuję. A czy to coś ważnego?

– Nie, po prostu obiecała coś przynieść panu Dolotowi, poza tym mamy dziś ważny sprawdzian z chemii i powinna raczej na nim być. To nie w stylu Gosi...

– Aha, sprawdzian! To dziękuję bardzo. Do widzenia.

– Do widzenia.

Odłożyłem słuchawkę i nie mogłem powstrzymać śmiechu. Zarozumiałej Gośce, mającej monopol na przeszkadzanie na lekcjach, dostanie się za wagary, na których to dziewczątka nigdy w życiu nie było...

Następny kawał wymyślił Duszyk. Dotyczył on utarcia nosa niejakiemu Kamienieckiemu, mającemu ponoć trochę zbyt piękne życie. Nie znałem człowieka i było mi wszystko jedno, ale Duszyk powiedział, że to jakiś syn nowobogackich, ma kasę, wiele lasek i wszystko, czego zapragnie, zadziera dupę wyżej nosa, i żeby go zrobić w coś poważnego.

Rozmowę ponownie prowadziłem ja, tym razem starając się nadać swemu głosowi poważne, męskie, basowe brzmienie. To też nawet mi wychodziło. Telefon odebrała kobieta.

– Dzień dobry. Jerzy Borewicz, kierownik supermarketu *Albert* w Mielcu – przedstawiłem się – Czy to mieszkanie państwa Kamienieckich?

– Tak – głos zdziwiony.

– Czy ma pani syna Michała? – ciągnąłem dalej.

– Tak.

– Został on zatrzymany na kradzieży w naszym markecie. Próbował wynieść kliszę do aparatu, wartości ponad trzydziestu złotych. Mamy tu taki przepis, że musi się pani zgłosić, by osobiście odebrać od nas syna z uwagi na jego niepełnoletność.

– Czy to jest jakiś głupi żart? Jeśli tak, to proszę...

– To nie jest żaden żart – przerwałem brutalnie – Albo się pani zgłosi po syna, albo dzwoniemy na policję i do szkoły w sprawie wagarów.

– Dobrze – odpowiedział mi głos skarconej, przerażonej kobiety – A gdzie mam się zgłosić?

– Wejdzie pani do *Alberta*, tam na tyłach przy ścianie są brązowe drzwi obite w skórę z napisem „kierownik”. Najlepiej niech pani zapyta kogoś z personelu, to na pewno pani wskaże – byłem bezlitosny.

– Dobrze, zaraz tam będę.

– Do widzenia.

– Do widzenia.

Odłożyłem słuchawkę. Udało mi się święcie przekonać kobietę, że jej synek, mający w domku wszystko, czego tylko zapragnie, bawi się w kradzieże w marketach. Podczas gdy Koreń z Duszykiem pokładali się na podłodze ze śmiechu, ja poczułem się trochę głupio. W końcu należało uprzedzić biedną kobietę, że to tylko głupi żart. Jeszcze dostanie nerwicy...

Na prośbę kumpli, by zatrzeć nastrój grozy, który chwilowo zapanował w przedpokoju, zadzwoniłem do innego domu w tej samej sprawie. Tym razem jednak w kulminacyjnym momencie miałem uprzedzić, że to tylko najzwyczajniejszy wyglup telefoniczny. Wybór padł na państwo Piwniców.

Wstawiłem początkowo tę samą gadkę, ale gdy doszło do miejsca: „Zatrzymaliśmy Marcina na kradzieży w naszym markecie”, usłyszałem zdziwiony głos:

– Marcina? A nie czasem Wojtka? Marcin wyjechał dwa dni temu na obóz. To chyba pomyłka.

– Proszę chwilkę zaczekać, zapytam go – zdębiałem, nie wiedząc, co powiedzieć, w końcu przecież wszystko było wielką improwizacją.

Krzyknąłem specjalnie głośno na stojącego obok Korenia:

– No gadaj, jak się nazywasz?! Marcin, czy Wojtek?

Koreń, zdziwiony, nic nie odpowiedział, wybałuszył oczy, więc żeby nie przedłużyć, rzekłem do słuchawki:

– Mówi, że Marcin. A zresztą dam go pani do telefonu – podałem słuchawkę zdziwionemu Koreniowi, bo mi się tekst skończył:

– Mama! – zaczął.

– Aśka z tej strony – odpowiedziała dziewczyna.

– Aśka, złapali mnie... – ciągnął Koreń.

– Kto mówi?

– Jak to kto?! Marcin!

– Marcina nie ma w Mielcu. Czy to jest jakiś głupi żart?

– Jasne, że żart, ty...

W tym miejscu mój przyjaciel puścił do słuchawki najbardziej soczystą wiązkę przekleństw, jaką kiedykolwiek słyszałem. W trosce o uczucia estetyczne czytelników nie należy przytaczać jej tutaj, nie mam bowiem zamiaru zasłynąć jako propagator wulgarnych neologizmów. Jedno jest pewne – Koreń umiał kłać nie gorzej niż powracający z wojska rezerwista. Naprawdę mnie zaskoczyło. Dziewczyna odłożyła słuchawkę. Koreń też.

– Facet, trochę kultury – powiedziałem, gdy ochłonąłem ze zdumienia.

– A co miałem robić? Wkurwiła mnie.

Tym mocnym akcentem zakończyliśmy wyglupy telefoniczne. W szkole tymczasem pisali sprawdzian z chemii.

Po zabawie telefonem zdecydowaliśmy się pójść do kuchni, by ugotować jakąś łatwopalną substancję. Niestety, cały denaturat wylałem ostatnim razem. W domu znaleźliśmy jedynie litrową butelkę benzyny ekstrakcyjnej...

Do pięciolitrowego garnka wlałem całą zawartość. Myślałem, że gdy garnek przykryję pokrywką, benzyna nie będzie miała dostępu powietrza i zamiast się zapalić – zagotuje się. A wtedy powiem Czuchrze, że się myliła i łatwopalne substancje można gotować!

Przykryłem więc garnek i podpaliłem gaz. W napięciu czekaliśmy, co się stanie...

Przez dłuższą chwilę nie działo się kompletnie nic. Kurek z gazem odkręcony do końca... Przez moment wydawało się, że benzyna naprawdę się zagotuje, spod przykrywki słychać było nawet cichutki bulgot, gdy nagle...

Całą kuchnią wstrząsnął potężny wybuch! Przykrywka oderwała się od garnka i poruszana jakąś dziwną siłą, wystrzeliła w górę, uderzając z impetem w drewniany okap. Z garnka wyrósł wysoki aż pod sufit żółto-pomarańczowy płomień! Stałem dość blisko, a ogień wybuchł tak nagle, że lekko oparzył mi rękę. Z przerażenia i bólu wrzasnąłem wściekle.

Po chwili płomień gorącymi mackami otoczyły okap kuchenny. Zaczynało się robić nieciekawie! Cześć benzyny wylała się na płytki i płynęła ognistym potokiem pod stół. Od ognia szedł żar.

Po chwili unieruchamiającego wszelkie członki szoku krzyknąłem na Duszyka:

– Pędź do łazienki, namocz ścierkę, nalej w coś wody, bo kuchnia mi się pali! Szybko, kurwa!

Chłopak wziął ścierkę i pobiegł do łazienki. Po chwili usłyszeliśmy stamtąd rozpaczliwy krzyk. Pobiegliśmy tam czym prędzej i zobaczyliśmy Duszyka całego mokrego, stojącego w kałuży wody. Biedak nie zauważył, że przy umywalce jest zdjęty kran i za mocno odkręcił kurek, tak, że strumień zimnej wody chlusnął na niego i zgotował mu nagłą i niezbyt przyjemną kąpiel. Całe markowe ubranie było przemoczone. Nie mogliśmy wytrzymać i w jednej chwili parsknęliśmy śmiechem. Widok był naprawdę komiczny. Piętnastoletni dryblas stał, ociekając wodą, na tle staromodnej łazienki i trzymając mokrą ścierkę w ręce, kłął na czym świat stoi. Chwilę pożartowaliśmy, zapominając, że przecież kuchnia płonie w najlepsze! Pognaliśmy tam szybko, zawijając po drodze dywan.

Z garnka wciąż buchał ponad metrowej wysokości żółty płomień, dookoła fruwały czarne strzępy sadzy, okap płonął niczym pochodnia, noga od stołu tańczyła w ogniu. Nie mieliśmy chwili do stracenia!

Zarzucałem mokrą ścierkę na garnek, ale to nic nie dało, ogień był zbyt silny. Żar bijący od płomieni nie pozwalał się nawet zbliżyć. Ugasilem nogę stołową i tańczącą w płomieniach pokrywkę. Wyciągnąłem dłoń w stronę garnka – był gorący. Bardzo gorący. Trzeba było jednak coś z nim zrobić, bo od okapu zaczynała się już palić szafka kuchenna!

Trzymając twarz jak najdalej od szalejącego, metrowego słupa ognia, podszedłem i ostrożnie, owiniętymi mokrą ścierką dłońmi, zdjąłem z palnika garnek z palącą się cieczą. Płomień pozostawiał na suficie czarną smugę. Krztusząc się dymem, pomiędzy latającymi dookoła strzępami sadzy, jakimś sposobem udało mi się wsadzić garnek do zlewu pod odkręcony wcześniej kran...

Woda powoli mieszała się z benzyną. Słup ognia stłumił się i zgasł. Koreń z Duszykiem próbowali dogasić okap i szafkę, nosząc w garnuszku wodę z łazienki. Wkrótce wszystko było już ugaszone, pozostał jedynie trudny do zniesienia smród spalonej płyty pilśniowej i masa dymu w całym mieszkaniu.

Okap wyglądał fatalnie, cały pokryty sadzą, z nadpalonymi krawędziami, przypominał bardziej czarnego, posępnego ptaka, zawisłego w bezruchu nad prehistoryczną kuchenką, niż porządny radziecki okap.

Szafka na szczęście była tylko gruntownie okopcona...

Po zmyciu wszechobecnej sadzy, wyszorowaniu sufitu i godzinnym wietrzeniu mieszkania, wszystko, poza okapem, nie wyglądało najgorzej. Obyło się nawet bez większych strat. Odetchnęliśmy z ulgą. Mogliśmy odpocząć.

Przeszliśmy do dużego pokoju i rozłożyliśmy się na wersalce. Wagary potrafią być czasem bardziej męczące od szkoły – pomyślałem. Leżeliśmy przez chwilę w bezruchu, delektując się chwilą ciszy. Duszyk wziął do ręki gazetę z krzyżówkami i powoli zaczął rozwiązywać. Nie podejrzewałem go o zamiłowanie do tego typu rozrywek.

– Chłopaki, dziwne hasło... – rzekł po chwili – Szpara papugi.

– Co?

– Szpara papugi, jak Boga kocham!

– Szpara papugi? Ile liter? – spytałem, leżąc w fotelu. Nie chciało mi się wstawać, by sprawdzić.

– Cztery.

– Hmm... szpara? – spytał Koreń – Pionowo czy poziomo?

– Pionowo.

– Szpara, pionowo... Cipa! – wykrzyknął olśniony Koreń.

– C-i-p-a – przeliterował Duszyk – Pasuje! – i wpisał hasło w kratki.

Minęło kilka chwil. Nagle Duszyk złapał się za głowę.

– Chłopaki, pomyłka! To nie miała być szpara papugi...

– A co? Przecież cipa pasuje.

– Źle przeczytałem. Tu jest napisane szara papuga!

Wybuchliśmy głośnym śmiechem i trzymając się za brzuchy sturlaliśmy się na podłogę.

Wkrótce minęła trzynasta i trzeba się było pożegnać. Duszyk i Koreń poszli do domów, dziękując mi za, jak to się wyrazili, „zajebicie spędzony dzień”. Miałem w sobie ambiwalentne uczucia. „W życiu piękne są tylko chwile, dlatego czasem warto żyć” – zanuciłem ulubioną piosenkę Dżemu.

Pozostało mi jakieś dwadzieścia minut na sprzątnięcie domu, gdyż z pracy miała powrócić Dorota. Poza kuchnią, gdzie jeszcze raz obmyłem okap i szafkę z resztek rozmazanej czarnej sadzy, i dużym pokojem, gdzie musiałem poskładać wersalkę, wszystko było we względnym porządku.

Następnego dnia w szkole usłyszeliśmy od chłopaków jak zwykle:

– Ale macie przejebane! Czuchra domyśliła się wszystkiego i jest wściekła!

– No i co? – spytaliśmy.

– No nic... – koledzy byli w szoku, jak można nie przejmować się wściekłością nauczycielki chemii – Jak was zobaczy w budzie, dostaniecie obniżone zachowanie, uwagi... Podobno już gadała o was z Darkiem.

– Czyli to co zwykle... Niech se baba gada. Mam ją gdzieś – odparł na to Koreń.

Nie chcieliśmy z powodu kompleksów jakiejś nauczycielki przesiadywać na przerwach po kątach, ukrywając się, a już tym bardziej opuszczać kolejny dzień lekcji, które w piątek nie dość, że nie są trudne, to jeszcze, może za wyjątkiem matematyki, dość przyjemne.

Czuchra oczywiście nas zauważyła. Prawdopodobnie sama czyhała na naszą klasę, by przerazić nas swoim widokiem. Jakoś nie zmartwiliśmy się tym tanim, psychologicznym chwytem dla ubogich.

We wtorek na historii, tak jak się spodziewaliśmy, mieliśmy ostrą przeprawę z Darkiem i porządnie nam się dostało. Było to jedno z najostrzejszych jego kazań. Nawet nie było sensu się tłumaczyć. Darek oczywiście chciał widzieć się z rodzicami, wpisał jakieś uwagi, ujemne punkty, standard.

Naraziliśmy się właściwie wszystkim nauczycielom, bo Czuchra rozdmuchiwała sprawę, jak żar na grillu, w czeluściach nauczycielskiego pokoju, ale jakoś nie żalowaliśmy. Koreń mówił nawet, że to były jedne z najlepszych jego wagarów, ja byłem nieco innego zdania. Nie podobał mi się spalony okap w mojej kuchni, wymówki, jakie musiałem znosić z tego powodu, poza tym jakoś wolałem, gdy była pogoda, szliśmy nad Tamę, siedzieliśmy na świeżym powietrzu i cieszyliśmy się życiem. Wagary w domu to jakoś nie to...

Powoli wszystko musiało ucichnąć, jak wzburzone morze po sztormie. Zbliżała się wywiadówka.

Darek wiedział o tym, nieraz uśmiechał się do nas dziwnie na lekcjach w ostatnim tygodniu. Wiedział, że teraz on rządzi, że nie zwiejemy, będziemy w miarę pokorni, nie chcemy bowiem, by cokolwiek powiedział naszym rodzicom. Delektował się tymi spokojnymi godzinami.

Postanowiłem przez te kilka dni poprawić sobie trochę oceny, miałem bowiem wyjątkowo niską średnią. Wprawdzie Koreń mówił, że gdyby on miał 3,7, to w domu nosiliby go na rękach przez tydzień, jednak moi rodzice mieli zupełnie inne ambicje. Praca nad poprawą cyferek w dzienniku zepsuła mi całe dwa tygodnie.

XIII

Końcem listopada diametralnie zmieniła się pogoda. Najpierw przyszedł potężny mróz, sięgający dziesięciu stopni poniżej zera. Później nadciągnęły ciemnoszare, jakby podświetlone pomarańczowo gdzieś wewnątrz, chmury. Spadł śnieg. Przez kilka dni bezustannie zasypywał wszystko tymi swoimi białymi, mokrymi, lepкими płatkami, których zawsze szczerze nienawidziłem.

Zima jest najgorszą porą roku, obrzydliwym, niechcianym prezentem od natury, który regularnie, bezsilnie musimy tolerować. Po trzech dniach bezustannych opadów tego białego świństwa, wszystko było nim przykryte, na poboczach dróg utworzyły się potężne zasy, po ulicach jeździły odrapane pługi śnieżne. Zima, jak co roku w Polsce, zaskoczyła drogowców. Niewinne bachory ciągnęły sanki na pierwsze z brzegu wzniesienie, lub lepiły koślawe bałwany. Jeszcze inne ślizgały się na butach na każdej zmarzniętej kałuży, bo przecież lodowiska w tej dziurze nie było, a na łyżwy mało kogo stać.

Świat pograżył się w białym syfie.

Osobiście przypominało mi to krajobraz po wybuchu wulkanu w Pompei: wszystko uśpione, martwe, zasypane jasnoszarym popiołem.

Zawsze w zimie odczuwam gwałtowne pogorszenie nastroju...

Mrozy jeszcze nasiliły się. Na polu temperatura w okolicach minus dwudziestu stopni, a to wszystko w przeciągu kilku dni! Rodzice nie zdążyli mi kupić zimowej kurtki i za każdym wyjściem wyobrażałem sobie, że zamieniam się w sopel lodu.

Wiktoria zeszła na dalszy plan, ciągle czekałem na jakiś ruch Korenia. W szkole atmosfera zastygła w bezruchu, wszyscy jakby zasnęli zahipnotyzowani białymi piruetami płatków śniegu.

Do tego nadeszła wywiadówka. W końcu. Już miałem dość ciągłego stresu, poprawiania cyferek i potulnego chodzenia do szkoły.

Zaraz po powrocie matki zaczęły się wrzaski. Co to za oceny?! Wypomniano mi spalony okap, ucieczkę z domu. I tak bez końca... Słuchałem przez chwilę cierpliwie co ciekawszych kawałków. Nic o nieobecnościach? Odetchnąłem z ulgą. Zamknąłem się w swoim pokoju.

Następnego dnia rano dawny optymizm powrócił ze wzmożoną siłą. Tyle napiętych nerwów i bezsensownego kucia sprawiło, że za nic nie poszedłbym do szkoły. Za oknem leniwie wstawał grudniowy dzień. Krwistopomarańczowy, prześwietlony mrozem świt i ja, uczeń ósmej klasy, wstający razem z nim. Marzyłem o odpoczynku psychicznym, o chwili wolności, o wagarach! Chciałem wreszcie poczuć się sobą, nie mogłem pójść na lekcje za nic na świecie.

Tak myślałem, a za dziesięć ósma byłem już w szkole. Nie, nie po to żeby się uczyć. Bynajmniej! To mi nie groziło. Chciałem zwerbować Korenia, bo razem to zawsze iść rażniej.

Zastałem go w szatni. Właśnie ubierał trampki, jednak już trzy słowa wystarczyły, by ponownie zmienić obuwie:

– Idę na wagary – powiedziałem. I już.

Dopiero na polu, przy dwudziestostopniowym mrozie, spytał mnie:

– No i, kurwa, gdzie ty, człowieku, chcesz iść?

– Byle gdzie! Wszędzie, byle tam nie siedzieć... Odbija mi się szkoła. Świat jest wielki! Możemy iść nad Tamę. Musi tam być pięknie o tej porze.

– No, dobra – powiedział – Pewnie miałeś wczoraj darcie w domu?

– Trochę – przyznałem niechętnie – A u ciebie?

– Spokój, jak zwykle...

– Szczęściarz. Moi rodzice mają za duże ambicje co do mojej osoby. Mówią, że sami nic wielkiego nie osiągnęli, więc chcą żeby przynajmniej ja wyszedł na ludzi. Nie zainwestują w moje zainteresowania, nie zapiszą mnie, na przykład, do szkoły muzycznej, choć zawsze chciałem grać na fortepianie... Nie mają na to kasy, nie mam do nich żalu, okej, ale niech przynajmniej nie myślą, że wrzaskiem; „co to za oceny!” cokolwiek zdziałają...

– Moi się nie drą. Powiedzieli tylko, żebym poprawił zagrożenie z chemii i tyle.

– Masz przyjemnych starych.

– Wywiadówka tak ci dała w kość, że dziś, dzień po, idziesz na wagary?

– Muszę! Pragnę tych wagarów jak pijak wódki! Ja naprawdę starałem się przed wywiadówką, chciałem, by te oceny nie wyglądały dla nich tak źle. To bez sensu! Robiłem to tylko dla nich, a oni nic! Jakby nie dostrzegali tych piątek tylko same kapy, choćby poprawione, to nie ma znaczenia. Uczyłem się tylko dla ich ambicji, a i tak spotkał mnie wrzask, czaisz? Nie byłem sobą, myślałem, że mi mózg wyparuje. Nie brałem nawet udziału w żadnej bitwie śnieżnej – odkąd spadł śnieg ulubioną rozrywką było rzucanie się nim na korytarzach – Potrzebuję odpoczynku, muszę odreagować. Nie ma nic gorszego, jak nie być sobą.

– Ja zawsze jestem sobą. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek był kimś innym – roześmiał się – Rozumiem cię – ciągnął, przedzierając się przez kolejną zaspę – ale jest minus dwadzieścia stopni! Nad Wisłoką będzie jeszcze mniej. Może być strasznie...

– Pewnie tak. Ale jakoś mnie to nie obchodzi – byłem obojętny na wszystko, nie tylko na mróz.

Wkrótce dotarliśmy na kładkę.

Chyba pierwszy raz byłem w tym miejscu w zimie, a to co zobaczyłem przeszło moje najśmielsze wyobrażenia.

Ciemna, niemalże granatowa woda zdawała się nie mieć dna, odpychała swym nieprzeniknionym chłodem. Nie było widać nic, poza szklaną, lodowatą otchłanią. Słońce nie weszło jeszcze na dobre, budziło się powoli, leniwie w ten mroźny, grudniowy dzień. Z jednej strony kładki panował odległy mrok, wyblakłe, lecz ciągle widoczne ziarenka gwiazd, z drugiej wstawał dopiero świt. Niebo tam było ciemnopomarańczowe, ogniste, wprost nie do opisania. Mrozące krew w żyłach słońce w kolorze rozpalonej miedzi. Gdy ktoś zobaczy kiedyś taki obraz, na zawsze pozostaje on w jego pamięci...

Staliśmy bez słowa. Widziałem, że mój przyjaciel również znajduje się pod dużym wrażeniem otaczającej nas przestrzeni.

Aż chciało się śpiewać hymn z radości narodzin dnia, ale powaga, monumentalna wielkość przyrody nie pozwalała na to. Wielkość tę czuliśmy z ogromną siłą, jak nigdy widać ją było dookoła, wszędzie: w mroźnym powietrzu, w gwiazdach, w otchłani rzeki aż do dna, panowała nad nami. Należało po prostu stać i z rozdziawioną gębą wpatrywać się w ten nieziemski, choć przemijający widok. Wpatrywaliśmy się więc.

Nigdzie ani żywej duszy, nawet wiatr przestał wiać i zrobiło się cicho. Bardzo cicho.

I tak staliśmy na środku kładki, nad rzeką o egzystencji zastygłej lawy, przy mrozie sięgającym minus dwudziestu stopni. Wystarczyło splunąć, a ślina przed dotknięciem powierzchni wody stawała się małą bryłką lodu. Bawiliśmy się tak przez chwilę, stojąc na kładce w milczeniu. Jak nic nieznaczące drobiny ludzkiego istnienia, zagubieni w ogromnym, lodowym pałacu Królowej Śniegu...

W telewizji powiedzą później, że tego dnia był na Podkarpaciu największy mróz od dwudziestu dwóch lat.

Nagle mroźny wiatr zaświstał w linach kładki. Ocknąłem się z zadumy. Koreń również, bo usłyszałem jego szept:

– Może by tak spróbować z tej strony – skinął głową w kierunku drugiego, dzikiego brzegu.

– Czemu nie... – odparłem zadumany, nie wiedząc na co się godzę. Wciąż byłem pod wrażeniem widoku dookoła – Podpiszmy się najpierw.

Wyjąłem korektor i strzeliliśmy kilka sporych autografów. Dwa na poręczy i jeden na filarze podtrzymującym kładkę. Normalnie: *Durex & Koreń 03. XII. 99r. WAGARY*, choć pewnie należałoby napisać „nieziemskie wagary” lub coś w tym stylu. Napis ten stał się najstarszym śladem naszego duetu na kładce.

Przeszliśmy na drugi brzeg Wisłoki. Prowadziła tędy prosta ścieżka na wał. Nie zamierzaliśmy jednak iść w tamtą stronę zwykłą, choć może trochę oblodzoną drogą. Po chwili skęciliśmy w lewo. I tu zaczęło się piekło.

Teren ciągnący się wzdłuż rzeki był porośnięty aż do wału jakimiś krzakami wysokimi na około trzy metry i wyżej. Na dodatek

wszędzie poorany był rowami, naszpikowany dziurami, wykrotami i licznymi dzikimi, zamrzniętymi oczkami wodnymi. Wszystko przywalone było ogromną masą śniegu, nienaznaczonego w żadnym miejscu śladem ludzkiej stopy. Bo i żaden idiota – wyłączając nas – nie odważyłby się tędy iść w takich warunkach! Zresztą nikt nie chodził tędy nawet w lecie...

Ziemia pokryta prawie metrową warstwą śniegu wydawała się gładka, ale nikt nie mógł przewidzieć, co kryje się pod spodem. Właśnie wyłożyłem się jak długi po potknięciu na kompletnie niewidocznej kłodzie. Wpadłem w zaspę na głębokość metra i cały zniknąłem pod białym przykryciem. W butach miałem pełno śniegu, zrobiło mi się jeszcze zimniej. Koreń zaśmiał się, ale jego śmiech nie trwał długo, bo zaraz wpadł po pas do zamrzniętego stawu. I tak co chwilę, na przemian.

Przedzieraliśmy się przez krzewy, śnieg wsypywał się wszędzie: do kaptura, pod kurtkę i koszulę. Ciało co chwilę przesywały dreszcze. Nie zwracałem już uwagi na przenikliwe zimno i zbyt cienką kurtkę. Czuję, że jeśli mam się zmienić w sople lodu i tak stanie się to prędzej czy później.

Przeskakiwaliśmy przez zwalone pnie, kępy przywalonych śniegiem traw i przez miejsca, które wydawały nam się szczególnie zdradliwe. Ale i tak, co chwila wpadaliśmy po pas w śnieg, mając przy tym niezły ubaw. Posuwaliśmy się bardzo powoli, chyba jednak brnęliśmy wciąż naprzód, bo wkrótce przed nami wyłonił się budynek wodociągów.

Przesłaniał go szkielet ogołconego z liści drzewa. Niebo wciąż było krwistopomarańczowe, miedziane słońce wiszące tuż nad horyzontem, rzucało na świat koszmarnie wydłużone cienie. Zwykły, odrapany budynek wyglądał dziwnie; jak jakieś monstrum, miejsce rzeźni z horrorów. Niesamowity klimat. Tama wydawała się być blisko, niemalże na wyciągnięcie ręki, ale przecież dzieliła ją od nas lodowata otchłań przewalającej się z hukiem wody.

Po wyjściu z krzaków wyglądaliśmy jak dwa bałwany. Cali biali i przemoczeni, na wpół skostniaли od śniegu i lodu. Koreń narzekał na odmrożenia nóg po wpadnięciu do stawu, ja miałem

kłopot z kolanami, dłońmi i nosem. Otrzepaliśmy się pospiesznie i ruszyliśmy w stronę brzegu.

Tama z drugiej strony wyglądała naprawdę ciekawie. Krzewy rosnące nad wodą uginały się pod ciężarem białego puchu, przesłaniając schodki. Zejście było prawie niemożliwe, postanowiłem jednak zaryzykować. Z jednej strony pochyła płyta betonowa była cała oblodzona i schodząc po niej zjechałbym wprost do wzburzonej, lodowatej wody. Spróbowałem więc z drugiej. Ostrożnie, trzymając się trawy, opuszczałem się powoli na sam dół. Po chwili stałem już przy garbie, przez który z impetem przewalała się stalowoszara woda.

– Przemek, chodź tutaj! – krzyknąłem, ale on bał się zejść. Nie dziwiłem się. Brzeg był oblodzony, a głębokość przekraczała tu kilka metrów. Wpaść w tę kipieli przy tej temperaturze byłoby tragedią.

Niemniej jednak, z tego miejsca można było podziwiać fantastyczne widoki. Koreń stał więc na górze, ja na dole i podziwialiśmy. Od rzeki szedł straszny chłód. Powietrze było przesiąknięte lodowatą wilgocią, zdawało się zamarzać z płucach, wbijać bolesne lodowe igiełki w przetyk aż do samego dna tchawicy.

Wdrapałem się na górę, jeszcze chwilę popatrzyliśmy na linię podwójnego garbu i zaczęliśmy wracać. Dla odmiany ruszyliśmy dość szeroką ścieżką, która ledwo rysowała się na tle przynięcionych śniegiem traw.

Po chwili wyszliśmy na rozległą łąkę. Pusta przestrzeń ciągnęła się aż do wału i tylko gdzieś daleko majaczyły domy i drzewa. Skierowaliśmy się w tamtą stronę. Gdzieś tam musiała być kładka.

Mniej więcej w połowie łąki odwróciłem się i spojrzałem na Tamę. Niebo wciąż było pomarańczowe. Budynek wywierał jakieś dziwne, hipnotyczne wrażenie. Popatrzyłem chwilę, chcąc utrwalić ten obraz w pamięci, po czym ruszyłem za Koreniem.

Udało się. Nigdy nie zapomniałem tych wagarów.

Pod drzewami, do których doszliśmy, znajdował się olbrzymi pień. Leżał zwalony na ziemi, obcięty z dwóch stron piłą motorową. Musiał pochodzić z wielkiego drzewa, jego średnica wynosiła

około półtora metra. Widać leżał tu od dawna, zdążył już bowiem nieco spróchnieć i przegnić przy ziemi. Tuż obok rosły inne drzewa, dęby, lipy i jakieś krzaki, a wszystko przysypane grubą warstwą śniegu. Usiedliśmy na pniu, by trochę odpocząć.

– Zajebicie – powiedziałem, łapiąc w płuca zamrożone na kość powietrze.

– Spoko wagary – rzucił Koreń – Jeszcze nigdy nie byłem na takich.

– Oryginalnie – przyznałem – Ja w ogóle nie byłem jeszcze w zimie nad rzeką. Sporo straciłem...

– Ja byłem parę razy, ale jeszcze nigdy nie widziałem czegoś podobnego. To niebo jest niesamowite.

– No właśnie, to niebo i Tama są po prostu zabójcze. Mogliby tu horror nakręcić.

– O ile by im kamera na tym mrozie działała... Jak niebo może być takie pomarańczowe?

– Widocznie może. To chyba od zimna... Słońce nie może przebić się przez chmury i daje taki kolor...

– Fajna sprawa.

– Ale z tym przedzieraniem się przez krzaki, toś wymyślił!
– zauważyłem ironicznie.

– Podobało ci się?

– Jak cholera!

– To się cieszę.

– Mogliśmy przecież od razu iść przez łąkę.

– Eeee tam, przez łąkę... Nie byłoby przygody!

– Ty masz jakieś zwichnięcie z tymi przygodami.

Po chwili:

– Co byś zrobił, gdyby tu teraz szedł niedźwiedź? – spytałem.

Nie wiem, skąd mi przyszedł do głowy niedźwiedź nad Wisłoką w zimie, ale atmosfera była tak dziwna, dookoła ani żywej duszy, że wydawało nam się, że wszystko jest teraz możliwe.

– Zwiewałbym na drzewo – odpowiedział Koreń, po czym zaczął wdrapywać się na pobliski dąb. Był już całkiem wysoko, gdy wyjąłem z plecaka korektor i zacząłem się podpisywać na pniaku.

Chciałem w tym miejscu złożyć nasz ogromny podpis, który zostanie tu na zawsze i będzie pamiątką tych wagarów.

– Podpisać cię, czy sam to zrobisz? – zawołałem na Korenia siedzącego gdzieś na wysokości drugiego piętra.

– Już schodzę! Zajebisty stąd widok! – odkrzyknął. Dąb miał porządnie oblodzoną korę, więc szło mu to powoli.

Pisanie korektorem po zmrożonym i śliskim drewnie nie było łatwe. Do tego, sama farba w pisaku co chwilę zamarzała i trzeba było ją rozgrzewać w dłoniach.

Koreń wylądował obok na ziemi i w ciągu paru minut podpis był prawie gotowy. Nie był to zwykły podpis. Skoro miał zostać na długo, musiał zawierać więcej szczegółów. Obok więc ksyw *Durex & Koreń* znalazły się rysunki: kondom z czterema kreskami – mój nieoficjalny symbol, liść marihuany – symbol Korenia oraz: *SP. 9 klasa VIII „c”*, no i oczywiście ogromny napis – *WAGARY 3. XII. 99r.* Chwilę przyglądałem się naszemu dziełu, zastanawiając się, czego w nim jeszcze brakuje. Po chwili wpadłem na pomysł i zacząłem rysować.

Kształt obrazka skojarzył mi się z furgonetką, cały podpis wzięłem więc w ramkę w kształcie samochodu, dorysowałem koła (z tyłu dwie osie), zderzaki, światła i szyberdach. Rysunek był fantastyczny, zajmował prawie całego pniaka i nawet z daleka robił wrażenie. Zadowoleni, przyglądaliśmy się mu przez chwilę. Poprawiłem go korektorem drugi raz, a gdy farba porządnie wsiąkla, odetchnąłem i usiadłem na pniu.

– Wyszło dość dobrze – powiedziałem po krótkiej chwili – Jak nie zejdzie, to przyjdę tu kiedyś z dziećmi i pokażę. Fajna sprawa. Tu raczej nikt nam tego nie zniszczy...

– Pewnie nie. Nie sądzę, by wiele osób wiedziało o tym miejscu. Tylko to drewno... Trzeba będzie odnawiać napis raz na jakiś czas...

– Zrobi się.

– No i nie mów, że przyjdiesz tu z dziećmi. Co im powiesz? – spytał – Że miałeś ksywę Durex, byłeś sławny z wagarów i przekrętów? Że twoim znakiem rozpoznawczym był kondom z czte-

rema kreskami? Kiedyś będziesz się tego wstydził. Ludzie się zmieniają.

– Nie sądzę.

– Zobaczysz.

– Nie wiem... Na razie jakoś dziwnie jest mi z tym dobrze. Jestem dumny z tego, kim jestem, nawet z tego, że tu siedzę, choć jest wielki mróz i wszyscy są w szkole. Jestem wolny; chcę to iść do szkoły, nie chcę, to nie idę. Jestem tutaj i czuję się świetnie. I chcę zapamiętać tę chwilę na zawsze – powiedziałem – Ty wiesz, gdy nam kiedyś szkoła średnia da w kość, będziemy bardzo doceniać chwilę jak ta. Wówczas pozostaną jedynie wspomnienia, które będziemy mieli tylko ja i ty. Nikt inny! Nie wydaje mi się, żebym kiedyś, przed własnymi dziećmi, musiał wstydzić się tego kim jestem teraz.

– Może i nie będziemy się wstydzić, ale i nie opowiemy swym dzieciom wszystkiego. Ludzie się zmieniają, my też spoważniejemy, ubierzemy garnitury i będziemy zapierdalać gdzieś na jakichś mniej lub bardziej ważnych stanowiskach. Wyobraź sobie; jesteś poważnym biznesmenem, masz żonę, dom i rodzinę, i opowiadasz dzieciom, jak to fajnie jest na wagarach?

– Czemu nie? Przecież kiedyś będą w tym samym wieku, co my teraz, będą miały takie same problemy.

– Problemy się zmieniają, bo i czasy się zmieniają. A co zrobisz, jak przez te opowieści, twoje dzieci same zaczną chodzić na wagary, mając piękną wymówkę, że tata też tak kiedyś postępował? Dzieciom nie możesz chwalić się swoimi wagarami. Nawet żona ci na to nie pozwoli! – zaśmialiśmy się – To, że tu teraz jesteśmy, to nasz wolny wybór, pierdolimy cały ten system, jednak wiesz, że postępujemy nielegalnie. Porządne dzieci siedzą w szkołkach i się uczą.

– I może nawet coś przez to osiągną – dodałem po chwili.

– Może i tak...

– Trza myśleć o przyszłości... Widzisz... – odparłem zamyślny. Koreń potrafił czasem mądrze mówić – Wydaje mi się, że na myślenie o przyszłości mamy szkołę średnią i studia... A teraz jesteśmy w podstawówce. To nasz ostatni rok, mamy go wykorzy-

stać po to, by owszem, coś się nauczyć, spotykać się z kumplami, dobrze się bawić. Mamy czas. Po cholere nam teraz przyszłość. To nasze życie i będzie takie, jakie sobie zorganizujemy...

– Tak, to nasze życie i będzie takie, jak... rzeczywistość na to pozwoli. Ale chodzi mi raczej o to, czy będziesz pozwalał wagarować swoim dzieciom? – spytał sensownie.

– Nie wiem. Od czasu do czasu być może... Jak będą się bały iść do szkoły, to może i pozwolę. Nie myślałem nad tym nigdy. W każdym razie, na pewno nie będę się na nie za to wydierał. Pogadam z nimi, powiem, jak to jest z wagarami... Wiesz sam, że wagary to nie metoda na dłuższą metę. Są przyjemne, ale nie można przed wszystkim wiecznie uciekać. Trzeba wystrzegać się wszystkiego, co uzależnia, a wagary uzależniają. Z problemami trzeba walczyć, stawać z nimi twarzą w twarz. Właśnie tak będę starał się im to przekazać. My przecież nie wagarujemy ze strachu. Robimy to...

– Bo tak jest dobrze – przerwał – Mój tata opowiadał mi o swoich wagarach. Robił to nawet podobnie do ciebie. Ci to mieli przygody... – rozmarzył się – Wagarowali, szlajali się po knajpach, mój tata był nawet przez chwilę poetą. Podobno ten cały komunizm wcale nie był taki zły. I ludzie byli inni, inny świat, inne zasady – powiedział – Pomagali sobie, nie było tej obojętności, wyścigu szczurów, znieczulicy.

– Czasem wolałbym żyć kilkanaście lat wcześniej. Czasy się zmieniają. Może to dobrze, może źle... – zamyśliłem się – Gdyby nie myśl o moich rodzicach, nie miałbym tych wszystkich stresów przed wywiadówką, nie martwiłbym się tak jakimiś ocenkami. Ale właściwie, gdyby nie ten stres, nie musiałbym odreagowywać i nie byłoby mnie tu teraz. A siedząc w szkole nigdy nie zobaczyłbym tego, co zobaczyłem dziś. Wszystko w życiu ma swój sens, jedno wydarzenie pociąga drugie.. Takie niebo zdarza się pewnie raz na kilkanaście lat. Mamy szczęście.

– Jasne, że tak. Zawsze jest źle po to, by później mogło być dobrze. Inaczej „dobrze” nie miałyby punktu odniesienia. Wszystko w życiu ma jakiś swój cel.

– Dla swoich dzieci będę się starał być lepszy, niż moi rodzice są dla mnie. Każde pokolenie żyje w innym świecie. A świat zapierała cholernie szybko. Myślisz, że będę dobrym ojcem?

– Pewnie tak.

– Ty pewnie też.

– Dzięki.

Z pół godziny posiedzieliśmy jeszcze na Pniaku, gadając o wszystkim i o niczym. Niebo, pomimo coraz późniejszej pory, ciągle miało ten dziwaczny, pomarańczowy kolor.

Unikaliśmy tylko jednego tematu – Wiktorii. Zresztą, co mnie to mogło obchodzić? Zakochała się dziewczyna w Koreniu i tyle. Może i miała rację – przystojny i inteligentny facet... Przemek ciągle nic o tym nie wspominał, a ja, choć chciałem ciągnąć go za język, milczałem. Tylko to milczenie ciążyło wciąż nade mną jak śniegowa chmura.

Wracaliśmy przez starówkę. Była dwunasta. Do końca lekcji mieliśmy jeszcze trochę czasu, który przesiedzieliśmy pod Naszym Drzewem.

Drzewo to rosło przy rozerwanej drucianej siatce ogrodzenia obskurnej hurtowni *Ruchu*, niedaleko Dziewiątki, naprzeciwko starego cmentarza i wielkiej łąki. Składało się z dwóch pni. Jeden z nich miało krzywy, pod kątem ostrym nachylony do ziemi. Teraz w zimie nie było tu nikogo, ale w inne miesiące roku pijacy urządzali tu ostre libacje. Pozostały po nich jedynie gruba warstwa trzeszczącego pod stopami szkła, przysypana wszechobecnym śniegiem, i duże pustaki, robiące za stołki, na których siedzieliśmy teraz z Przemkiem.

Okolo pierwszej zaczęliśmy się zbierać. Chcieliśmy wypytać Adriana Ciemiągę, wracającego po lekcjach, co tam się działo w szkole.

Adrian na powitanie powiedział oczywiście:

– Macie przejebane! Domyślili się, macie nieobecności i Darek będzie z wami gadał!

Spojrzałem na Korenia. Jeden ironiczny uśmieszek, drugi. Wszystko w normie. Rozeszliśmy się do domów.

Tak zakończyły się owe dziwne wagary, z dnia trzeciego grudnia, dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Na długo zapamiętałem ten dzień, pomarańczowe niebo i Tamę z drugiej strony. Jednego byłem pewny: nigdy nie będę się wstydzić swojej przeszłości. Systematycznie będę odnawiać napis na Pniaku i przyprowadzę tam kiedyś swoje dzieci. Niech widzą, niech się śmieją nawet, niech wagarują później, nieważne! Tego dnia wszystko wydawało się niezwykle proste.

Wystarczyło pozostać sobą.

CZĘŚĆ II
Chmury

I

Święta dziewięćdziesiątego dziewiątego roku były dziwne. Od dłuższego czasu żałowałem, że rosnę, rozwijam się i nie mogę pozostać tym, kim byłem jeszcze dobrych kilka lat temu. Teraz mały Piotruś przemienił się niepostrzeżenie w prawie dorosłego mężczyznę, musiał więc dowiedzieć się raz na zawsze, że święty Mikołaj nie istnieje, zwierzęta nie potrafią mówić ludzkim głosem, wolne miejsce przy stole wcale nie jest istotne, a kłótnie na ten czas nie wygasają. Naiwny byłbym, gdybym w tym wieku ciągle miał nadzieję i niezachwianą wiarę w tradycję. Kolejne rozczarowania. Szkoda złudzeń.

Tak długo czekałem, aż wreszcie zaczniesz się mnie traktować w domu jak poważnego, pełnoprawnego członka rodziny, a gdy wreszcie się doczekałem, zaczęło mnie to w dziwny sposób nużyć i irytować. Wszystko to, co rozgrywało się wokół, wydawało mi się czasem jakąś komedią, do tego pewnie z epoki Oświecenia, bo więcej w niej było dydaktyki niż miejsc do śmiechu. „Każde wydarzenie ma wpływ na twoje życie, pamiętaj”. Czy z moimi wspomnieniami jest coś nie w porządku? – myślałem – Kiedyś wszystko było czyste, realne i prawdziwe, zawierało w sobie pierwiastek życia dużo większy, niż cała ta współczesna materia. Coś się popsulo... Tylko gdzie? Kiedy?

Od dłuższego czasu święta w domu wyglądały dość przygnębiająco. Wiedziałem, że nie jestem już dzieckiem, dzieciństwo umierało na moich oczach; wiedziałem, że na świętach najistotniejszy jest nastrój, rodzinne ognisko, zapalona choinka, oczywiście... włączony telewizor. Nie powinienem więcej od świąt wymagać, tymczasem od trzech lat pozostawiała u mnie pewien niedosyt.

Odkąd skończyłem dwanaście lat nie dostawałem prezentów pod choinkę, nikt w domu jakoś nie zwracał na taki drobiazg uwagi. Gdy nie ma się porządnej kurtki czy butów, kto myśli o takich nieistotnych bzdurach? Ja wiem, że to nie o to idzie, może było to nieco egoistyczne, ale tęskniłem za prezentami.

Z czasem jednak można się przyzwyczaić.

Tylko żeby przynajmniej przestawali się kłócić i spróbowali być dla siebie mili... Nic z tego! Jeszcze przed chwilą darli się na siebie o podział obowiązków domowych, a teraz klękają przed obrazem do wspólnej modlitwy, w trakcie której kłócą się oczywiście, kto mówi głośniej, a kto tylko szepcze. Później wspólna kolacja, kolejne kłótnie, czy można już włączyć telewizor, na siedemnastą powtórkę *Kevina samego w domu*, czy najpierw odśpiewać fałszywym głosem jakąś kolędę, oczywiście myląc kilkakrotnie słowa. Tradycyjna polska rodzina. Dobry, katolicki dom.

Pierwszy raz patrzyłem na wszystko jakby przez zamgloną szybę, z oddalenia, i dostrzegłem świat koślawo zniekształcony... Świat, który dziwnym sposobem zdawał się mnie coraz mniej dotyczyć.

Ale teraz jest już po wszystkim. Wróciłem. Nie dostałem wprawdzie kolejnej gry komputerowej, w której mógłbym zabić dziesięciu terrorystów w osiem sekund, więc przez kilka dni nie miałem o czym rozmawiać z kumplami, ale to nic – myślałem – Nacieszą się nowymi zabawkami i przejdzie im.

Zima upływała w miarę swobodnie i beztrzesko. Można było skupić się na wielu sprawach, na które w lecie zawsze brakuje czasu. Przemysleć wszystko, żyć się z klasą.

Nauczycielom dostawało się śnieżkami, byliśmy kolejnym, beztrzeskim pokoleniem uczniów, nazwanym później przez kogoś generacją nic. Że to niby bez planów, bez pasji, bez perspektyw... Trudno się nie zgodzić, jednak gdy samemu jest się w tym wieku, postrzega się swoje życie trochę inaczej...

Każdy chciałby mieć te perspektywy, tylko tych chętnych na nie zawsze jest za dużo. Kolejka rozrasta się do niebotycznych rozmiarów, ci którzy stanęli pierwsi, nie pozwalają dołączyć się kolejnym, rozpychają się łokciami i depczą po trupach. Na końcu zostaje kilkaset tysięcy straceńców, którzy, nie wiedząc, co ze sobą zrobić, zasilają szereg bezrobotnych, a ich dłoń wyciągnięta w stronę niedawnego jeszcze kolegi, któremu się udało, zawsze pozostaje niezauważona lub odepchnięta... Polska rzeczywistość, polski system, ja w nim. Świat, na razie piękny, póki byłem uczniem, póki miałem

co jeść, gdzie mieszkać, ale to tylko iluzja, raj złudzeń, który prędzej czy później musiał upaść. Upadał zresztą na moich oczach. Cieszyłem się chwilą, patrząc na wszystkich mych znajomych, żyjąc z nimi na co dzień, czy odpowiadając przy tablicy, wiedziałem jednak, że prędzej czy później świat ten pęknie jak bańka mydlana. Nie będzie już nigdy w dziejach tego kraju ósmej klasy, jesteśmy ostatnim rokiem, rocznikiem nic nie wartego, postkomunistycznego systemu oświaty, rocznikiem, który najlepiej żeby w ogóle sam wymazał się z kart historii. Nadchodziła jasna, świetlista era plastikowej nowoczesności – gimnazja.

Tymczasem chodziłem do szkoły, ciesząc się każdą chwilą i choinką stojącą w holu.

Przez cały grudzień zbieraliśmy z Koreniem petardy na Sylwestra, ale Koreń miał ich wkrótce cały plecak, podczas gdy ja wszystkie zdążyłem odpalić dużo wcześniej. Na niektórych grudniowych wagarach (a było ich później całkiem sporo) rozsadzaliśmy za ich pomocą moje stare modele samolotów, po których często nie zostawał nawet jeden, większy kawałek plastiku. To swoiste pożegnanie z symbolami dzieciństwa nie przynosiło ulgi, wręcz przeciwnie, irracjonalny strach przed przyszłością.

W ogóle mieliśmy dziwne predyspozycje do wysadzania w powietrze wszystkiego, co tylko wpadało nam w ręce. Pamiętam, jak do ogromnej, czarnej petardy z wizerunkiem trupiej czaszki przywiązaliśmy dwa największe metalowe resoraki. Po detonacji, zorganizowanej za śmietnikiem, w samochodach na osiedlowym parkingu włączyły się alarmy, a my staliśmy, słuchając cichego brzdęku fragmentów zabawek powoli opadających jak deszcz na asfalt. Chyba nawet dostałem drzwiczkami w łeb...

Sylwestra spędziłem w domu. Nie miałem nigdy zapędów do żadnych imprez. Z czego tu się cieszyć? Z upływającego czasu? Wszelkie imprezy sylwestrowe uważałem za irracjonalną, żalną tandetę.

Jak zwykle w zimie siadaliśmy z chłopakami w przejściu, na kaloryferze, obok wyjścia ze szkoły. Gadaliśmy o wszystkim i o niczym. Dość miło wspominam ten okres. Zima rozkręciła się na dobre, spadła nowa warstwa tego białego paskudztwa. Na razie

nie raziło ono jeszcze oczu, był styczeń, wszyscy traktowali zimę jak normalną, złośliwą kolej rzeczy.

Poprawianiem ocen specjalnie się nie przejmowałem, wiedziałem, że z biegiem czasu wszystko samo się ułoży, a nie chciałem tracić tych bezcennych chwil na naukę.

Obserwowałem Wiktorię i zaczynałem tracić głowę.

Zgłupiałem na jej punkcie. Koreń zachowuje się jak totalny idiota, jeśli postanowił odrzucić taką dziewczynę – myślałem – Dlaczego wszystko dzieje się obok mnie!?

Denerwowało mnie, że nigdy nie zauważyłem ich razem rozmawiających ze sobą, nie dostrzegłem, aby on kiedykolwiek sam do niej podszedł, trzymał ją za rękę czy okazywał jej jakieś specjalne względy.

Ona jest piękna. Nie umiałem znaleźć innych słów, by ją opisać. Jest piękna i tyle – myślałem. Za każdym razem, gdziekolwiek się poruszyła, rozświetlała szkołę tym swoim dziwnym, wewnętrznym światłem, ogniem, do którego próbowałem się cały czas zbliżyć. Wprawdzie miałem kilka razy namiastkę tego ciepła, podczas rozmów z nią, jednak potrzebowałem, pragnąłem czegoś więcej. Chciałem usiąść przy ogniu na zawsze, ogrzać się, zatracić w upale, stopnieć albo i spłonąć. W myślach byłem gotowy ponieść największą ofiarę, by tylko to się stało.

Wszystko tymczasem utkwilo w miejscu. Leniwa atmosfera stycznia wzięła nade mną górę, spowijała mnie ciasnym kokonem niechęci i słabości. To nie może tak dłużej trwać! – czyniłem sobie czasem wyrzuty – Jeżeli Koreń nie robi sobie nic z uczucia Wiktorii, nie doczekam się nigdy jego pierwszego kroku. Nie, oni nie zostaną parą! Przecież Wiktorii, jako najładniejsza bezspornie dziewczyna w szkole, ma swoją godność i nie będzie na niego czekać całą wieczność... Jeśli coś go wstrzymuje, to jego problem, niech jednak nie będzie jak zator na rzece, niech nie blokuje drogi innym! Koreń, jeśli nie zrobisz żadnego ruchu w stronę Wiktorii, zrobi go ktoś inny, zrobię go ja.

A jeśli oni już są razem? Jeśli po prostu przed całą szkołą to ukrywają? Głupie myślenie, bo związku z Wiktorią nikt raczej nie ukrywałby przed innymi. Byłaby to rzecz, którą każdy chciałby

z pewnością pochwalić się przed całym światem. Przynajmniej ja bym tak zrobił...

Koreń był jednak dziwnym człowiekiem. Nie lubił dziewczyn, trzymał się od nich na pełen kultury i lekkiego lekceważenia dystans. Z chłopakami z klasy rozmawialiśmy często o seksie, o skrajnych, abstrakcyjnych pojęciach z nim związanych, ale to była tylko teoria. Oczywiście prym wiodł Duszyk, mówiąc, którą pannę najchętniej by „przedupczył”, czy jakoś tak. Wciąż śmiałem się z takiego podejścia do sprawy. Czasami czułem się, jak jedyny człowiek wśród tej zgrai, dla którego jeszcze liczyło się coś takiego jak prawdziwe uczucie.

Jeśli potrzebowałem dziewczyny, to takiej, z którą łączyłoby mnie coś więcej, liczyłem na wzniosły romantyczny związek dusz, jakąś brednię w tym stylu, którą mógłbym nazywać miłością...

A Koreń?

Koreń był tajemnicą. Nie brał udziału w dyskusjach o dupczeniu, na tematy uczuć wypowiadał się bardzo ogólnikowo, o Wiktorię nikt go nie pytał. Cholerna stagnacja, uśpienie. Czułem, że nie zniosę tego dłużej. Lubiłem jasne sytuacje.

W piątek siódmego stycznia dwutysięcznego roku, poszedłem na pierwsze wagary w nowym tysiącleciu. Data była nie tyle symboliczna, co dziwna. Był piątek, ostatni dzień tygodnia i właściwie nie miałem żadnego racjonalnego powodu, by nie iść do szkoły. Niedawno skończyła się dość długa przerwa świąteczna, wszyscy byli wypoczęci, w dobrych nastrojach. Wszyscy, tylko nie ja.

Poszedłem sam, choć pewnie gdybym spytał, poszedłby ze mną Koreń albo Duszyk. Byłem sam z własnego wyboru. Chciałem przemyśleć kilka spraw i postanowić wreszcie, co powinienem zrobić w sprawie Wiktorii. Do tego potrzebowałem samotności.

Tuż po ósmej dotarłem na kładkę. Było tu dziwnie o tej porze. Pogoda zupełnie inna niż trzeciego grudnia; szaro, mroźno, słońce świeciło, przedzierając się przez grubą warstwę śniegowych chmur...

Jak różne potrafi być niebo... Raz ma kolor błękitu, innym razem potrafi być różowe, waniliowe jak na obrazach Constable'a, miedziano-pomarańczowe jak trzeciego grudnia. Siódmego stycz-

nia miało zaś kolor paskudnej zielonkawej pleśni. Woda płynąca pod zmrożonymi deskami kładki była brunatna, pełna mułu i piany. Tworzące się gdzieś wiry i fale obmywały brudnymi jezorami przybrzeżny śnieg. Śnieg i lód, wszędzie go było pełno. Tylko serce i głowę miałem rozpaloną.

Stałem samotnie na kładce poruszanej lekko przez mroźny wiatr. Patrzyłem w dół.

Gdy odpowiednio patrzeć na wodę tuż przy krawędzi desek, wydaje się, że to kładka płynie, posuwa się do tyłu nad stojącą nieruchomo taflą. Poruszana dziwną siłą od lat przebywa tę wędrówkę, nie zważając, że nigdy nie odbije od brzegu. Patrząc dłużej, można dostać zawrotów głowy. Podniosłem wzrok, wpatrując się w dal, za zakręt rzeki.

W myślach dokonałem małego podsumowania. Dziewięćdziesiąty dziewiąty rok był jednym z najważniejszych w moim życiu. Mnóstwo wagarów, niebezpieczeństw, ucieczka z domu, wakacje, kanał, przyjaźń z Koreniem, ucieczka spod pociągu, teraz to zamieszanie z Wiktoria...

Wyjąłem z plecaka korektor i podpisałem się na poręczu kładki – *I WAGARY 2000 Durex 7.1 2000r*. Potem poszedłem na Pniak, gdzie złożyłem podobny podpis.

Usiadłem na Pniaku, odgarniając go wcześniej ze śniegu.

Niby ta sama okolica wyglądała zupełnie inaczej. Ten sam, ale inny budynek wodociągów stał w oddali za tą samą, ale inną rzeką. To samo, ale inne, ogołocone z liści drzewo przesłaniało go tak samo, ale inaczej. Wszystko inne, choć minął zaledwie miesiąc. „Samotność – cóż po ludziach, czym śpiewak dla ludzi?” – przypomniał mi się monolog Konrada z *Dziadów*. Przypomniałem sobie niebieskie włosy. Walka, chęć pokazania się. Pięknie, to miało sens. Nie zrobiłem już nigdy więcej takiej fryzury, cel został osiągnięty, poznałem Wiktoria. Co dalej?

Jedno wiedziałem na pewno – nie powinienem dłużej czekać. Koreń miał ponad dwa miesiące, by zrobić krok w jej stronę, mógł, powinien z nią już dawno chodzić! Nie robi nic, to... pora się włączyć. Chyba akurat ta dziewczyna warta jest walki i moich starań o nią.

Wiem, muszę pozostać lojalny wobec przyjaciela... Jeśli Koreń również na coś czeka, planuje jakiś ruch? Nie mogę być egoistą, nie mogę myśleć tylko o sobie. Przyjaźń jest ważna, nie wiem, czy nie ważniejsza od tego głupiego uczucia, które spadło nagle i którego przecież właściwie w ogóle nie znam. Jeśli Koreń boi się mieć dziewczynę, jeśli ją ma, ale to ukrywa, jeśli...

A jeśli ja ją kocham? Chyba powinienem się troszczyć przede wszystkim o siebie...

Ale jeśli zacznę „uderzać” do Wiktorii i stracę przyjaźń Korenia? Przyjaźń kontra miłość? Co jest ważniejsze? A czy to w ogóle jest miłość? Co to jest miłość? Jeśli...

Dość tych niedomówień, do kurwy nędzy! Nie wytrzymam z tym dłużej! Skrupuły, podchody, wszystko nieważne! Zaraz w poniedziałek muszę z Koreniem porozmawiać! I choćby świat się walił, zakończyc tę chorą sytuację.

Poszedłem jeszcze nad Tamę. Okrążyłem budynek wodociągów z obu stron. Zdenerwowałem się nieco, okazało się bowiem, że ktoś zdążył już zamalować farbą wszystkie nasze podpisy z dziesiętnastego października. Pewnie jakiemuś debilowi z wodociągów nudziło się za bardzo i postanowił wszcząć walkę w wandalizmem. Zobaczymy na ile będzie to walka skuteczna i kiedy mu się znudzi – pomyślałem. Strzeliłem wielki podpis na srebrnych drzwiach i drugi, zupełnie mały, na ramie od kraty okiennej nad balkonem.

Posiedziałem, powspominałem trochę i z mocnym postanowieniem przeprowadzenia z Koreniem męskiej rozmowy o miłości, powróciłem do domu.

II

Nie wiem, czy Koreń czytał w moich myślach i specjalnie chciał mi stworzyć okazję do tej rozmowy, fakt faktem, że gdy tylko w poniedziałek, zamyślony, przekroczyłem próg szkoły, pierwszą osobą, na którą wpadłem, był właśnie on.

– Idę na wagary – powiedział.

– Co? – osłupiałem. Niby najnormalniejsza rzecz pod słońcem, jednak akurat teraz wydała mi się dziwnie nieprawdopodobna.

– Idę na wagary – powtórzył – Idziesz ze mną?

– Widzisz, byłem w piątek...

– Wiem. Nie masz ochoty na czterodniowy weekend? – uśmiechnął się.

– Właściwie... czemu nie? Obojętne, czy zostanę, czy pójdę.

– No to jak chcesz. Ja idę, bo Kolkowa będzie mnie pytać z matmy. Nie mam oceny ani nastroju na kape.

– No dobra, idziemy. Tylko gdzie?

– Do ciebie?

– Nie da rady.

– Nad Tamę?

– Dobra. Byłem tam wprawdzie w piątek, ale co mi szkodzi – wzruszyłem ramionami.

Ruszyliśmy znaną na pamięć drogą nad Wisłokę. Pogoda była podobna do piątkowej, ale inna. Inna była droga, inne chmury. Szedłem z Koreniem, ale był to inny Koreń niż zazwyczaj. Był to Koreń, z którym miałem rozmawiać o miłości. Dziwny temat, który nigdy dotąd nie pojawił się pomiędzy nami.

Właściwie nie miałem pojęcia, jak zacząć. Minęliśmy cmentarz, łąkę, Nasze Drzewo. Był mróz, śnieg nie padał wprawdzie, jednak nad miastem wisiały ciężkie, szarzielone, niczym mchem porośłe, chmury. Powoli dotarliśmy na kładkę. Brunatna woda, zmrożone deski, my dwaj. Przez chwilę wpatrywaliśmy się w granicę drewna i wody, obserwując jak kładka dziwnym sposobem płynie nad nieruchomą taflą. Wszystko tak samo jak przed dwoma dniami, ale inaczej.

Rozmawialiśmy, jak zwykle, o wszystkim. Zwykła paplanina dwójki przyjaciół, z których przynajmniej jeden gryzie się od kilku miesięcy nad stanem zakochania.

Podpisaliśmy się na kładce, 10. I 2000r. *WAGARY Durex & Koreń*, później poszliśmy na Pniak. Oprócz tradycyjnego podpisu, Koreń nakleił także na drewnie obwołutę z serduszka *Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy*, której dziewiąty finał odbywał się

hucznie dzień wcześniej. W środku wpisaliśmy niezawodnym korektorem *WOŚP 09.01.2000r. IX Finał*.

Posiedzieliśmy chwilę na Pniaku, po czym przeszliśmy ponownie przez kładkę. Na kładce podpisaliśmy się jeszcze na słupie podporowym z drugiej strony od podpisu z trzeciego grudnia i ruszyliśmy wałem nad Tamę.

Szliśmy koroną wału, a ja ciągle nie wiedziałem jak zacząć rozmowę... Próbowałem na różne sposoby, krążyłem wokół tematu jak natrętna ćma wokół płomienia świecy. Oprócz nadpalonych myśli nie wynosiłem jednak nic.

– Zjadłbym truskawkę – powiedziałem, próbując przez chwilę skierować swe myśli na inny, beztroski tor.

– Ja też – odparł – I wiesz, nawet gdybym miał teraz tutaj wiadro truskawek, nie dałbym ci ani jednej. Zżarłbym wszystkie!

– No, widzę, że ładnego mam przyjaciela – odparłem sarkastycznie.

– No dobra, może bym ci dał z jedną...

– Pięknie dziękuję!

– Jakby jakaś nadgnita była.

– Żyd jeden! Też bym ci nie dał! Pamiętasz wiosnę?

– Jasne.

Wspomnienie wiosny i naszych wypraw na działki zawsze wprawiało nas w dobry nastrój. Było to potrzebne zwłaszcza teraz, gdy światem rządził mróz, a nad nami wisały zgniłozielone chmury. Co ja bym teraz oddał za wiosnę i wiadro truskawek.

Nad Tamą okazało się, że przemiły pan z wodociągów już zdążył zamazać srebrną farbą mój wielki podpis sprzed zaledwie dwóch dni! Jeżeli chciał nam tym rzucić wyzwanie – udało mu się. W tym samym miejscu nabazgraliśmy cztery jeszcze większe autografy z aktualną datą.

Właśnie kończyliśmy pisać, gdy nagle w budynku rozdzwonił się telefon. Zwyczajny, głośny sygnał staromodnego aparatu. Dzwonił i dzwonił. Przypuszczaliśmy wprawdzie, że w budynku nie ma nikogo, jednak...

Rzuciliśmy się do panicznej ucieczki. Jak wtedy w październiku, biegiem przecisnęliśmy się przez dziurę ogrodzeniu i popędzi-

liśmy po śniegu wzdłuż rzeki, ile sił w nogach. Telefon dzwonił, a jego sygnał niósł się po okolicy. Po chwili wszystko ucichło.

Staliśmy w połowie drogi między kładką a Tamą. Nie wiedzieliśmy, co o tym myśleć. Może to był zwykły telefon, a może ktoś chciał nas specjalnie przepłoszyć? Wiele nie musiał robić, by osiągnąć cel...

Postanowiliśmy już nie wracać nad Tameę. Nie dlatego, żebyśmy byli jakoś specjalnie wzruszeni tym telefonem, jednak dzisiaj nie miało to większego sensu. Właśnie zaczynał padać śnieg, było zgnięzielono i bardzo zimno. Miasto stało się brudnoszare. Trawniki przykryte białą pleśnią śniegu, upstrzonego gdzieniegdzie psimi odchodami, błoto i sól na ulicach, ludzie z podniesionymi kołnierzami w swoich łatanych, zimowych płaszczach. Brudny, ciemnoszary budynek pierwszego LO doskonale pasował do tej scenerii, całe miasto było zimne i wrogie.

Ryzykując spotkanie z siostrą, zaprosiłem Korenia do mojego domu. Pusto, westchnienie ulgi, było około jedenastej.

W dużym pokoju stała choinka, w barku było trochę świątecznej wódki, którą skwapliwie wypiliśmy i od razu zrobiło się cieplej i weselej.

Podpici bawiliśmy się przez chwilę w wygłupy telefoniczne, aż nagle Koreń postanowił zadzwonić do... Wiktorii. Serce zabiło mi mocniej, okazja do rozmowy sama wpadała mi w ręce!

– Mogę zadzwonić do Labochy? – spytał.

– Dzwon – rzekłem cicho czekając, co będzie dalej.

Koreń wyszukał numer w książce telefonicznej (a więc nie znał do niej numeru!), po czym wystukał go na aparacie. Odebrał jakiś facet:

– Dzień dobry, czy jest Wiktorია? – spytał Przemek.

– Tu nie mieszka żadna Wiktorია, to pomyłka!

Zgłupieliśmy, bowiem wciąż mieliśmy przed oczami książkę telefoniczną, a numer, nazwisko i adres się zgadzały.

– Ale to nie pomyłka! Musi mieszkać! – odparł po chwili Koreń.

– Nie mieszka! Pomyłka! – rzekł dziwny facet i odłożył słuchawkę. Popatrzyliśmy na siebie. Ze wzrokiem wbitym w książkę, Koreń ponownie wystukał numer. Odebrał ten sam człowiek.

– Dzień dobry. Czy jest Wiktoria?

– Tu nie mieszka żadna Wiktoria! To nie ten numer!

– Jak to nie ten numer?! To przecież pięć osiem trzy siedem sześć pięć dwa, tak?

– Tak, no i co z tego?! Kurwa, gówniarzu, tu nie ma żadnej Wiktorii! – gość ni z tego ni z owego zaczął rzucać wulgaryzmami. Nie potrzebował dużo, by sprowokować Korenia...

– Jak to, kurwa, nie ma, bucu jebany! Wieśniaku pierdolony! Musi być! – zaczął wrzeszczeć.

– Co ty sobie, kurwa, gówniarzu wyobrażasz?! Jak jeszcze raz zadzwonisz, to pożałujesz do usranej śmierci! Myślisz, że nie mogę ciebie namierzyć?!

– Nie możesz! – wrzasnął Koreń i odłożył słuchawkę – To jakiś buc! Przecież znam ten numer i tam mieszka Wiktoria! A gość nagle zaczął na mnie kląć i wrzeszczeć, że mnie namierzy – opowiedział mi treść rozmowy, uśmiechając się ironicznie.

Nagle zadzwonił telefon.

Stało się to tak niespodziewanie, aż podskoczyłem w miejscu. Drugi telefon straszący nas jednego dnia, to było zbyt wiele. Kto to mógł być? Dochodziła dwunasta, o tej porze mieszkanie powinno być puste, wszyscy o tym wiedzieli. Były co najwyżej dwie możliwości: albo to ten koleś nas namierzył, albo dzwoni któregoś z moich rodziców. Dowiedzieli się, na przykład, że mnie nie ma w szkole i chcą mnie skontrolować. Tak czy inaczej – najlepiej nie odbierać.

Telefon uparcie dzwonił.

– Odebrać? – spytałem Korenia, nieco zaintrygowany.

– Nie wiem, chcesz to odbierz. To twój dom.

– O tej porze nikogo zwykle nie ma.

– To nie odbieraj.

– Racja.

Telefon dzwonił.

To pewnie ten koleś. Musiał mieć jeden z tych nowoczesnych aparatów, co pokazują na ekranie numer, z którego ktoś dzwonił. Przestaliśmy rozmawiać, nawet oddychać, i tylko patrzyliśmy na zegarek. Sygnał odzywał się od dobrych kilku minut. Stawał się męczący, irytował.

– Może jednak odebrać? – spytałem po chwili.

– Jak chcesz.

– Co mi tam. Wkurwia mnie to już. Odbiorę!

Wyciągnąłem rękę po słuchawkę i w tej samej chwili sygnał urwał się i więcej nie powtórzył. Odetchnęliśmy z ulgą.

– A o co właściwie chodzi z tą Labochą? To twoja dziewczyna? – spytałem Korenia niby mimochodem, wyczekując odpowiedniej chwili. Byliśmy lekko wstawieni, więc rozmowa mogła swobodniej się potoczyć. Błogosławiona wódka, ile ty już języków rozwiązałaś!

– Neeee – usłyszałem w odpowiedzi.

– To czegoś nie rozumiem. Wszyscy wiedzą, że się w tobie kocha.

– Wszyscy?

– No... – zmieszałem się – Napisała to na ścianie w szatni, więc chyba to nie tajemnica.

– A, chodzi ci o ten napis?! To jeszcze z października! Kumplowałem się z nią, gadaliśmy czasem, to wszystko. Ty też z nią przecież gadasz.

– Gadać gadam, ale na mnie jakoś nie pisze, że mnie kocha.

– A chciałbyś? – spytał.

Głupie pytanie i trochę nie na miejscu – pomyślałem – Wszystko bym za to oddał! Nie mogłem jednak w ten sposób odpowiedzieć Przemkowi.

– Czemu nie. Niezła z niej dupa. Jak ją poznałeś?

– Dupa jak dupa, miliardy dup na świecie. Pamiętasz we wrześniu, jak siadaliśmy razem na poręczu i jak wychodziła z tym swoim kuzynem w te krzaki obok sali gimnastycznej?

– Właściwie to zwróciłem na nią uwagę dopiero w październiku – odparłem zgodnie z prawdą.

– To nic. W każdym razie podszedłem raz do niej i spytałem, czy nie poszłaby ze mną w te krzaki.

– I co ona na to? – trudno było powstrzymać uśmiezek.

– Że na następnej przerwie.

– I co? Poszłicie?

– Nie, jakoś nie wyszło... Potem normalnie z nią rozmawiałem, a później napisała na ścianie, że mnie kocha. Głupia historia.

– Czemu? Przecież chyba podoba ci się?

– Widzisz, nieźła z niej dupa, ale nie lubię czegoś takiego. Jeśli chce ze mną chodzić, to niech mi to powie, a nie pisze na całą szkołę, że mnie kocha. Wracam po chorobie, nic nie wiem, a tu podchodzi do mnie Iza Kuszyńska z „d” i pyta, jak tam moja dziewczyna. Wkurwiło mnie to. Poza tym puszcza się na prawo i lewo. Wołę panienki, które trochę się szanują.

– Puszcza się? Co ty pierdolisz?! Przecież ona ma dopiero trzynaście lat! Wiele dziewczynek w tym wieku sięga mi do pasa i nawet cycków nie ma!

– Za to ona nadrabia za wszystkie – odparł.

Roześmialiśmy się. Wiktoria faktycznie miała zadziwiająco duży biust jak na swój wiek.

– Ale czemu mówisz, że się puszcza? – spytałem po chwili.

– Wiesz ilu ona miała chłopaków? Jak mi opowiadała o nich, aż mi włosy stawały na głowie!

– Widzisz, mi się wydaje, że to ilu miała, to właściwie jej sprawa. Ładna jest, nic dziwnego, że się podoba.

– Podoba?! Durex, ty życia nie znasz! Widziałeś jaką ona ma dupę?

– No... raczej w porządku...

– Nie w porządku, tylko rozjechaną! Nie wiem ilu tam miała, ale muszę solidnie pomyśleć, czy jest warta mojego zachodu. Trzeba się szanować.

– A, pierdolisz od rzeczy! Nie wierzę, żeby trzynastolatka mogła puszczać się, tak jak mówisz. To przecież psychicznie jeszcze dziecko! Normalne trzynastolatki nie uprawiają seksu!

– Ta nie jest normalna, a dziewicą to na pewno nie jest. Sam mówiłeś kiedyś, na gęgrze, że teraz młodzież szybciej dojrzewa, pamiętasz?

– Ale ja tylko tak... Tak się mówi, słyszy się w mediach. Ale Wiktorია?

– Tak, stary, Wiktorია. Ty jej nie znasz.

– Nie i nie mam zamiaru jej osądzać. To planujesz z nią chodzić? – spytałem prosto z mostu. Zaczynała mnie denerwować ta dyskusja.

– Jeszcze nie wiem. A coś taki ciekawy?

– Bo widzisz, ona mi się podoba i może...

– Tobie?! – przerwał – Przecież ty nie chcesz mieć dziewczyny!

– Może i nie chcę, może mi się odmieniło, nieważne. Po prostu podoba mi się.

– Daj se z nią spokój. To nie jest dziewczyna dla ciebie. Jeszcze nie wiem, czy chcę z nią chodzić, chcę ją na razie wziąć na przetrzymanie. Już niejedna pisała na mnie, że mnie kocha, ciekawe jak długo wytrzyma – zakończył, uśmiechając się nieskromnie do swoich paznokci.

Mój przyjaciel normalnie olewał Wiktorię! Nie zależało mu na niej. I te teksty o puszczaniu się... Był ze mną szczery, Koreń po alkoholu zawsze jest szczery. Wstrząsnęło mną.

Jak on w ogóle śmie tak o niej mówić!

W jednej chwili podjąłem decyzję: Będę walczył o tę dziewczynę, odbiorę mu jej miłość, on nie jest jej warty. Gdyby coś do niej czuł, nie mówił by o niej tak złych rzeczy! Będę walczył, aż Wiktorია zakocha się we mnie, będę z nią chodził i ogrzewał się co dzień przy jej ogniu. I pokażę wszystkim, że można mieć taką dziewczynę i... sam zobaczę jak to jest.

Nie bałem się już straty przyjaźni Korenia. Jego przyjaźń była dla mnie bardzo cenna, ale jeśli on nic nie czuje do Wiktorii, fakt że mu ją odbiję nie powinien specjalnie go wzruszyć.

Tylko jak odbić? Jak w ogóle się odbija dziewczyny? Nie miałem atutów Korenia. Mogłem sobie wprawdzie ponownie zrobić włosy na niebiesko, zielono, lub pomarańczowo, jednak nie sądzę,

aby tym razem miało to jakiś konkretny skutek. Coś musiałem wymyślić, nie widziałem innego sposobu.

Akcja „Wiktoria” musiała rozgrywać się w tajemnicy. Cały plan, powstały naprędce w mojej głowie, polegał głównie na coraz częstszych rozmowach z nią, odprowadzaniu do domu, przepuszczaniu przez drzwi, może na szczerej rozmowie o Przemku. To ostatnie jednak uważałem za ostateczność i niehonorowe posunięcie. Tak czy inaczej, miałem asa w rękawie. Postanowiłem zacząć wprowadzać plan w życie już następnego dnia.

Wiktorii jednak znowu nie było.

Darek uspokoił się. Już nie pytał nawet o wagary, jakby fakt, że wagarujemy stał się wreszcie dla niego oczywistą sprawą. Znudziły mu się publiczne rozprawy przed klasą, które tylko przynosiły nam sławę wśród kolegów, czy wzywianie rodziców, którzy i tak nigdy nie przyjdą. Żartował z nami o łowieniu ryb i inhalacjach nad Wisłoką w zimie, ostrzegał, żebyśmy uważali na siebie i nie potopili się kiedyś, tryskał humorem.

W sumie mogliśmy w styczniu wagarować do oporu, ale jakoś nam się nie chciało. Sporadycznie opuszczaliśmy po kilka co nudniejszych lekcji. Gdyby na polu była wiosna, słońce, a na działkach truskawki, żadna siła nie utrzymałaby nas w szkole, ale na polu było błoto z roztopionego śniegu. Chwilowa odwilż opanowała miasto.

Zawsze, gdy widzę odwilż, mam nadzieję, że ten stan przedłuży się, że będzie ona trwała, cały śnieg zniknie i nastanie wiosna. Było to raczej nierealne marzenie w połowie stycznia.

Doczepiły się do mnie trzy dziewczyny. Choć wcale ich nie znałem, mówiły mi „cześć”, uśmiechały się, przechodząc obok. Byłem dość znany w szkole i było mi miło rozmawiać z nimi, zwłaszcza że jedna nawet mi się podobała. Nie była to Wiktoria, nawet pewnie nie mogła się z nią równać pod żadnym względem. Nie miała długich blond włosów, wybujałych piersi ani świetlistego obłoku nad głową, była raczej szarą myszką, ale nawet ładną i w moim typie. Miała na imię Ula, choć z początku przedstawiła się jako Martyna. Koreń stwierdził, że to pewnie od Maryny, a jeśli

od Maryny, to od tej z *Janosika*, więc pewnie tak jak ona... daje dupy. Nie wiem, skąd takie skojarzenie. Niektóre osoby wszystko sprowadzają do jednego. A już myślałem, że najbardziej zboczoną osobą w klasie jest Duszyk. Koreń zaczął ukazywać prawdziwe oblicze.

A ja łudziłem się, że jest inny...

Oczywiście myślami byłem tylko i wyłącznie z Wiktoria, jednak te dziewczyny były dla mnie jakby potwierdzeniem mej atrakcyjności, ich obecność i spojrzenia mówiły mi na co dzień, że może nie jest ze mną jeszcze tak źle?

W każdym razie postanowiłem działać na dwa fronty: Przewodzić akcję „Wiktoria”, jednocześnie kontynuując znajomość z trzema dziwnymi przyjaciółkami. Wiedziałem, że jeśli zawczasu wyróżnię którąś z nich, choćby Ulę, dwie pozostałe obrażą się i skończy się tak, że nie będę miał szans u żadnej. Zresztą, te dziewczynki mogły mi się też przydać jako swoista zasłona dymna. W razie czego powiem Koreniowi, że mam jakąś inną pannę na oku, kręcąc cały czas z Wiktoria – myślałem.

Nie chciałem, żeby podejrzewał mnie o zamiary wobec Wiktorii, wszystko miało stać się po cichu. Nie wiedziałem jeszcze jak, ale musiałem zdobyć tę dziewczynę.

Szybkim krokiem zbliżały się ferie.

III

Poniedziałek. Siódmy lutego roku dwa tysiące. Słońce wisi nisko nad błękitną linią horyzontu. Po tygodniowej, niemalże gorącej, wręcz niepoprawnej jak na luty odwilży po śniegu nie pozostało żadnego śladu.

Z pochylonymi głowami patrzymy na wodę. Nic się nie zmieniło, drewniana kładka jak zwykle cofa się, poruszana magiczną siłą, ponad nieruchomą, brązową, spienioną taflą.

– No i co dalej, e?

– Nie wiem. Czy musi by jakiś plan?

Jesteśmy z Koreniem na kolejnych wagarach. I nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie fakt, że dzień wcześniej skończyły się ferie!

Ferie również zawsze przemijają zbyt szybko...

Postanowiliśmy w tym roku przedłużyć je sobie o tydzień. Niezależnie od siebie wpadliśmy na ten genialny pomysł.

Zeszliśmy z kładki i ruszyliśmy wałem nad Tamę. Przed pomostem zbiegliśmy z nasypu „po Janosikowemu”, tj. zeskakując na boki, jak Janosik ze zbocza góry, w jednej ze scen rozpoczynającej nasz ulubiony serial. *Janosik* leciał codziennie na feriach i oglądaliśmy każdy odcinek. Ze wszystkich produkcji PRL-u jest to jedna z nielicznych, którą można oglądać po tysiąc razy i zawsze będzie bawiła, wzruszała i wzbudzała pozytywne emocje.

Nad Tamą było jak zwykle niezwykle. Poziom wody sporo przekraczał normę, garbu wcale nie było widać, ponad powierzchnię wystawało zaledwie pięć schodków. Usiedliśmy na nich, wpatrzeni w brunatną, spienioną czeluść.

Po chwili na balkon wtoczyła się komisja przeciwpowodziowa. Trzech facetów, w tym jeden, wyróżniający się obfitym zarostem, pracownik wodociągów i dwie, elegancko ubrane kobiety. Zdziwili się bardzo widząc dwóch chłopaków siedzących wcześniej rano na schodkach i patrzących spokojnym okiem na opadającą powoli wodę.

My tymczasem zajęliśmy się własnymi sprawami, nie robiąc nic sobie z obserwujących nas z balkonu ludzi. Coś gadali, przekrzykując szum fal, pokazując czasami na nas. Brodacz, żywo gestykulując, objaśniał coś przez chwilę pozostałym.

– Co byś zrobił, gdyby tu teraz szła fala powodziowa? – spytał po chwili Przemek, kątem oka śledząc gapiącą się na nas komisję. Ludzie ci zaczęli nam powoli działać na nerwy.

– Zwiewałbym do wału. Zresztą fala powodziowa, to nie jest taka fala jak nad morzem. To po prostu nagle przybieranie wody w szybkim tempie. Zdażylibyśmy uciec – odparłem.

– A jakby zerwało kładkę?

– To by zerwało i tyle. Szkoda by mi było tylko naszych podpisów – zaśmiałem się – Radzilibyśmy sobie bez kładki.

– A gdzie tu jest jakieś inne przejście przez Wisłokę? – spytał.

– Kładka, dalej most, a w stronę Dębicy kolejna kładka i most w Przeclawiu...

– Jaka kładka?

– Podobno jest jakaś kładka kawałek stąd. Mam kumpla na Wojsławiu i coś o niej wspominał – odparłem niepewnie.

– Chodźmy tam!

– Ale ja nie wiem, gdzie to jest...

– Będziemy szli wzdłuż rzeki i w końcu trafimy.

– Ale wiesz, że to może być kilkanaście kilometrów stąd?

– Trudno, mamy czas, nie ma jeszcze dziewiątej. Nie chce mi się tu siedzieć, czuję się jak małpa w zoo przy tej komisji. Niewiele braknie i zaczną w nas rzucać orzeszkami...

Istotnie, ludziki na balkonie cały czas gapiły się na nas, wytykając co chwilę palcami. Już wiedziałem, że wyruszymy na poszukiwania tajemniczej kładki.

Po chwili szliśmy wałem w nieznanym kierunku. Cały czas stawali się mieć na oku brzeg Wisłoki, co nie było łatwe, gdyż był on porośnięty drzewami i wysokim gąszczem splątanych krzewów, zza których nie było widać zupełnie nic.

Nie wierzyłem w tę kładkę. Słyszałem o niej gdzieś, kiedyś, od kogoś, kilka lat wcześniej, byłem jeszcze dzieckiem, ale mniej więcej w tym samym czasie słyszałem również bajki o smoku wawelskim i o krasnoludkach i sierotce Marysi, więc niemożliwością byłoby brać wszystko za prawdę. Ale podobno cuda się zdarzają...

Na łąkach pod wałem stały istne jeziora błękitnej wody. Błękitnej? Nie, to tylko niebo się w nich odbija... Widok rzeki przesłonił nam las, ciągnący się aż po horyzont. Cóż to był jednak za las. Wąskie pasmo liściastych drzew rosło na bagnie, w zagłębieniu pełnym zgniłozielonej wody. Próżno wypatrywaliśmy brzegu rzeki, szanse na przegapienie ewentualnej kładki rosły.

Gdy znudziła nam się wędrówka wałem, postanowiliśmy zejść na dół. Koreń wskazał na znajdujące się po drugiej stronie lasu,

prześwitujące przez drzewa ciemne rusztowanie. Skinąłem głową na zgodę.

Przeszliśmy ścieżką przez ogromne rozlewiska wodne, przedarliśmy się przez las. Znaleźliśmy się na kolejnej łące, tym razem suchej. Tuż obok, za zasłoną przybrzeżnych trzcin płynęła Wisłoka.

Rusztowanie okazało się wysokim stalowym słupem, stojącym na kilkumetrowym, obłożonym betonowymi płytami nasypie. Po drugiej stronie rzeki dostrzegliśmy identyczny słup. Słupy połączone były linami, wszystko zaś służyło do podtrzymywania niewielkiej żółtej rury, przerzuconej w tym miejscu nad Wisłoką. Ogólnie rura była zawieszona na krótszych fragmentach lin, łącznikach, jak później policzyliśmy, w dwudziestu dwóch miejscach przywiązanych do lin łączących górne rogi słupów. Całość wyglądała nieco dziwacznie, konstrukcja wydawała się chwiejna i przesadnie skomplikowana. Z boku pod lasem wznosiło się białe rusztowanie, którego przeznaczenia nie mogliśmy odgadnąć, oraz bunkier, od którego brały początek liny przechodzące przez rogi słupa.

– Wchodzimy? – spytał Koreń.

– Jasne!

Po betonowych schodkach wspięliśmy się na nasyp i stanęliśmy przy słupie. Niżej płynęły brunatne, wzburzone wody Wisłoki.

– Dziwne miejsce.

– Może to ta kładka, o której mówiłeś?

– Nie wygląda mi to na kładkę. Nikt rozsądny raczej nie przechodziłby tędy na drugą stronę...

Istotnie, przechodzenie przez rzekę po linie nie wydawało się mądrym pomysłem. Nie wiem czemu wyobraziłem sobie wojnę i żołnierzy zmuszonych pod ostrzałem karabinów przekraczać mętłą wzburzoną Wisłokę tędy, po linach. Zadrzałem na samą myśl.

Po chwili zapragnęliśmy wspiąć się na słup. Chwyciłem dłońmi rurę, podciągnąłem się na rękach, objąłem ją nogami, po czym jedną stopę oparłem o linę, wyswobodziłem drugą i już stałem na konstrukcji. Dłonie miałem ciemnoszare od kurzu pokrywającego słup.

Po chwili Koreń stał obok mnie. Do szczytu brakowało wprawdzie dość sporo, jednak i stąd roztaczał się niezwykle widok na

całą okolicę. Zdziwił mnie fakt, że wcześniej nie wiedzieliśmy nic o tym miejscu.

Usiedliśmy na poziomej belce, średnicy sporego drzewa, spuściliśmy nogi w dół. Było ciepło, niezwykła wprost pogoda jak na luty. Błękit nieba odbijał się w brunatnej rzece, dookoła ani żywej duszy...

– Spoko tutaj – powiedział Koreń po chwili – Nie wiedziałem, że jest w tym mieście coś takiego.

– Ciekawe po co ta cała konstrukcja?

– Dla przetrzucenia przez rzekę rury, pewnie z gazem.

– Mocno to wszystko brudne. Cały jesteś w jakimś szarym syfie.

– Ty też nie wyglądasz najlepiej.

– Ciekawe, po co to białe rusztowanie obok bunkra. Po drugiej stronie Wisłoki jest takie samo.

– Może dla dzieci do wspinaczki...

– Dla dzieci? Na takim zadupiu? Głupiś.

– Żartowałem. Raczej nie robiliby przecież placu zabaw obok rury z gazem.

– Może to gaz dla całego Mielca?

– Eeee, chyba za mała ta rura.

– Może pod ciśnieniem?

– Może. Ten słup musi mieć już ładnych parę lat, zardzewiał w kilku miejscach, farba się na nim łuszczy. Ta rura też jakaś dziwna.

– Musiał przejść już niejedno. Dosyć silno tu wieje, a i powodzie.

– Ciekawe jak tu głęboko? – spytałem, pokazując na wzburzoną rzekę.

– Teraz to może być i kilkanaście metrów. Patrz na skarpe, schodzi prawie pionowo do wody. Nie chciałbym tu wpaść.

– Ale teraz jest prawie powódź. Normalnie jest dużo mniej.

– Jak będzie dłużej tak jak dziś, to woda zaraz opadnie – wskazał na bezchmurne niebo.

Siedzieliśmy na słupie, patrząc na rzekę i machając w powietrzu nogami. Śniegu nie było, słońeczko grzało, istna sielanka.

– Postanowiłeś już, do jakiej szkoły idziesz? – spytałem, niszcząc ciszę.

– Nie wiem, pewnie do technikum budowlanego – odparł po chwili – Chciałbym być architektem.

– Dobra sprawa. Może pójdziemy razem do szkoły. Ale ja chyba zostanę prawnikiem...

– Też ujdzie. Pójdziemy razem do technikum, będziemy dalej wagarować, a potem ty pójdiesz na prawo, ja na lewo, na architekturę. W końcu ja zostanę architektem, a ty prawnikiem, znającym się na prawie budowlanym.

– Dobry pomysł. A jeśli ty zaprojektujesz dom, który się zawali, ja będę cię bronić w sądzie po znajomości!

Zaśmialiśmy się.

– Czyli tak robimy. Sztama! – rzekłem i uścisnęliśmy sobie ręce.

Siedzieliśmy na tej belce, patrząc na wodę. Od wschodu wiał ciepły wiatr, było bardzo przyjemnie. Po chwili Koreń rozwiązał i ściągnął swoje wielkie zimowe buty. Postawił je na belce obok siebie.

– Może zima się kończy? Zdejmij buty, mówię ci jaka ulga!

– Może później... – odparłem, ale po chwili i ja zdjąłem z nóg ciężkie zimowe głany.

– Nie boisz się tego, co będzie kiedyś? – spytał po chwili.

– To chyba jedyna rzecz, której się właśnie boję – odpowiedziałem zgodnie z prawdą – Wszystko jest takie cholernie niepewne... – zapatrzyłem się w wiry, tworzące się co chwila na mętnej, brunatnej tafli.

– Widzisz, teraz jesteśmy tutaj i jest dobrze, ale za kilka lat będziemy już zupełnie innymi ludźmi. Boję się, że wszystkie nasze ideały kiedyś szlag trafi, że zapomnimy o tym, co było ważne, nie będziemy pamiętać tej chwili, ani żadnej wcześniejszej, zajęci własnymi sprawami staniemy się wchłoniętymi przez system egoistami. Wpadniemy między trybiki maszyny...

Zdziwiła mnie trochę jego skłonność do filozofii. Koreń niezwykle rzadko wpadał w taki nastrój. Postanowiłem kontynuować rozmowę.

– Wiesz, co mnie najbardziej denerwuje u ludzi? – spytałem.

– Co?

– Jeden mały szczegół. Mianowicie sam fakt, że istnieją. Przecież to ludzie wymyślili to wszystko, to dzięki nim mamy takie, a nie inne społeczeństwo, system, warunki życia. Nieraz chciałbym być sam na świecie, ewentualnie mieć przy sobie garstkę sprawdzonych osób, by móc zbudować to wszystko od nowa, wprowadzić jakieś normalne, zdrowe zasady. Są dni, gdy nie mogę już patrzeć na innych, nienawidzę całego świata i pewnie jestem najlepszym kandydatem na zbiorowego mordercę, bo czasem chciałbym wziąć karabin maszynowy i powystrzelać z pół ludzkiej populacji. Oni się nie nawrócą, myślą grupowo, myślą jak tłum, nie indywidualnie. Chłoną jak gąbka wszystko, co tylko podsunie im komercja, media, kościół. Nienawidzę takiego myślenia...

– Ale tego nie zmienisz... „Pięćdziesiąt procent Polaków nie zdaje sobie sprawy z tego, że stanowi połowę polskiego społeczeństwa” – wyrecytował hasło nabazgrane przez kogoś czarnym markerem na nodze słupa – Fajne, nie? Wiesz, co by się stało, gdyby na świecie żyli sami indywidualiści?

– Pewnie niedługo by ten świat pociągnął...

– Pozabijaliby się! Ludzie muszą być rządzeni, kierowani. Indywidualiści chcą rządzić sami sobą, mają własne zdanie i nie uznają żadnej hierarchii. A na świecie nie może tak być, musi być hierarchia, bo zawsze znajdzie się jakiś idiota, co zechce rządzić i jakiś baran, który zechce go słuchać. Takich ludzi jest większość i w końcu indywidualiści, czy nie, wszyscy wrzucani jesteśmy do jednego worka... Wiesz dlaczego słowo indywidualista nie powinno występować w liczbie mnogiej?

– Bo... – zawahałem się – Nie wiem.

– Indywidualista nie tworzy zbiorowości, jest ponad tym. Indywidualista, gdy dołącza do grupy, przestaje być indywidualistą! Nie ma grup indywidualistów, bo funkcjonowanie w grupie nie mieści się w pojęciu indywidualności. Nawet jeśli będzie ich kilku, będą to zawsze pojedyncze jednostki, żyjące obok siebie, nie ze sobą. Wystarczy popatrzeć na grupy poetyckie. Zawsze, prędzej czy później się rozpadają. Za dużo oryginałów, a każdy z nich

chciałby iść swoją drogą. W tym wypadku nie ma matematyki. Jeden indywidualista dodać jeden indywidualista, nigdy nie wyjdzie dwóch indywidualistów, tylko jeden i jeden.

– Jedenaście? – zaśmiałem się.

– Głupiś. A zresztą, po co ja ci to mówię...

– Nie. Mów dalej, to ciekawe. Zaskoczyłeś mnie, stary, nie wiedziałem, że taki mądry z ciebie gość... Więc masy muszą istnieć? Musi być ktoś, kto będzie nimi rządzić? To jak w koncepcji Woltera – przypomniała mi się któraś lekcja polskiego – Gdyby nie było Boga, ludzie dla własnego dobra wymyśliliby go sobie?

– Dokładnie. To nie Bóg stworzył człowieka, tylko człowiek boga. Powiedz mi, jest luty, dzień po feriach, wszyscy siedzą w szkołach, w pracy, gdziekolwiek, tylko my dwaj siedzimy na jakichś kurewsko pokrzywionych słupach, na wagarach, i machamy gołymi nogami w powietrzu, patrząc na rzekę. Czujesz się jak indywidualista?

– Trochę tak. Bo to dość... irracjonalna sytuacja – zastanowiłem się – Czasami czuję się inny od tych wszystkich ludzi mijanych na ulicy. Nie robię tego, co mi każe system, spełniam swoją wolę. Jestem inny, jestem wolny! Stąd pewnie ta nienawiść do nich, zwłaszcza gdy widzę ich zachowanie...

– Jakie na przykład?

– Ta ich duma i pycha! Kompletnie bezzasadne szaleństwo. Wywyższanie się nad innych, zadzieranie nosa, szpan... Wiesz, oni wszyscy są tak normalni, aż rzygać się chce. Bez jakiejś pasji, wyższych ideałów. Każdy z nich stawia sobie jakieś przyziemne, egoistyczne cele, czy to znaleźć męża, czy znaleźć pracę, czy skończyć studia, dorobić się jak największej kasy, nie wiem po co, i mają sto orgazmów, gdy uda im się to zrealizować. I tak życie ucieka do przodu bez satysfakcji, albo z całym zbiorem tych małych, satysfakcjonujących ich chwil. A gdy w końcu już porezygnują z wszelkich wyższych celów, po latach, na pytanie, czy są szczęśliwi, odpowiadają: tak! To jest życie? Przypomina to trochę tych ludzi, którzy boją się wejść w głąb lasu, zadowolając się tym, co znajdują na jego skraju. Na skraju lasu budują domy, osiedlają się, zakładają rodziny i tak mija im życie... Tymczasem, gdyby weszli

w głąb... Myślisz, że są naprawdę szczęśliwi, zadowolając się tym, co znajdują na powierzchni życia?

– W gruncie rzeczy zazwyczaj... nie.

– Więc dlaczego są dumni i patrzą na innych jak na kupkę gówna! – przypomniał mi się zbieracz złomu sprzed kilku miesięcy – Najzwyczajni ludzie, szarzy, manipulowani przez media zjadające chleba są mili dla ciebie, tylko wtedy, gdy coś od ciebie chcą, gdy jesteś celem lub środkiem na drodze do celu. Zauważyłeś na pewno, że dziewczynki mówią ci „cześć”, uśmiechają się i gadają z tobą tylko wtedy, gdy im się podobasz, gdy na coś liczą. Nie jesteś ładny i bogaty – możesz dla nich w ogóle nie istnieć! A ludzie? Każdemu wydaje się, że jest indywidualistą, że realizuje swoje cele, idzie swoją drogą z podniesioną głową, tymczasem są grupką śmiesznych szarych człowieczków, zapatrzonych jedynie w czubek własnego nosa. Wydaje im się, że są lepsi od innych tylko dlatego, że lepiej wyglądają, mają więcej kasy. Czy ktoś im dał prawo do traktowania innych z góry, do poniżania drugiego człowieka tylko dlatego, że na przykład ciągnie on po ulicy wózek ze złomem, lub jest gorzej ubrany?

– Też to zauważyłem... Wprawdzie ze mną sporo dziewczyn gada, ale z chłopakami już inaczej. Jakby czegoś zazdrościli czy jak... – Koreń uśmiechnął się nieskromnie do swoich paznokci.

Taaa... – pomyślałem – Czy taki przystojniak może w ogóle zrozumieć, o co mi chodzi?

– Każdemu wydaje się, że jest kimś, tymczasem jest tylko składnikiem szarej masy – ciągnął – Ale wiesz, co myślę? Mamy w kraju trzydzieści dziewięć milionów ludzi, dla których najważniejsze jest ich własne życie, rodzina, dom... I bardzo dobrze! Były ludzkie omijają się nawzajem, czasami wpadają na siebie w kolizyjnym kursie, odbijają się od siebie i albo płyną w tę samą stronę, albo w przeciwną. I tak mija życie i to wystarczy! Po cholere szukać w tym większego sensu. Nie każdy musi być filozofem i się nad tym zastanawiać. Przecież nic prostszego, jak dostrzec fakt, że tuż obok nas jest mnóstwo innych ludzi, choćby na takim Nowym Świecie w Warszawie, gdy lawirujemy wśród tysięcy spieszących gdzieś osób, można dostrzec, że każda z tych osób gdzieś idzie,

każda ma swój cel! W tej chwili kilka miliardów ludzi coś robi, o czymś myśli, codziennie po torach kolejowych mknie tysiące pociągów, wyjeżdżają do jakiegoś celu dziesiątki tysięcy autobusów, a w chwili, gdy my tu siedzimy, sześć procent Polaków uprawia seks! Czy to nie piękne? My machamy gołymi nogami nad rzeką w dzień po feriach, a w tym czasie, gdzieś, może nawet w tych domach z wałem, ludzie się pieprzą! Bo nie ma życia bez celu, każdy z nas coś robi, ma jakieś swoje cholerne miejsce w tym kraju, na tym świecie! Ci ludzie są potrzebni i nawet źle by było, gdyby każdy zastanawiał się po co żyje. Niech żyje. Po prostu! Na tym skraju swojego lasu. Po chuj ma się nad życiem zastanawiać. To zadanie indywidualistów. Ale prawdziwy indywidualista rodzi się bardzo rzadko – westchnął.

Szczerze mówiąc zatkało mnie po tej przemowie. Za wszelką cenę zaprzagnąłem kontynuować.

– Może nie tak rzadko... Po prostu mamy system, który eliminuje takich ludzi, wyrabiając długo i skutecznie pod kątem wzorca. Słabsze umysły poddają się, za którymś z kolei ciosem, i z przyszłych indywidualistów robią się kolejne ciepłe kluchy.

– Nie, nie, Durex, to nie tak. Jeśli mają słaby umysł, który daje się urabiać w ten sposób, to nie są prawdziwymi indywidualistami.

– Może. Ale widzisz, system jest bardzo skuteczny. Wali po łbie tak długo, aż wybiję ci z głowy oryginalność, czy innowacyjne pomysły.

– Cała rzecz w tym, aby być silniejszym od systemu! Zaistnieć, wybić się wbrew wszystkiemu! Prawdziwych ludzi, będących wzorem, których nazwiska na stałe gdzieś się zapiszą, jest bardzo niewielu. Pamiętasz? Darek mówił kiedyś, że nie ma dziś autorytetów. Święte słowa! Większość osób powie ci, na przykład, jakim to dla nich wielkim autorytetem jest Jan Paweł II. Rzygać mi się chce na takie bredzenie! Nikt nie słucha papieża, nie żyje według jego wskazań, nie stara się być dobrym człowiekiem. Dopiero przyciśnięty do muru, gdy w jakiejś głupiej ulicznej ankiecie zostaje zapytany o największy dla niego autorytet mówi: Jan Paweł II i odchodzi dumny, z dupą wyżej nosa. A że w ogóle nie wie, co papież mówi, to inna sprawa.

– Zgadzam się. I zobaczysz pewnego dnia, co się stanie. Papież umrze, bo nikt przecież nie jest wieczny. To będzie straszny dzień, cały świat z pewnością będzie płakał i rozpaczał. I każdy, zapytany na ulicy, będzie mówił, ile to w jego życiu zmienił papież, jak bardzo go słuchał, ile dobra przekazał i tak dalej. Kurwa, totalna brednia...

– Pewnie masz rację... Tylko boję się, że kiedyś przestaniemy być tacy jak teraz, że na razie to tylko okres buntu, który za parę lat minie, w szkole średniej wybiją nam z głowy wszelkie nasze poglądy i zostaniemy tacy jak oni – wszyscy ci, z których teraz szydzimy.

– Eeee tam... Gównu ci minie! Nie masz się czym zamartwiać? Wystarczy pamiętać, walczyć... A na razie siedzieć tu, myśleć, że jesteśmy ponad tym i cieszyć się chwilą. Co robisz w walentynki? – spytałem mimochodem, zmieniając temat.

– Jeszcze nie wiem. Nie lubię tego gównianego, plastikowego święta.

– Jest jakie jest, ale naiwne dziewczynki przywiązują do niego dość sporą wagę...

– Mam kilka pomysłów... Brat daje mi kasę, już to z nim uzgodniłem. Całą bańkę! – pochwalił się.

– Całą bańkę?! – wykrzyknąłem – Na walentynki? I co ty zrobisz z taką kasą?

– Wiesz, postanowiłem w końcu chodzić z Wiktoria... Pójdę do niej z bukietem róż, zaproszę do kina, później wezmę ją do jakiejś knajpy, no i pewnie będziemy chodzić. Miałeś rację, niezła z niej dupa, sporo chłopaków się o nią rozbija, a tak przynajmniej będzie ze mną. Poużywam sobie i zobaczę, co dalej...

– Chcesz, jak Duszyk, być z nią, żeby sobie podupczyć? – zapytałem, tłumiąc narastające oburzenie – Myślałem, że masz inne zdanie na ten temat...

– Odpowiem ci również jak Duszyk: A do czego innego jest potrzebna panienka? Przecież nie będę z nią rozmawiał o filozofii i indywidualistach, Wiktoria raczej się do tego nie nadaje – zaśmiał się – Czemu niby mam mieć inne zdanie?

– O wagarach gadać możecie... Ma więcej nieobecności niż ty i ja razem wzięci. Zwykle milczałeś na te tematy, zamiast dyskutować o dupczeniu – odparłem smutno i zamilkłem na dłuższą chwilę.

Więc to koniec złudzeń. Koreń nie kocha Wiktorii, ale z nią będzie, by sobie poużywać. Zabiera ją do kina, na kolacje, kupuje róże... Koniec złudzeń, jestem bez szans. Ci dwoje będą parą, sławną na całą szkołę i choćby nie wiem co, nie dam rady im w tym przeszkodzić. Cała bańka robi wrażenie. Pewnie nigdy nie byłoby mnie stać na taki gest. Pieprzony świat... Żegnaj Wiktorio... „O Wiktorio, moja Wiktorio... Dlaczego mam cię tylko w snach?” – znów przypomniał mi się Dżem, a blondwłosa bogini stanęła przed oczami jak żywa. Nie odniosę Wiktorii, Koreń jest lepszy, jest bliżej. Ma w ręku wszelkie atuty...

Zachciało mi się wyć. Ubrałem buty. Stałem na belce.

– Mam ochotę przejść się na drugą stronę Wisłoki – powiedziałem.

– Którędy?

– Tędy.

– Po linie?

– Tak.

– Pojechało cię?

– Nie. Dlaczego?

– Jeszcze się pyta. Idiota!

– Czemu od razu idiota? Przed chwilą rozmawialiśmy o indywidualistach, nie? Przypuśćmy więc, że to mój własny, indywidualny pomysł na urozmaicenie sobie czasu.

– Rób co chcesz, ja cię nie będę wyławiał, nie umiem pływać. Ty zresztą też – przypomniał na wszelki wypadek.

– To nic, patrz i podziwiał. Powiedz w szkole, jak zginąłem, pozdrów Darka, a rodzinie, jakby co, niech mnie skremują. Aha, modele możesz sobie wziąć.

– A nie można ci pomóc z tym spadaniem?

– Przyjaciół – zakpiłem szyderczo kiwając głową.

Byłem już przy pierwszym przęśle na szerokości nasypu. Szedłem bokiem, nogami po linie, dłońmi trzymając się rury. Pozycja

do przeprawy była całkiem wygodna. Konstrukcja chwiała się nieco w rytm moich kroków. Ptaki siedzące na środku liny poderwały się do lotu...

Koreń został na słupie, ja szedłem pomału w stronę Wisłoki. Byłem wściekły, choć nie dawałem po sobie tego poznać. Stanie na linie dziewięć metrów nad wzburzoną wodą miało mnie uspokoić. Chciałem myśleć o wszystkim, tylko nie o mojej blondwłosej bogini. Ten temat należało zamknąć raz na zawsze.

Z początku przeprawa nie była trudna. Lina znajdowała się w miarę blisko rury. Im jednak dalej od słupa, tym bardziej luźno zwisała nad wodą, tym bardziej byłem wyciągnięty i tym trudniej było mi utrzymać rurę w dłoniach. Poza tym każdy krok powodował niemiłosierną huśtawkę.

Stałem przy piątym przęsle. Byłem rozciągnięty do granic możliwości, tymczasem lina ciągle opadała... Byłem za krótki. Do jedenastego przęsła, stanowiącego połowę drogi, było jeszcze daleko. Tam lina zwisała najbardziej, później zaczynała znów zbliżać się do rury. Póki co, nie mogłem iść dalej.

Stałem więc na luźnej, huśtającej się na wietrze stalowej linie, dziewięć metrów nad spienioną rzeką...

– Koreń, chodź tu! Zajebisty stąd widok!

Rzeczywiście widok był wspaniały. Mogłem podziwiać dalekie zakola Wisłoki, w tyle mając miasto i całkiem niewielki z tej odległości budynek Tamy.

– Dziękuję, poczekam! – odkrzyknął ze słupa.

– Nie bój się, tu jest bezpiecznie!

– Dobra, ale podejdź bliżej.

Był niższy ode mnie i nie mógł iść tak daleko. Zbliżyłem się o dwa przęsła. Koreń nieśmiało wszedł na linę po drugiej stronie rury. Powoli zaczął posuwać się w moją stronę. Po chwili staliśmy razem, trzymając się rury, naprzeciwko siebie. Każdy wstrząs powodował chwanie się całej konstrukcji. Pod nami Wisłoka. Wystarczył jeden nieuważny ruch, z jego lub mojej strony, by...

Siedzieliśmy znów na belce. Na linach ponownie przykucnęły uśpione gołębie. Postanowiłem kiedyś przejść tędy na drugą stronę. Gdybym był tylko trochę wyższy, udałoby się to z pewnością.

– Podpiszmy się – powiedziałem do Korenia – Wyciągaj ko-
rektor.

– Ale mam tylko w pędzelku...

– To nic, tutaj się przyda.

I podpisaliśmy się. Najpierw w dwóch kątach słupa, potem ze-
szliśmy z nasypu, by uwiecznić nasze ksywy na bunkrze, w miej-
scach, skąd odchodziły liny. I tak po jednej stronie powstał potęż-
ny napis Durex, po drugiej Koreń. Z góry nieźle to wyglądało. To
miejsce było nasze.

Na nodze słupa napisaliśmy: *WAGARY 7, 8, 9 luty 2000. Pier-
dolimy budę! Durex & Koreń*. Nie wiem dlaczego wymieniliśmy
tylko te trzy dni. Właściwie planowaliśmy przychodzić tu przez
cały tydzień. Zawsze można było dopisać do nich kolejne cyfry,
czas i późniejsze wydarzenia sprawiły jednak, że pozostały tylko
te. Siedem, osiem, dziewięć.

Siedzieliśmy w swoich kątach słupa. Koreń od strony Tamy,
ja od lasu i rzeki. Myślałem o jutrze. Sprawa Wiktorii zaważyła się
wprawdzie, jednak ciepły, lutowy wiatr niósł zapach wiosny, świe-
żości i wagarów. Na pewno będzie dobrze. Musi być.

Wracaliśmy drogą za bunkrem, przez las. Biegła tam niska
ścieżka, usłana błotem, resztkami śniegu i zbutwiałymi liśćmi. Na
jej końcu drogę zamknął nam wypełniony popowodziową wodą
rów. Woda śmierdziała rozkładem i bagnem. Na szczęście z boku
znajdował się zwalony betonowy słup, tworzący coś w rodzaju
kładki, po której przeszliśmy bezpiecznie na drugi brzeg.

Znaleźliśmy się w zupełnie innym świecie.

Jakieś pięćdziesiąt metrów od nas wznosił się wał przeciwpo-
wodziowy. Wysoki, długi, porośnięty świeżą, zieloną trawą. Nad
wałem błękitne, bezchmurne niebo, a tuż przed nami ciągnęła się
polanka, łąka, na której, jak okiem sięgnąć, stała woda. Wydawa-
ła się krystalicznie czysta, błękit nieba odbijał się w niej, tworząc
niezwykłe zjawisko. Tak jakby zobaczyć dwa nieba, przedzielone
jedynie odległym zielonym pasem.

Staliśmy jak urzeczeni. Nie wiedziałem o istnieniu w tym miej-
scu takiego jeziora! Wszystko było czyste i świeże, a kolory tak
żywe, że w porównaniu z nadgniłym, ciemnym lasem, z które-

go przed chwilą wyszliśmy, widok wydawał się jakąś nierealną, wspaniałą fatamorganą.

My zaś staliśmy na najprawdziwszym śniegu. Podczas, gdy w mieście nie uświadczylimy przez drogę ani jednego zaśnieżonego miejsca, tu w cieniu lasu zachowała się cała polana pokryta świeżym, białym śniegiem, nienaruszonym w żadnym miejscu śladem niczyjej stopy. Bajka, prawdziwa bajka!

Trochę zbrukaliśmy biel, wycierając z leśnego błota nasze buty, później zaś rzuciliśmy się na śnieg i machając rękami i nogami, zrobiliśmy dwa „orzelki”. Wszystko bez zbędnych słów, spontanicznie. Mogliśmy robić wszystko, na co tylko przyszła nam ochota. Gdybym zapragnął zabawić się w morsa, rozebrać do naga i wskoczyć do stawu, Koreń z pewnością nie powiedziałby mi złego słowa, a może nawet zrobiłby to samo? Na tym właśnie polega prawdziwa wolność.

Ruszyliśmy wzdłuż stawów. Nazywam je stawami, bo takie właśnie sprawiały wrażenie, obszar zalany wodą był naprawdę wielki, w gruncie rzeczy wiedziałem jednak, że to tylko olbrzymie kałuże, powstałe z roztopionego śniegu, które po prostu, nie mając ujścia, zalegały pod wałem. W najgłębszym miejscu mój staw mógłby pewnie sięgać nam do pasa.

– Szkoda, że musimy iść – westchnął Koreń.

– Jutro tu wrócimy! I mam nawet kilka pomysłów! Będzie pięknie.

Skrajem lasu, wzdłuż stawów, dotarliśmy do wjazdu na wał. Weszliśmy tędy, zostawiając słupy za plecami. W końcu i las się skończył.

Za wjazdem znajdował się rów. Przebiegał pod wałem aż do Wisłoki, a potem ciągnął się przez pola. Pewnie miał odprowadzać nadmiar wody z pól do rzeki. Teraz stała w nim brunatna, cofnięta z Wisłoki woda, dzieląc świat na dwie części: tę lepszą, ze słupami, jeziorami i nieskrępowaną niczym wolnością oraz gorszą, gdzie leżało całe miasto, Dziewiątka, klasa ucząca się pilnie w pierwszy dzień po feriach, dom. Zachciało nam się śmiać. Niebo błękitne, słońce świeci, taki dzień początkiem lutego to skarb, którego nie wolno marnować!

Mijaliśmy właśnie Tamę i pomost łączący ją z wałem. Na nasz widok owczarki niemieckie zza ogrodzenia podniosły alarm.

– Jeszcze nas nie poznajecie, kundle?! – wykrzyknął Koreń
– Za każdym razem na nas szczekają!

– Po to są, żeby szczekać. Za to im dają jeść. Każdy ma przypisaną jakąś rolę. Psy mają szczekać, dzieci się uczyć, a my...
– urwałem.

– A my? – spytał.

– A nas nie zaszufładowano. Jesteśmy ponad tym!

I tak upłynął pierwszy dzień.

IV

W gruncie rzeczy, bycie ponad tym oznaczało życie w innym świecie, świadomą izolację od całej otaczającej nas brudnej rzeczywistości. Nie mieliśmy złudzeń, żyliśmy w jakimś nie liczącym się miasteczku na Podkarpaciu, przez które przejeżdżał jeden pociąg dziennie i z którego wydostanie się graniczy z cudem. Nie mieliśmy szans i perspektyw, by chcieć poprawiać świat, jedyne, co nam pozostało, to złudzenia, że możemy mieć jakieś pragnienia, marzenia o tym, jakby to było pięknie móc... marzyć.

Żadna jednostka nigdy nie wpłynie wystarczająco na innych, nigdy nie zmieni rzeczywistości. Można walczyć, ale w gruncie rzeczy będzie to walka tylko dla samej walki, zakończona w najlepszym przypadku guzem na skroni.

Nie mogąc więc nic zrobić z istniejącą rzeczywistością, tworzyliśmy swoją własną, ukrytą przed innymi ludźmi. Rzeczywistość, w której mogliśmy sobie pozwolić na wszystko, na co w danej chwili mieliśmy ochotę, rzeczywistość, w której wszystko funkcjonowało po naszymu, swoisty zamknięty, wirtualny świat, państwo w państwie. To nam wystarczało.

Nasza rzeczywistość była oczywiście lepsza, wszystko w niej było podporządkowane nam, stało ponad regułami świata, który był przecież zepsuty, zdemoralizowany i zły.

Drugiego dnia jak zwykle, za piętnaście ósma, przyszedł po mnie Duszyk.

– Idziesz dziś do szkoły? – spytał szeptem, za drzwiami bowiem miałem siostrę, która o tej porze tylko udawała, że śpi.

– Nie – odpowiedziałem najciszej jak się dało – A co tam słychać?

– Zdziwili się waszą nieobecnością. Wiesz, wszyscy wiedzą, że jak ciebie i Korenia równocześnie nie ma, to raczej nie jesteście chorzy. Dziwią się tylko, że tak zaraz po feriach... A dziś historia z Darkiem i pomyślałem, że może się wybierzesz...

Duszyk miał trochę racji. Darek na pewno nie uwierzy, że jesteśmy chorzy, z pewnością wie, że wagarujemy. Żeby tylko nie przeholować... Przez chwilę nawet wystraszyłem się, co będzie, jeśli nasze przedłużenie ferii się wyda, odpowiedziałem jednak spokojnie:

– Dziś jeszcze nie. Planujemy tydzień. Znaleźliśmy super miejsce nad Wisłoką. Mówię ci, genialne! Może wybierzesz się z nami?

Wstąpiłem do kuchni po zapalki. Po chwili wróciłem z uśmiechniętą gębą.

– Dziś nie mogę, ale może jutro – wyszeptał – Idziesz w stronę szkoły?

– Tak, pod Nasze Drzewo. Odprowadzę cię.

Siedziałem na jednym z pustaków pod Naszym Drzewem, czekając na Korenia. Duszyk pokornie zniknął w murach szkoły, obiecując, że jutro pójdzie z nami. Był bardzo zaciekawiony Słupami.

Po chwili na ścieżce pojawiła się sylwetka Przemka. A więc nie zawiódł! Czekają nas drugi dzień na Słupach. Podniosłem się z pustaka.

Dopiero teraz spostrzegłem, że było zimno. O wiele zimniej niż pierwszego dnia. Wiał mroźny wiatr, wbijając się igiełkami w kanaliki płucne, w nocy musiał być spory przymrozek, fragmenty rozbitych butelek walające się dookoła, pokrywał szron. Niebo było zachmurzone, nic jednak nie wskazywało, by cokolwiek

miało z niego padać. Gdzieś tam przez szarą warstwę chmur, przezierał nieśmiało błękit.

Koreń podszedł do mnie, uścisnęliśmy sobie ręce i bez zbędnych słów skierowaliśmy się na starówkę. Po drodze nad Wisłokę podpisaliśmy się jeszcze na przystanku obok szkoły muzycznej. Widniało tam tyle innych podpisów, że nie mogliśmy przejść obojętnie. Wczoraj popołudniu kupiłem w Hurtowni korektor i teraz należało sprawdzić jego działanie.

– Wiesz, że jakby się prawdziwa firma *Durex* dowiedziała, że chodzi po Mielcu koleś, który robi im darmową reklamę na kładkach i przystankach, mógłbyś mieć spore kłopoty?

– Eeee tam... Gdzie by im się chciało robić aferę z mojego powodu?

– No nie wiem... Mielec to mała dziura, wiele osób cię zna. Wystarczy, żeby do Dziewiątki wpadli. Mało zostawiamy podpisów?

– No, trochę tego jest.

Istotnie, odkąd wpadliśmy w manię podpisywania, Dziewiątka zaroiła się od naszych znaków rozpoznawczych. Na ścianach pełno było wyrysowanych kondomów, na przemian z koreniowymi liśćmi marihuany. *Durex & Koreń* ozdabiała prawie każdą ścianę w naszej zacnej szkole. Zresztą nie byliśmy jedyni, ściany były całe w graffiti. Dyrekcja i nauczyciele grzmieli, niewiele jednak mogli zrobić. Póki nie złapano nas za rękę, zupełnie nic nam nie groziło.

Wody w Wisłocy wyraźnie ubyło, poziom jednak ciągle był wysoki. Stojąc na kładce mogliśmy podziwiać świeżo odsłonięte, pokryte mułem, niby plastry boczku musztardą, brzegi. Woda ciągle była brunatna, niosła pianę, kawałki gałęzi i nieraz różne dziwne przedmioty, wśród których najczęściej – ciekawa rzecz – pojawiały się białe deski klozetowe.

Wiatr to uciszał się, to znów wzrastał. Było naprawdę mroźno. Droga zleciała nam szybko. Po chwili minęliśmy Tame, rów i znaleźliśmy się znowu w naszej lepszej połowie świata.

Poziom wody w stawach również się zmniejszył, dzieląc powierzchnię wody na połączone niewielkimi kanałami, różnej wielkości, rozlewiska. Pomiędzy nimi utworzyła się sieć podmokłych,

będących jeszcze wczoraj pod wodą ścieżek. Zbiegliśmy z wału „po janosikowemu” i ruszyliśmy jedną z nich. Wilgotny grunt chlupotał nam pod nogami.

Doszliśmy do drogi pod lasem, którą zaledwie wczoraj wracaliśmy. Kończyła się ona tuż za bunkrem, należało tylko przejść po zwalonym betonowym słupie. Najwygodniej byłoby iść właśnie tędy, tymczasem ścieżka całkowicie znikła! Tam, gdzie wczoraj spokojnie szliśmy, wpatrując się w butwiejące liście, stał metr brunatnej wody! Krajobraz zmienił się całkowicie przez jedną noc, jakby ktoś część wody ze stawów przepompował do podmokłego lasu.

Przez chwilę staliśmy zadziwieni. Widzieliśmy już różne cuda przyrody, ale takie coś po raz pierwszy.

– To to samo miejsce? – spytałem po chwili.

– Wygląda podobnie... – odparł – Trzeba znaleźć inne przejście.

Na szczęście, kilka metrów dalej rów się kończył, a teren podnosił się trochę. Między uschłymi krzewami i zabagnionym lasem znajdowała się droga. Zostawiając bagno z boku, przeszliśmy tamtędy na drugą stronę lasu. Po chwili znaleźliśmy się na kolejnej łące, kilkadziesiąt metrów od słupa. Skierowaliśmy się w jego stronę.

Po wspięciu się na nasyp, roztoczył się przed nami nieco inny niż wczoraj widok. Las zmienił barwę, stał się jeszcze bardziej brązowy, jakby noc postarzyła go o kilka lat bagiennego gnicia i powodzi. Brzeg Wisłoki częściowo się odsłonił, uwidaczniając zatoki, doły pełne mułu i poszczególne zabrudzone krzaki. Słońce, bardzo dziś blade, wisiało tuż nad horyzontem, jakby usprawiedliwiając się ze swojej bezsilności. Ciągle była zima, i świat zdawał się sobie o tym przypominać. Dzień leniwie budził się do życia. Było w pół do dziewiątej. Gdyby nie szkoła, spałbym o tej porze w najlepsze...

Tak jak pierwszego dnia usiedliśmy na belce, z nogami spuszczoneymi w dół. Mroźne powietrze wybiło nam z głów ściąganie butów. Rozmawialiśmy. Nie pamiętam już o czym.

Wpadłem na pomysł, żeby ponownie przejść się po linie. Z praw fizyki wynikało, że skoro dziś jest zimniej, to lina musi być bardziej naprężona niż wczoraj.

Wszedłem na linę, chwytając się rury, ale przy trzecim prześle zawróciłem. Rura, stanowiąca punkt podparcia dla dłoni, była lodowata, bez dobrych rękawiczek nie można było bezpiecznie iść dalej. Grube rękawice, które miałem w kieszeni, nie zapewniały jednak odpowiedniego chwytu, poza tym szybko się brudziły, a i rozerwać było je nietrudno. Bieda nauczyła mnie szanować swoje rzeczy. Gdyby tylko mieć ogień...

– Rozpalamy ognisko! – zarządziłem zdecydowanie.

Widocznie Koreń myślał podobnie, spytał tylko:

– Gdzie?

– Tutaj. Przecież nie na środku Wisłoki.

– Pod rurą z gazem?!

– Obok. Nie mamy nawet pewności, czy to jest gaz, poza tym nic się chyba nie stanie. Palileś ognisko na balkonie strzeżonego budynku ujścia wody, a tu nie ma nikogo i się boisz?

– Jasne, że nie. Tylko nie chce wysadzić miasta w powietrze. A masz tym razem chociaż ogień?

– Jasne, że tak! – wyjąłem z kieszeni zapalki – No to do roboty!

Z materiałem nie było problemów. Dookoła pełno było suchych badyli, tarniny i krzaków. Po chwili na nasypie obok słupa mieliśmy okazały stos. Znalazły się w nim również fragmenty pni i grubsze od nogi gałęzie. Koreń przytachał nawet z lasu całe spróchniałe drzewo, które wspólnymi siłami połamaliśmy i wepchnęliśmy na nasyp.

Za podpałkę posłużyły oczywiście stare sprawdziany, które się nie powiodły, lub po prostu teraz były bezużytecznym, niemiłym wspomnieniem. Sporo się tego nazbierało.

Zapaliłem zapalkę, w tej samej chwili jednak dmuchnął wiatr i drewno zgasało w mojej dłoni. Zapaliłem drugą – to samo.

– Oslaniaj mnie... – powiedziałem.

Koreń osłonił mnie od strony lasu. Zapaliłem trzecią – złośliwy wiatr dmuchnął tym razem od Wisłoki. Czwarta – podobnie.

W końcu jedna podpalona kartka zajęła się przez chwilę jasnym płomieniem, po czym spaliła na popiół i... zgasła. Podłożyliśmy w jej miejscu kolejne.

Mógłbym długo opisywać proces rozpalania ogniska na wystawionym na wiatr nasypie, pod rurą z gazem... Ważne, że za trzydziestym razem, gdy już opadały nam zniecierpliwione ręce, a w pudełku zapalek ukazało się dno – udało się. Ogień buzował wesoło, ogrzewając nasze twarze.

Wspięliśmy się na słup i stanęliśmy na linach. Rozpoczęliśmy powolną wędrówkę.

Lodowata rura dosłownie parzyła nam ręce. Czasami wydawało się, że w środku jest najprawdziwszy ciekły azot i gdy dłużej przytrzymamy się rury w jednym miejscu, nie odedrzemy dłoni, chyba że bez skóry.

Mieliśmy ze sobą korektor w pędzelku Korenia i postanowiliśmy podpisywać się na co drugim przęsle. Podpisaliśmy się na pierwszym, później na trzecim...

Pisanie korektorem w tak dziwnym miejscu okazało się nie lada wyczynem. Powierzchnia przęsła, zespawana z dwóch elementów, pełna dołków i chropowatości, stanowiła swoiste Himalaje w miniaturze. Musiałem się nieźle natrudzić, żeby podpis był podobny do Durexa. Poza tym niezbyt dobrze pisze się korektorem, stojąc na linie, dziewięć metrów nad spienioną rzeką, przy mroźnym wietrze, jedną ręką trzymając się mroźniejszej od lodu rury.

Za to gotowe podpisy wyglądały ciekawie.

Wspólnie z Koreniem dotarliśmy do siódmego przęsła. Podpisać się tu było jednak niemożliwością, każdy nieostrożny ruch groził upadkiem w brunatną czeluść. Poprzestaliśmy na podpisach przy piątym. Gdy powróciłem na słup, dłonie miałem praktycznie odmrożone. Z dziką poządlivością rzuciłem się do ogniska, płonącego spokojnie pod rurą z gazem. Niczym Neandertalczyk wsunąłem łapska w pomarańczowe, pożerające kolejną porcję drewna płomienie. Oczywiście sparzyłem się, ale to nic. Czuję jak krew zaczyna szybciej krążyć, a dłonie z sinych, powoli stają się różowe, potem czerwone...

Koreń już się ogrzał, siedział teraz na belce i z góry patrzył na mnie.

– Długo jeszcze?

– Tak – rozpiąłem kurtkę i wystawiłem do ognia pierś. Tak... Ciepło, ciepło, nareszcie!

– Wiesz, czego mi brakuje do pełnego rozgrzania? – spytał.

– Czego?

– Wódki!

– Wódki?!

– Trzeba pomyśleć następnym razem. Nie masz czasem w plecaku?

– Niestety, wypilem po drodze! – zakpiłem.

– To czemuś mi nie dał?

– Ty mi ostatnio nie chciałeś dać ani jednej truskawki, choć miałeś całe wiadro!

Roześmialiśmy się na chwilę.

Właściwie miałem do niego straszny żal z powodu Wiktorii, postanowiłem jednak zachowywać się normalnie, nie dać nic po sobie poznać. Jeśli zrealizuje te swoje walentynki, wszystko weźmie w łeb.

A może by go jakoś od tego odwieźć. Może... Zacząłem kombinować.

Wspiąłem się na słup i usiadłem na belce. Patrząc w stronę Wisłoki na przesłach wyraźnie odcinały się napisy. Po prawej: *Durex, Durex, Durex*, po lewej: *Koreń, Koreń, Koreń*. Koślawe, ale zawsze. Po chwili nastąpił podpisywania ciąg dalszy. Zszedłem z nasypu i na białej konstrukcji, czarnym markerem zainspirowałem taką rymowanąkę: „Tu byliśmy, tu sraliśmy, tu ognisko paliлиśmy i tu się prawie utopiliśmy”, a pod spodem krecha i dalej: *Durex & Koreń, 7, 8, 9 luty 2000r.*

Odwróciłem się i popatrzyłem na słup. Przemek korektorem w pędzelku majstrował właśnie potężny napis na głównej belce: *Durex & Koreń*, i oczywiście symbole w postaci kondoma i liścia. Zresztą wymieniać wszystkie napisy, jakie pozostawiliśmy na słupie, bunkrze i białej konstrukcji byłoby niepodobna. Zbyt wiele tego było.

Ognisko dopalało się. Dorzuciłem ostatnią porcję drewna, a gdy i ona przemieniła się w popiół, zszedłem z nasypu. Koreń siedział w wielkim, podmokłym i zarośniętym krzakami rowie, znajdującym się nieopodal. Wszystko było tu pokryte cienką warstwą mułu, jakby po przejściu fali powodziowej lub wybuchu wulkanu. Ziemia porwana wąwozami pełnymi błota i gnijących liści.

Wszedłem do rowu Korenia. Z czterech stron zasłaniały nas krzaki i siedziało się tu jak w bunkrze lub w naturalnym szałasie. Przez grubą warstwę bezlistnych gałęzi prześwitywało gdzieniegdzie zachmurzone niebo.

– Można by tu niezły schron urządzić niewielkim kosztem – powiedziałem.

– Te drzewa to niezły punkt obserwacyjny. Coraz bardziej mi się tu podoba.

Dziwny nastrój panował w tym miejscu. Dookoła żywej duszy, wzburzona Wisłoka, krajobraz pokryty zeschniętym błotem, zachmurzone niebo, zimny wiatr.

Nie wiem jak to się stało, ale zechcieliśmy nagle wspiać się na drzewo. Konkretniej na to największe, stojące mniej więcej pośrodku rowu. Drzewo nie budziło zaufania, było chyba jakieś chore z nadmiaru wilgoci, za to dość proste we wspinaczce.

Wiele gałęzi było nadgnitych, ale jakoś się szło. Właśnie docierałem niemal do szczytu, żeby tam dotrzeć musiałem tylko na czymś podeprzeć nogę. Zwróciłem uwagę na jedną z gałęzi. Była cienka, spróchniała i wyglądała dość podle, jednak nie miałem większego wyboru...

– Nie robiłbym tego – powiedział wiszący dwa metry niżej Koreń, ale ja postanowiłem zaryzykować. Postawiłem nogę na gałęzi, podźwignąłem się, przerzuciłem ciężar ciała na lewą stopę i już chwytalem się wierzchołka, gdy...

...spróchniała gałąź nie wytrzymała. Usłyszałem cichy trzask, przez chwilę chwiałem się, szukając nieistniejącego punktu podparcia, po czym runąłem w dół z wysokości mniej więcej trzeciego piętra.

– Boże, ale kretyn! – śmiech Korenia nie miał końca, gdy leżałem obolały na warstwie zmurszałych liści i błota. Kto spadł kiedyś

z drzewa wie, że to dość dziwne uczucie. I nie ma w tym raczej niczego śmiesznego!

Przez chwilę dochodziłem do siebie. Liście i błoto miałem wszędzie. Poza tym kilka świeżych zadrapań, otarć naskórka, nic poważnego właściwie.

Tylko ten śmiech Korenia...

– Zamknij się łaskawie! – krzyknąłem – Ciekawe, czy z siebie też byś się tak śmiał. Nie spadłeś nigdy z drzewa?!

– Sorry, ale to tak śmiesznie wyglądało! Spadłem, nawet kilka razy, ale nie wiem, czy tak widowiskowo. Złamałeś po drodze chyba z dziesięć gałęzi! Masz talent do spadania z drzew!

Istotnie, na ziemi leżał stos świeżo przeze mnie urwanych badyli. Drzewo nade mną było prawie łyse. Uśmiechnąłem się:

– Słabe były. A jak zaraz cię stamtąd zrzucę, to zobaczymy, kto ma większy talent do spadania z drzew!

– Dobra, dobra. Uspokój się. Złazę! – odpowiedział Koreń ciągle się śmiejąc, po czym zeskoczył na ziemię.

Wyszliśmy z rowu i z powrotem wspięliśmy się na słup. Usiedliśmy na belce, patrząc na płynącą pod nami wodę.

– Więc planujesz chodzić z Labochą? – spytałem, nie kępując się teraz już niczym. Mój upadek z drzewa rozładował sytuację.

– Tak, raczej tak... – odparł.

– Nie wydaje ci się, że to dość kiepski pomysł?

– Czemu? Przecież to niezła dupa, wszyscy będą mi zazdrościć, podupczę sobie...

Zadrzałem.

– Ale przecież, po cholere ci to! Przecież jej nie kochasz, masz swoje zasady... Będiesz je łamać dla jakiejś kobietki, żeby ją rznąć? Nie rozumiem.

– Ja teraz też. O co ci, Durex, chodzi? Przecież pamiętam, jak w styczniu sam powiedziałaś, że ci się podoba i może... Jesteś zazdrosny, czy jak? Weź se swoją Marynę, czy jak jej tam.

– Martynę – poprawiłem – Nie o to chodzi, czy jest ładna, czy brzydka, czy mi się podoba, czy nie. Chodzi o zasady, o to, że to jest kobieta, a my nie potrzebujemy kobiet – improwizowałem, próbując odwieść Korenia od chodzenia z Wiktorią. Nie myślałem

już w ten sposób, jednak teraz próbowałem naprowadzić Korenia na moje dawne ścieżki myślowe.

– No i...? – schwycił przynętę.

– Widzisz, będziesz z nią chodzić tylko po to, by inni ci zazdrościli, jaką to masz ładną dziewczynę? Przecież nic do niej nie czujesz, nie da się z nią nawet poważnie gadać. Z tym dupczeniem też kiedyś ci się znudzi, wyrośniemy z tego... Jej uroda nie będzie wieczna! Przecież to wbrew twoim zasadom. Dajesz się złapać w najstarszą i najbardziej prymitywną pułapkę.

– Jaką pułapkę? – zaciekawił się.

– Wiesz jaki jest od zawsze największy życiowy problem wszystkich kobiet? One nie mają innych zmartwień, tylko jak ładnie wyglądać! Od dziecka wmawia im się, że muszą być piękne, media lansują wizerunek pięknych, zgrabnych i dopieszczonych kobietek. U nich wszystko kręci się wokół wyglądu! To tak puste stworzenia, że brak słów! Jak myślisz, dlaczego tak im zależy na tym wyglądzie?

– No, chcą się podobać...

– A komu?

– Facetom, jak to komu?!

– No właśnie! One od dzieciństwa mają jeden cel w życiu: Podobać się facetom! Wiedzą, kiedy ładnie wyglądają, uczą się manipulowania nami – facetami, to po to się malują, mają te wszystkie pomadki, szminki, kurwa, kosmetyki! Nawet sobie sprawy nie zdajesz, jak próżne są wszystkie kobiety! Wiele dziewczyn, gdyby przyszły do szkoły nieumalowane, w ogóle byś ich nie poznał. A my jesteśmy tak skonstruowani, żeby na to pseudopiękno reagować! Widzimy ładną dupę, od razu wariujemy, ślina nam leci i chcemy dupczyć, a to wszystko w ogóle nie ma sensu, to jest teatr zakrojony na szeroką skalę! Nawet nie wiesz, ile i jak bardzo wyrafinowanych zabiegów stosują kobietki, żeby się tylko podobać! Aż do późnej starości jest to ich największy problem życiowy.

– Masz rację, ale co my możemy na to poradzić? To na nas działa i działać będzie, chyba już zawsze.

– Właśnie. To działa, ale my o tym wiemy! Wiemy o tej wyrachowanej grze pozorów i należy być od tego silniejszym! Czy wygląd ma dla ciebie duże znaczenie? Tak szczerze?

– Szczerze, to ma. To tylko pierdolenie, że wygląd nie jest najważniejszy, bo i tak wszystkie dziewczyny patrzą tylko na wygląd! Współcześnie to jedyna rzecz, jaka dla nich się liczy. Pieprzy się, że facet nie musi być ładny... Bzdura! Choćby facet był totalnym bezmózgowym idiotą, gdy tylko jest przystojny, a najlepiej jak jeszcze ma kasę, żadna panienka mu się nie oprze! Podobnie kobieta, może nic nie mieć w głowie, ale niech ma ładną gębę, zgrabną dupę i długie nogi, omota sobie każdego faceta wokół palca.

– To czysta biologia, droga doboru naturalnego. Poszukuje się tego, kto ma najlepsze geny. Ładni ludzie zawsze poradzą sobie w życiu – powiedziałem.

– Bo to właśnie dla nich stworzony jest ten świat.

– Media tworzą wizerunek idealnej pary, pięknych Kenów, jeżdżących zachodnimi samochodami ze swymi lalkami Barbie i teraz wszyscy, cała ta zapchlona większość, wzięli sobie do serca ten wzorec i starają się go naśladować. A gdy tylko ktoś do niego nie pasuje, bo ma krzywy nos albo pryszcze, od razu jest ignorowany przez tych dumnych, modnych ludzików, spychany poza nawias. Pomyśl sam, czy życie może mieć sens, jeśli wszystko w nim kręci się tylko wokół wyglądu? Gdzie tu jakieś ideały, wartości?

Milczał. O to chodziło.

– Spotkałem kiedyś człowieka bardzo doświadczonego w sprawach kobiecych – ciągnąłem – Żona zostawiła go, zabrała mu dziecko i wszystko, a on teraz przez nią musi chodzić i zbierać złom, choć kiedyś był ważnym kierownikiem, rozumiesz? I wiesz, co mi powiedział?

– Co?

– Że nigdy więcej kobiet. Wszystkie baby to próżne materialistki.

Koreń zamyślił się coraz bardziej. Pewnie analizował moje słowa. Sam w nie wierzyłem, w dużej części były prawdziwe, co nie

zmienia faktu, że mówiłem je tylko dlatego, by odpuścić sobie chodzenie z Wiktoria.

A wszystko po to, bym ja sam mógł z nią chodzić. Paranoja.

Kończył się drugi dzień wagarów. Zbiegliśmy z nasypu i ruszyliśmy w stronę wału. Stawy nie zrobiły już na nas wrażenia, poziom wody opadał praktycznie na naszych oczach. Tam, gdzie wczoraj całą łąkę wyścielono niebieskim od nieba lustrem, stały już tylko sporych rozmiarów kałuże.

W wodzie odbijały się płynące po niebie, popychane mroźnym wiatrem, zgniłoszare, spleśniałe chmury.

Po drodze podpisaliśmy się na wielkim blaszanym płocie tuż przy wale, wykańczając całkowicie korektor w pędzelku. Po rozgniecionym butem na betonowej płycie pojemniku pozostał jedynie mały, biały kleks. Wróciłem do domu. I tak upłynął dzień drugi.

V

Obudziłem się z lekkim bólem głowy, przed szóstą, dnia dziewiątego lutego. Nigdy nie budzę się z własnej woli o tej porze... – pomyślałem i próbowałem ponownie zasnąć choć na chwilę, jednak z powodu mojej rodziny, jak zwykle wybierającej się z wielką fetą do pracy, okazało się to niemożliwe. Wstałem pospiesznie, nie chcąc prowokować do gniewu rodziców. Zwłaszcza ojciec zawsze rano był dziwnie nerwowy.

Duszyk przyszedł po mnie jak zwykle za dwadzieścia ósma.

– Idę dziś z wami! – oświadczył dumnie, gdy tylko uściśnięciem mu dłoń.

– To miło, włącz – wyszeptalem, kończąc śniadanie.

Gdy tylko wyszliśmy na klatkę schodową, mogliśmy rozmawiać normalnym głosem.

– Co tam wczoraj? – spytałem.

– Darek pytał mnie o was. Czy pamiętacie jeszcze o istnieniu takiej instytucji jak szkoła.

– Szkoła? Hmm... Kiedyś chyba słyszałem o czymś takim – roześmiałem się – Ale wolę siedzieć na słupie i mieć wszystko w... nosie.

– Siedzicie tam już trzeci dzień?

– Zobaczysz, spodoba ci się. Ale, co ja właściwie robię!? Wyciągam ciebie, posłusznego ucznia, wielbiciela matematyki na wagary! Zwariowałem!

– No, no, tylko nie posłusznego! Jeszcze w życiu nikt mnie posłusznym nie nazwał! To obelga, gorsza nawet niż wielbiciel matematyki!

– Spokojnie, żartowałem – roześmiałem się, widząc ten bunt.

Przez resztę drogi opowiadałem Duszykowi o słupach, ognisku i całej reszcie, lekko koloryzując nasze przygody.

– Tylko pamiętaj, jakby co, to byłeś chory i pod żadnym pozorem nie byliśmy nigdzie razem.

– No jasne. Zresztą, o mnie się nie martw.

Często przed wagarami, na które szliśmy we trójkę, należało się zabezpieczyć. Nauczyciele nie mieli złudzeń, że dopadła nas grupowa choroba. Zarzekaliśmy się więc, że w razie ujawnienia naszych wagarów będziemy siedzieć cicho, tłumacząc ewentualnie, że nic nie wiemy o nieobecności innych, a że mieliśmy do siebie zaufanie, takie zapewnienia podnosiły nas na duchu.

Było za pięć ósma, Koreń siedział na pustaku pod Naszym Drzewem od dobrych kilku minut. Zdziwił się nieco, zobaczywszy ze mną Duszyka, ucieszył się jednak i zajął się rozmową z nim. Tym razem poruszali temat zakresu działania klimatyzacji w BMW serii 5.

Z ulicy Rzecznej nie było dziś widać Wisłoki, woda opadła płynąc teraz swoim normalnym korytem. Ciągle była wściekle mętna i brunatna, ale jakoś inaczej...

Weszliśmy na wał i po chwili minęliśmy Tameę. Dwóch Przemków cały czas ze sobą rozmawiało, ja wtrącałem się tylko czasem. Pomimo pełnego zimowego stroju marzliśmy straszliwie. Było zimno, dużo zimniej niż dzień wcześniej i zupełnie inaczej niż pierwszego dnia. Wszystko pewnie za sprawą lodowatego wiatru, który dał momentami z siłą huraganu, przenosząc nad ziemią

suche liście i foliowe worki. Wszędzie pełno było folii, jakby ktoś specjalnie porozrzucił gdzieś nieopodal to świństwo, dla igraszki siłom natury.

Po wielkich jeziorach wody pozostała jedynie pokryta grząskim błotem łąka. Po niebie gnały błyskawicznie coraz ciemniejsze chmury, tak że ani skrawek błękitu nie przedostawał się przez ich grubą warstwę. Kiepska pogoda na wagary.

Zeszliśmy z wału i błotnistą ścieżką dotarliśmy na skraj lasu. Droga, którą szliśmy wczoraj, była pod wodą! Znowu wszystko wyglądało zupełnie inaczej i znów należało poszukać przeprawy. Suche przejście znaleźliśmy jeszcze dalej.

Wyszliśmy z lasu sto metrów od słupa. Nasyp i konstrukcję zasłaniało obumarłe drzewo (to, z którego wczoraj miałem przyjemność spaść, o czym zawczasu poinformował Duszyka Koreń) i dopiero, gdy przeszliśmy parę kroków, okolica zaprezentowała się nam w całej okazałości.

Duszykowi wyraźnie się tu spodobało. Przyspieszył kroku, nie mówiąc ani słowa. W trójkę wspięliśmy się na nasyp.

– Widzisz te podpisy na przęsłach? – spytał Koreń pokazując na żółtą rurę przebiegającą ponad korytem rzeki – Tam doszliśmy, a dziś pójdziemy jeszcze dalej!

– Tylko tam? – spytał Duszyk – Durex, mówiłeś, że przechodzicie na drugą stronę?

– Eeeetam, żartowałem trochę... – zawstydzilem się. Rzeczywiście, niepotrzebnie lubilem ubarwiać swoje opowiadania.

– Nieźle żeście to spisali – rzekł z podziwem Duszyk, rozglądając się dookoła. W którą stronę się nie spojrzano, widać było napisy *Durex & Koreń*.

– Dzięki. Po dzisiejszym dniu będzie jeszcze więcej.

– No jasne! Nie ma tu ani jednego Duszyka!

– No to łap korektor i zmień to! – powiedział Koreń, rzucając mu mazaka.

Postanowiliśmy pokazać Duszykowi, jak chodzi się po linach. Wspięliśmy się na słup i rozpoczęliśmy powolną wędrówkę. Szło nam dość sprawnie, choć pogoda do takich rzeczy była gorzej niż beznadziejna. Bardzo silny wiatr miotał konstrukcją na lewo i pra-

wo, lodowata rura parzyła nam ręce. Nie mieliśmy nawet ogniska, żeby się ogrzać. Mimo to jednak posuwaliśmy się do przodu, nie przejmując się specjalnie zimmem i odmrożeniami dłoni. Mieliśmy przecież widownię!

Po chwili byliśmy przy piątym przęśle. Woda znacznie opadła i w tej chwili pod nami znajdował się dopiero błotnisty brzeg, dół wypełniony rzeczny mulem na głębokość dwóch metrów. Ładnie wyglądałibyśmy, gdybyśmy teraz tam wpadli.

– Idę dalej... – powiedziałem stojącemu na linie po drugiej stronie rury Koreniowi.

– Rób jak chcesz, ja wracam. Zimno tu jak cholera.

Powoli dotarłem do szóstego przęśla. Poda mną płynęła w najlepsze Wisłoka. Stałem na grubej stalowej linie, kurczowo trzymając się gołą dłonią lodowato zimnej rury.

– Idę dalej! – krzyknąłem do Korenia, który zeskakiwał właśnie na nasyp. Postanowiłem pobić dziś rekord i trochę zrehabilitować się za naciąganie mojej historii. Wprawdzie przejście na drugi brzeg wydawało się niemożliwością, jednak dojść gdzieś do dziesiątego...

Był mróz i w skutek praw fizyki lina była bardziej naprężona niż przed dwoma dniami. Przy siódmym przęśle stałem jeszcze prawie zupełnie normalnie. Poda mną brunatna woda, ja na linie.

– Wracaj, Durex, nie wygłupiaj się! – usłyszałem Korenia.

– Spoko, jest dobrze! – odkrzyknąłem.

– Wprawdzie Duszyk umie pływać, ale nie chce mu się, bo zimno jak cholera!

– Jak wpadnę, to nie będzie szans na wyłowienie! – spojrzałem z respektem na masy wody, przepływające z dużą prędkością dziewięć metrów poda mną. Prąd doniósłby mnie spokojnie nad Tamę, ale do tego czasu już dawno zdążyłbym się utopić lub zamarznąć... Słowo się jednak rzekło – ruszyłem dalej.

Dochodziłem już do połowy, pomiędzy ósmym, a dziewiątym przęsłem, gdy nagle lina gwałtownie cofnęła się, uciekła mi spod nóg i...

...nie, nie spadłem, na szczęście, najmocniej jak się dało chwyciłem dłońmi lodowatą rurę z gazem – ostatnią w tym momencie

deskę ratunku. Prawą nogę wciąż trzymając na linie, stałem wyciągnięty na całą długość ciała, balansując nad przepaścią. Lodowato zimny wiatr bawił się moim ciałem, próbując zepchnąć mnie w dół, rura parzyła. Serce podskoczyło mi do gardła, a adrenalina zaczęła płynąć zwartą lawiną, podsuwając przed oczy różne makabryczne wizje. Wszystko, byle tylko nie spaść!

Gdyby stało się to kilka metrów dalej, z pewnością nie starczyłoby mi ciała i runąłbym do spienionej rzeki. Strach pomyśleć, byłem prawie nad samym środkiem nurtu, w najgłębszym miejscu kryjącym mnie kilkukrotnie.

Przez chwilę stałem nieruchomo, głęboko oddychając, z całych sił ściskając parzącą dłoń rurę.

– Durex, wracaj! – krzyczał Koreń – Nie musisz nikomu nic udowadniać, wiemy na co cię stać!

W dupie mam udowadnianie wam czegokolwiek! – chciałem krzyknąć, wciąż jednak oddychałem zbyt szybko i wszystkie myśli skupiałem na utrzymaniu równowagi. Po przygodzie z pociągami sprzed kilku miesięcy postanowiłem nikomu nigdy więcej nic nie udowadniać. Wystarczy, że sam znam swoje psychiczne i fizyczne możliwości.

Powoli zacząłem się wycofywać. Słup był coraz bliżej. Przy piątym prześle odetchnąłem z ulgą, co najmniej jakbym znalazł się w domu, przy kominku, którego nigdy nie miałem.

Gdy wreszcie usiadłem na słupie, długo jeszcze byłem pod wrażeniem tego, co się stało. Przelotnie spojrzałem na swoje dłonie. Były sine.

– O kurwa! – wrzasnąłem – Odmroziłem sobie łapska!

– Pokaż – rzekł Koreń.

Podstawiłem mu dłonie przed nos.

– O kurwa! Ale fioletowe! Musisz je jakoś rozgrzać, inaczej ci amputują.

– Ale jak?

– Mają tam taki specjalny nóż chirurgiczny, z ząbkami... Mama mi mówiła...

– Nie, jak amputują, ofermo, tylko jak je rozgrzać?! Nie mamy dziś ogniska ani zapalek, a zimno tu jak diabli...

– Spróbuj trzeć o spodnie. Może się uda... A jak nie to do szpitala i...

Dostał za to w ucho. Zacząłem energicznie trzeć dłońmi o dzin-sy. Przynosiło to jednak marne efekty – dłonie niewiele się roz-grzały, za to zaczęły niemiłosiernie piec. Wsadziłem je więc do kieszeni spodni, gdzie po dłuższej chwili wróciły jakoś do siebie.

Później nauczyliśmy chodzić po linach Duszyka, jednak chłopa-k bał się iść dalej niż trzecie przęsło. Mnie bolały ręce, siedzia-łem więc tylko i słuchałem, jak Koreń bezskutecznie namawia go do dalszej drogi, grając mu na ambicji.

– Daj se, Koreń, spokój, bo chłopak spadnie, zabije się i będzie, że to przez ciebie... – nie wytrzymałem w końcu – W gazetach napiszą: „zły wpływ kolegów” a ty do końca życia będziesz miał wyrzuty sumienia.

Koreń dał za wygraną. Usiedliśmy w kątach słupa i wyjeliśmy korektory. Zaczęliśmy się podpisywać, każdy w swoim kącie. Ja i Koreń mieliśmy kąty po stronie Wisłoki, Duszyk od strony lasu. Jeden kąt pozostawał wolny. Powstawały rysunki i wierszyki. Po-zostawialiśmy po sobie prawdziwą pamiątkę. Słup wzbogacił się o kilka standardowych rymowanek Duszyka, m.in. *Idź na frytki chuju brzydki* oraz *Murarz, tynkarz, akrobata, co spierdoli to za-łata*. Pod tym hasłem, nabazgranym na poziomej belce, podpisali-śmy się całą trójką.

Siedzieliśmy więc sobie w swoich kątach, omiatani lodowatym, zachodnim wiatrem, z sinoszarym niebem nad głowami, patrząc na swoje podpisy i rysunki – symbole naszej wolności, która z każdą sekundą przemijała, stawała się wciąż wyraźnym, lecz nieuniknie-nie coraz blebszym, dalszym wspomnieniem.

Ktoś mądry powiedział: „Życie – znaczy umieć zapominać”. Pięk-nie, tylko, że zapominanie wcale nie jest rzeczą prostą, zwłaszcza gdy natarczywie tęsknimy do tego, co było... Ale nikt nie mówił, że będzie łatwo...

Po raz pierwszy od trzech dni czułem dziwny smutek, jakbym naprawdę na zawsze żegnał się z tym miejscem. A przecież pla-nowaliśmy tu wrócić jeszcze jutro, pojutrze, kiedyś... Chyba pod-

świadomie wiedziałem, że na wagarach pojawiłem się tu po raz ostatni, długo bowiem oglądałem się za siebie.

Szliśmy waleń we trójkę, niewiele rozmawiając. Wiatr i tak tłumił wszelkie nasze słowa, a na wale byliśmy narażeni na jego bezustanne działanie. Była dopiero dwunasta, ale chciałem z Koreniem zajrzeć jeszcze w parę miejsc, kupić może coś do modeli.

Nie wiem dziś jak, ale dotarliśmy do *Pasażu*. Zupełnie nie pamiętam tej drogi, choć od Słupów na osiedle musieliśmy przecież przejść przez całe miasto. Po niebie przetaczały się coraz ciemniejsze chmury, zbliżał się jakiś opad, ale raczej był jeszcze daleko. Wiatr niósł dookoła worki foliowe, porwane ze śmietników gazety, reklamy marketów, nadgniłe liście.

Pod Pasażem rozstaliśmy się z Duszykiem. Nie interesowały go sklepy modelarskie, w których ja z Koreniem mogliśmy przesiadywać godzinami. Wolał zająć się remontem silnika swojego *Rometa Ogara*. Wszedłem z Koreniem na Pasaż, zwiedziliśmy sklep na drugim piętrze, później zaś wróciliśmy na rynek, do Bambi i do księgarni Dębickich oraz na koniec do Domu Rzemiosła. W sumie zaliczyliśmy wszystkie sklepy, gdzie tylko sprzedawano modele. Orientowaliśmy się w nowościach, czasem coś kupiliśmy. Była to nasza standardowa trasa, wielokrotnie przemierzana w tamtych czasach. Rozstaliśmy się około czternastej.

Przyszedłem do domu tylko na chwilę. Zostawiłem plecak i poszedłem do często odwiedzanej Hurtowni na Starówce. Chciałem zapytać o jakiś brystol na plastykę (wymysł naszego nauczyciela) i może przy okazji kupić jakiś model.

Na placu przed Hurtownią stały olbrzymie szare kałuże...

Wracałem do domu roztrzęsiony. Tabuny myśli krążyły mi po głowie. Zaczął padać zimny deszcz. Zaślepiiony strachem i lodowatymi kroplami, minąłem szybko park obok poczty. Sine niebo pękło w końcu, uwalniając z siebie całą kumulowaną od dawna złość. Lało. Wydawało mi się, że prześladowają mnie dziwne głosy, zza każdego drzewa każdy mój ruch obserwowały straszne, pełne wyrzutu oczy...

Przemoczony wpadłem do klatki schodowej i po chwili zniknąłem za drzwiami mieszkania. W domu był ojciec, wrócił przed chwilą z pracy.

Zamknąłem się w swoim pokoju i usiadłem na wersalce. Po chwili powieki zaczęły mi ciążyć. Spojrzałem na zegarek – było dziesięć po trzeciej, gdy w mokrym ubraniu padłem wyczerpany na łóżko.

Zasnąłem.

Jeśli miałem sen, to pewnie był on bardzo krótki i do tego koszmarny. Nie wiem zresztą, czy w ogóle spałem, przez zamknięte drzwi słyszałem dokładnie każdy hałas w domu. Ojciec jak zwykle oglądał telewizję, matka właśnie wchodziła do mieszkania...

VI

W moim pokoju otwierają się drzwi. Wchodzi matka.

– Wstawaj! – krzyczy od progu – Nie będziesz mi tu spał! Ani udawał!

Przetarłem oczy. Co jej się stało?

– Ja cię zaraz postawię na nogi, smarkaczu jeden!

– Co się stało? – spytałem niemile zaskoczony tym nietypowym powitaniem.

– Co się stało? – spytał ojciec, wychodząc z dużego pokoju.

– Co się stało?! Co się stało?! – krzyczała czerwona z wściekłości matka, ledwo łapiąc powietrze – Czy wiesz, że on od trzech dni nie był w szkole!?

– Co? – spytałem przerażony. Od razu spostrzegłem, że wie, nie wiedziałem tylko skąd... Może z jakiegoś niepewnego źródła? Zawsze na początku lepiej udawać głupka...

– Ty dobrze wiesz co, gówniarzu jeden! Będzie mi tu udawał głupka, że o niczym nie wie!

A więc wie jednak. Wie na pewno. Do tego mnie przejrzała.

– Jak to? – spytał jeszcze spokojnie ojciec. Informacje zwykle dochodziły do niego bardzo powoli.

– Na wagarach jest! Od trzech dni!

– Co ty mówisz?!

– Jak, co mówię!? Dobrze mówię! Gówniarz od trzech dni nie był w szkole!

– Skąd wiesz? – spytał ojciec. Ciągle miał nadzieję, że się przesłyszał.

– Dzwonili do mnie do pracy ze szkoły! On, Korzeniowski i Duszny! Nie było ich dziś w szkole i wcześniej też!

Więc był telefon... Koszmar stawał się rzeczywistością. Nie ma więc już sensu dłużej brnąć w kłamstwa. Pozostawało tylko wyjście awaryjne. Samemu pograć się, ale nie wydać kolegów. Zaryzykowałem.

– To Przemków też nie było w szkole?

– Jak to też?! Przecież dobrze wiesz! Razem zwaliście na wagary! I to przez trzy dni! Dzwonią do mnie dzisiaj ze szkoły i pytają się: Co z tym Piotrkim? Chory czy co, bo od ferii nie ma go w szkole i wszyscy się martwimy. A ja zgłupiałam i nie wiedziałam, co powiedzieć! Wszyscy obok; koleżanki, kierownik. Jaki wstyd! Pytam w końcu, czy to nie żadna pomyłka, bo ty musisz być przecież w szkole! A oni, że nie pomyłka, że nie ma ciebie, Korzeniowskiego i Dusznego! I to przy ludziach! Boże, co za wstyd!

– Jezus Maria! – ojciec powoli zaczynał rozumieć, co się stało. Wydał swój standardowy okrzyk, po którym rozległy się (również standardowe, ze względu na ograniczony zasób języka w chwili wzburzenia) dzikie wrzaski, lamenty, zawrodożenia, wycia, żale, załamania rąk, wyzwiska, podejrzenia. Nie będę ich tu przytaczać, bo nie ma to najmniejszego sensu. W pewnym momencie już się nawet brał do ściągania pasa, by włożyć mi tak jak kiedyś na gołą skórę, w porę jednak przywołałem go do porządku.

– Pamiętaj! Nigdy więcej!... Możesz na mnie krzyczeć, wyzywać, wyganiać z domu – tylko uważaj, aby nie skutecznie – ale od tego – wara!

– Nie będziesz mnie, gnoju, uczył! – wrzasnął, ale zapiął od nowa pas.

Siedziałem na wersalce w swoim pokoju. Za oknem padał deszcz, przechodzący stopniowo w śnieg. Nie zaświeciłem świa-

tła, choć na dworze zaczynało się ściemniać. Siedziałem więc w półmroku, z nogami założonymi pod brodę.

Po kilkunastu minutach przywykłem do wrzasków. Już ich nie słyszałem, wpadały mi do głowy jednym uchem, układały się gdzieś w środku w dziwną, nieharmonijną muzykę i wylatywały drugim uchem na zewnątrz. Było mi już obojętne, jaki neologizm i odpowiedni do niego epitet wymyśli ojciec w celu określenia mojej osoby. Wiedziałem, że w gruncie rzeczy nie wydziedzicza mnie z rodziny, nie nazywa na poważnie wyrodnym, kurzym wypierdkiem, gówniarzem, śmieciem, gnojem. Jeśli wyrzuca mnie słowami na zbity pysk pod most, naprawdę wcale tak nie myśli. Po prostu zaślepiła go wściekłość, prześpi się z tym i może nawet będzie żałował tych słów. Oczywiście nigdy nie powie „przepraszam”, to byłoby dla niego zbyt trudne, ale mój ojciec miał jedną ważną zaletę: był szczerzy, nigdy nie kłamał, widać było po nim, gdy czuł się z czymś źle. Nie potrafił ukrywać emocji, męczył się nimi, choć nigdy o nich nie rozmawiał. Za jakieś dwa, trzy dni będzie dla mnie szalenie dobry, by tylko wynagrodzić mi dzisiejsze słowa.

Nie kłóciłem się z nimi, nie przedstawiałem swoich racji. Po prostu zamknąłem się w sobie. Stałem się głuchy na zewnętrzny świat. Nie było tutaj sensu walczyć, ani przekonywać ich, że kilka dni wagarów to nie koniec świata. Oni myślą inaczej i chcą to wykrzyzczyć. Lepiej zwiesić głowę, udać pokorę i wysłuchać, co mają do powiedzenia. Pozwolić im się wyszumieć, a gdy pierwsza fala przejdzie, sami dojdą do wniosku, że niepotrzebnie strzępili gardło. Wtedy będzie można z nimi nawet ostrożnie porozmawiać.

Krzyki trwały jakieś czterdzieści siedem minut (z zegarkiem w rękę), a potem kazano mi iść do Marty Majak – koleżanki z klasy i strasznej kujonki, mieszkającej klatkę dalej, po zeszyty, by odpisać zaległe lekcje. Po wagarach nigdy bym nie odpisał i nic by się nie stało, ale w zaistniałej sytuacji potulnie ubrałem się i wyszedłem.

Drzwi otworzyła mama Marty.

– Dzień dobry, Piotrek – odpowiedziała na moje powitanie – Wejdz, Marta się uczy.

No jasne! – pomyślałem – Co by mogła innego robić?

Wszedłem do pokoju Marty, zastawionego w całości książkami. Prawie same encyklopedie i atlasy! Po co jej tyle tego?

Nad jedną z encyklopedii siedziała Marta. W okularach do czytania na nosie, uważnie studiowała jakiś, matematyczny chyba, wykres.

– Cześć – powiedziałem.

– Cześć – odparła, nie odrywając oczu od książki – Siadaj.

A więc są jeszcze ludzie, którzy lubią się uczyć! To dobrze – pomyślałem po chwili – Może właśnie przez takie osoby, ten kraj nie zejdzie całkiem na psy?...

Zrobiłem sobie miejsce na piętrowym łóżku, oczyszczając wcześniej materac z segregatorów *Wielkiej Encyklopedii Świata Wiedzy*.

– Przyszedłem po zeszyty – zacząłem nieśmiało – Nie było mnie kilka dni...

– Zaraz, tylko skończę ten wykres – odparła.

Po kilku minutach odetchnęła z ulgą, odłożyła książkę i podniosła na mnie wzrok.

– Co się z tobą działo? – spytała.

– Nic strasznego... Chory byłem. Zwicznęłem nogę podczas ferii, na nartach w Alpach Szwajcarskich. W Baden–Baden, kojarzysz?

– Aha – pokiwała ze zrozumieniem głową. Nie wiedziałem czy uwierzyła, czy było to kiwnięcie w stylu „chłopak ma gorączkę i bredzi” – I przychodzisz do mnie po zeszyty? Rzadko to robiłeś w ostatnich latach...

– Tak się jakoś układało. Wiesz, jestem pilnym uczniem i staram się nie mieć zaległości...

– Jasne! – uśmiechnęła się. W tę brednię to już by nikt nie uwierzył – Z czego chcesz te zeszyty?

– No, to co było z trzech ostatnich dni... Tylko odpiszę i ci odniosę.

– No, za pół godziny mają być z powrotem. Muszę jeszcze napisać dwa zadania i powtórzyć do kartkówki za tydzień.

– Uczysz się do kartkówki tydzień na przód? – jej pilność mnie przerażała.

– Jasne. Tak jest prościej! Potem przed sprawdzianem wiem, że wszystko umiem i mogę pozwolić sobie na relaks.

Nieraz widziałem ten jej relaks przed sprawdzianami. Pod ścianą z zatkanymi uszami i z zeszytem w ręce do ostatniej sekundy! Wolę inne formy relaksu.

Wziąłem zeszyty, podziękowałem i wyszedłem do przedpokoju. Coś mi jednak nie pasowało:

– Zaraz, zaraz... a matma? – spytałem, nie widząc zeszytu z tego genialnego przedmiotu.

– Nie dam ci na razie, żeby było ciekawiej.

– Żeby było ciekawiej? Wiesz co?

– Nie no, sorry, ale właśnie narysowałam wykres, muszę jeszcze zrobić pewne obliczenia. Pani Kolek zadała zadanie na szóstkę! Idź do Gośki.

– W porządku – odparłem, nawet zadowolony, że mam wymówkę, by na razie nie wracać do domu – Do zobaczenia za godzinę!

– Pół godziny, Piotrek. Tylko nie później! Muszę się jeszcze uczyć. Cześć.

Powoli podreptałem do Gośki, mieszkającej w ostatniej klatce. Nie chciałem do niej iść, jeszcze niedawno nie zrobiłbym tego za nic na świecie, ale teraz było mi właściwie wszystko jedno. Gośka nie odzywała się do mnie, odkąd wyszło na jaw, że to my wycięliśmy jej numer z tymi jesiennymi wagarami. Miała ponoć niezłą burzę w domu...

– Cześć, Gośka – powiedziałem ponuro, gdy otwarła mi drzwi.

– No proszę! Cześć wagarowicz! – odparła, w swym kobiecym mniemaniu, bardzo ironicznie.

– Potrzebuję zeszyt do matmy – rzekłem wprost, chcąc uniknąć konfliktów.

– Ale narozrabialiście! Ho ho!

– Eeee tam... Chory byłem.

– Jasne! Chory! Na lenia! Co ty mi tu głodne kawałki wciskasz! Na wagary się chodzi, to teraz masz!

– Droga Gosiu, wybacz, ale nie będę z tobą rozmawiać na tematy, o których nie masz zielonego pojęcia. Nic nie wiesz o wagarach, więc nie obrażaj tej szlachetnej instytucji.

- Wagary? Szlachetnej? Ty chyba masz coś z głową!
- Z dupą! – rozzłościłem się.
- Z dupą to zawsze miałaś – podsumowała – A teraz przychodzisz po zeszyty?
- Jak widać. A ty właściwie to skąd wiesz o wszystkim? Bo Marta myśli, że zwichnąłem nogę na nartach w Szwajcarii – uśmiechnąłem się.
- Jasne! Moja mama rozmawiała z twoją po pracy. Ja mówię mamie wszystko, co się dzieje w szkole, a o was była dzisiaj straszna afera!
- Jaka afera? – zaciekawilem się – Bo mama powiedziała, że dzwoniли za mną do niej do pracy...
- No jasne, że dzwoniли! Dziś na WOS-ie Stasia bardzo się wami zainteresowała. Powiedziała, że rozmawiała z panem Dolo-tem i szukała telefonów kontaktowych do waszych rodziców, bo stwierdziła, że musi was sprowadzić ze złej drogi.
- A więc do mojej mamy dzwoniła sama dyrektorka?!
- Pewnie tak. Przegięliście trochę. Trzy dni! Całą trójką! Przecież nikt nie jest głupi, wszyscy wiedzą, że jak was razem nie ma, to chorzy nie jesteście...
- Planowaliśmy cały tydzień. A co na to Darek?
- Jaki Darek?
- No, pan Dolot, mówił coś?
- Mówił i to dużo, ale co ja ci będę powtarzać! Dowiesz się jutro. Oczywiście idziesz do szkoły?
- A jak myślisz?
- Idziesz.
- To dobrze myślisz... Nie pasuje mi tylko, skąd Stasia wzięła numer do pracy mojej mamy? Nikomu go nie podawałem, w książce telefonicznej nie idzie znaleźć, zakład lotniczy jest przecież ogromny...
- Ja podałam – uśmiechnęła się skromnie.
- Ty?! – byłem w szoku. Szczęka opadła mi na zawiasach do samego dywanu – Jakim prawem?! Skąd?!
- Moja mama ma zapisany numer do twojej. Wystarczył jeden telefon i...

– Ty! – brakło mi słów. Przyszedłem tu po zeszyt i nie chciałem jej raczej zbytnio obrażać, zwłaszcza, że matka Goški słuchała wszystkiego z pokoju obok – Co za tupet! Jakim prawem?!

– A jakim prawem ty zadzwoniłeś w listopadzie do mojej siostry, mówiąc, że mnie nie ma w szkole, chociaż nigdy na wagarach w życiu nie byłam!? – kontratakowała Goška, wyrzucając z siebie słowa jak serię pocisków, jednym tchem.

– Gosiu, to stara sprawa, ale dziś... Jak mogłaś? Tak szczerze... Gdzie przyzwoitość? – spytałem spokojnie, łapiąc głęboki oddech i licząc do dziesięciu.

– Ho, ho! – zaśmiała się – Ty mi mówisz o przyzwoitości? Ty?!

– Tak, ja... – opadły mi ręce. Po prostu padłem ofiarą zwykłej ludzkiej zemsty. Nie powinienem być nawet na nią zły, w końcu to ja rozpocząłem te przepychanki. Normalny człowiek w mej sytuacji pewnie szukałby odwetu, zemścił się znowu na niej za to, że ona zemściła się na mnie, potem znów ona itd. Krąg zemsty bez końca. To nie było jednak w moim stylu. Musiałem przerwać to ledwie zamknięte koło. Postanowiłem zabić ją obojętnością.

– To dasz mi tę matkę? – spytałem.

– A dam! – i rzuciła mi zeszyt jak psu.

– Dziękuję – wycedziłem – Oddam za pół godziny. Cześć.

– Zaczekaj! – powstrzymała moją rękę szukającą klamki – Powiedz mi jeszcze, warto chociaż było? No wiesz... te wagary? – ostatnie pytanie zadała szeptem, najciszej, jak tylko się da; w jej oczach ujrzałem coś dziwnego.

– Czy warto? – odpowiedziałem słowami Lechonia – Ach, śmieszne pytanie! Wiesz co? Pójdź kiedyś, to pogadamy. Nie żałuję niczego – odparłem i wyszedłem na klatkę.

– Dziwny jesteś... Cześć.

– Cześć.

Po powrocie do domu przywitały mnie okrzyki pt. „A co tak długo?!”. Wytłumaczyłem się i potulnie usiadłem za biurkiem. Burzę należało przeczekać.

Wziąłem pierwszy zeszyt. Historia. Nie było tego dużo, jedna, dość krótka, w stylu Darka, notatka. Niestety, nawet lekcji nie mogłem przepisać...

– Ty gnoju, jak mogłeś nam to zrobić!? – do pokoju wbiegł ojciec, głośno lamentując.

– Daj mu przez chwilę spokój – za ojcem wbiegła matka – Niech odpisze lekcje i pogadacie.

– Czemu nam to robisz?! Na złość? My cię tak kochamy, a ty nam wbijaszą nóż w serce! – zawodził tata.

Tego tekstu o nożu nienawidziłem najbardziej. Wzbudzał moje poczucie winy i sprawiał, że czułem się naprawdę podłe. Jak jakiś morderca, czy coś... A teraz nie chciałem się tak czuć. Przecież to tylko kilka dni wagarów!

Zresztą, jak oni mogą nawet pomyśleć, że chodzę na wagary na złość komukolwiek. Takiego powodu wagarowania to nawet panowie psychologowie nie wymyślili! Okap również spaliłem im na złość, z domu uciekłem też tylko dlatego. Co za bzdura, bzdura, bzdura!

Gdy skończyłem przepisywać zeszyty i pooddawałem je właścicielkom, zebrała się narada domowa, swoisty sąd nade mną. Trwał długo, padło wówczas kilka nieprzyjemnych słów. Nie widzę sensu opisywać tego tutaj. W każdym razie burza trochę oddalała się, choć miała mieć dość smutne dla mnie skutki.

Oczywiście nie zdołano wymusić na mnie przyrzeczenia, że już nigdy więcej nie pójdę na wagary, choć proszono, wrzeszczano, nie uległem. Wiązałoby się to z wyparciem się samego siebie, wszystkich ideałów i poglądów, w które wówczas święcie wierzyłem. Zaraz po odmowie przyrzeczenia, rodzice i siostra zaczęli na wyścigi licytować się pomysłami, jak uniemożliwić mi opuszczanie lekcji. Niektóre z tych koncepcji były bardzo drastyczne. Mogłem mieć solidne kłopoty...

Był też moment zabawny: rodzice z łatwością uwierzyli, że to były moje pierwsze w życiu wagary! Niektórzy ludzie wierzą w to, w co chcą w danym momencie uwierzyć. Moim rodzicom do głowy by nie przyszło, że mogłem bezkarnie, systematycznie wagarować już trzeci rok. I całe szczęście!

W pewnym momencie naradę przerwał telefon. Dzwonił Koreń.

Niestety, odebrał mój ojciec.

– Dzień dobry, czy jest Piotrek?

– Dla ciebie nie ma, gówniarzu! – wrzasnął tata.

– Przepraszam, o co chodzi? Pan mnie obraża.

– Ja ci dam obraża! Co chciałeś od Piotrka?!

– Nic, chciałem się go zapytać, czy jutro idzie do szkoły.

– Idzie! I ty też, gnoju, pójdziesz! Gdzieście byli na wagarach?!

– My? Na wagarach? Na jakich wagarach? Ja byłem w szkole.

– W dupie nie w szkole! – wrzasnął ojciec, aż zatrząsły się szyby. Właśnie ten bojowy okrzyk z dupą w tle zapamiętałem najbardziej – Daj mi swojego ojca!

– Nie ma go.

– No to matkę!

– Nie ma jej.

– Ja ci dam nie ma!

Koreń odłożył słuchawkę. Też bym tak pewnie zrobił, gdyby jakiś facet wyzywał mnie od gówniarzy przez telefon. Ojciec wrócił do pokoju jeszcze bardziej zdenerwowany i rozmowa przez chwilę nie mogła być kontynuowana.

Cały czas próbowano wyciągnąć ze mnie informacje, jak to z tymi wagarami było naprawdę, gdzie byliśmy, co się wówczas działo. Milczałem jak grób. Miałem im opowiadać o Słupach? O byciu ponad tym? I tak nic by z tego nie zrozumieli...

Cały czas upierałem się: byłem sam. Oni i tak wiedzieli swoje.

Po dwudziestej ojciec zadzwonił do Darka. Nie mam pojęcia po co, ale zadzwonił. Tym razem zachowywał się bardzo kulturalnie, aż go nie poznawałem. Sprawa została wyjaśniona i przygotowany został grunt do jutrzejszego przyjscia do szkoły.

Postanowiłem wcześniej pójść do łóżka. Nie po to aby spać, ale żeby wszystko przemyśleć bez wrzasków nad uchem.

Byłem w solidnym dołku. Pierwsze wagary, które wyszły na światło dzienne i od razu trzy dni. Jak pech to pech. Trochę przeciągnęliśmy strunę, to prawda... Teraz zakazy, nakazy, represje, przykręcanie śruby... A do tego jeszcze ta sprawa z... Jutro trzeba będzie wszystko odkręcać, chodzić, na pokaz przeproszać... Nieważne, nie myśl o tym, co będzie jutro. Ważne jest TERAZ.

A teraz leżysz w łóżku, dom pogrążył się przed chwilą we śnie. Tylko z pokoju rodziców, dochodzi cichy odgłos rozmowy. O czym? Pewnie o mnie. Ciekawe.

Śpij, wszystko nieważne... – myślałem.

Czekałem na sen, który jak na złość nie chciał przyjść. Wstałem dziś wprawdzie wcześniej niż zwykle, byłem bardzo zmęczony, bolały mnie uszy od słuchania wrzasków i wymówek. Jednak nie spałem, leżałem i myślałem o wszystkim.

Jutro ojciec wybiera się do szkoły na rozmowę z Darkiem. Specjalnie weźmie sobie urlop. Nie wiem po co... Muszą tak wszystko rozdmuchiwać? Wreszcie jakiś rodzic stawi się w szkole, nie tylko na wywiadówkę. Darek już wszystko wie, Stasia...

Nieważne.

Mówią, że stracili do mnie zaufanie, że już mi nigdy nie uwierzą. Mówili to już wiele razy... Właściwie nic nowego, jednak boli. Jakie zaufanie?! Oni ci nigdy nie ufali, choć zawsze wymagali od ciebie dorosłości i odpowiedzialnych decyzji! Kim dla nich jestem? Dzieckiem czy dorosłym? Czemu wyżywają się na mnie jakbym był dzieckiem, a oczekują ode mnie dorosłości? Wszystko subiektywnie, jak im w danym momencie wygodniej... Mama mówiła, że jeden dzień wagarów jeszcze by zrozumiała, ale trzech dni nie jest w stanie pojąć. To dla niej cios...

A tygodnia? Przecież mieliśmy iść na Słupy jeszcze jutro, pojutrze. Nie pójdziemy.

Nieważne.

Ciekawe, co powiedzą jutro Koreń i Duszyk. Pewnie myślą, że to wszystko z mojej winy, że to ja ich sypnąłem. Brednie, tylko jak im to udowodnię? Jak udowodnię im, że moja mama dostała telefon od Stasi, od Stasi, która tego numeru nie miała przecież prawa mieć! Gośka, zemsta...

Nieważne!

Sen przyszedł około trzeciej nad ranem. Nie przyniósł ulgi. Śniłem, że zapadam się w czarną otchłań bez dna. Czarna maź powoli oblepia mnie całego, próbuje wdrzeć się do ust, do nosa i oczu. Pustka, próżnia bez tlenu, bez powietrza, bez Boga, a na całym świecie tylko ja, dół z czarnym błotem, drzewo rosnące na krawędzi dołu dokładnie nade mną. Chcę chwycić się jego gałęzi i wydostać z pułapki, wyrwać swoje ciało z otchłani czarnej pleśni, jednak za każdym razem, gdy tylko wyciągam rękę i już, już zdawałoby się, dosięgam najniższej gałęzi, drzewo odchyła się w przeciwną stronę, jakby odciągane nieznaną i wrogą siłą, a ja zapadam się coraz bardziej... Czarna maź ma smak i zapach krwi, jednak jest od niej gęstsza, ciemniejsza i mniej przezroczysta. Po chwili pogrąża mnie w całości. Już nie oddycham, nie myślę, nie żyję...

– Wstawaj natychmiast! Jak pomyślę, że przez te trzy dni budziłam cię do szkoły, a ty szedłeś gdzie indziej, jestem przerażona! Co z ciebie wyrośnie!? – takimi słowami zostałem obudzony o szóstej dwadzieścia.

– Pewnie nic... Dzień dobry – odpowiedziałem, mrużąc oczy od światła nocnej lampki. Za oknem mrok jak w środku nocy. Całe niebo zasnuły czarne, deszczowe chmury, słońce, nawet jeśli gdzieś tam już wstało, to nie miało ochoty nam się pokazywać. Straszna pogoda.

Postanowiłem przed rodzicami udawać skłóconego z Korenkiem. Przez kilka dni będę z siebie robił nawróconego grzesznika, nie pójdę na żadne wagar, będę spokojny. W końcu sprawa przyschnie...

Duszyk nie przyszedł po mnie jak zwykle rano. Nie dziwię mu się, też pewnie bym nie przyszedł. Czy w ogóle będzie chciał ze mną gadać? Przyszedł po mnie wczoraj i co? Dostało mu się za trzy dni wagarów. A teraz prostuj wszystko – machnąłem ręką zrezygnowany. Chwyciłem plecak i poszedłem do szkoły. Tym razem naprawdę do szkoły. Dziwne.

VII

Lało.

Nie wzięłam parasola, gdyż nie uznawałem takich urządzeń. Jak już leje, to po to, by ludzie mokli! – myślałem – Wszelka ochrona przed deszczem to oszukiwanie natury. Po co przeciwstawiać się naturalnemu porządkowi rzeczy?

Patrzyłem na wystraszone pogodą mamusie, odprowadzające pod grzybami parasoli pod drzwi szkoły swoje pociechy. Nie wiedzieć czemu, miłość rodzicielska wydała mi się czymś niezwykle śmiesznym. Ciekawe, jak długo wytrzymają wam te dzieci pod waszymi ochronnymi parasolami... Prędzej czy później każdy zerwie się spod skrzydeł rodziców, pójdzie przed siebie, wyznaczając niby własną drogę. Często usłyszysz, że zawiódł czyjeś zaufanie, czasem musi spalić za sobą mosty. Oj, dzieci, cieszcie się światem i życiem. Cieszcie się, póki jeszcze możecie. Wasze dzieciństwo przemija, dni są policzone, z każdą straconą sekundą bliżej wam tylko do samodzielności, po której punkt następny: starość i śmierć.

W zasadzie dobrze, że nie poszliśmy dzisiaj na wagary – pomyślałem – w domu nie moglibyśmy zostać, nie siedzielibyśmy też raczej na Słupach podczas ulewy. Coś by się wprawdzie wymyśliło, a tak. Życie rozwiązało sytuację na swój własny groteskowy sposób.

Deszcz powoli przemieniał się w śnieg. Było zimno, przeraźliwie zimno i mokro. Niebo pokryte ołowianymi chmurami, smutek, złość, bezsilność i deszcz.

W szatni zastałem tylko Pawła Kaługę. Dobry był z niego kolega.

– O! Przyszedł sławny Durex! – zawołał na mój widok.

– Cześć – uśmiechnąłem się – Czemu sławny?

– Nawet bardzo sławny! Ty i Koreń staliście się od wczoraj bardzo popularni. Stasia zrobiła aferę na całą szkołę o te wasze wagary, wszyscy mówią tylko o tym! Staliście się symbolem wy-

zwolenia młodzieży z więzów systemu edukacji! – wyrecytował
– Brawo!

– Czemu od rana drwisz ze mnie?

– Serio! Ile zamieszania wczoraj przez was było! Stasia z Darkiem szukali numeru do pracy twoich rodziców, podawali komunikat radiowęzłem nawet, wszystko...

– I znaleźli. U Gośki Chodor – przerwałem – Dlatego tu dzisiaj jestem, a o dziesiątej przychodzi mój ojciec gadać z Darkiem. Wszystko skończone...

– Ojciec? Po chuj?

– Nie mam pojęcia. Rozdmuchują sprawę nie wiadomo po co.

– Przejebane?

– Eeetam... – machnąłem ręką lekceważąco.

Doszliśmy pod salę biologiczną. Przywitały mnie pełne entuzjazmu okrzyki. Do dziś nie wiem, czy miały oznaczać radość, ulgę, czy szyderstwo. Tak, wreszcie podwinęła mi się noga, cieszcie się! Jeszcze pokażę, na co mnie stać! – pomyślałem.

Przywitał mnie również Koreń:

– Cześć kablarzu – powiedział.

Byłem na to gotowy:

– Nie wiem, jak ty, ale ja nie wybieram się na elektryka i raczej kablarzem nie będę.

– Tak? To skąd...

– Zamknij się i pozwól wyjaśnić – przerwałem brutalnie – Poza tym mamy poważniejsze problemy na głowie.

– Jakie?

Wzięłem go na stronę i powiadomiłem o wszystkim. Przejął się nieco, ale nie okazał tego po sobie.

– Łatwo przyszło, łatwo poszło – wzruszył ramionami – Sprawę trzeba załagodzić i tyle!

– Czyli dziś po szkole?

– Tak.

Rozmowa na boku przy kaloryferze nie wystarczyła nam jednak. Przeszliśmy się kawałek po szkole, rozważając na zimno całą sytuację. Zauważyłem, że niemal wszystkie oczy były skierowane na nas. Zewsząd pokazywano nas sobie palcami i szeptano po ką-

tach. A przecież Dziewiątka to duża szkoła! Teraz raptem okazało się, że wszyscy nas tu znają i mówią o naszych przedłużonych o trzy dni feriach. Też sobie znaleźli sensację! Kolejny skandal w murach tej szkoły, o którym najpóźniej za tydzień zapomną, wystarczy, że napada więcej śniegu. Z czarnych chmur za oknem leciało właśnie coś na kształt tego białego syfu.

Ledwie usiedliśmy w ławkach, pani Pabierz zwróciła na nas uwagę:

– Jesteście już! Jak tam wagary?

– Nie byliśmy na wagarach – odparłem.

– Ha, ha, ha! – zaśmiała się głośno i serdecznie – Przecież ja dobrze wiem!

– A skąd? – spytałem zaciekawiony.

– Przecież od dwóch dni to temat numer jeden w pokoju nauczycielskim! Mało było wam ferii?

– To już nauczyciele nie mają o czym rozmawiać? – spytał Koreń.

– A mają, mają, ale wasza ucieczka jest najciekawsza!

– Przecież nikt nie może nam zarzucić wagarów! Mogę przynieść usprawiedliwienie – powiedziałem.

– Mnie tam wasze usprawiedliwienia i tak nie przekonają. Mów co chcesz, wagarowiczu!

Biologia zleciała szybko. Inni nauczyciele nie zadawali pytań, ale z ich min i uśmiezków było widać, że o wszystkim słyszeli. Nie rozumiałem: w szkole jest wielka masa uczniów, co kogo obchodzą nasze trzydniowe wagary? Po co tak rozdmuchiwać to wszystko?

Wreszcie na czwartej lekcji, *nota bene* znowu matematyce, zostaliśmy wezwani do Darka. Niewielka dziewczynka z czwartej klasy przyprowadziła nas posłusznie pod salę sto sześc.

Żeby nie gorszyć dzieci, Darek wyszedł do nas na korytarz.

– Dobra, stawać pod ścianą! – zakomenderował. W sytuacji, w jakiej się znalazł, musiał zgrywać twardziela.

Ustawiliśmy się jak straceńcy przy murze.

– Kto to wymyślił? – spytał.

Milczeliśmy. Pytanie było dziwne i wydało nam się niezrozumiałe. Przecież nikt nie wymyślał tych wagarów. Niby ja i Koreń razem, ale wyszło jakoś tak... samo.

– No, pytam się, kto to zorganizował?

Znowu nic. Minuta męczącej ciszy, po czym znowu:

– No, kto?!

Nic. Przez chwilę to już nawet chciałem się przyznać. W końcu byłem najbardziej winny. Najwięcej cierpiał przez nas Duszyk i należało go jakoś wybronić. Nie zdążyłem się jednak odezwać.

– No, jak widzę, nie ma winnego – rzekł w końcu, po kolejnej minucie Darek – Tak myślałem... Ale nigdy nie uwierzę, byście tak sami z siebie, osobno, wszyscy przez trzy dni zwiewali mi z lekcji.

– Ale nikt tego nie zorganizował... – zaczął Koreń – Sami poszliśmy...

– Któryś na pewno to wymyślił – upierał się Darek.

– Ja – powiedziałem w końcu, bo już zaczynało mnie to nudzić.

– Co? Ty? – spytał Darek.

– Nie, nic – odparłem, poczułem bowiem lekki ból w prawej stopie, przygnięcionej momentalnie butem przez Korenia.

– No to co wyskakujesz! Twój ojciec już tu był!

– Tak? – spytałem nieco zaskoczony. Ojciec przyszedł tylko na rozmowę do Darka? Nawet mnie nie odwiedził... – Porozmawiał pan z nim?

– A jasne!

– Przy kolacji i świecach?

– Zaraz odechce ci się bezczelności! Masz obniżone zachowanie. Cała trójka zresztą też!

– Przepraszam, ale nie może nam pan tego zrobić! – przerwał mu Koreń, udając zatroskanie.

– A to niby dlaczego?!

– Bo my, gdzieś od grudnia, już mamy naganne.

Darka zatkało.

– To nic nie znaczy! – krzyknął po chwili – Każdy z was dostaje po minus sześćdziesiąt punktów w zeszytach uwag. Dwadzieścia za każdy dzień!

– Ale ja byłem tylko wczoraj! – bronił się Duszyk.

– To nic! Masz minus dwadzieścia. I waszych rodziców widzę w szkole! – zwrócił się do Duszyka i Korenia – Więc nie dowiem się, kto to wymyślił?!

Czułem się trochę głupio, jakbym przez tę wizytę mego ojca w szkole zostawił przyjaciół na pastwę losu. Darek uznał, że ze mną sprawa została już załatwiona, teraz zwracał się tylko do nich. Chciałem jednak wspomóc jakoś kumpli w cierpieniu.

– Nie dowie się pan, bo nikt tego nie wymyślił – powiedziałem.

– Mniejsza więc o to. Konsekwencje muszą być wyciągnięte!

– To niech pan wyciąga i da nam wreszcie spokój. Dość mamy w domu – powiedział Duszyk.

– Więc dobrze. Do klasy! – zakończył Darek – I rodzice do końca tygodnia w szkole!

– Jasne.

Wróciliśmy na matematykę. Punktualnie.

Niestety okazało się, że Koreń ciągle obwinia mnie o ujawnienie tych wagarów. Tego samego dnia, na lekcji języka polskiego, nasza ukochana pani Kuner opowiedziała nam historię, jak to niesłusznie została przez jakiegoś chłopaka z ósmej „b” nazwana konfidentką. Koreń podłapał nowe słówko i teraz, zamiast kablarza, co chwilę raczył mnie mianem konfidenta. Wreszcie jednak znudziło mu się. Wytłumaczyłem mu raz, w jaki sposób wszystko wyszło na jaw, i nie miałem zamiaru się powtarzać. Jeśli jest moim przyjacielem, to powinien mi zaufać. Jaki miałbym cel w informowaniu rodziców o wagarach? Totalna bzdura.

Burza powoli cichła, tylko jeszcze gdzieś w dali błyskało światło błyskawic i słychać było przytłumione mruczenie gromów. Rodzice całą swoją energię zużyli widocznie już wczoraj. Przy obiedzie poziom natężenia głosów oscylował w granicach normy.

Niestety natychmiast pojawił się kolejny, poważny problem.

W porównaniu z ujawnieniem wagarów wydawał się mały i nieistotny, dla mnie jednak był wówczas niezwykle poważną sprawą.

Zbliżały się walentynki.

Już wtedy czułem, że nienawidzę tego święta. Był to dla mnie niemal najgłupszy dzień w roku, symbol olbrzymiej naiwności polskiego społeczeństwa.

Nie wiem, czemu Polacy zawsze próbują wprowadzać u siebie wzorce z zachodu. Gdzie indziej może byłoby to dobre i przyjęłoby się, w Polsce jednak od zawsze panował tak specyficzny, prześląknięty wschodem klimat, tak orgiastyczne pragnienie tego, co zachodnie, że każda zachłanna próba przeniesienia obcego wzorca na nasze podwórko wywołuje po prostu komiczny efekt. Ogromnie to widać właśnie w walentynki.

Do dziś aż mnie skręca, jak widzę te wszystkie kartki, słodkie ciastka, infantylne pierdółki, czerwone majtki, róże sprzedawane nawet na stoiskach z kiełbasą, repertuary kin ze łzawymi komediami romantycznymi sprzed lat, na które ciągną swoich menów piękne dziewczynki, by potem pozwolić sobie ukradkiem skraść całusa. Wreszcie to wszechobecne na billboardach, w gazetach i reklamówkach telewizyjnych, przesłodzone do wyrzygania „Kocham Cię!”. Zawsze w takich wypadkach przypomina mi się dowcip, zasłyszany gdzieś w czwartej klasie:

Przychodzi facet do burdelu strasznie napalony. Dostłownie nosi go i nie wie, co ma ze sobą zrobić, w pobliżu nie ma niestety żadnej szarlotki na ciepło, ani nic. Wchodzi więc do burdelu, ale tam okazuje się, że dysponuje jedynie kwotą 10 zł. Mówi więc do burdelmamy:

– Muszę dupczyć!

– Proszę bardzo, tu ma pan cennik. Mamy na stanie blondynki, brunetki, rude...

Facet patrzy na cennik, ale każda kobieta przekracza jego limit gotówkowy.

– Ale ja mam tylko dziesięć złotych... – mówi po chwili, zrezygnowany.

– *No cash, no sex!* – odpowiada burdelmama (w ramach do-kształcania za pieniądze z funduszków Unii Europejskiej wystano ją niedawno na kurs językowy).

– *Ale ja muszę!*

– *No, za dziesięć złotych to może być jedynie pan Mietek, nasz palacz z kotłowni...*

– *Może być! Biore!* – wykrzyknął desperat. Po czym zapłacił, zeszedł do kotłowni, patrzy, a tam, rozwalony w fotelu siedzi pan Mietek, z nieodłączną puszką piwa „Mocne” w ręce, tłusty, łysy, przepity, w niegdyś białym, dziś brudnym i przepoconym, siatkowym podkoszulku.

Facet popatrzył, skrzywił się, ale popęd był na tyle duży, że przemógł wstręt. Zaczyna dobierać się do pana Mietka, z lewej, z prawej, ale pan Mietek siedzi i kręci tylko głową z dezaprobatą.

– *No, może by pan jakoś pomógł!* – mówi w końcu facet.

– *Kocham cię!* – burknął Mietek.

Dla mnie słowo „kocham” wypowiedane przez dzieciaki w walentynki, niczym nie różni się od tego wypowiedzianego przez pana Mietka z kawału. Jedno i drugie nic nie znaczy i jest tylko słówkiem, mającym ułatwić napalonemu nastolatowi drogę do serca (czyt. tyłka) dziewczyny. Jeżeli ktoś kocha, nie potrzebuje walentynek, by to okazać, powtarza to słowo nie raz do roku, bo tak trzeba, lecz zasypia z nim na ustach, o niczym innym nie myśli, jest w stanie dla drugiej osoby zrobić wszystko, czuje, że nigdy jej nie zostawi. Na tym polega miłość, a nie na czerwonych różach, lizaniu się pod latarniami czy macaniu w kinie na walentynkowym seansie.

Cóż jednak zrobić, skoro dziewczynki lubią te klimaty? Myślą, że najłatwiej wyrazić uczucia w walentynki, oczekują, że wybraniek ich serca, akurat wtedy właśnie będzie z nią, spędzi romantyczny wieczór, powie kilka miłych słów. Na dziewczyny działa atmosfera tego komercyjnego, zachodniego śmiecia.

Na Wiktorię na pewno też...

I znowu miałem dylemat. Nie miałem pewności, czy Koreń dalej planuje z nią chodzić, czy zabierze ją do tego kina, na kolacje,

obsypie różami. Jeśli tak, to jestem skończony i muszę zapomnieć, jeśli jednak udało mi się zmienić jego myślenie, droga do Wiktorii ciągle pozostaje wolna... Tylko jak to sprawdzić? Jakoś bałem się podejść do Korenia i zapytać go prosto z mostu. Postanowiłem działać sam.

Na początku należało porozmawiać z Wiktorią. Do walentynek pozostało dwa dni – był piątek, a to dziwne „święto” wypadło wówczas w poniedziałek – gdy szczęśliwym trafem okazja sama wpadła mi w ręce.

Lekcje skończyliśmy stosunkowo wcześniej. Od kilku dni na polu zalegała niewielka warstwa śniegu. Poszedłem do szatni po kurtkę, ubrałem buty, zarzuciłem plecak na jedno ramię i ruszyłem korytarzem do wyjścia.

Korytarz jest długi, wyłożony czerwoną posadzką. Jest to główna „promenada” Dziewiątki, na jednym końcu zwieńczona stołówką i gabinetem Stasi, po drugiej stronie rozgałęziająca się na dwa inne korytarze, sklepik i zejścia do szatni.

Lubiłem tędy chodzić, zwłaszcza w takich chwilach jak teraz. Było już po dzwonku, dookoła było niemal zupełnie pusto.

Kilka kroków przede mną szła dziewczyna. Trochę niższa ode mnie, z długimi rozpuszczonymi blond włosami. Nad jej głową, rozświetlona wewnętrznym, odbitym od leżącego na parapetach śniegu, blaskiem, jaśniała srebrna aureola... Jej biodra kołysały się rytmicznie na boki, opięte czarnymi, dresowymi spodniami. Wydała mi się dziwnie znajoma. Zrównałem się z nią i odwróciłem głowę. Wiktoria.

– Cześć – powiedziałem.

– Cześć – odparła, posyłając mi jeden z zestawu swoich zniewalających uśmiechów.

– Już po lekcjach?

– No. Pozdrowiłeś Przemka ode mnie? – zawsze mi o tym przypominała. Kazała go pozdrawiać za każdym spotkaniem. Oczywiście nigdy nie przekazywałem tych pozdrowień. Odparłem jednak:

– Jasne.

– Coś mu powiedział?

– No... że go pozdrawiasz...

– Dobrze.

– Ale wiesz co? Stawiasz mnie w trochę głupiej sytuacji. To dla mnie trudne, przekazywać pozdrowienia dla najlepszego kumpla od dziewczyny, która sama cholernie mi się podoba.

– Podobam ci się? – spytała, uśmiechając się, tym razem kokieteryjnie.

– Tak... – odparłem zmieszany.

Otworzyłem przed nią drzwi szkoły. Od razu owionął nas zimny wiatr. Podziękowała i poszliśmy dalej, w stronę jej domu.

– Mogę wziąć twój plecak? – spytałem po chwili. Jak zwykle przy niej, ja, Durex, odczytany erudyta, zapomniałem języka w gębie.

– Po co?

– Pewnie ciężki. Z przyjemnością poniosę go kawałek za ciebie.

– Nie trzeba. Tam prawie nic nie ma – odparła skromnie, ale mimo wszystko podała mi swoją torbę. Była prawie pusta, wyciągnięta ręka uciekła mi do góry.

– Co ty tam masz?

– Chyba jeden zeszyt, do wszystkiego. Po co mi więcej?

– No, fakt... Daleko mieszkasz?

– Daleko? Dwa bloki dalej – powiedziała, a ja pomyślałem, że jednak trochę wyszedłem na idiotę z tym plecakiem.

– Ty przepisałaś się do nas z innej szkoły, tak? – spytałem.

– Nie. Chodzę do Dziewiątki od początku.

– Od pierwszej klasy?

– No.

– Bujasz.

– Nie bujam.

– Przecież wiem, że bujasz – odparłem – Chodzę do Dziewiątki ósmy rok i dopiero teraz cię zauważyłem. A przecież wcześniej nie byłem ślepy i nie przegapiłbym dziewczyny takiej jak ty.

– Chyba jednak przegapiłeś, bo ja serio chodzę tu od początku. Dlaczego wy mi nie wierzycie? Przemek mówił to samo co ty!

– Może i tak... Wierzę ci, tylko nie mieści mi się w głowie, jak mogłem nie zauważyć cię wcześniej.

– Trochę się zmieniłam.

– Pewnie tak. Muszę przyznać, że jesteś w szóstej klasie, ale prawdziwa z ciebie kobieta. Może myślisz, że nakręcam starą płytę, ale właściwie wszystko mi się w tobie podoba; figura, twarz, włosy i oczy... Właśnie! Popatrz na mnie!

Odwróciła w moją stronę swoją piękną twarz.

– Masz takie zajebiste niebieskie oczy. No i ten blask bijący od ciebie...

Kurwa, jak taki tekst mógł mi w ogóle przejść przez gardło!?

– Przestań, zawstydzasz mnie!

– Nie, mówię serio! Czemu ty jesteś taka...

– Jaka?

– No, piękna i w ogóle. Pewnie masz chłopaków na pęczki, co?

– A żebyś wiedział! – machnęła ręką – Same kłopoty przez to. Ale z tymi komplementami to przesadziłeś.

– Nie wydaje mi się.

– Nie jestem taka naj. Jest wiele ładniejszych dziewczyn ode mnie.

– Tak? Nie znam żadnej. Musisz mi pokazać.

– O! Choćby tamta! – wskazała na idącą nieopodal chodnikiem jakąś kobietkę. Była wysoka, miała zgrabne nogi i długie ciemne włosy, z opadającą na czoło grzywką. Ładna. Nie miała jednak tego cudownego blasku, tej aureoli, która sprawiała, że Wiktoria była właśnie taka wyjątkowa. Dokonałem szybkiej oceny.

– Do pięt ci nie dorasta – stwierdziłem pewnym głosem.

– Dzięki – widać było, że mimo wszystko na taką odpowiedź właśnie liczyła – Ale przecież jestem za gruba!

– W którym miejscu? Na uszach?

– W ogóle, na brzuchu, udach...

– Co ty chrzaniisz! Wiktoria, jak jeszcze zaraz powiesz, że masz krótkie nogi i krzywą szczękę, to normalnie w łeb dostaniesz! Cała męska część szkoły zabija się o ciebie, wielu oddałoby wszystko,

by się z tobą umówić, czy odprowadzić cię do domu, a ty masz kompleksy?! Chyba spadłaś z roweru!

– Nie mam rowera... – powiedziała po chwili.

Widać było, że moja przemowa zrobiła na niej wrażenie. Tymczasem milczałem, bo zdałem sobie sprawę, że to właśnie ja odprowadzam ją dzisiaj do domu! Niesamowite...

Właściwie, to już dawno doszliśmy. Staliśmy teraz naprzeciw siebie, pod jej klatką, i najnormalniej na świecie gadaliśmy.

– To praktycznie, jak ja... Mam w sumie stary składak, dużo na nim jeżdżę, ale wyglądam na nim jak na hulajnodze. Od lat męczę rodziców, żeby mi kupili rower górski, kiedyś składałem nawet na niego pieniądze, ale w końcu poszły na inny cel – może, gdyby nie moja ucieczka z domu, jeździłbym już na jakimś „góralu” *made in Tesco*? – A na rodziców nie mam co liczyć... Od nich nigdy roweru nie dostanę. Nie stać ich.

– Ja mam niby „górala”, ale to właściwie jest mojego brata i wcale na nim nie jeżdżę – powiedziała.

– A jak ci się tu na Drzewieckiego mieszka? – spytałem, zmieniając temat. Rozpaczliwie pragnąłem podtrzymać rozmowę, nawet za cenę gadania totalnych głupstw.

– Fajnie, tylko trochę tu ciasno. Wszyscy się tu znają. Taki zamknięty świat. Kiedyś na wakacjach spałam tu z chłopakiem!

– Co?! – o mało nie zakrztusiłem się śliną, tak mnie zaskoczyła tą bezpruderyjnością.

– Rozłożyliśmy namiot pod blokiem, no i spałam w nim z chłopakiem.

– No... fajnie...

– Ale nic żeśmy jeszcze nie robili! Po prostu spaliśmy. I stara mnie woła z okna: Wiktoria, chodź na kolację! Ja, taka czerwona, krzyczę, że zaraz, a ona: Wiki, co się tam tak rusza koło ciebie? Z kim ty tam śpisz?

– I co?

– No to ja krzyczę do starej, że z psem – zaczęła się śmiać, a ja razem z nią. Po prostu nie wypadało pozostać ponurym – Na to stara, że przecież pies z ojcem poszedł na spacer! No to ja mówię,

że wrócił i śpi tu ze mną... – mówiąc to, cały czas się śmiała – Na to stara: ty, a co ten pies tak się rusza?!

– A ty co?

– A ja na to, że głodny jest!

– Głodny?!

– No! A stara na to, że jak jest głodny, to żebym go do domu odesłała.

– I co?

– I nic. Schowała się do kuchni.

Śmiała się z tej historii jeszcze z dziesięć minut, a ja, chcąc nie chcąc, wtórowałem jej. Takie już są dziewczyny. Każda w gruncie rzeczy ma w sobie coś z gęsi. Trzeba pozwolić im się porządnie wygęgać, wyśmiać, trzeba wysłuchać, a wtedy będą ci za to wdzięczne. Z Wiktoria było tak samo.

Wkrótce jednak rozmowa wróciła na normalne tory.

– Co robisz w walentynki? – spytałem, a pytanie to, będące właściwie głównym celem tej rozmowy, zabrzmiało na szczęście swobodnie i naturalnie. Mogłem być z siebie dumny.

– Jeszcze nie wiem. Czekam, może mnie ktoś zaprosi... – odparła uśmiechając się, znowu nieco kokieteryjnie – Może Przemek...

– Mówił ci coś o walentynkach?

– Nie, a miał coś powiedzieć? – nagle zrobiła się bardziej czujna i niby przypadkiem, zbliżyła się do mnie o krok.

– Nie, nic. Ale raczej bym na niego nie liczył. On nie lubi walentynek.

– Skąd wiesz?

– Rozmawiam z nim. Zaproszenie dziewczyny gdzieś na walentynki stoi w sprzeczności z jego zasadami.

– Z jakimi zasadami?

– Taki już jest ten nasz Koreń – westchnąłem – Ale na pewno znajdzie się ktoś, kto cię zaprosi. Co roku gdzieś chodzisz?

– No. Od dwóch lat – przyznała nieskromnie.

– Więc i teraz gdzieś na pewno pójdziesz. Spokojna głowa. Chciałbym, żeby już było lato – zmieniłem temat. Dowiedziałem się wszystkiego, co chciałem.

– Ja też – westchnęła – Pojechałabym sobie znowu nad morze...

– Byłaś nad morzem? Gdzie?

– W Łebie. Wspaniałe wakacje... – przez kilka minut opowiadała mi przebieg swojej kolonii.

Pochodziła z biednego domu, wyjazd sponsorowało jej państwo. Słuchałem chciwie jej historii o złotym piasku na plaży i wyobrażałem sobie morze... Potężne, granatowe, nigdy nie widziane na oczy – A ty, jak spędziłeś wakacje? – spytała na zakończenie.

– Ja? W różnych dziwnych miejscach... szkoda nawet gadać – odparłem – Ale nad morzem nigdy nie byłem, choć bardzo bym chciał kiedyś pojechać. Co chcesz robić kiedyś w życiu? – spytałem.

– Ja? Wiesz... dziwny jesteś.

– Nie pierwszy raz to słyszę. Jak na to wpadłaś?

– Nikt mnie o to jeszcze nie pytał. Nie wiem. Pewnie skończę szkołę i pójdę do zawodówki fryzjerskiej.

– Zostaniesz fryzjerką?

– Tak. A ty?

– Raczej nie – roześmialiśmy się – Nie wiem. Może zostanę pilotem, albo prawnikiem. Umówiliśmy się z Przemkiem, że on zostanie architektem, a ja prawnikiem i jeśli zawali się zaprojektowany przez niego budynek, będę go bronić w sądzie po znajomości.

– To zajebiście. Ja się nie chcę już uczyć i mam wszystko w dupie – przyznała z rozbijającą szczerością.

– Czemu? Co ty masz za oceny? – spytałem z ciekawości.

– Oceny jak oceny. Na razie mam dwa zagrożenia. Nie, sorry! Trzy!

– To nieźle. Z czego?

– Matma, fizyka, geografia.

– Nic się nie uczysz?

– A po co? Myślę o czymś innym na lekcjach. A zresztą, to nie tylko o naukę chodzi...

– A o co?

– O węgry. Strasznie tu tępią węgry.

– Nie zauważyłem – odparłem skromnie, oglądając paznokcie.

- Bo masz fajnego wychowawcę. A Czuchra to straszna jędra, o każdą nieobecność od razu dzwoni do domu i robi kłopoty!
- Nie wytrzymałbym z taką wychowawczynią.
- No, żebyś wiedział! Strasznie upierdliwa kobieta. Ma za dużo wolnego czasu. Czepia się mnie, że wagaruję, nie uczę się, podrywam chłopaków z ósmiej „c”...
- Żeby tylko – przerwałem.
- A żebyś wiedział! Interesuje mnie tylko wasza klasa.
- Z powodu Przemka?
- No!
- Tak ci się podoba?
- No!
- Nie liczylibym na twoim miejscu na niego. Fajny jest jako kumpel, ale on nie chce mieć dziewczyny.
- Trudno. Może zmieni zdanie... Masz zegarek?
- Za pięć trzecia.
- O! To my tak tu stoimy i gadamy już półtorej godziny?!
- Na to wygląda... Jakoś nie zauważyłem tego czasu, mógłbym z tobą gadać godzinami. Fantastyczna z ciebie dziewczyna.
- Dzięki – obdarzyła mnie najpiękniejszym ze swoich uśmiechów. Boże, od października o niczym innym nie marzyłem! – Przepraszam cię, Piotrek, fajnie się z tobą rozmawia, ale muszę już iść na obiad. Miałam być godzinę temu, strasznie się rozgadałam.
- Nic się nie stało. Było mi bardzo miło.
- Stara mnie zajebie, że się spóźniłam...
- Biorę całą winę na siebie.
- Jej to powiedz.
- Dobra – zrobiłem parę kroków w stronę klatki – Które piętro?
- Trzecie, ale... Nie!! Stój! Żartowałam! – krzyknęła, gdy już otwierałem drzwi na klatkę.
- Spoko, ja też.
- Zaśmialiśmy się.
- No to cześć! – powiedziała w końcu, wchodząc na schodki. Jak na faceta przystało, przytrzymałem jej drzwi.
- Cześć.

– Czekaj! – krzyknęła jeszcze, zatrzymując zatraskujące się drzwi – Pozdrów Przemka ode mnie!

– Znowu?

– Tak.

– Mówiłem ci, co o tym myślę...

– Dobra... I powiedz, że pozdrawia go dziewczyna, która go kocha!

Zemdliło mnie.

– Co?! – momentalnie wezbrała we mnie złość. Rzucił na nią urok czy jak? – Dobra – odparłem zdenerwowany, wiedząc, że tych pozdrowień nigdy Koreniowi nie przekażę – Pozdrowię na pewno!

– Okej, pamiętaj! To pa!

– Pa!

Drzwi klatki zamknęły się z lekkim hukiem. Zdenerwowała mnie tym ostatnim zdaniem. Czemu ona tak sobie nabiła głowę tym Koreniem. On nie jest jej wart!

Swoją drogą czułem, że Wiktoria to w gruncie rzeczy głupia koza, nie mam z nią wiele wspólnych tematów, a śmianie się z historii, w której spała w namiocie pod blokiem z jakimś chłopakiem udającym psa, może i ją śmieszy, mnie jakoś nie. Może znalazłyby się jakieś wspólne sprawy, wagary itp., ale czy ona wie, co naprawdę znaczy słowo wagary? Samo opuszczenie lekcji nie nazywa się przecież wagarami – myślałem.

W zasadzie można by w niej znaleźć również plusy. Nie ma jakiegoś wygórowanego zdania o sobie. Inne dziewczyny z jej urodą pyszniłyby się pewnie, kim to one nie są, tymczasem ona... ma kompleksy! Śmieszne i nieuzasadnione, ale to dobrze, że je ma. Zwykła koza – myślałem.

Czemu jednak stałem pod jej klatką, podtrzymując rosnącą obok cienką brzoźkę i gapiąc się pół godziny po rozstaniu w jej okna?

To wszystko jakieś chore! Kocham tę dziewczynę, ale dlaczego? Jak to się stało? Ja nie chcę jej kochać! Kto dał jej tę moc, ten blask przekłęty?! Czemu, mimo że wiem, że jest głupią kozą, tak potrafiła zawładnąć moim umysłem? Człowieku, co się z tobą dzieje?! Dlaczego?!

Przynajmniej dowiedziałem się, czego chciałem. Wiktoria na dwa dni przed walentynkami, nie ma pojęcia, czy Koreń coś dla niej szykuje, czy nie. Miejmy nadzieję, że nie.

W mojej głowie rodził się PLAN. Oczyma wyobraźni widziałem siebie, trzymającego ją za rękę w jakiejś ciemnej sali kinowej. Prawie czułem ciepło jej dłoni, płomienie jej wewnętrznego ognia rozpałały mnie stopniowo tak, że mimo zimnej, lutowej aury zrobiło mi się gorąco i przyjemnie. Ruszyłem w stronę domu.

Pod kioskiem Ruchu napatoczyłem się na Baškę Rogoż – koleżankę z klasy, jedną z tych nieciekawych, małych, szczerbatych dziewczynek, które dużo się uczą, ale im nie wychodzi.

– Ty dopiero ze szkoły? – spytała z uśmiechem na ustach.

– Tak wyszło. Odprowadzałem kogoś.

– Wiktorię Labochę! Eno, eno!

– Widziałaś?

– Wszyscy widzieli!

– I co z tego? – spytałem, wyraźnie już rozbawiony.

– Nic, gratulacje! – odparła, uśmiechając się i przechodząc przez ulicę.

A ja, nie wiem dlaczego, strasznie się ucieszyłem.

VIII

Weekend przed walentynkami był bardzo dziwny. W jednej chwili musiałem położyć na szali wszelkie moje uczucia. Po jednej stronie przyjaźń do Korenia i wszystko, co się z nią wiązało, po drugiej zaś uczucie do Wiktorii, którego nawet nie potrafiłem właściwie nazwać. Gdyby tak można było zachować przyjaźń Korenia, mając Wiktorię za dziewczynę, wszystko byłoby w porządku. Los chciał inaczej, wpychając tych dwoje na wspólną ścieżkę. Najlepiej byłoby się wprowadzić z tej ścieżki usunąć, wydawało mi się to jednak niemożliwe. Zabrałem za daleko. Co teraz zrobić? Z Koreniem łączyło mnie już tak wiele...

Z Wiktorią nie łączyło mnie jeszcze nic. Wydawało mi się, że ją kocham, nie obchodziły mnie negatywne opinie o niej, jej ponoć

łatwy charakter, czy pustka intelektualna. Dla mnie była piękną dziewczyną, na której widok cała męska część szkoły dostawała szału i przestawała myśleć. Po jednej stronie Koreń, który chce ją zabrać do kina i wydać dla niej sto złotych, i na którego pisze na ścianach, że go kocha, po drugiej stronie ja, ze znacznie szczuplejszym budżetem, na którego jeszcze nikt nigdzie tak nie pisał.

To było straszne, bo jeżeli Koreń chce zaprosić ją do kina i na kolację, a ja wejdę mu tego dnia w drogę, będzie zły. Prawdopodobnie stracę jego zaufanie już na zawsze. W imię czego? W imię miłości? Co to za miłość?! Czy to, co czuję do Wiktorii można w ogóle nazywać miłością? Czy warto dla jakiejś głupiej gęsi narażać na szwank prawdziwą męską solidarność, ukształtowaną na gruncie wspólnych wagarów, przekrętów, sklepaniu modeli, czy łażeniu po kanałach?

Stracę Korenia, ale będę miał dziewczynę. Czy będę miał dziewczynę? Przecież to, że sprzątnę Wiktorię Koreniowi sprzed nosa w walentynki, nie świadczy jeszcze o tym, że ona będzie od razu ze mną chodzić... Może zaproszę ją do tego cholernego kina, a ona będzie mi cały czas nawijać o psie w namiocie, lub, co gorsza, o nim?

Zdrowy rozsądek kazał mi odpuścić sobie całą tę sprawę. Zajmij się sobą – powtarzał – Poślij Wiktorii kartkę walentynkową, poślij też Uli (Martynie) i patrz, jak się wszystko ułoży.

Oprócz zdrowego rozsądku był jednak drugi głos. Idź za głosem serca – mówił – Olej wszystko, idź do Wiktorii, daj jej kwiatka i weź ją do kina. A potem... niech się dzieje co chce!

Oba te głosy nie mogły się ze sobą dogadać. Gdyby życie było kreskówką lub komiksem, pewnie byłyby to przedstawione jako dwie postaci siedzące mi na ramionach. Z lewej strony siedziałby diabełek i podpowiadał: „rzuć to wszystko, idź do Wiktorii”, po prawej zaś uśmiechnięty aniołek z twarzą trzyletniego dziecka, szeptałby: „odpuść sobie, zostaw ją Koreniowi”. W końcu diabełek wsadziłby aniołkowi widły w dupę, aniołek uciekłby obrażony, by po chwili powrócić i strzelić diabełką aureolą przez łeb. Konflikt toczyłby się przez cały weekend, aż w końcu rozbolałaby mnie

głowa i położyłbym się do łóżka, licząc, że wszystko samo się rozwiąże. W bajkach dobro zawsze zwycięża – odpuściłbym?

Żyjemy jednak w prawdziwym świecie, w świecie, w którym rządzi zło i to diabełki kierują ludźmi robiącymi największe kariery. Jaki byłby więc finał?

Postanowiłem iść do Wiktorii i zaprosić ją do kina. Na kolację wprawdzie nie będzie mnie już stać – kalkulowałem – ale na kino miałem akurat odłożoną kasę. Może nawet na jakąś różę wystarczy...

PLAN musiałem zrealizować dość wcześniej. Wyglądał on mniej więcej tak: Nie mam jak dowiedzieć się, czy Koreń zabiera Wiktorię do kina czy nie. Nie wnikając w to jednak, idę do Wiktorii w walentynki już po siedemnastej i biorę ją na spacer zakończony w kinie. Tematy do rozmowy zawsze się znajdują.

Seans w kinie zaczyna się o dziewiętnastej, jednak zabranie Wiktorii z domu o wcześniejszej godzinie jest konieczne, na wypadek, gdyby Koreń do niej przyszedł. Przemek zrobi to na pewno minimum o osiemnastej, a wówczas Wiktorii już w domu nie będzie! Będzie ze mną, a potem... wszystko jedno!

Biorę ją do kina, tam trzymam ją za rękę, a potem odprowadzam grzecznie, daję całusa, jeśli pozwoli, i... znikam.

Mam nadzieję, że Koreń jednak nie przyjdzie...

Wszystko i tak prędzej czy później się wyda, ale wtedy Wiktorii będzie już ze mną i zapomni o Przemku. Będzie pisać o mnie na tych pieprzonych ścianach! Co jak co, ale to wyznanie miłosne na ścianie szatni od października spędzało mi sen z powiek...

Czyżby więc „miłość” była silniejsza od męskiej przyjaźni? Raczej nie, to byłaby nadinterpretacja mojej decyzji. Po prostu byłem ryzykantem, liczyłem na to, że Koreń odpuści sobie chodzenie z Wiktorią i wszystko dobrze się ułoży. Ciągle istniała ewentualność, że uda mi się zachować przyjaciela, zyskując dziewczynę. Była na to jedna, niewielka szansa, jednak musiałem spróbować. Za nic nie chciałem stracić przyjaźni Korenia, stawałem jednak w obliczu uczucia, które w pewnym stopniu mnie przerastało, nie zezwalało na rozsądne myślenie. Muszę zaryzykować – myślałem

– a jeśli nie wyjdzie mi z Wiktorią, zawsze będzie czas na ewentualne prostowanie kiepskich decyzji i naprawę błędów.

Dzień przed walentynkami napisałem dwie kartki: Wiktorii i Uli. Trochę mdliło mnie na myśl, że właśnie piszę kartki walentynkowe, jednak jakoś wziąłem się w garść i udało się skleić dwa skromne, miłosne i bardzo infantylne wierszyki, których, z obawy przed kompromitacją, tutaj nie przytoczę.

Kartka dla Wiktorii przedstawiała głowę lwa z wielkimi, błyszczącymi krwawym blaskiem oczami i z rozdziawioną paszczą, w której lśnił komplet potężnych zębów. Napis brzmiał: „Szczeka mi opadła, gdy Ciebie ujrzałem, i tak mi już zostało, więc ratuj kochanie!”. Było to nawet zgodne z prawdą: gdy pierwszy raz zobaczyłem Wiktorię, rzeczywiście opadła mi szczeka. Poza tym wiedziałem, że ona dostanie więcej kartek, a ta moja nie była typową walentynką, nie było na niej żadnych serduszek czy infantylnych amorków. Wierszyk zawierał wprawdzie wyznanie miłosne, ale na prawdziwe wyznania będzie czas na spacerze i w kinie – myślałem. Kartkę podpisałem: „Dla najpiękniejszej dziewczyny na świecie – Twój wielbiciel”. Wieczór powinien załatwić resztę.

Walentynka dla Uli przedstawiała siedzące pod drzewem dwa małe, śliczne pieski. Napis na niej głosił: „Bądźmy zawsze razem”. Nie była to prawda, jedyną osobą, z którą chciałbym być, była Wiktoria, jednak była to jedyna walentynka, która wydała mi się nawet w jakimś stopniu pasować do sytuacji. Była neutralna, wierszyk, który na niej wypisałem, był wyzuty z wyznań czy propozycji. Było tam coś o brylancie, sercu i miłości, która może narodzić się powoli i być silna swoją siłą i tym podobne pierdoły. I podpis: „Uli P., która skradła moje serce” – co również nieco mijало się z prawdą, ta dziewczynka po prostu trochę mi się podobała. Jednak pomyślałem, że tak wypada napisać. Wiktoria była zbyt niepewną kartą, żeby wszystko na nią postawić.

Weekend skończył się nie wiadomo kiedy.

Chodziłem po szkole, nosząc w plecaku dwie walentynki i nie bardzo wiedząc, co z nimi zrobić. Na przerwach szukałem Wiktorii, ale jak już ją odnajdywałem (jakimś cudem zawsze wiedzia-

łem, gdzie ma lekcje), zawracałem w połowie drogi. Wydawało mi się, że nie można ot tak po prostu podejść i dać jej kartkę. Należało coś wykombinować...

O wiele łatwiej przedstawiała się sprawa z doręczeniem walentynki Uli. Na sali gimnastycznej odbywały się wybory miss szkoły. Niezbyt się nimi interesowałem...

Gusty nie podlegają dyskusji i każde wybory miss, to moim zdaniem konkurs opiewający przede wszystkim próżność i niemający najmniejszego sensu. Co może panience przyjść po tym, że zostanie przez kilku członków jury okrzyknięta najpiękniejszą? Podniesie jej się poczucie wartości, wzrośnie mniemanie o sobie i będzie chodzić jak paw, z nosem starannie zadartym do góry. Oczywiście o każdym chłopaku, zanim z nim porozmawia, najpierw pomyśli: czy on jest godny rozmowy ze mną – najpiękniejszą, a zanim z nim się umówi... Nic, tylko powinniśmy szydzić w żywe oczy z takich naiwnych dziewczynek. To całkowita brednia. Ktoś inny, kto stwierdzi, że miss wcale nie jest najpiękniejsza i tak nie uzna wyników tej farsy, a uroda i piękna figura również z czasem przemijają. Zostanie pustka w głowie, chora duma i bezzasadnie zawyżone poczucie własnej wartości.

Wiktoria nie kandydowała do tytułu miss szkoły, co tylko jeszcze bardziej wywyższyło ją w moich oczach. Siedziałem więc obojętnie na sali gimnastycznej, obserwując spacerujące po żałobnie zaimprovizowanym wybiegu szóstoklasistki. Dziewczyny z klas ósmych postanowiły na szczęście zbojkotować tę parodię paradii. Nie wystąpiła żadna.

W drzwiach sali gimnastycznej zauważyłem Ulę, stojącą jak zwykle w otoczeniu swych nieodłącznych koleżanek. Okazja wydawała się sama wpadać mi w ręce. Przywołałem do siebie Bartka Szyszkę, młodszego o dwa lata kolegę spod bloku, chodzącego z Ulą do klasy. Wyjąłem z plecaka jedną z kopert.

- Mam do ciebie prośbę – powiedziałem, podając mu walentynkę – Dasz to Uli, dobrze?
- Piechocie? – spytał zdziwiony.
- Tak, Piechocie.
- Zabujaleś się w niej!

– Nie twój zasmarkany interes. Zanieś jej to teraz, a spróbuj otworzyć i przeczytać, to pomaluję cię na zielono, wsadzę głowę w dół do doniczki i będziesz kwitł jak kwiatek!

– Okej, Durex, po co te nerwy?

– Dla ciebie pan Durex – poprawiłem dzieciaka – No, idź. Dzięki.

Bartek odszedł, przejęty swoją misją. Po chwili widziałem, jak z uroczystą miną wręczał walentynkę stojącej w drzwiach sali gimnastycznej Uli. Zaskoczona dziewczyna rozrywa kopertę, zdziwiona wyjmuje zawartość, czyta... Ucieszyła się, zarumieniła, po czym spokojnie schowała kartkę do kieszeni plecaka i dalej obserwowała wybory miss. Przesyłka doręczona. Pozostawała jeszcze Wiktoria.

Po parodii konkursu piękności mieliśmy normalne lekcje. Wy-rwałem się na chwilę z angielskiego, by nie słuchać paplaniny nauczycielki (angielski z Gawronową zawsze kończył się potwor-nym bólem głowy) i poszedłem sobie na spacer po szkole. Pod sekretariatem nadziałem się na... Wiktorię:

– Znowu czekasz na Stasię? – spytałem.

– Tak. Jest Przemek dzisiaj w szkole?

– Tak, a o co chodzi?

– Możesz go zapytać, czy przyjdzie... Albo... po prostu pozdrów go ode mnie, okej?

– Okej, zrobi się – skłamałem – Aha, mam coś dla ciebie – przypomniałem sobie o walentynce – Ale zostawiłem w klasie. Nie wiedziałem, że cię tu spotkam.

– Dla mnie? A co to takiego?

– Wygląda jak list albo walentynka, nie wiem. Dam ci później.

– A od kogo?

– Nie mogę powiedzieć. Dostaniesz, to się domyślisz.

– No powiedz... – poprosiła.

– Nie mogę. Obiecałem, że nie powiem.

– To nic. Nie powiem, że mi powiedziałeś.

– Wierzę ci, ale mimo tego, nie mogę nic powiedzieć.

– Aleś ty jest! – udała złość, a złościła się naprawdę pięknie – Bo przestanę cię lubić!

- A lubisz mnie? – uśmiechnąłem się.
- Lubię, ale przestanę, jak mi nie powiesz, od kogo.
- A bardzo lubisz?
- Bardzo, ale przestanę. Gadaj!

Ta odpowiedź mi się spodobała. Postanowiłem jednak drażnić się z nią dalej.

- Ale ty bezinteresowna jesteś – zakpiłem – A zgadnij!
- Ktoś z twojej klasy? – spytała.
- Tak – na to pytanie mogłem odpowiedzieć twierdząco.
- Przemek! – padła pierwsza, przepełniona radością

odpowiedź.

- Nie.

Ledwie widoczny cień smutku, przebiegł jak łusica po jej pięknej twarzy. Po chwili jednak znowu była pogodna.

– A więc Łukasz! Chociaż nie... Od niego chyba już dostałam w piątek przez pocztę. To Grzesiek!

- Nie.
- Przemek Duszny!
- Nie.
- Nemec?
- Nie! Skąd ty znasz Nemca? – spytałem zdziwiony.
- Znam wszystkich z twojej klasy.
- Skąd?

– Z widzenia. Macie wielu przystojnych chłopaków. Okej, więc Kaluga!

– Nie, i przestań się bawić w to zgadywanie, bo eliminujesz wszystkich po kolei, a ja i tak ci nie mogę powiedzieć.

- Nie musisz, już wiem.
- Ciekawe?
- To ty!
- Ja?
- Tak! Zgadłam?

- Nie mogę...
- No, przyznaj się!

– Niby do czego? Naprawdę – dostaniesz, to się domyślisz. A od kogo chciałabyś, żeby to było?

- Nie wiem... od Przemka.
- Czemu?
- Bo mi się podoba.
- To już wie cała szkoła. A co ci się w ogóle tak w nim podoba?
- Nic, śliczny jest!
- Śliczny!? – aż mnie zatkało – Może i śliczny... Ktoś jeszcze?
- Łukasz mi się podoba!
- Łukasz?
- Tak. Nawet bardziej od Przemka. Tylko nie mów mu tego!
- Ktoś jeszcze?
- Chyba nie...
- A ja ci się podobam?
- Hmm... Trochę...
- To miło.
- To kiedy mi dasz tę walentynkę?
- Znajdę cię na przerwie.
- Nie wiem czy mnie zastaniesz...
- Spokojna głowa, ja cię tu znajdę. Gdzie masz następną lekcję? – spytałem, choć na pamięć znałem jej rozkład zajęć.
- Plastykę ze Stryjkową, na górze.
- Gdzieś cię wypatrzę. Ciebie łatwo jest zauważyć. Wyróżniasz się.
- Tak? A czym?
- No, światłem, aureolą i w ogóle... – zacząłem się mieszać i pewnie nic z tego nie zrozumiała – Nieważne. Muszę wracać na lekcję. Pozdrowię Przemka od ciebie. Cześć.
- I spytaj go, czy... – urwała.
- Czy?
- Mniejsza z tym. Nieważne. Pa!
- Wróciłem na angielski.

Na przerwie jednak nie szukałem Wiktorii. Siedziałem jak zwykle z chłopakami w przejściu przed wyjściem ze szkoły. Gadaliśmy o wszystkim, głównie o walentynkach. Miałem nadzieję, że Koreń wygada się, czy idzie dziś z Wiktorią do tego kina, czy nie. Przemek jednak nie mówił nic, był za to radosny, skory do wygłupów,

jakby świat i walentynki nie miały dla niego większego znaczenia. A ja, jak zwykle, nie ośmieliłem się go zapytać...

Następną lekcją była matematyka. Nie mogłem jednak długo słuchać o trygonometrii. Zawsze na matematyce robiło mi się mdło. Schowałem do kieszeni kartkę dla Wiktorii, po czym spokojnie zapytałem o pozwolenie wyjścia do toalety.

Na korytarzu było ciepło i przytulnie. Ruszyłem schodami na górę. Zza drzwi sali plastycznej rozlegały się jakieś dziwne krzyki. Zapukałem i nacisnąłem klamkę. Strykowa darła się właśnie o coś na klasę:

– I jeśli dalej będziecie sobie tak bimbać ze wszystkiego, będziecie mieć zagrożenia z plastyki! Jak wam nie wstyd!

– Przepraszam... – wtrąciłem nieśmiało, stojąc w proggu.

– Czego!?! – nauczycielka obróciła na mnie rudą głowę – A, to ty wagarowicz?

– Tak. Ja tylko na chwilę. Mam przesyłkę.

– Dla kogo?

– Dla niej – powiedziałem i podszedłem do Wiktorii. Położyłem tuż przed nią na ławce walentynkę, ku uciesze rozbawionej gromadki szczeniaków, tworzących jej klasę. Pożegnałem panią Stryjek i wybiegłem z sali.

Na następnej przerwie dowiedziałem się, że Wiktoria mnie szuka. Ucieszyło mnie to, postanowiłem jednak nie wpadać w euforię i spokojnie wraz z resztą chłopaków spędzałem te kilka wolnych minut na kaloryferze w przejściu.

Wciąż przysłuchiwałem się rozmowom prowadzonym przez Korenia. Musi w końcu zdradzić coś ze swoich planów na wieczór. Nie powiedział nic. Chciałem nawet sam szukać Wiktorii, ale stwierdziłem, że jak dwie osoby naraz się szukają, zwykle błądzą wokół siebie, nie mogąc się odnaleźć. Lepiej jest się nie ruszać, siedzieć w miejscu. Siedziałem więc, czekając aż sama mnie znajdzie.

I znalazła. Nadeszła pod koniec przerwy, ubrana jak do wyjścia. Plastyka była jej ostatnią lekcją. Od razu podbiegł do niej Łukasz. Jeszcze jego tu brakowało! Niedługo z trójkąta zrobi się

czworokąt, chociaż zważywszy na wielość adoratorów Wiktorii, nigdy pewnie nie dowiem się, ile ta figura ma kątów.

Z Łukaszem wołałem nie rywalizować. Był najwyższym w klasie, szczupłym, ciemnowłosym chłopakiem, niegłupim, choć zarazem niebędącym jakimś geniuszem. Miał ogromne powodzenie u dziewczyn. Pewnie nie ma się czemu dziwić – przewyższał o głowę wszystkich w klasie. Do tego podobał się Wiktorii i wysłał jej walentynkę. A teraz podbiega do niej, szukającej mnie przecież, i odciąga ją za rękę na stronę! Łajdak!

– Piotrek, chodź tu na chwilę! – zawołała Wiktoria, wyrrywając się z uścisku Łukasza.

Podszedłem:

– I co, wiesz już od kogo to było? – spytałem.

– Od ciebie!

– Puść ją, Łukasz! Ode mnie? Może... Sprytna z ciebie dziewczyna.

Łukasz wciąż przysłuchiwał się naszej rozmowie.

– A czy to była prawda? – spytała Wiktoria

– Z czym?

– No wiesz, w tym wierszyku?

– A czemu miałbym ci pisać nieprawdę w walentynce?

– Dałeś mi do myślenia. To dobrze, dzięki. Pa!

– Pa.

Wiktoria wyszła ze szkoły. Łukasz i ja zawróciliśmy na kaloryfer.

Główny akt operacji „Wiktoria” miał się jednak rozegrać wieczorem. Grunt pod niego został przygotowany przez walentynkę. Teraz tylko kino. Nie myślałem już o niczym innym.

IX

Po południu, punktualnie o siedemnastej, zastukałem do mieszkania Wiktorii. Czuję się dziwnie, nigdy wcześniej tego nie robiłem i zżerała mnie ogromna trema. Ubrany w najlepszą bluzę w czarnym kolorze, w nowę, tzn. nie wytarte jeszcze tak bardzo

spodnie, z włosami w poetyckim nieładzie (zawsze, wbrew modzie, nienawidziłem żelu; prędzej ogoliłbym się na łyso niż wtarł coś sobie we włosy) oraz z nieodłączną czerwoną różą w ręce – znak mojego poniżenia i infantylności – bardzo oczekiwaną przez kobietki w dzień walentynek, stałem pod tymi drzwiami, raz po raz zerkając w dół schodów za siebie. Chciałem uciec, wycofać się, zmienić zdanie. Niestety już zapukałem.

Im dłużej nikt nie otwierał, tym czułem się gorzej. Ale byłby numer, gdyby za chwilę przyszedł Koreń i zastał mnie z tym cholernym kwiatkiem pod tymi cholernymi drzwiami – myślałem. Prawdopodobnie odszedłbym ze spuszczoną głową, uznając swoją porażkę.

Ale nie wolno ci teraz o tym myśleć! Masz być dumny i pewny siebie. Jesteś młody, niebrzydki, wysoki, wysportowany – masz wszelkie atuty i tak to ma właśnie teraz wyglądać. Tchórz uciekłby, gdzie pieprz rośnie, ty nigdy nie byłeś tchórzem!

Czemu więc mam gęsią skórkę? Czemu co chwilę przechodzą mnie dreszcze, a serce bije jak oszalałe, co najmniej jakbym uciekał przed sokistami, przechodził po linie nad wezbraną roztopami rzeką lub palił ognisko na balkonie pilnie strzeżonego budynku. Stoję przecież na klatce schodowej – miejscu stosunkowo bezpiecznym...

Było to młode osiedle, wówczas nie było tu jeszcze tak wielu groźnych dresiarzy, blockersów, pseudoskejtów czy innych zwierzaków. Wszyscy „młodzi gniewni” byli jeszcze młodsi ode mnie, albo co najwyżej w moim wieku, i nie musiałem się niczego obawiać. Pod klatkami i na klatkach było jeszcze pusto, nikt tu nie palił, nie pił tanich win, nie przesiadywał... Staruszki z parteru żyły sobie jeszcze wówczas spokojnie, do dziś błogosławią tamte chwile, wspominając na zebraniach osiedlowych kółek różańcowych stare, dobre czasy. Mogły cieszyć się pogodną jesienią życia, uprawiając własny ogródek oraz zaglądając często do cudzego, ze zwykłej, uciążliwej, powodowanej nudą, starczej ciekawości. Do czasu jednak, później bowiem przyjdzie dla nich ciężki okres. Młodzież dorośnie, odkryje, że nie ma przed sobą perspektyw, zbuntuje się, zacznie się nudzić... Wzrośnie lokalny patriotyzm, nakazujący nie-

nawidzić drugiego człowieka, tylko dlatego, że ten mieszka na innej ulicy. Staruszki ukryją się w zaciszach swych mieszkań, bojąc się zwracać uwagę ignorującym ich siwe skronie młokosom.

Tak, nienawiść królową wszelkich młodzieńczych uczuć! Powoli zastąpi wszystko: miłość, przyjaźń, lojalność. Wystarczyło mieszkać kilka bloków dalej i już nie miało się prawa do znajomości z dziewczyną z innych stron. Żałosne polskie pojęcie – ortodoksyjny patriotyzm własnego podwórka, zapatrzenie we własny czubek nosa i kawałek ziemi, akurat taki, jaki zajmują własne stopy...

Drzewieckiego będzie w tej nienawiści cechować szczególnie. Gdybym tam był w dzisiejszych czasach, obawiałbym się o swoje zdrowie i życie, mieszkałem bowiem na Alei Ducha Świętego, po drugiej stronie, dzielącej Osiedle Lotników na pół, ulicy Sienkiewicza. Istne getto...

Wówczas jednak nie musiałem się niczego bać. Czemu więc stoję i trzęsę się jak galareta?

Czas spędzony w oczekiwaniu na otwarciu drzwi dłużył się w nieskończoność, choć prawdę mówiąc upłynęła może jakaś minuta. Po niej zza drzwi usłyszałem przyciężkie kroki. Czyjaś ciemna źrenica mignęła szybko w wizjerze, oceniając przez chwilę moją postać i jakby wahając się: wpuścić, czy zignorować. Drgnęła klamka, białe drzwi z numerem 72 powoli, z cichym skrzypnięciem, stanęły otworem.

– Czego? – usłyszałem chłodny, zachrypnięty głos czterdziesto-kilkuletniej zaniedbanej kobiety.

Była to niska, odziana w starą, poszarzałą halkę osoba. Na zniszczonej starością i zmarszczkami twarzy rysowały się jeszcze, jakby przykryte kurzem, ślady dawnej piękności. Jej, niegdyś z pewnością regularne, rysy zniekształcił już dziś czas, wykrzywił nieprzyjemny, oznaczający niechęć grymas. Kiedyś z pewnością musiała być podobna do Wiktorii, mieć długie włosy, niebieskie oczy i namiętne, pełne usta; dziś, w krótkiej fryzurze, z twarzą pooraną zmarszczkami i zamglonym, mętym spojrzeniem nałogowej palaczki robiła dość odpychające wrażenie. Sam jej strój zdawał się mówić: „A dajcie mi już wszyscy święty spokój. Prze-

żyłam życie, było bujne i szybkie, chcę się teraz już tylko zestarzeć w swoim em cztery i nic wam do tego!” Domyśliłem się, że jest to matka Wiktorii.

– Dzień dobry pani. Czy zastałem Wiktorię? – powiedziałem to, co zwykle się mówić w takich sytuacjach.

– Tę lafiryndę? A jest, siedzi w domu... Wiktorია! – krzyknęła, odwracając głowę w stronę wnętrza mieszkania, z którego cuchnęło spalonymi plackami i jeszcze czymś, czego nie potrafiłem zidentyfikować. Swoją drogą, mało która matka nazywa swoją córkę lafiryndą... – pomyślałem – Dziwne.

Nie zdążyłem się jednak oburzyć, ani zbyt długo dziwić, gdyż po chwili w drzwiach mieszkania ukazała się ona. Od razu na brudnej klatce zrobiło się jaśniej, jakby blask bijący od niej w tym dziwnym nieprzyjaznym otoczeniu nabierał jeszcze siły i większego znaczenia.

Matka wciąż tkwiła na swoim miejscu, Wiktorია stanęła tuż obok niej.

– Kawaler do ciebie! – powiedziała kobieta, ani myśląc się wycofać.

– Dobrze, dziękuję mamó – powiedziała Wiktorია – Idź już.

Matka stała.

– Mamó!

Kobieta jednak nie miała zamiaru się ruszyć. Patrzyła na mnie z dziwnym zaciekawieniem.

– Różni już tu przychodzili, ale taki oryginał to jeszcze nie – powiedziała po chwili.

– Czemu? – spytałem zaciekawiony.

– No, ta róża i w ogóle... He, he!

– Mamó! – powiedziała Wiktorია, po czym lekko lecz stanowczo wepchnęła kobietę do mieszkania, wyszła do mnie na klatkę i zamknęła drzwi.

– Cześć – powiedziałem, gdy znaleźliśmy się sami – Zapraszam cię do kina dzisiaj, co ty na to? – postanowiłem działać z zaskoczenia i patrzeć, jaka będzie jej reakcja.

Przez chwilę milczała, błędząc dookoła dziwnym wzrokiem. Na ile półmrok panujący na klatce pozwalał mi dojrzeć, było

w tym wzroku coś w rodzaju zmieszania, zdziwienia, zaciekawienia, niechęci, a może jeszcze czegoś?

Mylił się ten, kto powiedział, że oczy są zwierciadłem duszy. Oczy kobiety nigdy nie mówią prawdy! Choćby nawet jej dusza przemawiała przez nie, musi widocznie wcześniej przebyć wiele niespodziewanych przeszkód, które modyfikują i niszczą zawartą w nich i oczekiwaną przez obserwatora prawdę. Prawda, która wydobywa się z kobiecej duszy, nim wydostanie się na zewnątrz, staje się półprawdą, ironią, w skrajnych przypadkach kłamstwem. Nie patrz kobiecie w oczy – albo w nich utoniesz, albo zabłądzisz, bezskutecznie szukając szczerości, jak zgubionej igły w stogu siana...

Tak i teraz nie miałem pojęcia, o czym tak naprawdę myśli Wiktoria.

– Zaskoczyłeś mnie... – powiedziała po dłuższej chwili.

– Mam nadzieję, że miło – odparłem i wręczyłem jej różę. Przyjęła, uśmiechając się skromnie.

– Bo ja wiem...

– To jak? Idziemy do kina?

– Nie... nie za wcześnie? Dopiero piąta, grają chyba o siódmej?

– Tak, ale pomyślałem, że wpadnę wcześniej i zabiorę cię jeszcze na spacer. Chciałbym z tobą pogadać, bo ostatnio dość dobrze nam to szło.

– To miłe, ale...

– Nic się nie martw, nie jest tak zimno, znam wiele interesujących miejsc – przerwałem – Możemy pójść wcześniej na herbatę lub piwo jeśli chcesz, co?

– To miło, Piotrek, ale ja nie mogę z tobą iść... – powiedziała jakby z trudem po kolejnej przepełnionej niepewnością chwili.

– Dlaczego? – spytałem zdziwiony.

– Czeka na kogoś...

Poczułem, jakbym tracił nagle grunt pod nogami, a podłoga dziwnie zaczynała wirować. Właśnie podświadomie obawiałem się takiej odpowiedzi. Jeśli czeka na Korenia... Wiktoria, nie rób mi tego!

– Na kogo? – spytałem.

- Nie mogę powiedzieć...
- Ej, no, nie drażnij się ze mną. Na kogo czekasz?
- Ty drażniłeś się ze mną to i ja mogę trochę, ale jeśli już musisz wiedzieć, to na Przemka.

Jakbym dostał w łeb. Byłem jednak gotowy na taką ewentualność.

- Na Przemka? Nie rozumiem... Umówiłaś się z nim?
- Tak... To znaczy... nie... ale...
- Tak czy nie?
- No, nie umawialiśmy się, ale ja wierzę, że on przyjdzie. Obiecał mi kiedyś...
- Kiedy?
- No, w grudniu...
- Co? W grudniu popołudniu? I czekasz teraz na niego? Zrozumiałbym, gdybyś była z nim umówiona ustnie albo chociaż listem, ale tak? Dostałaś od niego choć walentynkę?

– Nie... to znaczy, nie wiem... Dostałam jakąś bez podpisu, chyba od niego. Mówił w grudniu, że kiedyś do mnie przyjdzie, zaprosi do kina i na kolację... Dziś ma chyba najlepszą okazję do tego, dziś przecież walentynki... Chciałam w szkole, byś go zapytał czy przyjdzie, ale w końcu się zaważałam...

– Słuchaj Wiktoria – postanowiłem postawić sprawę jasno – Przemek nie przyjdzie! Ani dziś, ani nigdy, rozumiesz?

Pomimo półmroku zauważyłem wyraźny cień smutku na jej twarzy.

- Skąd ty to wiesz?! – spytała po chwili, jakby oburzona.
- Wiem. Mówił mi.
- Nie wierzę ci! Nic ci nie mówił! Wy nie rozmawiacie na te tematy, dzieci jesteście! Bawicie się w wagary i uważacie za dorosłych, ale jesteście dzieci! Nie wiecie nic o miłości!

Ten okrzyk trzynastolatki zbił mnie nieco z tropu.

- Wiemy aż za dużo... – odpowiedziałem po chwili.
- Gówno wiecie! A dziewczyny tylko przez was cierpią! W szóstej klasie macie wszystkie dziewczyny w dupie, dlatego szukamy starszych, myślałam, że w ósmej klasie będziecie bardziej dojrzały, widzę, że nic z tego!

– Wiki, jak to nic z tego? – spytałem, coraz bardziej zdziwiony.

– Bo co to za poglądy!? Nie rozumiem! Najpierw ma ci się w głowie dziewczynie, mówi, że zabierze ją do kina, na kolację, przyniesie bukiet róż, a potem głosi pogląd, że nie chce się mieć dziewczyny?! Jesteście jacyś sadyści czy jak?

– Czemu uogólniasz? Koreń nie przyjdzie, ale ja tu jestem. Możemy iść do kina, jeśli chcesz.

– Nie. Nigdzie nie idę! Skąd wiesz, że Przemek nie przyjdzie?

Po tak wzruszającej przemowie nie chciałem jej kłamać.

– Koreń powiedział mi kiedyś na wagarach, że wybiera się do ciebie, ale to było dawno temu... Ostatnio jakby o tym zapomniał, nic o tym nie wspominał. Prawdopodobnie zmienił zdanie, albo nie ma kasy i wstydzi się. Mógł się też rozmyślić... Jestem raczej pewien, że dziś nie przyjdzie, inaczej powiedziałaby mi to...

– Ale... ale nie mówił ci, że zmienił zdanie i nie przyjdzie?

– No, nie...

Przez chwilę na jej twarzy rozbłysła jutrzienka nadziei.

– Więc... może przyjdzie!

– Nie przyjdzie.

– Skąd wiesz?

Milczałem. Nie chciałem od nowa brnąć w kłamstwa. Może Koreń rzeczywiście po nią przyjdzie, zjawi się jak długo wyczekiwany książę na białym rumaku i porwie Wiktorię do kina, na kolację, obsypie kwiatami, a potem... przedupczy! A niech to wszystko trafi szlag! Chcę ją ratować przed groźną pomyłką, a ona czeka na niego jak na urojonego zbawiciela, jak na jakieś cholerne czterdzieści i cztery! Mało brakuje, żeby się za nim nie poryczała! „Trzeba wiedzieć kiedy ze sceny zejść” – jak mówi piosenka, a mężczyzna powinien to wiedzieć w szczególności. Honor jest najcenniejszym skarbem mężczyzny. Przynajmniej... powinien być.

– Po prostu wiem i już – powiedziałem po chwili – Możesz na niego czekać, ale on nie przyjdzie i w końcu zostaniesz sama w walentynki, a tego chyba nie chcesz, co?

– Nigdy nie bywam sama w walentynki. Jesteś dziś pierwszym, który przyszedł, ale pewnie nie ostatnim...

Zdenerwowały mnie te słowa.

– To pięknie, ale zastanów się. Możesz czekać na Przemka lub innego księcia z bajki jak na zbawienie, a oni się nie zjawiają. Możesz też iść teraz ze mną, Wiktoria, proszę, pomyśl. Nie będę cię namawiał cały wieczór – musiałem działać szybko, nie chciałem, by zastał mnie tu Koreń, jeśli jednak miałby się pojawić.

– Piotrek, nie zrozum mnie źle. Bardzo cię lubię, wiem, że zakochałeś się we mnie, dziękuję ci za śliczną walentynkę i wierszyk. Lubię cię, ale cię nie Kocham i chyba nie masz niestety większych szans. Sorry...

– Rozumiem, dajesz mi kosza... Śmieszna sprawa, pierwszy kosz w moim życiu, ale przynajmniej od takiej dziewczyny to może nic strasznego... Możesz mieć przecież każdego...

– Wiem.

– Wydawałaś mi się skromniejsza na początku. Ale dobrze. Jakoś to zniósę. Naprawdę będziesz czekać na Przemka?

– Tak.

– To czekaj sobie. A jak nie przyjdzie?

– Nie wiem, zobaczę...

– Mówisz, że nie mam szans? – ciągle jeszcze nie mogłem się pogodzić z tym, że właśnie przeżywam swój pierwszy zawód miłosny. Dziwne uczucie.

– Na razie nie.

– Na razie?

– Tak, może kiedyś...

– Dziękuję i za to. Więc, do zobaczenia! Miłego czekania na zjawy i uludę. Mam nadzieję, że nie będziesz żałować tej decyzji. Pa!

– Pa!

Zbiegłem po schodach. W oczach miałem łzy.

X

Właściwie to sam sobie na to zasłużyłem. Czego ja właściwie chciałem? O czym marzyłem?! Zachciało mi się dziewczyny! Po

co? No po co mi to wszystko?! Idź teraz bezsilny, mijaj kolejne bramy, brnij w topniejącym śniegu, włócz się bez celu po ulicach, bo do domu nie będziesz miał odwagi wrócić. Chciałeś wyciąć świństwo przyjacielowi, teraz za to odpokutujesz. I nie będzie to łatwa pokuta. Zawód miłosny boli najbardziej – myślałem, idąc ciemnymi uliczkami.

Kiedyś rozciąłem sobie kolano aż do kości. Bolało jak cholera, ale lekarz dał coś na znieczulenie, założył kilka szwów, po tygodniu rana zrosła się, pozostała jedynie widoczna do dziś blizna. Pamiętam tamten ból. Pochodził z zewnątrz, nie należało się go obawiać, był mniejszy o tego spowodowanego odrzuceniem przez Wiktorię. Jak wszystko, co cielesne, przeminął prędzej czy później, pozostało jedynie wspomnienie, mgliste i niewyraźne, jakby przez mgłę odczuwalne jakieś liche łaskotanie igły lekarskiej. Ból, który minął, jest bólem nieistotnym, nie ma dla nas znaczenia. Zawsze liczy się to, co jest teraz.

A teraz odczuwałem wewnątrz inny rodzaj bólu. Gorszy. Wiedziałem, że tego bólu nie zaszyje żadna igła, nie złagodzi żaden zastrzyk na znieczulenie. Nie był to ból fizyczny, cieleśnie czułem, że wszystko ze mną jest w porządku. Tylko te zażawione oczy...

Przestań! To tylko głupia koza! Niejedna na tym świecie! – próbowałem się podnosić na duchu.

Minąłem właśnie kolejną zakochaną parę. Chłopak mocno obejmował dziewczynę w pasie, ona odwzajemniała mu się tym samym. Świat nie liczył się dla nich, nie istniały zamrożone kałuże śniegu i mokrego błota, stali czule objęci, penetrując sobie wzajemnie językami otwory gębowe. Ile zarazków! Wszystko pojebane! Ściskaj ją mocno, ucieknie ci! Uważaj, bo jak ją puścisz, ucieknie i nie zobaczysz jej więcej – myślałem – Co ci, debilu, z tego, że ją obejmujesz, co z tego masz? Czujesz się lepszy, wyższy? Masz władzę? Ale przecież ona nie ucieka, stoi obok, przytulając się do jego boku... Skoro nie ucieka, czemu on ją trzyma tak mocno? Czemu ona jego? Po co się tak trzymają, skoro nie mają zamiaru uciekać od siebie? Nie chcą się stracić? Ale czy muszą okazywać to w ten sposób? Żałosne! Totalna brednia, jeśli się kocha, to ma się zaufanie, że ta druga osoba nie ucieknie. Ściskanie

jej na ulicy jest jedynie formą ekshibicjonizmu, mającego na celu ukazanie całemu światu: Patrzcie, jak się bardzo kochamy! Tymczasem, gdyby bardzo się kochali, nie potrzebowaliby tak mocno się ścisnąć, mieliby bowiem do siebie zaufanie i wiedzieliby, że jedno drugiemu i tak nie uciekną! Żaloszne!

Kolejna para. Ci idą sobie grzecznie za rączki, chłopak ścisną dłoń dziewczyny z palcami ściśle oplecionymi wokół jej palców. Serdeczny uścisk, jak korzenie głogu wyrastającego z grobów Tristana i Izoldy. Dziewczyna ma na sobie wełnianą czapkę. Jest luty i noce są bardzo zimne. Chłopak, co chwilę, w przyływie miłości, pochyla się nad głową dziewczyny odzianą w ową wełniankę i składa na niej odcisk swoich ust. Kocha czapkę? Dziwne. Niby wygląda to tak, jakby chciał pocałować dziewczynę w głowę, i to miałyby nawet sens, ale całowanie wełnianej czapki? I potem to skryte wyciąganie sobie z kącików ust kawałków włosków syntetycznej wełny. Ohydne. Stary, jesteś dla niej za wysoki! Znajdź sobie wyższą, tak, by mieć usta na wysokości jej ust i nie całuj jej czapki! Ona pewnie nawet tego nie czuje, nie widzi nic spoza opadającej na oczy tej cholerniej wełnianki, a ty masz usta pełne włosków! Zmień dziewczynę na wyższą albo poczekaj do wiosny, aż będzie chodzić z gołą głową! Póki co, daruj sobie! Gdzie idziecie? Do kina? Pewnie tak. Grają tam dzisiaj znowu tę romantyczną komedię z Meg Ryan – naczelną zagubioną i słodko-nieporadną pannienką, nadającą się chyba wyłącznie do takich filmów. Zwiewne bluzeczki, rudawe włosy do ramion, rozbiegane spojrzenie, letnie sukienki. Mdło się robi. Daleko jeszcze do lata...

Jeszcze jedni. Ci to już całkowite dno. Chłopak gwałci dziewczynę na ulicy, manipulując bezwstydną ręką trzymaną pod jej spódniczką i rozdzierając brutalnie materiał jej rajstop. Dziewczynka, może czternastoletnia, pogrążona w ekstazie nie widzi nic, czując jedynie palce, sprawnie wślizgujące się do wnętrza jej młodego ciała i język penetrujący i gwałcący jej wargi. A wszystko na środku chodnika, nieopodal starego miasta.

Zabijam ich wzrokiem. Nienawidzę takich ludzi. Obnoszą się ze swoją seksualnością wszędzie, bez wstydu, bez skrępowania, bez duszy. Dziewczynka wydaje mi się znajoma. Podobne, farbo-

wane na czarno proste włosy, grzywka opadająca na czoło... Podchodzę bliżej, rozpoznając koleżankę z klasy ze swoim nowym chłopakiem. Nie widzą mnie, zajęci swoim orgazmem pośród tłumu obojętnych przechodniów. Mam ochotę przyłożyć im tak od serca, wdeptać w szarość tego syfu codziennego, zmieszać z błotem, ochłodzić ich podniecenie, zerwać zasłonę, ukazując całą ich plugawość. A najbardziej irytuje mnie ten pozujący na ogiera koleś z nażelowanymi włosami i sterczącą fujarą w spodniach. Założę się, że wcześniej nagadał jej do ucha bredni w stylu: „Kocham cię, bądźmy zawsze razem, nigdy cię nie skrzywdzę”, a teraz... „dawaj dupy na środku ulicy!” Co za syf! W sumie miałem ją za porządną dziewczynę... Mniejsza z tym. Idę dalej.

Próbowałem za wszelką cenę wzbudzić w sobie wstręt do wszystkich tych par mijanych na ulicy. A wylazło tego strasznie dużo... Wszyscy zaróżowieni, wypomadowani, pachnący, uśmiechnięci. Tylko nie ja.

Właściwie nie miałem dokąd iść. Widok ludzi działał na mnie irytująco. W domu powiedziałem, że wrócę w okolicach dwudziestej drugiej, bo idę na moją pierwszą w życiu randkę. Pięknie ta randka wygląda, nie ma co! Włóczę się po mieście bez celu, nienawidząc siebie i całego świata. Muszę stąd uciec – myślałem – Tam, gdzie nie będzie dziś nikogo, nie chcę oglądać tego przedstawienia, zostałem z niego wykluczony, nie zamierzam teraz spokojnie siedzieć na widowni! Myślałeś, że miłość jest dla ciebie? Większego frajera nie widziałem! Dla ciebie jest świat, wiele rzeczy małych i dużych, małpy wiszące na drzewach, ludzie jeżdżący autobusami do pracy, zakochani gwałcący się na ulicy. Tobie nie dane jest w tym uczestniczyć, możesz jedynie obserwować i nabić się z tego. Jesteś ponad tym, a cały ten syf nie dotyczy ciebie i nigdy dotyczył nie będzie. Za każdym razem, gdy tylko usiłujesz stanąć po ich stronie i być taki jak wszyscy, dostajesz w łeb. Po co ci oni? Jeszcze jedna próba i będziesz musiał zniknąć z tego świata – wyrzucałem sobie. Musiałem za wszelką cenę, natychmiast, odciąć się od tego wszystkiego...

Podobno mam bardzo krótką linię życia. Wróżbiarskie bzdury.

Pierwszy zawód miłosny boli ponoć najbardziej. Co nas nie zabije, to nas wzmocni. Usiłowałem sobie wmówić, że to przejdzie, ból psychiczny też zabliznia się z czasem, czas płynie i zabija rany, należy jedynie dać mu czas, nie rozdrapywać ich, poczekać. A na razie zaszyć się gdzieś, wejść w jakąś norę, nie patrzeć na plastikowe szczęście tych wszystkich istot, robotów, olać cały ten ich infantylny świat, grupowy system wartości dla ubogich, po prostu zabić w sobie to wszystko, wskoczyć we własną przestrzeń.

Poszedłem nad Wisłokę. Było tu pusto. I nie ma się co dziwić; normalni ludzie nie mają żadnego powodu szukania tutaj czegokolwiek w lutym o tej porze. Było po osiemnastej, przed chwilą zapadł zmrok.

Stanąłem na kładce zupełnie sam, wpatrzony w ciemność i błyszczącą pode mną wodę. Księżyc nie wzeszedł jeszcze i miałem okazję znów przekonać się, że najciemniej jest zawsze po zmroku. Białawe plamy śniegu leżały gdzieś przy brzegu, zaśmiecając go jak ciśnięte w kąt kawałki pleśni lub wymiociny jakiegoś potwora nocy. Woda błyszczała pode mną ciemnym granatem. Słychać było cichy jej plusk. Ryb nie było tu od dawna, wydało mi się jednak, że to one pluskają się tak pode mną, nabijając się z mojego rozczarowania i smutku.

Miałem już tylko słabą nadzieję, że jeśli Przemek przyjdzie po Wiktorię, ta nie powie mu, że u niej byłem i że chciałem wyciągnąć ją do tego kina. Zapomniałem ją uprzedzić. Wtedy przynajmniej przyjaźń z Koreniem będzie uratowana...

Wiktoria nie była jednak zbyt inteligentną osobą. Powie mi wszystko! Jednym głupim postępkim straciłem przyjaciela i ewentualną dziewczynę. Pięknie!

Dookoła pustka, gdzieś w oddali za wałem światło jakiegoś domu, odległa latarnia, tu zupełny mrok. Po chwili jednak wzeszedł księżyc, rozświetlając miesięczną poświatą krajobraz i wyciągając z niego brutalną siłą realizmu coraz to nowe i jeszcze bardziej przynębiające szczegóły. Cóż, nastrój dzikiego brzegu rzeki, wieczorami w połowie lutego, nie należy do najweselszych i przesyconych optymizmem obrazów. Połacie suchej trawy przyniecione zwałami topniejącego śniegu, światło odległej latarni

prześwitujące przez огоłoczone z liści drzewa, blat półksiężycy odbity w czarnej smole wody. Gdzieś ja, wrzucony w to wszystko.

Poszedłem na Pniak.

Z trudem odnalazłem dziką ścieżkę i przedarłem się przez gałęzie tarniny. Pniak znajdował się na swoim dawnym miejscu. Gdzieś po drugiej stronie rzeki wznosił się majestatycznie oświetlony budynek ujęcia wody. Tama. W świetle księżycy odczytałem napisy sprzed dwóch miesięcy. Zarys ciężarówki, namalowanej białym korektorem, w środku data *03. XII 1999*, nasze podpisy. Wszystko wyglądało jeszcze bardzo świeżo, jakby napisane wczoraj. Usiadłem na Pniaku.

No dobrze, Wiktoria dała ci kosza – myślałem – świat się na tym nie kończy! Odbiło ci, zachciałeś mieć dziewczynę, wbrew sobie, na przekór przyjacielowi, to teraz się to mści. Masz nauczkę i wiesz już, że nie będziesz nigdy miał dziewczyny. Nie będziesz jednym z wielu, pokażesz swoim życiem, że nie idziesz za tłumem, że stać cię na dużo więcej niż nieudolne kopiowanie jakichś pseudowzorców.

Jak tu spokojnie o tej porze...

Powoli z pozycji siedzącej przeszedłem do leżącej i wyciągnąłem się jak długi na Pniaku. O dziwo, stanowił bardzo wygodną leżankę. Trochę wprawdzie twardą, jednak odpowiednio wyprofilowaną, mającą nawet coś na kształt wybrzuszenia w miejscu, gdzie trzymałem rozpaloną głowę. Zapatrzyłem się w niebo prześwitujące przez gałęzie rosnącego nade mną dębu. Pojawiały się pierwsze gwiazdy. Poślanie było na tyle wygodne, że zachciało mi się spać.

Kiedyś już zasypiałem w ten sposób... – pomyślałem. Przypomniała mi się ucieczka z domu, noclegi pod gwiazdami w górach, sprzed niespełna dziewięciu miesięcy. Co się ze mną stało od tego czasu? Trochę się zmieniłem...

Wyobraziłem sobie, że znowu jestem poza domem, że nie mam przed sobą żadnych celów, obowiązków, że cały świat może mnie po prostu pocałować w dupę. Jestem tylko dla siebie, żyję po to, by zostawić po sobie ślad, by błysnąć, przelecieć jak spadający meteor, a potem odejść, gdy tylko nadejdzie mój czas. Tylko ja,

nic innego się nie liczy... Myślenie egoisty, wiem, jednak po co tak naprawdę był mi wówczas potrzebny świat? Stanowił nietrwałą otoczkę, jak skorupka jajka, wewnątrz której obracałem się ja i moje marzenia.

Wszystko w makówce. Mak rośnie w ogrodzie

Dzieci biegają i mak się kotysze.

A wieczorami, o księżycu wschodzie

Psy gdzieś szczekają, to głośniej, to ciszej¹

Nie obchodziło mnie, kto szczeka, gdzie i w którym ogrodzie. Póki byłem sam dla siebie, zdany tylko na swój intelekt i pracę własnych dłoni, czułem się wolnym. Nie było lekko, bywały dni straszne i złe, nieraz budził mnie głód, lub zimny deszcz o trzeciej nad ranem, jednak wówczas nie można było pozostać biernym, wstawałem, szedłem dalej, wbrew przeciwnościom losu, ale zawsze w zgodzie ze sobą. I oto, co mam teraz, gdy postanowiłem postąpić wbrew sobie – ból.

Pomyślałem przez chwilę, że jestem na gigancie i zaraz ma nadejść świt.

Zmierzch i poranek, wbrew pozorom, są do siebie bardzo podobne. Oba rozpoczynają się ciemnością, rozświetlaną stopniowo przez wstającą jutrzenkę lub wschodzący księżyc. Tyle że w jednym przypadku tryumf należy do nocy, w drugim nadchodzący wschód słońca witają, budzące się najwcześniej ze wszystkich stworzeń, ptaki. Ile to razy obudził mnie zdzierający gardelko na powitanie dnia ukryty gdzieś w zaroślach skowronek... Ptak darł się wniebogłose, pomimo, zdawałoby się, kompletnych jeszcze ciemności. Najpierw budził się on (robiąc przy okazji pobudkę mi), później świat nagle rozjaśniał się, w końcu wstawało słońce, krwistoczerwone, miedziane lub bladożółte, na końcu opadały mgły, przemywając rosą moje zaspane oczy. Wstawałem wraz z pierwszymi promieniami słońca, padającymi na moją twarz. Czasami nie było źle. Gdy myślę o tych chwilach, zdarza mi się żalować,

¹ Cz. Miłosz, *Przypowieść o maku* [w:] tegoż: *Ocalenie*, Warszawa 1947.

że mnie znaleźli. Czasami nie miałem pojęcia, co będzie dalej. Ale przynajmniej żyłem.

Przez chwilę delektowałem się taką małą namiastką ucieczki. Nigdzie nie musiałem się spieszyć, nikogo nie było dookoła, księżyc wędrował gdzieś tam wysoko. Mniejsza o Wiktorię! Trzeba teraz myśleć, co dalej.

Wstałem i ruszyłem w stronę kładki.

Noc wisiała nad miastem. Było w pół do ósmej, zakochane pary siedziały z pewnością przytulone w kinie, ewentualnie w jakichś ponurych knajpach. Powoli stawało mi się to obojętne. Przynajmniej odwiedziłem Pniak. Wiktoria bolała, ale w gruncie rzeczy wiedziałem, że prędzej czy później o niej zapomnę. Wizyta nad Wisłoką poprawiła mi humor.

Do domu wróciłem po dziewiątej. Mogłem wprawdzie przyjść dużo wcześniej, ale nie miałem ochoty odpowiadać na pytania, „jak było na randce?”. Zwykle rodzice złościли się, że wracam zbyt późno. Teraz zapytaliby: „Czemu tak wcześniej?” I co ja bym im odpowiedział? Woląłem zamknąć się w swoim świecie – pokoju i po cichu ułożyć do snu.

Następnego dnia obudziłem się zupełnie normalny. O ile można nazwać normalnym kogoś takiego jak ja. Na zewnątrz świeciło zimne, odległe, lutowe słońce. Pasowałoby wybrać się do szkoły.

Postanowiłem nie mieszać się więcej w sprawy Wiktorii i Korenia. Wiktoria usłyszy ode mnie co najwyżej „cześć”, z Koreniem... zobaczymy, jak się ułoży. Wszystko zależy od tego, czy byli wczoraj w tym cholernym kinie. Jeśli byli, wszystko jest jasne, jeżeli nie – i tak należałoby się na Wiktorię obrazić. Wybić sobie ją i inne dziewczyny raz na zawsze z głowy. To właściwie jedyne słuszne wyjście. Wrócić do stanu początkowego jakby nigdy nic. Może dzięki temu uda mi się dłużej żyć, nawet pomimo tej krótkiej linii na dłoni?

Ponoć dowiedziono, że gdyby mężczyźni nie wiązali się z kobietami, średnia długość ich życia wynosiłaby sto dwadzieścia lat! Sto dwadzieścia lat życia pełnego spokoju i radości. Życia,

w którym można by w spokoju realizować swoje pasje, wytyczać swoją własną drogę...

Może i tak, ale co to byłoby za życie?

Zaraz rano w szkole dostałem list miłosny. Pierwszy taki list w moim życiu. Początkowo nie wiedziałem, co z tym fantem zrobić, moje męskie ego zostało przez chwilę całkiem przyjemnie polechtane. Nie miałem jednak zamiaru, po tym, co stało się wczoraj, zajmować się żadnymi miłostkami.

List napisany był przez Ulę.

Zupełnie zapomniałem o tej walentynce, którą właściwie odruchowo jej wysłałem. Sprawa Wiktorii pochłonęła mnie całkowicie. Ula jednak, jak wynikało z listu, bardzo się ucieszyła, podobno jej się spodobałem i prosi o spotkanie. Miejsce spotkania, nie powiem, bardzo romantyczne: w szatni, we wnęce korytarza, przy wejściu na salę do pingponga. Czas: długa przerwa.

List dostałem po pierwszej lekcji, miałem więc trochę czasu, żeby spokojnie móc wszystko przemyśleć.

Nie chciałem wchodzić w związki z żadną dziewczyną, przynajmniej nie teraz, z listu wynikało jednak, że Ula na taki właśnie związek robi sobie nadzieję. Dziewczyna podobała mi się, byłem jednak wewnętrznie wypalony, czułem, że nie ma we mnie miejsca na żadne nowe uczucie do kogokolwiek. Miło czytać, że się komuś podobam, w końcu rzadko spotyka się ludzi z taką wadą wzroku, jednak dlaczego teraz. Dlaczego ten list przyszedł właśnie o takiej niewłaściwej porze?!

Równo z dzwonkiem na długą przerwę poszedłem na spotkanie. W ciemnej wnęce korytarza czekała Ula.

Była sama, nareszcie bez tych swoich wiecznie uśmiechniętych koleżaneczek.

Serce zabiło mi jakoś tak mocniej, po czym nagle zubożniało całkiem, zamieniając się w twarde zimny kamień. Czy właśnie tak powinienem reagować? Poczulem coś jakby strach, postanowiłem pozostawić sprawy swojemu losowi i czekać na dalszy rozwój wydarzeń.

– Cześć – powiedziała, uśmiechając się do mnie nieśmiało.

– Cześć – chwila niezręcznej ciszy – Dostałem twój list. Dziękuję... – coś trzeba było przecież mówić. Cisza jest najgłupszą rzeczą w takich sytuacjach.

– Podobał ci się?

– Tak, dzięki. To prawda, co napisałaś?

– Tak – uśmiechnęła się.

– Wiesz... – zacząłem – To naprawdę miło z twojej strony, również mi się podobaś, nie wiedziałem tylko, jak ci to powiedzieć, ciągle łąziłaś razem z tymi koleżankami, ale...

– Kochasz mnie? – przerwała.

Poczułem się jakbym dostał czymś ciężkim w łeb. Szybka jest... Normalnie mnie zatkało.

– Widzisz... To dla mnie trochę nowa sytuacja. Nie wiem, co powiedzieć – rzekłem po chwili.

– Nic nie mów – odparła i przytuliła się do mnie. Czubek jej głowy znalazł się na wysokości mojej brody. Przypomniała mi się zakochana para i dziewczyna w czapce. Wysokość w sam raz... – oceniłem. Ciepło ciała Uli działało kojąco i całkiem miło było tak stać, przytulonym, w tym ciemnym zakątku szatni. Było w tym coś mistycznego, coś czego nie rozumiałem, nie chciałem zrozumieć! Serce biło jak oszalałe, po głowie błyskawicznie przesuwały się najróżniejsze sceny z ostatniego roku. Wiktoria, miłość do niej, rozmowy z Koreniem, komentarze Duszyka i... ten dzień wczorajszy, który najbardziej dał mi w kość i wypalił połowę mych zmysłów. Trzymałem w ramionach tę kruchą, delikatną istotę, która nie wiedzieć czemu, nagle zaufała mi i chciała powierzyć swój los w moje brudne ręce. To wszystko jest chyba niezbyt normalne – pomyślałem – Mężczyzna musi być twardy, uważaj! – w głowie zapaliła się ostrzegawcza lampka.

Nagle poczułem, jak Ula podnosi głowę. Po chwili jej język pieścił moje wargi, nasze usta powoli zaczęły się w siebie zagłębiać. Objąłem ją mocniej, choć przez głowę przelatowały mi coraz bardziej złowieszcze obrazy; Wiktoria, aureola nad jej głową, jej moc i siła, z jaką potrafiła działać na facetów. I to jej przywiązanie do Korenia i... słowa, którymi mnie wczoraj splawiła. Czemu, czemu, Boże, wypychasz mi teraz w ręce tę niewinną osobę!?

Staliśmy przytuleni, całując się przez chwilę namiętnie. Trudno opisać, co wtedy czułem.

Nie, nie kochałem jej. Było to całkiem przyjemne, jednak... Nie jestem godzien stać z nią tu teraz i profanować swoim językiem jej warg! To naprawdę miłe uczucie, ale...

Nie mogę tego dłużej robić! Nie będę miał dziewczyny – to postanowione. To uczucie mnie nie interesuje, jestem wypalonym człowiekiem! – odezwał się we mnie dziwny głos. Sumienie? – Zostawiam miłość dla tych wszystkich chorych, plastikowych ludzików!

– Nie! – przerwałem całowanie i wyrwałem się z uścisku Uli
– Przepraszam cię, ale nie mogę się z tobą całować.

Ula wyglądała na bardzo niemile zaskoczoną. Stała przez chwilę opuszczona, nie bardzo wiedząc, co powinna powiedzieć.

– O co ci chodzi? – zapytała po dłuższej chwili.

– Przepraszam, nie zrozum mnie źle, ale my nie możemy być razem. Nie mogę...

– Ale dlaczego?

– Wybacz mi. To bardzo długa historia. Nie chcę mieć dziewczyny po prostu. Stało się coś w moim życiu i teraz nie mam ochoty na żaden związek.

– Nie rozumiem... – w mroku szatni jej oczy dziwnie zabłysły. Łzy?

– Przepraszam cię, ale ja naprawdę nie mogę. Podobasz mi się, ale cię nie kocham, to wszystko.

Chwila ciszy.

– Ty, ty, ty... draniu! – wybuchła nagle ze łzami w oczach – O co ci chodzi? Piszesz w walentynce „bądźmy zawsze razem”?! Po co to robisz?! Jesteś sadystą? Chcesz mnie wykorzystać?!

– Nie, nie, nie! Ula, nie unoś się tak i nie zrozum mnie źle! Po prostu bardzo cię lubię i wysłałem ci tę kartkę, żeby ci to powiedzieć. Lubię cię, ale cię nie kocham. Dostałem niedawno kosza i nie mam ochoty na związek, w porządku?

– Nie, nie w porządku! Wcale nie w porządku! Jak mogłeś tak wykorzystać moje uczucia! Wiedziałeś, że mi się podobasz, chciałeś mnie, jak wy to mówicie, przedupczyć, tak? No to się zawie-

dziesz! Trafiłeś na złą osobę. Ja nie Labocha, żeby się oddawać byle komu! Nie chcę cię znać!

Zadrzałem na wspomnienie Wiktorii. Co ona mówi? Skąd wie, że ja...

– Dobrze, nie musisz mnie znać, choć wolałbym, żebyśmy zostali przyjaciółmi po prostu. Wydaje mi się, że nie masz powodu, by tak się wściekać. Po prostu nie mogę z nikim być... O co ci chodzi z tą Labochą?

– Co? Tobie też się podoba ta szmata?! Wy, faceci, tylko jednego chcecie, ale trafiłeś pod zły adres. Nie chcę cię znać!

– Dobra, już to mówiłaś. Nie powtarzaj się i, z łaski swojej, nie nadawaj na Wiktorię. Zazdrosna jesteś?

– Też mi! O tę blondynkę?! Ciebie też omotała sobie wokół palca? Nie chcę cię znać!

– Spokojnie, spokojnie... Już to mówiłaś, niech ci będzie. Ale ja i tak cię lubię.

– Jesteś... jesteś... bezczelny! Nie chcę cię znać!

– Trzymaj się ciepło. Cześć! – powiedziałem i wyszedłem z wnęki, zostawiając w niej roztrzęsioną nastolatkę. Nie było sensu wysłuchiwać dłużej tego zaciętego gramofonu. Chociaż... całowała całkiem nieźle – pomyślałem uśmiechając się pod nosem.

– Nie chcę cię znać! – wrzasnęła jeszcze za mną.

– Tak, wiem...

W rzeczywistości byłem dziwnie zadowolony z siebie. Tak, właśnie tak należało postąpić, pozostać wierny sobie i na zawsze pielęgnować swoje ideały.

Ogólnie dzień minął bardzo dobrze. Koreń zachowywał się normalnie, czyli pewnie nie wiedział nic o mojej wczorajszej wyprawie do Wiktorii. Nie pytałem go o walentynki, ani o to nieszczęsne kino, powoli zaczynało mi to być obojętne. Przygoda z Ulą sprawiła, że odzyskałem trochę wiary w siebie. I choć przez chwilę miałem jakieś tam wyrzuty sumienia – w końcu potraktowałem tę dziewczynę niezbyt miło – jednak wyrzuty powoli rozplynęły się, jak mgła nad ranem ponad szczytami gór... Swoją drogą, los potrafi z nas czasami naprawdę nieźle zadrwić; takim samym tekstem zo-

stałem wczoraj splawiony przez Wiktorię! Te same słowa: „Lubię cię, ale cię nie Kocham...”. Świat jest okrutny.

Nie czułem, żebym w jakiś sposób skrzywdził w czymś Ulę. Siła, z jaką powtarzała uparcie, że nie chce mnie znać, przekonała mnie, że jej uczucie do mnie ma co najwyżej głębokość sadzawki. Zresztą, w tym wieku bardzo łatwo przekracza się granicę między miłością a nienawiścią. Jeszcze łatwiej zaś znajduje się zapomnienie w ramionach innej miłości. Zawsze zdumiewała mnie ta naiwność nastolatków.

Wiktorii w szkole nie było, pewnie zafundowała sobie kolejne wagary. I dobrze – mogłem przez chwilę normalnie funkcjonować. Przez kilka dni zdążyłem nawet poczuć się tak, jakby nigdy do niczego nie doszło.

XI

Jakieś dwa tygodnie później, na długiej przerwie, siedziałem spokojnie pod tablicą WZOROWY UCZEŃ, na której szczęśliwie nie było mnie od dobrych kilku lat, jadłem bułkę i starałem się myśleć, co było dosyć trudne w szkolnym hałasie, gdy podszedł do mnie Koreń.

– Gadałeś z nią? – spytał.

– Jeszcze nie. Nie odzywa się do ciebie?

– Unika mnie...

– Wyjaśnij jej po prostu, co i jak.

– Nie chce ze mną gadać...

– Bo, swoją drogą, masz zajebisty refleks. Który jest dzisiaj? Dwudziesty dziewiąty luty! Kurwa, czekasz dwa tygodnie, żeby wyjaśniać tak fundamentalne sprawy?

– Kiedy miałem to zrobić, jak albo nie ma jej w szkole, albo ucieka przede mną?

– Ja też specjalnie z nią nie gadam...

– Ale przed tobą nie ucieka. Szukała cię nawet niedawno...

– Niech se szuka. Zobaczę, co się da zrobić – odparłem dyplomatycznie, żeby mieć święty spokój.

Miałem sporo do przemyślenia. Dwie lekcje wcześniej Duszyk pod ławką podał mi list od Korenia. Chłopak nie zabrał nigdzie Wiktorii na walentynki, brat nie dał mu obiecanej kasy, i Koreń zamiast przyjść do Wiktorii i wszystko wyjaśnić, po prostu odpuścił sobie całą sprawę! Wiktoria czekała na niego przez cały wieczór i były to jej pierwsze od trzech lat walentynki spędzone samotnie. Teraz była śmiertelnie obrażona i nie pozwalała sobie nic wyjaśnić.

A mogła przecież pójść ze mną...

Właściwie przez te dwa tygodnie prawie z nią nie rozmawiałem. Wprawdzie zauważyłem, że była dla mnie dziwnie miła, kilka razy nawet sama podeszła do mnie, by zagaic rozmowę, ale zawsze zbywałem ja półsłówkami i trzymałem na dystans. Wiedziałem, że cały ten nagły przypływ uczuć wynikał jedynie z litości. Miała wyrzuty sumienia, że źle mnie potraktowała i chciała zachować przynajmniej pozory przyjaźni. Kilka razy zachowywała się nawet, jakby chciała podzielić się ze mną czymś ważnym, starałem się jednak nie zauważać tego i poza rozmowami o pogodzie, czy o szkole – co, jak pisałem, nie za bardzo jej wychodziło – nie poruszyliśmy żadnych poważniejszych tematów, nie wracaliśmy też do sprawy tego feralnego walentynkowego wieczoru. Nie potrzebowałem litości, zwłaszcza od żadnej dziewczyny.

Teraz jednak ujrzałem wszystko w trochę innym świetle...

– I wiesz, Durex, najlepiej powiedz, że byłem po nią, ale jej nie było, okej? – kontynuował Koreń – W skrócie mów tak, że on chciał się z tobą umówić, ale... wiesz. I nie podchodź do niej i od razu to mów, tylko jak cię zagada, okej? Żeby to tak jakoś naturalnie wyszło...

Oj, Koreń! – pomyślałem – Gdybyś ty widział, jak ona przez cały wieczór na ciebie czekała, wymyśliłbyś coś oryginalniejszego...

– Dobra, postaram się – skłamałem – Ale naprawdę cię nie rozumiem, choćbym chciał. Stary, trochę dynamizmu! Napisz do niej list jakiś, kwiatki jakieś daj albo coś... Czemu załatwiasz takie sprawy przeze mnie?

– Ona cię lubi... Zwłaszcza ostatnio. Szukała cię nawet – powiedział z nutką zazdrości w głosie.

– Niech se lubi – odparłem jak najbardziej obojętnym tonem
– Za to ja nie lubię załatwiać za kogoś takich spraw. Czuję się jak naiwna, pisząca do *Bravo girl* nastolatka. Co robić, on mnie unika?! – wrzasnąłem piskliwym głosem, żeby go zirytować – Nie lubię mieszać się w takie historie, nie wiem czego ty oczekujesz. Zachowujesz się dziwnie.

– Czemu?

– Bo z jednej strony ją olewasz, a z drugiej nie chcesz, by była na ciebie obrażona. Chcesz z nią chodzić czy nie?

– Mówiłem ci, że raczej tak...

– „Raczej”, to ty se w dupę wsadź!

– O co ci, kurwa, chodzi? Po prostu nie miałem wtedy tej kasy i głupio mi było iść do niej z pustymi rękami. Sam wiesz, że dziewczyny lecą głównie na kasę. Postaraj się z nią pogadać. Będę ci wdzięczny, okej?

– Dobrze już, dobrze – odparłem, by zakończyć rozmowę.

– Ta dziewczyna coraz bardziej mi się podoba...

– Odkąd przestała za tobą latać, ty zacząłeś nagle zwracać na nią uwagę? Stary, tak się nie robi! Mogłeś już dawno z nią być, a teraz się martw.

– Tak już jest, że dostrzegamy coś dopiero wtedy, gdy zaczynamy to tracić. Ale zobaczysz, że ja z nią będę jeszcze chodzić.

– Zobaczymy – odpowiedziałem ironicznie – Staraj się.

– Ale pogadasz z nią? – nie dostrzegł ironii w moim głosie.

– Już ci powiedziałem, że postaram się! Stary, wkurwiasz mnie...

– Dobra, nie zapomnij – Koreń dosiadł się do mnie.

– Jeszcze coś? – spytałem.

– Tak... to znaczy, chyba nie... – zawahał się.

Przez chwilę siedzieliśmy obok siebie w milczeniu. Właśnie układałem w myślach przebieg mojej przyszłej rozmowy z Wiktorią, gdy Przemek odezwał się ponownie.

– Wiesz, o czym słyszałem ostatnio? – spytał.

Byłem przekonany, że znowu w jakimś stopniu chodzi mu o nią, dlatego rzuciłem tylko od niechcenia:

– No?

– O kościele.

– Co? – zatkąło mnie. Przez chwilę pomyślałem, że mój przyjaciel przejeździł się albo coś w tym stylu. Nagle zagadnięcie mnie o kwestię Kościoła jakoś do niego nie za bardzo pasowało... Zapytałem więc ponownie:

– O czym?

– O kościele – odparł spokojnie.

– Wiesz, stary... lubię cię, ale jeśli chcesz ze mną teraz rozmawiać o sprawach wiary, to, widzisz... jakoś nie mam nastroju. Może innym razem, na jakichś wagarach albo coś. Masz dziwne predyspozycje do skakania po tematach.

– Jakiej wiary, kurwa! – przerwał mi – Chodzi mi o kościół. Budynek, ciciu!

– No, co z nim? – zapytałem, nie mniej zdziwiony.

– Słyszałem, że da się wejść na wieżę...

– Wejść? Gdzie?

– Na wieżę...

To już zabrzmiało ciekawie. Zapachniało przygodą i dawnym Koreniem. Wspinaczka na wieżę kościelną – ciekawa sprawa.

– Zaraz, zaraz, o który kościół ci chodzi?

– O nasz.

– Ducha Świętego?! – byłem w szoku, że rozmawiamy o najwyższym budynku w Mielcu – Chodzi ci o to białe, bardzo wysokie?! – wykrzyknąłem niemal.

– Ciszej, ciciu! Jeszcze cię ktoś usłyszy. Tak, słyszałem, że da się wchodzić na obie wieże kościoła. Na dzwony, na dach i dalej...

– Tak jak proboszcz wiele lat temu?

– Tak. To najwyższy punkt w mieście, ponad sześćdziesiąt metrów!

– A skąd wiesz o tym wchodzeniu? – spytałem.

– Wiesz, byłem kiedyś ministrantem...

– Słyszałem coś o tym. A tak, a pro po, to czemu już nie jesteś? – przerwałem.

– Nie chciało mi się chodzić na msze – powiedział szybko, uśmiechając się pod nosem – Ale mniejsza z tym. Przypomniałem

sobie ostatnio stare czasy i budowę kościoła. Dostać się na górę to nic trudnego, tyle że krata może być zamknięta...

– Jaka krata? – zapytałem, coraz bardziej zaciekawiony.

– Na balkonie organisty jest krata prowadząca na górę. Po takich małych, okrągłych balkonikach wchodzi się wyżej na wielki balkon z reflektorami świecącymi na ołtarz, a potem już po drabinach na obie wieże...

– Opowiedz coś więcej. To ciekawe.

Koreń zaczął powoli opisywać mi całą budowę kościoła, o tyle, o ile sam zdążył się z nią zapoznać. Zaciekawiał mnie. Mówił o jakichś małych i dużych balkonach, o poręczach, drabinach. Spodobało mi się to.

– Fajne to wszystko – powiedziałem, gdy już zakończył – Ale jeżeli ta krata jest zamknięta, to i tak nic z tego nie będzie...

– Właśnie, w tym sęk, żeby sprawdzić, czy jest zamknięta. Za moich czasów była, ale wczoraj spotkałem kumpla, który ciągle jest ministrantem i mówił mi, że teraz wszystko jest otwarte... Trzeba to sprawdzić. Może mógłbyś tam zajrzeć przy najbliższej okazji?

– Dobra, czemu nie – powiedziałem.

– Spróbuj! Byłoby świetnie, jakby się dało wejść. Podobno te dzwony są ogromne. Patrzyłem na nie wczoraj z dołu i rzeczywiście takie się wydają.

– To świetnie. Zajrzę tam, jak tylko znajdę chwilę.

– Okej. I z Wiktoria pogadaj, dobra?

– Już mówiłem, że dobra!

Zadzwoił dzwonek. Wstaliśmy i powoli poszliśmy w kierunku klasy.

Przez tę rozmowę nie dojadłem nawet bułki, co zdarzało mi się niezmiernie rzadko. Na mojej drodze pojawił się niespodziewanie kolejny zakręt. Jeszcze nie widziałem, co znajduje się dalej, mogło tam być wszystko albo nic, spełnienie marzeń, nowa przygoda albo poranna ręka w nocniku i ból głowy. Nie miałem pojęcia, jak to wszystko się skończy. Pogodne niebo świadomości zasnuwały chmury, lekkie obłoczki sunące cicho po błękitnie zmieniały się w grubą szarą watę, pleśń, która straszyla swoją mętną, niezna-

ną wcześniej, obecnością. Niby nic się nie stało, podświadomie czułem jednak, że wieża spokoju i stabilizacji, którą tak skwapliwie budowałem od kilkunastu dni, rozsypuje się powoli, cegła po cegle.

CZEŚĆ III
Biała wieża

I

W dobrym nastroju wracałem do domu. Kończył się luty, śnieg topniał, sinoszare niebo skutecznie zamykało drogę promieniom słonecznym, ale kto na moim miejscu przejmowałby się pogodą. Najważniejsze, że wiosna tryumfowała nad światem. Śmiałem się w duchu, widząc topniejące zasy śniegu, niedawno jeszcze tak groźne i trwałe, niemal odlane z betonu. Podświadomie czułem, że to już ostatni śnieg tej zimy, a temperatura w granicach dziesięciu stopni nie pozwoli już na powrót tego znieprawionego białego świętwa.

Na wiosnę zawsze chciało mi się żyć.

Myślałem o Wiktorii, a im więcej o niej myślałem, tym bardziej byłem pewny, że moje uczucie do niej wcale nie wygasło. Widziałem w myślach jej obraz, niezwykle harmonijne rysy twarzy, wspaniałe jasne włosy figlarnym kosmykiem opadające na czoło... Przez minione dwa tygodnie wmawiałem sobie, co prawda, niezwykłą na nią wściekłość, ale mimo to aureola nad jej głową nie utraciła nic ze swojego olśniewającego blasku. Czułem, że właśnie z tą dziewczyną mogłoby mnie coś łączyć, a teraz mam najlepszą okazję, aby jej to ukazać. Koreń nigdzie jej nie zabrał, spędziła samotne walentynki... Szukała mnie. I dobrze domyślałem się, dlaczego...

Teraz chyba wystarczy tylko do niej podejść, odpowiednio pokierować rozmową i...

Ula, zgodnie z tym, co uroczyście zakomunikowała, nie odezwała się do mnie przez całe dwa tygodnie. Jak zwykle chodziła w otoczeniu swoich dwóch nierozłącznych koleżanek, z których ani jedna już nigdy więcej nie powiedziała mi „cześć”. Śmieszyła mnie ta nastoletnia duma i babska solidarność.

Myślałem o Wiktorii i o... kościele. Koreń zaciekał mnie tym opowiadaniem o wspinaczce na wieżę. Po szkole nie poszedłem prosto do domu. Przeszedłem obok supermarketu *Albert* i skierowałem się w stronę górującej nad miastem białej świątyni.

Idąc deptakiem od strony Dziewiątki, całą budowlę miałem jak na dłoni. Olbrzymie, wyrastające pięćdziesiąt metrów ponad asfalt, dwie białe wieże królowały nad okolicą, zdecydowanie przewyższając wszystkie budynki; trzydziestometrowe wieżowce wyglądały przy nich jak postawione na boku pudełka od zapalek.

Od dziecka fascynował mnie ten budynek, a teraz, być może, ma się okazać, że możemy na niego wejść! Wejść na sam dach i tak jak proboszcz przed laty odśpiewać hymn *Boże coś Polskę!* Poważnie chciałem to zrobić. To naprawdę musi być coś!

Rozmarzony nawet nie spostrzegłem, jak wchodziłem na schody. Nacisnąłem klamkę. Byłem w środku.

W kościele nie było nikogo. Nie zauważyłem nawet żadnej staruszki, siedzącej i modlącej się zawzięcie w tylnych ławkach. Świetnie – pomyślałem, podszedłem pod ołtarz i spojrzałem w tył.

Nigdy wcześniej nie zwracałem uwagi na to, jaki układ posiada wnętrze kościoła, dopiero teraz miałem okazję dokładnie wszystkiemu się przyjrzeć i dobrze zapamiętać każdy szczegół.

Tuż nad wejściem znajdował się balkon organisty. Można się było na niego dostać dwiema drogami: jedna, używana przeważnie przy pogrzebach i innych uroczystościach, znajdowała się po prawej stronie, zaraz przy wejściu. Droga na górę zamknięta była stalową, pomalowaną na czarno kratą. Gdy jednak weszło się w głąb, doszło do końca ławek i skręciło w lewo, uwagę zwracała metrowej wysokości bramka na zasuwkę. To było drugie, główne wejście, z którego organista korzystał w trakcie każdej mszy. Za bramką znajdowały się schody, prowadzące na mały balkonik, zakończone porządną, wysoką aż pod sufit kratą, stanowiącą właściwe wejście na górę.

Balkon był bardzo obszerny. Organy stały na czerwonym dywanie w jego centralnej części, za nimi znajdowało się drewniane krzesło. Po bokach rozmieszczono dwa olbrzymie głośniki, za organistą zaś ławki, na których siadał chór parafialny podczas swoich nielicznych i nie najwyższych lotów występów.

Po bokach, pomiędzy kolumnami podtrzymującymi strop, znajdowały się wejścia na boczne, ciągnące się aż pod ołtarz, balkony.

W ścianie za organistą i ławkami chórzystów umieszczono troje drzwi. Za tymi po lewej znajdowały się liny do dzwonów mniejszej wieży, te po prawej kryły liny do dzwonów na większej. Przeznaczenia środkowych drzwi dowiedziałem się dopiero później. Cóż więcej...

Otóż, z balkonu organisty można było się dostać dużo wyżej. Po lewej stronie od przejścia na boczny balkon znajdowała się bowiem kolejna krata, prowadząca na nowy mały balkonik.

Takich małych, okrągłych balkoników było w sumie trzy. Połączone schodami, niczym łopaty wielkiego korkociągu, wznosiły się sporo ponad poziomem organisty. Prowadziły na kolejny, dość obszerny, balkon, zawieszony około dwadzieścia metrów nad posadzką. Tutaj znajdowały się reflektory, służące do oświetlenia całego ołtarza. Strop wspinał się jeszcze, by zakończyć się około dziesięć metrów wyżej. Zamykał od góry wnętrze kościoła, bynajmniej jednak nie stanowił dachu całego budynku. Na zewnątrz wisiał wówczas w tym miejscu wielki transparent z napisem: *Wiecznemu Bogu chwala 2000*. Dopiero ponad ten sufit, usytuowany mniej więcej na wysokości dachów najwyższych wieżowców, wystrzelały w górę dwie lśniące białe wieże: lewa, trochę większa, z pięcioma oknami w kształcie spłaszczonych, odwróconych deltoidów, i prawa, niższa wprawdzie o kilka metrów, ale równie imponująca, z trzema oknami identycznego kształtu. Wejścia na obie wieże miały się znajdować na balkonie z reflektorami.

Gdy weszło się głębiej do wnętrza kościoła, zwracała uwagę duża, ciemnoczerwona kotara, rozwieszona pomiędzy załomami murów po prawej stronie. Za nią znajdował się podnośnik pneumatyczny – wspaniałe białe cudo, zakupione z pieniędzy parafian, niezbędne do remontów ciągle sypiącego się stropu.

Zajrzałem za zasłonę. Dźwig stał obok muru, oddzielającego wnętrze kościoła od balkonu organisty. Przechodząc przez mur można byłoby dostać się na górę, z tym, że trzymetrowej wysokości ściana wydawała się nie do przebycia. Ciekawe – pomyślałem – Trzeba będzie nad tym popracować.

Na razie jednak nie próbowałem jakiegokolwiek włamania na balkon organisty. Postanowiłem poczekać na mszę i pozwiedzać

wszystko „legalnie”. Najbliższa czekała mnie już w pierwszy piątek marca, zaledwie za trzy dni. Wszystko coraz bardziej zaczynało mi się podobać. Wyszedłem przez ciężkie dębowe drzwi i zamysłony wróciłem do domu.

Przez kilka dni w szkole nie działo się zupełnie nic. Wiktorja nie pokazywała się, prawdopodobnie wagarowała, jak to ona. Choć, szczerze mówiąc, pogoda nie zachęcała do ucieczek. Niebo bezustannie pokrywały szare ciężkie chmury, wiał zimny przejmujący wiatr. Wiosna przeciągała się, leniwie stając z zimą do walki o swoje miejsce.

Piątek wstał jednak pogodny. Po niebie z rzadka przemykały niewielkie białe cumulusy, a w przydrożnych kałużach, jak w lustrze, odbijał się świeży, soczysty błękit.

Nie chciało mi się iść do kościoła. Jak wielu nastolatków miałem zakodowaną tradycyjną, polską wiarę w Boga i, nie wiem, może nawet na swój sposób w Niego wierzyłem, ale jakoś nie dostrzegałem Go w kościele i w całym tym cotygodniowym przedstawieniu, odgrywanym do znudzenia przed tłumem szarych, zmęczonych ludzi. Ktoś wymyślił, żebyśmy przed mającym się odbyć w tym roku naszym Bierzmowaniem, każdy pierwszy poniedziałek i piątek miesiąca spędzali w kościele na mszy, a na wszelki wypadek, gdybyśmy mieli odmienne pomysły na wykorzystanie tego czasu, zmuszono nas do każdorazowego noszenia ze sobą karteczek, które po mszy miały zostać podpisane przez upoważnionego do tego księdza. Lista obecności w kościele wydawała mi się pomysłem już nie tylko chorym, co nawet nieco poronionym, system jednak w tym przypadku był bezlitosny. Księża okazywali się biurokratami, nie ustępując w tym względzie urzędnikom Unii Europejskiej. Każdy więc nosił kartkę, na której znajdowało się już wówczas z pięć podpisów. Brak któregośkolwiek z nich wiązało się z trudnościami z dopuszczeniem do Bierzmowania, czym straszono nas na każdej religii średnio po siedem razy.

Po wejściu do kościoła skierowałem się od razu na lewo, do głównej kraty, prowadzącej na balkon organisty. Przeszedłem przez

małą bramkę, wszedłem na schodki. W tym miejscu, oparta o mur, leżała około dwu i półmetrowa, aluminiowa składana drabina.

Główna krata okazała się otwarta. Muzyka organów niosła się po rozświetlonym wnętrzu kościoła, gdy wszedłem na kolejne schodki. Po chwili stanąłem na balkonie organisty.

Dopóki grał, byłem poza zasięgiem jego wzroku. Powoli podszedłem do kolejnej kraty, mającej rzekomo bronić dostępu na górę. Rzeczywiście za nią znajdowały się schody, prowadzące na mały okrągły balkonik. Serce zabiło mi mocniej.

Wszystko działo się jakby w przyspieszonym tempie. Położyłem dłoń na sporej wielkości stalowej klamce. Nacisnąłem. Zamek ustąpił! Droga na górę stała przede mną otworem!

Krata zaskrzypiała przeraźliwie, gdy uchyliłem ją na odpowiednią do przecięnięcia się dalej szerokość. Przez chwilę znieruchomiałem, przekonany o tym, że zgrzyt usłyszeli wszyscy zgromadzeni w kościele ludzie.

Nie działo się jednak nic. Organy grały dalej, tłum śpiewał, organista nieco fałszywym głosem intonował kolejną pieśń. Po chwili byłem po drugiej stronie kraty. Stałem na schodach prowadzących na górę, przez chwilę wahając się, co dalej uczynić. Wspinaczka wyżej była niemożliwa bez zwrócenia na siebie uwagi. Okrągłe balkony były odgródzone przed ludzkim wzrokiem jedynie trzydziestocentymetrowym prowizorycznym murkiem. Iść tędy normalnie wyprostowanym, oznaczałoby narazić się na widok nie tylko organisty, ale i księdza wraz z wszystkimi zgromadzonymi w kościele ludźmi. Byłbym wystawiony jak mucha na łyścinie.

Byłem jednak zawziętym człowiekiem. Niewiele myśląc, skuliłem się i postanowiłem kontynuować dalszą wspinaczkę na czworaka. Przeszedłem tak niezauważony przez pierwszy balkonik. Niewysoki murek jakimś cudem idealnie wystarczał za osłonę, musiałem tylko uważać, by nikt nie zauważył żadnego fragmentu mojej kurtki, głowy, ani niczego w tym stylu. Schody prowadziły dalej.

Wspinaczka na czworaka okazywała się nie lada poświęceniem. Zarówno schody jak i podłoga balkoników najwidoczniej nie były od czasu budowy ani razu czyszczone czy nawet przecierane mo-

krą szmatą. Wszędzie zalegał ponad dziesięcioletni kurz, pozostałe po robotnikach pety, ślady po ślinie i wiele niezidentyfikowanych przeze mnie plam, bliżej nieokreślonego koloru, od zielonkawej pleśni do wpadającej w brązowy purpury. Wszystko to, wspólnie z licznymi odłamkami białego gruzu, stanowiło niesamowicie pasywną mieszaninę, którą po chwili miałem na dłoniach, kolanach, kurtce, wszędzie. Ze zgrozą patrzyłem, jak robię się coraz bielszy, od kurzu zaczynało mi się również kręcić w nosie. A droga dłużyła się w nieskończoność. Jeden balkonik, drugi, wreszcie trzeci. Przy trzecim odważyłem się spojrzeć na wnętrze kościoła.

Znajdowałem się wysoko. Bardzo wysoko. Ołtarz stąd wydawał się całkiem niewielki, zaś tłum ludzi zlewał się w brudną różnokolorową masę.

Wydawało się, że od przejścia przez kratę minęła godzina, gdy wreszcie stanąłem na balkonie z reflektorami. Tu byłem już całkowicie poza zasięgiem wzroku.

Balkon przypominał trochę ten organisty, nie było tu jednak wejścia na boczne, przeznaczone dla ludzi, tary. Na skraju balkonu, na całej szerokości, ustawione były, w tej chwili zapalone, halogeny, tuż nade mną kończył się strop. W sumie nic ciekawego. Dużo kurzu. Wszystko było całkowicie nim pokryte.

Było jednak jeszcze coś. Identycznie jak na balkonie organisty i tu znajdowało się troje drzwi. Jedne, umieszczone w ścianie po prawej stronie, były otwarte, podparte starym, wypełnionym gipsem wiadrem. Drugie, środkowe, były zamknięte i podparte jakimś zardzewiałym, ciężkim żelastwem. Odwaliłem na bok podpórę i wszedłem do środka.

Znalazłem się w zupełnie pustej, otynkowanej na szaro i wysokiej na jakieś pięć metrów, komnacie. Nie było tu kompletnie nic. Wróciłem na balkon.

Trzecie drzwi znajdowały się w ścianie po lewej stronie. Były również otwarte, podparte dla odmiany wysłużoną miotłą. Powróciłem do prawych drzwi, podpartych wiadrem, i zajrzałem do środka. Ujrzałem dokładnie to, co chciałem zobaczyć.

Komnata również otynkowana na szaro i prawie zupełnie pusta. Jedyne światło wpadało tu z wnętrza kościoła, przez wpółotwarte

drzwi. W półmroku dostrzegłem leżącą na ziemi kurtkę – pozostałość po jakimś robotniku, kolejne wiadro, również do połowy wypełnione zastygłym gipsem lub zaprawą murarską, stary, zakurzony i zepsuty halogen, jakąś bliżej nieokreśloną, drucianą siatkę i... drabinę, prowadzącą do kwadratowego otworu w suficie!

Nie była to typowa drabina. Wspiąć należało się po wbitych w mur, wygiętych w kształt litery U, stalowych prętach. Pomieszczenie miało jakieś pięć metrów wysokości. Nie namyślając się wiele, podszedłem do drabiny, uchwyciłem się pierwszego szczebla i wkrótce przechodziłem przez otwór w suficie.

Otoczyła mnie zupełna ciemność, mocny zapach piwnicy i mokrego tynku. Po kilku sekundach, gdy oczy przyzwyczyły się do nowych, mrocznych warunków, dostrzegłem, że znajduję się w obszernym, pełnym różnych bocznych ścian i zakamarków, kompletnie pustym, pomieszczeniu. Jedyne, bardzo zresztą mizerne światło wpadało przez kwadratowy otwór w podłodze, którym przed chwilą się tutaj dostałem. Zadarłem głowę do góry, jakby chcąc dojrzeć wiszące gdzieś pod sufitem dzwony, nie dostrzegłem jednak zupełnie nic. Tuż obok otworu w podłodze była jednak nowa drabina. Rozpocząłem dalszą wspinaczkę.

Po chwili poczułem, że wsuwam się w kolejny otwór w suficie. Mrok panujący dookoła zgęstniał jeszcze. Tak jak poprzednio, postanowiłem dać oczom trochę czasu na oswojenie się z nowymi warunkami. Stałem przez chwilę, czekając aż z otaczających mnie ciemności wyłonią się jakiegokolwiek kontury nowego pomieszczenia.

Czekałem bezskutecznie.

Otoczająca mnie noc wydawała się być tak gęsta, że nie dopuszczała do mych zmysłów zupełnie nic. Czerń zdawała się zalewać mnie jak smoła, odcinając na dobre umysł od zmysłu wzroku. Drugi raz w życiu, po kanałach, miałem do czynienia z taką kompletnie otepiającą człowieka ciemnością.

Nie wiedząc jak się dalej zachować, zacząłem powoli macać ściany w poszukiwaniu jakiegokolwiek punktu odniesienia. Posuwając się powoli w lewo, jak ślepiec badając stopą drogę przede mną, zacząłem powoli posuwać się naprzód. Minąłem jeden za-

kręt, załam muru. Po chwili zadrzałem. Wszedłem po kostki w lodowatą wodę!

Zawróciłem czym prędzej i „po ścianie” doszedłem do punktu wyjścia – otworu w podłodze, którym się tu dostałem. Postanowiłem iść w prawo.

Po kilku sekundach natrafiłem na załamanie muru. Cały czas trzymając się ściany, szedłem dalej, kilkukrotnie zmieniając kierunek. W końcu, przy drugim nawrocie, z kompletnych ciemności wyłonił się ledwo dostrzegalny, szary, kwadratowy otwór w suficie. Przejście do kolejnej, czwartej komnaty! Pewnym krokiem ruszyłem w tamtą stronę. Ręką namacałem nową drabinę.

W czwartej komnacie panował półmrok, za sprawą znajdującego się na jednej ze ścian rzędu okien, przez które wlewało się światło oświetlającego kościół z zewnątrz reflektora. Okna były matowe i bardzo brudne, poza poświatą padającą z pola, nie można było przez nie nic zobaczyć. Czarne ramy porastał mech, wilgoć czuć było na każdym kroku.

Wiedziałem, że znajduję się już bardzo wysoko. Wydało mi się, że komnata była nieco mniejsza od wcześniejszych, znajdujących się niżej pomieszczeń. Szary, pełen ciemnozielonych zacieków tynk, pozostałości dziwnej konstrukcji z przegnitych desek, martwa, zawieszona na kablu, na jednej ze ścian żarówka, rolka starej papy i... kolejna prowadząca wyżej drabina.

Piąta komnata była nieco mniejsza od czwartej, potwierdziły się więc moje przypuszczenia, że im wyżej się wspinam, tym wieża zaczyna się zwężać. Przedzielona dwiema ścianami działowymi sala, z rzędem okien na ścianie centralnej. Taki sam tynk, ten sam mokry zapach. Następna drabina znajdowała się na wyciągnięcie dłoni, tuż przy otworze, z którego wyszedłem.

Szóste, mniejsze od piątego, pomieszczenie, poza kolejną drabiną nie zawierało w sobie nic ciekawego. Drabina, dla urozmaicenia, znajdowała się tym razem na drugim końcu komnaty i była trochę dłuższa od poprzedniej.

Siódma komnata, zupełnie niewielka, miała tylko jedną ścianę działową, rząd okien i drabinę znajdującą się zaraz przy otwo-

rze. Oglupiały wspinałem się wytrwale do kolejnego, ósmego już otworu w suficie.

Ósma komnata miała co najwyżej trzy metry kwadratowe. Zaciekawiał mnie nieco jej kształt – widoczny wyraźnie profil w kształcie litery D, przedzielony jedynie krótką, boczną ścianką działową. Za nią znajdowała się oczywiście nowa drabina. Tym razem jednak po przeciągu, który wpadał przez otwór na górze, poczułem, że ta jest już ostatnia. Nie myliłem się.

Stanąłem pod prętami drabiny i spojrzałem w górę. Otoczył mnie wir chłodnego wieczornego powietrza. Wiatr rozwał mi włosy i, odbijając się od czubka nosa, owionął przenikliwym chłodem. Drabina prowadziła do kwadratowego otworu, po czym ciągnęła się wyżej w górę, by po kilkunastu metrach rozpląnąć się w kompletnej ciemności odległego sufitu. Pełen powagi i wzruszenia, delektując się chwilą, która za kilka sekund miała nastąpić, chwyciłem szczebel, wspiąłem się wyżej i stanąłem w pomieszczeniu z dzwonami.

Trudno opisać emocje towarzyszące mi wówczas...

Dzwony były dwa. Wielkie, w ciemnoszarostalowym kolorze, jeden nad drugim, oba zawieszane na potężnych stalowych dźwigarach, połączonych zawiasami z naprzeciwległymi ścianami. Deltoidowe okna okazały się wysokie na jakieś osiem metrów. Były zabezpieczone stalową, pordzewiałą siatką. Betonowa podłoga znajdowała się jedynie przy włazie, pod dzwonami zaś było kilka warstw grubych, przykrytych starą papą desk. Wystawały z nich trzy srebrne rury, zakończone stożkowymi daszkami. Z rur dobiegały stłumione odgłosy mszy, odbywającej się kilkadziesiąt metrów niżej. W dwóch miejscach przez deski przeciągnięte były grube liny, przytwierdzone do dźwigarów każdego dzwonu. Na ziemi obok włazu leżały pozostałości spróchniałej drabiny i kilka puszek ze smarami. Wiał niezwykle silny i zimny wiatr, co jest normalną rzeczą na tej wysokości...

A jednak to nie wnętrze pomieszczenia najbardziej zwracało moją uwagę. Wystarczyło spojrzeć za zabezpieczone siatką okno, by zapomnieć o całym świecie!

Zobaczyłem cały Mielec. Żeby tylko Mielec! Widziałem wszystko doskonale w promieniu wielu, wielu kilometrów. Żaden wieżowiec nie przesłaniał mi widoku. Patrzyłem ponad wieżowcami. Żaden dach nie krył przede mną tajemnic. Dachy bloków, szkół, sklepów, samochody małe jak żuki, ludzie wielkości mrówek... Wszystko rozświetlone tysiącem kolorowych świateł nocnego miasta. Przypomnił mi się fragment omawianego na którejś lekcji języka polskiego sonetu, autorstwa jakiegoś poety z bożej łaski:

*Wyjechałem na wzgórze i stojąc na trawie
Widzę miasto wieczorem; drogi, bramy, sady.
Tam czarna chmura sunie – to ptaków gromady
Płyną wolno, dostojnie, w noc zupełną prawie...*

Podszedłem do krawędzi okna i stanąłem na deskach przy dzwonie. Poczułem się naprawdę wolny! Stałem na najwyższym budynku w mieście, wiatr rozwiewał mi włosy, światła w blokach zajaśniały pełnym blaskiem... Jeżeli to sen, niech trwa wiecznie! Chciałem aż krzyczeć z radości do ludzi na dole. Jestem tu! Nareszcie! Zwyciężyłem!

Gdzieś tam w dole ulicami jeździły samochody, spacerowali ludzie. Nie obchodziło mnie to. Nikt nie wiedział o mojej obecności w tym miejscu, nikt nie miał nawet pojęcia, jakie to uczucie stanąć obok większego od siebie dzwonu, ponad miastem skapanym w oparach nocy. Odkrywałem w sobie dziwną siłę, ogromną moc mojej, tylko i wyłącznie mojej świadomości. Poczucie własnej wartości zaczęło nagle wzrastać, wciąż w górę i w górę, aż w końcu było na tyle wysokie, że otumaniało mnie jak narkotyki. Nareszcie odczułem, co naprawdę mogą znaczyć słowa „być ponad tym”. Stałem ponad miastem, deptając nogami umysły i ideały wszystkich znajdujących się poniżej ludzi. Niczym Konrad z trzeciej części *Dziadów* czułem się prawie równym Bogu, kompletnym panem sytuacji i samego siebie. To było potężne i piękne uczucie.

Gdy już trochę do niego przywykłem i nasyciłem umysł dumą bezgraniczną, a oczy widokiem nocnego miasta, mogłem przyjrzeć

się dokładnie samym dzwonom. Wszedłem głębiej na deski i obszedłem dolny dzwon dookoła. Z jednej strony odnalazłem odlany wypukły napis: „Ja, Duch Mądrości, Mocy i Miłości będę budził ducha Mielczan, by wciąż wielbili Boga i słyszeli wieczność”. Z drugiej strony zaś odlana została podobizna dziwacznie ułożonego ptaka, przypominającego trochę orła z godła Polski, nieco jednak inaczej ułożonego, jakby tańczącego w płomieniach.

Feniks odradzający się w ogniu.

Pod wizerunkiem Feniksa odlano napis: „Pneuma – Duch – Duch Święty”. Może więc ten ptak miał symbolizować Ducha Świętego, połączenie ognia z gołębicą?

Dzwon był olbrzymi, miał około dwóch metrów średnicy, w środku zaś wisiało ciężkie, niegdyś białe, dziś mocno pobrudzone tłustym kurzem serce. Farba odpadła w miejscach uderzeń o powierzchnię metalu.

Pneuma, jako największy dzwon, była używana jedynie kilka razy w roku, miejsca uderzeń na sercu zdążyła od ostatniego razu pokryć niewielka warstewka rdzy. Dzwon był trochę poszczerbiony u dołu. Pomyślałem, że takiego kolosa z pewnością bardzo ciężko rozkołysać w zawiasach i lekko oparłem się o niego. Ku memu zdziwieniu, dzwon bez trudu poddawał się mojej woli i zaczął leciutko kiwać się na boki. Spojrzałem na olbrzymie łożyska, na których się obracał. Były całkowicie pokryte smarem.

Drugi dzwon wisiał jakieś trzy metry nad pierwszym i był podobnej jak *Pneuma* wielkości. Również pokryty czarną anodą, z odlanymi napisami, których jednak z ziemi nie dałem rady odczytać.

Spojrzałem na zegarek – miałem jeszcze trochę czasu. Postanowiłem wspiąć się wyżej, tam, gdzie prowadziła ostatnia, około dziewięciometrowa drabina, biegnąca po ścianie obok zabezpieczonych siatką okien. Wspinaczka tędy wydawała się niezbyt bezpieczna, drabina bowiem nie miała żadnych chroniących przed upadkiem obręczy, a wiejący z ogromną siłą wiatr targał moim ciałem, w którą stronę tylko akurat mu się spodobało. Kurczowo zaciskałem palce na stalowych szczeblach. Wkrótce znalazłem się na wysokości drugiego dzwonu. W bijącym od dołu świetle reflek-

tora zdołałem odczytać jego nazwę – *Bogurodzica*, oraz dostrzec odlany wizerunek Maryi z dzieciątkiem.

Po chwili pełnej zmagañ z wiatrem wspinaczki dotarłem do kolejnego, znajdującego się ponad dzwonami pomieszczenia. Miało ono również kształt litery D i tak jak inne było otynkowane na szaro. Z sufitu wychodziła rura, która, biegnąc ukośnie, kończyła się w jednej ze ścian, tuż przy podłodze.

Całą ścianę zachodnią stanowiły wysokie na kilka metrów okna. Pofałdowane, matowe i nieco przybrudzone szyby tkwiły w ramach z dwoma klamkami. Wszystkich było pięć. Zachciało mi się otworzyć jedno z nich. Przekręciłem dolną klamkę, wspiałem się na drabinę i przekręciłem drugą. Szarpnąłem z całej siły. Usłyszałem głośne cmoknięcie i okno stanęło przede mną otworem. Z długiego parapetu poderwały się spłoszone gołębie.

Zobaczyłem Mielec z zupełnie innej perspektywy. Z tej strony mniej było domów i wysokich budynków. Widziałem za to otaczające miasto wsie, rozświetlone szklarnie w Złotnikach, dachy kilku bloków i sklepów, odległe rozświetlone kominy elektrowni w Połańcu. Pieśń sama cisnęła się na usta:

„Boże coś Polskę, przez tak liczne wieki...”

Stojąc w oknie, śpiewając i podziwiając rozległy krajobraz, dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że właściwie jestem widoczny jak na dłoni. Kościół lśnił w nocy oświetlony reflektorami, a każdy idący ulicą człowiek, jeśli tylko zadarłby głowę do góry, zobaczyłby lukę w szybach i mnie – cieszącego się kretyna. Zamknąłem okno, przekręciłem obydwie klamki i wszedłem na kolejną drabinę. Nie miałem wątpliwości – prowadziła ona na dach. Kwadratowy otwór zamknięty był przez drewniany właz. Myślałem, że będzie zabezpieczony kłódką albo czymś w tym stylu, ale gdzie tam! Chwyciłem mocniej dłońmi ostatni szczebel, zaparłem się nogami i rąbnąłem we właz głową. Odskoczył nagle, a moim oczom ukazała się szczelina, przez którą przebijało rozświetlone gwiazdami niebo. Poczulem silne podniecenie i już miałem wchodzić na dach, gdy przez przypadek w zagięciu nadgarstka dostrzegłem godzinę na moim zegarku. Za dziesięć minut kończyła się msza, musiałem schodzić. I to szybko!

Pospiesznie zamknąłem właz i zszedłem. O mało nie spadłem z kolejnej drabiny, gdy niezwykle silny podmuch wiatru wpadł przez siatkę do pomieszczenia z dzwonami. Zachwiałem się i wisiałem tak przez chwilę, patrząc w dół. Wraz z wiatrem wpadły do wnętrza zleпки odgłosów z całego miasta. Gdzieś w dole trąbiło auto, kilku ludzi rozmawiało podniesionym głosem, w oddali wyła syrena...

Wreszcie znowu stanąłem przy dzwonach. Poklepałem przyjaźnie dłonią *Pneumę*. Cichy metaliczny odgłos wypełnił na chwilę pomieszczenie.

– Jeszcze tu wrócę – wyszeptałem – Nie raz...

Nie myliłem się.

Urzekło mnie to miejsce. Silne bicie serca czułem jeszcze długo, schodząc po drabinkach w dół przez kolejne komnaty.

Aż dotarłem do zejścia do trzeciej. Gdy tylko zsunąłem się w dół, poczułem, jakbym nagle został uderzony czymś ciężkim w głowę. Ogarnęły mnie ciemne macki i wiedziałem, że czekanie, aż oczy przyzwyczają się do ciemności, będzie bezskuteczne. Dotknąłem podłogi i wziąłem głęboki oddech, by uspokoić rozpędzone bicie serca; namacałem ścianę po lewej stronie i, penetrując nogą obszar podłogi przede mną, powoli posuwałem się do przodu. Minąłem jedno zagłębienie muru, drugie. Po chwili moja stopa natrafiła na próżnię. Schyliłem się i namacałem szczebel.

Wsunąłem się do drugiej komnaty. Stąd droga była już prosta, kwadrat otworu świecił w ciemności blado-pomarańczowym odblaskiem. Teraz wystarczyło jeszcze tylko pokonać kilka szczebli i już byłem na balkonie z reflektorami.

W kościele dobiegała końca adoracja. Zacząłem schodzić na czworaka po balkonikach. Bardzo niewygodna i mało przyjemna robota.

Gdy dotarłem do kraty na balkonie organisty, byłem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Organista grał właśnie ostatnią pieśń. Krata zaskrzypiała przeraźliwie, jednak teraz niewiele mnie to obchodziło. Zamknąłem starannie przejście, po czym razem z innymi wyszedłem z kościoła. Cała wyprawa wydała mi się z tej perspektywy dość prosta. Za to sukces bezdyskusyjny. Byłem na

wieży! Niech tylko Koreń się dowie! Ale zrobi minę! Albo... co mi po jego minie? – jeszcze dziś do niego zadzwonię!

– Jestem! – wrzasnąłem, gdy tylko znalazłem się w przedpokoju.

– To widzę – odparła mama – Jak było w kościele?

– Zaskakująco, po prostu fantastycznie!

– Masz gorączkę?

– Ja? Nie... To znaczy, było zwyczajnie, jak to w kościele. Muszę zadzwonić do Przemka.

– A dzwoń. Tylko najpierw się rozbierz i ściągnij buty.

Rzeczywiście, przez cały czas miałem na sobie kurtkę, czapkę i buty. Pospiesznie rozebrałem się i sięgnąłem po telefon.

– Co to jest? – usłyszałem głos matki – Masz mokre skarpetki. Gdzieś ty przemoczył buty? Przecież droga jest sucha.

Zapomniałem nawet, że w ciemnościach trzeciej komnaty wszedłem przez przypadek do wody. Tylko jak tu się teraz wytłumaczyć? Prawdy przecież nie powiem.

– Te buty... one, widzisz, są bardzo ciepłe i nogi mi się w nich tak jakoś... pocą.

– No to nieźle ci się muszą pocić, skoro można z butów wodę wyciskać – zakpiła.

– Mężczyźni tak mają po prostu. Wy, kobiety, tego nie zrozumiecie.

– Gdyby ojcu tak się pocily w młodości, nie wiem, czy bym za niego wyszła.

– Na pewno mu się pocily tylko byłaś zakochana i tego nie dostrzegłaś. Ale to dobrze, bo pewnie nie byłoby mnie wówczas na świecie – zażartowałem i rozmowa była zakończona. Nie ludziłem się, że mi uwierzyła, musiałaby być na to dość naiwna, cóż, kiedy innego racjonalnego wyjaśnienia po prostu nie było. Na drodze do kościoła ze świecą nie znalazłoby się żadnej kałuży.

Zadzwoniłem do Korenia i zdałem mu szczegółową relację z wyprawy. Postanowiliśmy zdobyć dzwony razem, na mszy z okazji pierwszego poniedziałku miesiąca, na którą również z racji przygotowywania się do Bierzmowania musieliśmy chodzić, a która wypadła za dwa dni.

Przed poniedziałkiem była jednak jeszcze niedziela, której również nie planowałem zmarnować. Z samego rana uprzedziłem rodziców, że wybieram się na mszę o wpół do jedenastej, chociaż zawsze chodziliśmy do kościoła na dwunastą, całą rodziną. Złamanie tego rytuału należało do najtrudniejszych zadań, wejście na wieżę było przy tym właściwie bułką z masłem. Rodzice nie lubili, gdy chodziłem sam do kościoła. Pewnie podejrzewali, że zbaczam gdzieś w drodze do celu i zamiast na mszę, idę na przykład nad rzekę, lub włóczę się po mieście. Zawsze po powrocie z takiej samotnej mszy zahaczali od niechcienia o sprawy kościelne, wypytując o czym było kazanie, jaki ksiądz? Nigdy nie odpowiadałem z czystej przekory, co doprowadzało ich do białej gorączki.

II

Z wysokości wszystko jest inne. Bloki są małe, auta mają wielkość pestki dyni, a ludzi to już czasem w ogóle nie widać. Stojąc na wysokim budynku zawsze miałem porażające zmysły poczucie wyższości i własnej siły. Jako że byłem człowiekiem pełnym kompleksów odnośnie swojego charakteru i wyglądu, uczucie to, przeżywane raz na jakiś czas, pozwalało mi doskonale zachować równowagę. Kochałem być wysoko.

Z góry bowiem świat wygląda dużo lepiej. Nie widać brudnych ulic, śmieci przemierzających siłą wiatru miejskie trawniki, niezakłócona niczym samotność daje poczucie siły, że oto mogę polegać tylko i wyłącznie na sobie, nikt nie jest w stanie zepsuć mi danej chwili, która na zawsze pozostanie tylko dla mnie. Świat wydaje się z góry tylko odbiciem tego zepsutego, prawdziwego świata. Lepszym i dużo bardziej klarownym odbiciem. Wszystkie problemy jakby były w ogóle nieistotne, nic, co pozostało na ziemi, nie ma w takiej chwili znaczenia. Może to wyjaśnia fenomen wspinaczki na wieże kościelne, nałóg, który później zdominował cały nasz czas...

Była pierwsza niedziela marca. Świat był piękny, skąpany w wiosennych promieniach słońca. Całą sobotę lał deszcz, teraz

pozostały po nim już tylko niewielkie kałuże, w których na tle błękitu odbijały się białe obłoki.

W kościele był tłok. Nie przejąłem się tym i od razu skierowałem swe kroki w stronę wejścia na balkon organisty. Krata prowadząca na górę była otwarta, wejście na dzwony również. Droga po balkonikach na czworaka również wydała mi się dziecinnie łatwa. Szlak był już dużo czystszy, może dlatego.

Na balkonie z reflektorami skierowałem się na lewo, w stronę wejścia na drugą, mniejszą wieżę. Wszedłem do pierwszej komnaty i bez ociągania się rozpocząłem wspinaczkę. Wszystko szło jak po maśle, coraz bardziej mi się tu podobało.

Tak jak w drodze na wyższą wieżę, tu również w drugiej komnacie było bardzo ciemno, jednak gdy trochę odczekałem, udało mi się dojrzeć jej zarysy. Następna drabina znajdowała się obok pierwszej i była niesamowicie długa, najdłuższa z wszystkich, które dotąd spotkałem. Kilka szczebli z jednej strony połączono metalowym wzmocnieniem, o które w ciemnościach o mało nie rozciąłem sobie ręki. Wspinaczka wydawała się trwać w nieskończoność, po chwili jednak poczułem, że wsuwam się do kolejnego otworu.

Panował tu półmrok, chociaż nie dostrzegłem żadnego okna. Dość jasne światło wpadało przez kwadratowy otwór w suficie. Bez problemu dotarłem więc do nowej drabiny.

W niewielkiej i dość niskiej czwartej komnacie natrafiłem na rząd okien. Światło dnia rozświetlało dokładnie szare ściany pomieszczenia. Gdzieś w kącie lśniła niewielka kałuża. Poza tym zupełnie pusto. Nie wiedziałem, jak wysoko się znajduję – brudne, matowe szyby nie pozwalały wyjrzeć na zewnątrz – wiedziałem tylko, że duża wieża liczy sobie pięćdziesiąt sześć i pół metra, mała pięćdziesiąt dwa, krzyż zaś zawieszony jest na wysokości sześćdziesięciu trzech. W tej chwili wspinałem się na mniejszą wieżę.

Reszta komnat była bardzo podobna do czwartej, z tą tylko różnicą, że zmniejszały się wraz ze wzrostem wysokości. Wszystkie pomieszczenia, niskie i szare, rozświetlał rząd takich samych okien, w każdym na kablu wisiała żarówka, na nic jednak zdały się próby zaświecenia jej.

Tym razem już w siódmej komnacie poczułem przeciąg. Podeszedłem do kolejnego otworu. Pod drabiną leżały próchniejące deski i jedna otwarta, niemal pusta puszką po smarze. Drabina była krótka. Po chwili stałem przy dzwonach.

Były sporo mniejsze od tych, które widziałem w piątek na dużej wieży, jednak metr dwadzieścia średnicy również robił wrażenie. Pomalowane czarną, dla odmiany błyszczącą, farbą. Nieco większy, o nazwie *Lech*, znajdował się na dole. Ozdobiony odlanymi ornamentami w kształcie liści, z boku miał krótki napis: „By w każdym wieku Polska była z Bogiem. Parafia Ducha Świętego Mielec 1986”. Dzwon posiadał białe, mocno już wysłużone i pobrudzone serce. Dotknąłem miejsca, w którym podczas bicia uderzało o odlew. Była to gładka, wypolerowana stal bez śladu rdzy. *Lecha* używano najczęściej, to właśnie on bił kilka razy dziennie, wzywając ludzi na msze. Był to zresztą jedyny tutaj dzwon o napędzie elektrycznym. Obok na ścianie znajdowała się skrzynka z bezpiecznikami. W twardym metalu wyczułem wgniecenie. Wziąłem serce do ręki. Musiało ważyć ponad dwadzieścia kilo, bo dosyć opornie poddawało się mojej woli. Przechyliłem je mocno. Najlżej jak tylko się dało stuknąłem sercem o powierzchnię dzwonu. Aż przestraszyłem się efektu, jaki spowodowałem! Wnętrze komnaty wypełnił na chwilę niezwykle głośny jak na siłę uderzenia, czysty, metaliczny głos. Dźwięk był na tyle donośny, że mógł być słyszany również na dole. Stałem chwilę jak zahipnotyzowany.

Samo pomieszczenie z dzwonami nie było specjalnie zajmujące. Betonowa podłoga, podobnie jak na większej wieży, kończyła się zaraz pod dzwonem. Dalej było kilka warstw desek przykrytych papą trzy, zakryte stożkowymi daszkami rury, odgłosy mszy. Deltoidowe okna były zabezpieczone siatką, z tym że u samego dołu znajdowała się mała wyrwa. Stąd raz do roku wywieszane były flagi z okazji świąt maryjnych. Do tego celu służyły przytwierdzone do desek trzy – po jednym na każde okno – białe rurki, w które wkładano kije od flag.

Wszedłem na deski i podeszedłem do okna. Ponad dachami wieżowców można było dostrzec wszystko w promieniu wielu kilometrów. Powietrze po wczorajszym deszczu było niezwykle przej-

rzyste. Po drugiej stronie dzwonu odlany wizerunek orła w koronie i napis: „Imię moje Lech”.

Kilka metrów wyżej wisiał najmniejszy z czterech dzwonów. Pociągnąłem za linę od niego. Łatwo dawał się rozkołysać i po chwili już mocno bujał się na boki w kolebie nasmarowanych łożysk. Gdybym chciał, mógłbym wywołać małe zamieszanie... – przyszło mi naraz do głowy. Przypomniały mi się moje ukochane *Wielkie przygody małego ancykrysta...* Jednak po chwili zdrowy rozsądek zwyciężył. Chwyciłem linę i jednym mocnym szarpnięciem zatrzymałem bujający się w najlepsze dzwon.

W pomieszczeniu znajdowały się jeszcze spróchniałe szczątki starej drewnianej drabiny, kilka wciśniętych w kąt puszek ze smarami, stara brudna szmata i kawałek tektury z pudła po *Pieguskach*. Tak jak na dużej wieży, i tu była drabina prowadząca wyżej. Oczywiście na nią wszedłem i wisząc kilka metrów nad podłogą odczytałem napis na ostatnim z dzwonów: „We mnie jest imię i serce każdego z wiernych parafii Ducha Świętego w Mielcu. 1986”.

Po chwili stałem w pomieszczeniu nad dzwonami. Niewielka, szara komnata o nisko zawieszonym suficie. Jedną ze ścian stanowiły kwadratowe matowe okna, zamykane na pojedynczą klamkę, od dołu uszczelnione sporą ilością pianki (pojemniki po piance ciągle walały się po podłodze). O naprzeciwległą ścianę oparta łopata. Z sufitu również wychodziła rura i, biegnąc przez całe pomieszczenie, kończyła się pod trzecim oknem. Cały ten układ odpływowy (domyśliłem się, że służył do odprowadzania wody zalegającej na dachu), zrobiony był bardzo niedbale i prowizorycznie. Połączenie z sufitem stanowił fragment obciętej, zielonej, plastikowej butelki. Nic dziwnego, że pod rurą zalegała rozległa kałuża cuchnącej wody. Specyficzny słodkawy odór był jedną z najważniejszych cech tego pomieszczenia. Przyczyną tego były zalegające wszędzie ptasie odchody.

Całe pomieszczenie pełne było gołębiego gówna i trudno było znaleźć fragment podłogi nieskażony tą szlachetną odmianą nawozu. Przekręciłem klamkę i otworzyłem jedno z okien. Roztoczył się przede mną widok na fragment Mielca, ograniczony nieco długim parapetem oraz bocznymi ścianami. Parapet przykryty był w ca-

łości grubym na głębokość wskazującego palca dywanem gówna. Pięknie – pomyślałem – ludzie modlą się w świątyni pokrytej ptasim łajnem – próbowałem dorobić do tego jakąś ideologię, morał, ale nic mi nie przychodziło do głowy.

Postanowiłem wspiąć się na dach. Podobnie jak na dużej dzwonnicy, i tu wejście zamykał kwadratowy, dopasowany do otworu właz. I podobnie jak tam wystarczyło porządnie przywalić weń z głowy, by odskoczył z lekkim pyknięciem i by nade mną ukazało się czyste, błękitne niebo.

Wyszedłem na dach.

W pierwszej chwili trochę się przestraszyłem, dach bowiem był niewielki, cały pokryty mokrym gównem, lekko pochyły i odgradzony od przepaści jedynie około czterdziestocentymetrowym murkiem. Słońce przygrzewało niezwykle mocno, jak na początek marca i, choć znajdowałem się na dachu najwyższego budynku w mieście, to z okien wieżowców mogłem być łatwo dostrzeżony.

Pomijając kwestię bezpieczeństwa, dach był całkiem przyzwyczajony. Znajdowało się tutaj nawet wykonane z metalu podwyższenie, mogące służyć za ławeczkę. Usiadłem na chwilę i cieszyłem oczy rozległym widokiem panoramy miasta. W kątach dachu dostrzegłem kilka gołębic gniazd. Wszystkie były jeszcze puste.

Wydawało mi się, jakbym siedząc właśnie tu – na dachu najwyższego kościoła w całej okolicy – był w jakimś stopniu bliżej nieba. Wszystko stawało się większe, czystsze, bardziej wyraźne. Niebo miało kryształowo turkusowy kolor, a chmury wisiały tak nisko, że zdawało się, iż wystarczy wyciągnąć rękę, by móc zanurzyć ją w białej zwiewnej mgle.

III

Uczucie do Wiktorii było dla mnie jak ruchome piaski: im bardziej człowiek chce się wydostać, tym głębiej wpada. Otchłań wciąga go, otacza swoimi mackami, zaciska pętlę na wołającym o pomoc do bogów gardle, a w ostatnim, zaczerpniętym ogromnym

wysiłkiem łyku powietrza czuje się już wyraźnie przede wszystkim zapach i smak nadchodzącego końca. Wreszcie piasek dostaje się do ust, do nosa, do zamkniętych niby tylko na chwilę oczu, wszędzie. Wtedy następuje długa i bolesna śmierć przez uduszenie.

Tego obawiałem się najbardziej, chciałem bowiem oddychać, przede mną i Koreniem rozpościerała się przecież wspaniała perspektywa jasnej i czystej wiosny. Ostatniej w podstawówce, planowanej od dawna...

Wiosnę mieliśmy spędzić prawie w całości na wagarach i nie obchodziły mnie narzucone kontrole rodziców. Darek nadal szedł nam na rękę, według niego wszystko funkcjonowało pewnie i sprawiedliwie, cieszyliśmy się więc na myśl o trzech wspaniałych wiosennych miesiącach.

Dniem, w którym przekonałem się, że ciągle ją Kocham, był właśnie ten nieszczęsny poniedziałek.

Wiktoria przyszła do szkoły ubrana niesamowicie prowokacyjnie, w obcisłą niebieską bluzkę z dużym dekoltem. Aureola nad jej głową nabrała blasku, nie mogłem dłużej powstrzymać się od rozmowy z nią, zwłaszcza że na drugiej przerwie sama do mnie podeszła.

Dzięki swym systematycznym nieobecnościom, ciągle nie miała pojęcia, dlaczego Koreń nie zjawił się u niej w walentynki i ciągle była na niego obrażona. Nie widziałem potrzeby, by prostować tę korzystną dla mnie sytuację.

– Ładna bluzka – powiedziałem, gdy podeszła do mnie nieśmiało i jakaś zasmucona.

– Dzięki – odparła – To miło, że dostrzegasz takie rzeczy. Nie każdy to widzi.

– Wierz mi, że każdy. Tylko dla większości dużo ważniejsze jest to, co masz pod bluzką.

– A dla ciebie nie? – roześmiała się.

– Dla mnie? Bo ja wiem... – zmieszalem się – Dla mnie liczy się całość.

– To miło. Co u ciebie?

– W zasadzie nic nowego. Bawimy się trochę z Przemkiem w zdobywanie wysokich kościołów. Jakoś leci. A u ciebie?

– Z Przemkiem – westchnęła – U mnie też jakoś leci. Bawię się w podrywanie chłopaków.

– To chyba niezbyt skomplikowane jak dla ciebie, co? Nie masz ambitniejszego zajęcia?

– Nie – uśmiechnęła się – Czemu mnie unikasz?

– Ja? Unikam ciebie? Ależ skąd! – starałem się być ironiczny.

– Unikasz mnie. Zawsze, gdy do ciebie podchodzę zbywasz mnie półsłówkami. O co chodzi?

– Dziwne pytania zadajesz. Dałaś mi kosza, zapomniałaś?

– Oj, Piotrek, ale ty niemądry jesteś! Przecież to nie oznacza, że nie chcę z tobą gadać.

– Nie potrzebuję niczyjej litości, Wiki – odparłem – Szczególnie kobiecej – byłem przekonany, że tym tekstem udało mi się ją „zastrzelić” i nie będzie wiedziała, co powiedzieć.

Przez chwilę rzeczywiście milczała, wkrótce jednak odezwała się cicho.

– Miałaś rację wtedy na klatce...

– Rację? Z czym?

– Przemek nie przyszedł. Olał mnie – powiedziała bardzo cicho, jakby zawstydzona.

– Przecież mówiłem, że nie przyjdzie. Zresztą, on olewa cię od samego początku.

– Wiem, ale dopiero wtedy zdałam sobie z tego sprawę...

– I dlatego podchodzisz do mnie?

– Widzisz... Ja wtedy chciałam z tobą pójść...

– Ale wolałaś z Przemkiem?

– Wtedy tak. Ale to było dawno...

– Faktycznie! Całe dwa tygodnie i cztery dni – zakpiłem.

– I teraz żałuję, że nie poszłam z tobą...

– To miło, szkoda tylko, że po fakcie. Wiki, czy ty zdajesz sobie sprawę, co zrobiłaś? Zakochałem się w tobie, ty mnie odrzucasz. Normalna kolej rzeczy! Przecież nawet jakbyśmy poszli do tego kina, nic by z tego nie było, bo i tak ci się nie podobam. Nie mam u ciebie szans, więc i tak...

– Masz – przerwała mi nagle – I to właśnie od dwóch tygodni usiłuję ci powiedzieć.

– Mam?...

– Tak – uśmiechnęła się przepięknie, aureola nad jej głową zaświeciła wspaniałą, tęczową zorzą. Cały świat zawirował i... właśnie wtedy zadzwonił dzwonek, a Wiktoria rozplynęła się w tłumie szóstoklasistów. Zostałem na środku korytarza z burzą myśli w głowie i głupim wyrazem twarzy.

Tak jak umówiliśmy się w szkole, Koreń czekał na mnie na placu przed kościołem dokładnie za dziesięć szósta.

– Nie ma go jeszcze – powiedział na powitanie.

– Kogo? – spytałem.

– Organisty.

– Chodź do środka, zimno, a on zaraz się zjawi.

Weszliśmy do kościoła i stanęliśmy obok wejścia na balkon. Organista przyszedł po chwili. Przywitaliśmy się grzecznie, gdy przechodził obok nas, odpowiedział, uśmiechnął się i wszedł na górę.

Był to średniego wzrostu około trzydziestoletni człowiek z wąsami i bujną czupryną. Ogólnie robił bardzo sympatyczne wrażenie, pomimo krążącej o nim plotki, że gra dobrze jedynie wówczas, gdy wypije sobie kilka głębszych. Nie wiem, ile było w tym prawdy, czasami rzeczywiście grał bardzo nierówno, na jednej mszy mylił wysokości dźwięków i akordy, na innej zaś okazywał się wirtuozem najwyższej klasy. Nie miał wprawdzie zbyt dobrych organów – kościół był biedny – zafundowano mu jedynie małe, elektryczne, drewniane pudło z pedałami i dwiema zaledwie klawiaturami – nigdy jednak nie odmówiłbym temu człowiekowi talentu. A jeśli alkohol tylko mu pomagał, nie było w tym przecież nic złego.

Zaczęliśmy niecierpliwie nasłuchiwać wszystkich dobiegających nas z góry dźwięków. Wiedzieliśmy, że jeśli organista zamknie kratę od środka, ze wspinaczki na Dzwony będą nici. Staliśmy więc przez chwilę nieruchomo, rejestrując w skupieniu wszystkie dźwięki. Kroki, odgłos wyjmowania kluczy, dźwięk branej w dłoń ciężkiej kłódki, wkładania do zamka klucza, przekręcania w zamku, przeskakiwania zapadek, jedno po drugim, od-

głos zdejmowanej ze skobla kłódki, skrzypienie otwieranej kraty, kroki, przymknięcie, kroki i... cisza. Nie zamknął! Koreń mruga do mnie okiem i wskazuje głową w stronę wejścia. Kręcę przecząco swoją lepetyną i szepczę:

– Poczekał aż zaczniesz grać.

Po chwili organy na górze napełniły kościół swą grzmiącą muzyką. Otworzyliśmy małą bramkę, weszliśmy po schodkach i stanęliśmy przy głównej kracie. Była otwarta.

Organy grały spokojnie pieśń na wejście, ksiądz z grupką ministrantów właśnie ustawiał się przy ołtarzu po wyjściu z zakrystii. Zaczynała się msza. Krata prowadząca na małe balkoniki po raz kolejny niemiłosiernie zaskrzypiała. Po chwili mieliśmy wolną drogę na górę. Doszedłem do szczytu schodków i jak zwykle przybrałem pozycję na czworaka. Koreń popatrzył na mnie dziwnie.

– Klękaj, na co czekasz? – syknąłem.

– Po co?

– Nie widzisz? Na kolana!

– No, dobra – odparł niechętnie, uśmiechnął się ironicznie, ale posłusznie przybrał odpowiednią pozycję.

Zaczęliśmy mozolnie piąć się po schodkach. Już trzeci raz się tędy wspinałem i droga wydawała mi się prawie zupełnie wymięciona z kurzu i odpadków, jednak Koreń co chwilę narzekał na brud. Cóż, gdybym, jak on, miał na sobie czarną kurtkę *Nike'a* może i myślałbym podobnie. Przy obecnym stanie mojego ubioru wszystko było mi jednak obojętne.

Po chwili dotarliśmy na balkon z reflektorami. Wszedłem do pierwszej komnaty z drabiną na wyższą wieżę. Chwyciłem szczebel i rozpocząłem wspinaczkę. Po chwili otoczyły mnie ciemności i zapach mokrego tynku. Przez bladopomarańczowy kwadratowy otwór w podłodze wszedł Koreń.

– Gdzie druga drabina? – spytał.

– Tutaj, z boku.

Wyjąłem z kieszeni zapalniczki, które zabraliśmy jako niezbędne źródło światła, i zapaliłem jedną. Nikły, migotliwy płomyk rozświetlił nasze twarze. Poświeciłem Przemkowi w okolicach drabiny, ten ujął szczebel i zaczął się wspinać. Wkrótce zniknął mi

z oczu. Był w trzeciej komnacie. Po chwili i ja wspiąłem się do niego.

– Ciemno jak w dupie – usłyszałem gdzieś z boku – Durex, gdzie jesteś?

– I gówno widać – odparłem i dotknąłem czegoś, co okazało się jego dłoń.

– Gdzie kolejna drabina?

– Gdzieś tam – zapaliłem zapalki. Obie na raz. Płomień wyłonił z całkowitych ciemności nikiłe zarysy pomieszczenia. Była to bardzo duża półokrągła komnata, przedzielona z jednej strony dwiema ścianami działowymi. Pod jedną z nich znajdowała się spora, na oko dość głęboka kałuża wody, w której miałem przyjemność przemoczyć buty kilka dni wcześniej.

Przez resztę pomieszczeń przeszliśmy już bez kłopotów. Spieszyliśmy się trochę, bo Koreń chciał podczas jednej mszy wejść na obie wieże. Sprawnie pokonywaliśmy kolejne drabinki.

Wreszcie stanęliśmy przed wejściem do komnaty z dzwonami. Zimny wiatr rozwiał nam włosy, ochłodził rozpalone czoła. Pierwszy wszedłem na drabinkę i po chwili stałem już obok *Pneumy*. Poczulem się tu jak u siebie w domu. Po chwili z otworu wynurzyła się głowa Korenia.

– Ładny widok, co? – spytałem podziwiając leżące w dole rozświetlone miasto.

– Rzeczywiście... – odparł po chwili, wciąż do połowy tkwiąc w otworze w podłodze.

– Co cię tak zamurowało?

– Nie mogę uwierzyć, że tu jestem. Muszę przywyknąć.

Wszedłem na deski, zajrzałem pod *Pneumę*, pobawiłem się jej ciężkim stalowym sercem, postukałem palcem w metal, wywołując kilka dźwięcznych odgłosów. Koreń tymczasem tkwił wciąż na drabince, z otwartymi jak u ryby ustami. Nie poruszył się nawet.

– No chodź! – powiedziałem zniecierpliwiony.

– Zaraz...

Wreszcie powoli ruszył się i wszedł do pomieszczenia, na betonowy fragment podłogi. Oczarowany dotknął palcami dzwonu.

– Rzeczywiście ogromny... Dobra, chodźmy już – powiedział dziwnym głosem.

– Gdzie? – spytałem.

– Na dół.

– Oszalałeś?! Przecież dopiero tu weszliśmy. Nie podoba ci się?

– Podoba, tylko mamy iść jeszcze na drugą i możemy nie zdążyć.

– Zdążymy, stary! Chodź jeszcze na górę, na dach.

– Na dach? Po co?

– No jak to po co! Koreń, nie poznaję cię! Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że się boisz.

– Nie boję się, ale na pierwszy raz mi wystarczy... To bardzo silne przeżycie, wiesz... Zawsze marzyłem, żeby się tu znaleźć...

– Wiem, wiem, ale ja jakoś reagowałem inaczej. Od razu włączyłem na dach.

– Mi na razie wystarczy. Chodźmy na drugą. Strasznie tu wysoko...

– Aaa! To ty wysokości się boisz? – zakpiłem. Zawsze śmiałem się z ludzi mających lęk wysokości. To najśmieszniejszy lęk, o jakim w życiu słyszałem.

– Nie boję się wysokości – odparł – Tylko musi to do mnie dotrzeć. Na razie schodźmy.

– Oj, stary, nie rozumiem cię, ale dobra – schodźmy – przyznałem w końcu, zrezygnowany.

Gdy dotarliśmy do balkonu z reflektorami, było mniej więcej w połowie mszy. Przeszliśmy na prawą stronę balkonu i rozpoczęliśmy wspinaczkę na drugą wieżę. Przy pomocy migotliwego światła zapalek szło nam to całkiem sprawnie.

Po około pięciu minutach stanęliśmy obok *Lecha*. Dzwon lśnił w świetle nocnych słońc miasta, reflektorów i odbłasku ulicznych latarni. Wszystko było jakby odświętne, piękne i czyste. Dzwon błyszczał, ostre światło raziło oczy...

– Łał! – westchnął Koreń. Stał obok drabinki z otwartymi ustami i podziwem wypisanym na twarzy – Co jest wyżej?

– Jakieś okna, kupa gołębiego gówna, no i dach.

– Jakie okna?

– Takie tam, dość niskie pomieszczenie z oknami i tandetnie zrobionym odpływem. Możemy tam wejść, jeśli chcesz. Tylko dachu nie polecam.

– Dlaczego?

– Niebezpieczny, ogrodzony tylko malutkim murkiem. Idziemy?

– Możemy spróbować – odpowiedział. Pewnie chciał zrehabilitować się za strach na większej dzwonnicy. A może oswoił się już po prostu z myślą, że właśnie wszedł na najwyższy budynek w promieniu kilkudziesięciu kilometrów? Wspinaczka na górę tutaj również nie była tak karkołomna jak na większej wieży. Poza tym mieliśmy jeszcze dwadzieścia minut.

– Co tak śmierdzi? – spytał, gdy stanęliśmy obaj na zasłanej odchodami betonowej posadzce.

– Nawóz naturalny – odpowiedziałem.

Zaśmialiśmy się.

– Chcesz wyjrzeć na dach?

– Jasne – odparł, wspiął się na drabinkę i podważył dłonią klapę włazu.

W kwadratowym otworze zabłyśły gwiazdy. Koreń wychylił się do połowy i z uśmiechem zwycięzcy kontemplował widok. Widać było, że z trudem powstrzymuje wzruszenie. Pewnie zastanawiał się, na którym miejscu w rankingu najpiękniejszych chwil w życiu umieścić dzisiejszy marcowy wieczór.

– Jeszcze nie raz tu wejdziemy – rzekł.

Zamknięcie włazu i opuszczenie drabinki przyszło mu z trudem. Również zejście do komnaty z dzwonami, gdzie powoli dochodził do siebie.

– Durex, to się udało! To się nam, kurwa, naprawdę udało!

Uścisnęliśmy sobie ręce. Czas było schodzić.

Gdy z powrotem znaleźliśmy się na balkonie z reflektorami, była za pięć siódma. Właśnie dobiegała końca adoracja, wszyscy ludzie wraz z księdzem klęczeli odwrócieni w stronę ołtarza. Postanowiliśmy zejść normalnie na nogach, nie bawiąc się w trud pokonywania schodów na czworaka. Trochę obawiałem się organisty,

ale ten grał spokojnie swoje *O zbawcza hostio* i zejście wydawało się bezpieczne. Krata na dole znów groźnie zaskrzypiała.

– Zdążyliśmy – powiedziałem, gdy stanęliśmy na balkonie organisty.

Msza powoli kończyła się. Ludzie wstawali z ławek, ksiądz wchodził wraz z rządkiem ministrantów do zakrystii. Ostatnia pieśń organisty również dobiegła końca. Razem z innymi opuściliśmy budynek.

Ponad kwadrans staliśmy jeszcze na dworze, patrząc na kościół. Blask bijący od białych ścian raził oczy, strugi światła reflektorów biegly ku niebu, zatrzymując się i rozpraszając dopiero gdzieś w chmurach. Wieże wydawały się o wiele wyższe przez to światło, a widok kościoła na zawsze utrwalał się w głowie. Proboszcz wiedział, co robi, trwając przy decyzji o takim kształcie budynku – pomyślałem. Gmach, mimo swej potęgi, wydawał się być lekki, jak gołąb zrywający się do lotu. Był olbrzymi, górował nad wszystkim, przerażał. Niezwykle mi się wtedy spodobał... Miałem w sobie dziwne i rozpierające uczucie, że oto ja – mały i nic nieznaczący nastolatek, uczeń ostatniej klasy szkoły podstawowej, okazałem w jakimś sensie nad nim wyższość. Myśl ta sprawiała mi niesamowitą wprost radość, dodawała skrzydeł. Zdobyłem te obie górujące nad miastem wieże, a tego zwycięstwa nikt nigdy nie będzie mi w stanie odebrać.

IV

Był początek marca, na wokandzie dwie najważniejsze sprawy: Dzwony i Wiktoria... Wiktoria i Dzwony!

W mojej szkole byłem dość popularną osobą, a coraz bliższa znajomość z tą dziewczyną jeszcze dodawała mi sławy. Plotki rozchodzą się wśród dzieci z prędkością światła, cała klasa szósta „b” wiedziała, że Durex interesuje się Wiktoria i napotykałem na wiele wygłupów i często niecenzuralnych komentarzy. Wiktoria jakoś dziwnie odstawiała od tej grupy małych, dziecięcych szyderców. No i to dziwne światło. Prawdziwa bogini. Kochałem ją.

Koreń pewnie zaczynał się czegoś domyślać. Nie spytał mnie, czy przekazałem Wiktorii to sprostowanie o walentynkach, był dziwnie milczący, czasem czuło się jakby na coś oczekiwał, coś planował. Nie zrezygnował z niej, ona jednak, za moją sprawą, powoli zaczynała... rezygnować z niego! Może wciąż górę brała urażona duma, może chciała się w ten sposób na nim odegrać, nie wiem.

Sytuacja zaczynała mi się podobać. Miałem przewagę, którą mogłem wprawdzie szybko stracić – wystarczyłoby do tego jedna szczerza rozmowa Wiktorii i Przemka – jednak cieszyłem się tą przewagą, umacniałem ją powoli i stopniowo. Budowałem mozolnie wieżę, na której szczycie miało czekać spełnienie marzeń. Byłem już dość wysoko, wiedziałem, że wkrótce osiągnę cel... Ona będzie moja!

Koreń coś kombinował, z czymś się zmagał... Rozmawiając z nim, czuło się to wyraźnie..

Wreszcie na jednych z licznych wagarów marcowych, gdy wracając znad Tamy, byliśmy już na skrzyżowaniu Sękowskiego i Sienkiewicza, przez którą to ulicę mój przyjaciel musiał przejść, by dojść do niedalekiego swojego bloku, zagadnął mnie o Wiktorię, jakby od niechcienia:

– Słyszałem, że kręcisz z Labochą?

Pytanie padło tak nagle, że nie zdążyłem nawet przygotować na nie w myślach odpowiedniej riposty.

– Od kogo niby? – spytałem tylko, by zyskać na czasie.

– Cała szkoła o tym huczy. Durex, już ci mówiłem, żebyś dał sobie spokój. Ta dziewczyna będzie ze mną, rozumiesz?

– Już ci mówiłem, że nie kręcę z nią, po prostu z nią gadam. A to, czy ona będzie z tobą, to przecież nie od ciebie zależy, tylko od niej, rozumiesz? – zakpiłem.

– Przecież ona mnie kocha.

– Użyłbyś tu raczej formy czasu przeszłego: kochała.

– I już nie kocha, tak?

– Wiesz, jak to jest z nastolatkami. Raz kocha ciebie, a za chwilę kogoś innego. Opowiem ci kiedyś o jednej takiej. Nastolatki szybko zmieniają obiekty swych uczuć.

– Ze mnie na ciebie, co?

– Nie wiem. Ja tylko z nią gadam. Jeśli zmieniła, to na pewno na kogoś innego. Jedno jest pewne: już do ciebie nie wzdycha.

– Durex, to nie o to chodzi, czy ty z nią gadasz czy nie. Gadaj se! Ale plotki o was krążą po całej Dziewiątce, jesteście zbyt znanymi osobami. Chodzi o to, że wszystko zniosę, ale nie odbieraj mi dziewczyny, okej?

– Zaraz, zaraz... Jakiej dziewczyny?

– No... tego... potencjalnej dziewczyny, okej?

– Okej, okej. Tylko, że ona już nic do ciebie nie czuje. Zmarnowałeś swoją szansę. Z mojej strony nic ci nie grozi – skłamałem.

– Mam nadzieję – skwitował i rozstaliśmy się jakby nigdy nic.

– „Miejcie nadzieję, nie tę lichą, marną, co rdzeń spróchniały w wąty kwiat ubiera” – pożegnałem go słowami Asnyka.

Ale Wiktorია będzie moja.

Ciągle nie rozumiałem postępowania mojego przyjaciela. Czy kierowała nim wielka męska duma, potrzeba bycia nieustannie podziwianym bez konsekwencji, czy zachowywał się jak pies ogrodnika, czy, wierząc w plotki, wciąż badał zachowanie Wiktorii, czy jeszcze coś innego.

Coraz częstsze stawały się moje z nią rozmowy. Coraz częściej poruszaliśmy też dyskretne i intymne tematy. Z rozmów tych wytworzył mi się obraz Wiktorii, jako dziewczyny pięknej, skromnej, choć trochę zagubionej i, jak to ma w zwyczaju większość kobiet – szukającej na siłę prawdziwej miłości.

Kobiety bowiem, w odróżnieniu od mężczyzn, nie potrafią być nigdy samotne. O ile mężczyznę samotność potrafi motywować i odradzać, stać się kluczem do lepszego poznania siebie, do wejścia w odrębne rejony własnej tożsamości, o tyle kobieta, gdy na dłuższą chwilę zostawić ją w ciszy i spokoju własnego wnętrza, staje się od razu rozdrażniona i na siłę szuka kogoś, kto wypełni tę, jak jej się zawsze wydaje, pustą przestrzeń. Może w tej swojej krainie, w której powinna się wyciszyć, znaleźć to, co najlepsze, nie potrafi odpowiednio szukać, nie jest samodzielna i czeka aż ktoś drugi wskaże jej drogę? A może w tej przestrzeni kobiecej indywidualności jest rzeczywiście tylko pustka? Próżnia kosmicz-

na i więcej nic? Czy rzeczywiście kobieta potrafi poprawnie funkcjonować jedynie wtedy, gdy posiada mężczyznę? Kobieta bez mężczyzny jest jak okręt bez steru, z porwanym żaglem. Szuka na bezkresie oceanu życia własnej drogi, błędzi...

Wiktoria jest jak taki zagubiony okręt – myślałem. Spotykała wprawdzie na swojej drodze wielu mężczyzn, wciąż jednak szukała tej jedynej i prawdziwej miłości. Mężczyźni zlatywali się do niej jak muchy do miodu i pewnie mieli rację, była przecież wyjątkowo piękną dziewczyną. Ona jednak pragnęła czegoś więcej. Jej ponadprzeciętna cielesność, choć wciąż była dla mnie sprawą tajną i nie odkrytą, była na pierwszym planie, czułem jednak, że Wiktoria potrzebuje odnaleźć w życiu inną sferę – sferę zrozumienia i ciepła. Może to właśnie próbowała znaleźć u mnie?

Jeżeli tak było, miałem nadzieję, że potrafię jej to wszystko ofiarować. Nasz związek, choć jeszcze nie można go było nazywać związkiem, rozkwitał z dnia na dzień na szarych korytarzach Dziewiątki. Niby zwykle nasze spotkania były na językach całej szkoły, co jakoś w ogóle mi nie przeszkadzało. Chodziłem coraz bardziej zakochany.

V

Pewnego dżdżystego, marcowego dnia Duszyk przyszedł po mnie jak zwykle rano, nucąc coś pod nosem. Szybko uwinąłem się z pozostałościami wszystkich domowych czynności, po czym opuściliśmy moją chałupę.

Na polu było mokro, jednak słońce, stopniowo przebijając się swymi złotymi promieniami przez cienką warstwę chmur, dało nadzieję na ładny dzień. Kałuże parowały, drzewa mieniły się wszystkimi odcieniami świeżej zieleni, pąki na nich zdawały się rosnać w oczach. Wiosnę czuć było w powietrzu na każdym kroku.

– Co ty tak nucisz pod tym nosem? – spytałem, próbując nawiązać rozmowę.

– Kołysankę – odparł.

- Kołysankę? Rano? Dziwny jesteś...
- Nie taką kołysankę! *Kołysankę dla „przyjaciół”* Liroya. Nie słyszałeś?
- Liroya? Nie wiedziałem, że słuchasz polskiego rapu... I co to za kołysanka?
- Zajebisty tekst.
- Zaśpiewaj coś.

Duszyk ni stąd ni zowąd zaczął śpiewać, a tekst wypływający z jego ust był dziwny. Słowa przeplatające się z licznymi wulgaryzmami układały się w zwartą całość i płynęły nieprzerwaną rzeką, potokiem, który od razu wpadał w ucho i zapisywał się w pamięci. Byłem pełen podziwu dla autora tego tekstu. Po chwili i ja mogłem zaśpiewać najbardziej chwytliwe fragmenty zwrotki.

– Niezły ten Liroy – przyznałem, gdy znaleźliśmy się pod szkołą. Może nawet zapomniałbym szybko o tym wydarzeniu, gdyby następnego ranka Duszyk, zorientowawszy się, że mi czymś imponuje, znów nie zaczął wyśpiewywać coraz to innych rapowych tekstów, które od razu wyłapywałem i sam zaczynałem nucić. Nie znałem wprawdzie jeszcze melodii, ale w rapie najistotniejszy był przecież rytm, nie dźwięk. Sam zaskoczyłem się tym, że tak mi się to spodobało, byłem bowiem fanem punk rocka i progresywnego metalu, jednak trudno zaprzeczyć – wciągnąłem się w muzykę Liroya.

Trzeciego dnia powiedziałem Duszykowi, by pożyczył mi kasetę z *Kołysanką* i innymi kawałkami, na co ten odparł, że nie może tego zrobić, gdyż słucha tej muzyki kilka razy na dzień i że, co najwyżej, jeśli dam mu czystą kasetę, to może mi przegrać. Tego samego popołudnia zostałem posiadaczem własnej, pirackiej kopii kasyty Liroya *Dzień szakala, Bafangoo cz.2*. Piątego dnia znałem już prawie wszystkie teksty na pamięć i nuciłem je razem z Duszykiem w codziennej drodze do szkoły. Wiele osób mówiło mi nieraz, że mam fenomenalną zdolność zapamiętywania różnych rzeczy, tym razem jednak sam byłem zdziwiony tym, jak szybko udało mi się przyswoić wszystkie te rapowe poematy.

Było coś niezwykłego w tych tekstach: chęć ucieczki, potrzeba wyzwolenia się spod destrukcyjnego wpływu panującego systemu.

W niemal każdej z tych piosenek, choć nie wiem czy powinno się rap nazywać piosenkami, było coś, co sprawiało, że identyfikowałem się w pełni z każdym słowem, odnajdywałem w nich samego siebie, jakiś fragment mojego życia, mych własnych wspomnień z dzieciństwa, czy z ucieczki z domu. To było coś! Słuchasz tych tekstów i mówisz sobie, że to kawałki o tobie!

Dziś wiem, że nie miało to żadnej wartości, piosenek tych słuchało bowiem wówczas mnóstwo dzieciaków, moda na rap stopniowo miała rozprzestrzeniać się w kruchej wyobraźni nastolatków, i każdy z nich pewnie również mówił, że to kawałki o nim samym, choćby nawet był wychowywany w olbrzymiej willi z basenem i jeździł luksusowymi limuzynami swego bogatego tatusia... Cóż, dziwne i bardzo płytkie uczucie, ale jednak... to właśnie muzyka Liroya, przegrana przez Duszyka na kasetę dziewięćdziesiątkę, słuchana bez przerwy na rozklekotanym walkmanie, będzie mi się już zawsze kojarzyć z wyprawami na Dzwony i z całą ósmą klasą.

Wciąż sporo wagarowaliśmy. Jak zwykle były to dni spędzane nad Tamą, później jednak doszło do tego inne miejsce. Łatwo odkryliśmy, że nie musimy czekać na mszę, by wchodzić na wieże kościelne. Budynek kościoła był otwarty przez cały dzień, nie bano się złodziei, bo i ukraść nie mieliby czego z modernistycznego, niemal pustego wnętrza. Czasami w środku można było spotkać jakąś pojedynczą modlącą się staruszkę, z rzadka były to dwie lub trzy osoby, przeważnie jednak kościół świecił pustkami. Wystarczyło po prostu przyjść, wejść za zasłonę, gdzie stał podnośnik, przystawić do murku stary konfesjonał i wspiać się na murek.

Wówczas było się już na balkonie organisty, a stamtąd prosta droga prowadziła na górę. Wszystkie kraty i drzwi były zawsze otwarte. Wkrótce doszło do tego, że na wieże zaczęliśmy chodzić codziennie jak na spacer. W okolicach szesnastego marca zapisałem czarnym markerem na dachu większej dzwonnicy: *Durex, 14 wejście na dzwony i na dach najwyższego budynku w Mielcu.*

Wkrótce wieże zdobył również Duszyk. Pamiętam, jak raz postanowiliśmy wejść sobie na kościół podczas długiej przerwy w szkole. Pomysł narodził się tuż po dzwonku i oznaczał oczywiście ucieczkę z pozostałych lekcji. Świeciło wspaniałe wiosenne

słońce, siedzenie w ławce wydawało się zbyt dużą stratą czasu, kolejną lekcją zaś była matematyka z panią Kolek, przed którą Duszyk notorycznie uciekał. Po prostu wyszliśmy z chłopakami na pole, by posiedzieć jak zwykle na poręczy przy zejściu do kołtówni, gdy nagle padł pomysł Korenia: „Idziemy na Dzwony”. I poszliśmy.

Bez problemu dostaliśmy się na balkon organisty, gdzie zjedliśmy mu trochę zostawionych przez niego cukierków, po czym spokojnie, po balkonikach i drabinkach, zdobyliśmy obie wieże. Duszyk zapytany, jak mu się podobają Dzwony, prawdopodobnie nie dosłyszał pytania. Zapytany ponownie, odpowiedział cicho, nie kryjąc wzruszenia: „zajebiste”. W tym epitecie zawierał się cały zachwyt nad pięknem panoramy miasta, poczucie wielkości i moc wrażeń skondensowanych w chwili. Chłopak, którego naprawdę mało co było w stanie wzruszyć, stał na dachu kościoła, pełen podziwu, z otwartymi ustami i ze łzami w oczach. Wyglądał śmiesznie i pięknie zarazem. To już nie był ten sam, zalany wodą podczas gaszenia płonącego okapu Duszyk, ani ten rozprawiający o dupczeniu czy motoryzacji. Zaszła w nim zmiana. Podobnie jak w każdym z nas. Byliśmy jedynymi dziećmi, którzy kiedykolwiek stanęli na tym dachu.

Na początku marca w gołębih gniazdach pojawiły się jaja, wkrótce zaś w kilku z nich odnaleźliśmy pisklęta.

Strasznie śmiesznie wygląda taki mały gołąb. Jest brzydki, różowy i kompletnie nieporadny. Duże, dziwnie nieproporcjonalne, pozbawione piór różowe cielsko, długa szyja zwieńczona za dużą głową i za dużym dziobem. Po prostu groteskowy stwór.

Jak na razie nie przeszkadzaliśmy pisklętom dorastać. Zakłóciliśmy tylko spokój ich matkom, przesiadując bez przerwy na wieżach. Ptaki latały wokół betonowego murku i bojąc się zbliżyć do swoich gniazd, krążyły uparcie nieraz przez kilka godzin.

Odór gołębih odchodów, zwłaszcza po deszczu, stawał się nie do wytrzymania. Szczególnie na mniejszej dzwonnicy, którą to upodobaliśmy sobie ze względu na ciekawy układ dachu i panoramiczny widok na wszystkie strony miasta. Na dużej wieży dach od strony osiedla otoczony był trzymetrowym murem, jedy-

ny widok pozostawał dla nas w kierunku podmieieckich wiosek. Na mniejszej wieży dach był całkowicie otwartym punktem widokowym. Było tu trochę niebezpiecznie, jednak mogliśmy podziwiać dokładnie całą okolicę. Było też na czym usiąść. Jedynym mankamentem był zatkany przez gołębie ekskrementy odpływ i po deszczu woda zalegająca, dopóki nie wysuszyło jej słońce. Gołębi nawóz fermentował, gnił i przede wszystkim śmierdział. Po jakimś czasie chyba jednak przywykliśmy, bo przestało nam to przeszkadzać, zwłaszcza podczas dobrej pogody. W słoneczne dni wszystko szybko wysychało.

Siedzieliśmy więc sobie na długiej przerwie na dachu kościoła wespół z gołębiami: ja, Koreń i Duszyk. Kontemplacja widoku trwała dłuższą chwilę, po czym zajęliśmy się naszymi codziennymi sprawami. Koreń ćwiczył się wówczas w rysowaniu tzw. wrzutów, projektów graffiti. Rysował, na kartkach zeszytu i gdziekolwiek tylko był w stanie, różne fantazyjnie wykonane napisy. Zazwyczaj była to jego ksywa, skrócona do QrÑ, czyli Koreń. Ja z Duszykiem bawiliśmy się w zrzucanie z dachu różnych przedmiotów, fragmentów nawozu, układaliśmy też różne teksty piosenek będących zwykle trawestacją utworów Liroya. Próbowaliśmy, na przykład, ułożyć ocenzurowaną wersję *Kotysanki*. I tak mijał nam czas tej wiosny. Dzwony stały się dla nas środowiskiem naturalnym, narkotykiem, od którego uzależnialiśmy się coraz bardziej.

Modne stało się również zaznaczanie na wieżach swojej obecności. Polegało to głównie na wywieszeniu z okna którejś z wież, na przykład... wstęgi papieru toaletowego.

Rolkę papieru wносиło się na wieżę, po czym wyrzucało się ją z okna przez siatkę, przywiązując we wnętrzu jeden z końców. Wstęga powiewała na wietrze przez kilka dni, zazwyczaj do pierwszego deszczu, budząc zdziwienie ludzi i uśmiechy nas, zorientowanych w sytuacji.

Nie baliśmy się robić takich numerów, kościelny i księża z pewnością uzasadniali obecność wstęgi wiatrem, który po prostu przyniósł skądś jakiegoś śmiecia. Gdyby jednak przyjrzeni się bliżej tej wstędze, dostrzegliby, że na całej długości opisana jest powtarzającymi się podpisami: *Durex*, *Koreń*, *Duszyk*. Taka mała

namiastka wbijanej przez podróżników na szczytach gór czy na biegunach flagi. Pewnego razu „wypuściliśmy” z okna również niezwyklej długości taśmę filmową, zwiniętą z szuflady w sali od języka polskiego. Taśma powiewała na wietrze ponad tydzień, a i po tym okresie pozostały przywiązane do zabezpieczającej okno siatki resztki.

Tymczasem nadchodził Pierwszy Dzień Wiosny.

Destrukcyjny wpływ tekstów Liroya był na tyle duży, że zablokował mi prawie całkiem chęć (o ile jakakolwiek we mnie wcześniej była) do przebywania na lekcjach. Jeżeli już siedziałem na jakiejś, na przykład, fizyce, zwykle nie bardzo przejmowałem się tym, co się do mnie mówi. Tak było i dwudziestego marca. Kolejna jedynka, kolejne wzruszenie ramionami. Myślni byłem zupełnie gdzie indziej.

Po lekcji podszedł do mnie Koreń.

– Wszystko gotowe – oznajmił.

– No świetnie. Marzanna zrobiona?

– Już prawie. Jest na wykończeniu. Mam z nią trochę zabawy.

– Co powiedziałaś rodzicom?

– Że idziemy topić ją razem z Darkiem, całą klasą.

– Uwierzyli? W tym wieku nie robi się już raczej takich przedstawień.

– Uwierzyli.

Co roku mieliśmy z Koreniem zwyczaj robienia na pierwszy dzień wiosny wielkiej Marzanny. Robiliśmy ją na zmiany, w tym roku kolej przypadła na Przemka. Marzanna w naszym wydaniu musiała być prawdziwą, wykonaną z siana kukłą, ubraną w stare szmaty, musiała mieć co najmniej półtora metra wzrostu, mieć nogi, tułów, głowę i ręce, czyli jednym słowem być porządną lalką, nie taką, jak wykonują dzieci z młodszych klas podstawówki, z bibuły i dwóch, zbitych na krzyż patyków. Co roku podpalaliśmy Marzannę i zrzucaliśmy z balkonu Tamy do rzeki. Teraz tradycji miało również stać się zadość.

Umówiliśmy się, że następnego dnia, zamiast do szkoły przyjdę do domu Korenia, gdyż u niego miało akurat nikogo nie być

i razem pójdziemy z kukłą nad Wisłokę. Duszyk miał dołączyć do nas później. Reszta klasy też zapowiedziała chęć ucieczki z lekcji. Dzień zapowiadał się bardzo ciekawie. Osiem lat, świadomie lub nie, czekałem na ostatni, ósmy Dzień Wagarowicza. Nareszcie.

VI

Poranek dwudziestego pierwszego marca wstawał chłodny, bezwietrzny. Noc powoli odchodziła w nicość, a w brudną szarość nieba przez zimną warstwę mgły wkradał się nieśmiało błękit. Słońca nie było jeszcze na widnokręgu, jednak wszystkie stworzenia zdawały się go niecierpliwie wyczekiwać. Wstawał dzień. Naprawdę piękny i wyjątkowo ciepły jak na tę porę roku dzień.

Do szkoły wyszedłem kilka minut przed ósmą. Wziąłem ze sobą buteleczkę z rozpuszczalnikiem, mającym ułatwić podpalenie Marzanny, i zapalki.

Żeby dojść do Korenia, musiałem przejść przez teren Dziewiątki. Z powodu pięknej pogody zajęcia sportowe odbywały się na boisku. Klasa ósma „d” grała właśnie mecz. Przypatrywał im się Dziadowski. Zdziwiłem się niezmiernie, zauważyłem bowiem niemalże wszystkich chłopaków z „d”. Jest Pierwszy Dzień Wiosny, co im odbiło? – pomyślałem.

Stojący na bramce Leśniewski „Lechu” przywitał mnie:

– Co ty, Durex, do szkoły idziesz? Dzisiaj?

– Nie do szkoły, tylko obok szkoły, a to różnica. A wy? W piłeczkę sobie gracie?

– No, tak – zmieszał się – Wyszło zarządzenie Stasi, że jak ktoś dziś zwieje, to będą jakieś konsekwencje.

– Taaa... To ich ulubione słowo. Co za konsekwencje? – zainteresowałem się.

– Chuj wie! U nas prawie wszyscy dziś przyszli...

– U nas nie mam pojęcia, ale raczej nie będę jedyny. Idę teraz do Korenia, a potem będziemy topić Marzannę.

– Ale wy macie pojebane pomysły... ale tak trzymać!

– Dzięki. Na razie. Tylko broń solidnie.

- Nara – odparł i poszedłem dalej.
- Po chwili zaczepił mnie Dziadowski.
- O! Gumiecki, do szkoły idziesz?
- Tak, proszę pana – powiedziałem, jak najlepiej udając pokorę (choć raczej wcale mi to nie wychodziło).
- Przestraszyłeś się pani dyrektor?
- Tak, oczywiście – odpowiedziałem jeszcze i wyminąłem go pospiesznie, dławiąc się od wzbierającego we mnie śmiechu. A jak już wybuchnąłem śmiechem, to śmiałem się aż do domu Korenia.

Marzanna była wprost imponująca. Porządna, wypchana sianiem, półtorametrowej długości słomiana kukła, ciężka i odziana w stary fartuch sprzątaczkki. Musieliśmy ją nieść na zmianę – dźwiganie jej wcale nie było sprawą łatwą – budząc żywe zainteresowanie nielicznych przechodniów.

Koreń próbował upodobnić kukłę do wszystkich, niespecjalnie przez nas ukochanych, nauczycielek. Włosy, zrobione z grubej, czarnej włóczki, były identyczne jak włosy Zuzi – naszej fizyczki, elementy „biżuterii” symbolizowały Kolkową, zaś krzywy grymas twarzy kukły od razu przywodził na myśl Czuchrę. Musiałem przyznać Koreniowi, że wspaniale to zorganizował.

Po drodze nie spotkaliśmy nikogo z klasy, co, szczerze mówiąc, trochę mnie zaniepokoiło. Prosto z rynku skierowaliśmy się na ulicę Rzeczną i po chwili znaleźliśmy się nad kładką. Niebo było idealnie niebieskie, słońce wisiało nad horyzontem złote i jasne.

– Może lepiej byłoby ją zrzucić z kładki... – powiedział Koreń, zmęczony dźwiganie Marzanny.

– Nie – odparłem, przejmując kukłę – Miało być nad Tamą, niech będzie nad Tamą.

– No to chodźmy – odpowiedział, uwolniony od ciężaru.

Nad Tamą nie było jeszcze nikogo. Zdziwiło nas to, bo o tej porze Pierwszego Dnia Wiosny zwykle spotyka się tu już kilka grupek wagarowiczów. Woda przelewała się nad garbem, tworząc mieniącą się kolorami w świetle poranka tęczę.

Weszliśmy na balkon. Koreń trzymał Marzannę za kij u podstawy, podczas gdy ja polałem ją obficie rozpuszczalnikiem i rzucałem zapalkę.

Cała kukła stanęła w płomieniach. Szmaty, w które była odziana, skurczyły się i opadły, pozostawiając w powietrzu smugę czarnego, po spaleniu tworzyw sztucznych, dymu. Zapaliła się słoma. Marzanna w mgnieniu oka zmieniła się w świetlistą pochodnię. Przemek pokręcił chwilę kukłą jak rusztem, po czym, gdy ogień zaczął przypiekać mu palce, z impetem cisnął ją do wody. Spadała jak kometa, ciągnąc za sobą czarny ogon. Palila się jeszcze płynąc... Z okrzykami typu: „Spierdalaj zimo! Nie wracaj tu nigdy! Nie chcemy cię więcej!”, obserwowaliśmy, jak Marzanna przetacza się przez garb, gaśnie i rozpada na kawałki.

– Tyle roboty – westchnął Koreń – I poszła zima do morza!

– Nie dopłyne nawet do Połańca.

– Chuj z nią.

Postaliliśmy jeszcze chwilę na balkonie, obserwując resztki odpływającej kukły, dopóki całkowicie nie zniknęły nam z oczu. Dochodziła dziewiąta. Zauważyliśmy wzmożony ruch wagarowiczów. Zaczęło się.

Swoją drogą trochę to śmieszne, że większość z tych uczniów czeka przez cały rok, żeby pójść na wagar. Przez cały czas czekają tylko na tę jedną chwilę, będąc porządnymi, uczesаныmi i ugładzonymi, by, gdy tylko nadejdzie Pierwszy Dzień Wiosny, urwać się ze smyczy, cieszyć się przez te kilka godzin wolnością i potem przez rok nazywać się wielkim wagarowiczem. Jedne wagar w roku? Wraz z Koreniem nie miałem nigdy takich problemów.

Po chwili nad Tamą zrobiło się tłoczno. Postanowiliśmy wrócić na miasto i może spotkać kogoś z klasy. Po drodze na kładkę mijaliśmy grupki rozbawionej, ciągnącej nad rzekę młodzieży. W poczuciu wzajemnej solidarności pozdrawialiśmy się nawzajem.

Stara, drewniana kładka również była już obstawiona wagarowiczami. Przez chwilę przypomniała mi się zima. Wówczas długie godziny można było tak stać, bez narażenia na spotkanie z drugim człowiekiem. Jak bardzo różniło się dziś to miejsce.

Policji, stojącej tu co roku i wylapującej poszczególnych uczniów, nie było jeszcze, ale wiedzieliśmy, że lada moment się zjawi. Jakoś nikogo to nie odstraszało, policjanci i tak byli mało

ruchliwi. Mieli za zadanie łapać uczniów, tymczasem zazwyczaj siedzieli sobie i popijali piwo lub przegryzali w radiowozie pączki z pobliskiej piekarni Koniecznych.

Doszliśmy do skrzyżowania ulic Rzecznej i Kościuszki i natknęliśmy się na ciekawe i nieoczekiwane raczej towarzystwo. Pod ciemnoszarym i odrapanym budynkiem pierwszego LO stał Duszyk oraz pół naszej klasy, na czele z... Goską Chodor i Martą Majak! O n e na wagarach?! Wydawało mi się, że śnię, ale uszczypnięta w pośpiechu ręka zabolęła, więc...

– Wy też tutaj? – zapytałem bez przywitania.

– Tak – uśmiechnęła się Gośka – Czy tylko wy możecie chodzić na wagarę?

– Nie... no jasne, że nie! Ale ty?

– Co ja?

– No, wiesz... Przecież potępiasz wagarowanie...

– Nie potępiam, Piotruś. Po prostu nie miałam jakoś odwagi. Z Martą było jeszcze gorzej.

– Kto jeszcze poszedł z klasy?

– W s z y s c y !

– Nie wierzę!

Wydawało mi się całkiem niemożliwe, żeby ta klasa nareszcie, po ośmiu latach, zrobiła coś wspólnie. I nawet najpilniejsza z wszystkich znanych mi uczennic – Marta! Stała pod murem pierwszego LO i wyglądała na zadowoloną!

– I jak, Marta? Pierwsze wagarę? – spytałem.

– No... tak...

– Podoba ci się?

– Na razie w porządku.

– Jeszcze mnie przegonisz, zobaczysz – uśmiechnąłem się od ucha do ucha.

– Musielibyśmy się cofnąć do przedszkola – odpowiedziała uśmiechem – Aha! Nie myśl, że wtedy w lutym uwierzyłam w te narty i Szwajcarię.

– Jasne, że nie!

Zaśmialiśmy się już solidnie, na głos.

– Gdzie macie Marzannę? – spytał Paweł Kaługa.

– Już utopiona, wracamy właśnie znad Tamy.

Przyłączyliśmy się do grupki i w kilkanaście osób ruszyliśmy w dół Rzecznej. W połowie ulicy minął nas jadący nad kładkę radiowóz. Na tylnym siedzeniu dostrzegłem reklamówkę z pączkami. Policjanci też ludzie...

Byliśmy tylko jedną z licznych ciągnących nad Wisłokę grupek młodzieży. Wszyscy z uśmiechami na twarzach, niektórzy z gitarami, inni z butelkami taniego wina w ręce. Chodziłem na wagar już dość długo, nigdy jednak nie spotkałem się z takim, rodem z musicalu *Hair* Milosza Formana, klimatem.

– Chodźmy nad Tamę! – zarządził Duszyk.

Dziewczyny okazały aprobatę, więc już drugi raz tego dnia ruszyliśmy wałem w stronę budynku ujścia wody. Jak zwykle na wagarach gadaliśmy o wszystkim i o niczym, główny temat jednak stanowiła szkoła. Byliśmy ciekawi, co zrobią nauczyciele z Darkiem na czele, gdy zobaczą, że związała im nagle cała klasa. Nie byliśmy nigdy wcześniej tak zgrani, Darek pewnie nigdy nie podejrzewałby nas o coś takiego. To będzie dla niego nowość, sprawdzian dla jego metod wychowawczych. Z pewnością spróbuje niektórych zniechęcić do wagarowania jakimś obniżaniem zachowań czy czymś podobnym. Jako niemającemu nic do stracenia recydywiscie było mi wszystko jedno, wiedziałem jednak, że w przypadku innych może odnieść pożądany skutek.

Tama jak zwykle mnie zaskoczyła. Jeszcze godzinę temu wszystko tu wyglądało zupełnie inaczej. Budynek i rzeka skąpane w wiosennym słońcu, tęcza unosząca się nad garbem, na murze przybyły kolejne podpisy. Gdzieś tam na plaży siedzieli i grali w karty licealiści. Zdjęliśmy kurtki, zrobiło się bardzo ciepło.

Gośka i Marta były tu po raz pierwszy i chciały koniecznie dowiedzieć się wszystkiego o tym miejscu. Wyjaśniałem więc, niczym przewodnik w muzeum, do czego służy ten budynek, po co na wodzie jest garb, jak przebiegają procesy filtracyjne, w którym miejscu nie radziłbym się kąpać itp. Potem całą grupą przeszliśmy przez płot, gdzie ogrodzenie było trochę rozgięte, i pozwiedzaliśmy teren budynku. Zdenerwowaliśmy się z Koreniem, widząc, że wszelkie nasze podpisy, którymi mieliśmy się właśnie zamiar po-

chwalić, zostały zamalowane srebrną farbą. Nie został żaden ślad po duecie Durex & Koreń! Ogarnęła nas wściekłość. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

– Masz przy sobie korektor i markery? – spytałem Korenia.

– Jasne – odparł. Od kiedy zajmował się projektowaniem graffiti był swoistym magazynem kolorowych, niezmywalnych mazaków.

– Słuchajcie! – krzyknąłem do wszystkich – Chodźcie tu! Skoro jesteście na wagarach, a niektórzy z was są tu nawet po raz pierwszy, musicie obowiązkowo się podpisać! Kto ma, niech wyjmie korektor, mamy tu też mazaki, wszystkie kolory. Upiększmy im nieco ten budynek!

– Jasne! – zawołał Buli i Paweł. I przystąpiliśmy do dzieła.

Koreń i ja wyciągnęliśmy swoje markery, porozdawaliśmy tym, którzy chcieli. Po chwili wszystkie drzwi i poręcze zaroily się od podpisów. Spośród licznych bazgrołów stworzonych przez kolegów i koleżanki z klasy najbardziej wyróżniał się nasz, namalowany korektorem na drzwiach i poprawiony czarnym i czerwonym markerem: *Pierwszy Dzień Wiosny tu uczciliśmy topiąc Marzannę, Durex & Koreń 21.03.2000r.* Cały budynek został spisany i porysowany jak jeszcze nigdy dotąd. Żeby wszystko teraz zamalować, będą musieli się nieźle namachać pędzlem – uśmiechnąłem się, patrząc z satysfakcją na gotowe dzieło.

Posiedzieliśmy jeszcze nad Tamą i przed jedenastą zaczęliśmy wracać wałem w stronę miasta.

Piękny był świat tego Pierwszego Dnia Wiosny. Na całej długości wału, od Tamy do kładki, siedziała młodzież. Niektórzy pili wino, inni piwo, jedni grali na gitarach, dziewczyny splotały wianki z pierwszego, wiosennego zielska. Plecaki rzucone gdzieś w bok, służyły co najwyżej za wygodne siedzisko, ich zawartość nie obchodziła dziś nikogo. Wszędzie dookoła niósł się radosny śpiew młodzieży, połączony z równie radosnym świergotem ptaków. Słońce świeciło czysto i jasno.

Całą grupą stanęliśmy na kładce. Panował tu ruch jak w supermarkecie na wyprzedazy. Większość młodzieży stała, trując się papierosami i rozglądając dookoła. Jakże inaczej jest tu w zimie,

w zwykły dzień, nie w żadne Święto Wiosny – pomyślałem – przecież ci ludzie są tu tylko dlatego, że dzisiaj w y p a d a tu być... Samotność. Czy dziś w zalewie mód i kiczu jesteśmy jeszcze w stanie być samotni?

Chyba bardziej niż kiedykolwiek...

Zapatrzyłem się w płynącą pod nami wodę. Znów wydało mi się, że to kładka porusza się do tyłu nad nieruchomą, brunatną wstęgą rzeki. Chyba byłem szczęśliwy.

Kończyłem właśnie kolejny podpis naszego duetu na poręczy, gdy nagle Koreń klepnął mnie porozumiewawczo w ramię i wskazał głową na wał, wzdłuż którego biegł w kierunku kładki jakiś człowiek. Po gęstym zaroście rozpoznałem faceta z wodociągów. Wzdrygnąłem się...

Facet podbiegł do stojącego przy wejściu na kładkę radiowozu i, żywo gestykułując, zaczął objaśniać coś znudzonym, jedzącym pączki policjantom. Co chwila wskazywał wyciągniętym palcem na kładkę. Mówił podniesionym głosem, dlatego czasami poprzez szmer innych dźwięków przebijały się do nas pojedyncze słowa. Najczęstszym z nich było dewastacja.

– Oho! – powiedziałem do Korenia – Kłopoty.

Po chwili dwóch mundurowych leniwie wyszło z radiowozu i skierowało się w naszą stronę. Właśnie żegnaliśmy się z dziewczynami. Chciały iść jeszcze na miasto, na sklepy, podczas gdy my mieliśmy ochotę na kilka butelek dobrego taniego wina.

– Słuchajcie – powiedziałem cicho do chłopaków – Na „trzy cztery” powoli udajemy się na drugą stronę kładki – wskazałem na przebijających się w naszą stronę policjantów. Od razu chcieli uciekać, powstrzymałem ich ruchem ręki – To cześć dziewczyny! – powiedziałem – Miłej zabawy! Trzy cztery!

– Cześć – usłyszałem tylko.

Wycofaliśmy się powoli, nie oglądając się za siebie. Po chwili znaleźliśmy się po drugiej stronie rzeki.

– Teraz można spierdalać – powiedziałem spokojnym głosem, ale w gruncie rzeczy nie musiałem nic mówić. Wszyscy rzuciliśmy się do ucieczki.

Po chwili staliśmy na wale, po drugiej stronie rzeki. Policjanci po dotarciu do końca kładki zaniechali pogoni. Byliśmy bezpieczni.

– No i co teraz, e? – spytał Buli – Nie możemy wracać, bo zła-
pią nas.

– A jakie masz wyjście? – spytał Paweł.

– Rozpoznają nas, Durex? – spytał mnie Duszyk.

– Nie mam pojęcia, ale skoro nas gonili, możliwe...

– Chodźmy na most – rzekł Bogdan.

– Pojebało cię? To przecież z pięć kilometrów – odparł
Adrian.

– Mamy czas. Możemy iść, jak wam się chce – powiedziałem
po krótkim milczeniu.

– Jedyne, co nam się chce, to wina! – rzekł Grzesiu.

– Wino jest tam – Koreń wskazał ręką drogę wijącą się po
szczytce wału i niknącą gdzieś za horyzontem – I jeszcze dziś bę-
dzie dla nas, musimy tylko chcieć. Idziemy!

Ruszyliśmy, zdopingowani nieco tym ostatnim zdaniem. Ścież-
ka prowadziła ciągle prosto szczytem wysokiego wału. Po lewej
stronie ciągnęły się pola uprawne, zwieńczone gdzieś kilometr da-
lej kilkoma domostwami, z prawej zaś strony, od rzeki, był typowy
dla tych okolic, podmokły las. Tak niezmienny krajobraz towa-
rzyszył nam przez kilka kilometrów marszu. Słońce świeciło bar-
dzo mocno i jak na Pierwszy Dzień Wiosny pogoda była po pro-
stu letnia. Wszyscy nieśliśmy kurki w rękach, po chwili również
zdjęliśmy bluzy. Cały bagaż powkładaliśmy do zupełnie pustych
plecaków.

– Chyba naprawdę wypędziliśmy tę zimę – powiedziałem do
Korenia.

– I od razu zaprosiliśmy lato, co? – uśmiechnął się.

– I bardzo dobrze. Nie czujesz się trochę jak wygnaniec? Idzie-
my jakimś walem, w pełnym słońcu, nie mogąc wrócić na drugą
stronę Wisłoki... To nawet, kurwa, romantyczne...

– Z ciebie to chyba, Durex, poeta wyrośnie albo inne zwierzę
– podsumował Paweł.

– Jeszcze by tylko tego świata do zguby brakowało – odparłem
zamyślony.

Swoją drogą, naprawdę podobał mi się klimat tej chwili. Jesteśmy na wagarach, idziemy sobie wałem, dookoła trawy i pola, słońce świeci, niebo błękitne... Minęliśmy ciekawy rów ze służą przepustową, kilka zapadlisk i dzikich stawów. Po tej stronie rzeki nie było innych wagarowiczów. Dookoła nie widzieliśmy nikogo. Czuliśmy się, jak byśmy byli sami na świecie, a taki stan bardzo mi odpowiadał.

Po pewnym czasie okolica zaczęła się zmieniać. Wał urwał się gwałtownie, przez jakiś czas szliśmy czarną, żuźlową drogą. Minęliśmy jakieś zaniedbane gospodarstwo, a potem znów, chcąc trzymać się jak najbliżej rzeki, skręciliśmy w wijącą się wśród wysokiej trawy ścieżkę. Przeszliśmy obok zrujnowanej przez jedną z powodzi stodoly i nagle zaskoczył nas mostek. Nawet nie przypuszczałem, że w tym miejscu jakiś kanał wpadał do Wisłoki. Strumyk, pomimo, że niewielki, płynął w dość szerokim wąwozie o stromych ściankach, tak że mostek – który stanowiły dwa połączone ze sobą betonowe słupy – przyrzucony był nad czymś w rodzaju małej przepaści. W dole, rosły wysokie, pozbawione jeszcze liści krzewy. Ich wierzchołki były mniej więcej na wysokości mostku, po którym przeszliśmy gęsiego, jeden za drugim. Na szczęście nikomu nie obsunęła się noga. Po krótkim postoju ruszyliśmy dalej.

Szliśmy teraz wzdłuż ogrodzenia zdziczałego sadu – po drugiej stronie zaś mając skarpe opadającą niemal pionowo do samej rzeki. Słońce z trudnością przedzierało się przez splątane nad naszymi głowami gałęzie drzew. Przez chwilę zrobiło się niemal ciemno, wkrótce wyszliśmy jednak na odkrytą przestrzeń. Oślepiło nas światło dnia. Kilkaset metrów przed nami oba brzegi Wisłoki spinał most. Prowadziła do niego wąska, wijąca się wśród wysokiej trawy ścieżka.

Po chwili siedzieliśmy już pod mostem. Wszystkim bardzo chciało się pić, nie mieliśmy jednak nic przy sobie. Co niecierpliwi kamikadze pili wodę prosto z rzeki, inni siedzieli w cieniu, oparci o chłodny mur. Wisłoka w tym miejscu płynie niespokojnym nurtem, przypominając, że przecież jest górską rzeką. Woda rozbija się o filary mostu, tworząc pianę i liczne zawirowania.

Obok znajduje się niewielka budka strażnika. Niewielka tylko na pierwszy rzut oka, gdy bowiem wejść do niej, okaże się, że zawiera ukrytą piwnicę.

Weszliśmy na most. Po szosie mknęły samochody, kilkanaście metrów pod nami płynęła wzburzona rzeka. Czekał nas kawał drogi poboczem szosy, nie było tu bowiem wówczas jeszcze chodnika. Nie wiedzieliśmy, czy powinniśmy iść lewą czy prawą stroną.

Nie zatrzymując się, minęliśmy stację benzynową *Reg Benz*, salon opla. Stanęliśmy dopiero w parku, otaczającym zrujnowany Pałac Oborskich.

Budynek nie był jeszcze remontowany i stojąc na uboczu powoli opadał w ruinę. Żółtawy tynk łuszczył się, odpadając płatami ze ścian. Dach, pokryty potrzaskaną w kilku miejscach dachówką, porosły mchem, lata świetności miał już dawno za sobą. Chłuba Mielca, właściwie jedyny świecki zabytek w regionie, była po prostu zwykłą ruiną.

Odnależliśmy nieczynną fontannę, której głównym elementem była ogromna, stalowa kotwica. Odłączył się od nas Adrian, bo przestraszył się przejeżdżającego nieopodal radiowozu. My tymczasem rozsiedliśmy się wygodnie na kotwicy. Klóciliśmy się, z jakiego statku mogła pochodzić. Sądząc po rozmiarach, statek musiał być naprawdę spory. Koreń usiadł na szczycie kotwicy, ja z Duszykiem po bokach, reszta chłopaków rozsiała się na murku otaczającym pozostałości fontanny.

Wszyscy jednogłośnie chcieli iść na wino, ale w pobliskim sklepie uparta sprzedawczyni nie chciała nam go sprzedać. Pragnienie wina za dwa złote osiemdziesiąt groszy było jednak tak duże, że postanowiliśmy kupić je za wszelką cenę, jeżeli nie w tym sklepie to w innym. Powoli zaczęliśmy więc zmierzać w górę ulicy Legionów, w kierunku rynku, odwiedzając po kolei wszystkie monopolowe. Wszędzie powtarzała się ta sama historia. Nawet te sklepy, które zawsze sprzedawały wino choćby przedszkolakom, dziś odmawiały sprzedaży nam, jako nieletnim. Związane to było z wyznaczonymi na ten dzień kontrolami i groźbą utraty koncesji w przypadku wykrycia sprzedaży dzieciom. Zawsze te cholerne kontrole zarządza się właśnie na Pierwszy Dzień Wiosny!

Wreszcie postanowiliśmy iść do *Biedronki* – marketu stojącego niedaleko Dziewiątki, w cieniu dwóch wielkich wieżowców, w którym alkohol sprzedawany był zawsze i wszystkim, bez żadnych bzdurnych ograniczeń. Bogdan chciał przy okazji wstąpić na obiad na stołówkę szkolną, na której codziennie się dożywiał. Nam też zaczynał dokuczać głód, kupiliśmy więc w sklepie po kilka drożdżówek. Bogdan poszedł na stołówkę, my zaś weszliśmy do *Biedronki* i kupiliśmy trzy tanie wina *Bieszczady*, popularnie nazywane *Misiem*, ze względu na rysunek na etykietce. Cena poniżej trzech złotych była najsilniejszym argumentem przemawiającym za zakupem.

Gdy już mieliśmy wina w garści, a raczej w plecakach, pojawił się naturalny problem: gdzie je wypić? Byliśmy w samym centrum Borku – osiedla, na którym obowiązywał zakaz spożywania alkoholu w miejscach publicznych, poza tym znajdowaliśmy się tuż obok naszej szkoły i przesiadywanie z winem na którejś z pobliskich ławek nie wchodziło w rachubę. Brakowało tylko, żeby zobaczyli nas tu nauczyciele.

Chłopakom nie chciało się szukać żadnego ustronnego miejsca, ani tym bardziej wracać nad Wisłokę. Kilkukilometrowy marsz wałem w wiosennym słońcu dał się wszystkim we znaki. Teraz chcieliśmy po prostu pić. Cóż tu więc robić...

Sytuację uratował Koreń, wpadając nagle na, jak się wszystkim wydało, genialny pomysł.

– Mało tu wolnej przestrzeni? – spytał mnie.

– Przezeń jak przestrzeń – odparłem – tylko tu wszędzie ludzie – nie załapałem, o co mu chodzi.

– Tam nie ma – rzekł, wskazując ręką w górę. Pobiegłem wzrokiem we wskazanym kierunku i wzrok mój zatrzymał się na dachu wieżowca. Olśniło mnie:

– Nie myślisz chyba?...

– Owszem – odparł.

– Pojebało cię? Chcesz upijać się winem na dachu wieżowca? A gdzie podstawowe zasady bezpieczeństwa?

– Wspinasz się na szczyt kościoła, przechodzisz po linie nad wezbraną Wisłoką, palisz ognisko na balkonie Tamy, kładziesz się

pod pociągiem i ty mi tu pierdolisz o bezpieczeństwie, stary? Masz lepszy pomysł?

– No, nie – przyznałem niechętnie.

W innych okolicznościach wspinaczka na dach wieżowca wydawałaby mi się rzeczą najnormalniejszą pod słońcem, tym razem jednak... Z winem? Wiadomo jak działa alkohol i cały ten pomysł niezbyt mi się spodobał. Nie chciałem być świadkiem widoku spadającego z trzydziestu metrów na przykład Grzesia Adamczuka. Cóż jednak miałem do gadania – reszta chłopaków była zachwycona.

Poczekaliśmy tylko na Bogdana, a gdy się zjawił, załadowaliśmy się wszyscy do windy i wjechaliśmy na dziesiąte piętro pobliskiego wieżowca.

Prosto z windy wspięliśmy się schodkami na ostatnie, jedenaste piętro, a stamtąd przez okienko w ścianie dostaliśmy się na dach.

Dach pokryty był czarną papą, gdzieniegdzie porośnięty grzybami kominów i poprzepłatany drutami piorunochronów. Trochę podniósł mnie na duchu widok licznych pustych butelek, znak, że nie będziemy pierwszymi urządzającymi sobie w tym miejscu libację. Na wyższy segment dachu prowadziła drabinka, póki co staliśmy jeszcze na niższym poziomie, podziwiając z góry niezwykle brudny i nieciekawo dach naszej szkoły.

Po tej stronie roztaczał się przed nami widok na cmentarz, wiadukt, tory kolejowe, gdzieś w tle majaczyły trybuny stadionu z charakterystycznymi wieżami jupiterów. Dochodziła trzynasta, słońce świeciło najmocniej, jak tylko było je stać Pierwszego Dnia Wiosny, od rozgrzanej papy szło miłe ciepło. Jediną denerwującą i uprzykrzającą życie rzeczą był niezwykle silny wiatr.

Zdziwiło nas to trochę, gdyż na ziemi panowała prawie zupełna cisza, tu zaś wiatr wiał we wszystkich kierunkach, z ogromną prędkością, gwizdząc w zakamarkach kominów i załomach muru. Postanowiliśmy wspiąć się wyżej. Ująłem w ręce dwumetrową, wąską drabinkę i pokonałem kilka szczebli.

Nagle dech zaparł mi niesamowity widok...

Wieżowiec, na który wspięliśmy się, stał dokładnie naprzeciwko kościoła i teraz, gdy wychodziłem na drabinkę, biały kolos stop-

niowo wylaniał się zza powierzchni dachu. Najpierw ujrzałem sam krzyż, potem poszczególne wieże. Kościół był oczywiście sporo wyższy od wieżowca, a z tej perspektywy wydawał się jeszcze bardziej górować nad okolicą. Gdy wreszcie wyłonił się cały, otaczała go jakby wibrująca w powietrzu mgiełka, atmosfera dookoła falowała, a budynek był jakby wyśnioną zjawą, przyciągającą wzrok i paraliżującą wszystkie zmysły.

Zawisłem jak zahipnotyzowany na najwyższym szczeblu drabiny, nie mogąc oderwać wzroku od majaczącego za szklistą mgiełką krzyża. Potężne, niezapomniane wrażenie.

– No, Durex, ładuj się dalej! – usłyszałem głos Duszyka – Blokujesz przejazd!

– Już, już – odparłem i powoli wyszedłem na wyższy segment dachu, wciąż nie tracąc jednak kościoła z oczu. Po chwili obok mnie stanęła reszta kompanii.

Powoli oswajałem zmysły z niezwykłym widokiem. Cała panorama osiedla Lotników, widziana z tej perspektywy, wydała mi się dziwnie znajoma, choć byłem na tym dachu po raz pierwszy w życiu. Gdzie ja widziałem ten widok? – myślałem. Po chwili doznałem olśnienia. No jasne! To właśnie zdjęcie, zrobione z dachu tego wieżowca wygrało konkurs fotograficzny *Moje Miasto w Obiektywie* kilka dobrych lat temu i teraz widok ten ozdabiał liczne mieleckie widokówki. Dokładnie ten sam obrazek miałem wklejony do zeszytu z historii z czwartej klasy, pod podyktowaną przez Darka notatką o naszym mieście. Ten sam układ bloków, wieżowców, z kościołem jako punktem centralnym. Przybyły tylko dwa supermarkety; *Albert* i *Biedronka*, szpecąc krajobraz swoimi komercyjnymi billboardami.

Widok był naprawdę pasjonujący, całe osiedle wraz ze starówką, dostrzegłem nawet mój blok i wieżę gotyckiego kościoła w Chorzelowie. Po szosie, trzydzieści kilka metrów niżej, mknęły samochody.

Jedynym mankamentem był ten wiatr. Wiał tu jeszcze silniej niż na niższym fragmencie dachu, nie pozwalając spokojnie wylądować spragnionym odpoczynku gołębiom. Teraz zrozumiałem dlaczego tak upodobały sobie wieże kościelne – tam miały przy-

najmniej zaciszny kąć. Wiatr wyl w szczelinach kominów, co chwilę zmieniając kierunek. Po dłuższej chwili poszukiwań z trudem znaleźliśmy osłonięty nieco fragment dachu za jednym z nich.

Usiedliśmy na nagrzejanej od słońca papie i Buli odkręcił metalową zakrętkę pierwszego wina. Słodko-kwaśny zapach sfermentowanych owoców, przemieszany z odorem siarki rozszedł się wokół.

– Tanie wino jest dobre, bo jest dobre i tanie! – Buli wznosił toast i pociągnął pierwszy, wypijając od razu z pół butelki, po czym podał flaszkę Pawłowi. Byłem ciekawy, jak zachowa się Pawło, który po raz pierwszy był dzisiaj na wagarach i w ogóle uchodził za grzecznego i spokojnego ucznia.

Uśmiechnąłem się na widok, jak szybko i łapczywie dorwał się do butelki. Pewnie chciał pokazać, że nie jest gorszy od Buliego, który systematycznie starał się sprowadzać go na złą drogę. Wychylił kilka łyków i podał butelkę Bogdanowi. Zanim flaszką trafiła do mnie, było w niej widać dno.

– W takim tempie to długo tu nie zabawimy – rzekł smutno czekający na swoją kolejkę Duszyk.

Otworzyłem drugą butelkę i pociągnąłem z niej kilka łyków. Wino było ciepłe, kwaśne i ohydne. Śmierdziało siarką i zgnitymi owocami nieokreślonego gatunku. Trochę zakręciło mi się w głowie. Podobno kiedyś jeden znajomy natrafił w butelce takiego wina na martwą mysz... – przypomniałem sobie. Obrzydliwe? Być może, fakt faktem, że może nie myszy, ale owady pływające w winie zdarzały się dosyć często. W tym też dostrzegłem dwie muszki, nie mówiłem jednak o tym nikomu. Koreń i reszta kompanii zdawali się niczym nie przejmować i stopniowo wysuszali kolejną butelkę. Wino pite w takim miejscu nabierało jakby lepszego smaku i symbolicznego znaczenia.

– Jak tam jest? – spytał nagle Bogdan, wskazując szyjką flaszki na jaśniejące w słońcu wieże kościelne.

– W kościele? Całkiem miło. Tylko ksiądz czasem nudzi – odparłem.

– Nie w kościele, tylko na kościele – wycedził.

– Też w porządku. Nie myślałem, że wiesz.

- Wszyscy wiedzą – rzekł Koreń – Powiedziałem im.
- Po co?
- A po chuj to ukrywać? Chciałem się pochwalić...
- W sumie racja. Spoko. Widoki dużo lepsze niż nawet stąd.
- Wysoko? – dopytywali.
- Trochę. Trzeba uważać, żeby nie wypaść. Zwłaszcza z dachu na mniejszej wieży.
- A dzwony? Duże?
- Wielkie.
- To spoko. A! Właśnie! Darka spotkałem! – wykrzyknął podпиты już Bogdan.
- Gdzie?
- W szkole, na stołówce.
- I co?
- Nic. Powiedziałem mu dzień dobry. Kazał was pozdrowić.
- Zły był?
- Nie, chyba nie. Był jakiś bardzo dziwny...
- Dziwny?
- No. Powtarzał cały czas, że „to niesłychane”.

Gdy towarzystwo wysuszyło trzecią flaszkę, zaczęły się dziwne dyskusje, jak to zwykle wśród chłopaków bywa, o samochodach, dupczeniu, alkoholu, imprezach, grach komputerowych. Doszło nawet do kilku ostrzejszych sporów, po których Grzesiek musiał uciekać przed Bogdanem na drugi koniec dachu. Z niepokojem obserwowałem te gonitwy podpitych chłopaków, interweniując słownie, gdy tylko któryś zbliżył się zanadto do krawędzi. Wszechobecny wiatr w każdej chwili mógł przecież kogoś zwać na dół, tam, gdzie czekała na niego tylko szybka śmierć...

Po chwili towarzystwo na szczęście się uspokoiło i usiadło na papie, z plecami opartymi o komin. Poczułem się dziwnie rozleniwiony. Zdjąłem buty i wyciągnąłem się na nagrzaną powierzchnię. Reszta chłopaków poszła w moje ślady i przez chwilę trwaliliśmy tak w milczeniu.

Leżeliśmy na tym cholernym dachu, wpatrzeni tylko w błękit nieba. W końcu chyba nawet niektórzy zasnęli.

A ponad nami wciąż hulał wiatr.

VII

Następny dzień dla niektórych miał okazać się nie lada wyzwaniem. Gdy zaraz rano dostrzegliśmy w dzienniku pod datą 21.03.2000 potężny wpis: „Lekcje nie odbyły się – brak klasy”, wiadomo było, że szykuje się grubsza afera.

Napis był tak komiczny, że budził w nas śmiech przez kilka pierwszych godzin. Im jednak bliżej było do lekcji wychowawczej, tym bardziej śmiech wypierany był przez ciekawość. Mnożyły się hipotezy odnośnie zachowania Darka. Czynnikiem, który sprawił nam dużo radości była wiadomość, że byliśmy jedyną klasą, która w całości uciekła z lekcji. Do szkoły nie przyszedł nikt z ósmej „c”, co było ewenementem i sensacją na skalę Dziewiątki. Jeszcze nigdy w tych murach żadnej klasie nie udało się dokonać czegoś takiego!

Stopień ciekawości osiągnął swój punkt kulminacyjny tuż przed przyjściem Darka. Nikt z siedzących na korytarzu osób nie potrafił mówić o niczym innym.

Darek przyszedł wcześniej niż zwykle. Wpuścił nas do sali, położył teczkę na biurku i nie otwierając jej nawet, jak to miał w zwyczaju, wyszedł na środek. Wszyscy zamarli.

– No, ładną żeście mi niespodziankę wczoraj zgotowali – zaczął przemowę nasz kochany wychowawca – Tego tu jeszcze nie było. Cała klasa! Wiecie co? To przechodzi ludzkie pojęcie! Jaka organizacja! Jestem pod wrażeniem. To już inne klasy zostały; było w nich po kilka, kilkanaście osób, ale przyszli... a wy!?! Jeszcze niektórzy byli tak bezczelni, że na lekcje nie przyszli, ale na obiad do szkolnej stołówki to się załapali! – spojrzeliśmy na uśmiechniętego Bogdana – Czy wy myślicie, że jak wszyscy zwiejecie, to się wam nic nie zrobi?! Wręcz przeciwnie! Ja chyba specjalną wywiadówkę zrobię, bo zachowujecie się skandalicznie! Zrobię wywiadówkę specjalnie, by poinformować rodziców o zachowaniu co niektórych z was! Ciekaw jestem tylko, czy sami

na to tak jednomyślnie wpadliście, czy ktoś to zorganizował. Kto to wymyślił? Na pewno jest ktoś, kto za to odpowiada!

Cały Darek. Znowu: „kto to wymyślił”.

– Kto miał wymyślić? Przecież to Pierwszy Dzień Wiosny. Nikt nie siedzi w szkole! To tradycja! – posypały się pojedyncze głosy z różnych stron sali. Najpierw cicho, później coraz głośniej.

– Cisza! – Darek wałnął drewnianym wskaźnikiem w stół – Nie wierzę! Ktoś musiał na to wpaść! Byliście przecież normalną klasą, a normalne klasy nie uciekają w całości z lekcji. Zawsze ktoś zostaje! Uczę trzynaście lat i pierwszy raz zdarza mi się coś takiego! Pytam więc, kto jest temu winien!? Kto to zorganizował!?

– Ale, naprawdę nikt... – odezwały się nieśmiałe głosy.

– Nie wierzę! – przerwał Darek – Pytam po raz kolejny: Kto to wymyślił?!

Wówczas pomyślałem: Co mi tam? Dałem znak Koreniowi. Zrozumiał i obaj jak na zawołanie podnieśliśmy się z krzesel.

Uważałem, że zbiorowe wagarowanie w gruncie rzeczy mogła być nasza wina. To przecież ja i Koreń od lat uciekaliśmy i namawialiśmy do tego innych. Jeżeli teraz możemy wziąć całą winę na siebie i uratować klasę, to właśnie należy to zrobić. Stanęliśmy więc dumnie przy swych ławkach.

– No, proszę! – powiedział Darek – Gumiecki i Korzeniowski! Jasne. Tradycyjni, systematyczni wagarowicze. Ludzie! Ja już przymykam na was oko, wagarujcie już sobie, przedłużajcie ferie, to i tak wasz ostatni rok, kiedyś wam się to skończy... Ale teraz przeholowaliście! Żeby tak całą klasę? Jak...

– Nie pochlebiajcie sobie – przemowę Darka przerwały dwa dobiegające z dwóch różnych kątów klasy głosy.

Obejrzałem się. To Buli i Gośka. Wstali właśnie ze swoich miejsc z głowami podniesionymi do góry.

– No proszę! – rzekł po chwili ciszy zdziwiony Darek – Macie coś do powiedzenia?

– Tak – zaczęła Gośka – To wcale nie było tak jak pan myśli. Nikt nie organizował tych wagarów i każdy poszedł z własnej woli. Każdy poszedł, bo chciał pójść. Nikt nikogo nie zmuszał, ani nie namawiał. Ja poszłam sama, dlatego że chciałam.

– Ja też – rzekł Buli.
– Ja też.
– I ja – odezwały się głosy, a poszczególni uczniowie zaczęli wstawać ze swoich miejsc.

Po chwili za moimi plecami stała już cała klasa. Darek zaniemówił.

– Ale... dlaczego? – spytał po dobrej minucie wyczekiwania.
– Jak to dlaczego? – odparłem.
– Tradycja – rzekł Koreń.
– Stara jak świat – zakończył Bogdan.
– Czy myśli pan, że tylko Piotrek z Przemkiem mają monopol na chodzenie na wagary? – zapytała Gośka.

Darek opadł na krzesło. Zapadło chwilowe milczenie.

– Nawet nie chce mi się was karać... – westchnął ciężko po niezwykle długiej pauzie – Bo w czym wam to pomoże? – zamyslił się – Każdy niech wpisze sobie do zeszytu uwagę. Notować! Więc... Dnia dwudziestego pierwszego marca uciekłem z lekcji. Baśka, zbierz mi te zeszyty – powiedział, gdy wszyscy usiadłszy w ławkach zapisaliśmy, a gdy dwadzieścia sześć zeszytów znalazło się na jego biurku, złożył pod każdą z tych uwag swój podpis – A teraz, uwagi te widzę podpisane przez waszych rodziców najpóźniej do końca tygodnia, zrozumiano?! Wy nawet nie wiecie, co ja wczoraj tu miałem przez was! Nauczyciele przychodzą, czekają na klasę pod salą, a klasy nie ma!

Wybuchliśmy śmiechem.

– Cisza! – Darek znów użył swojego niezawodnego wskaźnika – Was to śmieszy, a mi naprawdę nie było wesoło. Ja za was odpowiadam! I wszyscy ci nauczyciele przychodzili ze skargą do mnie! W sumie każdy był zadowolony, bo zyskał okienko na kawę, ale nie o to chodzi! Wstydu najadłem się przez was i tyle! Aha! Każdy musi dostać po minus dwadzieścia punktów w zeszytcie uwag za ucieczkę.

– Czy to konieczne? – posypały się głosy.

– Tak. I bez dyskusji. Muszę was jakoś zniechęcić do wagarowania. Niektórych wiem, że się nie uda... – spojrział na mnie – ale

resztę tak. Żeby mi się to nigdy więcej nie powtórzyło! – zagrzemiał na koniec.

W gruncie rzeczy wiedział, że to się już nigdy więcej nie powtórzy. To był nasz ostatni wspólny Pierwszy Dzień Wiosny.

Wpisywanie ujemnych punktów zajęło Darkowi resztę lekcji. Wreszcie byliśmy wolni. Przeszło dużo bardziej gładko, niż się obawialiśmy.

Po raz pierwszy w życiu byłem tak poważnie wzruszony czyjąś postawą. Bo to, co pokazała wówczas moja klasa na zawsze pozostanie mi w pamięci. W jednej chwili staliśmy się porządną zgraną paczką. Szkoda tylko, że trzeba było na to czekać aż osiem lat...

Następnego dnia w szkole miałem ciągle znakomity humor. Historia naszej ucieczki wciąż była głośna i mówiło się praktycznie tylko o tym. Być członkiem najbardziej zgranej klasy w dziejach szkoły było naprawdę ciekawie. Nauczyciele wciąż wypytywali nas, gdzie byliśmy. Niektórzy nawet, jak pan Wolfiński, gratulowali nam wzorowej organizacji. Co do mnie, nie miałem pojęcia jak do tego doszło, że w końcu zrobiliśmy coś wspólnie. Zastanawiałem się, gdzie, podczas gdy my byliśmy nad Wisłoką, podziwiała się reszta tak zwanych zwykłych uczniów, takich, którzy są w każdej klasie, a którzy nigdy nie poszliby na wagary. Jak to się stało, że i oni zniknęli? Mieliśmy przecież całkiem sporo kujonów, szarych myszek i innych zwierzaków.

W przypiływie energii postanowiłem odnaleźć Wiktorię i zamienić z nią kilka słów. Od jakiegoś czasu planowałem wreszcie wyznać jej wszystko, powiedzieć co o niej myślę, wyłożyć kawę na ławę i zaproponować związek. Może się zgodzi... a wtedy niech się wali i pali, a będę szczęśliwy. Cała energia sprzed walentynek powróciła, zawód, jakiego wówczas doznałem, odszedł w niepamięć. Byłem zakochany. Szczęście było w zasięgu ręki, do jego pełni brakowało tylko jej.

Właśnie miałem do niej podejść i powiedzieć, że ją najnormalniej na świecie kocham, gdy zadzwonił dzwonek. Przełożyłem więc akcję na kolejną przerwę. Znów jednak dzwonek pomieszał mi szyki. Pomyślałem, że jeżeli nie zdobędę się na refleks, w koń-

cu stracę odpowiednią chwilę, przegapię właściwe nastawienie psychiczne i wówczas z wszystkiego będą nici. Na długiej przerwie odnalazłem więc obiekt mych westchnień.

Obiekt siedział pod swoją klasą na ciemnym korytarzu, rozświetlony luną bijącą z wnętrza swego niematerialnego ciała. Jej widok odebrał mi całą pewność siebie, a jasność i płynność formułowania myśli, tak dobrze przecież przeze mnie wyćwiczoną, trafił w jednej chwili szlag.

– Cześć – powiedziałem, gdy dostrzegła moją obecność.

– Cześć! Miło cię widzieć...

– Co u ciebie?

– Wszystko dobrze. A u ciebie?

– Słuchaj, mam pytanie... Czy mogę napisać coś na ciebie na ścianie?

– Jasne. Tylko pod warunkiem, że to nie będzie nic złego.

– Gdzieżbym śmiał – rzekłem i zdrowo opierdoliłem się w duchu. Co ty wyprawiasz?! Napisać na ścianie?! Jesteś żaloszny! Boże, ale kretyn, napisać coś na ścianie!!! Wziąłbyś najlepiej, albo się utopił, albo zmądrzał! Masz przecież piętnaście lat do cholery! N a p i s a ł n a ś c i a n i e ?! Kurwa...

Słowo się jednak rzekło. Pożegnałem się z Wiktoria pod jakimś pretekstem i jeszcze tego samego dnia w oczywistych miejscach szatni znalazły się dość spore napisy: *Wiktoria Labocha Kocham Cię! Twój wielbiciel* – pomyślałem, że podpis, taki sam jak na walentynce, pozwoli jej domyślić się, czyjego autorstwa są te gryzmoły. Nie myliłem się. Wiktoria odnalazła mnie zaraz rano następnego dnia. Był to piątek.

– No i napisałeś! – wykrzyknęła na powitanie.

– Co?

– Nie udawaj! Wiem, że te nowe napisy na ścianie w szatni są twoje!

– Jakie napisy? O czym ty, dziewczyno, mówisz? Żle spałeś czy co? – udawałem niezorientowanego.

– Chodź! – nie wytrzymała, chwyciła mnie za rękę i zaczęła ciągnąć po korytarzu w stronę zejścia do szatni. Nie opierałem się

zbyttnio, byłem nawet dumny, że taka dziewczyna ciągnie mnie za rękę przez pół szkoły. Taki był ze mnie kretyn.

Zatrzymaliśmy się przy bocznym zejściu, tam gdzie koncentrowały się podpisy wszystkich z Dziewiątki. Było tu mnóstwo napisów: *Durex & Koreń*, no i oczywiście dwa, całkiem nowe: *Wiktoria...*

– Co to jest? – zapytała, wskazując na napis.

– W-ko-ria La-bo-cha ko-cham cię – wysylabizowałem –
O kurcze! Ktoś cię kocha! Cieszysz się?

– Nie udawaj! Wiem, że to ty!

– A nawet jeśli?

– Jeśli?

– Jeśli to ja. I jeśli to prawda? Co w tym złego?

– Oj, Piotrek, o takich rzeczach się nie pisze na ścianach...

– Co? – zatkało mnie – Przecież sama jeszcze niedawno pisałaś na Przemka.

– Nie niedawno, tylko w październiku, a to kawał czasu i wystarczy, żeby zmądrzeć. Zresztą... wtedy tylko mi się tak wydawało.

Cholera, ale ja się ucieszyłem.

– Serio tak myślisz? – spytałem.

– Tak – odparła, uśmiechając się i lekko rumieniąc.

– No to przepraszam, widzisz, wiele osób tak pisało od zawsze. Myślałem, że to taki specyficzny sposób wyrażania uczuć w dzisiejszych czasach. Zgodziłaś się...

– Nie na to! Ale ty niedzisiejszy jesteś! Wiadomo, że to miłe, ale ta druga osoba może zawsze poczuć się dziwnie. Sporo chłopaków już tak na mnie pisało, a skąd ja mam wiedzieć, za którym napisem kto się ukrywa i kto jest szczerzy, a kto tylko... wiesz...

– To już chyba kwestia kobiecej intuicji. Podobno macie coś takiego. Bo jeśli chodzi o szczerłość, to mi akurat możesz zaufać.

– Chciałabym, ale...

W tym momencie oczywiście stało się to co zwykle – zadzwonił dzwonek.

– Wrócimy do tego – powiedziała, uśmiechając się, puszczając w końcu moją dłoń i wchodząc powoli na górę. A ja stałem jeszcze przez kilka minut na tych schodach, wspominając dotyk i ciepło jej

ręki. Już niedługo, stary – myślałem – a tę rękę będziesz miał dla siebie tylko na wyłączność.

Co kilka dni, dla sportu, wchodziliśmy na wieże kościoła. Zazwyczaj szedłem z Koreniem, czasami dołączał do nas Duszyk. Na szczytach wież spędzałem każdą ze mszy, na które musiałem chodzić. Istny nałóg. Matka dziwiła się mojej odmianie, bo dotąd trzeba mnie było wyganiać do kościoła. Teraz latałem tam jak na skrzydłach.

Oprócz panoramy miasta, obserwowaliśmy powolny rozwój gołębih piskląt. Z różowych i pokracznych stworzeń powoli zaczynały wyrastać prawdziwe ptaki. Najpierw na ciełe pojawiały im się liczne, jak to określaliśmy, rurki, które powoli rozwijały się na naszych oczach w pióra. Pisklęta zaczynały przypominać gołębie. Duszyk cały czas chciał nauczyć je latać, zrzucając z wieży, powstrzymywałem go jednak, widząc, że pióra ptaków nie są wciąż wystarczająco rozwinięte, a ogonów to wcale jeszcze nie było.

Coraz częściej potrzebowaliśmy jednak trochę większych emocji, dlatego zaczęliśmy wchodzić na mniejszą wieżę w okolicach godziny dwunastej, w czas bicia dzwonów.

Codziennie w południe bił Lech i wtedy zazwyczaj znajdowaliśmy się tuż przy nim. Niesamowite przeżycie: siedzisz w niewielkim pomieszczeniu, otoczony siatką, kilkadziesiąt metrów nad ziemią, w towarzystwie olbrzymiego dzwonu i ten nagle zaczyna bujać się na boki. Najpierw powoli i spokojnie, poruszany niewidzialną siłą nabiera mocy i rozpędu... Serce stopniowo przybliża się do metalu... Wreszcie następuje pierwsze uderzenie, głośnie i odbijające się we wnętrzu czaszki niesamowitym echem. Potem drugie, potężniejsze, po nim kolejne uderzenia w rytm ruchu dzwonu w swoim łożysku. Dźwięk rośnie, wibruje, nabiera mocy... Wreszcie dzwon bije jak oszalały, tańcząc na boki, a ty nie nadążasz liczyć poszczególnych uderzeń. Skupiasz się jedynie na zaciskaniu sobie kurchowo, z całej siły uszu, hałas bowiem w normalnych warunkach rozsadziłby bębenki. Siedzisz, dzwon huśta się o kilkanaście centymetrów od twojej głowy, usta trzymasz otwarte dla lepszego rozchodzenia się fal dźwiękowych, oczy rozwarte na

całą szerokość, uszy jak najszczelniej zamknięte... I tak słyszysz wszystko.

Każde uderzenie przenika twoje ciało aż do szpiku kości, prze-wala się jak fala przez twój organizm od pięt aż do czubka głowy. I znowu, i znowu, i znowu, wydawałoby się, że bez końca.

Bicie dzwonu trwa zazwyczaj około minuty. Wreszcie widzisz, że dzwon słabnie, powoli ką, pod którym huśtał się na boki, staje się coraz mniejszy, serce coraz słabiej uderza o metal, w końcu nie boisz się już zabrać dłoni z uszu i zamknąć ust. Ostatnie uderzenie i dzwon wyprostowuje się niemal zupełnie, ale to nie koniec. Chwytnas rozgrzane serce w dłoń i nie zważając na nic, uderzasz w metal jeszcze kilkakrotnie. Władasz ostatnim tchnieniem dzwonu, ostatni dźwięk słyszany przez ludzi gdzieś w dole należy tylko i wyłącznie do ciebie, metaliczna fala wibruje i zamiera stopniowo w twoich uszach, przenika do wnętrza wszystkimi zmysłami, czujesz pod językiem cierpki smak żeliwa, nosem chłoniesz ciężki zapach rozgrzanej stali. W jednej chwili stajesz się dźwiękiem, tchnieniem czystej pneumy, przez tę jedną sekundę ty sam jesteś dzwonem. Dzwon i ty to jedno, bicie dzwonu to twój krzyk, twoja potrzeba wyzwolenia, twoja spowiedź przed światem, oczyszczenie. Całe ciało drży, uspokaja się. Powoli i długo dochodzisz do siebie...

Tak właśnie bawiliśmy się z Koreniem. Wchodziliśmy na wieżę w czas bicia dzwonu, siedzieliśmy kilka centymetrów od bujającego się potwora z zatkanymi szczelnie uszami. Gdy zaś dzwon kończył bicie, ostatnie uderzenie należało do nas. To było coś... Później zazwyczaj siadaliśmy na dachu którejś z wież i zajmowaliśmy się codziennymi sprawami, doglądaliśmy gołębi i odrabialiśmy zadania domowe.

VIII

„...Ze sporym zapasem mieszanych uczuć wsiadał do pociągu relacji Przemyśl – Szczecin. Najdłuższa trasa w Polsce – pomyślał – A ja jadę tylko trzy stacje dalej... Czasami wszystko byłoby ta-

twiejsze, gdyby można było ot tak – po prostu zniknąć, pójść przed siebie, rozpuścić we mgle portowego nabrzeża... Czy bycie z kimś zawsze wiąże się z utratą niezależności i więzieniem duchowym? Dzień jak dzień, wszystko, co miało się uprościć i wyjaśnić, skomplikowało się jeszcze bardziej.

Były walentynki i na dworcu stało kilkunastu chłopaków w jego wieku. Każdy, obowiązkowo, z opakowaną w celofan, czerwoną różą. Tylko nie on. Nie kupił kwiatka, gdyż wydawało mu się to zbyt infantylne. Teraz miał kłopoty. Całym swoim zachowaniem udowodnił już wystarczająco, że w gruncie rzeczy podły z niego kretyn i zimny drań. Zarzutem nie było końca, a on czuł, czuł aż po czubek głowy, że dziś wyjątkowo na nie zasługiwał. Coś jeszcze się w nim łamało, buntowało. Przecież nikt nie będzie ustawiał mu życia, mówił, co ma robić. Do ciężkiej cholery, rzuć to wszystko, zmień całe swoje życie, poglądy, chore ideały! Nie jesteś Wokulskim ani Mickiewiczem, i dobrze... Idziesz własną drogą – myślał lub przynajmniej tylko tak mu się wydawało. Wciąż bowiem miał poczucie winy. Skąd się to wzięło? Poczucie winy? Przecież nigdy nie zaznał niczego w tym stylu...

Od tego wszystkiego rozboleła go głowa. Na peronie leżały wielkie brudnoszare zaspy śniegu.

Z biletem klasy drugiej, jak zwykle udał się do czerwonych wagonów. Wiedział, że o tej porze nikt go stąd nie wygoni. Nienawidził jechać z obcymi w przedziale. Te spojrzenia, wzrok wwiercający się boleśnie w twarz, liczący każdy pryszcz, albo te wymuszone próby nawiązania rozmowy, która, jak dotąd nigdy nie zeszła na tematy inne niż szkoła i pogoda... Nie. Teraz jest zbyt zmęczony, by silić się na sztuczne uśmiechy i bycie miłym. Teraz ma wszystko w dupie i będzie spał. Niecała godzina, ale zawsze.

Bez trudności znalazł pusty przedział. Było gorąco. Zgasił trupioblade świetlówki, zastonił zastony od strony korytarza, tak że wszędzie panowała zbawienna ciemność. Zdjął kurtkę, buty i wyciągnął się na kanapie. Za oknem coraz szybciej migały pokryte śniegiem łąki, pola, lasy, gdzieś tam niktę światelko jakiegoś zagubionego domostwa.

Nikt go nie niepokoił, ciepło sączące się spod kanapy działało kojąco na ból głowy. Ból? Wywołany czym? Życiem, wstrząsem, wspomnieniem, utratą niezależności? Czy tak już będzie zawsze? Miarowy stukot kół usypiał lepiej niż butelka taniego wina. Po chwili poczuł, że zapada się w granatowy plusz pociągowej kanapy.

Sen był zdrowy, przynosił ciszę i ukojenie rozstrojonych zmysłów. Był w górach, na szczycie Koziego Wierchu, chłonał wiosenne ciepło i majowe słońce. Dookoła lśniąca wierzchołki Tatr Wysokich, gdzieś dzwonienie łańcucha poruszanego wiatrem. We śnie nie było JEJ. Był sam, tylko sam i potrafił się z tego cieszyć. Najpiękniejsze chwile to przecież tylko te spędzone samotnie... Każdy krok należał tylko do niego. Gdyby chciał, mógłby rzucić się w tysiącmetrową przepaść, nikt nawet by tego nie zauważył. „Ale czy warto? Może nie warto. Chyba nie warto. Raczej nie warto... Nie, nie, nie warto”. Wiatr pieścił jego włosy, otulał łagodnie twarz. Wiatr miał JEJ dłonie. Sen o górach i ONA?!

Stała obok niego. Przecież miało cię tu nie być! – chciał krzyknąć, z ust wydobył mu się jednak niewyraźny, cichy jęk...

Zmień kanał. Gdyby móc panować nad swoimi snami, ukraść Bogu pilota i jednym przyciskiem zmieniać akcję, bohaterów, bieg wydarzeń. Móc wpływać na swoje sny, by...

Później nie pamięta się już nic. Tylko przeciąg otwartego nagle okna.

– Proszę spać dalej, strasznie tu duszno... – usłyszał głos starszego mężczyzny, sadowiącego się na kanapie naprzeciwko. Już miał powiedzieć parę niemiłych słów, gdy nagle targnął nim dziwny lęk.

– Która godzina? – spytał.

– Pięć po dwunastej.

– Aha – odparł niepewnie, jakby coś sobie przypominał – Jezus Maria! – cały sen w jednej chwili stał się nieistotnym, odległym majakiem.

Pociąg właśnie wjeżdżał do Katowic. Cztery godziny temu miał wysiąść na dworcu w Rzeszowie, by powrócić spokojnie do ciepłego domowego zacisza. Wyskoczył ze składu zanim koła zdążyły cał-

kiem znieruchomieć. Na dworcu paliły się neonówki – słońca nocnego miasta. Odruchowo wcisnął rękę do kieszeni. Pięć złotych. Starczy akurat na butelkę piwa lub konserwę i kawałek chleba.

– Pierdolić niezależność – zaklął, szykując sobie miejsce do spania na ławce wśród bezdomnych...”

Całkiem niezłe – pomyślałem, odkładając gazetę – Kolejna, niby szmirowata, miłosna historyjka, jednak tym razem przynajmniej z jakimś głębszym sensem. Dobre pytanie, swoją drogą... Jak to szło? Czy bycie z kimś zawsze wiąże się z utratą niezależności i więzieniem duchowym? Cholernie dobre pytanie... Jestem sobie w ósmej klasie, olewam system edukacji, wagaruję i zachciało mi się mieć dziewczynę... – myślałem – a tymczasem dziewczyna to przecież coś więcej. Odpowiedzialność i czas, który trzeba poświęcać na rozmowy z nią, na beznadziejne spacerunki po parku i wizyty w kinie. Cóż, jak się powiedziało a, b, c, to nie można być d, tylko należy sprawę doprowadzić do końca.

Przy najbliższej okazji muszę wreszcie zebrać się na odwagę i zaproponować Wiktorii bycie ze mną. Na dobre i na złe, taki poważny związek, na tyle poważny oczywiście, na ile ten świat nam pozwoli – postanowiłem – Bo jeżeli już coś robić, to tylko solidnie! Może w moim życiu nie zmieni się wcale aż tak wiele? Może Koreń jednak odpuścił ją sobie i wszystko będzie w jak najlepszym porządku?

Wiktoria coraz bardziej zbliżała się do mnie, szczęście było w zasięgu ręki, wystarczyło tylko po nie sięgnąć. A utrata niezależności? Chyba czasami trzeba coś poświęcić.

Jeszcze tego samego dnia napisałem do Wiktorii list. Na dwóch kartkach, napisałem sto osiemdziesiąt siedem razy słowa „kocham Cię”. Więcej się nie zmieściło, a na trzecią kartkę już nie miałem siły. To sto osiemdziesiąt siedem razy napisane słowo miało odpowiednio przygotować grunt. List kończył się słowami: „więc czy zgodzisz się być ze mną?”. Oryginalne? Mało, ale nie miałem lepszego pomysłu. Oprócz tego, postanowiłem z Wiktoria oczywiście pogadać. Takich spraw nie rozwiązuje się tylko za pomocą listu.

Kolejny dzień przyniósł dużo strachu i olbrzymią treść. Chodząc za Wiktoria, jak to ciele, zamieniłem z nią nawet kilka słów, nic jednak konkretnego się nie stało. Blask otaczający ją dookoła stał się jeszcze mocniejszy, nie pozwalając zbliżyć się na odpowiednią odległość, światło opromieniające jej postać zdawało się jakby bronić jej przede mną, odstraszać, zwiększać moją niepewność.

Wreszcie na tak zwanej długiej przerwie, postanowiłem działać.

– Napisałem do ciebie list – powiedziałem, podchodząc do niej, siedzącej w blasku ciemnego korytarza.

– To miło. Lubię dostawać listy. A o czym?

– Zobaczysz jak przeczytasz. Będę mógł cię odprowadzić dzisiaj po lekcjach?

– Jasne. Szkoda tylko, że mieszkam tak blisko – uśmiechnęła się cudownie białymi zębami.

– Nie ma sprawy. Chciałbym z tobą porozmawiać. Jak to się mówi w filmach... poważnie porozmawiać.

– Już się boję – kolejny uśmiech.

– Bój się, bój – powiedziałem, również się uśmiechając – To po szóstej lekcji, tak?

– Po piątej – odparła – Nie idę na religię.

– Aha, to w porządku... Urwę się z biologii. Więc do zobaczenia. Miłej lektury.

– Pa – jeszcze jeden serdeczny uśmiech omal nie zwałił mnie z nóg.

Niecierpliwie czekałem na zakończenie piątej lekcji. Na szóstą po prostu nie poszedłem. Czekałem na Wiktoria na końcu korytarza. Przyszła po chwili, uśmiechnęła się znowu na mój widok. Przez chwilę straciłem wszystkie zmysły. Więc to od dzisiaj...

Opanuj się!

Przepuściłem ją przez drzwi i powoli poszliśmy razem wzdłuż sali gimnastycznej. Wciąż milczeliśmy i nie miałem odwagi, by przerwać to milczenie. Czekałem, aż odezwie się pierwsza. Do-czekałem się.

– Ładna pogoda... – powiedziała, jakby celowo drocząc się ze mną.

– Ładna, ładna... – odparłem mimowolnie. Pogoda była rzeczywiście piękna, ale chyba, na Boga, nie będziemy rozmawiać o pogodzie!

– Dziękuję za list – rzekła w końcu.

– Nie ma sprawy – odpowiedziałem, bo nie wiedziałem, co powiedzieć. Wszystko, co przychodziło mi do głowy, natychmiast wydawało się przerażająco głupie – Wiem, że może nie powinienem zadawać tego pytania poprzez list, ale musiałem o to spytać... – rzekłem po chwili – Wiktoria, wiesz, co do ciebie czuję i to, że wtedy dałaś mi tego kosza, nic we mnie nie zmieniło. Dlatego chciałbym, żebyśmy byli razem... Nie wiem, jak to jest z tymi moimi szansami u ciebie, ale muszę spróbować. Inaczej nie da mi to spokoju.

Przez chwilę milczała. Ja razem z nią.

– Rozmawiałam z Przemkiem – powiedziała po chwili – Przeprosił mnie za te walentynki... Nie dostał kasy od brata po prostu... Właściwie nie powinnam być na niego o nic zła. Chciał przyjść...

Poczułem, że serce bije mi niebezpiecznie szybko.

– Co nie zmienia faktu, że nie przyszedł – ciągnęła – Mógł po prostu przyjść bez kasy, poszlibyśmy gdziekolwiek, przyjęłabym go, bardzo nie chciałam być sama... Nie zrobił tego, olewał mnie od października. Nic mu teraz nie pomoże. I nagle włączasz się ty, jego najlepszy kumpel...

Milczałem, oczekując na te decydujące, miażdżące słowa.

– Tylko dlaczego nie usprawiedliwiłeś go przede mną z tymi walentynkami, gdy prosił cię o to?

– Poprosił mnie o to pod koniec lutego, gdy stwierdził, że go unikas. Nie lubię się mieszać w takie sprawy. Poza tym...

– Poza tym, ty też zakochałeś się we mnie i nie widziałeś takiej potrzeby, co? – przerwała.

– Zgadłaś – przyznałem – Wiktoria, kocham cię i myślę o tobie poważnie. Nie tak, jak Koreń... Ty tylko musisz zdecydować, z kim chcesz być. Jesteś w najlepszej sytuacji...

– Ale ja nie wiem! Przemek też mówił mi podobnie...

- Nie mówiłaś mu chyba o mnie? – przestraszyłem się.
- Nie, nie mówiłam. Rozmawialiśmy tylko o tym, co zaszło między mną a nim.
- To dobrze – odetchnąłem z ulgą – Nie mów mu o mnie, jeżeli go wybierzesz. Przynajmniej nie stracę kumpla...
- A co wolisz? Stracić kumpla i zyskać dziewczynę, czy zachować kumpla bez dziewczyny?
- Długo nad tym myślałem, ale doszedłem do wniosku, że muszę zaryzykować. Może nikogo nie stracę.
- Jesteś pewny siebie, ale jeśli wybiorę ciebie, Przemek będzie wściekły.
- Nie będzie. On zrozumie, wytłumaczę mu jakoś...
- Staliśmy już pod jej klatką.
- Słuchaj, Piotrek, chcę z tobą chodzić, podobasz mi się, ale daj mi jeszcze kilka dni, okej?
- Ale... chcesz?
- Tak. Tylko muszę jeszcze pogadać ze swoim byłym. Byłam z takim jednym naleśnikiem niedawno, teraz nie daje mi spokoju.
- W porządku – powiedziałem, ucieszony jak frajer – A może mogę ci w czymś pomóc?
- Nie, muszę sobie sama z tym poradzić. Do zobaczenia jutro – odparła, po czym zbliżyła do mnie swą twarz i poczułem na policzku ciepło jej pocałunku.
- Odplynałem. Byłem w raj, dryfowałem po morzu radości do wysp szczęśliwych, do oazy spokoju, upojenia. Wylądowałem na zielonej murawie pod jej blokiem, minutę później, z ciągle odczuwalnym dotykiem jej ust na mojej twarzy.
- Nie umyję tego policzka nigdy – westchnąłem.
- Póki co, tyle musi ci wystarczyć – uśmiechnęła się przepięknie – Pa!
- Pa – odparłem oszołomiony.
- Wracałem do domu, a cały świat wydawał się rosnać i rozkwitać na moich oczach. Wiosna – pomyślałem – Cholernie lubię tę porę roku!

Następnego dnia w szkole myślałem już tylko o Wiktorii. Nie będzie chyba długo zwlekać z tą odpowiedzią. Już niedługo zostanie moją dziewczyną! Boże, jak to możliwe!

Byłem się jedynie reakcji Korenia, który, jak wywnioskowałem z rozmowy z Wiktorią, coś kombinował, nie dawał ciągle za wygraną. Nie mogąc posłużyć się mną, sam wyjaśnił sytuację tych walentynek. Na szczęście teraz odwlekło się już tak dużo czasu, że nie ma to wpływu na jej decyzję.

Wiktorię odnalazłem na długiej przerwie. Siedziała na samym końcu czerwonego korytarza, we wnęce pomiędzy jednym z wyjść ze szkoły a kaloryferem. Była sama. Zamyślona nad czymś, zdawała się niczego nie dostrzegać. Znienacka podsunąłem jej przed oczy lizaka, kupionego specjalnie dla niej w bufecie szkolnym.

– Dziękuję – uśmiechnęła się i pocałowała mnie w policzek.

Jezu, ja przez nią oszaleję! – pomyślałem.

– Co słychać? – spytałem po chwili, gdy oszołomienie zdało się ustępować.

– Nic. Siedzę i myślę...

– Ty myślisz?

– Tak. Kobiety również to potrafią – powiedziała, wkładając lizaka do ust.

– A czy ja mówię, że nie? Przepraszam, jeśli źle to zabrzmiało. Chciałem raczej spytać, nad czym tak myślisz.

– Nad tobą.

– A, to bardzo mi miło – odparłem – I co wymyśliłaś?

– Jeszcze nic, ale...

Nie zdążyła dokończyć, gdyż podeszło do nas trzech osiłeków z ósmej „b”. Okropnie nieprzyjemne typy, z takich, co to za sam wygląd należałoby zamykać do paki. Byli to: niejaki Alan Szyper, Wojciech Szęczyński oraz pseudoskejt Maniek. Zwłaszcza ci pierwsi dwaj nie cieszyli się w Dziewiątce najlepszą opinią. Co prawda, ja też nie miałem dobrej reputacji, dzięki wagarom i licznym kolizjom z prawem szkolnym, ale moje sumienie, w porównaniu z ich, wydawało się czyste niczym akt chrztu.

Szyper i Szęczyński byli po prostu chamami, nieokrzesanymi wandalami, do tego cholernie silnymi i pozbawionymi skrupułów.

Cenili sobie bazgroły sprayem po murach, wyludzali bez żenady pieniądze od młodszych i słabszych uczniów pod bufetem szkolnym, co mnie osobiście wydawało się samym przedśmionkiem dna. Pamiętam, jak wystawili jednego chłopaka za nogi przez okno i huścili nim tak długo, aż nabawił się choroby morskiej. Chcieli podobno sprawdzić w ten sposób, jak wyglądają takie choroby, pływali bowiem wówczas po Wisłoce zrobioną własnoręcznie balią. Niektóre pomysły, jak na przykład z tą balią, mieli w porządku, ale ich wulgarny sposób bycia bardzo mnie od nich odstręczał. Może nawet trochę się ich bałem. Byli silniejsi, nie ukrywam.

– Co to, kurwa, za romanse, Wiki! – krzyknął Szęszyński, złapał za patyk od lizaka Wiktorii i wyciągnął go brutalnie z jej ust, zaś Szyper przycisnął dziewczynę do ściany i zaczął wykonywać ruchy jak przy stosunku seksualnym.

– Kiedy następnym seks, Wiktorii?! – spytał.

– Nie wiem... – odparła – Spadaj! – odepchnęła Szypera – I oddajcie mi lizaka!

– Ha, ha, ha – zaśmiali się głośno, po czym Szęszyński wsadził sobie lizaka w gębę.

Stałem zaszokowany, przez chwilę nie rozumiejąc, co się tu dzieje. Gdy wreszcie dotarł do mnie pełny ohydny obraz tej sceny, zawładnął mną nieopisany wprost gniew! W jednej sekundzie poczerwieniałem z gniewu, krew odpłynęła mi do nóg, poziom adrenaliny podskoczył niebezpiecznie wysoko. Czulem, że kilka sekund i stracę zwykłe panowanie nad sobą.

– Zostawcie nas! – powiedziałem stanowczo – Spierdalać stąd albo...

– Albo co, Gumiecki?! – wycedził Szyper – To ty spierdalać w podskokach! My nie do ciebie!

– Odpierdolcie się od niej! – krzyknąłem – Albo nie ręczę za siebie!

– Spierdalać – odpędzali się ode mnie jak od natrętnej muchy – To nasza dziwka.

Szybko oceniłem sytuację. Maniek, trzeci z nich, stał spokojnie w przejściu, z głupim wyrazem twarzy, żując gumę na swój pseudoskejtoński sposób.

Krew we mnie zawrzała. Nie czekając dłużej, z całej siły walnąłem pięścią w wystający z pyska Szęszyńskiego patyk od lizaka, tak że chłopak połknął go w całości, kalecząc podniebienie i zaczął się dusić, po czym, korzystając z zamieszania, zasadziłem potężnego kopa Szyperowi w brzuch. Ten zwinął się w kłębek, wyjąc z bólu. Wiedziałem, że ta chwila oszołomienia nie będzie trwała długo. A potem...

– Muszę lecieć. Do zobaczenia później – powiedziałem do Wiktorii, szybko cmoknąłem ją w policzek i omijając oszołomionych Szęszyńskiego i Szypera oraz stojącego spokojnie, lekko zszokowanego, Mańka, rzuciłem się do ucieczki.

Po chwili dwóch dryblasów pędziło za mną, ziejąc gniewem. Szęszyńskiemu łała się z ust krew, Szyper biegł lekko skulony. Byli jednak wściekli i bardzo zdeterminowani.

Ale przecież byłem jednym z najlepszych biegaczy w szkole!

Wbiegliśmy na pierwsze piętro, dystans dzielący mnie od nich nieznacznie i stopniowo zwiększał się. Było ich jednak dwóch i przy odrobinie inteligencji, mogli z łatwością zorganizować zasadzkę, i okrążyć mnie na pełnym uczniów korytarzu! Gdyby przynajmniej odnaleźć swoją klasę, reszta chłopaków obroniłaby mnie jakoś. Wiedziałem jednak, że wszyscy są w tej chwili na dworze, na poręczy przy zejściu do kotłowni, ja natomiast na drugim końcu szkoły, całkowicie od nich odcięty. Jeden zakręt. Schody. Drugi zakręt. Korytarz. Schody w górę. Nie! W dół! Szybko, pod... wiem! pokój nauczycielski!

Przebiegłszy górny korytarz, wciąż z ogonem w postaci rozwścieczonych zabijaków, zbiegłem ponownie na dół, strącając ze schodów drugoklasistów. Znalazłem się pod pokojem nauczycielskim i wpadłem prosto w rozłożone ramiona pani Pabierz.

– O! Wagarowicz wpadł mi w ręce! Jak miło! Gdzie to się było na wczorajszej biologii, co? Spokojnie... stało ci się coś? – spojrzała na mnie z niepokojem.

– Przepraszam, byłem na wagarach – odparłem zdyszany.

– No, to to wiem, gdzie ty indziej mógłbyś być? I co ja mam z tym teraz zrobić?

– Niech mi pani pomoże! – wrzasnąłem, wprawiając ją w jeszcze większe osłupienie.

– Dziecko, wiem, że trzeba ci pomóc, ale...

W tej samej chwili ze schodów wypadł Szęszyński, z zakrwawioną brodą, i Szyper. Ledwo wyhamowali przede mną i panią Pabierz.

– Dzędoby – wymamrotał Szęszyński, przykładając rękę do ust.

– Dzień dobry! – wrzasnął Szyper.

– Szęszyński, Szyper! Jak wy wyglądacie! To krew?! Co wy tu robicie?! Jezu!

– Nic, nic się nie stało, proszę pani – powiedział Szyper. Kolega miał mały wypadek przy jedzeniu, połknął lizaka razem z patyczkiem...

– Dlaczego gonicie Gumieckiego w tym stanie?

– Tak... dla zabawy...

– Nie możecie znaleźć sobie innej rozrywki? Jesteście najwięksi i najstarsi w tej szkole, oprócz was są tu tylko dzieci. Trochę powagi! Zachowujecie się jak słonie w składzie porcelany, możecie kogoś zabić! Nie wolno urządzać takich gonitw!

– Pseplaszamy panią – wybełkotał Szęszyński.

– No, to teraz w tył zwrot. A ty, Szęszyński, do higienistki, natychmiast. Masz jakiś krwotok chyba. Szyper, wszystko w porządku?

– Tak, proszę pani.

– To już!

– Po leksach w szani, Gumecki – wybełkotał półgłosem Szęszyński, pochylając się w moją stronę, by nie być słyszany przez panią Pabierz – Abo zajebie cie jak psa.

Zamarłem.

– Oni cię gonili? – spytała nauczycielka, gdy zostaliśmy sami.

– Tak – przyznałem.

– A po co?

– Taka... zabawa.

– Oj, dzieci, dzieci... Macie po piętnaście lat, szkoła średnia za pasem. Moglibyście zmadrzeć...

– Taki głupi wiek, pani profesor – powiedziałem.

Pani Pabierz, ucieszona z nazwania panią profesor, uśmiechnęła się.

– Może będą z ciebie ludzie, Gumiecki – powiedziała – Tylko z nimi się nie zadawaj, to łobuzy. Szkoła bez nich byłaby bezpieczniejsza. Taka rola pedagoga, że musi dbać o cały ogródek, również o rosnące w nim chwasty – westchnęła do siebie na pożegnanie. Przed chwilą przebrzmiał dzwonek.

– Do widzenia – powiedziałem.

– Do widzenia – odparła, odchodząc kilka kroków. Nagle jednak znowu się zatrzymała – A o tych wagarach porozmawiam z twoim wychowawcą – rzuciła przez próg pokoju nauczycielskiego.

– Dobrze, proszę bardzo – odparłem uspokojony. Rozmowa z Darkiem nie robiła na mnie wrażenia. Godzina wagarów? Czy on to nawet zauważy?

Miałem poważniejsze zmartwienie na głowie. Słowa Szęczyńskiego metalicznie brzęczały w głowie. „Po lekcjach w szatni, Gumiecki. Albo zajebię cię jak psa”...

IX

Iść albo nie iść – oto jest pytanie. Nie miałem pojęcia, jak zachować się w nowej sytuacji.

O bezwzględności Szypera i Szęczyńskiego wiedziałem wystarczająco, by się bać. Jeżeli nie przyjdę, znajdą mnie. Jeżeli przyjdę, będę musiał się bić. Zadrzałem. Nienawidziłem tego.

Nie biłem się od dłuższego czasu. Nie wiedziałem nawet, czy umiem.

W końcu postanowiłem pójść i spróbować nakłonić tę dwójkę do rozmowy. Ucieczka przed nimi nie miała sensu, poza tym przecież nie zabiją mnie na terenie szkoły. Chyba.

Na ostatniej przerwie odnalazła mnie Wiktoria.

– Coś ty, Piotrek, najlepszego zrobił!?! – wykrzyknęła na przywitanie – Oni cię zabiją!

– A co? Miałem im pozwolić tak się zachowywać?

- Oni... tylko żartowali...
- Ładne mi żarty. Jak już jestem z tobą, to nie pozwolę na takie żarty, do tego w mojej obecności.
- Jeszcze nie chodzimy ze sobą. A jak cię zabiją, to tym bardziej nie będziemy.
- Nie chcesz nieboszczyka? Spokojnie... – czułem się jak żołnierz idący na wojnę. Postanowiłem nie mówić jej o spotkaniu w szatni. Po co ma się dziewczyna denerwować?
- Jesteśmy w szkole, mamy po piętnaście lat. W tym wieku ani w takim miejscu ludzie się nie zabijają zazwyczaj.
- Piotrek, ty ich jeszcze nie znasz!
- Za to ty, jak się okazuje, znasz ich doskonale. Skąd?
- To długa historia... – zmieszła się.
- Wiki... Wiesz, ludzie różnie mówią o tobie. Ja wiem, że to tylko złośliwe plotki i nie wierzę w ani jedno takie słowo, ale teraz oni... wiesz... To ich zachowanie całkowicie wytrąciło mnie z równowagi. Powiedz mi, tak całkiem poważnie, skąd ty ich znasz?
- O rety, to zwykli koledzy – zachnęła się – Wiesz co? Daj se siana, okej? – zaatakowała – Zastanów się, czy wierzysz jakimś debilom czy ufasz mi. Mówiłeś, że mnie kochasz...
- No jasne, że ci ufam! Tylko niepokoi mnie to, co mówili.
- Jakbyś mnie kochał, nie obchodziłoby cię to.
- Pewnie masz rację – przyznałem, bo zrobiło mi się głupio
- Przepraszam. Nie będę słuchał żadnych głupich plotek. Kocham cię i ci ufam. Zawsze pamiętaj o tym.
- No, i tak ma być.
- Ja wiem, jesteś po prostu piękna i te ploty to tylko zawiść ludzka... – ciągnąłem.
- Dobrze już, dobrze – uśmiechnęła się tak, jak tylko ona potrafiła – Odprowadzisz mnie po lekcjach?
- Nie mogę dzisiaj. Mam pewne spotkanie...
- Z kim?
- Z kochanką – zażartowałem – Patrz, jeszcze nie jesteśmy razem, a już cię zdradzam!
- Strasznie śmieszne – zakpiła – A właśnie, słuchaj, Piotrek, masz może pożyczyć dziesięć złotych?

– Dziesięć?... – zasmuciłem się. W kieszeni miałem co najwyżej dwadzieścia groszy – Niestety, nie będę miał. Może jutro...

– Nie, jutro nie... Potrzebuję mieć dzisiaj. To nic. Uważaj na siebie. Pa.

– Ty też uważaj. Pa – powiedziałem. Straciłem resztki humoru. Czemu nie mam kasy akurat wtedy, gdy jest mi najbardziej potrzebna!? – A buzi? – przypomniałem sobie, zatrzymując moją boginię jeszcze przez chwilę. Zaczynały mi się podobać te całusy w policzek.

Wiktoria stanęła na palcach i cmoknęła mnie delikatnie. I znowu odleciałem.

Bujałem w obłokach przez całą ostatnią godzinę i na chwilę zapominałem o wszystkim. Kompletnie nie rozumiałem nic z lekcji, a szkoda, bo był to język polski i pani Kuner mówiła jak zwykle mądrze i z pasją.

Gdy tylko zadzwonił dzwonek, westchnąłem ciężko i zszedłem do szatni. Jak zwykle na przerwie panowało tu spore zamieszanie. Wprawdzie była wiosna i nikt ze starszych klas nie przebierał butów, pełno za to było dzieciaków z nauczania początkowego. Darło się to i biegało we wszystkich kierunkach.

Westchnąłem ponownie zrezygnowany i stanąłem przy murze w wyczekiwaniu.

Szęszyński z Szyperem nadeszli wkrótce.

– O! Jesteś, Gumiecki! – rzekł Szęszyński na powitanie – A już, kurwa, myślałem, że zwiejesz. I tak znaleźlibyśmy cię, a wtedy...

– Wiem – przerwałem – Nie rozumiem tylko, o co wam chodzi.

– O co chodzi?! Ty się, kurwa, pytasz, o co chodzi?! Rycerzu pierdolony, zapłacisz mi teraz za to, co zrobiłeś!

– Nie będę się z tobą bić – powiedziałem spokojnie.

– Właśnie, kurwa, że będziesz, bo inaczej zginiesz tu, na korytarzu! – podbiegł do mnie i wyprowadził pierwszy cios, prosto w mą szczękę. W ostatniej chwili odskoczyłem jednak, cios trafił w próżnię i Szęszyński zachwiał się lekko. Nie wykorzystałem tej chwilowej przewagi. Stałem spokojnie dwa metry dalej.

– Łap go, Alan! – wrzasnął dryblas, myśląc, że chcę uciec.

Nie uciekłem jednak.

– Co jest, kurwa, Gumiecki!? Bić się nie będziesz?! – Szęczyński podbiegł do mnie, jak w kleszcze chwycił mnie za ramiona i uderzył z główki w sam środek czoła.

Poczułem mocny, niemal obezwładniający ból, po czole pociekła cienka strużka krwi. Przez chwilę zachwiałem się i przykucnąłem. Wszystkie gwiazdy wirowały dookoła mej głowy.

– To co, Gumiecki? Jeden na jeden? – spytał.

– Kurwa, człowieku – wymamrotałem – O co ci chodzi? Broniełem dziewczyny!

– Jakiej dziewczyny?! Labocha jest twoją dziewczyną? Ta kurwa? Oj, Gumiecki, z kim ty się zadajesz?! To dziwka, wszyscy ją różnili, nie Alan? – Szyper uśmiechnął się krzywo – Pieprzy się z nami w kiblu regularnie! Takiej kurwy bronieś? Takiej szmaty?! Przecież ona robi loda każdemu za paczkę fajek! Ale wiesz, kurwa, masz rację... Niezła jest! Trochę ma rozjebaną cipę, ale...

Nie dokończył, gdyż nagle poderwałem się i z rozpędu, z całej siły zaatakowałem go głową w brzuch. Jęknął i skulił się, ale tylko na chwilę. Wkrótce wyprostowany stanął sprawnie na nogach.

– O! Widzę, Gumiecki, że jednak zachciało ci się bić. To dobrze, zabawimy się!

– Nie jesteś w moim typie, skurwysynu! – wrzasnąłem. Nagle opętała mnie taka wściekłość, że zapragnąłem rozszarpać gnoja na strzępy, wdeptać w zakurzoną posadzkę korytarza. Jak ten chuj śmie mieszać z błotem moją boginię, mój ideał?!

Tym razem to jednak on atakował. Błyskawicznie doskoczył i wyprowadził cios pięścią. Nie miałem najmniejszych szans na unik. Cios był tak silny, że okręciło mnie o sto osiemdziesiąt stopni. Na wargach poczułem krew. Był silniejszy...

Co się robi w takich wypadkach! *Ai Kido* – niech siła wroga działa na jego niekorzyść – kombinowałem ultraszybko – gra uników, pięknie, tylko że nigdy nie trenowałem *ai kido*, a filmy z Bruce'm Lee to trochę za mało. Po twarzy lała mi się krew...

Ledwo zdążyłem oprzytomnieć, gdy Szęczyński zaatakował znowu. Tym razem na oślep natarł na mnie obiema pięściami. Silny był...

Dookoła nas momentalnie zrobiło się zbiegowisko. Kupka podnieconych smarkaczy z okrzykami: „Biją się!” stała, patrząc jak Szęczyński robi ze mnie miazgę. Ciosy były silne i trafione... Pierdolić *ai kido* – błyskawicą przemknęło mi przez głowę – Najlepszą obroną w tym wypadku musi być atak! Muszę atakować, inaczej wyniosą mnie stąd! Gdy tylko Szęczyński na chwilę oderwał się ode mnie i delektował już pewnym zwycięstwem, podniosłem lekko zakrwawioną głowę i oceniłem sytuację. Stał półtora metra ode mnie, w rozkroku. Śmiał się... Teraz, albo... nigdy! Rzuciłem się błyskawicznie, chwyciłem jego lewą nogę i z całej siły wyrwałem do przodu. Dryblas stracił równowagę i runął na ziemię. Głuche uderzenie jego głowy o posadzkę ucieszyło mnie. Po chwili już siedziałem na nim i tłukłem zapamiętałe pięściami w jego mordę. Zdążyłem chyba podbić mu oko.

Nie doceniłem go jednak. Widocznie bójki były jego chlebem powszednim, nagle bowiem jakimś wężowym ruchem wydostał się spod mojego ciężaru. Na ziemi pozostał tylko jego czarny przedarty podkoszulek. Nim zdążyłem się spostrzec, był już za mną i potężnym kopniakiem w plecy powalił mnie na ziemię, twarzą do posadzki. Był silny, czułem, że uderzenie trafiło w nerki, całym moim ciałem targnął potężny impuls bólu. Szęczyński usiadł na moich plecach, przycisnął mi twarz do zakurzonego betonu i wycedził przez zęby:

– No i co teraz, kurwa?

Wiedziałem, „co teraz” chyba z jakiegoś filmu. Choć napastnik musiał ważyć z siedemdziesiąt kilo, siłą wszystkich mięśni wygiąłem grzbiet jak kot i, podciągając nogi pod siebie, udało mi się go zwalić. Teraz znowu on znalazł się na ziemi, nim jednak odwróciłem się, już stał, półnagi, z obnażonym torsem i uśmiechał się do mnie szyderczo, wyzywająco. Właściwie niewiele widziałem z powodu krwi lejącej mi się po twarzy. Jedyne pocieszenie – on też miał podbite oko i rozciętą wargę.

– Walcz, Gumiecki! – wrzasnął.

Zwarliśmy się ze sobą, był jednak cięższy i w zapasach miał znaczną przewagę, tak, że po krótkiej chwili przyparł mnie do ściany. Zwolnił jedną rękę. W błyskawicznym uniku udało mi się

odchylić głowę, przed kolejnym uderzeniem pięścią. Cios widocznie miał być tak silny, że pewnie zakończyłby tę mękę, nie trafił jednak w moją głowę, ale w... ścianę. Szęszyński chwycił się za pięść i zawył z bólu.

– Kurwa!!! – wrzasnął – Złamałeś mi palce!

– Sam se złamałeś! – odpowiedziałem i, korzystając z chwili zamieszania, natarłem na niego, wyprowadzając potężny cios prawnym sierpowym. Trafiłem prosto w nos, Szęszyński okręcił się, zawył z bólu i... zacząłem wygrywać tę walkę! I to jest właśnie *ai kido* – pomyślałem. Cholera! Nie mogłem jednak odpuścić...

Korzystając z chwilowego zamroczenia przeciwnika, chwyciłem go od tyłu ramieniem za szyję i zacząłem dusić. Nie miałem pojęcia, jak się to skończy. Znow jednak go nie doceniłem, lekceważąc jego, jak mi się wydawało, uszkodzoną po kolizji z murem, rękę. Tą ręką właśnie wymierzył mi kolejny cios prosto w szczękę. Na chwilę straciłem orientację i rozluźniłem uchwyt, co wystarczyło, by Szęszyński znalazł się za mną, wykręcił mi rękę i docisnął do ściany. Mur zabarwił się od mojej krwi...

– A teraz ci, kurwa, skręcę kark – wyszczał mi do ucha.

Skręcałem się boleśnie, próbując za wszelką cenę wydostać się z uścisku. Rozpaczliwe szarpanie nie przynosiło skutku. Wtem przypomniał mi się oglądany kiedyś w telewizji kurs samoobrony dla kobiet. W takiej sytuacji zazwyczaj odwija się prawą nogę i piętą kopie napastnika w krocze. Po chwili Szęszyński wił się na posadzce, trzymając za jądra. Udało mi się znowu go powalić i usiąść mu na kłacie. Trzaskałem go po twarzy na oślep, jak oszalały. Wreszcie obiema rękami złapałem jego nadgarstki.

– Zakończmy to, człowieku! – wrzasnąłem – To do niczego nie prowadzi!

– Wręcz przeciwnie. Ja nieźle się bawię, a ty?

Powoli zaczynało mi się robić słabo, podłoga dookoła zachlapaną była krwią, moją i jego.

– Nie chcę się bić! – wysapałem.

– Przegrałeś, co, Gumiecki?

– Przecież siedzę na tobie!

– Myślisz, że to na długo? – zawył, po czym siłą wszystkich mięśni wyprężył ciało i wykręcił swoje dłonie z mego uścisku. Od razu zacisnął je na mojej szyi.

– A teraz co? – spytał.

– To! – odpowiedziałem i najmocniej jak się dało strzeliłem go wolną pięścią przez łeb.

Uchwyt rozluźnił się nieco. Po chwili znów staliśmy naprzeciwko siebie: on – wściekły i żądny krwawej jatki, ja – wyczerpany do granic możliwości z powiekami posklejanymi krwią i mający ochotę po prostu odejść. Nie pozwolił mi jednak. Po chwili przez grupkę gapiów przebiegł głośny szmer. Coś błysnęło złowrogo w rękę Szęszyńskiego. Nóż!

– No, i co, Gumiecki? – syknął ucieszony.

– Rzuć to! – wrzasnąłem – Nie będziemy się bić na noże!

– Ty nie, ale ja owszem – zamachnął się ostrzem z lewej na prawą.

W ostatniej chwili zdążyłem odskoczyć. Szęszyński zachwiał się, ja tymczasem znalazłem się za jego plecami. Już miałem mu załadować potężnego kopa, gdy ktoś z tłumu przytrzymał mnie za koszulkę. I całe szczęście, napastnik bowiem gwałtownie odwrócił się i nadziałbym się prosto na ostrze. Obejrzałem się. Zobaczyłem Mańka. Odnalazł moją rękę i pospiesznie wcisnął mi w nią coś zimnego. Nóż.

– Masz – usłyszałem – Nie lubię, jak ktoś walczy nie fair.

Nie odpowiedziałem, tylko stanąłem z wyciągniętym nożem naprzeciwko Szęszyńskiego. Z początku nie miałem pojęcia co robić, nigdy nie walczyłem z nikim na noże! Staliśmy naprzeciwko, przez chwilę oceniając się nawzajem. Dwa ostrza błyszczwały złowrogo w trupioblady światło neonówek. Był silny... Zaatakował pierwszy, znowu od lewej do prawej. Ostrze ominęło mnie o milimetry. Teraz pewnie moja kolej...

– Jezu, co tu się wyrabia!?! – usłyszeliśmy nagle kobiecy wrzask.

Wszyscy, zamarli i jednocześnie odwrócili głowy w stronę, skąd dochodził.

Na schodach do szatni stała Stasia w towarzystwie dwóch woźnych. Cała widownia rozstała się w mgnieniu oka. Podnieceni smarkacze zaczęli w pośpiechu opuszczać plac boju.

– Boże! – wrzasnęła Stasia – Bójka na noże! W mojej szkole! Kto to jest?! – zbliżyła się do nas – Szęczyński i... Gumiecki! Gumiecki?! Nie, nie wierzę... Rozbroić ich! – wskazała na nas woźnym.

Nie trzeba im było dwa razy powtarzać. Po chwili stałem bezwładny. Nóż – narzędzie zbrodni – wydarto mi z dłoni. Wiecznie przepity woźny szatniowy wykręcał mi do tyłu ręce.

– Obeszłoby się bez tego – syknąłem.

– Cicho, smarkaczu! – usłyszałem nieznośny sprzeciwu głos. Poczulem kwaśny odór taniego wina. No to teraz dopiero mam problemy – pomyślałem przez krótką chwilę, po czym straciłem przytomność i opadłem bezwładny w ramiona woźnego.

X

Obudziłem się z ciężkim bólem głowy na kozetce w gabinecie higienistki.

Bolało mnie zresztą wszystko, nie tylko głowa. Na czole i prawym oku namacałem sporej wielkości opatrunek. Spuchnięta warga miała wielkość dojrzałego banana i rozcięcie, trochę po prawej stronie. Mam nadzieję, że przynajmniej obeszło się bez szwów.

W gabinecie byłem zupełnie sam. Gdzie się wszyscy podziali? – pomyślałem, po czym spróbowałem podnieść na chwilę głowę. Bezwładna, jak kamień opadła na poduszkę. Jestem wyczerpany. Ach, ta głowa... Była bójka... – przypomniałem sobie. Ktoś wygrał... Kto? Ja? Nie... Zaraz... Nikt nie wygrał, przerwano nam. Jestem u higienistki, więc... O co tu chodzi? Jezu, co z tą głową!?

Spojrzałem na zegarek. Było wpół do czwartej. Co ja robię o tej porze w szkole? Kto mnie tu przyniósł? Jak tu trafiłem? Każda próba podniesienia się z poduszki kończyła się potwornym bólem.

Nagle drzwi otworzyły się i stanęli w nich moi rodzice w towarzystwie Stasi i Darka.

– O! Obudził się! – wrzasnął na mój widok tata – Rozbójnik jeden, potencjalny morderca! Chuligan! Jak śmiałeś, gówniarzu?! Wiesz, co grozi ci teraz?! Do poprawczaka pójdziesz!

Każde jego słowo odbijało się boleśnie od dna mojej czaszki, jak piłka do koszykówki wrzucona do zlewu, dudniąc przeraźliwie i wzmagając potworny ból. Echo, echo, e c h o .

– Nie krzycz tak na dziecko! – upomniała ojca matka – Ma wstrząs mózgu, tu trzeba spokojnie...

– Ja z tym gówniarzem nie mogę spokojnie! Jak wróci do domu, to tak mu skórę złożę...

– Nie złoisz, nie złoisz... – uspokoiła matka. – Tu trzeba spokojnie. On nigdy się tak nie zachowywał – zwróciła się do Stasi i Darka. Jak pani zadzwoniła, byłam pewna, że to pomyłka. Coś musiało się stać...

– No, z pewnością – odparła Stasia. – Stało się! Bił się na noże z największym łobuzem w tej szkole! Nigdy nie podejrzewałam pańskiego syna o coś takiego, a wydawało mi się, że go znam. Wie pani, kiedyś nawet z nim rozmawiałam, zakochał się i...

Dalszego ciągu rozmowy nie dane mi było usłyszeć, nagle poczułem, że sufit zaczyna wirować i odjeżdżać dziwnie do góry. Zamknąłem oczy i w tej samej chwili wszystkie dźwięki z zewnątrz przestały do mnie docierać. Tylko ten pulsujący ból, raz mniejszy, raz większy. W kółko. Nie wiem, może znowu straciłem przytomność. Nie mogło to jednak trwać długo, gdy bowiem ponownie otworzyłem oczy, zastałem obok łóżka te same osoby, dyskutujące o mnie zawzięcie.

– To dobry chłopak – mówił Darek do mojego ojca – jest tylko trochę zagubiony, skłócony ze światem. Ma artystyczną duszę, jest bardzo wrażliwy. Chodzi na wagary, to fakt, wiedzą państwo o tym, jednak to, co dziś zrobił, kompletnie do niego nie pasuje... Piotrek nigdy się nie bił... Ten Szęszyński to co innego. Koniecznie trzeba z Piotrkim porozmawiać. Z pewnością wiele to wyjaśni...

– Są świadkowie, którzy mówią, że nie chciał się bić – powiedziała Stasia.

– A nóż? – zapytała moja mama – To przecież nie jego! On nie nosił ze sobą noża!

– Wyjaśnimy to, jak tylko będzie w stanie rozmawiać...

Powieki miałem dziwnie posklejane. Na rzęsach dostrzegłem resztki zakrzepłej krwi. Tym razem było trochę lepiej i mogłem nawet lekko podnieść głowę.

– Dzień dobry – powiedziałem. Głos mój zabrzmiał dziwnie słabo. To pewnie ta bananowa warga. Co za młyn...

– Dzień dobry – odparła Stasia – Liczymy na to, że wyjaśnisz nam kilka spraw, zanim zabierze cię policja.

– Policja? – spytałem, powoli kojarząc fakty – A po co?

– Na bójki nożem zawsze reaguje policja. Szęczyńskiego już zabrała. Miał ze mną na pieńku od dawna. Teraz myślimy, co z tobą zrobić. Opowiedz nam, jak do tego doszło?

– Do bójki?

– Tak, do bójki.

– Nie chciałem się z nim bić. On zaczął wulgarnie moją dziewczynę. Zabrał jej lizaka, przyłożyłem mu, potem się mścił...

– A więc to ty zacząłeś?

– Tak. Ale ja nie chciałem się bić...

– Co to za dziewczyna? – zacięła się mama.

– Moja. Wiktoria.

– Jaka Wiktoria? Z naszej szkoły? – spytała Stasia.

– Kiedyś powiedziałem pani dyrektor, że nie zdradzę jej nazwiska.

– A ja kiedyś powiedziałam ci, że wszystko zniosę, ale bójki będę zwalczać bezwzględnie! Gadaj tu zaraz, albo oddajemy cię na policję.

– Labocha – powiedziałem – Ale ona nie jest tu winna.

– Labocha? To dla niej tak szalejesz? Dziecko!

– Co to za jedna? – spytał mój ojciec.

– To nasza uczennica... – powiedziała, ważąc słowa, Stasia
– Lubi... chłopców...

– Jak się uczy? – spytał znów ojciec.

Boże – pomyślałem – oni są nienormalni, czy to ja zwariowałem? Standardowe pytanie! Jak można oceniać kogoś, po tym, jak się uczy?!

– Kiepsko – odpowiedziała Stasia – Ma własny tok nauki.

– Zabraniam ci się z nią spotkać! – wrzasnął ojciec.

No, tak – pomyślałem – Już ją skreślił. Co za cholerna mentalność! Lepiej przemilczę i nie będę się odzywał na ten temat. Tu jest jak w sądzie, wszystko co powiesz może być użyte przeciwko tobie. A może być tylko gorzej...

Po wrzasku ojca zapadła chwila ciszy. Widocznie uznano, że ma rację, choć nie miałem pojęcia, dlaczego. Skoro milczałem ja, milczeli i inni.

– Jak doszło do bójki? – zapytała w końcu Stasia.

– Powiedział, żebym zszedł do szatni, więc zszedłem. No i...

– Skąd miałeś nóż? – przerwał ojciec.

– Nie wiem, nie pamiętam. Ktoś mi go podał chyba...

– Zszedłeś, i co było dalej? – pytała Stasia.

– I uderzył mnie. Oddałem mu...

– Wyjął nóż?

– Dopiero pod koniec. To nie miała być bójka na noże. To w ogóle nie miała być bójka...

– Przegrywał? – spytał ojciec

– Raczej nie... Silny był... – odparłem, uśmiechając się blade.

– Jednak to ty mocniej go poturbowałeś – zauważył Darek.

Nie powiem, żeby mnie to zmartwiło...

– Serio? Co mu jest? – spytałem.

– Ma rozciętą skórę na głowie, rozbity nos, podbite oko, rozciętą wargę, złamane dwa palce, wielkiego guza... – wyliczał Darek

– Trafił do szpitala na obserwację.

– A mi co jest?

– Masz wstrząs mózgu, podbite oko, rozcięte czoło, wargę, i kilka siniaków będzie...

– Czyli... wygrałem? – uśmiechnąłem się. Bilans uszkodzeń ciała, z mego punktu widzenia, przemawiał na moją korzyść.

– Synu! – wrzasnął ojciec – O czym ty mówisz?!

– Pewnie wygrywałeś, dlatego sięgnął po nóż – przerwała Stasia – On pierwszy, tak?

– Tak. Ja nie miałem noża...

– Kto dał ci nóż?

– Już mówiłem, że nie pamiętam.

– Oj, dziecko, dziecko – westchnęła zacna dyrektorka – Co ja mam z tobą zrobić. Proszę zabrać syna do domu – powiedziała po chwili do moich rodziców – Nie będę, póki co, wzywać po niego policji, ale jeszcze zastanowię się, co z nim zrobić. Zabierzcie go państwo, a jak dojdzie do siebie, niech zgłosi się do mnie, do gabinetu.

– Bardzo pani dziękujemy – kajał się ojciec. Czuję, że to głównie dzięki rodzicom wykaraskałem się jakoś – Naprawdę, bardzo jesteśmy wdzięczni. Nie chcieliśmy sprawiać kłopotów, naprawdę. Przepraszamy za niego...

– Dobrze, już dobrze. Proszę go zabrać i niech się wyleczy przez kilka dni.

– Już ja go wyleczę – mruknął ojciec, spoglądając na mnie z wściekłością.

– Nic mu nie zrobisz – oponowała matka.

– Do widzenia – powiedziałem do Stasi i Darka, odwracających się w kierunku wyjścia – Przepraszam. I... dziękuję.

– Ty nie dziękuj, bo jeszcze nie wiesz, co z tobą zrobię – odparła Stasia – Do widzenia.

I razem z Darkiem wyszli z gabinetu. Zostałem sam z rodzicami.

– Głupi jesteś! – wrzasnął ojciec na dobry początek – Nie wierzę, że można być tak głupim. I to dla jakiejś dziewczyny, która w dodatku źle się uczy! To się w głowie nie mieści. Ciesz się, że tak to się skończyło!

– Możesz wstać? – zapytała mama.

– Spróbuję – powiedziałem cicho. Podniosłem głowę, potem tułów i oparłem się na łokciach. Potworny ból omal nie rozerwał mi pleców. Dostałem tam kopa – przypomniałem sobie. Bolały mnie nerki i kręgosłup.

Powoli usiadłem na kozetce. Jednym okiem widziałem gabinet w ograniczonym zasięgu. Wszystko jakby skurczyło się, zmalało.

– Boli cię coś? – spytała mama.

– Spytaj, co mnie nie boli – odparłem wykrzywiając twarz, co miało wyglądać jak namiastka uśmiechu – Co z Szęszyńskim? – spytałem.

– A co ty się nim tak interesujesz!? – wrzasnął ojciec. Piłka do koszykówki w mojej głowie znów odbiła się kilka razy od kości czaszki – Kolega twój?! Mam nadzieję, że nie! Policja go zabrała! Ma na koncie wymuszenia pieniędzy, wandalizm, obrabował bufet, bił się nie po raz pierwszy. Z kim ty się zadajesz?! Nic z ciebie nie wyrośnie, synu...

– Przestań tak mówić! – naskoczyła na niego mama – Tak nie można mówić dziecku. Młody jest, wszystko przed nim. Jeszcze zamknie się w sobie i dopiero bandytą zostanie. Bronił honoru dziewczyny. To nawet romantyczne...

– Co ty, babo, bredzisz! – warknął ojciec – R o m a n t y c z n e ? W dzisiejszych czasach to trzeba być, kurwa, skończonym idiotą, żeby być romantyczny! I nie bije się na noże w szkole! I to dla dziewczyny, która nawet...

Żle się uczy – dokończyłem w myślach.

– Przestań – przerwała mama – On wie, że źle zrobił, co nie znaczy, że masz mu teraz wtłaczać do głowy te swoje chore poglądy. Ty też kiedyś byłeś romantyczny. Nawet, pamiętasz, kwiaty mi przynosiłeś, a jak była wiejska zabawa dałeś w mordę Kazikowi, tylko dlatego, że chciał ze mną zatańczyć...

– Nigdy mi o tym nie mówiliście – wtrąciłem się, zaciekawiony.

– Cicho, cicho... – próbował wycofywać się ojciec – Tak tylko mówię, bo rozczarowałem się na tej całej romantyczności. To zła cecha. A chłopak jest młody, nie zna życia. Nie chcę, by został zadźgany gdzieś pod płótem, w obronie pierwszej lepszej kurwy.

– No, tego już za wiele! – zaprotestowałem – Proszę nie nazywać nikogo kurwą! To, że od razu skreślasz osoby po tym, że się źle uczą, nie oznacza, że masz od razu nazywać je kurwami. Wiktoria nie jest kurwą!

– Dyrektorka sama mówiła, że lubi chłopców.

– A która dziewczyna nie lubi? Ładna jest, to ma prawo – odparłem – I nie życzę sobie, byś ją przy mnie obrażał.

– Ma rację – poparła mnie mama.

– Ale ja tylko tak ogólnie, o wszystkich, nie o niej. Wstawaj! Jedziemy do domu.

Powoli opuściłem na ziemię jedną nogę. Potem drugą. Nogi chyba w porządku – oceniłem – Tylko te plecy i głowa... Mam nadzieję, że z okiem wszystko będzie dobrze. Przynajmniej upiekło mi się z policją... Co dalej?

XI

Do szkoły nie poszedłem do końca tygodnia. Siedziałem w domu i powoli dochodziłem do siebie. Guz na głowie stopniowo stawał się coraz mniejszy, warga zagoiła się, mogłem również zdjąć z oka opatrunek – oprócz opuchlizny siwego koloru, wszystko zdawało się być w porządku.

Przez kilka dni bolały mnie plecy, wkrótce jednak i to minęło.

Trzeciego dnia rekonwalescencji zadzwonił Koreń.

– Cześć – powiedział – Co tam?

– W porządku, czemu pytasz?

– Bo głośno jak chuj w szkole o tobie. Coś ty robił? Biłeś się na noże? Ty?!

Cóż, plotki szybko się rozchodzą – pomyślałem.

– A, wiesz... tak jakoś samo wyszło...

– Z Szęszyńskim?!

– Tak.

– Przecież on jest silniejszy od ciebie.

– Ale jakoś potrzebował aż nóż wyjąć, bo by sam przegrał – powiedziałem, lekko poirytowany.

– O co wam poszło? Nie wiedziałem, że w ogóle znasz Szęszyńskiego. Odwiozła was karetka?

– Nie... tylko jego...

– To coś ty mu zrobił?!

– A, takie tam...

– Byłeś na policji?

– Nie.

– Wszyscy mówią, że byłeś, i że jesteście w poprawczaku.

– Pierdolenie. Na szczęście upiekło się.

– O co wam poszło?

– Człowiek się nie umie zachować, chciałem mu zwrócić uwagę, ale on nie dał sobie nic spokojnie powiedzieć...

– Ale że biłeś się... Ty? Dziwne...

– Sam jestem zdziwiony.

– To co on takiego zrobił?

– Nic specjalnego... – chciałem wykręcić się od podania mu prawdziwej przyczyny zajścia – Obraził mnie, moich rodziców... W ogóle, wiesz, jak reaguję na chamstwo...

– Ale bić się?! – Koreń nie potrafił wyjść z podziwu.

– Też zrobiłbyś to na moim miejscu. Widzisz, „są rzeczy, które facet musi czasami zrobić. Inaczej przestaje być facetem” – zawsze chciałem użyć tego, usłyszanego w jakimś filmie zwrotu.

– Stało ci się coś?

– No, mam wstrząs mózgu, podbite oko, rozciętą wargę, takie tam...

– O kurwa... – zamilkł na chwilę – Kiedy wracasz do szkoły?

– Pewnie aż po weekendzie. Póki co siedzę i cieszę się wiosną.

– To spoko. Wracaj szybko, pójdziemy na Dzwony. Nie byliśmy tam od kilku dni, schodzimy na psy – zaśmiał się.

– Jasne, że pójdziemy. Zresztą, w przyszłym tygodniu rekolekcje, codziennie będziemy na Dzwonach kilka godzin, jeszcze ci się znudzi.

– Nie. Dzwony nigdy mi się nie znudzą – usłyszałem pewny siebie głos – Wracaj szybko. Na razie.

– Cześć – powiedziałem i rozłączyliśmy się.

Kolejny tydzień zapowiadał się rzeczywiście ciekawie. Dwa dni jako takiego chodzenia do szkoły, a potem trzy dni wolne z powodu rekolekcji. Trzy dni spędzone na dachu kościoła.

Dni zdrowotnego odpoczynku minęły bez większych emocji. W poniedziałek zameldowałem się w szkole.

Na wardze pozostał mi już tylko niewielki strupek, sina obwódka na oku przybrała lekko pomarańczowy odcień. Głowa nie bolała mnie już wcale. Wyglądałem prawie jak człowiek.

Od razu przed lekcjami zgłosiłem się do gabinetu Stasi na poważną rozmowę wychowawczą. Niestety, nie dało się jej uniknąć.

Postanowiłem, że w mojej sytuacji lepiej będzie być grzecznym i pokornym, albo przynajmniej udawać grzeczność i pokorę, choćby przez chwilę.

– Witam cię, Piotrze – odezwała się Stasia, gdy tylko wszedłem po czerwonym dywanie do czeluści jej królestwa. Głos tym razem zabrzmiał dużo chłodniej niż zwykle...

– Dzień dobry, pani dyrektor – powiedziałem, aktorsko spuszczać głowę.

– Czy pamiętasz naszą ostatnią rozmowę, gdy stałeś tu z niebieskimi włosami?

– Tak – odparłem.

– Co ja ci wówczas powiedziałam?

– Usłyszałem bardzo dużo od pani – rzekłem dyplomatycznie.

– Tak. Między innymi, że szkoła miała już przez ciebie dość kłopotów, że jesteśmy młodą placówką i musimy dbać o nasze dobre imię, a ty psujesz nam opinię na całą Polskę, oraz, przede wszystkim, że na bójki będę reagować jak najbardziej stanowczo. Co wtedy odpowiedziałeś?

– Że... bójki to nie dla mnie, że to dla prostaków...

– No i co, p r o s t a k u ?

Milczałem. Na to liczyła.

– Słuchaj, ja nie będę wnikać i badać, czy to twoja wina, czy nie. Gdyby nie twoi rodzice, którzy błagali mnie, bym nie oddawała cię na policję, miałbyś sprawę w sądzie dla nieletnich. Poważną sprawę, o bójkę z użyciem niebezpiecznego narzędzia. Wiesz, co to oznacza? Dołożyłabym jeszcze swoje, za niszczenie mienia i napisy w szatni. Co ty sobie myślisz? Nie ma w tej szkole ściany bez napisu Durex! Myślisz, że ja nie wiem, kto to jest Durex? Że nie wiem, że na ciebie D u r e x mówią? Wszyscy wiedzą, że masz ksywę Durex, a te dziesiątki napisów na murach, w szatni i w toaletach to twoja sprawa. Gdyby nie to, że szkoła i tak ma być malowana, miałbyś przez to kłopoty już dawno. Poza tym, sprawa twoich notorycznych ucieczek z lekcji, aroganckiego zachowania się w stosunku do nauczycieli, panie Kolek i Czuchra notorycznie skarżą się na ciebie, do mnie też śmiałeś robić jakieś insynuacje. Do tego niebieskie włosy i teraz ta bójka. Mam dość! Mógłbyś już

dawno wylecieć, gdyby tylko wyrzucali z podstawówki. Przepisy jednak zabraniają...

– Żałuje pani? – przerwałem. Przez chwilę rozbrzysła we mnie dziwna iskierka przekory.

– Nie, nie, nie! Ty nic nie rozumiesz! Jesteś przecież inteligentnym chłopcem, masz zdolności literackie, chwała cię za wypracowania, ponoć nawet wiersze piszesz. To dobrze! Cienimy to, tylko że negatywne zachowania znacznie przeważają! Jak czasem coś ci odbije, nie wiadomo, co z tobą zrobić. To ostatnia szansa, jaką tu dostajesz.

– To znaczy? – spytałem cicho.

– Daję ci ultimatum. Jest to ultimatum, które nie podlega dyskusji ani apelacjom. Jeżeli jeszcze raz, ktokolwiek, przyjdzie do mnie ze skargą na ciebie, choćby nawet chodziło o nieprzebrane buty, jeżeli zauważę gdziekolwiek jeden nowy napis Durex, jeżeli jeszcze raz zwieszysz z lekcji bez solidnego usprawiedliwienia, wzywam policję i niech cię zabiera. Chuliganów i wandalów tu nie potrzebujemy. Zrozumiano?

Milczałem, stojąc ze zwieszoną głową. Nie chciałem walczyć o swoje prawa. Byłem na straconej pozycji.

– Zrozumiano? – powtórzyła pytanie Stasia. Zrobiła to tak jak poprzednio, nawet o pół tonu nie podniosła głosu, nie okazywała zniecierpliwienia brakiem mojej odpowiedzi. Wiedziała, że i tak odpowiedzieć muszę. W jej głosie nie było złości ani oburzenia.

– Tak – odpowiedziałem w końcu, wpatrzony smutno w czubki swych głąnów, oczywiście nieprzebranych, komu bowiem chce się przebierać buty na wiosnę?

– Więc odmaszerować teraz na lekcję! I nie chcę cię tu już widzieć, chyba że z dobrymi wieściami. Żegnam.

– Do widzenia – odparłem, wychodząc po czerwonym dywanie z gabinetu.

Pod salą od matematyki przywitał mnie dziwnie dziś radosny Koreń.

– Wróciłeś – rzekł.

– Jak widać...

– Nawet nie jest tak źle – ocenił mój wygląd – Choć na podryw to na razie nie chodź.

Jakaś aluzja? – przemknęło mi błyskawicznie przez głowę.

– Mam coś dla ciebie – rzekł – Nudziło mi się jak cię nie było i namalowałem kilka wrzutów twojej ksywy. Trzymaj, są twoje – wręczył mi parę kartek z zeszytu, na których zauważyłem rysunki jego projektów graffiti z motywem *Durex* wkomponowanym w tło i wykoślawionym na wszelkie sposoby. Nawet niezła robota – oceniłem.

– Dzięki, stary. Naprawdę dobre! Powieszę sobie gdzieś w pokoju...

Właśnie nadeszła pani Kolek i otworzyła drzwi klasy, wpuszczając nas do środka.

Matematyka przebiegała spokojnie. Duszyka nie było, biedak zasnął, jak zwykle zresztą w poniedziałek. Siedziałem więc z Koreniem, oglądając ciągle jego prace. Właśnie zastanawiałem się, czy można by je było przenieść gdzieś na mur sprayem, gdy nagle podeszła do nas Kolkowa. Zrobiła to znienacka, od tyłu, w chwili, w której najmniej można się jej było spodziewać. Nic nie mówiąc, wyrwała mi kartki z ręki i, śmiejąc się szyderczo, przejrzała, po czym zamasyżycie przedarła na pół.

– Matematyką się zajmij, a nie bójkami i jakimiś pierdołami – powiedziała tym swoim przesiąkniętym ironią głosem.

Gdy cała sytuacja dotarła do mnie, myślałem, że eksploduję. Czekał, jak ja ci zaraz coś powiem – pomyślałem – Odechce ci się, głupia... Zaraz! Stop! Ultimatum! Wstrząsnęło mną lekko aż nogi od krzesła zadrżały na plastikowej posadzce, jednak w ostatniej chwili zacisnąłem usta.

– Nie przejmuj się, zrobię ci nowe – powiedział Koreń z boku – Nie szanuje pani czyjeś pracy! – zwrócił się do Kolkowej – To już złośliwość z pani strony, wystarczyło powiedzieć, żeby to schował, nie?

Nauczycielkę zamurowało.

– Dobrze, spokojnie, Przemek – odparła dziwnym głosem – Nie unoś się tak, ja nie wiedziałam, że to twoje...

– Moje, moje. Przed chwilą dałem mu te projekty!

– Dobrze, przepraszam. Tylko nie unoś się tak. Wiesz, ja się ciebie czasem boję – przyznała.

Myślałem, że zgłupię na tym krześle. Nie wiedziałem, czy matematyczka znów kpi czy tym razem mówi poważnie

– Jak się tak czasem spod byka popatrzyś, to aż strach mnie przejmuje. Jeszcze mi auto przewrócisz kołami do góry, pobijesz albo coś... Bo Piotrka się tak nie boję, nie ma takiego wściekłego wzroku, a przecież chyba nie wyzwie mnie na noże...

Klasa ryknęła śmiechem, Koreń uśmiechnął się mile zdziwiony. Nie powiedział już nic.

Pani Kolek rzeczywiście odczuwała przed nim jakiś dziwny respekt. Zauważyłem to dość dawno. Niestety, jak mówił Przemek, nie miało to wpływu na oceny, chociaż wielokrotnie próbował.

Na przerwach wypatrywałem Wiktorii, nigdzie jej jednak nie było. Znowu wagary? Ona jest niesamowita! Chyba już podjęła decyzję, miała na to ponad tydzień, na pewno czegoś się dowiem – myślałem.

Po lekcjach postanowiliśmy iść w trójkę na Dzwony. Duszyk pojawił się w szkole zaraz po matematyce, pogoda również była wyśmienita.

Koreń chciał iść na dwunastą, posłuchać bicia Lecha z bliska, co wiązałoby się z opuszczeniem dwóch ostatnich lekcji, dowiedziawszy się jednak o moim ultimatum, postanowił wraz z Duszykiem na mnie zaczekać.

Nie śpiesząc się specjalnie, zdobyliśmy obydwie wieże. Usiedliśmy na dłużej na dachu mniejszej dzwonnicy. Widoczność była wręcz pierwszorzędna, słońce świeciło, widać było nawet wzgórza w okolicach odległej o trzydzieści kilometrów Dębicy. Jak na połowę kwietnia było również niezwykle ciepło.

Dach był suchy i przyjemny. Ptasię odchody pod wpływem słońca zamieniły się w wyschły i nieszkodliwy dywanik, przypominający egzystencją zmieszane z błotem siano. Po rogach ujrzeliśmy ukryte w zagłębieniach muru trzy gołębie gniazda. Przypomnieliśmy sobie o pisklętach i postanowiliśmy sprawdzić, co u nich słychać.

W dwóch gniazdach znaleźliśmy dwa, na oko prawie już dorosłe i w pełni opierzone ptaki. Były może odrobinę mniejsze od normalnego dojrzałego gołębia, miały też krótsze i słabo jeszcze wykształcone ogony, wydawało się nam jednak, że z pewnością umieją już latać. Nad wieżą co chwila przelatywały wystraszone naszą obecnością gołębice, bojąc się wylądować w naszej obecności.

Koreń sięgnął do jednego z gniazd i wyjął z niego pisklę. Ptak nie opierał się specjalnie.

– Ciekawe, czy już umiesz latać – rzekł – Sprawdzimy?

– Dawaj! – ucieszył się Duszyk.

– Jasne! – powiedziałem.

Koreń wziął gołębia w obie ręce i jak z katapulty wyrzucił do góry, poza obręb dachu. Ptak miał już prawie pełne upierzenie, lecz latanie widocznie było mu jeszcze obce. Rozłożył skrzydła, próbował nimi machać, runął jednak w dół. Z rozpostartymi skrzydłami nie spadał jak kamień, opadał powoli, kołując do ziemi. Wreszcie wylądował na betonie na placu kościelnym. Chyba nic mu się nie stało.

– Uuuuuu – zawył Koreń, udając zatroskanie – Coś kiepsko z tym lataniem...

– Dawaj drugiego! – wykrzyknął Duszyk, któremu nowa zabawa wyraźnie bardzo się spodobała, po czym sam wyjął drugiego ptaka z gniazda, pogłaskał czule po dziobku i z całej siły katapultował w powietrze.

Ten gołąb miał, niestety, trochę mniej szczęścia. Podobnie jak pierwszy rozpostarł skrzydła i kołował do ziemi, niestety jednak oddalił się trochę za bardzo w lewo i, robiąc kolejne okrążenie, jakieś osiem metrów nad ziemią, z dość dużą prędkością zderzył się czołowo z murem szkoły. Odpadł od ściany i spadł bez ruchu na chodnik. Koreń z Duszykiem wybuchli głośnym śmiechem.

– Ale pierdolnął! – ryknął Duszyk – Jest tam jeszcze jakiś?

– Nie ma, niestety – powiedziałem. Próbowałem śmiać się razem z nimi, poczułem się jednak trochę dziwnie. Chyba szkoda mi było tych ptaków.

– Leciał, leciał, aż nie doleciał! – śmiał się Koreń.

Nad nami krążyły zatroskane gołębice, lkając żałośnie i trzepocząc skrzydłami w powietrzu. Wciąż jednak bały się wylądować, jakby odkładały na później powrót do pustych gniazd.

XII

Rekolekcje w tym roku miały wyglądać w naszym kościele inaczej niż dotąd. Przede wszystkim, zmieniono trochę ich formę i teraz, zamiast iść na dwie msze w ciągu dnia – jedną rano, a drugą po południu – mieliśmy iść raz a dobrze, na ósmą trzydzieści i siedzieć w kościele aż do dwunastej. Nie wiedziałem jedynie, po co.

Mnie, Korenia i Duszyka mało obchodził program tych trzy i pół godzinnych spotkań, mieliśmy bowiem zamiar cały ten czas spędzić na Dzwonach. Na ostatniej religii dostaliśmy od księdza (co było zresztą do przewidzenia) kartki, z którymi po każdej zakończonej mszy mieliśmy się zgłaszać do podpisu na plebanię. Brak któregoś z podpisów mógł grozić oczywiście niedopuszczeniem do Bierzmowania. Robiono wszystko, by zmusić nas do chodzenia do kościoła, a przecież my, całą trójką, dobrowolnie wybieraliśmy się na te msze! Trzy i pół godziny codziennie na Dzwonach wydawało się wspaniałą perspektywą.

Pierwszego dnia, tuż przed mszą, spotkaliśmy się na placu przed kościołem. Plan był prosty; wchodzimy na wieże, pod koniec mszy schodzimy i najnormalniej na świecie idziemy z karteczką i tłumem innych na plebanię po podpis.

Już wchodząc do kościoła zauważyliśmy jednak, że coś nie jest w porządku.

Przede wszystkim przywitała nas cisza. Kościół pełen dzieci – większość z karteczkami w dłoniach – my przynajmniej schowaliśmy swoje do kieszeni – wyjścia obstawione zakonnicami w roli ochroniarzy. Msza właśnie zaczynała się, ksiądz powoli wynurzył się z czeluści zakrystii, a tu... cisza! Gdzie dźwięk organów?

Organisty nie było. Zamiast niego przy ołtarzu ulokował się młodzieżowy zespół z KSM-u, z dwiema gitarami i keyboardem. A gdzie organista?! – niecierpliwiliśmy się. Nie ma go!

Obie kraty prowadzące na balkon oczywiście zamknięte, o przechodzeniu przez mur w kościele pełnym ludzi, z księdzem przy ołtarzu, podczas mszy, nie było oczywiście mowy. Stanęliśmy z tyłu, pod murem, rozczarowani.

– Chłopaki, ja tu długo nie wytrzymam... – wyszeptał Duszyk po pięciu minutach podpierania ściany.

– Ja też – poparłem.

– I ja – dorzucił Koreń.

– To co robimy?

– W tył zwrot!

Powoli odwróciliśmy się i ruszyliśmy w kierunku wyjścia. Ominęliśmy slalomem, pilnujące przejścia, bramkarze-zakonnice, otworzyliśmy drzwi i... wpadliśmy prosto w ramiona potężnego księdza Biernata.

– A dokąd to? – spytał groźnie ksiądz, łypiąc na nas z góry swymi zielonymi oczami, co z powodu dwóch metrów wzrostu przychodziło mu z łatwością.

– Kolega źle się poczuł... – zmyśliłem na poczekaniu, wskazując na Korenia, który w mgnieniu oka zrobił zeza.

– Aha! Może opętanie? Udział w rekolekcjach tylko ci pomoże. Wracać do środka, ale już! – zagrział – I żebyś nie widział, że coś kombinujecie, bo nie dopuszczę całej trójki do Bierzmowania. Mam was na oku!

Wróciliśmy potulnie pod mur, pod którym staliśmy bez słowa przez te trzy i pół godziny, choć szlag nas trafiał, a nuda zżerała. Czas dłużył się w nieskończoność, minuty stawały się godzinami, organisty nie było, msza, jakieś śpiewy, różaniec, droga krzyżowa... dla nas śmiertelna dawka!

Jak już pisałem, kościół był dla mnie wówczas miejscem, do którego chodziłem aby się wyciszyć, ale te trzy i pół godziny, bez poprzedniego treningu, było stanowczo za dużo na nasze nieprzyzwyczajone, słabe nerwy. Od początku marca nie braliśmy przecież udziału w żadnej mszy.

Nie wiem jak to wytrzymaliśmy. Po wszystkim potulnie poszliśmy wraz z tłumem dzieci do księdza po podpis na karteczce.

Następnego dnia postanowiłem nigdzie nie iść. Wypałem się bez ograniczeń, po czym wzięłem rower i pojechałem na małą wycieczkę do Gawłuszowic. Paradoksalnie, pojechałem tam, żeby obejrzeć... kościół. Wspaniały, w całości modrzewiowy budynek interesował mnie od dawna. Pierwsze wzmianki o nim pochodzą z trzynastego wieku. Później kościół wielokrotnie był modernizowany, ostatnio w latach siedemdziesiątych. Jak na budowlę całkowicie drewnianą ma dość spore wymiary i wywiera niezapomniane wrażenie.

Po dokładnym obejrzeniu budynku kościoła, pojechałem na most w Gawłuszowicach. Most przerzucony przez Wisłokę, jednoczęściowej konstrukcji, dawno nie odnawiany, wygląda dość ciekawie, rzeka jest tu szeroka; niecały kilometr dalej wpada do Wisły.

Posiedziałem jakiś czas na moście i pod nim, podpisałem się też kilkakrotnie czarnym markerem: *Durex 14. IV 2000r.* Na stalowej belce mostu, po lewej stronie napisałem też fragment *Kołysanki dla przyjaciół* Liroya, którą umieliśmy wówczas w całości na pamięć i podśpiewywaliśmy sobie przy każdej okazji.

Miałem spore problemy z powrotem do Mielca, gdyż właściwie nagle zerwał się niespotykany silny wiatr, dokładnie od strony, w którą zmierzałem.

Częściowo prowadząc składak poboczem, częściowo jadąc, udało mi się po piętnastej dotrzeć do domu. Byłem wyczerpany.

Wieczorem telefon. Koreń.

– Byłeś w kościele? – spytał.

– Nie, a ty?

– Też nie. Ponoć połowa osób dziś nie przyszła.

– Nic dziwnego, po tym, co nam fundują. Już wolałem jak było dwa razy dziennie.

– Przecież i tak wtedy nie chodziliśmy – zaśmiał się.

– Wiem, ale dla innych było wygodniej. Trzeba myśleć społecznie!

– Jasne! – zaśmiał się – Słuchaj, mam propozycję. Wpadnij jutro do mnie rowerem, pojedziemy na moją działkę. Nie padało od kilku dni i matka powiedziała, że skoro i tak nie chodzę do kościo-

ła, to żebym przynajmniej pojechał i podlał rośliny. Weźmiemy piwko, posiedzimy, pogadamy, będzie fajnie. Okej?

– Dobra, czemu nie. Swoją drogą, ty mówisz wszystko matce? No, o tym kościele, że nie chodzisz i w ogóle?

– No. Dzisiaj na przykład miała urlop i siedzieliśmy razem w domu. Powiedziałem, że mi się nie chce po prostu.

– Fajnie masz. To o której?

– Tak około dziesiątej. Wyśpij się.

– Dobra, będę – odparłem odkładając słuchawkę.

XIII

Na płycie lotniska odbywają się skoki spadochronowe. Stary biało-niebieski antek, warcząc przeraźliwie, sunie po trawie w kierunku grupki przygotowanych do wylotu spadochroniarzy. Skrzydła jak u kaczki kołyszą się śmiesznie na boki, gdy ten, bądź co bądź, spory samolot podskakuje na nierównościach trawiastego pasa startowego.

Dwunastu śmiałków z ciężkimi spadochronami na plecach, śmiejąc się i żartując powoli znika we wnętrzu maszyny. Pilot stopniowo zwiększa obroty silnika, do naszych uszu dociera coraz ostrzejszy ryk. Pęd powietrza jest już tak duży, że wyrывa z ziemi poszczególne, co słabsze źdźbła trawy. Wszystko frunie, podnosi się i układa za samolotem w falujący zielony dywan. Po chwili zamknięte zostają drzwi, pilot zwalnia blokadę kół i samolot powoli płynie w kierunku pasa startowego. Jeszcze bardziej przeraźliwy ryk silnika oznajmia zwolnienie przepustnicy. Antek pędzi wzdłuż pasa, odrywa się i po chwili jest już tylko odległym punktem na niebie.

Na wysokości sześciuset metrów wyrzucona zostaje sonda, mająca określić kierunek i siłę wiatru. Taśma różnokolorowej bibuły płynie lekko na zachód. Wiatr południowo-wschodni. Antek wciąż wznosi się, na chwilę nikt nie nam z oczu, przelatując przez jedną z nielicznych chmur. Po kilku minutach jest już bardzo wysoko,

trudno go zauważyć, wciąż jednak dociera do nas cichutki warkot gdzieś tam w górze.

Kilka kolejnych sekund. Warkot staje się jakby słabszy, oznajmiając chwilowe zwolnienie obrotów. Wszystko jest jasne. Od samolotu kolejno oddzielają się małe czarne punkciki, jeden po drugim, nic nieznaczące drobiny ludzkiego istnienia zawieszona w próżni błękitnego nieba.

Punkty zmieniają się w postaci ułożone w krzyżyki, zdają się rosnąć w oczach, gdy nagle nad każdym z nich rozkwita kolorowy grzyb spadochronu. Teraz są już wolni. Szybują nad światem, są panami siebie, przestrzeni.

– Też będę tak kiedyś – powiedziałem, pociągając kolejny łyk piwa.

– Aha! Jasne... – odparł Koreń.

– Nie wąp. Zobaczysz. Będę skakać, choćby nie wiem co.

– Słyszałem, że to drogi sport – powiedział – Jakieś badania trzeba, coś tam jeszcze. No i za młodzi jesteśmy.

– To nic. Za rok, czy za kilka lat. Będę skakać – powiedziałem pewnym głosem.

– No to powodzenia.

Działka Korenia znajdowała się tuż przy ogrodzeniu lotniska. Był to niewielki biały budynek, ze swobodnie opadającym w jedną stronę, pokrytym srebrną blachą dachem.

Siedzimy na tym dachu, słońce niemiłosiernie grzeje. Popijamy zimne piwo Żywiec, obserwując długi, ciągnący się aż po horyzont trawnik z zaznaczonym prowizorycznie pasem startowym i z rzędem stojących bezużytecznie wraków An-2. Warzywa podlaliśmy na samym początku, teraz pora już tylko na odpoczynek i zimny smak lekko gorzkawego życiodajnego płynu.

Dwóch skoczków właśnie przelatywało nad dachami działek nieopodal. Przez chwilę dał się słyszeć szum tkaniny spadochronu na wietrze. Chłonałem wszystko szeroko otwartymi oczami. Skoczkowie, jeden po drugim, lądowali na murawie lotniska, zwiłali w kłębek linki i tkaninę spadochronów. Po jakimś czasie wylądował również antek. Kolejna grupa szykowała się do wylotu.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu na nagrzanym od słońca dachu. Żar z nieba zsyłał na całe ciało słodkie rozleniwienie, piwo ochładzało od środka, przytłumiając wyrazistość doznań zmysłowych.

– Poprosiłem Wiktorię o chodzenie – powiedział Koreń po dłuższej chwili.

Stwierdził to tak nagle, że o mało nie zakrztusiłem się kolejnym łykiem. Boże, co on mówi?! Jak?! Wiktorię?! O chodzenie?! Nie, z pewnością przesłyszałem się albo to szum w głowie od alkoholu – w tamtych czasach nie potrzebowaliśmy wiele – Jezus Maria! Tylko spokojnie, to nie może być prawda, pod żadnym pozorem to nie może być prawda, nie może, nie może...

– Labochę? – spytałem po chwili drżącym głosem, ze źle udawaną obojętnością – Kiedy?

– W tamten piątek, tydzień temu, jak leczyłeś rany po bójce.

To pytanie muszę zadać, choćby nie wiem jaki miało sprawić mi ból, choćbym miał spaść z tego dachu, zniechęcić Korenia i cały świat – pomyślałem – Wszystko skończone? Boże...

– I co ci odpowiedziała?

– Nic. Powiedziała, że się zastanowi.

– Zastanowi się... Zdziwiła się?

– Trochę.

Zastanowi się! Do jasnej cholery! Zastanowi się, co mu odpowiedzieć! Co odpowie mi? Wszystko szlag trafia stopniowo, boleśnie, bardzo sadystycznie. Czy tym życiem kieruje jakiś sadysta, że tak męczy, czy ona musi zastanowić się teraz, kogo wybrać, gdy ma do wyboru mnie albo Korenia, Korenia, którego przecież kochała, przeciwko mnie, któremu raz już dała kosza... Tak, ja się pobieram znowu, przeciwko jestem tylko facetem. Kolejnym, silnym w tym popieprzonym kraju, świecie, życiu... Teraz wszystko trafia szlag, trafia i będzie jeszcze gorzej – myśli płątały mi się po głowie bez sensu, ładu i składu – Cholerne życie i jeszcze bardziej cholerny świat. Kolejny kosz?! Koreń, ty wiesz, o co w tym chodzi, bawisz się ze mną wiedząc o wszystkim, czy robisz to nieświadomie? Jak mogłeś proponować jej chodzenie, związek! Dlaczego teraz?! Przecież ona czekała na to od października, dlaczego teraz!?

Wszystko sypie się, odpada ze mnie, jak tynk na przedwojennej kamienicy. Kamienicy, skąd ja znam ten motyw...

Nieważne! Wiktoria...

– Po co ci ona? – spytałem.

– Wiesz, dorasta się. Najwyższa pora mieć dziewczynę – uśmiechnął się.

– Myślisz, że się zgodzi?

– Myślę, że tak. W końcu podobam jej się od dawna.

– Tak myślisz? – tej ironii nie dało się już odpowiednio ukryć.

– Tak. O co ci chodzi?

– Mi? Nie, nie... o nic. Tak tylko...

– Powiedziałeś to z taką ironią.

– Nie przejmuj się, czasem mam taki głos po prostu. Z tym, że wiesz: to jest nastolatka i mogło jej się odmienić...

– Po tym jak na mnie patrzy, wiem, że jej się nie odmieniło.

– A jak patrzy?

– No, tak jakoś, nie wiem... smutno. Jak przez mgłę. Jest zakochana, to widać.

– W tobie?

– No, przecież, że w nikim innym.

– No to powodzenia.

Ryk przelatującego tuż nad nami samolotu zagłuszył trochę sarkazm ukryty w tym życzeniu. Stała się rzecz straszna, wiedziałem o tym. Chyba wszystko, co robiłem, było po prostu nic niewarte. Niebieskie włosy, walentynka, list, rozmowy, bójka z Szęczyńskim, której skutki ciągle jeszcze były widoczne, nieważne! Wszystko to jest nieważne, Wiktoria będzie z nim! Przynajmniej powiedziała, że się zastanowi... Mieć nadzieję? Nadzieja matką głupich, raczej nie warto...

Co ten człowiek w sobie ma?!

Jest przystojny, dobrze zbudowany, brunet. Nie ma orlego nosa, jak ja, jest też lepiej ubrany, nie wiem... to imponuje dziewczynom. Każda dziewczyna jest przerażająco próżna! Tu wygląd ma znaczenie w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach. Reszta jest nieistotna! Wszechświat i próżność kobieca nie znają swych granic, przegram, bo jakiś bóg osądził, że jestem wystarczająco

silny, aby móc ciągle przegrywać i to przetrzymać. Nie pierwsza i nie ostatnia porażka w moim życiu! Tacy jak Koreń są urodzonymi zwycięzcami, są piękni, mają łatwiej, dostają to czego chcą. Tacy jak ja odchodzą w cień. A może...

Ponoć każda ładna dziewczyna ma brzydką przyjaciółkę. To taka forma pasożytnictwa. Ta ładna liczy na to, że na zasadzie kontrastu, jej uroda, na tle tej brzydkiej, będzie jeszcze bardziej wyraźna. Brzydka zaś, że spadnie na nią trochę blasku od tej ładnej, że dostanie się w świetlisty obłok jej sławy. Czyżby to działało i w świecie mężczyzn? Czyżbyśmy ja i Koreń byli jak te dwie przyjaciółki? On przystojny, z przyszłością; ja brzydki, bezużyteczny, czerpiący promienie światła jak pasożyt – cień?

Jedno wiedziałem na pewno. Muszę porozmawiać z Wiktorią. I to czym prędzej! Niech powie mi wszystko, musiała przecież przez tydzień podjąć decyzję. Jeżeli mi nie odpowie, zmuszę ją! Muszę wiedzieć! Jeśli będzie z Koreniem – przeżyję. To normalne, należy przyzwyczajać się do takiego obrotu spraw. Pewnie jeszcze nieraz mnie to czeka. A może...

Przez cały weekend męczyłem się tym. Czekałem tylko na poniedziałek, by spotkać Wiktorię i zapytać ją, tak poważnie, patrząc prosto w oczy. Liczyłem na cud, miałem nadzieję, złudzenia, marzenia, imaginacje, nazywałem to różnie.

W poniedziałek rano nie wiedziałem już, co myśleć. Lekcje upływały powoli. Jedyne religia miała dość dramatyczny przebieg.

– Gumiecki i Korzeniowski, nie jesteście dopuszczeni do Bierzmowania – zagrział ksiądz Biernat po sprawdzeniu obecności.

– Dlaczego? – spytał Koreń.

– Nie było was na rekolekcjach. Karteczki macie?

– Mamy – odparł Koreń.

– Pokazać!

Posłusznie wyjęliśmy swoje karteczki. Podpis księdza, jak się można było spodziewać, tkwił tylko przy środkowej dacie.

– Co to ma być? – spytał ksiądz, jakby zdegustowany.

– Karteczki – powiedział naiwnie Przemek.

– Widzę. A gdzie podpisy?

– Proszę księdza, całe te karteczki to najbardziej bzdurny pomysł z możliwych. O co tu chodzi? O zmuszanie nas do chodzenia do kościoła? – spytał Koreń – Przecież nie można do tego nikogo zmuszać, wiara jest indywidualną sprawą każdego. Rekolekcje nie są obowiązkowe, nie musieliśmy być na nich do końca. Zarówno ja, jak i Dur... Piotrek, byliśmy przez trzy dni, ale... nie do końca. Formuła w tym roku była beznadziejna, nie dało się wytrzymać trzy i pół godziny, stojąc w kościele. Wiele osób po prostu nie przyszło.

– Tak? – podniósł brwi ksiądz – No to proszę bardzo! Skoro rekolekcje są dla was nieobowiązkowe, to sakrament Bierzmowania tym bardziej obowiązkiem nie jest. Nie dopuszczam was. Nie musicie się więcej pokazywać w kościele, wasza wola.

– Ksiądz nie może tak mówić – wtrąciłem – Ksiądz powinien zachęcać do chodzenia na msze, prostować kręte ścieżki baranków swoich, a nie pozostawiać wolną wolę, by zbaczały na manowce.

– Bóg dał nam – ludziom – wszystkim wolną wolę. Wy też ją macie. Co wybieriecie, wasza sprawa. Gdybyście dostosowali się do moich zaleceń, moglibyście przystąpić do Bierzmowania, skoro nie, to nie i tyle – odparł.

– Ale nie rozumie ksiądz, że ta biurokracja jest bez sensu, gdy mamy do czynienia z kwestią wiary? Po co te karteczki? – spytałem.

– Gdyby ich nie było, kościół świeciłby pustkami.

– A czy to nie jest właśnie odbieranie wolnej woli?

– Nie, to jest właśnie sprowadzanie na właściwą ścieżkę wiary. Zresztą, nazywaj to jak chcesz.

– Ale przecież kościół nie jest wynalazkiem Boga, tylko człowieka, może nie? – spytałem.

Ksiądz popatrzył na mnie i rzekł:

– „Ty jesteś Piotr, czyli opoka, i na tej opoce zbuduję mój Kościół, a bramy piekielne go nie przemogą”. Czyje to słowa?

– Autora Biblii – odparłem.

– To słowa samego Chrystusa, baranie!

– No, właśnie. Bo ksiądz traktuje nas tak jak stadne baranki, do tego te ogłupiane, faszzerowane chemią, ze stad Unii Europejskiej.

Każdy baranek musi mieć karteczkę, świadectwo zdrowia, kolczyk w uchu, szczepienia. A ja pytam, po co? Czy przez to będzie dawał więcej wełny? Kiedyś wypasano owce bez tego i wszystkim powodziło się lepiej. A ksiądz sam wie, że kościół jest wynalazkiem człowieka. To ludzie wymyślili ten cykl niedzielno-święteczny, to ludzie wymyślili i ponazywali święta, obrzędy, części mszy. Nie znajdzie ksiądz fragmentu w Biblii, który coś podobnego by narzucał, który nakazywałby uczestnictwo w takich a nie innych obrzędach. Jest za to wyraźnie, by nie oddawać czci obrazom i rzeźbom. Cała ta otoczka to wymysł grupki ludzi, rodem ze średniowiecza, po to, by trzymać nad pospólstwem władzę, ciągnąć kasę, jednocześnie pod jednym jarzmem – wiary. Piękne i wielkie kościoły do otumaniania pospólstwa, po to te wszystkie ozdoby! Pod płaszczykiem dobrego i miłosiernego Boga. Tymczasem ludzi myślących inaczej – zabijano, po prostu! Gdzie tu ideały Chrystusa? Gdzie tu słowa z Biblii? Do takiego kościoła ksiądz zmusza nas, mających wolną wolę?

– Kościół istotnie popełnił kilka błędów, ale ja nie będę z wami o tym dyskutował – odparł po chwili ksiądz – Nie zmienicie mojego zdania. Gdybym był młodszy, mógłbym się z wami pokłócić, teraz najnormalniej mi się nie chce. Idea boskiej miłości jest silniejsza od sztywnych formuł kościoła i to tej idei powinniście ufać. Wiarę należy pojmować sercem, nie rozumem... – westchnął – Człowiek jest tylko człowiekiem, Bóg rozliczy każdego, księży i papieży też, za wszelkie zło. Bóg odcina gałęzie, które nie dają owoców, pamiętacie? Nie bądźcie takimi gałęziami. Nie dopuszczam was do Bierzmowania. Postanowiłem.

– Ale, proszę księdza...

– Nie i tyle. Pojutrze robię ostateczną listę. Bez was.

– Ale, proszę księdza... – upierał się Koreń – Nasi rodzice...

– Powiecie im to, co i mnie przed chwilą. Zrozumieją. A do Bierzmowania za rok, jak określicie się, czy jesteście chrześcijanami czy nie – ksiądz uznał rozmowę za zakończoną.

Nie było nam specjalnie przyjemnie. Nie iść do Bierzmowania razem ze wszystkimi oznaczało niemały wstyd przed rodzicami.

Co ja powiem w moim porządnym, katolickim domu? – zmartwiłem się.

Teraz pozostała już chyba tylko kolejna porażka. Decyzja Wiktorii. Podobno była w szkole, muszę więc jak najszybciej ją odnaleźć. Jeżeli już iść za ciosem, to dwie porażki w ciągu jednego dnia nie będą wcale tak strasznym przeżyciem. Postanowiłem porozmawiać z nią na najbliższej przerwie. Tymczasem chciałem spokojnie wszystko przemyśleć. Poprosiłem o pozwolenie na wyjście z klasy.

Długim szarym korytarzem szedłem powoli w kierunku schodów. Potrzebowałem zaczerpnąć świeżego powietrza.

Wszystko powoli dobiega końca. Jeszcze dwa miesiące i ostatni rok przestanie mieć jakieś znaczenie, na zawsze stanie się tym, co już było. Do Bierzmowania nie zostałem dopuszczony, aż strach pomyśleć o reakcji rodziców; wlepiono mi ultimatum, przy którym nie mogę nawet normalnie pójść na wagary czy podpisać się na ścianie. A teraz jeszcze – Wiktoria...

I wszystkie wysiłki trafił...

Dochodziłem właśnie do skrzyżowania korytarzy, gdy nieomal nie zderzyłem się z jedyną osobą, która zawładnęła wszystkimi moimi myślami. Czy właśnie to ją tu sprowadziło?

Przez chwilę miałem wrażenie, że zmaterializowała się zjawą goszczącą w mej głowie, wyszła ze mnie jak Afrodyta z morskiej piany.

Wiktoria stała przede mną w promieniach słońca, otoczona blaskiem swojej aureoli, ubrana w luźne dresowe spodnie i tę niebieską bluzkę, przez którą kiedyś o mało nie dostałem szału.

– Cześć! – niemal wykrzyknęła, zaskoczona moim widokiem.

– Cześć – odpowiedziałem po krótkiej chwili, gdy doszła do mojej świadomości realność sytuacji – Właśnie myślałem o tobie...

– Miałam cię szukać na przerwie, ale to dobrze, że teraz jesteś. Masz chwilę? – powiedziała jakby nigdy nic.

– Jasne, dla ciebie zawsze.

– To chodź.

Ruszyliśmy powoli wzdłuż ściany szarego korytarza.

– Byłam właśnie u Stasi. Mówiła mi o tobie i o tym, co zaszło...

– To miło.

– Biłeś się na noże? O mnie?

– Eeee tam, zaraz na noże. Noże wyjęliśmy pod koniec, gdy już i tak walka była przesądzona...

– Podobno wygrywałeś?

– Nikt nie wygrał. W takich walkach zazwyczaj wygrywa woźny, dyrektorka i policja. Wiesz o co mi chodzi?

– No – uśmiechnęła się – Ale bić się na noże... zaimponowałeś mi.

– Naprawdę Wiki, nie ma o czym mówić.

– To oko i warga, to podczas bójki?

– Tak, widać coś jeszcze?

– No. Trochę pomarańczowe jest, ale to nic.

– Słuchaj, Wiktorii – przerwałem – Muszę coś wiedzieć. Przemek zaproponował ci chodzenie?

– No, w tamten piątek – odpowiedziała po chwili.

– A ty co mu odpowiedziałaś?

– Że się zastanowię, ale...

– I zastanowiłaś się? – przerwałem.

– Tak. Stwierdziłam, że w gruncie rzeczy nie mam się nad czym zastanawiać. Chcę chodzić z tobą. Przemek miał swoją szansę. Zmarnował ją kilka razy. Kocham cię.

Przez chwilę myślałem, że przesłyszałem się, że jej głos jest tylko złudzeniem, które zaraz rozbije się o twardą, żelbetonową ścianę prawdy. Czyżby mogła wybrać właśnie mnie?

– Przepraszam cię bardzo, ale możesz to powtórzyć? Chcesz być ze mną? Naprawdę?

– Tak, głuptasie: Kocham cię i chcę być z tobą – powtórzyła wyraźnie na cały korytarz, po czym przytuliła się do mnie mocno.

Objąłem ją ramieniem, powolutku gładziłem jej plecy i włosy. Czuję jej ciepło, bliskość jej ciała, światło jej aureoli lśniło nad nami. Byłem szczęśliwy. Nareszcie w pełni szczęśliwy! Boże, dziękuję Ci! Nareszcie!

Dziwny jest ten świat, w którym człowiek jeszcze kilka minut wcześniej miał zamiar wpaść w lekką depresję, a teraz chciałby krzyknąć z radości, tak, by zachwiały się mury szkoły. Niech zachwieją się, zawałą, pogrzebią nas tutaj razem przytulonych! Teraz było mi już wszystko jedno, cała masa problemów przestała istnieć, odeszła w cień, odpłynęła w wartkim nurcie rzeki czasu. Nareszcie!

Gładziłem jej włosy, plecy, twarz. Nie miało dla mnie znaczenia, że znajdujemy się na środku głównego korytarza. Po chwili zbliżyła do mnie swoją głowę. Nasze usta spotkały się. Najpierw powoli i nieśmiało zaczęły zaznajamiać się ze sobą, stopniowo ogień wypełniał całe moje ciało, jej język na mych wargach zdawał się parzyć. Dziki, szalony taniec języków i rozpalonych, spragnionych siebie, wilgotnych warg. Wspaniale całowała... Objąłem ją mocno, bardzo mocno. Jej piersi rozplaszczone na mojej klatce piersiowej, jej oddech, ciepło, dotyk...

– Więc to tak! – usłyszałem nagle z tyłu dziwnie znajomy, choć dawno niesłyszany głos.

Oderwałem się od ust Wiktorii i odwróciłem głowę, by spojrzeć na zakłócającego nam spokój intruza, a raczej intruzkę.

Tuż przy zejściu do szatni stała Ula.

– Więc to tak! Ja wiedziałam od początku, że coś tu się święci i że ta kurwa macza w tym palce! – wykrzyknęła – Nawet ciebie poderwała?! Ciebie, który mówiłeś, że nie chcesz mieć dziewczyny! I ze mnie zrezygnowałeś, dla tego czegoś?! No, ale proszę! Nie przeszkadzajcie sobie! Ty i ta kurwa jesteście siebie warci! Liźcie się dalej!

Podszedłem do Uli, kipiąc od powstrzymanego z trudem gniewu.

– Tylko to, że jesteś dziewczyną ratuje cię od tego, co mam ochotę zrobić – wycodziłem przez zęby – Spieprzaj stąd, ale już! Jeszcze raz nazwiesz moją dziewczynę kurwą, to nie chciałbym być w twojej skórze jak mnie spotkasz, zrozumiano?

– A co mi zrobisz, dziwkarzu?! – wrzasnęła.

– Naprawdę, nie prowokuj mnie. Odejdź, póki jeszcze mam siłę, by się powstrzymać.

– A żebyś wiedział, że pójdę! Jesteście żałośni! Oboje! – to mówiąc, odwróciła się na pięcie i zeszła z wyreżyserowaną godnością do szatni – Nie chcę cię znać! – wrzasnęła jeszcze ze schodów.

– Co ona od ciebie chciała? – spytała Wiktoria, gdy zostaliśmy znów sami.

– Nic takiego – odparłem – Zakochała się we mnie kiedyś. Odrzuciłem ją, bo dla mnie nie liczy się żadna inna dziewczyna, tylko ty.

– Naprawdę?

– Jasne, że tak – objąłem ją i pocałowałem tak jak wcześniej. Staliśmy jeszcze przez chwilę, całując się namiętnie. Żar bijący od jej ciała paraliżował wszystkie moje zmysły, ogień w głowie dopełniał reszty. Czułem, że opanowała mnie całkowicie.

Nagle Wiktoria złapała mnie za rękę.

– Nie wytrzymam dłużej. Masz ochotę? – zapytała z uśmiechem, złapała mnie za rękę i pociągnęła za sobą. Okazało się, że prowadzi mnie na górę, do damskiej łazienki. Byłem naprawdę oszołomiony, przez chwilę nie widziałem nawet, co takiego miała na myśli.. Nie myśląc długo odpowiedziałem:

– Jasne!

W tym miejscu znajdował się fragment, w którym Główny Bohater przeżywa swoją inicjację seksualną, Fragment ten został wycięty na życzenie autora, z uwagi na zawarte w nim treści wulgarne i pornograficzne, które mogłyby świadczyć o braku dobrego smaku oraz oglądy literackiej. Autor, licząc na inteligencję Czytelnika, wierzy, że ten sam potrafi dopowiedzieć sobie szczegóły opuszczonej sceny.

WYDAWCA

Nagle zadzwonił dzwonek oznajmujący koniec lekcji. Przypomniałem sobie, że przecież wyszedłem z religii tylko na chwilę. Czym prędzej, kolejnym namiętnym pocałunkiem pożegnałem się z Wiktoria i popędziłem do klasy, opuszczanej właśnie przez uczniów i księdza.

– Gdzieś ty był przez pół godziny? – zapytał zadziwiony ksiądz Biernat.

– Przepraszam, źle się poczułem i musiałem zostać dłużej w toalecie.

– Właśnie widzę, jakiś rozpalony jesteś. Wszystko w porządku?

– Tak, tak... w jak najlepszym – uśmiechnąłem się – A jakby mnie ksiądz dopuścił do Bierzmowania, wszystko byłoby jeszcze lepiej.

– Nie dopuszczę cię i ty o tym wiesz.

– Szkoda – westchnąłem.

– Ty mi tu nie wzdychaj tylko do kościoła zacznij chodzić, pokazuj się na mszy codziennie, to pogadamy – mrugnął do mnie z wysokości swoich dwóch metrów, jakby dając mi nadzieję – Może w przyszłym roku cię dopuszczę.

To wszystko. „W przyszłym roku”. Może.

Właściwie to nie miało już dla mnie znaczenia. Myślałem tylko o Wiktorii. Czułem, że ta dziewczyna zawładnęła moimi zmysłami, to, co się stało, pogłębiło tylko ten stan. Byłem gotowy zrobić dla niej wszystko.

Kolejny dzień przyniósł wspólny spacer, podczas którego trzymaliśmy się za ręce, odwracając się do siebie i całując co chwilę. Postawiłem jej łoda, ona zrewanżowała się tym samym w zaciszu klatki schodowej.

Wieczorem padał deszcz, jakby chcąc zmyć z nas resztki namiętności i ostudzić nasze młode, rozpalone czoła.

XIV

Następny dzień zaczął się zwyczajnie.

– No chodź z nami. Dom ci nie ucieknie!

– A co tam będziecie robić?

– To co zwykle. Posłuchamy *Lecha* z bliska, a potem posiedziemy na dachu.

– Eeee, jeszcze nie raz z wami pójdę. Póki co, dla mnie są już święta. Idę na chatę. Bawcie się dobrze.

– Okej, jak chcesz – powiedział w końcu Koreń – Chodź, Durex.

– Coś taki smutny? – spytałem, gdy znaleźliśmy się sami.

– Potem ci powiem – odparł ze zwieszoną głową.

Była środa, ostatni dzień nauki przed świętami wielkanocnymi. Zwolnili nas do domu już o wpół do dwunastej. Wiktorii nie było w szkole, nie zwracałem więc sobie głowy odprowadzaniem jej.

Korzystając z niespodziewanie zyskanego czasu, postanowiliśmy iść na Dzwony. Jedyne Duszyk chciał być wcześniej w domu. Zostałem więc sam z Koreniem.

Był trzeci dzień wielkiego tygodnia, w kościele zastaliśmy kilka starszych kobiet. Od jakiegoś czasu nie przejmowaliśmy się jednak ich towarzystwem. Zachowywaliśmy się najnormalniej na świecie, więc nikt nie zwracał na nas uwagi. Jak zwykle przeszliśmy za czerwoną kotarę, wspięliśmy się na konfesjonał i przeskoczyliśmy na drugą stronę muru. Droga z balkonu organisty na górę jak zwykle była otwarta.

Spieszyliśmy się; do bicia dzwonu pozostało już tylko dziesięć minut. Szybko uporaliśmy się ze wspinaczką po balkonikach, przeszliśmy do komnat prowadzących na mniejszą dzwonicę.

Na minutę przed dwunastą stanęliśmy przy dzwonie. Ciągłe milcząc, zamarliśmy w oczekiwaniu.

Moment, gdy *Lech* powoli i jakby samoistnie zaczynał bujać się na boki, był niezapomnianym przeżyciem. Wpatrywaliśmy się w dzwon jak urzeczeni, czekając na pierwszy, przejmująco czysty, metaliczny dźwięk. Nadszedł wkrótce.

Stałem w bezruchu przy zabezpieczonym siatką oknie, kilka centymetrów ode mnie mając rozszalały, potężny dzwon. Z zatkanymi uszami i otwartą gębą, wstrząsany falami dźwiękowymi rozchodzącymi się na całe leżące podę mną miasto, podziwiałem rozległą panoramę. Każda zmiana pozycji groziła uderzeniem żeliwnego olbrzyma. Koreń siedział nieruchomo na resztkach starej drabiny po drugiej stronie. Patrzył.

Dzwon bił dłużej niż zwykle. Ponad dwie minuty ciągłego, pulsującego i przenikającego całe ciało dźwięku. Ręce zaczynały dę-

twieć, zęby drżały, dwieście decybeli cudownie wyniszczało szare komórki.

Gdy już obroty zmalowały, a serce przestało uderzać, wziąłem je do ręki. W miejscu zetknięcia z metalem było ciepłe. Dwukrotnie uderzyłem nim o powierzchnię dzwonu. Kolejne metaliczne westchnienie popłynęło na miasto w dół. Po mnie serce wziął Koreń. Podobnie jak ja, również uderzył dwa razy. Ostatni dźwięk dzwonu tego dnia należał do niego.

Dzwon zatrzymał się w miejscu. Wszystko ucichło. Przecisnąłem się na betonowy fragment podłogi. Zaczęliśmy się wspinać wyżej, na dach.

Na podłodze pomieszczenia z oknami stała kałuża – pozostałość po wczorajszym deszczu i skutek uszkodzonej rury odpływowej. Właz na dach był otwarty, tak jak pozostawiliśmy go ostatnim razem. Po chwili stanęliśmy na szczycie białej wieży.

Słońce zdążyło już trochę osuszyć zalegający na dachu dywan z gołębich odchodów. Słodkawy odór był niemal niewyczuwalny. Siedzące w gniazdach ptaki na nasz widok poderwały się do lotu. Bojąc się przy nas wylądować, krążyły dookoła wieży, gruchając z oburzenia. Pewnie rozpoznały morderców swoich dzieci.

Koreń usiadł na metalowym podwyższeniu, ja stanąłem przodem do miasta, podziwiając widok.

Mielec za każdym razem wyglądał stąd inaczej. Dzisiaj również. Niby ta sama panorama, wydawała mi się nowa, niezwykła, oryginalna, intrygująca, a zarazem... dziwnie znajoma. Widok kojarzył mi się z czymś bardzo odległym, byłem tu wiele razy, ale...

Sam zdziwiłem się, byłem zarazem pewny, że w ten sposób, stojąc tutaj, nie patrzyłem tak nigdy na to miasto. Chodziło o coś innego, tak jakbym widział je kiedyś, gdy jeszcze nie wiedziałem o jego istnieniu. Tak, jakbym był tu znacznie wcześniej, w poprzednim wcieleniu lub we śnie.

Bzdura. Po prostu zwykły widok.

Było gorąco, nawet bardzo gorąco. Słońce świeciło niezwykle mocno, z pewnością było powyżej dwudziestu stopni.

Wszystko parowało. Całe miasto zdawało się płonąć, otoczone kłębamii dymu unoszącej się wszędzie pary wodnej. Wydawało mi

się, że patrzę na wszystko poprzez płytką taflę wody. Horyzont drgał leciutko, poruszany niewidzialną mgiełką. Powietrze płynęło w górę, opadało w dół, falowało, jednocześnie zdając się nieruchome jak tafla zimnego szkła.

– Dziwne... – wyszeptalem do siebie.

– Co? – spytał.

– Nie, nic. Gorąco dzisiaj.

– Ja nic nie czuję – odparł, odrywając się od swojego zeszytu z graffiti.

– Boś się ubrał na biało. Białe odbija światło, odwrotnie czarne.

– Akomodacja.

– Co?

– Tak się to ponoć nazywa – rzekł – Ale po co ty się tak ubierasz na czarno? Jesteś tym punkiem czy nie w końcu?

– To, że ubieram się na czarno i słucham punka nie oznacza, że od razu nim jestem. Polski punk jest żaloszny, wszystkie inne kopie zachodnich subkultur zresztą też. Mówiłem ci już o tym. Jestem sobą. Po prostu lubię czarne.

– To teraz ci gorąco.

– Co tam rysujesz? – odwróciłem się w jego stronę.

– Nic takiego – próbował zasłonić ręką zeszyt – Po prostu jakoś fajnie pracuje mi się tutaj. To pewnie przez wysokość.

– No, pokaż, nie wstydź się.

– Nie będziesz się śmiał?

– Nawet jeśli, to chyba ci to nie przeszkadza – zaśmiałem się – Jasne, że nie.

Przemek powoli odsunął rękę, pokazując mi zeszyt ze swym rysunkiem. Na kartce układał się artystycznie wykończony różnokolorowymi mazakami, stylizowany na zbudowany z cegieł mur, napis, osiem liter: W I K T O R I A . Zadrzałem. Zamiast skomentować, czym prędzej uciekłem wzrokiem w górę, w stronę wiszącego nad nami krzyża.

– I jak? – spytał po chwili lekko zdziwiony moją reakcją.

Coś trzeba było odpowiedzieć:

– W porządku. Tylko musisz skończyć...

- Czemu tak patrzysz na ten krzyż?
- A tak... Czemu Wiktorja? Po łacinie to znaczy zwycięstwo?
- spytałem, wciąż nie patrząc mu w oczy. Musiałem spytać.
- Zwycięstwo, kurwa? Kiepski żart. Wiesz o kogo chodzi. Rozmawiałem z nią wczoraj... – westchnął. Widać było, że to co mówi przychodzi mu z dużą trudnością.
- Racja. Proponowałeś jej chodzenie... Odpowiedziała ci? – za-pytałem, próbując nadać mojemu głosowi jak najbardziej obojętne brzmienie.
- Wciąż stałem odwrócony w stronę miasta, nie patrząc mu w oczy. Z twarzy mógłby wyczytać zbyt wiele. To nie tak! Chciałem, musiałem mu powiedzieć! Ale jeszcze nie teraz.
- Dała mi kosza – rzekł po chwili.
- Co? – udałem zdziwienie, wciąż patrząc w wymyślony punkt, gdzieś na horyzoncie.
- Też nie mogę w to uwierzyć. To nienormalne! Byłem pewny, że mnie kocha, że coś do mnie czuje. Byłem pewny, że się zgodzi... Dała mi kosza. Mi!
- Cóż... zdarza się czasem.
- Ale nie mi, stary. Nie mi!
- A co ty, kurwa, wyjątkowy jakiś jesteś, czy co? – zirytował mnie trochę – Nie każdą dziewczynę można mieć. Czasami dostaje się kosza.
- A skąd ty taki doświadczony jesteś, co?
- Doświadczony, niedoświadczony, to nie ma znaczenia. Z babami nigdy nic nie wiadomo. Dziś cię kocha, jutro szaleje za kimś innym. To dotyczy każdego, bez względu na wygląd czy pewność siebie.
- Nigdy nie dostałem kosza – powiedział cicho.
- Zrobiło mi się go żal. Wiedziałem jak odrzucenie potrafi zabo-leć faceta.
- Co ci powiedziała? – spytałem cicho.
- Że ma kogoś. Znalazła sobie chłopaka, rozumiesz?! Ponoć nawet z naszej szkoły!
- Skąd wiesz?

– Wydusiłem z niej. Głupia koza, pisze na mnie, mówi, że mnie kocha, a potem taki numer! Ciekawe, co to za jeden. Jakbym dorwał gnoja, to nogi z dupy powyrywam!

– Aż tak ci na niej zaczęło zależeć?

– Sam się sobie dziwię, ale teraz chyba nawet bardziej mi zależy niż wcześniej. Taaa... gdy coś nam ucieka, dostrzegamy swoje błędy... Ciekawe, co to za jeden. Rozmawiasz z nią, nie mówiła ci o swoim chłopaku?

– Nie. Nie powiedziała ci kto to? – nogi dziwnie zatrzęsły się pode mną.

– No, mówię, że nie. Powiedziała, że na razie nie może mi powiedzieć. Naprawdę nie wiesz, o co chodzi?

– Nie, raczej... raczej nie...

– Ty, Durex! Patrz się na mnie! – wykrzyknął.

Odwrociłem łeb w jego stronę.

– Na pewno ci mówiła! Przecież jest twoją bliską przyjaciółką, sama mi to mówiła. Ty musisz coś wiedzieć! Znasz go?

– Kogo?

– Misia Gogo, kurwa. No, jej faceta!

– Powiedzmy...

– No to gadaj! Kto to jest?!

– Ja.

Koreń osłupiał, zeszyt wypadł mu z ręki.

– Co?! – wykrzyknął po chwili – Stary, nie żartuj! Ja się pytam poważnie.

– A ja odpowiadam poważnie. Wiktoria jest ze mną. Jesteśmy parą.

– Od kiedy? – ciągle wydawało mu się, że śni.

– Od poniedziałku – odpowiedziałem, siląc się na spokój – Od przedwczoraj.

– Co?! – wykrzyknął znowu – Mam uwierzyć, że... – wstał z podwyższenia i odwrócił się do ściany – Nie, kurwa, nie! Durex, kurwa! – powoli dochodził do rzeczywistości, uświadamiając sobie usłyszane przed chwilą słowa.

– Tak wyszło, stary...

– Jak, kurwa, wyszło?! Co wyszło?! – złapał się dłońmi za głowę.

Nagle podbiegł do mnie, chwycił mnie pięścią za kołnierz i przyparł do ściany. Był silny, wiedziałem, że musi jakoś wyładować swój gniew. Stałem przyciśnięty do zimnego białego muru.

– Słuchaj – mówił przez zęby – Tak nie postępuje przyjaciel, tylko zwykła menda! Jak mogłeś mi, kurwa, zabrać dziewczynę, jak śmiałeś w ogóle ją podrywać, jak, kurwa, śmiałeś?! Tak robią przyjaciele?! – przycisnął mnie jeszcze mocniej i zaczął dusić. Powoli miałem dość tej sceny, zaczynało mi brakować powietrza – Słuchaj, kutasie, może jeszcze ją rznąłeś, co? Rznąłeś ją?! Odpowiadaj!

– Stary, odwal się! – powiedziałem przez ściśnięte jego dłonią gardło, natężyłem siły, wyswobodziłem szyję z uścisku i odepchnąłem go... lekko, wcale, wcale właściwie nie chciałem go odepchnąć...

To stało się w ułamku sekundy. Przemek odepchnięty runął do tyłu, prosto na niewielki, odgradzający nas od przepaści murek. Stopą próbował odnaleźć punkt zaczepienia, złapać chwilowy bilans równowagi, utrzymać się resztkami sił. Stopa trafiła jednak tylko na podmokły dywan z ptasich odchodów. Poślizgnęła się na nim jak na mydle, a Koreń ciężarem całego ciała przeleciał przez barierkę na drugą stronę.

Runął w dół.

.....

W chwili, gdy to się dzieje, rzucam się rozpaczliwie w jego stronę, od spadającego w przepaść przyjaciela dzielą mnie najwyżej dwa skoki, nadzieja, pomoc, szybko, widzę jak próbuje przez ułamek sekundy zatrzymać się na barierce, widzę jak zdaje sobie sprawę, że nie da rady, jak stopa natrafia na gołębie gówno, jak jego ciało traci równowagę, jak siłą rozpędu środek ciężkości wydostaje się na zewnątrz. Gdzie jestem, w drodze, pokonuję te dwa kroki w zatrzymanym kadrze, klatka po klatce, widzę jego twarz, na której maluje się przerażenie, bezbrzeżne, największe przerażenie, jakie kiedykolwiek widziałem i jakiego nigdy już nie zo-

baczę, widzę, jak jego wzrok pada na mnie, rzucającego się w tej samej sekundzie na ratunek, słyszę jak krzyczy: Jezu!!! A Boga nie ma, nie wysłała aniołów ani nikogo, jak zostaje sam, zawieszony pomiędzy błękitną próżnią i życiem, jak patrzy na mnie przez te pół sekundy, a ja widzę, że nie złapię go, że poślizgnął się na tym gównie, że spada. Podbiegam, jestem przy barierce, padam na kolana, zdzierając skórę do krwi, nie patrzę na to, widzę tylko jego, milisekunda po milisekundzie, świat płonie, wyciągam rękę, by sięgnąć, przez chwilę wydaje się, że palcem muskam lekko jego rozwartą dłoń, ale nie sięgam, on też to widzi, spada twarzą do góry, mam nadzieję wybacza, widzę jego oczy, rozwarłe szeroko, są czarne, szklą się, jest w nich już tylko śmierć, widzę jego dłoń, którą błyskawicznie wyciąga, widzę martwą krawędź, niewzruszonej, białej wieży, która jest za daleko, widzę płonące miasto w oparach pary wodnej i szerokie, południowe, jakby przekrwione słońce, szydce i jego... Nie dają rady, jest już za daleko. Krzyk: Koreń!!! Jezuuuu!!! Pięćdziesiąt metrów, krzyk, widzę jak rusza nogami, jak macha nogami w powietrzu, jak dzieli go ode mnie już metr, dwa metry, dziesięć, dwadzieścia, jak jest już w połowie wysokości wieży, jak padłem na kolana i krzyczę i wzywam boga, jakiegokolwiek, niech zabierze mnie stąd, niech cofnie tę cholerną scenę, klatka po klatce, widzę jak macha rękami, najpierw wyciąga jedną, potem drugą, prawą, słyszę, pada na ziemię, głuchy trzask i nie dzieje się nic, nikt nie przychodzi, żaden bóg, anioł, śmierć, nie ma ciemności, nocy, rydwanów piekielnych, nikogo z kosą, dźwięku trąb, nikogo, kto widzi, tylko ja. Widzę krew, słyszę chrzęst łamanych kości i pękającą na schodach kościoła czaszkę, jego czarne włosy, skórę przeciętą, powoli wypływający mózg, ciągle rozwarłe oczy, patrzą na mnie, nie widząc już nic, połamane ręce i nogi, zmiążdżone żebra, przecinające białą materię podkożulka, nasiąkającego powoli krwią, wybite zęby, krew, dużo krwi, spływa po schodach, jest wszędzie.

Mam ją na dłoniach.

CZEŚĆ IV
Droga, której nie ma

I

Pogrzeb Korenia odbędzie się w wielką sobotę o dziesiątej rano. Będę szedł za trumną, powłóczęc ołowianymi nogami, miętosząc poły nowej, kupionej z okazji Bierzmowania, którego nie będzie, czarnej marynarki, nie odzywając się do nikogo. Nic nie mówiłem, nie chciałem mówić, postanowiłem milczeć i w milczeniu wybudować do siebie i świata mur nienawiści, zakłamania. Pogoda będzie słoneczna, błękitne niebo nie będzie zdawać sobie sprawy z tego, co się dzieje, z tego, że to już koniec.

To był odruch. Widząc go leżącego na dole z głową rozbitą o schody kościoła, uciekłem. Szok nie sparaliżował mnie. Porwałem plecak i zeskakując po kilka szczebli uciekłem z dachu. Uciekłem z wieży, nawet nie oglądając się za siebie, w dół, jak najszybciej w dół.

O połączenie szczebli w drabinie, pomiędzy drugą a trzecią komnatą, rozcinam sobie rękę. Kilka ciepłych czarnych kropli kapie na beton, nie zauważam tego, uciekam po balkonikach, przeskakuję przez mur. Kościół jest pusty, wybiegam przez ciężkie, drewniane drzwi. Koreń leży na schodach, zwrócony twarzą w stronę nieba. Patrzy na mnie oczami, w których nie ma już nic. Nawet śmierć opuściła to miejsce. Oczy są czerwone, napłynęła w nie spływająca po czole krew. Błyszczą, błękit nieba i słońce się w nich odbija.

Obok dwie staruszki głośno lamentujące, wzywające boskiej pomocy. Widząc mnie, każą dzwonić po pogotowie, po straż, po policję. Nie mam z czego, pobiegnę na plebanię. Staruszki będą pochylać się nad rozłupaną czaszką Korenia, będą modlić się za jego duszę na tych skąpanych w słońcu schodach. Świat pograży się w parze wodnej, w czarnym obłoku, w szyderczych oparach śmierci.

Biegnę na plebanię nieświadomie, dzwonię do drzwi, nikt nie chce podejść, jest pora obiadowa. W końcu zaczynam walić pięściami w te drzwi, jakaś szyba wypada z głośnym hukiem. Brzęk

tluczonego szkła, kościelny, alarm, bandyci, włamanie. Nadbiegają wystraszeni księży, niektórzy z łyżkami w dłoniach. Wrzasnę na nich, ale minie kilka długich chwil, zanim dojdzie do nich co się stało. Kilku ludzi, na czele z kościelnym, pobiegnie przed kościół, gdzie w tym czasie przybędzie o jedną staruszkę. Teraz już koło trupa stały trzy osoby. „I odpuść nam nasze winy...” Nasze! Co mu po waszych winach, dajcie spokój, niech odpuści jego winy, tylko on się tu liczy! Ktoś zadzwoni po pogotowie, ktoś wezwie policję.

Młody lekarz nie zbada pulsu, popatrzy na rozlany na stopniach mózg, stwierdzi zgon, odwróci się, zachwieje. Potem odjeżdżając powie, że nigdy nie widział jeszcze czegoś takiego. Z ciała wystawały kawałki połamanych kości, Koreń był teraz workiem luźno ze sobą pomieszanych części ciała; policjant zobaczy wszystko, wyciągnie notes, będzie szukał świadków zdarzenia. Nie zgłosi się nikt. W samym centrum miasta, kwadrans po dwunastej, z najwyższego kościoła spada człowiek, nie widzi tego nikt! Odnajdują go jedynie modlące się staruszki.

Stoję z tyłu, wśród rosnącego zbiegowiska. Milczę, nie stać mnie na nic więcej. Przyjeżdża samochód z zakładu pogrzebowego, dwóch smutnych ludzi, których twarze nigdy nie zapamiętam, zabierze ciało Korenia do czarnego plastikowego worka. Worek zapną na suwak i umieszczą w samochodzie. Policjant zapyta, czy ktoś znał denata. Zgłoszę się ja. Na pytania odpowiadać będę tylko przez chwilę, później nie będę w stanie, ktoś powie, by przynieść wody, będę tracił przytomność, świat będzie wirował dookoła, zapach krwi, kurzu ulicy, chodnika mokrego od wysychających kałuż... Nikt nie będzie niczego podejrzewał, wskażę imię, nazwisko, podam adres rodziców Przemka.

Tłum zgodnie stwierdzi: wyskoczył. Nie zaprotestuję, będę siedział na przednim siedzeniu policyjnego poloneza, pił wodę, która będzie miała smak i zapach krwi. Na marmurze schodów ciemnoczerwona plama. Nikt nie myśli jak i czym ją zmyć, w końcu ktoś przyniesie wiadro wody. Różowa, rozcieńczona krew będzie spływać po stopniach. Powoli, kap, kap, k a p . W dół.

Karetka odjedzie pusta, wóz zakładu pogrzebowego będzie stał jeszcze przez chwilę. Policjant przesłucha kościelnego, każe

prowadzić się na górę. Będę siedział na przednim siedzeniu radiowozu, nikt nie zainteresuje się mną. Skoczył. Samobójca. Osądzą go, jeszcze zanim zrobi to Bóg. Dusza Korenia będzie unosić się nad placem i palcem lodowato zimnej mgły wskazywać na mnie, jasno i wyraźnie. To on. To on zabił! Poczuję ten palec, ugnę się pod jego dotykiem, zimny pot będzie spływał ze mnie od czubka głowy po pięty, pomyślę, że to krew i będę przecierał czoło, aż zaczerwieni się i zacznie piec, poczuję na sobie palący wzrok ludzi, ale to będzie tylko urojenie, nikt nie będzie patrzył. Wszyscy zadra głowy do góry, wpatrzeni w szczyt wieży. Ja będę kulił się i mókł od lodowatego potu, jak pozostawiony na deszczu kundel, a palec będzie wskazywał na mnie, odbierał mi oddech. Gdybyście patrzyli, nie nazywalibyście go tak. Samobójca.

Powoli wstanę i spytam, czy mogę iść. Policjant, zapatrzony w górę, kiwnie przyzwalająco głową, ale ja nie będę miał jednak siły odejść. Zobaczę, jak ze szczytu wieży wyłania się głowa tego drugiego, jak coś krzyczy, żywo gestykułując. Podam swoje dane osobowe, stanę, ale po chwili zachwieję się, siądę na fotelu w polonezie. Schody zostaną splukane kolejnym wiadrem wody. Bładoróżowa ciecz spłynie...

Wreszcie ze szczytu zejdzie policjant w towarzystwie przerażonego kościelnego. Kilku księży będzie stać z boku, komentując wydarzenie, ktoś zaintonuje „wieczne odpoczywanie racz mu dać panie, a światłość...” Po chwili przyjedzie jakiś śmieć z gazety, zacznie robić zdjęcia, wypytywać o szczegóły „wypadku”. Powiem, żeby się odpiardolił.

Policjant będzie trzymał w ręku plecak Korenia, jego zeszyt z kartką otwartą na projekcie graffiti. WIKTORIA. Pokiwa głową, powie coś. Nie będę nic słyszał. Każą mi iść do domu. Na pytanie, skąd się tu wziętem, odpowiem, że czekałem na niego, że chciał iść na górę, że poszedł sam. Jak dostaliśmy się na dach? Od dawna było otwarte. Wchodziliśmy tam. Czy chciał się zabić? Nie. Nie chciał i był wesoły, zawsze był wesoły. Tylko dziś... Policjant powie; jesteś wolny. Zabiorą ze sobą tylko kościelnego, który będzie bronić się, zaklinać, przeproszać. Zamkną za nim drzwi radiowozu. Po chwili zostaną razem z gromadą ludzi, komentujących

i poczuwających się do posiadania jakiejś wiedzy na temat śmierci. Każdy będzie uważał się za mędrca, snuł refleksję o przemijaniu, o nieistotności faktu, czy jest się młodym czy starym, takie cholernie głupie i infantylnie frazesy, *dance macabre*, że śmierć zabiera wszystkich, starych i młodych. Samobójca! Zrobi mi się niedobrze.

Będę wymiotował. Wnętrznosci skurczą mi się, zwrócę wszystko. Pamiętam, że będę chciał wyrzygać siebie, wyrzygać własne sumienie, własną duszę, a potem utonąć we własnych płwocinach i pozostać na tym betonie, przy bladoróżowych zaciekach na schodach.

Po chwili przyniosą trzecie wiadro, krew zostanie zmyta. Ktoś przysypie schody świeżym piaskiem, ktoś położy przyniesione z kościoła kwiaty. Inny zapali znicz. Będę klęczał nad swoimi wymiocinami wpatrzony w biały niewzruszony marmur wieży kościelnej. Będę miał suche oczy. Suche, choć powinienem... Choć błagałem Boga o łzy!

Późnym wieczorem zadzwoni matka Korenia. Nie będzie potrafiła mówić, krztusząc się co chwilę łzami i dymem kolejnego papierosa. Podobno nie paliła od dwóch lat. Koreń chwalił się kiedyś, że nienawidził tego u niej i udało mu się ją zmusić by rzuciła. Teraz zapyta mnie o syna. Nie będę w stanie odpowiedzieć nic, czego mogłaby nie wiedzieć. Policja przekazała jej wiadomość, odnalazła ją jeszcze w pracy. Teraz będzie pytała, jak, dlaczego, jak to możliwe, jak to się stało, jak do tego doszło, co było przyczyną, po co tam wchodziliśmy, dlaczego to się stało? Nie odpowiem na wszystkie pytania.

Potem położę się na łóżku. Nie będę jadł, nie będę spał tej nocy. Będę leżał wpatrzony w sufit, który powoli zacznie wirować, kurczyć się i obniżać. W końcu pochłonie mnie, zanurzy w czarnej, lepkiej cieczy. Będzie to krew, poczuję jej zapach i smak. Będzie wszędzie: w wodzie, w herbacie, na ekranie włączonego przez cały dzień telewizora. Sufit. Będę chciał, by zwałił się na mnie, pogrzebał żywcem. Będę prosił Boga o śmierć. Nadaremnie.

Na pogrzebie nie będzie wielu ludzi. Do większości nie dojdzie informacja o śmierci. Z uwagi na święta o pogrzebie szkoła

dowie się dopiero we wtorek. Przyjdzie Darek, będzie też Stasia, Adrian, Michał, Bogdan, Łukasz. Wiktorii nie będzie. Nie dowiem się, czy nic nie wiedziała, nie zawiadomię jej. Nie zadzwonię do nikogo. Od dwóch dni nie odpowiem na żadne pytanie. Jedyne matka usłyszy, że nie chce mi się jeść i nie będę spać.

Pogrzeb będzie szedł pustą ulicą w dzień suchy i pogodny, w kurzu i pyle. Płacz dziecka niesionego na czyichś rękach, płacz matki Korenia, suche oczy i zaciśnięte do krwi wargi jego ojca. Będę ścisnął kurczowo płat marynarki, każdy krok na suchym asfalcie wyda mi się przewyższającym normalne siły wysiłkiem. Stopy będą z ołowiu, twarzy będę starał się nadać kamienny wyraz. Nie dam po sobie niczego poznać. Będę twardy, jak ta cholerna biała ściana.

Ksiądz powie, że Bóg miał co do niego plany, wezwał go do siebie przedwcześnie, by powierzyć mu misję, by ostrzec nas, by pokazać, że śmierć nie wybiera, że zabiera każdego z nas, bez względu na stan zdrowia, życiowe plany czy wiek. Będzie mówił piękne rzeczy, będzie delikatny, nie będzie go o nic obwiniał, nazywając wszystko wypadkiem. Nie będzie nic o skoku, nikt nie wypomni mu, że wypadł z wieży kościelnej, że wywołał skandal na całe miasto. Wszystko to będzie nic niewarte, gdy finał nieodwracalny, ostateczny.

Dzień wcześniej Bóg umrze na krzyżu, a wszyscy pogrążą się w oczekiwaniu.

Pierwszy raz Wielki Piątek będę przeżywał, leżąc cały dzień na wersalce, wpatrzony w ślady po komarach na pokrytym tapetą suficie. Wszyscy będą czekać na Jego zmartwychwstanie, wiedząc, że ono nastąpi, nastąpi już za trzy dni, wszyscy będą o tym wiedzieć, tylko ja powiem, że to gówno prawda. Będę leżał i patrzył na sufit. Zmartwychwstania nie było, nie ma i nie będzie! Niech wreszcie zakończy się to wszystko, niech śmierć będzie jedynym rozwiązaniem, końcem, ostatecznym końcem, po którym nie ma już zupełnie nic! O n nie zmartwychwstanie już nigdy, jutro zakopią pod ziemią to, co po nim zostało i nikt nie będzie śpiewał, cieszył się, ani na nic czekał – myślałem – Wrzucą mu bukiet kwiatów na trumnę, wiedząc, że nigdy już go nie będzie, nigdy nie ujrzą

jego czarnych oczu, włosów, nie zobaczą uśmiechu na jego twarzy, równych, białych zębów, ani łez. Poślizgnął się na ptasim gównie, a ostatnie moje słowa do niego to „odwal się”.

Nie pójde do kościoła w ten Wielki Piątek. Rodzice będą coś mówić, nie usłyszę co, nie będzie mnie to obchodzić. Jak mam czekać na coś, w co nie wierzę, co do czego nie ma żadnej nadziei? Nie obchodzi mnie Jego zmartwychwstanie, jeżeli był tak wielki, niech przywróci życie Przemkowi. Zamknę oczy, modląc się, bym mógł obudzić się pogrzebany pod murem z cegieł, by zwaliły się na mnie czarne w zimnym świetle nocy ściany. I by pogrzebali mnie zamiast niego. Nikt nie będzie wiedział, jak to się stało, nikt nie dowie się nigdy.

Po pogrzebie podejdzie do mnie Duszyk. Zapyta, jak to się mogło stać, jak wyglądała nasza wizyta na górze. Przecież szliśmy razem, dlaczego Koreń wypadł, o co tu chodzi. Będę go rozumiał, powiem, że nie mam pojęcia, że musiałem iść do domu, że Przemek chciał zostać na wieży trochę dłużej, że usłyszałem o tym później, że przybiegłem pod kościół i on już tam leżał. Będę opowiadał jakąś historię, sam w nią nie wierząc, nie mając pojęcia, co i na jaki temat mówię. Rozboli mnie głowa. Za dużo kłamstw.

Ksiądz sypnie na sosnową trumnę garść ziemi z cementarza komunalnego. Pobliskie wysypisko śmieci będzie wydzielać słodkawo-mdlący odór, zemdli mnie, odwrócę się i będę chciał odejść, nie zdążę jednak i zerzygam się w alejce, pomiędzy grobami. Ludzie będą odwracać głowy, udając, że nie widzą, że modlą się zajęci czymś innym, a ja będę rzygał aż pozostanę całkowicie pusty.

Wymiociny mają kolor różowy. Jak woda, którą...

Pustka. Tylko pustka zostaje, w której nie ma powietrza, nie ma wiosny, nie czuję nic, poza dręczącą i wszechobecną pustką, próżnią, którą straszą na dobranoc trochę większe dzieci. Gdy skończę rzygać, odwrócę się ponownie w stronę grobu. Trzech grabarzy, w nienagannie skrojonych czarnych garniturach, będzie energicznie na pokaz machać łopatami. Grudki ziemi głucho będą uderzać o trumnę. Potem wszystko ucichnie.

Wielkanoc. „Wesoły nam dziś dzień nastał, którego z nas każdy żądał. Tego dnia Chrystus zmartwychwstał. Alleluja! Alleluja!” – będą śpiewać ludzie stojący obok. Będę chciał za wszelką cenę zatkać sobie uszy, nie słyszeć tych fałszywych zawodzeń, tego niemiarowego klekotania organów, nie widzieć tego tępego i ślepego tłumu, tych wierzących w mistyfikację ludzi. Zmartwychwstanie! Co roku to samo, co roku On rodzi się, umiera, za każdym razem zmartwychwstaje. Co roku te same śpiewy, ta sama melodia. Nie zmienia się nic. Tradycja. Mówcie mi o tradycji, gdy mój przyjaciel zginął przeze mnie i przez odrobinę ptasiego gówna, gdy on nie zmartwychwstanie, choćbym poświęcił całe swoje życie w tym celu, choćbym zginął w taki sam sposób lub podpalił się na środku głównej ulicy w godzinie szczytu. Dlaczego on nie zmartwychwstanie? Był na to zbyt mały? W czym był gorszy od Niego? Tak samo był człowiekiem, tak samo był na Jego podobieństwo, tak samo kochał i nie mniejsze miał prawo aby żyć. Może nie potrafił wskrzeszać ludzi, przywracać wzroku niewidomym albo zamieniać wody w wino, ale czy to dlatego? Nie. To po prostu... przeze mnie.

Wszystkie te pretensje może miałyby sens, gdyby były uzasadnione. Ale to przecież nie Bóg zabrał Korenia. To nie Jego wina. Dlaczego mam do Niego pretensje, o co mi właściwie chodzi? Czy tak właśnie zachowują się ludzie? Zwalają całą winę na Boga wtedy, gdy sami nie mogą sobie z czymś poradzić. Bóg staje się wówczas taką abstrakcyjną siłą, która istnieje gdzieś daleko w imaginacji, jest silna i potrafi wszystko znieść, choćby nawet żale i złorzeczenia całego świata. Może dostawać pokornie cios za ciosem, i tak żadnego z nich nie odczuje, żaden nie pozostawi nawet małej plamki na Jego świętości. Przecież, gdyby nie On, nie mielibyśmy nic. Podobno. Dlaczego więc najpierw nam daje, a potem brutalnie odbiera? On jest Bogiem? Jedynym i najwyższym? Dlaczego? Jeżeli potrafi odbierać oznacza, że jest bezlitosny. Jeżeli zabiera to, co dał wcześniej, znaczy, że jest bezdusznym, podszytym ironią sadystą i bawi się z nami w okrutną i niesprawiedliwą grę. W grze tej zawsze pozostanie górą, w końcu jest Bogiem. Tylko, czy my w takiego Boga chcemy wierzyć, czy takiemu Bogu

pragniemy oddawać cześć? Czy to jemu właśnie chcemy codziennie dziękować za wspaniały porządek świata? Przecież na świecie nie ma żadnego porządku!

Ale Korenia nie zabrał Bóg.

II

Szkoła. Klepsydra na murze. Pogrążeni w żalobie rodzice, siostra, bracia, przyjaciele, grono pedagogiczne. Dobrze zapowiadający się, inteligentny... Korytarz czerwony. Jak krew. Setki oczu śledzące każdy krok. Cześć. Nie słyszę. Idę. Nie wiem dokąd. Nie ma kierunków, schodów, posadzek. Martwe ściany pełne wrzasku rozbieganych bachorów. Półmrok. Niedoświetlenie. Jak w starych polskich filmach. Jak w *Nad rzeką, której nie ma*. Jeden z pierwszych filmów z Mirosławem Baka. Jak było temu chłopakowi? Admirał? On rządził? Nie. Rządził Wódz. Wódz to Baka. Admirał był normalnym, może trochę odbiegającym od nich poziomem wrzliwości chłopakiem... Kto go grał? Zakochał się... Jak ona miała na imię? Nie pamiętam... Nieważne! Zakochał się nieszczęśliwie... Ona była dziwna, niby kochała, a zostawiła go. Miała złe doświadczenia czy po prostu wybrała samotność... *Lady be good* – o ten kawałek tam chodziło? Kto go śpiewał, kiedy? Tam nikt nie zginął. Życie to nie film. Pieprzony banał! Kolejny obsrany frazes! Sram banałami, jak stare i pięknie oprawione książki pisarzy, którym wydawało się, że potrafią odgadnąć całą istotę życia. W czasach, gdy pisanie o zachodzie słońca było jeszcze uznawane za prawdziwe i podobało się ludziom... Ważne było to, co piękne, bez fałszywej pogoni za oryginalnością. Teraz zachód słońca wart jest tyle, co ciśnięta w kąt śmietnika brązowa butelka po winie. Pusty śmiech. Podobnie jak miłość, radość, szczęście. Nie ma ich! Teraz pisze się o śmieciu płynącym na wietrze, o reklamówce supermarketu, czy opuszczonym bilbordzie skrzywionym nocą przez podpitych chłopców w sportowych strojach. Liczy się oryginalność. Za wszelką cenę. Wszystko byle jak najłatwiej i najtańszym kosztem, zrobić z siebie błazna, tańczącego innym do wygłupów przy piwie,

by śmiali się. A wiersz? Najlepiej, żeby był krótki i zwięzły. Im krótszy, tym lepszy! A najwspanialej, żeby go w ogóle nie było. Ile w tym treści! Próżnia będzie zawsze najbardziej treściwa; nie- sie w sobie największy ładunek emocjonalny, daje nieograniczone możliwości. Próżnię zawsze można będzie interpretować na swój sposób. Teraz też... Jestem pusty, Koreń nie żyje, a ja go zabiłem. Zabiłem go świadomie, odepchnąłem go, a ostatnie słowa wypowiedziane do niego brzmiały: „odwal się”. Boże, czy jesteś w stanie kiedykolwiek mi to wybaczyć?!

Policja. Przesłuchanie. „Nie stwierdzono obecności osób trzecich”. Ta osoba trzecia to podobno ja. Nie stwierdzono mojej obecności. Nie prostuję, nie namawiam się, nie podchodzę. Wszystko nie ma kompletnie sensu, spowite mroźną i nieistniejącą mgłą. Rozmowa u Stasi, obok policjant. Czy wchodziłeś razem z Przemkiem na tę wieżę? Wchodziłem. Czy tego dnia poszliście tam razem? Nie, poszedł sam. Dlaczego nie poszedłeś z nim? Chciał być sam. Czy był smutny, małomówny, zamyślony? Tak, był smutny. Czy mówił coś o samobójstwie? Nie, nic nie mówił. Czy nigdy nic nie mówił? Nie, nigdy nic nie mówił, nigdy nie myślał o tym. Czy wiedziałem, że wybiera się wtedy na wieżę? Wiedziałem. Dlaczego z nim nie poszedłem? – (pytanie jest zarazem wyrzutem i muszę pilnować się, bo teraz będą obciążać mnie winą, dlaczego nie dopilnowałem swojego przyjaciela, dlaczego nie zakazałem mu wchodzenia na górę). Czy wiedzieliśmy, że popełniamy przestępstwo? Tak. Czy ktoś jeszcze tam z nami wchodził? Tak. Kto? Przemysław Duszny. Czy był z wami tamtego dnia? Nie. Byłeś więc ostatnim, który widział Przemka żywego. Co mogło spowodować jego śmierć? Nie wiem, może poślizgnął się... Czy znam dziewczynę o imieniu Wiktoria? Tak. Czy to była dziewczyna Przemka? Nie. Czy go zostawiła? Nie. Nazwisko jej? Labocha. Czy Przemek mógł przez nią chcieć popełnić samobójstwo? Czy mówił coś o tym? Wiktoria... Wiktoria jest moją dziewczyną – odpowiem po chwili – Ale to nie ma znaczenia. Była przyjaciółką Przemka, robił dla niej to graffiti, nie wiedziałem, czy coś do niej czuje, powiedziałby mi. Czy kłóciliśmy się ostatnio? Nie. Jesteś wolny. Zawołajcie tego Dusznego.

– O co tu, Durex, chodzi? – spyta Duszyk po wyjściu z przesłuchania – Przecież szliście razem na tę wieżę. Co się stało?

Nie będę chciał mu nic wyjaśniać, powiem tylko, że przecież pytał o to samo na pogrzebie. Koreń chciał zostać sam, pozwoliłem mu. To jest mój błąd...

– Powiedziałem na przesłuchaniu prawdę – odpowie – Że poszliście tam we dwójkę. Sorry, ale wydaje mi się, że kłamiesz, powiedziałem prawdę, tak jak było. Tu zginął człowiek, nie wolno nam nic ukrywać...

– A co ty, kurwa, wiesz? Ty gównu wiesz! – zaatakuję i zostawię chłopaka z wielkim bólem wypisanym na twarzy. On pierwszy nazwie mnie kłamcą i odwróci się ode mnie. On pierwszy będzie podejrzewał moją winę. On pierwszy będzie na właściwej drodze...

Pozostanę sam. Koreń był moim przyjacielem i, jak się okaże, jedynym. Z resztą tych ludzi, których do niedawna mogłem nazwać klasą, przestałem mieć w jednej chwili cokolwiek wspólnego. Kiedyś wydawało mi się, że jesteśmy najbardziej zgraną klasą w tej szkole. Kiedyś... Ciągłe byłem Durexem, ciągle szanowali mnie, już nie pamiętałem za co, zachowywali jednak w stosunku do mnie dystans, właściwy mordercom albo takim, którym po prostu się współczuje. Współczuli mi, nie podejrzewali bowiem, bym mógł zrobić coś takiego, bym był w stanie zabić swojego najlepszego przyjaciela. Współczuli, żalowali, odwracali głowy. Czułem się podle, nie chciałem niczyjego współczucia. Przestałem z nimi rozmawiać, nie wychodziłem na dwór. Nikt nie pozostawał przy mnie. Mieli swoje sprawy. Towarzyszenie mi było zresztą zwykłą stratą czasu. Przez cały dzień potrafiłem nie wypowiedzieć do nikogo ani słowa.

Dwa dni później podejdzie do mnie Wiktoria. Pocałuje mnie w usta na powitanie, nie robi to na mnie żadnego wrażenia, podobnie jak jej dziwny, krzywy niby-uśmiech. Miała lekko żółte zęby, jedynie w ciemności korytarza wydawały się nieskazitelne.

– Co się z tobą dzieje? – zapyta – Martwiłam się o ciebie! Cemu nie dajesz znaku życia?

– Koreń nie żyje... – odpowiem.

– Wiem, słyszałam co się stało, byłam na przesłuchaniu u Stasi, powiedziałam, że nic nie wiem, bo nic nie wiem przecież, Jezu, to straszne. Czemu się nie odzywasz?

– Koreń nie żyje... – odpowiem – Nie żyje, rozumiesz?

– Wiem, że nie żyje. Nie mogłam być na pogrzebie, to stało się tak nagle. Podobno popełnił samobójstwo, to prawda?

– Gówno prawda – odpowiem.

– Cała szkoła tak mówi...

– Cała szkoła może sobie w dupę wsadzić te kurewskie plotki! Czy nie mają o czym rozmawiać?! Idę na wagary – cała szkoła plotkuje, biję się na noże – cała szkoła aż huczy, Koreń nie żyje – cała szkoła wariuje! Mam, kurwa, totalnie dość całej szkoły! Pierdolone mikrospołeczeństwo! Kim oni, kurwa, są, by oceniać ludzi?!

– Piotrek, co ci się dzieje? – zapyta, patrząc na mnie dziwnie swymi naiwnymi błękitnymi oczami.

– Nic mi się nie dzieje. Koreń nie żyje, nie żyje, rozumiesz?

– Boję się ciebie...

– Mnie? Mnie się boisz?! Ty?

– Zachowujesz się dziwnie... Może idź do psychologa?

– Jakiego, kurwa, psychologa?! Mój przyjaciel nie żyje, rozumiesz? On cię kochał, rozumiesz? Czemu wybrałaś mnie, kurwa, czemu?!

– Przecież wiesz, dlaczego cię wybrałam – odpowie po chwili

– Chcesz powiedzieć, że Przemek popełnił to samobójstwo, bo go odrzuciłam?

– Jakie samobójstwo, do kurwy nędzy! On nie popełnił samobójstwa, on był rozczarowany, ale on by nigdy... – przerwałam. Rozmowa z nią za dużo mnie kosztowała – Jak jeszcze raz usłyszysz o samobójstwie, nie wierz w to, dobrze?

– Dobrze. Więc, co się stało?

Milczałam.

– A co u ciebie? – spytała po chwili.

– Koreń nie żyje! Widzę, że szybko o nim zapomniałaś...

– Piotrek, nie zapomniałam! Pewnie nigdy nie zapomnę. Ale trzeba żyć dalej, nie wrócimy mu życia...

Tak powie. Nie wrócimy mu życia. Trzeba żyć dalej. Nie będę chciał z nią więcej rozmawiać.

– Nie wrócimy mu życia... Trzeba żyć dalej... – wyszeptam po chwili. Znów przed oczami będę miał obraz jego, leżącego na schodach kościoła, w kałuży krwi, z kawałkami żeber wystającymi z piersi i z rozlupaną czaszką. Woda zmywająca krew będzie miała odcień różowy, coraz bledszy, bledszy... Zrobi mi się niedobrze. Powiem, że muszę iść do toalety.

Nie wrócę na następną lekcję. Będę siedział w tym kiblu i gdy już wyrzgam całą porcję dzisiejszych wspomnień, usiądę na muszli klozetowej, będę siedział, wpatrzony w spisane markerami drzwi.

III

Nie jestem w stanie nic zrobić. Nie pójde do szkoły, nie będę z nikim rozmawiał. Wszyscy potrafią tylko współczuć, mówić, że wiedzieli, jaki Koreń był ważny.

Leżę na łóżku, godzina czternasta trzydzieści. Leżę. Po prostu leżę. Jeżeli oczekujecie na coś więcej, na coś, co będę robił, na jakieś istotne dla akcji czyny, wagary, cokolwiek – rozczarujecie się. W tej scenie Główny Bohater po prostu leży i nie jest w stanie poruszyć nawet palcem. Widzi krążące wokół jego głowy promienie wiosennego słońca.

Nienawidzi słońca.

Tego samego dnia jakiś brukowiec napisze artykuł: *Ostatni skok*, nazywając kilkakrotnie Korenia samobójcą, snując pseudo-dziennikarskie hipotezy, co mogło spowodować takie jego zachowanie. Będą dociekać, jak to możliwe, by dostać się niezauważalnie na dach najwyższego kościoła w mieście, jak można było wejść na dach w samo południe i skoczyć, lub, snując domysły zamknięte w jednym krótkim zdaniu, poślizgnąć się i spaść. Przemek w tym artykule pokazany będzie jako bardzo zamknięty w sobie człowiek, pragnący za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę. Wypadnięcie z dachu będzie okraszone pięknym przymiotnikiem

spektakularne, zaś całe wydarzenie nazwą bezmyślnością, która naraziła na karę więzienia niewinnych ludzi, czyli kościelnego. Ogólna konkluzja będzie brzmieć: Koreń to samobójca, który chciał nadać swej śmierci wielki rozmach, dlatego wszedł, omijając wszelkie zabezpieczenia (których *nota bene* nigdy nie było), na dach najwyższego kościoła w Mielcu, na dwa dni przed Wielkim Piątkiem i skoczył, narażając niewinnych ludzi na problemy z prawem. Całe wydarzenie będzie spektakularną bezmyślnością, a pisząca i podpisująca się, może z obawy jedynie inicjałami, dziennikarka, podsunie myśl, że przecież do popełnienia samobójstwa wystarczy się normalnie powiesić, skakanie z kościołów jest głupotą! Będę chciał pójść do redakcji tego szmatławca, odnaleźć tę cholerną kurwę, przycisnąć ją głową do ściany i napluć na twarz. Będę chciał zdemolować całą redakcję tej pieprzonej szmiry. Nie zrobię jednak nic. Będę leżał na łóżku, zastanawiając się, po co ja właściwie jeszcze żyję.

Po kilku godzinach, czując ssanie w żołądku i nie mogąc więcej znieść krzyku rodziców, rozkazujących bym cokolwiek zjadł, wstanę, podre szmatławiec, przeklnę kurwę i doczołgam się do stołu. Zjem kilka łyżek zupy, po czym zacznę mi się kręcić w głowie. Nie jadłem od przeszło dwóch dni.

Następnego dnia, zmuszany, pójdę do szkoły. Będzie to czwartek, sześć lekcji. Kolkowa na matematyce będzie mówić o matematyce. Sprawdzi zadanie domowe i będzie chciała postawić mi jedynekę, rozmyśli się jednak w ostatniej chwili, powie, że przykro jej z powodu Przemka, musimy się jednak z tym pogodzić, powoli otrząsnąć się i pracować. Co się stało, to się nie odstanie – stwierdzi – Trzeba zapomnieć. Powiem jej, żeby mi lepiej wpisała tę kapę, ale żeby po prostu się zamknęła. Obrazi się, ale jedynki nie wpisze. Powie za to, bym przekazał nieobecnemu jak zwykle Duszykowi, że jeżeli do końca roku opuści choćby jeszcze jedną matematykę, nie przepuści go do następnej klasy za żadne skarby. Powiem, że przekażę. Nie zrobię tego nigdy.

Na lekcji polskiego będzie wiersz o śmierci. Taki piękny tekst w sam raz na wiosnę. Pani Kuner będzie jak zwykle wspaniała, sprowokuje poważną dyskusję z nastoletnimi ekspertami, zna-

jącymi się na śmierci jak nikt inny. W połowie tej farsy wyjdę z klasy. Już nie wrócę. Na przerwie pani Kuner spyta, dlaczego. Nie mogłem słuchać tych banałów wtedy, gdy Przemek nie żyje – odpowiem. Ja wiem, że to bardzo boli, stracić przyjaciela – powie ona – Z czasem jednak dasz radę pogodzić się z tym. Musisz spróbować żyć dalej.

Nie odpowiem już nic.

Coraz bardziej zacznę zdawać sobie sprawę z małości i kruchości otaczającego mnie świata. Lęk przed próżnią sprawi, że za wszelką cenę będę szukał jakiegokolwiek możliwości ucieczki, rozpaczliwie będę starał ucześcić się jakiejś nadziei. Gorący oddech pustyni, który powoli otaczał mnie dokoła, wysuszy wszystko, jedyną iskrą, mającą w oddali na horyzoncie, będzie nadzieja, spazmatyczne błaganie o zrozumienie, o... miłość. Miłość... Jedyne co mi pozostaje... „najpiękniejsze i największe z ludzkich uczuć. To ona odróżnia nas od zwierząt i jest jedynym, co może ocalić nas od całkowitej zagłady...” – czy ja już kiedyś, gdy jeszcze wszyscy żyli, nie słyszałem od kogoś tych słów? Pani Kuner? Lekcja polskiego? Sonet o miłości. Rozmowa ze Stasią. Pamiętam. Nie jest tak źle. „Miłość cierpliwa jest, nie unosi się pychą, nie cieszy się z nieprawości, a raduje się z tryumfu prawdy”... Prawdy? Ponoć prawda może być tylko jedna, nie ma najprawdziwszej prawdy, jedynej prawdy czy szczerzej prawdy. Każdy przymiotnik ukrywa kłamstwo, demaskuje ukrytą pod wspaniałym pojęciem prawdy dwuznaczność. Prawda jest tylko jedna, czysta, bez określających ją epitetów. Mądre słowa. Jedyne prawdziwa miłość potrafi ocalić. Kolejne pieprzone frazesy! Całe życie jest ich pełne.

Czy ja wiem, co to jest miłość? Czy miłość ma naprawdę tak potężną moc? Ponoć miłość wymaga ofiar... ofiar... o f i a r... Boże!

Jeśli kocham Wiktorię, czy to uczucie może kiedykolwiek zagłuszyć to, co się stało? Czy powinienem próbować zabić to w sobie w ten sposób?

A jeżeli jest to jedyna droga? Pozostaje tylko kochać albo umierać? Dlaczego, Boże, dlaczego, do cholery, mi to zrobiłeś? Dlaczego do tego doszło, dlaczego go zabiłem?! Jeżeli Wiktorია mnie kocha, jeżeli ja kocham ją, za żadne skarby nie mogę teraz tego

stracić! Musimy być blisko, musimy być jednym, musimy razem poradzić sobie ze światem, musimy!

Musiałem ją odnaleźć. Nie było to tak trudne, znalazłem ją pod klasą. Siedziała na ciemnym korytarzu, studiowała jakiś zeszyt. Przez chwilę dał się dostrzec nikły odblask nad jej głową. To co do niej czułem pewnie nie mogło się zmienić...

Nie miałem ochoty na rozmowę z kimkolwiek. Podejdę jednak.

– Cześć – powiem cicho.

– Cześć – odpowie, uśmiechając się do mnie. Spróbuję zrobić to samo. Skrzywię się sztucznie – Już myślałam, że nigdy do mnie nie podejdziesz. Piotrek, tak się nie robi. Przedwczoraj bałam się ciebie...

– Przepraszam – wyjąkam.

– Dobrze, już nie gniewam się. Zachowywałeś się dziwnie, po prostu.

– Koreń nie żyje... – powiem po dłuższej chwili.

– Przestań! – oburzy się – Znowu zaczynasz?! Wszyscy wiedzą, że Przemek nie żyje! Pogódź się z tym.

– Właśnie to robię – odpowiem po jeszcze dłuższej chwili – I musisz mi w tym pomóc.

– A co ja mogę zrobić? To był twój przyjaciel, wiem, że cię boli.

– Myślałem, że twój też...

– Był moim kolegą, chciał ze mną chodzić, znałam go bardzo słabo.

– Podobał ci się...

– Ty też mi się podobasz, nawet bardziej od niego.

– On nie żyje – przypomnę.

– Wiesz co? – powie po chwili – Idź sobie. Powtarzasz się.

Nie ruszę się, będę kucał przed nią, ściskającą ten cholerny zeszyt, do tego trzymany do góry nogami. Poczuję się jak *Księżę Sezonu* po rozmowie z dziewczyną, w której był kiedyś bezgranicznie zakochany, a która każe mu się teraz iść powiesić.

– Dziwi mnie, że już o nim zapomniałaś...

– Piotrek, odejdz lepiej i idź do psychiatry, okej?

– Wiki, nie potrzebuję psychiatry. Potrzebuję ciebie! – krzyknę po kolejnej chwili na pół korytarza – Tylko ty możesz mi w tej chwili pomóc! Tylko miłość może mnie, nas, uratować, czy to rozumiesz? Wiktoria, ja muszę wiedzieć, czy mnie kochasz, muszę wiedzieć, czy ja ciebie kocham, muszę mieć pewność, rozumiesz?!

Przez chwilę zapadnie milczenie, jak to zwykle bywa po takich deklaracjach.

– To ty nie jesteś nawet pewny czy mnie kochasz? Tak?! – powie po chwili, oburzona – Napisałeś mi to ze sto razy, myślałam, że po tym co między nami zaszło nie będziesz miał wątpliwości!

– Sto osiemdziesiąt siedem... Wiktoria, zrozum...

– Nie rozumiem! Przemek nie żyje, mi też jest przykro, ale ty i ja, to zupełnie inna sprawa. Jak możesz mówić, że nie masz pewności czy mnie kochasz!

– Musisz mi pomóc!

– Pomogę, jeśli będziesz pewny, że mnie kochasz.

Ale ja nie będę pewny. Nie będę pewny niczego, nawet tego, jak mam na imię, i że właśnie dzwoni kolejny, cholerny dzwonek. Dlaczego dzwonki mają regulować czas naszych rozmów, dlaczego jesteśmy ograniczeni tymi cholernymi murami, dlaczego jesteśmy tu, jak w jakimś obozie, a ja mam być czegokolwiek pewny? Pewna jest tylko śmierć, to jedyne co na nas czeka.

– Zastanów się. Pa – powie po chwili, wchodząc z tłumem swych rozbieganych i tańczących koleżków i koleżanek do klasy.

To „Pa” nie będzie znaczyło nic. Kto żegna się mówiąc „Pa”? Słyszałem, że to standardowe pożegnanie gejów...

Pójdę na kolejną lekcję. Będzie to historia. Darek opowiadał będzie o działaniach na froncie wschodnim podczas drugiej światowej wojny, powie, że Polska jest znów silna, popatrz na mnie, powie, że należy być silnym, że Polska nigdy nie poddawała się. Po stu dwudziestu trzech latach jarzma zaborczego i braku państwowości odrodziliśmy się – umarli zmartwychwstaliśmy, drugą wojnę również wygramy. Trzeba być silnym.

Kilka dni wcześniej powie, że jest mu bardzo przykro, że bardzo współczuje mi i całej klasie, że Przemek był dobrym kolegą. Mówiąc to będzie patrzył na mnie, a ja schowam twarz w dłonie,

będę pocierał czoło, które po chwili zaróżowi się od tarcia, jak wtedy w radiowozie. Różowe, jak woda, którą splukano ze schodów. Treść żołądka podchodząca do gardła... Po lekcji powie, że może powinienem porozmawiać z psychologiem. Podziękuję, mówiąc, że poradzę sobie. Poklepie mnie przyjaźnie po ramieniu.

– Nie możesz o nim nigdy zapomnieć – powie – To twój przyjaciel. Twoim zadaniem nie jest teraz o nim zapominać, tylko przeciwnie – pielęgnować pamięć o nim, wspominać wszystkie dobre chwile. Był dla ciebie bardzo ważny i niech zawsze już będzie. A dzisiejszy ból z czasem minie. Wspomnienia zostaną... Czas leczy rany, ale to nie oznacza zapomniania – pamiętaj.

Podziękuję za radę. Wiem, że i tak nigdy nie zapomnę tego, co połączyło mnie i Korenia. Tych wspomnień nigdy nie da się wymazać.

Po lekcjach odprowadzę Wiktorię do domu. Długo będę zastanawiał się czy właściwie powinienem wziąć ją za rękę. Gdy w końcu zdecyduję się na to, będziemy już niemal pod jej blokiem. Będziemy stać pod klatką, trzymając się za ręce i nic nie mówiąc. Zapyta, czy ją kocham, odpowiem, że tak. Nie będę pewny, ale tak odpowiem, żeby mi dała święty spokój. Niech tak myśli i będzie ze mną. Bardzo jej teraz potrzebuję...

Będzie świeciło to szydercze, wiosenne słońce. Przez chwilę poczuje, że może wszystko będzie jeszcze jakoś... Nigdy nie jest tak, żeby jakoś nie było...

Wtedy Wiktorina zrobi coś bardzo ohydneho i wszelkie nadzieje na poprawę chwilowo trafi szlag. Zapali. Wyciągnie z kieszeni sfatygowaną paczkę papierosów *LM light*, wyjmie jednego truciciela i zapali. Po prostu, nie pytając się nikogo o zgodę czy cokolwiek w tym stylu. Zapali papierosa będzie stać, zaciągając się dymem i ignorując mnie całkiem przez chwilę. Tylko ona i dym.

Dziewczyna paląca papierosa zawsze wygląda obrzydliwie. Całą jej urodę w jednej chwili można o kant dupy rozbić. Wiktorina wyglądała jak pieprzona, wzorująca się na dorosłą gówniara, musząca palić pod dachem klatki, by nikt nie dostrzegł jej z okna. Zaśmierdziąło szczeniactwem i wszystkim tym, czego zawsze

z Koreniem unikaliśmy, czując, że jesteśmy ponad tym, z czego szydziliśmy na każdym kroku...

Koreń, podobnie jak ja, nienawidził palaczy, a pałace dziewczyny omijał szerokim łukiem...

Wiktoria tymczasem spokojnie wydmuchiwała dym, jak parowóz albo rura wydechowa starej radzieckiej koparki.

– Ty... palisz? – zapytam po chwili, gdy uświadomię sobie, że nie śnię.

– Tak. Od szóstego roku życia – zaśmieje się wyraźnie żółtymi zębami – To nie wiedziałeś? – zapyta i uśmiechnie się, jak jej się pewnie będzie wydawać, uwodzicielsko. Uśmiech pałacej był odrażający – Przeszkadza ci to?

– Szczerze mówiąc, tak – odpowiem.

– Wiesz co? Idź do domu! Jak ci takie pierdoły przeszkadzają, to co będzie później?

– Nie wiem, co będzie, mówię po prostu, co myślę. Nie podoba mi się jak dziewczyna pali. W ogóle nienawidzę papierosów.

– Tak jak i Przemek... – westchnie.

– Tak? On wiedział, że palisz?

– Jasne. Mówił ostatnio, że to było to, co mu u mnie najbardziej przeszkadzało, dlatego nie chciał ze mną chodzić w październiku. Zmienił zdanie ostatnio. Uznał, że może to zaakceptować, a z czasem, jak to powiedział, się zobaczy...

– A ty wybrałaś mnie...

– Myślałam, że tobie to wcale nie przeszkadza.

– Mówisz, że on chciał cię taką, że... zaakceptowałby to?

– No – odpowie, zaciągając się po raz kolejny tym śmierdzącym gównem.

– To ja też spróbuję... – odpowiem po chwili, choć przyjdzie mi to z wielkim trudem.

Skoro Koreń chciał ją nawet pałacą, ja, zwłaszcza teraz, nie mogę być od niego gorszy. Nie wiem, jak to wytrzymam, ale ponoć miłość przetrzyma wszystko. Tylko, czy Koreń ja kochał, czy po prostu było mu to obojętne, bo chciał sobie tylko pod... Tego już się nigdy nie dowiem.

Wiktoria wypaliła dwie fajki. Przez chwilę milczeliśmy.

– Zaakceptujesz? – spytała – No to mała próba!

Przytuliła się do mnie, podniosła głowę i wsadziła mi swój język do ust.

Język był gorzki, Wiktoria śmierdziała dymem jak po pracy w wędzarni. To było ohydne. Przytulała się coraz mocniej. Niechętnie oddawałem te odrażające, gorzkie pocałunki.

– Chodź na klatkę – uśmiechnęła się, otwierając drzwi. Przytuleni wturlaliśmy się do środka. Przycisnęła mnie do ściany i oboje znaleźliśmy się we wnęce pomiędzy wejściem do klatki a drzwiami do piwnicy. Jej gorzki język, śmierzący oddech, jej ciepło i dotyk, jej przesiąknięta dymem koszulka, jej dłonie na moim rozporoku, wędrujące wciąż dalej, dalej... Smród klatki, papierosów, szcurzych odchodów i mokrego tynku. Krew na schodach...

– Nie! – odepchnąłem śmierzącą dymem dziewczynę – Wiktoria, nie mogę. Nie dzisiaj, nie teraz, nie tak nagle! Proszę, daj mi czas na tę akceptację. Nie mogę dziś. Proszę...

– Jak chcesz! – wycedziła – To miała być przyjemność dla ciebie, ale skoro tak...

– Wiki, zrozum...

– Co? Przemek nie żyje? – zawyła. Miałem ochotę strzelić ją w twarz – Pa!

Odeszła po schodach, kręcąc na boki, pewnie umyślnie, tym swoim tyłkiem. Zauważyłem, że rzeczywiście był może trochę za szeroki jak na zwykłą trzynastolatkę. Kurwa, minęło osiem dni od śmierci Korenia, a ty gapisz się na jakąś dupę?! Jesteś nic nie wartym śmieciem, nic nie wartym! Uciekaj stąd, uciekaj, zanim będzie za późno!

– Pa! – odkrzyknąłem w stronę schodów, ale ona była już w okolicy drugiego piętra.

Nie miałem siły na powrót do domu. Usiadłem na ławce pod blokiem.

Siedziałem wpatrując się tępo w nabazgrane na murze rozdzielającym garaże hasło: „Olewamy system, który nas żywi!”. Podobno najczęstsze hasło na murach w tym poronionym kraju – przypomniałem sobie myśli sprzed kilku miesięcy – Tak, zrzucajcie wszystkie winy na ten wasz abstrakcyjny twór! – pomyśla-

łem – System. Co to, kurwa, w ogóle oznacza?! Jaki system!? Nie ma żadnego systemu! To, że tu jestem, to tylko odpowiedź na moje własne czyny. Świat jest taki, na jaki sami sobie zasłużyliśmy.

IV

Następnego dnia poszedłem na wagary. Tak normalnie wyszedłem niby do szkoły. Duszyk nie przychodził już po mnie. Podejrzewał coś, nie chciał rozmawiać z mordercą. Na jego miejscu też bym nie chciał.

Tego dnia czułem, że po prostu nie zniósłbym niczyjej obecności. Każdy człowiek irytował mnie każdym swoim słowem i spojrzeniem. Podobne uczucie do tego, kiedy do przedziału pociągu łąduje się nam na siłę nowy przybysz, zagaduje, próbuje być miłym, a my za samo to, że w ogóle raczył wejść, mamy ochotę wydłubać mu oczy. A przecież on, tak jak my, jest człowiekiem, z takim samym biletem i prawem do życia.

Nie chciałem i nie potrzebowałem nikogo. Nauczycieli, prowadzących swoje lekcje i mówiących, że trzeba żyć dalej, kolegów, odwracających na mój widok wzrok i przerywających rozmowy o kolejnej grze komputerowej, Wiktorii z papierosem, którą podobno miałem kochać.

Czy to w ogóle można było nazwać miłością? Żeby móc po raz pierwszy coś jakoś nazwać, potrzebny jest przecież punkt odniesienia, porównanie. Wiktoria była moją pierwszą dziewczyną, nigdy wcześniej żadnej nie kochałem. Skąd mam teraz wiedzieć czy kocham? Z czym porównać to, co do niej czuję, skoro nigdy nie poznałem miłości? W jednej chwili przekonałem się, że głupi papieros potrafi całkowicie zmienić moje spojrzenie, zamienić boginię w potwora. I ja wołałem to coś od przyjaźni Korenia? To ma być miłość? A jeśli nawet, czy taka miłość jest w stanie sprawić, że kiedykolwiek będę jeszcze normalnie żyć? Nie. Już nigdy nic nie będzie normalnie.

Miałem serdecznie dość ciągłego szemrania po kątach, podnieconych głosów opowiadających coraz to nowe, wysrane z palca szczegóły wypadku. Cała szkoła drugi tydzień po śmierci Korenia, żyła tym ciągle, każdy gówniarz stawał się natchnionym, wszyskowiedzącym ekspertem w dziedzinie wież kościelnych i samobójstw. Każdy głos powodował podnoszenie się treści żółdkowej. Od ciągłego szmeru pękały bębenki, uciekałem od tego jak zaszczyty pies.

Szedłem powoli, zajęty liczeniem kroków na bruku. Podeszwy glanów odbijały się od płytek chodnikowych z lekkim plaśnięciem. Było ciepło, stanowczo za ciepło na takie obuwie. Miałem to jednak gdzieś. Całe lato potrafiłem chodzić w wojskowych butach. Wygodnie i praktycznie. Jeden krok, drugi, trzytysięcznytrzydziestyczwarty. Wpatrzony w lekko zmatowiałe od kurzu czubki wi-bramów, powoli doszedłem nad Wisłokę.

Byłem sam. Samotność i cisza kłuły boleśnie w uszy, wwiercały się do wnętrza czaszki, bolały. Przypomniałem sobie wszystkie, spędzone tu razem z Koreniem, chwile. Było ich trochę. Wrzesień, październik, listopad... Pomarańczowe, grudniowe niebo, Pniak, samotne walentynki, kamyk na żyłce, ognisko na balkonie Tamy, styczeń, telefon, Słupy, Pierwszy Dzień Wiosny... Przecież wszystko to było tak niedawno... Gdzie podziały się tamte chwile, co stało się z tymi dniami, dlaczego nie potrafię cofnąć czasu, dlaczego jestem tu teraz sam? Boże. Czy wszystko ma się skończyć teraz, czy tamte chwile były mniej wartościowe od tej jednej, gdy... Czy wszystkie te dni, położone na szali, nic nie znaczą w porównaniu z jedną sekundą? Czy przez jeden moment, przez jedno ode-pchnięcie, przez dwa słowa „odwal się” mam stracić na zawsze to wszystko, co od tak dawna razem z Przemkiem budowaliśmy? Dlaczego nie potrafię teraz, jak kiedyś, spojrzeć na życie, być ponad tym, cieszyć się...

Czego ja, kurwa, właściwie oczekuję?! Mam zdecydowanie chore pragnienia! Cieszyć się? Ja, morderca, nie mam prawa już nigdy, z niczego się cieszyć! Zostały mi jedynie wspomnienia, tych kilka miejsc... Muszę pielęgnować pamięć o najlepszym

moim Przyjacielu, o człowieku, który na zawsze pozostanie moim Przyjaciелеm. O Przyjacielu, którego zabiłem.

Nie wolno mi o nim już nigdy zapomnieć. Już zawsze będę żyć po to, by pamiętać o wszystkich chwilach, a jeżeli zapomnę, każdy, nawet najbardziej podły gnój może mi napluć w twarz. Zapomnieć znaczy umrzeć. Jedynie pamięć może uchronić od śmierci.

Stałem na środku kładki, szukając naszych wspólnych podpisów. Na filarze odnalazłem lekko zatarty, jeden z pierwszych autografów na kładce. *Durex & Koreń 03.12.99r.* Na poręczy było ich jeszcze więcej. Na samym środku kładki, duży, zaledwie miesięczny napis: *Pierwszy Dzień Wiosny Durex & Koreń.* Nieco dalej, z boku: *19. X 1999 Durex & Koreń, 10. I 2000 Durex & Koreń* i kilka innych... Wszystko jak dawniej, wszystko jak zaledwie przed kilkoma miesiącami. Tak samo, a jednak...

Niebo zakryły chmury, przez chwilę wszystko skryło się w cichej, wiosennej szarości. Szary kolor zdawał się dominować, zalewać wszystko. Szare niebo odbijało się od szarego lustra wody, szare ptaki przesiadywały na szarej linii wysokiego napięcia, szara była konstrukcja kładki, podtrzymujące ją słupy, podpory i poręcz, szary był asfalt i szarzejący za zakrętem rzeki budynek wodociągów. Szarość zalewała wszystko, pokrywała cieniutką warstwą kurzu. Stałem, patrząc wstecz na zakurzone obrazy, niedawno tak świeże, że można by rzec, wydarzyły się wczoraj.

Patrzyłem na wodę powoli przesuwaną się pode mną. Znów wydało mi się, jak kiedyś, że kładka płynie, poruszana jakąś dziwną siłą, cofa się, dążąc powoli do tyłu przenosi mnie w nieznanne krainy. Brzeg pozostawał nieruchomy, ale gdy wpatrzyłem się w wodę, szerokość rzeki pozwalała nie dostrzegać przybrzeżnych zarośli. Wszystko płynęło, powracającą mgłą wspomnień otumaniało, usypiało.

Właściwie nic się tu nie zmieniło. Wszystko zależy od koloru nieba, od miejsca słońca na błękitcie, bo droga słońca zawsze jest błękitna... Woda napelniała mój umysł dziwnie płynnym spokojem, ciszą. Stałem tu przecież tak samo jak kiedyś...

Postanowiłem pielęgnować ten zwyczaj. Powoli ruszyłem w stronę Pniaka.

Miejsce, gdzie nigdy nie będę wstydzić się tego, kim kiedyś byłem. To właśnie tu obiecaliśmy sobie przyprowadzić swoje dzieci... Czy to uczynione w grudniu, pod krwistopomarańczowym niebem, wyznaczenie ciągle pozostaje aktualne? Czulem się śmieciem wyzuty z normalnej przyzwoitości, który zabił przyjaciela dla dziewczyny, porzucił wszelkie, niezapomniane i jedynie trwale chwile, goniąc za ulotnym marzeniem sennym, zamienił realny świat na kruchy i rozplywający się lód. Nie miałem nawet odrobiny cywilnej odwagi przed nikim przyznać się do morderstwa. Czy ktoś taki może kiedykolwiek powiedzieć, że nie wstydzi się tego, kim był... Czy mam prawo przyprowadzać na Pniak swoje dzieci, czy mam prawo opowiadać im o Koreniu, pomijając fakt, że to ja... Nie. Już nigdy nic nie będzie normalnie.

Stałem pod dębem, zastanawiając się, gdzie ja właściwie jestem. Przez kilka chwil rozglądałem się dookoła, myśląc, że prawdopodobnie zmyliłem drogę, że właściwe miejsce znajduje się kilka kroków dalej, gdziekolwiek, tylko nie tu. To nie mogła być prawda. A przecież ten sam widok, jedynie niebo pozostawało jakiegoś dziwnie szare... Te same drzewa przysłaniały budynek wodociągów, ten sam widok, wszystko takie samo! To nie mogło być tutaj, nie byłem tu od dwóch miesięcy, musiałem zabłądzić. Na pewno zabłądziłem...

Pniaka nie było. Najnormalniej na świecie zniknął! Ten sam dąb, pod którym leżał, na który w grudniu wspinał się Koreń, uciekając przed wymyślnym niedźwiedziem, ten sam widok, ta sama okolica i...

Pusta, wygnieciona ziemia, ogołocona z trawy i z wszechobecnych liści. Nikły ślad po leżącym w tym miejscu przez dłuższy czas czymś dużym... Ślad i trochę jasnobrazowych wiór. Nic więcej.

Pniaka nie było. Nie było. Nie...

Rozglądałem się skołowany po okolicznych zaroślach, jakby nie wierząc własnym oczom. Wydawało mi się niemożliwe, by nasz Pniak był komukolwiek kiedykolwiek na coś potrzebny. Przecież leżał tu od wielu lat, widać było to po nim wyraźnie. Ktoś go stąd zabrał! Jezu, jakkolwiek to brzmi, gdy wreszcie prawda pozwoli dotarła do mojej świadomości, upadłem na kolana i, klęcząc,

zacząłem ryczeć nad tą ogołoconą ziemią i nad wiórami rozsypa-
nymi naokoło.

Upadłem na ziemię i płacząc chciałem, by zamknęło się nade
mną niebo. Gdy byłem tu z Koreniem mieliśmy pewność, że Pniak
przetrwa wiecznie, że wystarczy co jakiś coś odnowić podpisy,
że przyprawimy tu... Jaki skurwysyn mógł uczynić coś takie-
go, komu, po co, zechciało się zabrać ten, leżący tu od lat, pień?!
Dlaczego...

Schyliłem się i poprzez łyzy dostrzegłem wśród trocin trochę
większy odłamek odciętego drewna. Na pozbawionym kory frag-
mencie widniały narysowane korektorem resztki rysunku koła
ciężarówki, w jaką otoczyliśmy nasz podpis i fragment daty:
03.XII. SP.9... Nic więcej. Bezsilny opadłem na ziemię.

Nie pamiętam, jak długo tak leżałem. Jedyne, co czułem, to
rozrywającą wewnętrznosci wściekłość i bezsilny gniew. Dlaczego
ktoś zabrał ten cholerny pień! Dookoła jest przecież tyle drzew.
Dlaczego odbiera mi się nawet wspomnienia? Czy to, co się sta-
ło, oznacza naprawdę koniec? Czy Koreń, spadając z tego dachu,
przeklął wszystkie chwile spędzone ze mną? Czy ja, morderca, je-
stem godzien wspominać to, co było, czy Darek ma rację?

Ma, nie wolno zapominać, ale... Boże, jeżeli jesteś...

Jeżeli jesteś, daj mi siłę, pozwól mi wstać i iść dalej, choćby
tam, gdzie czeka już tylko...

Pamiętam, że łyzy na twarzy osuszy mi dopiero chłodny poryw
wiatru. Będzie zbierać się na burzę, gdy postanowię pójść jeszcze
nad Tamę. Podniosę się z kolan i spróbuję iść, będę musiał po-
deprzeć się o drzewo. Najpierw jedno, drugie, trzecie. Zataczając
się, dojdę na kładkę. Przejdę na drugą stronę. Powlokę się wzdłuż
brzegów Wisłoki. Szare niebo, szary budynek wodociągów na szar-
ym tle. Szary beton plaży i szary szlam przy brzegu.

Woda przelewająca się przez garb będzie dziwnie matowa.
Brak słońca sprawi, że żadna iskierka nie rozbłyśnie nad minia-
tutowym wodospadem. Nie dane mi będzie ujrzeć tu, jak kiedyś,
tęczy. Tęcza już nigdy nie będzie widokiem godnym mych oczu.
Woda będzie zimna i twarda jak beton. Plamy brudnej piany będą
rozpryskiwać się tuż pod garbem, uwięziona w okrężnym pędzie

strumienia plastikowa butelka będzie podskakiwać w swym marnym bezskutecznym tańcu. Prąd nie pozwoli jej popłynąć dalej, więzienie fal okaże się miażdżąco skuteczne...

To, co zastanę po przejściu przez ogrodzenie na teren wodociągów, było do przewidzenia, zadziała jednak jak kolejny potworny cios w sam środek przepełnionej krwią i strachem czaszki. Wszystkie drzwi i poręcze będą pomalowane świeżą, srebrną farbą. Na drzwiach nie pozostanie ślad po niczym napisie, jedynie na poręczy, spod dwóch świeżo nałożonych warstw srebrzanki będzie przebijał wypukły korektor. Z trudem odtworzę napis: *Pierwszy Dzień Wiosny tu uczciliśmy, paląc Marzannę. Durex & Koreń*. Napis będzie zupełnie niewidoczny, dopiero wodząc po nim opuszkami palców i bardziej w pamięci przypominając sobie jego treść, można będzie odszyfrować poszczególne znaki. Na całym budynku jedynym śladem naszej obecności pozostanie zgniłożółta, wysuszona plama po starej musztardzie, powstała po rozbiciu o mur słoika jeszcze w październiku. Będę wpatrywał się w tę plamę jak urzeczony i jedynie ta cholerna plama z przeterminowanej musztardy doda mi odrobiny rozsądku, nie pozwoli rzucić się do głębokiej na siedem metrów wody. Usiądę na schodkach, po drugiej stronie ogrodzenia, wpatrzony w plamę wesprę brodę na wewnętrznej stronie dłoni. Ta cholernie głupia, zastygła plama będzie dla mnie więcej warta od całego złota i bogactwa zdemoralizowanego i przesiąkniętego złem świata. Zło zacznie rozlewać się dookoła, przenikać mnie chłodem do szpiku kości. Po chwili okaże się, że to tylko woda. Zacznie padać deszcz.

V

Do domu wróciłem późnym wieczorem, przemoknięty i podobno głodny. Nie czułem głodu, nie przejawiał się jak kiedyś uporczywym, niepozwalającym zebrać myśli ssaniem żołądka. Głód nie istniał, pozostała jedynie słabość, wstrzymująca wykonanie każdego kroku więcej niż zamierzony. Byłem pewny, że gdybym mieszkał o dwie klatki dalej, z pewnością nie byłbym w stanie

pokonać tej odległości. Zostałbym pod blokiem, przytwierdzony do którejś płyty chodnikowej, wreszcie wróśliłbym w beton, został wdeptany w piach przez tłum szarych spacerowiczów. Przynajmniej komuś przydałbym się do czegoś. Ponoć życie ma sens dopiero wtedy, gdy żyje się dla kogoś. Czy bycie płytą chodnikową nie jest najlepszym pomysłem na życie w kolejnym wcieleniu? Byłem przekonany, że to jedyny materialny byt, jakim w danej chwili mógłbym zostać.

Ignorując pytania rodziców, zamknąłem się w swoim pokoju. Pamiętam, że po chwili obok mnie pojawi się mama i będzie bardzo zmartwiona moim zachowaniem. Bardzo kochałem swoją mamę. Będzie podejrzewać wagary. Nie będę wyprowadzał jej z błędu, nie będę nic prostował, przed niczym się bronił. Bezsilny opadną na łóżko mając nadzieję, że nadchodzący weekend cokolwiek zmieni. Mama zapyta, czy nie potrzebuję pomocy. Odpowiem, że potrzebuję jedynie samotności i wyciszenia. Nie zrozumie, zasugeruje psychologa, na co odkrzyknę, że Przemek nie żyje i muszę się z tym pogodzić. Ona powie, że to już ponad tydzień, ja: że dopiero i nic nie rozumie. Standardowy okrzyk zbuntowanego nastolatka, kończący kłótnie z rodzicami: Nic nie rozumiesz! Na co zwykle rodzic odpowiada: Nie i tyle. Cholerny świat.

Mama uzna, że może rzeczywiście należy mi się spokój. Wyjdzie, sugerując zjedzenie kolacji, ale ja nie będę o tym myślał. Jęczenie nie będzie miało żadnego znaczenia.

Czasami śmierć wydaje się dla nas czymś niezwykle przyjemnym. Znajduje się w sferze ideału, tak jakbyśmy mieli uciec z platońskiej jaskini, by wydostać się na światło dzienne. Umrzeć, by żyć naprawdę. To tak, jakby spojrzeć na wszystko po raz pierwszy z perspektywy drugiej strony lustra wody. Patrzymy na własne odbicie i wydaje nam się nieprawdziwą, urojoną zjawą, czymś tak nierzeczywistym, aż wydaje się dziwnym, że nikt nie zwraca na to na co dzień uwagi. Nie widzimy już swoich rysów twarzy, widzimy potwora, coś, przed czym zawsze uciekaliśmy, coś, czego nienawidzimy i boimy się. Strach nie tkwi nawet w wyglądzie, wydaje się, że chodzi o coś więcej, martwą iskrę ukrytą na dnie

oka, resztki niegdysiejszych uśmiechów zachowanych w kącikach ust. Tymczasem może po tamtej stronie będziemy mogli spojrzeć na wszystko inaczej, może będzie to odwrotne spojrzenie, które przywróci naszym dawnym rysom ich prawdziwy kształt. Może wówczas przestaniemy się obawiać i nienawidzić...

Czasami pragnę śmierci tylko po to, by móc odnaleźć ten jeden wyśniony ideał, prawdziwą sferę mej duszy. Na tym świecie trzyma mnie jedynie niepewność, czy taki ideał w ogóle istnieje. Jeżeli go nie ma, śmierć oznaczałaby najzwyczajniejszy koniec, rozkład materii i... zwykle nic.

Leżę i patrzę w czarny kalejdoskop sufitu. W pokoju obok głośne chrapanie śpiących od kilku godzin rodziców. Ja nie zasnę, będę o tym wiedział, oczy pozostaną przekrwione, ale nie zamkną się, choćby nawet na krótką chwilę. Pozwolę otoczyć się nocy, by unieść mnie w nieprzebrane przestrzenie śmierci. Przez chwilę będę po tamtej stronie. Niestety wstanie świt. Będzie sobota. Tydzień od pogrzebu Korenia.

Bezsenność przyniesie jednak informację, że tamta strona istnieje. Nie ma pustki po śmierci, w tunelu naprzeciwko zawsze jest światło. Inaczej nie widzielibyśmy nawet, czy to tunel, czy po prostu zamknięta klatka.

Po południu postanowię pojechać na jego grób.

Cmentarz komunalny to obskurne miejsce. Ktoś wymyślił, by tuż obok umieścić wysypisko śmieci. Czasem nie wiadomo, gdzie kończy się cmentarz, a zaczyna góra odpadków. Zupełnie jakby ci ludzie również byli tu wyrzuceni. Zużyli się, umarli, więc zostali zwykłymi śmieciami. Nad cmentarzem, zwłaszcza w upalne dni, unoszą się miliony much i odrażający słodkawy odór wysypiska. Wówczas odwiedzający to miejsce kurczowo zaciskają sobie nosy, lub, nie mogąc znieść wszechobecnego odoru, tracą przytomność. Klimat tego miejsca w gorący dzień potrafi przyprawić o biegunkę. Sobota będzie właśnie takim dniem.

Wyjątkowo ciepłą mieliśmy wiosnę tego roku. Zupełnie tak, jakby po wygnanej przez nas w marcu zimie nastąpiło od razu lato.

Kończył się kwiecień, szedłem po cmentarnej alei, szukając świętego grobu najlepszego przyjaciela. Smród wysypiska unosił się dookoła, w pobliskim lesie szumiały sosny, niosąc, kłócący się z odorem rozkładu, zapach żywicy. Po błękitnym niebie powoli przesuwały się nieliczne chmury.

Mimo woli przychodzi na myśl początek 51 TSA: „Idąc cmentarną aleją, szukam ciebie – mój przyjacielu. Odszedłeś bo byłeś słaby, jak suchy liść... Dziś możemy dotknąć się naszymi pustymi duszami, obnażyć swe oszustwa i nasze wypalone sumienia...” Gdyby to nie było kwietniowe popołudnie, klimat pasowałby. Może z kilkoma różnicami. Koreń nie odszedł dlatego, że był słaby. Koreń słaby? Boże!

Jestem okrutnym, wstrętnym obleśnym tchórzem! Kolejne banały, frazesy! Czemu mam nimi tak zaśmieconą głowę?

Bez większego problemu odnalazłem właściwy grób. Wał ziemi w kształcie trapezu, przykryty kilkoma warstwami nieświeżych kwiatów. Szarfy złote, fioletowe, napisy, kwiaty i znicze. I ten cholerny odór rozkładających się śmieci.

– Wybacz mi... – powiem po chwili, wstając z kolan – Wybacz mi, bo jestem największym skurwielem na świecie... Wiem, ty wiesz, że nie chciałem, ty wiesz, że oddałbym wszystko, by móc jeszcze raz cię zobaczyć, pójść z tobą na węgry. Ja wiem, że ty wiesz, że potrafisz to dostrzec... Jeśli jesteś na górze, wreszcie potrafisz naprawdę poczuć się ponad tym. Zawsze byłeś ponad tym, nade mną, nad światem. Nigdy nie byłem w niczym tak dobry, jak ty... Nie jestem godzien nazywać się twoim przyjacielem. Nigdy nie byłem...

Zamilkłem na chwilę, zasluchany w szum pobliskich sosen. Słodkawy odór przez chwilę przestał być dokuczliwy. Przyzwyczaiłem się.

– Wiesz, byłem na Pniaku. Pniaka już nie ma. Jakiś skurwiel pocałował go na kawałki i zabrał, pewnie na opał. Został jedynie kawałek daty, pamiętasz? Trzeci grudnia dziewięćdziesiąty dziewiąty. Mieliśmy tam przyprowadzić swoje dzieci, mieliśmy być przyjaciółmi do grobu... Do grobu... To nie o to chodziło... Nie chciałem nigdy stać nad twoim grobem, chciałem zatańczyć na twoim weselu!

Z pewnością znalazłbyś sobie niedługo ładną, godną ciebie dziewczynę. Byłbyś szczęśliwy. Zostałbyś architektem, ja prawnikiem, broniłbym cię w sądzie, gdyby zawałił się zaprojektowany przez ciebie budynek, pamiętasz? Miałbyś zniżkę... Kurwa, o czym ja bredzę! Wybacz mi, wybacz mi, stary...

Grób stał cichy, kilka zniczy płonęło nikłym, migotliwym światłem.

– Nad Tamą też nie ma naszych podpisów. Ale wspomnień mi nie odbiorą, już zawsze będę pamiętał o wszystkim. Tak mówi Darek, on zawsze chciał dla nas najlepiej... Pamiętasz, przedłużone ferie, kanał, Pierwszy Dzień Wiosny? To było niedawno, to było tak cholernie niedawno... A teraz nie jestem nawet godzien nazywać się twoim przyjacielem...

Cmentarne powietrze dziwnie zaczęło piec mnie w oczy.

– Pamiętasz, śmialiśmy się z ludzi, którzy uważają się za kto wie kogo, podczas, gdy są sami mali i żałośni; z dziewczynek oceniających tylko po wyglądzie; z chłopaków z plastikowymi włosami i przesadnym mniemaniem o sobie. Czuliśmy się wyżsi nad nimi, tylko dlatego, że oni czuli wyższość nad nami, oceniali ludzi po wyglądzie, po grubości portfela... Olewaliśmy system, walczyliśmy z nim po swojemu... A ty wiesz, co ostatnio odkryłem? Żaden system tak naprawdę nie istnieje. Nie ma żadnego systemu, to tylko wymyślony twór, jak bóg, twór potrzebny jedynie po to, by zwać na niego wszystko zło, które nas spotyka. Sami jesteśmy panami swego losu... Tylko nie potrafimy cofać czasu...

– Pamiętasz, nie ma indywidualistów. Indywidualista zawsze pozostanie odrębną jednostką, nie połączy się w grupę z innym indywidualistą. Grupy indywidualistów nigdy nie istnieją, zawsze oszukują, tłumią swą indywidualność jakąś kolorową szmatą, by być razem... Ty wiesz wszystko... Wiesz, że nie przyznałem się do twojej śmierci i teraz czuję się jak śmieć. Wiesz, że gazety nazywają cię spektakularnym samobójcą. Wiesz, że wołałbym zamienić się z tobą miejscami, zmienić te wypisane złotem litery w moje nazwisko i położyć się tam zamiast ciebie. Nie, nie chodzi o to, że ci zazdroścę. Ja po prostu nie mam już po co żyć... Ty przynajm-

niej do końca pozostałeś człowiekiem, do końca wierzyłeś w to, co robisz, byłeś sobą. Ja jestem tylko śmieciem, mój płomień powoli wygasa...

Złota kula zachodzącego słońca otarła się bezszelestnie o wierzchołki sosen. Płomień jednego znicza na grobie powoli dopalał się aż zgasł. Drugi tlił się jeszcze resztką sztucznego wosku, kopcając, miotając się, wreszcie migocząc coraz słabiej i słabiej...

– Do zobaczenia, stary... Wkrótce... – odwróciłem się na pięcie i chrzęszcząc podszewkami butów na żużlu cementarnej alejki, odszedłem w stronę odległego domu.

Wracając, wstąpiłem do kościoła. Zza ciężkich dębowych drzwi słychać było przytłumione odgłosy kończącej się właśnie mszy. Organy grały, kilka starszych osób skupiło się przed ołtarzem. Prawie wszystkie ławki stały puste. Nic dziwnego – zwyczajna sobota, okres wielkanocnego pokazowego tłoczenia się i walki o miejsce minął tydzień wcześniej.

Odruchowo wyszedłem na balkon organisty. Krata prowadząca na Dzwony została zamknięta na ogromną brązową kłódkę. Wyjęto też klamkę... Nie wiem, czego właściwie tam szukałem. Niezauważony przez nikogo wymknąłem się jak złodziej z kościoła. Czulem się dziwnie obco w tym śnieżnobiałym, pustym wnętrzu.

VI

Niedziela przyniesie rozrastającą się jak noc obojętność na wszelkie docierające ze świata zewnętrznego sygnały. Będzie roznosił mnie potężny patos. Wyda mi się, że wrzucono mnie w krąg aktorów jakiegoś kiepskiego filmu melodramatycznego, klasy B, mającego wyciskać łzy wrażliwym panienkom. Wszystko będzie działo się na scenie, tuż obok mnie, prawdziwa będzie jedynie świadomość, że Korenia nie ma, już nigdy nie zagra żadnej roli w tej sztuce.

Patos będzie tak duży, że stopniowo wyda mi się komedią. Będę przechodził od nastrojów kompletnie depresyjnych, po wybuchy

niekontrolowanego, chorego śmiechu. O ile rozumiałem swoje położenie w przypadku pierwszej sytuacji, o tyle druga wyda mi się okrutna i bolesna. Nie będę mógł jej jednak przewyciężyć. Znowu poczuje się nic niewartym, nadgniłym śmieciem.

Scena na cmentarzu przypomni mi podobne, plastikowo-kiczowate sceny w telenowelach południowoamerykańskich: *Jasmina wygłasza monologi nad grobem swojego brata zabitego przez Huana don Diego i jego rodzinę, gdy tymczasem Pedro (będący jej drugim bratem, o którego istnieniu ona nic nie wie) zdradza Milagros nad basenem z jej najlepszą przyjaciółką. Adelajda tymczasem przygotowuje zemstę na własnym ojcu, który jest tajnym kochankiem jej narzeczonego – geja, i szuka Jasminy, by doradzić się w sprawie przystojnego i flirtującego z nią od dawna Eduarda, który ma kilka innych pobocznych kochanek, ale nie przeszkadza mu to specjalnie, bo odziedziczył fortunę po zmarłym wuju i stać go na wszystkie. Tymczasem Santiago zmierza na cmentarz, by zapłakać nad grobem swej byłej żony, który to grób znajduje się obok grobu brata Jasminy. Poznają się. Wszystko kończy się zaś starym, sprawdzonym od czasów Szekspira schematem – wszyscy umierają, a miłość zwycięża. Zostaje jakaś jedna pozytywna para, która, nie patrząc na piętrzące się przed nimi przeszkody, ucieka od świata, by zamieszkać gdzieś w głębi puszczy, wydać na świat dwanaścioro dzieci i otrzymać od króla tytuł szlachecki – nie, no tu już chyba przeholowałem. Nad Niemnem to to nie jest. Patos, cholerny, olbrzymi patos. Czy ja oszalałem? Czy nie potrafię nawet poważnie potraktować odwiedzin nad grobem przyjaciela? Czy ta scena naprawdę się nie liczy, czy, podobnie jak zachód słońca, miłość, przyjaźń, radość i nienawiść, znaczy już tylko tyle, co wyświechtana, stara szmata do podłogi? Dlaczego media zniekształcają pojęcia tak proste i jednoznaczne, dlaczego plują nimi przy każdej okazji, dlaczego nazywają nimi rzeczy inne... Znaczenie podstawowych znaków zaciera się, i w końcu już nie wiemy, kim naprawdę jesteśmy. Wreszcie tracimy znaczenie własnego imienia, tracimy dumną nazwę człowiek. Już dziś, miałbym poważne wątpliwości, wypowiedzieć z dumą słowo – człowiek.*

Patos. Być może. Jednak chyba każda scena, w którą wkładamy odrobinę autentycznych emocji, musi mieć coś z patosu. Zachować dystans, wyjąć sobie serce i przyjrzeć się z boku, dwa kroki i metr osiemdziesiąt wysokości. Zatrzymać się w tym oblędzie, nie ruszyć na nowo, bo gdzie, dokąd. W dzisiejszych czasach należałoby odkurzyć znaczenie słowa stoicyzm. Pozwolić pewnym sprawom okrzepnąć, nie dopuszczać do głosu emocji, serca, duszy, sumienia, wszystkiego, co prawdziwe i szczere. Wówczas można by przeżyć, jako zimny, egoistyczny drań – człowiek nowej epoki.

Długi majowy weekend przyniósł chwilowy spokój. Zauważyłem, że odcinając się od świata można w jakimś sensie normalnie żyć. Można wytworzyć sobie własny obraz przeżyć, zamknąć się w nim jak w złotej klatce i nie dopuszczając żadnych myśli, pozostawać pustym i wyjałowionym. Może nawet czas zagoiłby rany, może w tej próżni odnalazłbym kiedyś uspokojenie? Nie wiedziałem tylko, co po powrocie do szkoły powinienem zrobić z Wiktoria...

Wciąż była moją dziewczyną, być może nawet rzeczywiście ją kochałem, czułem jednak, że moje uczucie uległo jakiejś nieodwracalnej przemianie. To nie było już szczeniackie stadium zakochania, nie była to chyba również miłość... Ciągłe w jakimś sensie zależało mi na niej, mówiłem sobie, że to przecież dla niej Koreń...

Gdyby nie ona, wszystko byłoby inaczej. Teraz tylko ona pozostała, była jedyną osobą łączącą mnie z tamtym światem. Zastanawiałem się, czy oddałbym wszystkie chwile spędzone z Wiktoria za jedną z chwil przeżytych z Koreniem. Pomimo oczywistej na pierwszy rzut oka, pozytywnej deklaracji, nie potrafiłem długo odnaleźć właściwej odpowiedzi. Świadomość oddzielała oba rodzaje tych chwil, przypisując im zupełnie odmienne kategorie. Nie poświęciłbym jednych dla drugich, nie zrezygnowałbym też z żadnych, pod żadnym przymusem. Chciałem, by Koreń żył, wiedziałem, że powinienem o nim już zawsze pamiętać, nie chciałem

jednak równocześnie zaprzepaścić tego, co stało się z Wiktoria – moją pierwszą... kobietą.

Teraz nie musiałem już wybierać, ale świadomość tego, zamiast ulgi, przynosiła jedynie niewyobrażalnie dotkliwy ból.

– Więc, sama widzisz... Przepraszam za to, co się stało. Teraz będzie już dobrze, będziemy razem.

– A nie przeszkadza ci palenie?

– Będę szczery: przeszkadza, ale to twój świadomy wybór, twoje płuca...

– Oj, nie truj jak stary! Nigdy nie paliłeś, to nie wiesz, jakie to jest przyjemne!

Wolałem ugryźć się w język niż powiedzieć jej wprost, co myślałem o tej gówniarskiej przyjemności, o niszczeniu siebie w celu podenerwowania wścibskich rodziców i zaszpanowaniu przed koleżankami. Palenie przyjemne! Idiotka.

Stała naprzeciw mnie, na korytarzu i uśmiechała się olśniewająco. Wydawała mi się fałszywa, jakby brzydsza. Złudzenie.

– Więc postanowiłeś, że trzeba zapomnieć?

– Nie. Nie można zapomnieć, ale trzeba żyć dalej. Razem. Bo tylko to nam pozostało. Kochasz mnie?

– Kocham.

– Ja ciebie też. Wierzę ci, ufam, i na tym trzeba się oprzeć. Inaczej wszystko przepadnie. A to dla ciebie – wręczyłem jej truskawkową czekoladę *Alpen Gold* – To za to, że musiałaś znosić mnie przez ten trudny okres. Wiem, że byłem niemożliwy.

Nie mam pojęcia, jak te słowa potrafiły mi przejść przez gardło. Myślałem w tym czasie zupełnie o czymś innym, może dlatego. Takie słodkie brednie, w celu ponownego zbliżenia się do dziewczyny. Nic nieznaczące brednie. Może w nie uwierzy...

Uwierzyła.

– Moja ulubiona! Kochany jesteś – przytuliła się do mnie i pocałowała. Smakowała gorzko, widocznie paliła niedawno w szkolnym kiblu. Powinienem się przyzwyczajać.

– Nie ma sprawy. To tylko czekolada. Będziesz słodsza – zakpiłem, ale ona uznała to za kolejny komplement.

Tak, lepiej żryj czekoladę, zamiast palić to świństwo – pomyślałem.

– Odprowadzisz mnie dzisiaj?

– Tak.

– To do zobaczenia – i pocałowała mnie jeszcze raz.

Tak wyglądała moja rozmowa z nią, po powrocie do szkoły, w czwartek, po pierwszej lekcji. Wszystko zdawało się wracać do normy...

Jakiej normy.

Do szkoły wrócił Szęszyński. Dziwnym trafem, nie udało się go wyrzucić – z podstawówki podobno to bardzo skomplikowana sprawa – a okres zawieszenia w prawach ucznia trwał tylko trzy tygodnie. Oczekiwałem, że będzie chciał się zemścić – ciągle miał zabandażowane palce prawej ręki – będzie mnie szukał, straszyl. W tej chwili nie miało to dla mnie znaczenia. Postanowiłem go ignorować. Jeżeli ten gówniarz pragnie być panem mego życia i śmierci, wykonawcą niebieskich wyroków, proszę bardzo. To nawet zabawne...

Od razu zmówił się z Szyperem. Po kilku przerwach, na których kręcili się niby przypadkiem niebezpiecznie blisko mej osoby, byłem już pewny, że szykują straszliwą, w ich przekonaniu, zemstę.

Tymczasem zaskoczyli mnie całkowicie. Na piątej z kolei przerwie podeszli do mnie z dziwnym uśmiechem wypisanym na obmierzłych gębach.

– Cześć Gumiecki – zagaił Szęszyński.

Milczałem. Postanowiłem nie przyznawać się do znajomości z tym typkiem.

– No co jest? „Cześć” koledze nie powiesz?

– Nie jesteście kolegami – wycodziłem ledwo słyszalnym szeptem.

– Uuuu... – zasmucił się sztucznie – Patrz Alan, Gumiecki nie przyznaje się do nas. To smutne...

– Czego chcesz? – spytałem, podnosząc głowę.

– Pogadać, pojednać się. Chcesz szluga? Możemy iść zapalić do szatni.

– Nie palę – wycedziłem – Poza tym, nigdy już nie zejść z tobą do szatni.

Roześmiali się, jakby na dźwięk dobrego dowcipu.

– Podobasz mi się, Gumiecki – powiedział.

– A wy mi nie. Czego chcecie?

– Jak tam rany? Pogoły się już?

– Jak widać – istotnie, po walce nie pozostało u mnie już ani śladu. Tylko plecy czasami bolały.

– No, ładnie, ładnie. A ja mam jeszcze palce w gipsie. Ale jeszcze jakiś tydzień i okej. Nieźleś mi dojechał, co? Bójka pierwszorzędna. Aż się zdziwiłem. Nie wiedziałem, żeś taki przechuj, Gumiecki!

Milczałem. Bo i co można takiemu odpowiedzieć?

– Ale do rzeczy – ciągnął – Pojednać się chciałem. Bójka to sprawa honorowa, biłeś się honorowo, nie uciekłeś i w porządku. Sprawę uważam za zamkniętą, nie mam do ciebie żalu, choć chcą mnie wyjechać ze szkoły.

– Wiesz, że nie chciałem się bić.

– Ale jesteś facet i musiałeś – powiedział – Z obowiązku żeś się wywiązał, a teraz sztama – wyciągnął do mnie rękę. Szyper zrobił to samo.

Ten prosty gest pojednania nie wzruszył mnie. Pewnie i tak niewiele jest warty. Wszystko przez tych gnojków! Gdyby nie ta cholerna bójka, Wiktoria wybrałaby Korenia, gdyby go wybrała, nie doszłoby do kłótni, gdyby nie doszło do kłótni... Przeznaczenie bawi się nami.

Nie wyciągnąłem ręki. Odwróciłem głowę.

– Co jest, Gumiecki? Pojednać się nie chcesz? Uściśnij rękę, jak ci podają. Będziemy kolegami, nie?

– My nigdy nie będziemy kolegami – wypłułem z siebie po chwili. Wyciągnięte ręce opadły powoli, jakby z zakłopotaniem

– Nie mam takich kolegów i ich nie potrzebuję, w porządku?

– O co ci, kurwa, chodzi? Pogódź się z nami, jak obyczaj każe!

– Nie kpij człowieku. Powiedziałem, że nie mam zamiaru. Jesteście mi obojętni po prostu. Jak zeszlóroczny śnieg.

– Jak sobie chcesz – powiedział Szęszyński, odwracając się i ciągnąc za sobą Szypera – Ale coś czuję, że jeszcze się polubimy – uśmiechnął się ironicznie, mrugając dziwnie lewym okiem. Tik nerwowo czy celowe mrugnięcie?

– Nie sądzę. Żegnam – rzuciłem zimno.

– Polubimy się jeszcze, Gumiecki! – ostatnie zdanie Szypera zabrzmiało jak groźba.

Siedziałem przez chwilę na korytarzu, patrząc za odchodzącą dwójką.

To nie miało najmniejszego sensu. Wszystko traciło swój sens. Cała ta cholerna szkoła nie ma sensu bez Korenia. Już nigdy nic nie będzie tak samo.

Przyszłość wydała mi się w jednej chwili nie istnieć. Nie było jej i poczułem, że nigdy nie będzie. Wszelkie plany na przyszłość, o ile jakiegokolwiek były, spełzły na niczym. Pozostawała tylko pustka, jeden wielki czerwony znak zapytania. Wszystkimi myślami zawładnął dziwny paniczny strach. Strach przed... nie miałem pojęcia przed czym.

Przynajmniej ze strony tych dwóch pajaców nic mi nie zagraża. Czuję, że dali mi spokój.

Po lekcjach bezskutecznie czekałem na Wiktorię. Nie przyszła, choć skończyliśmy w tym samym czasie. Pewnie znowu uciekła wcześniej. Znowu poszła na wagary, choć obiecywała, że wrócimy razem. Kobieta to najbardziej przewrotne ze stworzeń.

Nie odwiedzałem jej w domu. Poprosiła mnie o to. Miała jakieś problemy z rodzicami czy coś w tym stylu. Sądząc po jej matce, którą miałem przyjemność poznać w walentynki, problemem było samo ich istnienie. Nie wnikałem w szczegóły, wystarczała mi po prostu Wiktoria, wyrwana z jakiegokolwiek bądź rzeczywistości i wstawiona jak mebel w mój świat.

Przemęczony, powlokłem się do domu. Na niebie wisały ciężkie, deszczowe chmury.

Wieczorem będzie padał deszcz. Będę płakał wraz z nim. Nie wiem dlaczego. Łzy będą przynosić oczyszczenie i chwilowy powrót świadomości. Ponownie zdam sobie sprawę, że Koreń nie

żyje, że to ja odebrałem mu dziewczynę, a jego zabiłem, że nie przyznałem się do zabójstwa, że jestem bezpieczny, że płacę za to jedynie wyrzutami sumienia, że wyrzuty sumienia przejdą, podobno można je zagłuszyć.

Będę leżał na tej cholernej wersalce, wpatrzony w ten cholerny, wciąż ciemniejszy z nastawianiem zmroku, sufit. Będę obracał w palcach nadpalony kawałek badyła, znaleziony dzień wcześniej między starymi długopisami – pamiątkę po październikowym ognisku na balkonie budynku Tamy. Pamiątkę po Koreniu. Jedną z nielicznych.

Będę myślał o bogu. Dlaczego bawi się nami, dając i odbierając dobre i złe chwile. Dlaczego kieruje przeznaczeniem jak pijak ciężarówką. Dlaczego nie zauważa, że spod plandeki wypadają ludzie, tylko jedzie wciąż dalej, tym swoim slalomem, wzdłuż urwiska, podskakując na koleinach i kamieniach. I ponoć on szuka zagubionej owcy... On, który nie...

Rozmyślenia przerwie donośny sygnał telefonu. Nie poruszę się na wersalce, zostawiając konieczność odebrania rodzicom.

Rodzice będą jednak na zakupach w supermarkecie. Będą wydawać otrzymane z zakładu pracy na Wielkanoc bony. Zdam sobie z tego sprawę, słuchając od dobrej minuty brzęczącego, denerwującego jak świder dentystyczny dzwonka. Będzie dzwonił i dzwonił. W końcu mu się znudzi – pomyślę. Dzwonek przeciągnie się przez kolejną minutę.

Wreszcie podniosę się z wersalki z zamiarem spławienia natręta, ktokolwiek by to był. Nie miałem ochoty na żadne rozmowy z kimkolwiek wiszącym na drugim końcu drutu. Podniosę słuchawkę.

– Słucham? – zapytam.

– Jest Józek? – usłyszę wyraźny, udający przepicie, kilkuna-stoletni głos. Jego głos!

Boże! Wstrząsu nie da rady z niczym porównać. Serce podskoczy mi do gardła, biała słuchawka aparatu wypadnie z ręki. Na plastelinowych nogach osunę się na dywan, chwycę ją ponownie i przyłożę do ucha.

– Koreń?! – wrzasnę.

Odpowie mi cisza. Cisza, cisza i nic.

– Koreń?!

Cisza.

– Koreń!?

Nie wiem, w jaki sposób uda mi się ponownie odłożyć słuchawkę na widełki. Tuż na progu pokoju czuję się dziwnie słaby.

Obudzę się na własnej wersalce, we własnym pokoju, późnym wieczorem. Telefon wyda mi się tylko snem, koszmarnym majakiem, nigdy niemającym miejsca.

Matka będzie właśnie rozmawiać z ojcem o mym Bierzmowaniu, będą zastanawiać się nad rodzajem tortu i kogo zaprosić na „małą, skromną uroczystość”. Uroczystość, której nigdy nie będzie. Ciągle nie powiedziałem w domu, że nie zostałem dopuszczony. Ciągle odkładałem tę chwilę w bliżej nieokreśloną przyszłość. W przyszłość, której również nie będzie. Przecież teraz to nie miało żadnego znaczenia...

W szkole na religii mówiło się też tylko o Bierzmowaniu. Temat Korenia, wciąż bardzo głośny, cichł stopniowo i powszedniał powoli. Ludzie zaczęli godzić się z losem, kolejny szmatławiec wypłuł z siebie kolejny artykuł: *Wypadek czy samobójstwo?* Te same, podłe i prostackie zarzuty: brak odpowiedzialności, policja prowadzi śledztwo, nie stwierdzono udziału osób trzecich, kościelny w więzieniu...

Ósma klasa będzie żyła Bierzmowaniem, gdzieś tam ktoś znacznie straszyć egzaminami do szkoły średniej. Chyba tylko ja będę mieć wszystko w dupie. Cała rzeczywistość przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie. Będzie wiosna, chyba po raz pierwszy będę przeklinał tę porę roku, gdy wszystko, poza mną, potrafiło się na nowo narodzić.

Nienawiść do ludzi stopniowo rosła. Ściany kokonu, który w ostatnich dniach starannie owijałem wokół siebie, stopniowo stawały się coraz grubsze, nie dopuszczając promieni dni codziennych. Czekałem na jakąkolwiek piękną chwilę, które podobno czasem zdarzają się w życiu, na jakiś przełom czy choćby małą

iskierkę. Czekałem bezskutecznie. I tak już nigdy nie będę umiał cieszyć się chwilą.

Już zupełnie nie potrafiłem z nikim rozmawiać, nie miałem zamiaru udawać obojętności. Wszystkich znajomych zabijałem milczeniem, milczeniem również odpowiadałem na prośby i zarzuty rodziców. Uciekałem w samotność, jedyną drogę dążącą w głąb, do poznania siebie, gdy jednak już niemal potrafiłem zajrzeć w swoje wnętrze, cofałem się przerażony w ostatniej chwili. Było puste.

VII

Piątek zastał mnie jak zwykle wyciągniętego na wersalce i wpatrującego się w sufit. Kolejna noc z oczekiwaniem na sen. Nabiegłe krwią oczy, posklejane ropą powieki. Z trudem, wykończony jak po wielokilometrowym maratonie, podniosłem się z łóżka.

Tkwiłem w dziwnej, niezrozumiałej rzeczywistości. Przez chwilę musiałem przypomnieć sobie, gdzie jestem, kim jestem i co tu właściwie robię. Fragmenty poprzednich dni, strzępy zdarzeń i zakodowanych informacji powoli oplatały świadomość w dziwnie ponurym, melodramatycznym tańcu. To, że jest piąty maja, ja mam na imię Piotrek, mam piętnaście lat i żyję na jakimś zadupiu na Podkarpaciu, wydało mi się nieprawdziwe, jakbym przypadkiem dostał się na próbę obcego mi zupełnie spektaklu, bez tekstu, bez znajomości fabuły. Rola zabójcy wcale mi nie odpowiadała.

Przerażający wrzask rozdartego sumienia. Jest tak głośny, że zagłusza wszelkie inne dźwięki dookoła, ruch samochodów, ludzkie rozmowy. Już nie słyszę żadnych uwag, poleceń, tylko ono. Dlaczego jest coraz głośniejsze? Gdy wydaje się czasami, że rzeczywistość powoli zmierza w dobrą stronę, gdy nie słyhać go przez kilka dni, wszystko jest dobrze, ale później, znienacka znów odżywa, znów atakuje i kąsa jak wściekły pies, mocno, do krwi.

Sumienie. Nigdy nie wierzyłem, że istnieje.

Ale myliłem się. Ono jest, trwa w każdym z nas, podsuwa przed oczy wizję zakrwawionych schodów, krzyczy tuż nad uchem ostatnie słowa, ostatni okrzyk, krzyczy jego głosem, powtarza moje wul-

garne z nim pożegnanie, napomina, każe pamiętać... Zagłuszanie sumienia? To tylko wymysł współczesnej popkultury, plastikowej sieczki, ludzi w plastikowych ubraniach, z plastikowymi torbami i zlasowanym plastikiem mózgiem. A wszystko w arcymodnym kolorze różowym.

Strach. Czym jest strach. Nie wiem, wiem, że jest wszędzie, otacza mnie dokoła czarnymi mackami, czuję go w każdym kroku, jakby naciskająca beton powierzchnia buta parzyła, wbijała się boleśnie w kości stóp...

Bałem się już nawet szkoły. Nienawidziłem tego miejsca, właśnie tu, w tych kątach, tu, na tych ścianach czuć było całą perfidię mej zbrodni. Setki oczu wpatrzone we mnie, nawet w przelocie, nawet niewidzące oczy, wszystkie wpatrzone we mnie... Przecież to tu niemal codziennie spotykałem Korenia, to tu, w szatni można było znaleźć nasze podpisy, po tej samej podłodze chodził, obracał się wśród tych samych osób. Teraz oni odwrócili się, patrzą z bezpiecznego dystansu, a dookoła pozostały zwykle szare mury. Jak susza wyjałowionej słońcem pustyni. Czasami słońce potrafi też zabijać. Dlaczego muszę przebywać pośród tych ścian, na których każdy fragment tynku przypomina mi jedynie o nim... Czy to się kiedyś skończy?

– Cześć – powiedziała, podchodząc do mnie przed lekcjami.

– Cześć – odparłem – Nie było cię wczoraj. Czekałem na ciebie.

Zmieszała się trochę.

– Musiałam zwolnić się wcześniej do domu – odparła niby naturalnie.

Czułem, że kłamie, ale ufałem jej. Nie miałem powodu, by o cokolwiek ją podejrzewać. Miała prawo zwolnić się wcześniej.

– Jak tam po długim majowym weekendzie? – spytałem.

– W porządku. Trochę brakuje mi ciebie. Szkoda, że widzujemy się jedynie w szkole...

– To się zmieni. Już wkrótce... – odparłem mechanicznie.

– Słuchaj, może poszlibyśmy dzisiaj do kina? Taki rewanż za walentynki, co? Grają fajny film, podobno super przebój. *Matrix*, może słyszałeś? – spytała.

– Nie. O czym to?

– Jakieś skomplikowane trochę... Że niby żyjemy w rzeczywistości wykreowanej komputerowo, a światem rządzą maszyny czy jakoś tak. Że rzeczywistość nie istnieje, jesteśmy tylko programem komputerowym...

– Jak w grze?

– Jak w grze – potwierdziła – Fajne, nie?

– Nie wiem. Nie gram w gry komputerowe.

– Nigdy nie grałeś w gry?

– Nie mam kompa. Wolę rzeczywistość prawdziwą, nie wirtualną. Choć ostatnio... sam nie wiem... – odpowiadałem bezwiednie.

– Ale ten film to podobno wielki przebój! W kinach jest już od dawna, tylko do tego miasta wszystko bardzo „szybko” dociera – zakpiła.

– Dobra, pójdziemy do tego kina. O osiemnastej?

– Tak.

– To, przyjdę do ciebie o wpół do. Może być?

– Wiesz... lepiej nie. Spotkajmy się pod garażami, naprzeciwko mojego bloku. Wiesz, matka i w ogóle...

– Dobra, rozumiem. Przyjdę.

– Dziękuję – odparła, całując mnie w usta. Tym razem czułem, że jeszcze nie paliła.

Przez ułamek sekundy pomyślałem, że mam dziewczynę, jest piękna, może jeszcze wszystko będzie dobrze. Nastroje zmieniały się u mnie jak obrazki w fotoplastykonie.

Sam fakt, że umówiłem się z nią do kina, jakby nigdy nic, wydał mi się kompletnie irracjonalny. Już prawie zapomniałem tego określenia... A jednak. Idę z nią! Nie wiem, jak to się stało, na wszystkie jej pytania odpowiadałem jak przez grubą, oddzielającą nas ścianę. To, co mówiła, rozpływało się w białej gęstej mgłę, wydawało się kompletnym złudzeniem. A jednak umówiliśmy się do kina... I sama to zaproponowała!

Ciekawe, co to za film. *Matrix*?

Nienaturalną ciszę lekcji matematyki i sztywny wykład pani Kolek przerwało gwałtowne pukanie do drzwi. W ciemnoszarej wnęce korytarza ukazała się postać Stasi.

– Ucznia Gumieckiego poproszę do siebie na rozmowę – powiedziała do matematyczki swym piskliwym głosem.

Ocknąłem się z zadumy. Przyszła po mnie! Czego może chcieć? Poczulem, jak pod blatem ławki dziwnie drżą mi nogi. Natychmiast opanował mnie lodowaty i znany skądś paraliż. Przemogłem go jednak, odsunąłem krzesło, wstałem i wraz z dyrektorką opuściłem klasę.

– O co chodzi? – spytałem, przejęty trwogą, gdy tylko za nami zamknęły się drzwi klasy.

– Policja do ciebie. Są w moim gabinecie – odparła oschle.

Ruszyliśmy w kierunku czerwonego, głównego korytarza. Spuściłem głowę i teraz mogłem obserwować prostopadłe łączenia pomiędzy płytkami PCV, którymi wyłożona była posadzka. Po kilku krokach dyrektorka, jakby o czymś myśląc, zatrzymała się.

– Słuchaj, Piotrze: podobno pojawiły się jakieś nowe okoliczności ze śmiercią twojego kolegi, Korzeniowskiego. Policja szuka ciebie. Chcę, żebyś mi teraz powiedział, co wiesz na ten temat. Miałeś z tym wypadkiem coś wspólnego?

Pytanie, choć podświadomie oczekiwane, zbiło mnie z tropu i kazało milczeć. Równocześnie sparaliżował mnie potężny atak strachu. Nie wiedziałem, co powinienem, co muszę odpowiedzieć. Nie powiedziałem ani słowa.

– Bo jeśli miałeś z tym coś wspólnego, wolałabym dowiedzieć się teraz tego od ciebie. Chyba... – urwała, zwiesiwszy nisko głos, jakby bojąc się wymówić do końca oskarżenie – Teraz możesz się przyznać, już i tak wszystko jest policji wiadome.

– Ale, co jest wiadome? – postanowiłem jeszcze trochę poudawać. Właściwie nie wiem, po co. Nie panowałem już nad tym, co mówię – Przecież go nie zabiłem! Wchodziliśmy tam razem po prostu, wiele razy. Wiem, że to przestępstwo, ale...

– Byłeś z nim tam, tego dnia? – przerwała.

– Tak – powiedziałem po chwili.

– I co?

– I nic. Zszedłem wcześniej. Przemek poprosił mnie o to...

– Kręcisz.

– Nie.

– Policja inaczej będzie z tobą rozmawiać. Idziemy – powiedziała, jakby z góry znając przebieg całego zdarzenia. Po co więc te pytania? Dlaczego mnie męczy? W jednej chwili wszystko wydało mi się obojętne. Niech mnie już zamkną, zabiłem... Życie i tak straciło sens bez Korenia, nic nie jest w stanie zagłuszyć wyrzutów sumienia, a wspomnienia rozpadają się na moich oczach.

Stasia energicznym krokiem poprowadziła mnie wzdłuż czerwonego korytarza, prosto do swojego gabinetu.

Czerwony dywan nie oznaczał dziś sławy, nie podkreślał niczyjego blasku. Miał kolor krwi. Czulem w powietrzu, czulem wyraźnie ten mdlący słodkawy zapach. Momentalnie zrobiło mi się niedobrze, żołądek zaczął niebezpiecznie wędrować do góry.

Zacząłem głęboko oddychać. Kilka potężnych łyków powietrza przyniosło lekką ulgę. Ciągle jednak paraliżował mnie strach. Z jednej strony wiedziałem, że wszystko za chwilę wyjdzie na jaw, było mi to świadomie obojętne. Podświadomie jednak bałem się tego, bałem się konsekwencji, bałem się rodziców, więzienia... Może odezwał się instynkt samozachowawczy. Może byłem po prostu parszywym tchórzem bez krzty odwagi cywilnej, tchórzem starającym się zagłuszyć sumienie i wymazać z niego morderstwo.

Świadomość własnego strachu była najbardziej potworną ze wszystkich myśli. Próbowiałem usłyszeć głos sumienia, ale poprzez lawinę pomieszanych sprzecznością dźwięków nic nie mogło się w tej chwili precyzyjnie przecisnąć. Zapach świeżo zaparzonej kawy próbujący przebić się przez mdlący, skupiający się aż na czubku języka, smak krwi, poważna mina sekretarki, złote i srebrne puchary ustawione w gabinecie rzędem na półkach i dwóch policjantów, siedzących na krzesłach za biurkiem...

– Oto on – powiedziała Stasia tonem Piłata umywającego ręce.

– W porządku – starszy policjant zwrócił się do mnie – Starszy inspektor Wiktor Jawert, proszę, siadaj.

Posłusznie usiadłem na wskazanym mi krześle.

– Mamy do ciebie kilka pytań w związku ze śmiercią twojego kolegi. Wyniknęły pewne nowe okoliczności. Prosimy byś mówił prawdę, bo kłamiąc tylko pogorszysz sprawę. Dobrze?

Skinąłem głową w oczekiwaniu.

– Więc... – zaczął inspektor.

Przez chwilę pomyślałem, że skądś znam to dziwne nazwisko. Pomyślałem również, że nie zaczyna się zdania od „więc”. Boże, co za bzdura...

– Otóż, powiedziałeś nam na ostatnim przesłuchaniu, że wchodziliście razem wielokrotnie na wieże kościoła na Borku, tak? – spytał.

– Tak – przyznałem.

– Na obie wieże, tak?

– Tak.

– I przesiadywaliście sobie na dachu... Ale tego dnia, gdy zginął twój kolega, powiedziałeś, że był tam sam. Nie wchodziłeś razem z nim, prawda?

Milczałem.

– Prawda? – powoził pytanie.

– Tak – odparłem po chwili. Najchętniej zapadłbym się pod ziemię. Przeczuwałem, co teraz nastąpi. Nie myliłem się.

– Czemu kłamiesz?

Milczałem.

– Mamy dowody i świadka, że tego dnia weszliście razem na tę wieżę. Poza tym, to ty znalazłeś ciało, zawiadomiłeś plebanię... Pomiędzy was było sporo rzeczy. Składasz sprzeczne zeznania! Twój kolega, Duszny, powiedział nam, że poszliście tam razem i ma rację. Co na to powiesz?

– Kłamałem – powiedziałem po chwili.

– No, to ładnie. Już robisz postępy. A teraz chcemy usłyszeć prawdziwą historię.

Stasia zdrętwiała, stojąc tuż obok, pobladła. Przeczuwała, że za chwilę może usłyszeć coś przerażającego. Próbowalem zebrać myśli, wybrnąć jakoś z sytuacji. Toczyłem walkę wewnętrzną, w której jeden głos mówił, by przyznać się do wszystkiego, wyrzucić z siebie cały ten syf, to rozsadzające mnie ciśnienie i strach,

drugi zaś nakazywał obronę. Czulem, że to co teraz powiem będzie wypowiedziane podświadomie, w chwili, gdy któryś z tych głosów lekko przeważy. Mogło wydarzyć się wszystko. Jak automat zacząłem wyrzucać z siebie słowa:

– Tego dnia weszliśmy tam razem. Przemek był jakiś smutny, małowówny. Próbowałem pytać go, o co chodzi, co się stało, zbyt mnie półsłówkami. Gdy nalegałem wyznał, że to przez dziewczynę, ale nie chciał nic więcej powiedzieć. Posłuchaliśmy jak zwykle bicia dzwonu z bliska, potem siedzieliśmy na dachu. Zrobiło się jednak dość późno i chciałem już schodzić. Przemek powiedział, że poczeka tu jeszcze, skończy rysunek, bo dobrze mu się pracuje na wysokości...

– I co? – przerwał – Zszedłeś? Zostawiłeś przyjaciela samego na wieży? Nie chce mi się wierzyć w tę historię. Ta Wiktoria jest twoją dziewczyną, tak?

– Tak.

– A czy przypadkiem tam na górze nie pokłóciliście się o nią i czy przypadkiem nie zepchnąłeś Korzeniowskiego z wieży?

– Nie! – zaprotestowałem machinalnie – Nikogo nie zepchnąłem! To, że Wiktoria jest moją dziewczyną, nie ma tu nic do rzeczy.

– A może ma, co? Klótnia przyjaciół o dziewczynę na szczycie kościoła. To jest logiczne. Bardziej niż to, że zszedłeś, a on zaraz potem sobie wyskoczył!

– Nie wiem czy wyskoczył. Nie mam pojęcia. Tam nie ma żadnych zabezpieczeń, było ślisko, po deszczu, pełno gołębiego gówna. Mógł się poślizgnąć...

– I to zaraz po tym, jak zszedłeś z wieży, tak?

– Zszedłem z wieży, już nieraz tak robiliśmy, że ktoś siedział tam sam. Często wchodziliśmy tam sami, nie tylko razem. Zszedłem, wyszedłem na balkon organisty, ale musiałem poczekać z przechodzeniem przez mur, bo w kościele były jakieś babcie. Gdy w końcu wyszły, zszedłem z balkonu organisty i wyszedłem z kościoła. Przemek leżał na schodach, cały we krwi, a nad nim pochylały się te staruszki.

– Śmierdzi mi ta historia, panie Gumiecki – stwierdził Jawert
– Nasi eksperci byli na tym dachu kilkukrotnie. Stwierdzili, że Przemek rzeczywiście poślizgnął się, ale tyłem, wypadł też tyłem, na co wskazuje ułożenie zwłok. Nikt nie ślizga się tyłem, chyba że... popchnięty – popatrzył na mnie, pewien swej teorii.

Spuściłem wzrok.

– Samobójcy też nie skaczą w ten sposób – ciągnął – Poza tym, na posadzce mamy ślady twoich ciężkich butów i zeznanie Dusznego, a teraz i twoje, że byłeś tam z denatem. I w co ja mam uwierzyć, panie Gumiecki?

Milczałem.

– W szkolnej karcie masz wpisaną grupę krwi zero RH minus. Czy to przypadkiem nie twoja, krew była pod drabiną w kościele, w dzień wypadku? Rączkę sobie rozciąłeś, uciekając, tak?

Milczałem. Zupełnie zapomniałem o tej ręce.

– Właściwie mamy dość poszlak, by cię zatrzymać. Ale to, niestety, ciągle poszlaki. Skoro przyznałeś się, że tam wówczas byłeś, to przynajmniej ta sprawa jest jasna. Reszta to tylko kwestia czasu. Dlaczego na początku kłamałeś, że Przemek wszedł tam sam?

– Byłem w szoku. To był mój najlepszy przyjaciel... – odparłem po dłuższej, ciężkiej jak sumienie, chwili.

– No tak. W szoku! – zadrwił – Standardowa wymówka wszystkich kryminalistów. No i co ja mam z tobą teraz zrobić?

– Bierzemy chłopaka i tyle. Tłumaczyć będziemy się później – powiedział drugi dotychczas milczący policjant.

– Hmm... Spokojnie, Józek. To szkoła, chłopak nam nie ucieknie. Wracaj na lekcje – rzekł do mnie spokojnym, lecz stanowczym tonem.

– Co? – spytałem, nie wierząc w to, co słyszę.

– Słyszałeś. Uciekaj na lekcję. Odezwiemy się do ciebie. I lepiej nie wagaruj przez jakiś czas.

Nie wiedząc, co się dzieje, powoli wstałem z krzesła i na drewnianych nogach wyszedłem z gabinetu.

Dostyszałem jedynie ostatnie zdanie:

– Psychologia, Józek. Chłopak wie, że wiemy, ma wyrzuty sumienia. Będzie się dręczył, aż się przyzna. Zobaczysz, sam do nas przyjdzie. Może nawet jeszcze dziś.

Zamknąłem za sobą obite skórą drzwi. Przez rząd okien czerwonego jak krew korytarza wpadało do szkoły jasne, majowe słońce.

VIII

Powrót na lekcje nie miał najmniejszego sensu. Do dzwonka pozostawało jakieś dwadzieścia minut, czułem jednak, że nie byłbym w stanie usiedzieć w ławce. To, co działo się wokół, nie interesowało mnie, nie docierało, znajdowało się po drugiej stronie pancерnej ściany.

Korytarz zdawał się tonąć w toksycznych oparach, które wwierały się głęboko w głąb umysłu, otumaniały. Taniec rozświetlonych słońcem okien, czerwień posadzki, równoległe szkła jarzeniówek. Wszystko zdawało się wirować, powoli kręcić dookoła, otaczając mnie nieprzeniknionym kokonem bezsilności i strachu. Strach przybierał coraz bardziej zbliżone kształty do paniki, poziom adrenaliny rósł, nakazywał ucieczkę stąd, ze szkoły, ze świata...

Równocześnie opanowywało mnie obrzydzenie do własnej osoby. Paniczny lęk nie obejmował już tylko konsekwencji zabójstwa. Byłem gotowy ponieść zasłużoną karę. Bałem się samego siebie, braku odwagi, by prosto i bez zająknięcia stanąć i wyrzucić z siebie słowa przyznania się do winy. Nie panowałem nad wypowiedzianymi słowami, strach zawładnął całym moim umysłem, to strach podpowiadał mi, kazał zapierać się prawdy, walczyć do końca. Strach nie pozwalał mi również teraz zawrócić, wejść do gabinetu Stasi i przed siedzącymi tam wciąż policjantami wyłożyć kawę na ławę. Jestem ostatnim śmieciem! Boże, jeśli tylko to mogłoby mi ulżyć, gdybym tylko miał pewność...

Powoli, ślaniając się, szedłem ślalomem wzdłuż korytarza. Nie wiedziałem, dokąd pójść, czułem tylko, że nie mogę tu pozostać ani chwili dłużej. Nie obchodziło mnie, co stanie się z plecakiem

i z książkami. Ktoś na pewno je zabierze. Mi nie będą już nigdy potrzebne.

Stopniowo wydostawałem się z kleszczy czerwieni posadzki i bieli ścian. Skręciłem w lewo, taniec rozświetlonych okien dookoła zwolnił i powoli zatrzymał się. Poczułem ogromne pragnienie, język wyschły na wiór przykleił się do podniebienia. Szarpnąłem drzwi do znajdującej się na rogu korytarza męskiej ubikacji.

Przez chwilę chciałem od razu rzucić się do zlewu i, jak to zwykle, wodą z kranu zaspokoić pragnienie. Tuż po przekroczeniu progu zatrzymałem się jednak zdziwiony.

Zza ścianki działowej oddzielającej kran od ubikacji i pisuarów dobiegł mnie dźwięk rozmowy kilku osób:

– Bo ty się nawet pieprzyć nie potrafisz! – mówiła dziewczyna
– Ledwo wsadzasz, od razu ci strzela! Ja tak nie chcę, boję się ciąży...

– Zrozum, kurwa, to twoja wina! To ty tak na mnie działasz! Podniecasz mnie, to jest, kurwa, silniejsze ode mnie...

– Jakoś Alan potrafi przynajmniej kilka ruchów... Wolę starszych facetów. Żebyś chociaż kondoma...

– Z gumą, kurwa? Nie, mała, spierdalaj. Ściągaj te majtki, długo mam czekać?

– Żebyś znów się zbłąźnił? Proszę bardzo. Szybki Lopez.

– Zamknij się, kurwa. Nie za to ci, kurwa, płacę, żebyś się mnie czepiała. Possij go najpierw trochę.

– Tylko nie spuść mi się jak zwykle do gardła.

– Spokojna głowa, ooostrzeeeeęę cieee... aaa... – zza ściany dobiegło ciche sapanie.

Głosy wydawały mi się dziwnie znajome. Nie, to nie mogła być prawda, to musi być jakiś totalny koszmar!

– A teraz się wypnij... Taaaa...

W ubikacji dał się słyszeć krótki dziewczęcy jęk.

– Nieee!... Neee znowu...

Szarpnąłem klamkę i wpadłem do drugiej części pomieszczenia. Przez chwilę wydawało mi się, że śnię, że to najgorsze, co tylko w tej chwili mogło mi się przydarzyć.

Tuż obok pisuaru, oparta o ścianę, stała Wiktoria. Spodenki i majtki miała opuszczone do kolan, podkoszulek podciągnięty do góry. Rozpięty stanik do połowy odsłaniał młode, różowe piersi. Tuż za nią, z opuszczonymi spodniami stał Szęszyński. Właśnie wyciągnął na w pół sflaczałego penisa z wnętrza wypiętej dziewczyny. Para w jednej chwili odwróciła na mnie głowy:

– Czego tu chciałeś, Gumiecki? Nie strasz ludzi! Widowni tu nie potrzebujemy!

– Piotrek?... – Wiktoria popatrzyła na mnie dziwnym wzrokiem, podciągając machinalnie majtki – Jezu... Prze... przepraszam...

Poczułem, że krew powoli odpływa mi z głowy do nóg. Zrobiło mi się słabo, musiałem oprzeć się o ścianę.

– Spierdalaj stąd, Gumiecki! Rozpraszasz mnie! Czekaj na swoją kolejkę! No już! – wrzasnął Szęszyński, jedną ręką podciągając spodnie, drugą pokazując mi drzwi.

– Piotrek, ja naprawdę nie chciałam... Przepraszam... – spoza przysłoniętych mgłą źrenic Wiktorii przebijał żal, skrucha... Może tak mi się tylko wydawało... Przecież mieliśmy iść dzisiaj do kina... – przypomniałem sobie poranną z nią rozmowę, tak w jednej chwili odległą. Kino... Nie, to złudzenie tylko. Okrutny żart losu, wyglup bezlitosnego tworu nazywanego kiedyś bogiem... W oczach miałem łzy. Wiktoria... Moja Wiktoria... Moja bogini, moje zwycięstwo, victoria, ogień wewnętrzny, aureola, blask... Moja Wiktoria... Moja...

– Ty... ty zwykłą kurwą jesteś! – wyjąkałem po chwili.

Popatrzyła na mnie z wyrzutem. Nie powiedziała nic. Spuściła tylko głowę i zaczęła naciągać spodnie.

– He, he, nie taką zwykłą, Gumiecki – wydyszał Szęszyński – Mała, a za paczkę fajek rżnie się jak profesjonalistka! A jak obciąga... Ale już! Spierdalaj stąd!

Ręce opadły mi w bezsilnej wściekłości. Początkowo zapragnąłem zabić tych ludzi, skrócić im wszystkim kark, splukać w ich krwi swoje ręce. Chciałem rozszarpać ją i jego na drobne kawałeczki, podeptać, zabić! Byłem jednak przegrany... Bezsilność brała w posiadanie całe moje ciało. Poczułem wstręt, olbrzymi, bezgraniczny wstręt do tej dwójki, zwłaszcza do tej różnej się za

paczkę papierosów kurwy, którą kiedyś, w innym życiu, podobno... kochałem.

– Nie chcę was znać! – ryknąłem, po czym rzuciłem się do drzwi. Wypadłem na korytarz, poganiany głośnym śmiechem Szęczyńskiego.

– Mówiłem, że się jeszcze polubimy! – wrzeszczał.

– Piotrek, stój! – Wiktoria wybiegła za mną z toalety – Piotrek!

Nie potrafiłem uciekać. Nie mogłem, choć bardzo pragnąłem. Nogi stały się ciężkim kawałkiem drewna. Zatrzymałem się na rogu, przy schodach, twarzą do ściany. Na ścianie, nieco z boku, napis, biały korektor: *Durex & Koreń*. Jezu! Uciekam wzrokiem na jej twarz, na policzki z rozmazanym tuszem do rzęs. Nie miałem już siły, w jednej chwili zobojeźniałem na wszystko. Nie obchodziło mnie, co teraz mi powie, nic już nie miało znaczenia, poczułem się nawet dziwnie... lekko. Jakby nagle wszystko wyjaśniło się, stało się proste. Proste w najbardziej brutalny, złośliwy sposób, ale jednak...

W jednej chwili podjąłem ostateczną decyzję.

– Piotrek, to nie tak... Przepraszam cię... – skamlała.

Milczałem.

– Piotrek...

– Zapnij sobie stanik, jesteś na korytarzu – odparłem, odwracając się w jej stronę.

– Piotrek... – nie wiedziała, co powiedzieć, jednak włożyła rękę pod podkoszulek i odnalazła zapięcie biustonosza.

– Powiedz mi tylko jedną rzecz – wycodziłem z trudem, ścieśnionym gardłem, po dłuższej chwili – Dlaczego?

Zbierało mi się na płacz. Milczała.

– Płacili ci? Ile? Dlaczego akurat oni? Dlaczego oni?!

– Piotrek, zrozum, matkę mam na rencie, ojciec wszystko przepija, nikt nie daje mi kasy, często nie mam nawet co jeść, musiałam jakoś... – urwała – A to tylko... seks...

– Tylko seks, tak? Pieprzysz się z nimi z głodu? – zamarłem – A stołówka szkolna, jakieś, kurwa, stypendium?

– Na stypendium się nie załapałam, potrzebuję na fajki i wiele rzeczy... Jestem dziewczyną... Oni mi to dają... Piotrek, sorry...

– Sorry?! Na fajki... Te papierosy to od nich?

Skinęła głową. Jak śnieg opadło na nas milczenie.

– Przepraszam, że jestem biedny – zacząłem po dłuższej chwili

– Przepraszam, że nie pożyczyłem ci tej dychy, gdy o to kiedyś prosiłaś... Tylko dlaczego z nimi!? Dlaczego Szęczyński?! Przecież ja się z nim biłem! Biłem się o ciebie, o twój honor, dziewczyno! Wszystko robiłem dla ciebie, niebieskie włosy, napisy, bójka, zabiłem Korenia dla ciebie... To ja zabiłem Korenia, słyszysz?! Zabiłem...

– Co? – przerwała wstrząśnięta – O czym ty mówisz?

– To ja zepchnąłem go z tej wieży. Pokłóciliśmy się o ciebie tam...

Otworzyła usta. Milczała.

– Wiktoria... żegnaj. Nie zobaczymy się już...

– Piotrek...

Odwróciłem się i zostawiłem ją na tym korytarzu, pod ścianą.

– Piotrek... – stała tak, wymawiając moje imię.

IX

Moment przebudzenia bywa okrutną chwilą. Podobno konie, pracujące kiedyś w kopalniach, ślepy z czasem od braku słońca. Wystarczyło takiego konia na chwilę wywieść na powietrze, by światło słoneczne mogło na zawsze uszkodzić siatkówkę oka. Koń przeznaczony do pracy w kopalni z góry był skazany na ślepotę i śmierć.

Zastanawiałem się, co może być lepsze. Być ślepym i trwać w tej niewiedzy, nie potrafiąc dostrzegać wszelkich barw, lecz zarazem okrucieństwa i podłości świata, czy żyć w pełni świadomym tego, co zsyła nam los. Nigdy nie znajdziemy właściwej drogi, nigdy nie dokonamy właściwego wyboru.

Śmierć bywa rozwiązaniem...

Życie jest znacznie trudniej, potrzeba do tego dużo odwagi, siły, samozaparcia.

Ja tej siły nie miałem. Patrzcie! Byłem zwykłym piętnastoletnim chłopakiem, mającym jeszcze niedawno spokojne życie, szkołę, wagi, plany na przyszłość, własne pomysły, przyjaciół, dziewczynę, w której byłem zakochany... A dziś?

Szedłem przez miasto, potykając się o płyty chodnikowe. Nie myślałem, nie czułem. Po prostu szedłem. Chciałem się już tylko pożegnać. Postanowiłem umrzeć.

Wszystko, co z tak fałszywą precyzją zdawałem się wznosić ostatnimi latami, upadło właśnie na moich oczach. Zabiłem najlepszego przyjaciela przez dziewczynę, która okazuje się zwykłą dziwką, Koreń nie żyje, wspomnienia rozplývają się w szumie przybrzeżnych trzcín. W poniedziałek Bierzmowanie, do którego nie jestem dopuszczony. Policja wie o wszystkim, Wiktoria rżnie się z Szęczyńskim, rżnie się z każdym za paczkę fajek... Wiktoria, która zaprasza mnie do kina, która rumieni się, która posiada blask nigdy nieznany wcześniej, która... Niech ją jasny szlag trafi!

Chciałem spojrzeć na Tamę po raz ostatni. Ujrzeć wodę przelewającą się przez garb, tęczę błyszczącą mnogością barw w promieniach majowego słońca. Chciałem tylko powiedzieć – żegnajcie.

Nie mogłem już nawet mówić o bólu, ból minął, przemieniając się w pustkę, obojętność na wszystko, okropną próżnię, której już nic ani nikt nigdy nie będzie w stanie wypełnić. Wszystko pozabawione zostało najmniejszego sensu, nawet cienia jakiegokolwiek znaczenia. Nic nie miało wartości, nic już nigdy nie będzie miało, nigdy nie będę wystarczająco silny, aby żyć. Jestem tylko pełzającym kawałkiem gówna. Wiktoria jest takim samym kawałkiem gówna, śmierdzi uwędzonym w dymie papierosów, zużytym i nadgniętym mięsem. Krew splukiwana ze schodów wodą z wiadra, kolor różowy, podobnie jak mózg wypływający z jego otwartej czaszki. Trochę fałdów, trochę ukrytych myśli, marzeń i planów na przyszłość, przysypanych starannie żółtym piaskiem i przykrytych kilkoma kwiatkami. Mózg różowy jak brodawki jej piersi ściskane między palcami tego gnoja. Jej piersi, tak miękkie i ciepłe... Takie

wstrętne gnijące, obmierzłe! Nienawidzę jej, nienawidzę was, nienawidzę siebie! Siebie najbardziej. Strach. Czym jesteś...

Nic, tylko pustka, próżnia bez dźwięku, w różnych odcieniach zakrzepłej krwi i przybrzeżnych zarośli. Wszystko kwitnie, niebo ma odcień błękitny, woda ma odcień brązowy.

Dotarłem do kładki.

Wejście na nią blokował sznurek z zawieszoną na środku kartką: „Kładka nieczynna z powodu remontu”. Na środku uwijało się dwóch mężczyzn w roboczych strojach, z pięciolitrowymi puszkami farby i pędzlami w rękach. Malowali przerdzewiałe poręcze świeżą, szarą, olejną farbą. Ostatnie podpisy *Durex & Koreń* znikały na mych oczach pod spokojnymi posuwistymi ruchami pędzli. Stałem na brzegu, patrząc bezsilnie na wszystko.

Robotnicy uwijali się leniwie w majowym słońcu, jeden na jedną stronę poręczy, drugi na drugą. Było po jedenastej, musieli zacząć z samego rana, dotarli już mniej więcej do połowy.

Czyli nie pozostało mi nic.

Ruszyłem wałem w stronę budynku wodociągów. Powłócząc nogami, zbierałem przed sobą kupkę piachu pomieszaną ze szkłem rozbitych butelek. Kopałem to szkło czubkami gланów, patrząc na odbijające się w odłamkach słoneczne refleksy. Pomyślałem, że z moim życiem jest dokładnie tak samo, jak z tymi stłuczonymi butelkami – nigdy nie będzie można go już skleić na nowo. Czułem, jakbym pogrążył się w narkozie. Polecenia udręczonego mózgu wykonywałem machinalnie, każdy ruch nogą zdawał się przychodzić z trudem i jakby bezwolnie. Próżnia mego wnętrza zdawała się bronić zmysły przed wszelkimi sygnałami zewnętrznego świata. Nie myślałem, nie czułem. To było nawet przyjemne. Jak w chwili śmierci.

Tama będzie brązowa. Poziom wody w granicach dwóch i pół metra. Sporo.

Na dachu budynku pewna zmiana. Przez chwilę będę patrzył, długo nie mogąc zdać sobie sprawy, co tu właściwie jest nie tak. Po chwili dostrzeżę, że na rogach budynku zainstalowano kamery. Pewnie dość mieli dewastacji i grupek wagarowiczów. Z mojej strony nic im już nie grozi.

Próbowałem precyzyjnie się przez płot, jednak zaledwie udało mi się przejść, na wale na końcu pomostu dostrzegłem pędzącego w moją stronę ochroniarza. Kamery działały. Pospieszenie wycofałem się. Ochroniarz po chwili również zawrócił. Żalossne. Śmieszne. Idiotyczne! I tak jedyne, co pozostało mi w tym miejscu, to plama po starej musztardzie, odbita na szarym betonie ściany.

Przyszło mi do głowy odwiedzić Słupy. Rzuciłem Tamie ostatnie, pożegnalne spojrzenie i przedzierając się przez nadbrzeżne zarośla, ruszyłem w stronę mającego w oddali lasu. Gdzieś tam znajdowało się miejsce naszych wagarów, gdzieś tam...

– Coś ty, kurwa, za jeden?! Zgubiłeś tu coś?!

– To jakiś brudas! Zajeziemy go!

W przybrzeżnych krzakach nieopodal budynku Tamy napatoczyłem się znienacka na grupkę pięciu podpitych skinów.

Spotkanie z nimi było tak niespodziewane, że nie było mowy o jakiegokolwiek ucieczce. Pięciu łysych, ubranych w sportowe stroje i śmierdzących tanim winem, drabów w jednej chwili otoczyło mnie zwartym kołem.

– Coś ty za jeden? Ubrany na czarno, punk jakiś, kurwa?

– Gadaj, brudasie, co tu robisz?!

– Kurwa, wina nie można spokojnie wypić! Coś ty, kurwa, za jeden?!

– Nikt. Po prostu przechodziłem – odparłem flegmatycznie, prostując się i patrząc im w oczy. Nie bałem się ich ani trochę nawet przez chwilę. Było mi obojętne, co ze mną zrobią – I teraz pójde sobie dalej, w porządku?

Zarechotali. Przypominali teraz stado różnokolorowych ropuch, wszyscy gładko ogoleni, prawdziwe indywidua. Jeden miał ciągnącą się przez połowę czaszki długą różową bliznę, drugiemu brakowało kilku zębów, jeszcze inny miał dziwaczny kolczyk w uchu, czwarty, tatuaż biegnący po lewej ręce, zahaczający o dłoń. Piąty, bez znaków szczególnych, za to chyba najbrzydszy z tego grona. Pewnie ich szef. Co takie draby robią w tym miejscu nad Wisłoką o tej porze?

– Zaraz, zaraz! Pójdziesz, jak m y ci pozwolimy!

– Nie będę pytał was o zgodę – odparłem i próbowałem przebić się przez szczelinę pomiędzy nimi. Potężny cios w plecy przywrócił mnie do rzeczywistości. Upadłem na kolana.

– Gdzie się, kurwa, wybierasz?! Nigdzie nie pójdziesz! – ryknął ten ze szramą na czole – Wyskakuj z kieszeni!

Podparty rękami o przybrzeżną glinę powoli dochodziłem do siebie.

– Spierdalaj – wycedziłem przez zęby – Ani mi się śni!

– Te, twardziel się znalazł! – wykrzyknął skonsternowany szef – Już nie żyjesz młotku, po co się szarpać? Trzymajcie brudasa! – dwóch drabów chwyciło mnie za ręce i brutalnie postawiło na nogach, twarzą przed nim.

– Wyskakuj z kieszeni! Wszystko, co masz!

– Odwal się, gnoju – wysapałem.

Skin, nie namyślając się wiele, wyprowadził cios główką prosto w mój nos. Uderzenie zamroczyło mnie na chwilę, wszystko spowiła lekka, mlecznobiała mgła. Po chwili ujrzałem jego wyszczerzoną w ironicznym uśmiechu gębę tuż przede mną. Po czole spływała mu cienka strużka krwi. Mojej krwi... Piekielnie bolał mnie nos. Chyba był złamany.

– No i co, śmieciu, lepiej ci? – spytał, czując swą wyższość i władzę.

– Na więcej cię nie stać? – zapytałem spokojnie – A śmieciem to tutaj jesteś ty.

Ręce trzymające mnie zacisnęły uchwyt.

– Ty jesteś głupi czy nienormalny? Już nie żyjesz gnoju! – zamachnął się pięścią w mą szczękę.

Cios wykrzywił mi twarz, rozcinając dziąsło i dolną wargę. Strużką po brodzie popłynęła krew. Nie czułem nic, byłem jak po dawce silnych leków przeciwbólowych. Wszystko działało się z moim udziałem, obserwowałem to jednak jakby z boku, stojąc i obojętnie myśląc o rozgrywającym się widowisku.

– A teraz co? Jeszcze raz?

– Poproszę.

Drugi cios był nieco słabszy, pięść spadła wyżej, na prawe oko. Poczulem silny ból i nagle pole widzenia zmalało do dziewięćdzie-

sięciu stopni. Wszystko traciło swój sens. Ostatecznie i tak miałem się za chwilę zabić. To nawet lepiej, że wyręczy mnie zgraja tępych skinów...

– Puśćcie go! – rozkazał szef. Uchwyt rozluźnił się. Zachwiałem się na nogach, ciągle jednak utrzymując wyprostowaną pozycję.

– Zabijcie mnie jeśli chcecie! No już! Nie chcę żyć! – wykrzyknąłem – Zabijcie! Zabijcie, kurwa, słyszycie?!

Skini stanęli, oniemiaли

– Zabijajcie, kurwa! Jestem punk, brudas, wasz śmiertelny wróg! Śmieć! Brudas! Nie chcę żyć, no zabijajcie, kurwa, tylko szybko!

Grupka stanęła wokoło mnie dziwnie zaskoczona. Korzystając z ich konsternacji, doskoczyłem do szefa i z rozmachu wyprowadziłem cios pięścią. Ugodziłem go prosto w lewe oko. Skin złapał się za twarz, zaklął. Po chwili poczułem na sobie ciosy kopniaków, butów, twarde podeszwy glanów, miękkie adidasów. Opadłem na piach. Kopniaki nie ustawały.

– Tak, zabijcie mnie, skurwysyny, zabijcie! – krzyczałem jakby w ekstazie. Ciosy spadały jeden po drugim, po chwili byłem już bliski utraty świadomości. Bolało mnie wszystko, czułem, że jeszcze kilka ciosów i pograżę się w ciemność, w otchłań o egzystencji smoły.

– Stop! – powolną utratę zmysłów przerwała komenda jednego z napastników – Zostawcie gnoja. Przeszukać go!

Powoli odwrócono mnie na plecy. Twarz miałem posklejaną od błota i krwi. Czyjeś ręce wdarły się brutalnie do kieszeni spodni. Ostatkiem sił próbowałem podnieść się i stanąć na nogi. O dziwo, udało mi się to! Zachwiałem się tylko lekko przez chwilę.

Skini byli tak zaskoczeni, że przez chwilę stali, patrząc na mnie jak na objawienie.

– I co, nie zabijecie?! Tchórze! No już, cholera! Nie mam nic dla was, nic wam nie oddam! – rzuciłem się na pierwszego z brzegu i zacząłem na ślepo okładać go pięściami. Ten odepchnął mnie bez problemu. Upadłem na piach.

– Zabijajcie, kurwa, już! Albo ja was zabiję! Zabiję! – próbowałem ponownie poderwać się, ale tym razem zmaltretowane ciało

stanowczo zaprotestowało. Silny ból pleców sparaliżował wszelkie moje ruchy.

– Zabiję... Albo wy mnie albo ja was! Nie okradniecie mnie! Ja nic nie mam! Zabijcie! Co, kurwa, śmiecie! Skini do jaskini! Boicie się?!

– Skopać go! – krzyknął ten z kolczykiem, po czym rzucił się na mnie i wymierzył potężny cios w brzuch. Zwinąłem się w kłębek. Z oczu popłynęły łzy – Błagam, zabijcie – wysapałem, krztusząc się płynącą z rozbitego nosa krwią.

Skini nie zamierzali jednak męczyć mnie więcej.

– To jakiś nienormalny – usłyszałem głos jednego z nich.

– Przyglup.

– Niedojeb, kurwa!

– Idiota!

– Brudas...

– Chodźcie chłopaki. Nie będziemy se gnojem rąk paprać, nawet jeśli sam o to prosi. Po chuj nam morderstwo.

– Do wody punka! – wrzasnął któryś.

Pomysł wzbudził aprobatę. Po chwili zostałem podniesiony i niczym worek wrzucony przy brzegu w wodę i muł. Woda była zimna, chłód przyniósł chwilowe ukojenie. Tylko zewnętrzne.

– Jakiś dziwny...

– Pierwszy raz ktoś mnie prosił, żeby go zabić... – usłyszałem głosy odchodzących – Jakiś psychol.

– Niedojeb, kurwa...

– Wszystkie brudasas są takie pojebane?

– Eeee... Ten był jakiś nienormalny. Dziwny gnój.

Kroki na trawie i głosy odchodzących skinów stawały się coraz słabiej odczuwalne. Po chwili wszystko ucichło. Leżałem przy brzegu do połowy zagrzebany w mule, bez sił by wstać. Pragnąłem śmierci, ta jednak, pomimo rozległego bólu otaczającego mnie parzącymi mackami, nie przychodziła. Zamiast niej, jakby na przekór, lodowata woda chłodziła mi czoło, muł łagodził powstałe po kopniakach rany... Wszystko piekło, bolało, krwawiło. Czuję się jak worek treningowy lub sztuka mięsa.

Kilkukrotnie próbowałem się podnieść, za każdym razem bezskutecznie. Potężny ból nóg i pleców nie dopuszczał najmniejszej zmiany pozycji. Leżałem więc w przybrzeżnym mule, marznąąc w lodowato zimnej wodzie.

Zamknąłem oczy. Próżnia wypełniająca całe moje ciało powoli zakolysała się, zdała rozszerzać, rozrastać, coraz szybciej i szybciej. Powoli wchłonęła mnie całego.

W końcu nie czułem już nic.

X

Przez przybrzeżne zarośla przebijało się czerwone, niczym krwią opite słońce. Nie. To tylko złudzenie. Cały świat tonie w czerwieni. To przez ten muł i krew. Która godzina? Popatrzyłem na swą lewą rękę, nie znalazłem na niej jednak zegarka. Zabrali? Chyba nie. Stary był, popękany. Na nic by się im nie przydał. Nieistotne. Co mnie w ogóle obchodzi godzina.

Leżałem przy brzegu rzeki w grubej warstwie rzecznego mułu. Zimno. Czuję coś, to już lepiej – pomyślałem – Czuję, więc jestem.

Przez chwilę nie widziałem nic z powodu grubej warstwy błota oblepiającej mi twarz. Stopniowo, rękami, spróbowałem przyprowadzić się do porządku. Wodą przemyłem oczy. Prawe było spuchnięte, nie było jednak tak źle. Coś nawet przez nie widziałem... To pewnie zimna woda i muł złagodziła opuchliznę. Która to może być godzina...

Spróbowałem się podnieść. Udało mi się. Stopniowo podpieając się rękami o kamienie, podniosłem się na kolana, następnie stanąłem w pozycji wyprostowanej. Jak Pan Cogito – zakpiłem – „Idź wyprostowany wśród tych, co na kolanach, wśród odwróconych plecami i obalonych w proch...” I któż jest dzisiaj obalony w proch, Książę Poetów? Kto chciał być „ponad tym”. Kto chciał żyć. Kiedy to było.

Stojąc wciąż w wodzie, powoli dochodziłem do siebie. Zauważyłem, że ból skopanych mięśni minął prawie zupełnie. Słońce

świeciło wysoko na niebie, po jego przechyleniu w stronę zachodu stwierdziłem, że musi być około piętnastej. Czyli leżałem tu jakieś cztery godziny. Nieźle.

Niewiele obchodził mnie mój wygląd, stwierdziłem jednak, że muszę wyglądać strasznie. Od stóp do głowy pokrywała mnie warstwa rzecznego mułu. Postanowiłem trochę się umyć. Potykając się o przybrzeżne kamienie, wszedłem głębiej w wodę. Była zimna, brunatna.

Po chwili wypłynęłam na brzeg, mokry lecz w miarę czysty. Trzęsąc się z zimna, usiadłem na trawie. Głośno zapytałem siebie, co dalej.

Brak odpowiedzi był bardzo jednoznaczny.

Cieszący się wiosną i piątkowym popołudniem spacerujący po ulicy Recznej ludzie dziwnie reagowali na mój widok. Dzieci odwracały wzrok, niektórzy wytykali palcami, szepcząc coś stłumionym głosem. Zakrwawiona twarz i przemoczzone do suchej nitki, brudne od mułu ubranie sprawiało, że stałem się dla nich dziwnym okazem lumpa, który z pewnością spił się i wpadł do rzeki, a teraz straszy cieszących się początkiem weekendu porządnymi obywateli.

„Porządni obywatele” przechodzili obok, szeptali, wytykali palcami i zakrywali oczy swym pociechom, ja szedłem, nie patrząc na nich, nie myśląc, nie widząc już nic, w oczach mając już tylko jedno, jedyne pragnienie...

Żaden z tych porządných nie podejdzie, nie zapyta, nie zaoferuje pomocy. Będą patrzeć jak na trędowatego i wytykać dziwnie wydłużonymi, wykoślawionymi palcami. Krokiem starego alkoholika, z chlupiącymi wodą podeszwami glanów, będę szedł od krawężnika do krawężnika, potykając się o płyty chodnikowe i koleiny w starym asfalcie. Zaślepiiony, minę ciemnoszary budynek pierwszego LO, z otwartych okien słysząc zawodzenie chóru szkolnego. Skrzywię się, pójdę dalej.

Nikt mnie nie zatrzyma.

Szedłem nasłonecznioną ulicą Sękowskiego, po której z rzadka płynęły zabłąkane samochody. Wzdłuż drogi chodnik, zamknięty dla przechodniów biało-czerwoną taśmą. Kartka: „Pielęgnacyjna ścinka drzew”, robotnicy uwijający się dookoła, ryk pił mechanicznych, ból, przerażający, nie do opisania, kolejne łyzy, kolejne wspomnienie, kolejna bezsilność.

Ktoś, uznał, że rozłożyste konary kasztanów stanowią zagrożenie dla ruchu pojazdów.

W chwili obecnej prace nad ścinką dobiegały końca. Na naczepę ciągnika ładowano ostatnie, żywe wiosenną zielenią gałęzie. Po wspaniałych, niemal stuletnich, rozłożystych, w czas jesieni złotem pokrytych kasztanach pozostały jedynie pnie, żalosne kikuty wyrastające kilka metrów ponad asfalt. Obok na drodze martwe, rozjechane przez czyjś samochód piskłę, płacz ptaków, bezpowrotnie pozbawionych swoich gniazd. Przekrwiona luna przechylającego się lekko na zachód słońca.

Przez ułamek sekundy zachciałem awantury, wyjaśnienia. Dlaczego niszczą wszystko, co wiąże mnie w jakikolwiek sposób z przeszłością, dlaczego ścinają te cholerne drzewa?! Przez ułamek sekundy... Później opadły ręce. Milcząc, spuściłem głowę. Ruszyłem dalej.

W pewnej chwili przez próżnię, jak impuls przebiega myśl. Ostatni możliwy sposób ratunku...

Nie, niepotrzebny mi ratunek, nie potrzebna mi niczyja pomoc! – usłyszałem nagle, jakby dla równowagi. Jeden, tylko jeden jest sposób.

Włóczyłem się po mieście, przed siebie, bez celu.

Komisariat policji na Wyspiańskiego. Co mnie tu pcha?! Dookoła uwijało się kilku mundurowych. Nikt nie zwrócił uwagi na mój wygląd, nikt nie zatrzymał, nie poprosił na stronę, nie chciał wyjaśnić. Zabiłem przyjaciela dla dziewczyny, która jest kurwą. Dla tej samej dziewczyny biłem się na noże z człowiekiem, z którym ona rżnie się za paczkę fajek, do tej samej dziewczyny napisałem list i sto osiemdziesiąt siedem razy... Wierzyłem w to słowo! Za dwa dni Bierzmowanie...

POLICJA, szyld, duży biały napis na granatowym tle, stojące na parkingu radiowozy, kilku wpatrujących się we mnie dziwnym wzrokiem przechodniów, próżnia i obojętność. Brak bólu, brak zmysłów, brak kierunków.

*nie ma wschodu,
zachodu,
północy,
południa
wszystko jest obojętne*

Policja wie już wszystko, brakuje tylko przyznania się do winy. Wejdę, przyznam się! – błysk myśli oślepił mnie na chwilę. Wszystko wydało mi się proste, podświadomie słyszałem już trzask elektrycznego zamka kraty, zamykającej wejście do komisarjatu. Tak, to jedyne rozwiązanie! Chyba.

Tak? I co dalej? Co dalej? Zatrzymują, powiedzą, że wiedzieli, że jeszcze dziś przyjdę, będą się śmiać, szydzić, powiedzą, że ich metody działają, że mam słabą psychikę, a potem... pozbawią wszystkiego, odwiozą do więzienia... Po co mi więzienie? Do czego doprowadzi to, że zabiorą mnie na jakiś czas... Rodzice wyprą się mnie, nie przeżyją wstydu posiadania syna mordercy, nikt nie odezwie się do mnie ani słowem. Ojciec, jak podczas powrotu z ucieczki, nie powie do mnie nic... Do końca życia. A wszystko z powodu dziewczyny. Miłość? Jest – jak bóg – jedynie abstrakcją, pięknym wytworem zbiorowej halucynacji. Wyuczone odruchy, ślinienie się na widok kości, psy Pawłowa, psychologia tłumu, system, pamiętasz? Tak... teraz mogę mówić, że wszystko przez miłość, tak samo jak mógłbym powiedzieć – wszystko przez boga, przez zły los, przeznaczenie... wspaniałe wymówki, recepty na wrzask sumienia, placebo udające lekarstwo na świat.

Najgorsze, że pragnąłem za wszelką cenę znaleźć cokolwiek, na co mógłbym zrzucić choć część odpowiedzialności za to, co się stało. Przynajmniej część, to naprawdę niewiele... Wiktoria w gruncie rzeczy również nie jest winna. To wszystko przez złe

wychowanie, patologię, przez system, system... – próbowałem uczeplić się tej myśli...

Jaki system?! Żaloszne. Jestem tak cholernie żaloszny. Przecież to wszystko stało się przeze mnie! Przeze mnie! Świadomość, że tylko ja jestem wszystkiemu winien doprowadzała mnie do szału. Nie ma miłości... Może gdyby była, świat byłby inny, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. Może nie potrzeba byłoby tylu kłamstw, tylu zbrodni. Może Wiktoria nie chciałaby tego, w normalnym świecie nie byłaby taka, może powinienem wybaczyć jej to wszystko, wybaczyć raz na zawsze, tak jak wybacza się przed śmiercią.

Taniec nierównych płytek chodnikowych wywołuje mdłości... A może teraz wejść i przyznać się do wszystkiego?

Nie! Nie dam im tej satysfakcji, nie dam się zamknąć w więzieniu, nie będę żył ze świadomością zbrodni, krzywdy wyrządzonej własnej rodzinie, rodzinie Przemka... Nie dam odczuć rodzicom wstydu posiadania syna mordercy! Samo niedopuszczenie do Bierzmowania nie wystarczy? Już lepiej po prostu... Wszystkie baby to... Nie, nie chcę tak żyć, nie, to nie ma sensu! Nie ma sensu! No i co? Krzyczysz sobie? Krzycz, krzycz, sumienie. Oni i tak wiedzą, nie potrzebują mnie. Ja należę tylko do siebie, nikt nie powie mi, jak należy żyć, nikt nie rozkaże mi żyć w ogóle.

Szyld z napisem POLICJA przyciągał wzrok, tamował kroki, przyspieszał tok myśli, wypełniając na chwilę próżnię jednym bolesnym krzykiem: Idź, przyznaj się, a potem...

Nie! I tak wszystko wiedzą – mówił drugi głos. I tak nic to nie da! Będą jedynie tobą rozporządzać, tobą i twoim życiem, które nie stanie się przez to niczym innym niż kawałkiem zepsutego śmiecia. To było twoje życie, twoja śmierć, twój wybór, tylko twój.

Nie wszedłem, nie przyznałem się. Jak ślepiec, powoli stawiając kroki, by nie uchodzić za pijanego, stopniowo oddalałem się od komisariatu. Widmo granatowo-białego szyldu prześladowało mnie do najbliższego zakrętu. Potem wszystko zniknęło, rozplynęło się w ciemności słonecznej ulicy.

Nie pamiętam już, w jaki sposób znalazłem się tuż przed zde-wastowanym wejściem do dziwnie znajomej klatki schodowej. By-łem tu kiedyś, raz, Pierwszego Dnia Wiosny, dawno temu. Przed śmiercią.

Dalej wszystko toczyło się własnym torem. Automatycznie. Drzwi klatki trzasnęły metalicznie, głucho, zamykając drogę, oddzielając od szarej rzeczywistości chodników. Winda czekała otwarta, zapraszając do środka trupioblady światłem jarzeniów-ki. Ściany z płyty drewnopodobnej, spisane mazakami i sprayem, przycisk z numerem dziesięć.

Próżnia wchłaniała pęd, poszczególne piętra przesuwaly się jak we śnie. Gdzieś widziałem ten obraz, skądś go pamiętam...

Nagle szarpnięcie przypomniało, że jestem na miejscu. Jeszcze tylko schody, widok z okna, znów schody.

Okno prowadzące na dach było zaledwie przymknięte. Otworzyłem je, wspiałem się na grzejnik, wsparłem o biały drewniany parapet i stanąłem na pokrytej papą powierzchni dachu. Kilkadzie-siąt metrów niżej widok na cmentarz, wiadukt, pędzące samocho-dy; gdzieś ludzie, w szarej, codziennej przestrzeni.

Nie chcę takiego życia, nie chcę żyć na tym świecie, gdzie wszystkie pojęcia utraciły znaczenie, nie chcę nosić na sobie piętna zbrodni, nigdy nie chcę już poznawać żadnej dziewczyny, nigdy nie poświęcę wszystkiego dla miłości, nigdy nikogo nie skrzyw-dzę! Uśmiechnąłem się. Humor wisielczy – pomyślałem – Nig-dy już niczego nie zrobię, z prostego, najprostszego pod słońcem powodu.

Jeszcze tylko drabinka. Krzyż kościoła Ducha Świętego powoli wylańiał się zza krawędzi dachu. Widok jak z widokówki reklamo-wej. W połowie dachu zatrzymałem się, nieruchomym wzrokiem błędząc w przestrzeni. Świat był taki jak zwykle, na niebie zbierały się chmury, raz po raz któraś przysłaniała słońce.

Czegoś mi jednak brakowało. Przez kilka sekund zastanawia-łem się, czego.

Gdy ostatnio byliśmy tutaj, wszystko było inaczej. Pewnie cho-dzi o inną porę dnia i pozycję słońca na niebie. To zrozumiałe; nie byłem jeszcze mordercą, nie miałem jeszcze dziewczyny różnącej

się z mym największym wrogiem za paczkę fajek, nie wiedziałem o niedopuszczeniu do Bierzmowania, Koreń żył, liczyły się ideały, smak taniego wina, odór siarki, nagrzana papa, wiatr... Właśnie! Wiatr. Wówczas z hukiem i świstem przewalał się po całej powierzchni dachu, nie pozwalając znaleźć spokojnego miejsca...

Teraz było cicho. Przerażliwie cicho, z dołu dochodziły jedynie przytłumione odgłosy ulicy, pomruk silników samochodów, czyjeś rozmowy, zwykle dźwięki miasta w popołudniowych godzinach.

Wiatr... Gdzie jest wiatr? Przecież chmury widocznie przesu- wają się po niebie nade mną.

Błękit powoli ciemniał, nikł wchłaniany przez próżnię, jak i cały obraz, wieżowce, samochody, dachy marketów, ludzie, kościoł. Wszystko zakryła gęsta jak mleko mgła; rzeczywistość zamazywała się, znikła. Przed oczami miałem jedynie obraz wybijającego się w górę białego krzyża, zwieńczenia kościoła. Z rozbitego nosa i rozciętej wargi ciągle sączyła się krew, miałem ją na twarzy, czułem jej słony smak w ustach... Całe ciało co chwila wykrzywił paroksyzm bólu, przemoczone ubranie wywoływa- ło dreszcze. Nie zwracałem na to uwagi, nie myślałem o tym. To nie miało najmniejszego znaczenia.

Spokojnie, jak automat, ruszyłem w stronę krawędzi. Było ci- cho, po chwili wszelkie miejskie dźwięki również przestały ist- nieć. Nie docierało już nic. Zupełnie jakby ktoś znieacka otoczył mnie bezszelestnie grubym szklanym kloszem. Pustka, zawieszona w niej moje ciało, bez duszy, bez sumienia, nawet ono opuściło mnie w tej chwili. Właściwie i tak go nie potrzebuję.

Nie robiłem już żadnych rozrachunków z życiem, z sobą, z bogiem. Byłyby to tylko żalodne, pełne patosu, bredzenia, które w obliczu tego, co za chwilę stanie się nieodwracalne, nie mają najmniejszego znaczenia, nikogo nie będą obchodzić.

Powoli zbliżałem się do krawędzi, aż wreszcie czubki moich butów wystawały poza linię dachu. Stałem na samym ostrzu po- ziomu, przechodzącego gwałtownie w pion. Otchłań rozciągają- ca się tuż pode mną przyciągała, wzywała... jeszcze tylko chwila. Wszystko się skończy. Na zawsze.

Przenosząc cały ciężar ciała na prawą piętę, oderwałem powoli lewą nogę. Czułem, że pierwszy, nawet słaby powiew wiatru zepchnie mnie w przepaść, ale chciałem tego, teraz śmierć była jedynym pragnieniem. Wiedziałem, że wiatr w końcu musi się odezwać. Czułem go podświadomie, czułem na twarzy pierwszy, a zarazem ostatni podmuch.

Nadszedł wkrótce.

*Mielec – Rzeszów,
luty 2003 – wrzesień 2005*

SPIS TREŚCI:

PROLOG	9
CZEŚĆ I Błękitne niebo nad miastem	17
CZEŚĆ II Chmury	159
CZEŚĆ III Biała wieża	269
CZEŚĆ IV Droga, której nie ma	381

